

Światowy bestseller przełożony na 18 języków

# Śmierć na sprzedaż



CAPRICORN  
Media Lazar

# Peter James



Książki Petera Jamesa sprzedano w 8 milionach egzemplarzy. Jego drugi thriller z detektywem Royem Grace'em, jest jeszcze lepszy niż „Zabójczy żart”.

*„The Independent”*

To, co przydarza się bohaterom tego bestsellera, mogłoby zdarzyć się również tobie. Trzymająca w napięciu akcja i postaci, które niełatwo zapomnieć.

*Kathy Reichs*

James potrafi doskonale pokazać pracę policji. Jest również mistrzem kryminalnej intrygi. Detektyw Roy Grace wkrótce stanie się sztandarową postacią serialu TV.

*„The Argus”*

Tom Bryce zachował się jak przyzwoity człowiek, chciał zwrócić znalezione w pociągu CD właścicielowi. Gdyby jednak wiedział, czym zajmuje się ten tajemniczy producent ze skarabeuszem w logo, nie dotknąłby płyty za żadne skarby. Nie wiedział jeszcze czegoś. Najgorszego. Jego rodzina miała odegrać główną rolę w ponurym spektaklu zabijania przed kamerą.

W pogodnym, nadmorskim Brighton policja znajduje okrutnie pokaleczone, pokawałkowane zwłoki. Śledztwo prowadzi detektyw Roy Grace. Kiedy znikają ludzie, trauma, z którą żyje od zaginięcia żony, odzywa się w nim ze wzmożoną siłą. W tym zwiariowanym świecie wszystko jest na sprzedaż. Również śmierć.

Peter James to popularny na całym świecie autor bestsellerów, scenarzysta i producent wybitnych filmów takich jak „Kupiec wenecki” z Alem Pacino czy „Most przeznaczenia” z Robertem de Niro.



**„Zabójczy żart” otrzymał prestiżowe nagrody:**

Le Prix Coeur Noir 2007 we Francji  
Prix POLAR International Award 2006

[www.media24z.pl](http://www.media24z.pl)

strona: [media24z.pl](http://media24z.pl)



cena 27.50 zł

**carpe noctem**  
[www.carpe-noctem.pl](http://www.carpe-noctem.pl)



**GILDIA.PL**



**lkander**

Peter James

Śmierć  
na  
sprzedaż

przełożył Maciej Nawariak

CAPRICORN

Media Lazar

Tytuł oryginału Looking good dead

Projekt okładki *Marta Wawro*

Redakcja *Lucyna Łuczyńska*

Korekta *Mariola Będkowska*

Copyright © Really Scary Books / Peter James 2006 Copyright

© for the Polish edition by Media Lazar

The right of Peter James to be identified as the author of this work  
has been asserted by him in accordance with the Copyright,  
Designs and Patents Act 1988.

Media Lazar

Capricorn

Warszawa 2008

ul. Rosola 12, 02-796 Warszawa

tel. 022 6494249

[www.medialazar.pl](http://www.medialazar.pl)

e-mail: [medialazar@medialazar.pl](mailto:medialazar@medialazar.pl)

Skład i łamanie

AVANTI

ul. Jarocińska 13/3, 04-171 Warszawa

Druk i oprawa

ABEDIK S.A.

ul. Ługańska 1, 61-311 Poznań

ISBN 978-83-925755-8-0

*Dla Helen*

## ROZDZIAŁ 1

Drzwi frontowe jednego z segmentów szczytującego się niegdyś urodą szeregowca otworzyły się i na skąpaną w słońcu ulicę wyszła długonoga dziewczyna w jedwabnej sukience. Zwiewna tkanina to przylegała, to falowała wokół jej smukłej sylwetki. Pogodny poranek zapowiadał ciepły, czerwcowy dzień. Ostatni dzień jej młodego życia.

Przed stuleciem wysokie, białe wille, stojące o rzut kamieniem od nadmorskiej promenady w Brighton, mogłyby służyć jako rezydencje dla londyńskiej socjety. Dziś zostały pocięte na kawalerki i tanie mieszkania do wynajęcia; kiedyś piękne, teraz straszły usmolonymi, wyżartymi przez sól fasadami. Miejsce mosiężnych kołatek przy drzwiach frontowych zajęły panele domofonów, a pod jarmarczną pstrokaczną tablicę agencji wynajmu mieszkań wysypywała się na chodnik zawartość worków na śmieci. Wiele samochodów, ustawionych wzdłuż ulicy, upchniętych w zbyt małej przestrzeni, nosiło ślady wgnieceń i rdzy, a wszystkie - zmasowanego bombardowania ptasimi odchodami.

Natomiast dziewczyna wprost emanowała klasą. Całą sobą. Poczynając od swobodnie przerzuconych przez ramię długich jasnych włosów, poprzez poprawiane niedbałym ruchem okulary słoneczne, ekskluzywną bransoletkę od Cartiera, elegancką torebkę od Anyi Hindmarsh, idealne proporcje ciała, śródziemnomorską opaleniznę, aż po smugę cierpkiego zapachu Issey Miyake, który wprowadzał erotyczną nutkę do nasyconego spalinami powietrza

godzin szczytu. Dla takiej dziewczyny, odpowiednią oprawą byłyby galerie domu odzieżowego Bergdorf Goodman, czy bar w hotelu Schrager, albo rufa jakiegoś wypasionego jachtu w St-Tropez.

Całkiem niezłe jak na studentkę prawa, która musi jakoś wyżyć z chudego stypendium.

Jednak Janie Stretton po śmierci matki była tak rozpuszczona przez nadopiekuńczego ojca, iż nawet jej przez myśl nie przeszło, żeby miała tylko „jakoś wyżyć”. Zarabianie pieniędzy nie wymagało wiele zachodu. Ale zawód, który sobie wybrała, nie gwarantował wysokich dochodów. Prawnikom nie było łatwo. Po trzecim roku studiów odbywała aplikację w pewnej kancelarii adwokackiej w Brighton pod opieką specjalisty od spraw rozwodowych, co okazało się nad wyraz interesujące; poznała problemy uniemożliwiające dalsze wspólne pożycie małżonków, a te można by określić jednym słowem: chore.

Wczoraj klientem był miły siedemdziesięcioletni pan w schludnym szarym garniturze, ze starannie zawiązanym krawatem, Bernie Milsin. Janie siedziała cichutko w kącie kancelarii, podczas gdy trzydziestopięcioletni Martin Broom, u którego aplikowała, notował. Pan Milsin żalił się, że starsza od niego o trzy lata żona domaga się przed każdym posiłkiem seksu oralnego, jeśli odmówi, nie dostaje jeść. „I tak trzy razy dziennie - mówił pan Milsin Martinowi Broomowi. Ja, panie, już nie mogę, łupie mnie w kolanach od artretyzmu, to nie na moje lata”.

Wszystko, co mogła zrobić, to nie roześmiać się w głos, Broom też ledwie się powstrzymywał. A więc nie tylko mężczyźni mają perwersyjne zachcianki. Codziennie można się było nauczyć czegoś nowego, aż czasami nie wiedziała, skąd czerpie najwięcej wiedzy - z Wydziału Prawa Uniwersytetu Sussex - czy też z uniwersytetu życia.

Sygnal odebranej wiadomości przerwał jej rozmyślenia, gdy doszła do swojego czerwono-białego minicoopera. Spojrzała na wyświetlacz.

[DZIŚ WIECZOR. 8.30?]

Janie uśmiechnęła się i potwierdziła wpisując [XX1 Poczekala, az przejedzie wlokacy sie sznur pojazdow, otworzyla drzwi samochodu, wsiadla i poswiecila chwile na ulozenie planu pilnych spraw do zalatwienia.

Śmiet - jej kocur - miał na grzbiecie zgrubienie, które się powiększało. Wyglądało podejrzanie, więc postanowiła zawieźć kota do weterynarza. Trafiała na Śmieta dwa lata temu, gdy jako bezimienne, bezpańskie stworzenie, tak wychudzone, że bliskie śmierci głodowej, próbował unieść pokrywę pojemnika na śmieci. Wzięła biedaka do domu, a on nigdy nie wykazał chęci, żeby to miejsce opuścić. Może dlatego, że go rozpieszczała? I tyle na temat niezależności kotów. Tylko że, do diaska, Śmiet był kochającym stworzeniem, a ona nie bardzo miała kogo rozpieszczać. Spróbuje umówić się dziś na późne spotkanie. Jeśli dotrze do weterynarza przed pół do siódmej, zostanie jej mnóstwo czasu, wyliczyła.

W czasie przerwy obiadowej musiała kupić kartkę urodzinową i prezent dla ojca - w piątek skończy pięćdziesiąt pięć lat. Nie widziała go od miesiąca, wyjechał w interesach do Stanów. Ostatnio często wyjeżdżał, coraz więcej podróżował po świecie. W poszukiwaniu tej jedynej kobiety, która mogłaby mu zastąpić utraconą żonę i matkę jego córki. Nigdy o tym nie mówił, ale wiedziała, że jest samotny - i zatroskany o stan swoich interesów, które, zdaje się, szły mu teraz jak po grudzie. A to, że mieszkał osiemdziesiąt kilometrów od niej, też nie było specjalnie korzystne.

Zapinając pas bezpieczeństwa, zupełnie nie zdawała sobie sprawy z wymierzonego w nią długiego obiektywu i cichego pobzykiwania cyfrowego aparatu Pentax. Nie mogła tego usłyszeć z odległości ponad dwustu metrów, w szumie ruchu ulicznego.

Mężczyzna, obserwujący Janie przez stabilizowany celownik, powiedział do telefonu komórkowego:

- Rusza.
- To na pewno ona? - Głos, który się odezwał, był mocny i ostry.



Prawdziwa z niej ślicznotka, pomyślał. Choć od wielu dni obserwował dziewczynę nieustannie przez całą dobę, w jej mieszkaniu i poza nim, wciąż sprawiało mu to przyjemność. Pytanie nie zasługiwało prawie na odpowiedź.

- Tak - odparł. - Na pewno.

## ROZDZIAŁ 2

- Jestem w pociągu! - krzyczał do telefonu komórkowego, spasiony złamas o twarzy niemowlęcia. - W pociągu! Po-cią-gu! No tak, tak, słaby zasięg. Wjechali do tunelu.

- Kurwa! - Nie oszczędzał uszu współpasażerów.

Przygarbiony na swym siedzeniu, między grubasem a wściekle esemesującą dziewczyną zlaną mdląco słodkimi perfumami, Tom Bryce stłumił uśmiech. Elegancko ubrany, przystojny trzydziesto-sześciolatek o chłopięcej urodzie, z czupryną opadającą na czoło i o twarzy już naznaczonej troskami, stopniowo wiał w upale, podobnie jak przetaczający się na półce nad jego głową bukiet kwiatów, który kupił dla żony. W przedziale panowała temperatura około trzydziestu dwóch stopni, lecz ta odczuwalna wydawała się jeszcze wyższa. Rok temu podróżował pierwszą klasą. Wagony były lepiej wentylowane - a przynajmniej nie aż tak zatłoczone - ale w tym roku musiał oszczędzać. Ciągle jednak lubił mniej więcej raz na tydzień sprawiać Kellie niespodziankę, obdarowując ją kwiatami.

Pół minuty później wynurzyli się z tunelu, facet wcisnął przycisk i koszmar ciągnął się dalej.

- Właśnie przejechałem przez tunel! - ryknął. Jakby nadal w nim się znajdowali. - No tak, kurwa, w pale się nie mieści! Że też, kurwa, nie mają tam jakiegoś kabla czy coś, no nie, żeby nie przerywało

połączenia! W tunelu, nie? W tunelach na autostradach nieraz już takie mają, no nie?

Tom starał się go nie słuchać i skoncentrować na e-mailach w makintoshowskim laptopie, który podskakiwał mu na kolanach. Kolejny parszywy koniec kolejnego parszywego dnia w firmie. Już ponad setka e-maili, musi na nie odpowiedzieć, a z każdą minutą wyskakują nowe. Załatwiał je wszystkie co wieczór przed pójściem do łóżka - tylko gdy przestrzegał tej zasady, udawało mu się ogarniać sprawy na bieżąco. Część korespondencji stanowiły dowcipy, które miał zamiar przejrzeć później, a część sprośne załączniki przysyłane mu przez kolegów; jednak przeglądania ich w zatłoczonych przedziałach kolejowych już nie ryzykował, kiedyś bowiem, siedząc koło jakiejś statecznej niewiasty, kliknął dwukrotnie na plik Power Point, po czym ukazał się osioł, przy którym klęczała naga blondynka i robiła mu łaskę.

Pociąg stukotał, kołysał się i trząsł, a gdy zbliżając się do celu poddróży, wjechali do kolejnego tunelu, dygotał w przelotnych wibracjach. Wiatr wył na krawędzi uchylonego okna, a wtórowało mu echo czarnych ścian tunelu. W przedziale zaśmierdziało nagle starymi skarpetami i sadzą. Jakaś teczka przesunęła się po półce nad głową Toma; zerknął nerwowo w górę, chcąc się upewnić, czy bagaż nie spadnie albo nie pogniecie kwiatów. Na przeciwległej ścianie, nad głową pucołowatej, niesympatycznej z wyglądu dziewczyny, pogrążonej w lekturze magazynu „19”, na której wisiała pusta tablica reklamowa, ktoś, niezgrabnymi czarnymi literami wypisał sprejem: CHELSEA CFELE.

Kibice piłki nożnej, pomyślał Tom. Nie potrafią nawet poprawnie napisać „cwele”.

Kropelki potu ściekały mu strużkami po karku i żebrach; ściekały również tam, gdzie dopasowana koszula nie przykleiła się jeszcze do spoconej skóry. Zdjął już marynarkę i poluzował krawat; miał ochotę zrzucić też czarne niewygodne mokasyny od Prady. Kiedy wyjechali z tunelu, uniósł znad ekranu lepką od potu twarz, i

natychmiast poczuł świeży powiew, pachnące trawą powietrze Downlandu; jeszcze kilka minut i będzie można w nim wyczuć leciutki posmak soli z kanału La Manche. Po czternastu latach dojeżdżania Tom mógł z zamkniętymi oczami stwierdzić, że zbliża się już do domu. Popatrzył przez okno na pola, domki, słupy trakcyjne, wieżę ciśnień, niewyraźne wzgórze w oddali, po czym powrócił do e-maili. Przeczytał i usunął list od swego dyrektora do spraw sprzedaży, następnie odpowiedział na skargę - jeszcze jeden liczący się klient był wściekły, że zamówione towary nie dotarły na czas przed ważną imprezą plenerową. Tym razem chodziło o długopisy opatrzone logo firmy, poprzednio o parasole golfowe z nadrukiem. Prawdę mówiąc, w dziale zamówień i wysyłki panował bałagan - po części z powodu nowego systemu komputerowego, po części z powodu kretyna, który nim kierował. W warunkach i tak trudnego rynku wyrządzało to interesom firmy dotkliwe szkody. Tydzień temu utracił na rzecz konkurencji dwóch bardzo ważnych klientów - firmę rent-a-car Avis oraz Apple.

Super.

Firma trzeszczała pod ciężarem długów. Wcześniej za szybko się rozwijał, zanadto się rozpędził. Jak również zanadto obciążył hipotekę wydatkami domowymi. Nie powinien był dać się namówić Kellie na zamianę domu w sytuacji recesji na rynku i w branży. Teraz z trudem utrzymywał płynność finansową. Dochody firmy nie pokrywały już kosztów ogólnych. I pomimo jego próśb o opamiętanie się, wciąż nie słabła obsesyjna skłonność Kellie do szastania pieniędzmi. Prawie codziennie kupowała coś nowego, głównie na eBayu, a że po okazjnych cenach, uważała, iż takie wydatki się nie liczą. Powtarzała też, że on przecież stale sprawia sobie drogie, markowe ubrania, chyba nie zaprzeczy? Nie docierało do niej, że korzysta tylko z sprzedaży i że musi wyglądać elegancko, pracując w takiej branży.

Zaniepokojony kosztownym hobby żony, zwierzył się ze swoich trosk koledze, który właśnie przechodził terapię antydepresyjną po rozwodzie.

Przy kilku kieliszkach martini z wódką - Tom coraz częściej znajdował w rym ukojenie - dowiedział się od Bruce'a Wattsa, że można się uzależnić od zakupów i jak w wypadku każdego nałogu, by się od niego uwolnić, potrzebną jest pomoc lekarska. Tom się zastanawiał, czy Kellie kwalifikuje się już do leczenia, a jeśli tak - jak jej to powiedzieć? Złamas znów zaczął swoje.

- Halo, Bill? No cześć, tu Ron. Ron od części, no. No właśnie! No dzwonię, żeby cię tylko uczulić... O, kurwa. Bill? Halo?

Tom sięgnął spojrzeniem nieba, nie unosząc głowy. Boska opatrność. Brak zasięgu. Czasem naprawdę można uwierzyć, że istnieje Bóg. Za moment usłyszał wycie jakiegoś innego telefonu.

To jego komórka. Rozejrzawszy się dyskretnie wokół, wyciągnął telefon z kieszeni koszuli, sprawdził kto dzwoni i odezwał się najbardziej donośnym głosem, jaki mógł z siebie wydobyć:

- Cześć, kochanie. Jestem w pociągu! Po-cią-gu! Mamy opóźnienie! - Uśmiechnął się do swojego sąsiada, rozkoszując się tymi paroma chwilami słodkiej zemsty.

Ściszywszy głos do bardziej cywilizowanego poziomu, dalej rozmawiał z Kellie, a pociąg zajechał tymczasem na stację Preston Park, ostatnią przed końcową Brighton. Uciążliwy towarzysz podróży chwycił niewielką tandetną torbę i wraz z paroma innymi osobami wysiadł, po czym pociąg znów ruszył. Dopiero w parę chwil po zakończeniu rozmowy Tom zauważył leżącą obok, na miejscu, które dopiero co tamten opuścił, płytę CD.

Podniósł ją i dokładnie obejrzał, sprawdzając, czy nie ma jakichś oznaczeń, które mogłyby pomóc znaleźć właściciela. Opakowanie było z matowego plastiku, bez żadnej nalepki ani napisów. Wyjął srebrzystą płytę, obrócił ją w rękę, ale nic na niej nie znalazł. Postanowił, że włoży płytę do swojego komputera, odtworzy, a jeśli nie uda mu się zidentyfikować właściciela, przekaże ją do biura rzeczy znalezionych. Nie żeby ten palant rzeczywiście na taki gest zasługiwał...

Po obu stronach pociągu wyrosły strome kredowe skarpy. Potem w miejsce tej po lewej pojawiły się domy i park. Niebawem mieli wjechać na dworzec w Brighton. Było za mało czasu, żeby teraz sprawdzać płytę; rzuci na nią okiem wieczorem w domu.

Gdyby mógł przewidzieć, jaki kataklizm wywoła ta płyta w jego życiu, nie tknąłby cholerstwa nawet palcem.

## ROZDZIAŁ 3

Mrużąc oczy w świetle wiszącego już nisko nad horyzontem słońca, Janie spojrzała na zegar na desce rozdzielczej i sprawdziła jeszcze godzinę na zegarku ręcznym. Za pięć ósma. Jezu.

- Już jesteśmy prawie w domu, Śmiet - powiedziała zdławionym głosem. Przeklinała korki na nadmorskiej trasie, żałując, że nie pojechała inną drogą. Wsunęła do ust gumę Freshmint.

W odróżnieniu od swojej pani, kot nie był tego wieczoru umówiony na gorącą randkę i nigdzie mu się nie śpieszyło. Siedział sobie spokojnie w wiklinowej klatce na siedzeniu obok kierowcy i spoglądał ponuro zza krat - być może nadąsany, dlatego że go zawiozła do weterynarza. Wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać klatkę, zanim, jadąc ze zbyt dużą prędkością, skręciła w swoją ulicę, po czym zwolniła, szukając miejsca do parkowania, liczyła, że będzie miała szczęście i znajdzie, u licha, jakieś wolne.

Wracała o wiele później, niż planowała, szef zatrzymał ją w biurze - akurat dziś - żeby pomogła zredagować notatki na jutrzejszą naradę z klientem w pewnej przykrej sprawie rozwodowej.

Klient, bezczelny, przystojny obibok, poślubił dziedziczkę fortuny i teraz starał się wyciągnąć od niej ile się tylko da. Pasożyt. Janie nie cierpiała go od pierwszej chwili, gdy przed paroma miesiącami spotkali się w gabinecie szefa. W głębi duszy żywiła nadzieję, że ten typ nie dostanie ani grosza. Nigdy nie wypowiedziała swego zdania głośno, chociaż sądziła, że przełożony

ma podobne odczucia.

Potem siedziała półtorej godziny w poczekalni, zanim weszła do gabinetu doktora Contiego. Nie była to udana wizyta. Cristian Conti, młody i dość mocno wystylizowany jak na weterynarza, poświęcił dużo czasu na badanie narośli Śmieta, a następnie poszczególnych narządów. Potem poprosił, żeby przywiozła kota nazajutrz w celu wykonania biopsji; to wywołało w Janie paniczny strach, że istnieje podejrzenie choroby nowotworowej.

Doktor Conti starał się rozwiać jej obawy, wyliczając wszystkie inne możliwości, ale wychodząc z przychodni, nie mogła się pozbyć czarnych myśli.

Zobaczyła przed sobą trochę wolnego miejsca pomiędzy dwoma samochodami, dość blisko jej drzwi frontowych. Zahamowała i wrzuciła bieg wsteczny.

- Jak tam, Śmiet? Jesteś głodny?

Minęły dwa lata, odkąd się pojawił i bardzo się zżyła z tym rudobiałym stworzeniem o zielonych oczach i pyszczkiem z okazałymi wąsikami. Było coś w tych oczach, w jego zachowaniu, w tym jak mrużąc przytulał się do niej i zasypiał z głową na jej kolanach, kiedy oglądała telewizję, albo obdarzał ją jednym z tych swoich spojrzeń, które wydawały się takie cholernie ludzkie, takie rozumne, takie wszechwiedzące. Miał całkowitą słuszność, kimkolwiek był, ten, kto powiedział: „Czasem, kiedy bawię się z kotem, zastanawiam się, czy to aby nie on bawi się ze mną”.

Próbowała wjechać tyłem na wolne miejsce, nie był to zręczny manewr, więc spróbowała jeszcze raz. Też nie wyszło dobrze, ale uznała, że lepiej nie będzie. Zasunęła szyberdach, wzięła klatkę i wysiadła z auta. Zatrzymała się, znów spojrzała na zegarek, jakby licząc na cud, że poprzednio źle odczytała godzinę. Niestety. Była za minutę ósma.

Zostało tylko pół godziny, żeby nakarmić Śmieta i wyszykować się. Mężczyzna, z którym była umówiona na randkę, miał bzika na



punkcie kontrolowania najdrobniejszych szczegółów i przy każdym spotkaniu mówił jej dokładnie, jak ma wyglądać. Musiała mieć zawsze wydepilowane przedramiona i nogi, skrapiać się zawsze w tych samych miejscach taką samą ilością Issey Miyake, używać do włosów tego samego szamponu oraz odżywki i nie zmieniać makijażu. A jej brazylijka musiała być zawsze przystrzyżona dokładnie co do milimetra.

Dyktował jej, jaką ma włożyć sukienkę, biżuterię, a nawet w którym miejscu w mieszkaniu ma na niego czekać. To wszystko kłóciło się z jej usposobieniem: ceniła niezależność i nigdy nie pozwalała żadnemu mężczyźnie rządzić sobą. A jednak ten facet miał w sobie coś, co sprawiało, że nie potrafiła mu się oprzeć: Był nieokrzesany, wschodnioeuropejski, potężnie zbudowany i nosił się ekstrawagancko. Wszyscy mężczyźni, z którymi wcześniej się spotykała, byli kulturalnymi, wielkomiejskimi mydlkami. No i po zaledwie trzech randkach poczuła, że jest w jego mocy. Już na samą myśl o nim robiło jej się wilgotno.

Zamknęła samochód i skierowała się do drzwi swego mieszkania, nawet nie zauważając jedyne go samochodu na całej ulicy niepokrytego skorupą ptasich odchodów, lśniącego, czarnego volkswagena GTI z przyciemnionymi szybami, zaparkowanego nieopodal. Jakiś człowiek, niewidoczny z zewnątrz, siedząc za kierownicą, obserwował ją przez niewielką lornetkę i wybierał numer na telefonie komórkowym na kartę.

## ROZDZIAŁ 4

Wkrótce po pół do ósmej Tom Bryce przejeżdżał swym wytwor-  
nym, srebrzystym audi combi obok kortów tenisowych, a następnie  
wzdłuż wysadzanych drzewami terenów rekreacyjnych Hove Parku.  
Roilo się tam od ludzi spacerujących z psami, uprawiających różne  
dyscypliny sportu, wylegujących się na trawie, rozkoszujących się  
resztkami tego długiego, czerwcowego dnia.

Opuścił szyby i wewnątrz samochodu wypełniał łagodny podmuch  
powietrza, w którym unosił się zapach świeżo skoszonej trawy oraz  
kojący głos Harry'ego Connicka Juniora, którego Tom uwielbiał,  
natomiast Kellie uważała, że jest do chrzanu. Sinatra też był jej obo-  
jętny. Wokalistyka z wyższej półki po prostu jej nie ruszała; intere-  
sowały ją klimaty takie jak house, garage, te wszystkie upiorne ło-  
moty, których on nie przyswajał.

Im dłużej trwało małżeństwo, tym więcej zdawało się ich różnić.  
Nie mógł sobie przypomnieć ostatniego filmu, na którego temat  
mieliby takie samo zdanie, a chyba jedynym programem telewizyj-  
nym, oglądanym wspólnie, pozostał piątkowy talk-show Jonathana  
Rossa. Ale kochali się, co do tego miał pewność, a przede wszystkim  
kochali dzieci. One były dla nich wszystkim.

Tę właśnie chwilę w ciągu dnia lubił najbardziej - oczekiwanie na  
powrót do domu, do rodziny, którą uwielbiał. A dzisiaj kontrast

między wstrętnym, lepkiem upałem w Londynie i w pociągu, a tym przyjemnym momentem, wydawał się jeszcze bardziej wyrazisty.

Od razu w lepszym nastroju przejechał przez skrzyżowanie z elegancką Woodland Drive, zwaną przez miejscowych Aleją Milionerów, gdzie ciągnęły się urocze domy jednorodzinne, z których wiele stało pod samym laskiem. Kellie marzyła, żeby tam kiedyś zamieszkać, ale na razie daleko im było do tej kategorii cenowej - i to się raczej nie zmieni, jeśli tak dalej pójdzie, pomyślał smętnie. Pojechał na zachód skromniejszym, ogólnie rzecz biorąc, Goldstone Crescent, wzdłuż którego po obu stronach stały schludne bliźniaki, i skręcił w prawo, w Upper Victoria Avenue.

Nikt właściwie nie wiedział, dlaczego nazywała się Upper, skoro nie było Lower Victoria Avenue. Ich leciwy sąsiad - Len Wainwright, nazywali go z Kellie Żyrafą, gdyż miał ponad dwa metry wzrostu - powiedział im kiedyś przez płot, doznawszy nagłego olśnienia, iż pewnie dlatego, że ulica pnie się dość stromo pod górę. Nie trafił w sedno tym wytłumaczeniem, ale nikt nie zaproponował dotąd lepszego.

Upper Victoria Avenue należała do osiedla, które miało już trzydzieści lat, ale wciąż wyglądało, jakby jeszcze nie osiągnęło dojrzałości. Rosnące tu platany były raczej wyrosniętymi młodymi drzewkami niż drzewami, czerwona cegła dwupiętrowych bliźniaków zachowała żywy kolor, pseudoelżbietańskich drewnianych belek na okładzinach dachów nie zniszczyły jeszcze korniki ani czynniki atmosferyczne. Przy tej cichej ulicy, kończącej się krótkim rzędem sklepów, mieszkali dość młode małżeństwa z dziećmi, poza Lenem i Hildą Wainwrightami. Ci, będąc na emeryturze, przeprowadzili się tu z Birmingham za radą lekarza, który sugerował, iż morskie powietrze dobrze zrobi Hildzie na astmę. Tom uważał, że lepiej by jej zrobiło, gdyby paliła mniej niż czterdzieści fajek dziennie.

Wprowadził audi na ciasny podjazd obok rdzewiejącego espace Kellie, schował komórkę do kieszeni, wziął teczkę, kwiaty i wysiadł.

Kiosk z gazetami po drugiej stronie ulicy był jeszcze otwarty, podobnie jak niewielka siłownia, ale salon fryzjerski, sklep z artykułami żelaznymi i agencja nieruchomości już zakończyły pracę. Nieopodal, na przystanku autobusowym, stały dwie nastolatki wystrojone na wieczorne wyjście, w spódniczkach mini tak krótkich, że niecałkowicie przykrywały pośladki. Czując wyraźne ukłucie żądy, jeszcze przez chwilę gapił się na dziewczyny, omiatając wzrokiem ich gołe nogi z dołu do góry, podczas gdy one paliły na spółkę papierosa.

Najpierw usłyszał skrzypienie drzwi frontowych, a następnie podniesiony głos Kellie: - Tata przyszedł!

Jako specjalista od marketingu Tom dobrze radził sobie z ubieraniem myśli w odpowiednie słowa, jednak wątpił czy umiałby opisać, gdyby ktoś mu kazał, co czuje w takiej chwili, kiedy wieczorem wraca z pracy, witany przez tych, którzy są dla niego całym światem. Był to przyływ radości, dumy, bezgranicznej miłości. Gdyby miał zatrzymać czas w jakiejś chwili swojego życia, wybrałby właśnie taką jak ta: stoi w otwartych drzwiach, dzieci mocno się do niego przytulają, owczarek alzacki Lady trzyma smycz w pysku, wpatruje się z nadzieją, bijąc już łapą o podłogę i wymachuje ogonem rozmiarów gigantycznej sekwoi. Kellie uśmiecha się promiennie.

Stała w drzwiach w dżinsowych ogrodniczkach i białym podkoszulku, z buzią jaśniejącą cudownym uśmiechem, obramowaną płataniną jasnych loków. Wtedy wręczył jej wiązankę różowo-żółto-białych kwiatów.

Zachowała się tak jak zawsze, kiedy dostawała od niego kwiaty: Z błyskiem radości w niebieskich oczach obracała przez chwilę bukiet w rękach, wykrzykując „wow!” jakby były to najpiękniejsze kwiaty, jakie widziała w życiu. Potem przyłożyła je do nosa - tego malutkiego, zadartego noska, który zawsze uwielbiał - i powąchała.

- O, wow! No, nie. Róże! Moje ulubione kwiaty w moich ulubionych kolorach. Jak ty o mnie dbasz, kochanie!

Pocałowała go.

Jej pocałunek był gorętszy niż zwykle. Czyżby się zanosilo na szalony wieczór? Czy też, nie daj Boże, pomyślał, z bijącym niespokojnie sercem, chciała go przygotować na wiadomość o jakimś nowym obłędnym zakupie, którego dokonała dziś na eBayu?

Kiedy wchodził do domu, nic nie powiedziała, a on nie widział nigdzie żadnego pudła, żadnej paki, żadnej skrzyni, żadnego nowego gadżetu czy innego „ustrojstwa”. Dziesięć minut później, gdy już się uwolnił od przeпоconych ciuchów, wykąpał, przebrał w szorty i podkoszulek, jego falujący nastrój odzyskał stabilną, aczkolwiek chwilową, tendencję zwyżkową.

Max, który miał „kładnie” - jak to sam określał - siedem lat, czternaście tygodni i trzy dni, był na etapie Harry'ego Pottera. Był również na etapie gumowych bransoletek i z dumą obnosił białą z napisem: Spraw, aby bieda odeszła w przeszłość oraz czarno-białą, antyrasistowską: Wstań - zabierz głos.

Tom, zadowolony, że Max interesuje się sprawami tego świata, nawet jeśli nie rozumie w pełni haseł, usiadł na krześle przy łóżku synka w pokoiku z jaskrawożółtymi tapetami. Czytał na głos, przedzierając się po raz drugi przez te same książki, a malec, zwinięty w kłębek pod kołdrą z nadrukiem Harry'ego Pottera, spod której wystawała mu tylko głowa ze zmierzwionymi blond włosami, szeroko otwierając wielkie oczy, pochłaniał każdy szczegół.

Czteroletnią Jessikę bolał ząb i w nagłym przypływie złego humoru nie chciała słuchać żadnych bajek. Dochodzące przez ścianę ryki świadczyły, że wszelkie wysiłki Kellie, aby ją uspokoić, nie odnosiły żadnego skutku.

Tom doczytał do końca rozdziału, pocałował synka na dobranoc, podniósł z podłogi wagon ekspresu Hogwartu i postawił go na półce obok PlayStation. Zgasił światło i stojąc w drzwiach, przesłał Maksowi jeszcze jednego całusa. Wchodząc do różowego pokoiku córeczki, sanktuarium świata Barbie, zobaczył wykrzywioną, czerwoną i zalaną łzami, twarzą Jessiki, a Kellie, która próbowała jej czytać „Gruffalo”, bezradnie wzruszyła ramionami.

Przez parę minut starał się uspokoić małą, ale nic to nie dało. Kellie powiedziała, że Jessica ma na rano umówioną wizytę u dentysty.

Ostrożnie przemierzając tor przeszkód pomiędzy dwiema lalkami Barbie a dźwigiem Lego, wycofał się na dół, do kuchni, skąd dochodziły przyjemne zapachy, po drodze o mało się nie przewrócił o trójkołowy rowerek Jessiki. Lady, która na posłaniu obgryzała strzępy mięsa z kości rozmiarów nogi dinozaura, znów z nadzieją podniosła na niego oczy i zachęcająco machnęła ogonem. Potem wyskoczyła z koszyka, przeszła przez jadalnię i położyła się na grzbiecie, cyczkami do góry.

Poczochrał lekko nogą po cycuchach, a zadowolona suczka niemal się uśmiechała, wywiesiwszy język.

- Później, stara dziwko, obiecuję. Spacerek później. Co? Zgoda? - przemawiał pieszczotliwie.

Właśnie wystrój kuchni przekonał Kellie do tego domu. Poprzedni właściciele wydali na nią fortunę, urządzając ją całą w marmurze i matowej stali, a Kellie wciąż wzbogacała ją najprzeróżniejszymi gadżetami, jakie mogły się zmieścić w trzeszczącym limicie karty kredytowej.

Przez okno widział zraszacz bzycający pośrodku prostokątnego ogródka i kosa na trawniku, który stał w strugach wody, unosząc skrzydło i pocierając piórka dziobem. Małe, kolorowe ubranka suszyły się na sznurze. Pod nimi leżała na trawie plastikowa hulajnoga. W niewielkiej szklarni na końcu ogródka rosły pomidory, maliny, truskawki i kabaczki, które sam pielęgnował.

W tym roku po raz pierwszy spróbował coś wyhodować i był niesłychanie dumny z wyników swych starań - na razie. Za płotem podskakiwała długa, smętna twarz Żyrafy. Sąsiad spędzał cały czas na dworze, przystrzygając, przycinając, pieląc, grabiąc, podlewając, skłon i wyprost, pochylał się i wyginał jak stary, kiepsko już działający dźwig.

Tom spojrział na malowane akwarelą i rysowane kredkami obrazki, którymi prawie w całości była pokryta jedna ze ścian,

sprawdzając, czy nie pojawiło się coś nowego. Poza Harrym Potterem Max miał również bzika na punkcie samochodów i w większości jego dzieł plastycznych przewijał się motyw czterech kółek. U Jessiki występowały natomiast dziwne ludziki i dziwne zwierzątka, przy czym zawsze w jakimś miejscu rysowała świecące słoneczko. Zazwyczaj była wesołą dziewczynką, tym bardziej zasmucił się dziś, widząc ją zapłakaną. Nie pojawiło się tego dnia żadne nowe dzieło plastyczne, które mógłby podziwiać.

Zmieszał sobie mocną wódkę Polstar z sokiem żurawinowym, nakruszył dźwignią lodu z dozownika przy ich bajeranckiej amerykańskiej lodówce - kolejnym „okazyjnym” zakupie Kellie - z ekranem telewizyjnym wbudowanym w drzwi, i zaniósł szklankę do salonu. Zastanawiał się chwilę, czy nie przejść do małej oranżerii, na którą właśnie padały promienie słońca, albo nawet usiąść naławeczce w ogrodzie, ale w końcu wybór padł na telewizję.

Wziął pilota i zasiadł w swym wspaniałym fotelu z regulowanym oparciem - kupił go okazji przez internet - mając przed sobą najnowszy ekstrawagancki nabytek Kellie z eBay, ogromny płaskoekranowy telewizor Toshiba. Zajmował pół ściany i pochłaniał połowę jego przychodów, odkąd skończyły się, po upływie roku, „wakacje” ratalne na ten zakup. Musiał jednak przyznać, że wspaniale oglądało się na nim sport. Jak zwykle na ekranie migotał QVC Shopping Channel, a leżąca na kanapie klawiatura Kellie była podłączona.

Przeleciał przez kilka kanałów, w końcu trafił na „Simpsonów” i oglądał film przez chwilę. Zawsze lubił ten serial. Jego faworytem był Homer - świetnie go rozumiał. Cokolwiek by Homer zrobił, świat zawsze walił mu się na głowę.

Popijając drinka, poczuł się dobrze. Uwielbiał ten fotel, uwielbiał ten salon, z częścią jadalną w jednym końcu i dającą wrażenie pleneru oranżerią w drugim. Uwielbiał te zdjęcia Kellie i dzieci spoglądające ze wszystkich stron, oprawione reprodukcje malarstwa

nowoczesnego na ścianach, na jednej był leżak, na drugiej molo Palace Pier - niedrogie obrazy, co do których byli z Kellie rzeczywiście zgodni - i oszkloną szafkę ze skromną kolekcją jego trofeów golfowych i krykietowych.

Dochodzący z góry płacz Jessiki wreszcie ucichł. Tom dopił drinka i robił sobie następnego, kiedy Kellie zeszła do kuchni. Pomimo wyrazu znużenia na twarzy, zera makijażu oraz dwójki dzieci, które urodziła, wciąż była smukła i piękna.

- Co za dzień! - Westchnęła, wznosząc ramiona w dramatycznym geście. - Chyba mnie też dobrze zrobi taki zestaw. Mam ochotę na drinka.

Ucieszył się: kiedy sobie wypija, zawsze zbierało jej się na amory. Przez cały dzień rozpierały go żądze. Obudził się wcześniej, koło szóstej, ze wzrodem, jak prawie każdego ranka, i jak zwykle obróciwszy się na łóżku, objął Kellie nogami, licząc na szybki numerek. I jak zwykle pokrzyżował mu plany odgłos otwierania drzwi i tupot małych nóżek. Coraz bardziej nabierał przekonania, że Kellie ma jakiś tajny guzik alarmowy do ściągania dzieci pędem do sypialni, który naciska przy każdej próbie zainicjowania seksu.

Pomyślał sobie, że w jego życiu rysuje się coraz wyraźniejszy schemat: nielikwidowalne szambo w pracy, narastające długi w domu i permanentny wzwód.

Przyglądając się z podziwem, jak Kellie, która właśnie zamieszała potrawkę z kurczaka, jednocześnie unosi pokrywkę rondla pełnego ziemniaków i sprawdza coś w piekarniku, zabrał się do sporządzania dla niej dużego drinka. Działała w kuchni tak wielozadaniowo, że nawet nie mógł marzyć o tym, żeby kiedykolwiek móc dorównać jej umiejętnościom.

- Jak tam Jess, już lepiej?

- Trochę dziś zgrywa księżniczkę na grochu, i tyle. To nic poważnego. Dałam jej spirynę, trochę uśmierzy ból. Jak ci minął dzień?

- Nawet nie pytaj.

Ujęła jego głowę w dłonie i pocałowała w usta.



- Kiedy ty ostatnio miałeś dobry dzień?  
- Przepraszam, nie chcę biadolić.  
- Opowiedz mi o tym. Jestem twoją żoną; mnie możesz powiedzieć!

Objął ją i ucałował w czoło.

- Przy kolacji. Ślicznie wyglądasz. Z dnia na dzień coraz piękniejsza,

Pokręciła głową, uśmiechając się.

- Ach, wzrok już nie ten. Zdarza się w twoim wieku. - Cofnęła się o krok i pokazała na siebie palcem. - Podobają ci się?

- Co?

- Ogrodniczki.

Znów ogarnęło go przygnębienie.

- Nowe?

- Tak. Dziś nadeszły.

- Nie wyglądają...

- I tak ma być! To Stella McCartney. Super są, co?

- Córka Paula?

- Tak.

- Myślałem, że ciuchy od niej są drogie.

- Zazwyczaj tak. To była okazja.

- Oczywiście.

Dalej przyrządzał jej drinka, nie chcąc dziś żadnej sprzeczki.

- Sprawdzalam w sieci okazjne oferty z biur podróży. Wiem już, kiedy mama i tata mogą wziąć dzieci do siebie: w pierwszym tygodniu lipca. Może być?

Tom sięgnął do kieszeni po palmtopa i sprawdził w kalendarzu.

- W trzecim tygodniu mamy wystawę w Olympii, ale początek lipca pasuje. Wiesz, że to będzie musiało być coś naprawdę taniego. Może byśmy po prostu znaleźli coś w Anglii?

- Ceny w sieci są niebywałe! - wykrzyknęła. - Można spędzić tydzień w Hiszpanii taniej, niż gdybyśmy zostali w kraju! Zobacz sam na paru stronach, wypisałam ci. Rzuć okiem po kolacji. Ta Holly, wiesz, ona mieszka parę domów dalej, ma koleżankę, która znalazła w sieci tydzień na St. Lucii za dwieście pięćdziesiąt funtów.

Karaiby! Czy to nie byłoby wspaniałe?

Odłożył palmtopa, wziął ją w ramiona i pocałował.

- Myślałem, że może dziś wieczór dam komputerowi chwilę wytchnienia... i skoncentruję się na tobie.

Oddała mu pocałunek.

- Wiem, że abstynencja komputerowa może wywołać u ciebie objawy chorobowe. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - A poza tym chciałabym obejrzeć program Jamiego Olivera. Ty go nie znosisz. Będzie ci dużo przyjemniej, jeśli spędzisz pół godziny na górze ze swoją kochaną maszynką.

Podając Kellie drinka, zapytał:

- Dokąd byś najbardziej chciała pojechać, gdyby nas było stać?

- Gdziekolwiek, byle z dala od wrzeszczących bachorów.

- Naprawdę, zostawisz je bez problemu? Nie zmieniłaś zdania?

Na pewno?

Kellie nigdy przedtem nie chciała rozstawać się z dziećmi.

- W tej chwili z przyjemnością bym je sprzedała - odpowiedziała i jednym haustem wychyliła połowę drinka sea breeze.

\*

Godzinę później, parę minut po dziewiątej, Tom wszedł na górę do swojej kanciapy z widokiem na ulicę. Na dworze wciąż było jasno; uwielbiał długie, letnie wieczory, a jeszcze przez parę tygodni będą coraz dłuższe. Naprzeciwko, pomiędzy dwoma dachami domków ze sklepami na dole, widział błękitny trójkącik dalekiego kanału La Manche. Nad dachy wzbilo się stadko szpaków i zniknęło. Przez okno sączył się smakowity zapach - sąsiedzi przyrządzali coś na grillu, aż mu ślinka napłynęła do ust, choć dopiero co zjadł kolację.

W siłowni widział jakiegoś nieszczęśnika ćwiczącego wyciskanie na leżąco i trenera stojącego za nim. Musiał przyznać, że poza krótkimi spacerami z Lady wokół kwartału ulic, od miesiący niewiele się ruszał.

Za dużo służbowych obiadków, za dużo gorzały, no i w rezultacie nie mógł się zmieścić w niektóre ulubione rzeczy. Kellie zawsze mówiła, że to głupota mieszkać naprzeciwko siłowni i nie korzystać z niej. Ale bywanie tam oznaczało kolejny wydatek.

Może by po prostu chodzić z Lady na dłuższe spacery, zwłaszcza teraz, w długie, piękne, letnie wieczory. Albo wrócić do pływania. Golf raz w tygodniu nie wystarczy, by utrzymać dobrą linię; nie znoził widoku mężczyzn z obwisłymi, piwnymi brzuchami, których spotykał w szatni klubu golfowego i wpadał w popłoch na myśl, że jest na dobrej drodze, by wyhodować sobie podobnie okazały. Jakby chciał sam siebie zmobilizować, wygrzmocił się pięściami po brzuchu. Zobaczysz, zrobię z ciebie kaloryferek jeszcze przed wakacjami!

Odprężony, wysączył trzeci kieliszek sauvignon, czując jak troski minionego dnia oddalają się i znikają za przyjemną alkoholową mgiełką. Odstawił kieliszek i zerknął na biurko, gdzie stała kamera internetowa, przez którą od czasu do czasu nawiązywał łączność z zamieszkałym w Australii bratem. Wystukał komendę na klawiaturze laptopa i przebiegł wzrokiem skrzynkę odbiorczą. Prawie od razu natrafił na wiadomość od byłego szefa z Motivation Business, Roba Kempsona, z którym pozostał w przyjaźni.

Tom

Rzuć tylko okiem na te bimbały

Rob

Zamiast kliknąć na załącznik, Tom wyjął z opakowania płytę CD zostawioną w pociągu przez złamasa i włożył ją do laptopa. Program antywirusowy rzucał się przez jakiś czas, lecz kiedy ikonka CD ustabilizowała się na pulpicie, nie ukazała się żadna wskazówka, co do zawartych na płycie treści. Tom kliknął na nią.

Chwilę później obraz zniknął z ekranu. Następnie ukazało się na nim małe okienko z napisem:

Czy ten adres Mac jest poprawny?  
Aby kontynuować, wciśnij TAK. Aby wyjść, wciśnij NIE.

Przypuszczając, że chodzi o typowy problem konwersji z Windows do Apple Mac, Tom kliknął [TAK].

Za moment się ukazał kolejny napis.

Witaj, drogi abonencie. Łączenie w toku.

Następnie pojawiły się słowa:

SCARAB PRZEDSTAWIA

Słowa te zniknęły prawie od razu. Ekran stopniowo się rozjaśnił, ukazując ziarnisty, kolorowy obraz jakiejś sypialni, jakby oglądanej przez kamerę przemysłową.

Sypialnia była spora, wyraźnie damska, z niewielkim, nakrytym koldrą podwójnym łóżkiem, prostą toaletką, podłużnym lustrem w stylowej drewnianej oprawie, rodem z jakiegoś zakładu krawieckiego, drewnianą komodą, paroma puszystymi dywanikami na podłodze i zasuniętymi wertikalami. Na ścianach wisiało kilka czarno-białych aktów Helmuta Newtona. Naprzeciwko łóżka stała duża lustrzana szafa z podwójnymi drzwiami, a w niej odbijały się drzwi prowadzące przypuszczalnie na korytarz.

Z łazienki wyszła, poprawiając ubranie, młoda, smukła kobieta, i z pewną nerwowością spojrzała na zegarek. Elegancka i urodziwa, z długimi, jasnymi włosami, miała na sobie seksowną czarną sukienkę i pojedynczy sznur pereł wokół szyi, a w rękę trzymała torebkę wizytową; wyglądała tak, jakby wybierała się na przyjęcie. Trochę przypominała Tomowi Gwyneth Paltrow, przez chwilę nawet wydawało mu się, że to właśnie ona; potem odwróciła głowę i zobaczył, że jednak nie, choć była do niej podobna.

Przysiadła na brzegu łóżka i ku zaskoczeniu Toma zrzuciła szpilki; pomyślał, że kobieta chyba nie ma pojęcia o obecności kamery. Potem wstała i zaczęła rozpinać sukienkę.

Po chwili drzwi sypialni za plecami dziewczyny otworzyły się i wszedł niski, potężnie zbudowany mężczyzna, ubrany na czarno, z twarzą osłoniętą kominiarką. Zamknął drzwi dłonią w rękawiczce. Dziewczyna albo nie usłyszała jego wejścia, albo zignorowała osobnika. Podczas gdy powoli się do niej zbliżał, zdejmowała naszyjnik z pereł.

Przybysz wyciągnął spod skórzanej kurtki coś, co błysnęło w świetle lamp, a Tom aż wychylił się do przodu, kiedy zobaczył, co to jest: sztylet o długim ostrzu.

Mężczyzna dwoma susami dopadł do niej, zarzucił jej jedno ramię na szyję i wbił sztylet pomiędzy łopatki. Tom wpatrywał się jak urzeczony w dziewczynę, która dławiąc się w szoku, chwyciła gwałtownie powietrze. Porażony surrealizmem sytuacji nie był pewny, czy to wszystko jest grą, czy też się dzieje naprawdę. Mężczyzna wyciągnął z jej ciała ostrze, pokryte czymś, co wyglądało jak krew. Wbijał w nią nóż raz po raz, a z ran tryskała krew.

Kobieta osunęła się na podłogę. Mężczyzna przyklęknął, rozdarł jej sukienkę, przeciął nożem stanik, ściągnął go i brutalnie przewrócił dziewczynę na wznak. Gałki oczu były wywrócone, duże piersi opadły na boki. Jednym ruchem rozciął czarne rajstopy, ściągnął je z niej, spoglądał przez parę chwil z góry na jej obnażone, doskonale piękne ciało, po czym zatopił nóż w brzuchu kobiety, tuż nad przystrzyżonymi na brazylijską modłę włosami na łonie.

Tom patrzył na to z odrazą, chciał opuścić stronę, tylko że nie pozwalała mu ciekawość. Czy dziewczyna grała, czy nóż był tylko rekwizytem, czy ciecz rozlewająca się po brzuchu, była imitacją krwi? Mężczyzna wciąż na nowo, w bestialskim amoku, zatapiał w kobiecie nóż.

Tom wzdrygnął się na odgłos otwieranych za jego plecami drzwi.

Obrócił się na fotelu i zobaczył Kellie, stojącą w progu z kieliszkiem wina, nieźle wstawioną.

- I co, kochanie, znalazłeś dla nas coś fajnego? - spytała.

Obrócił się z powrotem na fotelu i zatrzasnął pokrywę laptopa, zanim zdołała zobaczyć, co jest na ekranie.

- Nie - odrzekł drżącym głosem. - Nie, nic, ja...

Otoczyła go ramionami, wylewając przy tym trochę wina na laptopa.

- Uuups... Pszfraszam!

Przetarł pokrywę chusteczką do nosa. Kellie wsunęła mu wolną rękę pod koszulę, drażniąc sutek.

- Stwierdzam, że dość już na dziś pracy. Chodź do łóżka.

- Pięć minut - poprosił. - Daj mi pięć minut.

- Mogę już szpać za pięć minut.

Odwrócił się i pocałował ją.

- Dwie minuty, co?

- Minuta!

- Nie wyprowadziłem Lady.

- Była na długim spacerze po południu. Nic jej nie będzie, już ją wypuściłam.

Uśmiechnął się.

- Minuta?

Uniosła ostrzegawczo palec.

- Pó!

Gdy tylko zamknęła drzwi, otworzył pokrywę laptopa i uderzył w pierwszy lepszy klawisz, żeby go obudzić. Na ekranie ukazały się słowa:

Brak prawa dostępu. Połączenie zostało przerwane.

Przez chwilę siedział i myślał. Co to mogło być, u diabła? Pewnie zwiastun jakiegoś filmu. Tak, na pewno. Drzwi otworzyły się ponownie i Kellie powiedziała:

- Piętnaście sekund. Bo zacznę bez ciebie.

## ROZDZIAŁ 5

To był najpiękniejszy prezent urodzinowy w jej życiu, na przestrzeni całych tych pięćdziesięciu dwóch lat. Żaden z wcześniejszych nawet się do niego nie umywał. Ani sportowe auto MG przewiązane różową wstążką, które Don podarował jej na czterdzieste (na taki samochód tak naprawdę nie było go stać), ani srebrny zegarek Cartier, który dostała na pięćdziesiąte (na takie cacko także nie było go stać) ani piękna bransoleta, ofiarowana wczoraj na pięćdziesiąte drugie.

Ani tygodniowy pobyt w ośrodku odnowy biologicznej Grayshott Hall, który ufundowali jej synowie Julius i Oliver. Było fantastycznie, ale czy oni uważają, że ona jest za gruba, czy co?

Nieważne. Hilary Dupont była teraz ponad to, niesiona jak na skrzydłach całym swym siedemdziesięciosześcioletnim jestestwem. Od drzwi domu uszczęśliwiona kobieta pobrząkiwała smyczą Nera i przemawiała z mocą do samej siebie:

- Torebce, panie Worthing? Damskiej torebce?

Peacehaven, podmiejska dzielnica, w której mieszkała Hilary, było częścią bezładnej zabudowy miejskiej na wschodnich peryferiach Brighton, rozległym osiedlem mieszkalnym, poprzecinanym kratownicą ulic, gęsto zabudowanym bungalowami i bliźniakami postawionymi po drugiej wojnie światowej, rozciągającym się od nadmorskiej trasy biegnącej wzdłuż krawędzi klifu, po obrzeża wiejskiego w charakterze pasma kredowego South Downs.

Tylko jeden rząd domów oddzielał ulicę, przy której mieszkała Hilary, od rozległej połaci pól uprawnych. Gdyby ktoś z sąsiadów tuż przed dziesiątą wyjrzał przypadkiem przez okno w ten pochmurny czerwcowy poranek, zobaczyłby tęgawą, lecz nad wyraz urodziwą blondynkę w koszuli narzuconej na trykot w grochy, obutą w zielone gumki, gestykulującą i mówiącą do siebie. Jej śladem podążał zygzakami od latarni do latarni, obsikując każdą z nich, spasiony czarny labrador.

Przy końcu ulicy skręciła w lewo na zaokrągleniu drogi, z obawą obserwując psa, gdy z rykiem przejechała obok niego furgonetka dostawcza z podwójnymi szybami. Idąc dalej Hilary przecięła ulicę, podeszła do furty, przez którą wychodziło się na pole jaskrawożółtego rzepaku, i stentorowym głosem, mogącym bez mikrofonu uciszyć cały stadion Wembley, zawołała na Nera, bowiem pies wyraźnie miał zamiar zrobić kupę na czyimś podjeździe:

- Nero! Ani mi się waź! Chodź tu!

Pies uniósł głowę, zobaczył otwartą furkę, radośnie pokłusował w jej stronę, wypadł w podskokach na zewnątrz i pędząc pod górę, momentalnie zniknął w rzepaku.

Zamknęła za sobą furkę, po czym raz jeszcze powtórzyła:

- Torebce, panie Worthing? Damskiej torebce?

Cała promieniała, cała płonęła, zadzwoniła już do Davida, Sidonie, Juliusa, Olivera i swojej matki, by im przekazać tę nowinę, tę fantastyczną nowinę, najlepszą nowinę, jaką kiedykolwiek miała do przekazania: o tym, że zadzwonili do niej, przed zaledwie półgodziną, z Southern Arts Dramatic Society, i powiedzieli, że otrzymała rolę Lady Brackwell\*, jedną z głównych! Gwiazdorską!

\* Lady Brackwell - postać z komedii Oscara Wilde'a „Bądźmy poważni na serio”.  
(Przyp. tłum.).

Po dwudziestu pięciu latach występów w przedstawieniach amatorskich, głównie z Brighton Little Theatre Group, gdy nie traciła nadziei, że ktoś ją w końcu odkryje, wreszcie w jej życiu



nastąpił prawdziwy przełom! Southern Arts Dramatic Society, zespół półprofesjonalny, co roku w lecie wystawiał jakąś sztukę pod gołym niebem, najpierw na wałach zamku Lewes, a potem wyruszał z nią w objazd całej Wielkiej Brytanii, z południa na północ i z powrotem aż po Konwalię. Wyrobili sobie markę; spektakle były recenzowane w prasie; nie ma siły, żeby nie została zauważona! Nie ma siły!

Tylko że, na Boga, znów dopadała ją trema. Grała w tej sztuce przed rokiem, mniejszą rolę. Pamiętała jeszcze urywki tekstu.

Idąc zamaszystym krokiem pod górę wzdłuż pola, wyrzucała przed siebie ramiona i wygłaszała podniesionym głosem najbardziej według niej dramatyczną i zabawną kwestię z tej sztuki:

- Torebce, panie Worthing? Znaleziono pana w damskiej torebce?

Samolot pasażerski kołował nisko nad jej głową, zajmując pozycję przed podejściem do lądowania w Gatwick, więc musiała mówić jeszcze głośniej, żeby się słyszeć.

- Torebce, panie Worthing? Znaleziono pana w damskiej torebce?

- Torebce, panie Worthing? Pana znaleziono w damskiej torebce?

Szła dalej, powtarzając tę kwestię wciąż od nowa, za każdym razem z inną modulacją głosu, i zastanawiając się, do kogo by tu jeszcze zadzwonić z tą nowiną. Tylko sześć tygodni do premiery, mało czasu. Boże, tyle do nauczania!

Nagle ogarnęły ją wątpliwości. A jeśli to nie na jej siły?

Jeśli oniemieje albo zagotuje się przed taką wielką publicznością? To będzie koniec, koniec wszystkiego!

Nic nie będzie, da sobie radę. Przecież aktorstwo ma we krwi. Rodzice jej matki byli artystami rewiowymi, zanim przeszli na emeryturę i kupili hotelik nad morzem w Brighton.

Gdy wspięła się na szczyt wzniesienia i ujrzała przed sobą następne, które rysowało się w odległości półtora kilometra, a przed nim ciągnącą się we wszystkie strony otwartą przestrzeń pól,

gdzieniegdzie przeciętą tylko przez samotne drzewo czy ogrodzenie z siatki, na próżno wypatrywała Nera. Wiał silny wiatr, pod którym ugiął się rzepak i długie, zielone źdźbła pszenicy. Złożyła dłonie wokół ust i krzyknęła:

- Nero! Chodź tu, piesku! Nero!

Po chwili rzepak zafalował i coś zaczęło się przez niego przedziierać zakosami - wyglądało na to, że Nero nie umie nawet biec po linii prostej. W końcu wypadł z ukrycia i podbiegł do niej w podskokach, trzymając w pysku coś białego, dyndającego.

Królik, pomyślała w pierwszej chwili, w nadziei, że może przynajmniej biedactwo nie żyje. Nie znosiła, kiedy, co robił z upodobaniem, przynosił żywe, wijące się i piszczące z przerażenia ranne zwierzę i z plaśnięciem rzucał jej do stóp.

- No, co tam masz, piesku? Zostaw! Zostaw!

A kiedy Nero rozwarł szczęki, Hilary też szczęka opadła.

Dreszcz przebiegał przez całe jej ciało, gdy w zdenerwowaniu postąpiła krok do przodu, by spojrzeć z góry na to osobliwe znalezisko.

Zaczęła krzyżeć.

## ROZDZIAŁ 6

Roy Grace nie lubił występować na konferencjach prasowych. Miał jednak świadomość, że policja jest służbą publiczną opłacaną przez społeczeństwo, wobec czego społeczeństwo ma prawo do informacji. Nie znosił natomiast sposobu, w jaki najchętniej przedstawiali wszystko dziennikarze. Nie dbali o rzetelność przekazu, musieli się troszczyć o sprzedaż swoich gazet, zwiększenie oglądalności programów, starali się więc przyciągać czytelników, widzów, słuchaczy. Chodziło im o to, żeby wyciągać informacje i przerabiać je na tematy, im bardziej sensacyjne, tym lepiej.

A jeśli nic nie nadawało się na news, to zawsze przecież można przyłożyć policji. Mało co tak przykuwało uwagę obywateli jak zapaszek policyjnego niedbalstwa, rasizmu czy brutalności. W ostatnich latach konikiem stały się nieudane pościgi samochodowe, zwłaszcza wypadki, w których z powodu brawury policyjnych kierowców odnosili obrażenia lub ginęli ludzie.

Tak jak wczoraj, kiedy ściągano dwóch podejrzanych, uciekających skradzionym samochodem. Zwalili się z mostu do rzeki i utonęli.

Co było powodem, dla którego Roy Grace stał teraz w sali odpraw przed ustawionymi w czworokąt podłużnymi stołami, za którymi zabrakło już krzeseł dla dziennikarzy, mając za plecami elegancko wygiętą tablicę z artystyczną kompozycją: pięć odznak

policyjnych na granatowym tle, pod każdą wyeksponowany adres [www.crimestoppers.co.uk](http://www.crimestoppers.co.uk).

Tłoczyło się tu co najmniej czterdziestu przedstawicieli mediów - reporterów z gazet, radia i telewizji, fotografów, operatorów i dźwiękowców - w większości były to znane mu twarze. Zauważył paru młodzików zatrudnionych w lokalnych gazetach i współpracujących z prasą ogólnokrajową w nadziei, że nadejdzie ich wielka chwila, oraz kilku starych, znużonych już zawodem, którzy jak najszybciej chcieliby stąd wyjść i udać się do pubu.

Obok Roya bardziej po to, by zademonstrować, iż policja traktuje sprawę poważnie, niż żeby służyć jakimś informacjami, stała podinspektor Alison Vosper, urodziwa, lecz surowa z wyglądu czterdziestoczteroletnia blondynka o krótko przyciętych włosach, która znalazła się w zastępstwie inspektora Jima Bowena - nieobecnego z racji uczestniczenia w innej konferencji - oraz bezpośredniego zwierzchnika Grace'a, nadkomisarza Gary'ego Westona.

Z Westonem, wyluzowanym, obdarzonym charyzmatycznym wdziękiem trzydziestodwuletnim z Manchesteru, Grace zakolegował się jeszcze w czasach, gdy obaj byli krawężnikami, i do dziś pozostali w przyjacielskich stosunkach. Gary, tylko o miesiąc starszy od Roya, bawił się wprawdzie w politykę, pielęgnował przyjaźnię z wpływowymi ludźmi, zmierzając konsekwentnie do tego, żeby się dochrapać stanowiska inspektora- a przy jego zdolnościach, kto wie czy nawet nie szefa policji metropolitalnej- myślał często Grace z odcieniem podziwu, ale bez zawiści.

Z właściwym sobie politycznym sprytem Gary Weston obarczył odpowiedzialnością za dzisiejszą konferencję Roya Grace'a, aby się przekonać, czy komisarz pograży się jeszcze bardziej w grząskiej, brunatnej materii, w której tkwił po uszy.

Do głosu dorwała się młoda, jędzowata reporterka, nieznana żadnemu z obecnych policjantów.

- Panie komisarzu, doszło do wypadku samochodowego w Newhaven, w którym ranna została kobieta, następnie w wypadku

na obwodnicy wokół Brighton obrażenia odniósł starszy pan, a w parę minut później nastąpiła kraksa, ucierpiał funkcjonariusz policji, spadając z motocykla. Czy mógłby pan wyjaśnić powody, dla których zezwolił pan na kontynuowanie pościgu?

- Do wypadku w Newhaven doszło jeszcze przed podjęciem przez policję pościgu - zaczął Grace, starannie dobierając słowa. - Bezpośrednio po wypadku sprawcy ukradli land-rovera. W tunelu staranowali osobową toyotę, prowadzoną przez starszego pana i uprowadzili jego pojazd. Wiedzieliśmy, że przynajmniej jeden ze sprawców jest uzbrojony, niebezpieczny dla otoczenia i życie niewinnego obywatela zależy od tego, czy uda nam się ich powstrzymać. Uznałem, że większym zagrożeniem dla bezpieczeństwa publicznego byłoby, gdybyśmy pozwolili im uciec, i właśnie dlatego podjąłem decyzję o kontynuowaniu akcji.

- Mimo że zakończyła się śmiercią tych ludzi? - dopytywała się.

Jej ton rozwścieczył go. Z trudem się powstrzymał, żeby nie zakląć w odpowiedzi, nie powiedzieć jej, że ci dwaj, którzy zginęli, to potwory, że ich utonięcie w brudnej rzece było lepszym zadośćuczynieniem dla wszystkich pokrzywdzonych przez nich ludzi i tych, których zabili, niż gdyby otrzymali łagodny wyrok z rąk jakiegoś liberalnego sędziego o miękkim sercu. Ale musiał uważać, żeby nie podrzucić dziennikarzom żadnego sformułowania, które mogłoby wykorzystać jako sensacyjny nagłówek.

- Przyczyna ich śmierci jest przedmiotem dochodzenia i zostanie ustalona we właściwym czasie - odparł ze spokojem zupełnie nieprzystającym do tego, co czuł.

Ta odpowiedź wywołała pomruk niezadowolenia, łopot uniesionych w górę rąk i lawinę pytań zadanych jednocześnie. Grace rzucił okiem na zegar i stwierdziwszy z ulgą, że wskazówka minutowa przesunęła się do przodu, pozostał nieugięty.

- Przepraszam bardzo, ale dziś już nie możemy poświęcić państwu więcej czasu.

Biuro Grace'a, niemal fabrycznie nowe, mieściło się w niedawno odremontowanym dwupiętrowym budynku w stylu art deco, zbudowanym w latach pięćdziesiątych z przeznaczeniem na szpital chorób zakaźnych. Obecnie znalazła tu siedzibę komenda policji hrabstwa Sussex. Grace wszedł do środka i rozsiadł się w fotelu. Jak prawie każdy element wyposażenia pokoju, fotel zdawał się dopiero co wyjęty z opakowania, i na razie nie dawał wrażenia czegoś dobrze znanego, zapewniającego poczucie komfortu.

Zakreślił się w fotelu, bawiąc dźwigniami, ale wciąż nie mógł się przyzwyczaić do nowego pomieszczenia. Bardziej lubił swoje stare biuro w komendzie w Brighton. Pokój był większy, meble poobijane, ale budynek stał w śródmieściu i miał swój klimat. Ten znajdował się na przemysłowych peryferiach miasta i wiało od niego chłodem. Nie miał duszy. Ciągące się kilometrami ciche, świeżo pomalowane korytarze z nowiutką wykładziną podłogową, dziesiątki biur pełnych nowych mebli - i ani jednej kantyny! Nie ma gdzie się napić kawy, nie licząc kuchenki i cholernego automatu. Nie ma nawet gdzie kupić sandwicha - trzeba przechodzić na drugą stronę ulicy do hipermarketu Asda. To tyle, jeśli chodzi o wyobraźnię projektantów.

Przez chwilę patrzył z czułością na cenną kolekcję trzech tuzinów zapalniczek retro, pochylonych rzędem na półce pomiędzy biurkiem a oknem, i pomyślał smętnie, że od wielu tygodni praca nie pozwoliła mu oddawać się jednej z ulubionych rozrywek - którą dawniej dzielił z Sandy, a teraz znajdował w niej pocieszenie - buszowaniu po pchlich targach i giełdach staroci w poszukiwaniu starych gadżetów.

Na ścianie za jego plecami dominował duży, okrągły, drewniany zegar, ongiś element dekoracji fikcyjnego komisariatu w serialu „The Bill”, który w szczęśliwszych czasach Sandy kupiła mu na aukcji w prezencie na dwudzieste szóste urodziny.

Pod zegarem wisiała oszklona gablotka z prawie trzypółkilogramowym pstrągiem potokowym, którego złowił na straganie przy Portobello Road. Nieprzypadkowo znalazł się właśnie pod zegarem - pozwalało to Royowi odwoływać się do starego, wyświechtanego dowcipu, kiedy mówił nowym detektywom o cierpliwości i grubych rybach.

Resztę powierzchni biura zajmowały telewizor z odtwarzaczem wideo, okrągły stół, cztery krzesła, segregatory i papiery leżące luzem na podłodze, torba podręczna z jego osobistym zestawem do badań miejsca zbrodni i stosy spiętrzonych teczek.

Każdy segregator oznaczał jedno morderstwo, którego sprawcy dotąd nie wykryto. Zapatrzył się na zieloną kopertę, jej róg ginął w cieniu rzuconym przez pęk włosia z wykładziny dywanowej. Zawierała spis około dwudziestu pudeł z aktami - jedne piętrzyły się na podłodze, inne prawie wypadały z szafy, a jeszcze inne porastały pleśnią, zamknięte w wilgotnym garażu komisariatu rejonowego właściwego dla miejsca zbrodni. Wszystko to były akta otwartej wciąż sprawy zabójstwa weterynarza, geja nazwiskiem Richard Ventnor, który przed dwunastu laty został śmiertelnie pobity w swojej przychodni.

W aktach znajdowały się fotografie wykonane na miejscu zbrodni, ekspertyzy z zakładu medycyny sądowej, materiał dowodowy opakowany w woreczki foliowe, zeznania świadków, kopie dokumentów - wszystko porządnie podzielone na pakiety przewiązane kolorową wstążką. To należało do jego obecnych obowiązków, szperanie w niewyjaśnionych sprawach morderstw z całego hrabstwa, współdziałanie z terenowymi jednostkami dochodzeniowymi, w których rejonach dokonano zbrodni, sprawdzanie, czy w późniejszych latach nie zdarzyło się nic, co by uzasadniało ponowne otwarcie sprawy.

W większości znał zawartość akt na pamięć - wrodzona łatwość zapamiętywania pozwalała mu śpiewająco zdawać wszystkie egzaminy, zarówno w szkole, jak i w policji. Poszczególne akta oznaczały dla niego nie tylko odebrane ludzkie życie - i wciąż

pozostającego na wolności zabójcę - symbolizowały jeszcze coś bardzo bliskiego jego sercu. Oznaczały rodzinę, która nie może się odebrać od przeszłości, ponieważ tajemnica pozostała nierozwikłana i sprawiedliwości nie stało się zadość. Wiedział też, że w wypadku niektórych akt, liczących sobie ponad trzydzieści lat, on jest chyba jedyną nadzieją dla ofiar i ich rodzin. Aktualnie tylko w jednej sprawie mógł odnotować jakiś postęp. W sprawie Tommy'ego Lytle'a.

Była to najstarsza z uspiionych spraw Grace'a. Dwadzieścia siedem lat temu jedenastoletni Tommy wyszedł pewnego lutowego popołudnia ze szkoły i udał się pieszo do domu. Od tego czasu nikt go już nie widział. Jedynym tropem w tamtym czasie była furgonetka Morris, widziana przez świadka, który przytomnie zapisał numery. Nigdy jednak nie udało się znaleźć dowodów łączących zaginięcie chłopca z właścicielem samochodu, zdziwaczalnym samotnikiem, karanym już za czyny lubieżne wobec nieletnich. I oto dwa miesiące temu, przypadkowo, radary Grace'a znów namierzyły ową furgonetkę, kiedy jej obecny właściciel, miłośnik starych samochodów, został zatrzymany za jazdę po pijanemu.

W ciągu minionych dwudziestu siedmiu lat nastąpił skokowy postęp w kryminalistyce. Mając do dyspozycji testy DNA, specjaliści nie bez podstaw przechwalali się, że jeśli dana osoba przebywała kiedykolwiek w danym pomieszczeniu, nie ma znaczenia kiedy to było - wystarczy dać im czas, a na pewno zdołają dowieść jej obecności. Wystarczy choćby jedna komórka naskórka, której nie pochłonął odkurzacz, albo włos, albo włókno z ubrania. Może to być coś sto razy mniejsze od łebka szpilki. To już będzie ślad.

I oto mieli furgonetkę.

A podejrzany wciąż jeszcze żył.

Specjaliści badali całą furgonetkę pod mikroskopem, lecz na razie, jak podano w raporcie z laboratorium, który Grace ku swemu rozczarowaniu przeczytał wczoraj wieczorem w domu, nie znaleźli nic, co by łączyło samochód z ofiarą. Ekipa kryminalistyczna



znalazła wprawdzie ludzki włos, ale DNA nie pasowało.

Grace był przekonany, że w końcu przecież coś znajdą w tym cholernym samochodzie, choćby mu przyszło osobiście rozłożyć całą furgonetkę na części pincetą, milimetr po milimetrze. Łyknął wody mineralnej z butelki, krzywiąc się na jej smak - czy raczej brak smaku - czystą, lekko metaliczną nijakość tego czegoś, co miało mu pomóc odzwyczaić się od kawy, której zwykle wypijał kilka litrów dziennie. Następnie, zakręcając nakrętkę, spojrzął na nadciągające deszczowe chmury, gęste jak lój, zawieszony tuż nad szarą płytą dachu stojącej po drugiej stronie ulicy Asdy. Źle wróżyły.

Nazajutrz, w czwartek, był umówiony z dziewczyną - i to nie tak, jak ostatnio, kiedy spotkał się z jakąś porąbaną wampirzycą, poznaną przez agencję internetową - tym razem wchodziła w grę prawdziwa randka, z piękną dziewczyną. Nie mógł się jej doczekać, a jednocześnie miał wielką tremę. Zastanawiał się, co na siebie włożyć, dokąd ją zabrać, o czym z nią rozmawiać.

Czuł niepokój, wracając we wspomnieniach do Sandy. Ciekawe, co by sobie pomyślała, wiedząc, że umawia się z inną kobietą. Absurdalne jest snucie takich rozważań po prawie dziewięciu latach, zdawał sobie z tego sprawę, ale nie mógł się uwolnić od przeszłości. Bardzo chciałby wiedzieć, gdzie Sandy teraz jest, co się z nią stało. Czy żyje.

Ściskając w rękę plastikową butelkę eviana pociągnął jeszcze jeden długi łyk i spojrzął na ekran komputera, a potem na stos dzisiejszych gazet na brzegu biurka. Na wierzchu leżał lokalny dziennik „Argus”, który krzychał tytułem na pierwszej stronie: „Dwie osoby zabite w policyjnym pościgu”.

Zrzucił gazety na podłogę i przejrzał najnowszy zalew e-maili. Dopiero dochodził do wprawy w posługiwaniu się zainstalowanym ostatnio w systemie nowym oprogramowaniem Vantage, dużo prostszym w obsłudze niż dotychczas używany w policji GreenScreen. Zajrzał do bieżących raportów, żeby sprawdzić, co się wydarzyło w nocy - od tego zwykle zaczynał dzień, lecz dziś musiał

się najpierw przygotować do konferencji prasowej.

W dzienniku raportów nic nie odbiegało od normy, zwykle pokłósie nocy i poranka w dzień roboczy. Kilka rozbojów, włamań, kradzieży samochodów, napad na całodobowy sklep spożywczy, bójka w pubie, awantura rodzinna, parę wypadków drogowych - bez ofiar śmiertelnych - wezwanie na pola uprawne w okolicach Peacehaven w celu zbadania podejrzanego obiektu. Żadnych większych incydentów, żadnej poważnej zbrodni, nic, co by przykuło jego uwagę.

No dobra. Prawie cały zeszyły tydzień nie było go w pracy, nie licząc paru godzin, które musiał poświęcić na przygotowanie się w związku z trwającym procesem sądowym miejscowego opryska. Teraz potrzebował paru dni, by podgonić papierkową robotę.

Podłączył do komputera osobisty przenośny komunikator mailowy Blackberry i zajrzał do terminarza. Nadal nic tam nie było. Jego sekretarka, Eleanor Hodgson - czyli asystentka kadry zarządzającej, jak kazało ją teraz tytułować politbiuro politycznej poprawności - odwołała mu wszystkie spotkania, żeby mógł się skoncentrować na sprawie i procesie. Ale lada chwila terminarz się zapelni, pomyślał z żalem.

Usłyszał pukanie, drzwi się otworzyły i weszła Eleanor. Sztywna i spięta, pięćdziesięcioiuśletnia, uosabiała zdaniem Grace'a typ prawdziwej Angielki; wyobrażał sobie, że takie damy można spotkać na herbatce u pastora - choć prawdę mówiąc, sam nigdy w czymś takim nie uczestniczył. Pracowała dla niego już trzy lata, niemniej była wciąż tak samo grzeczna i odrobinę oficjalna, jakby się obawiała, że może go coś wyprowadzić z równowagi, a czym - nie miał pojęcia.

Stała, trzymając w ręku pęk gazet, z ramieniem wyciągniętym na całą długość; najwyraźniej uznała, że mogą brudzić.

- O, Roy - odezwała się. - Mam tu późniejsze wydania niektórych porannych gazet; pomyślałam, że może zechcesz je zobaczyć.

- Jest coś nowego?

- Więcej tego samego. „Guardian” cytuje Julię Drake z komisji skarg na działanie policji.

- Przypuszczałem, że nie trzeba będzie długo czekać. Głupia krowa, myśli, że zjadła wszystkie rozumy.

Eleanor wzdygnęła się, słysząc ten epitet, po czym uśmiechnęła się niepewnie.

- Zdaje się, że wszyscy są teraz na ciebie trochę cięci.

Zerknął na nijaką wodę mineralną i nagle zapragnął kawy. I papierosa. I drinka. Zbliżało się południe. Zwykle unikał picia przed wieczorem, ale czuł, że dziś złamie tę zasadę. Komisja skarg. Fantastycznie. Ile godzin z życia mu oni pochłoną w najbliższych miesiącach? To, że się włączy w sprawę, było nie do uniknięcia, wiedział o tym, ale teraz, gdy to się potwierdziło, wszystko nagle zdawało się wyglądać gorzej.

Zadzwonił telefon. Odebrał go w obecności Eleanor i usłyszał wyraźny manchesterski akcent nadkomisarza.

- Dobra robota, Roy - powiedział Gary Weston tonem, którym jeszcze bardziej niż zwykle akcentował, że jest zwierzchnikiem Grace'a. - Dobrze sobie poradziłeś.

- Dzięki. Teraz będziemy mieli do czynienia z komisją.

- Poradzimy sobie z nimi. Masz czas o trzeciej?

- Tak.

- Przyjdź do mnie do biura, popracujemy nad raportem dla nich.

Grace podziękował. Gdy tylko odłożył słuchawkę, telefon zadzwonił ponownie. Tym razem to była centrala. Cywilna dyspozytorka nazwiskiem Betty Mallet, pracująca tam, odkąd sięgał pamięć, zapytała:

- Halo, Roy, jak leci?

- Bywało lepiej - odparł.

- Przyszło wezwanie z wydziału kryminalnego w Peacehaven. Pilnie potrzebują wyższego rangą detektywa do czynności dochodzeniowych w terenie; masz czas?

Grace jęknął bezgłośnie. Nie mogła zadzwonić do kogoś innego?

- Możesz mi coś o tym powiedzieć?
- Pewna mieszkanka Peacehaven poszła na spacer z psem na pola w stronę wsi Piddinghoe. Pies wybiegł do przodu i powrócił z ludzką ręką w pysku. Grupa dochodzeniowa pojechała tam z psami tropiącymi i znalazła inne części ludzkiego ciała - zdaje się, że bardzo świeże.

Jak wszyscy detektywi, Grace miał w pogotowiu skórzaną torbę zawierającą kombinezon ochronny, kalosze, rękawice, latarkę i inne podstawowe elementy zestawu do badań miejsca zbrodni.

- Dobra - powiedział, spoglądając z rezygnacją na stojącą na podłodze torbę. Tego mu tylko brakowało, akurat teraz.
- Gdzie to dokładnie jest? Będę tam za dwadzieścia minut.

## ROZDZIAŁ 7

Śmiali się z niego, gdy szedł ulicą. Synoptyk wyczuwał to podskórnie, jak niektórzy wyczuwają chłód lub wilgoć w kościach. Właśnie dlatego unikał kontaktu wzrokowego z ludźmi.

Wyczuwał, że wszyscy się zatrzymują, przyglądają, odwracają, pokazują palcem, szepczą, ale nie przejmował się. Przywykł do tego; śmiali się z niego przez całe życie, a już na pewno tak długo, jak sięgał pamięcią w swój dwudziestoosmioletni pobyt na tej konkretnej planecie. Był prawie pewien, że na poprzedniej planecie sprawy miały się inaczej, tylko że Oni zablokowali mu dostęp do tych wspomnień.

- Akweny Viking, Utsira Północna, Utsira Południowa, południowo-zachodni cztery do pięciu, od czasu do czasu skręcający na północno-zachodni pięć do siedmiu - mówił, idąc, sam do siebie, oburzony, że na wezwanie musiał wyjść z pracy i zrezygnować z przerwy na lunch. - Viking porywisty osiem, przelotne, zanikające opady. Widoczność umiarkowana lub dobra. Akwen Forties sztorm cykloniczny pięć do siedmiu, przechodzący w północno-zachodni siedem i porywisty dziewięć, skręcający później na południowo-zachodni cztery do pięciu. Opady przelotne, w późniejszych godzinach ciągłe. Umiarkowana lub dobra.

Mówił szybko, nie myśląc tak naprawdę o prognozie, mając głowę zajęta przegryzaniem się przez algorytmy nowego programu, który projektował w pracy. Dzięki niemu pół obecnego systemu

będzie można wyrzucić na śmietnik, a są tacy, których to wkurzy. A przede wszystkim właśnie oni nie powinni byli wydawać pieniędzy podatników na gówniany sprzęt, jeśli się na tym nie znają.

Życie jest krzywą uczenia się - trzeba zrozumieć, jak się z nim uporać. Dobrze to ujął Q ze „Star Treku”: „Jeśli się boisz rozkwasić sobie nos, to może lepiej wracaj do domu i wczółgaj się pod łóżko. Tu, w kosmosie, nie jest bezpiecznie. Jest cudownie, są tu skarby, mogące zaspokoić wszelkie pragnienia, bardziej czy mniej wyrafinowane. Ale to nie miejsce dla lękliwych”.

Człowiek, Który Nie Znał Co Znaczy Łęk, podążał swoją drogą. Maszerował pod górę przez tłum kłębiący się w porze lunchu na North Street w Brighton, mijając warsztat blacharski, Woolwich Building Society, następnie salon optyczny Spec-Savers. Chudy, o ziemistej cerze, miał niezgrabne ciało, nieforemną fryzurę i brwi ściągnięte w zacieklej koncentracji za niemodnie wielkimi okularami. Ubrany w płowy skafander, białą nylonową koszulę włożoną na siatkowy podkoszulek, szare flanelowe spodnie i wegańskie sandały, niósł na ramionach mały plecak, w którym spoczywał laptop i walówka na lunch. Stawiając stopy do siebie, szedł sprężystym krokiem, pochylony, z determinacją, jakby się zmagał z tym swoim stale narastającym wiatrem południowo-zachodnim, wiejącym od kanału. Mimo że miał już swoje lata, można by go wziąć za bezczelnego nastolatka.

- Akweny Cromarty, Czwarty, Tyne, Dogger, wiatry północno-zachodnie siedem, w porywach do dziewięciu, skręcające na południowo-zachodnie cztery do pięciu, później w porywach do sześciu. Opady przelotne, w późniejszych godzinach przechodzące w ciągłe. Widoczność umiarkowana lub dobra.

Recytował nieprzerwanie na głos aktualną prognozę pogody dla żeglugi w rejonie Wysp Brytyjskich, nadaną dziś rano o godzinie piątej pięćdziesiąt pięć czasu Greenwich. Uczyl się ich na pamięć, cztery razy na dobę, przez siedem dni w tygodniu, od dziesiątego

roku życia. Był to, jak się przekonał, najlepszy sposób na dotarcie z punktu A do punktu B - wystarczyło przez całą drogę recytować prognozę pogody dla żeglugi, by żar ludzkich spojrzeń nie poparzył mu skóry.

Taki sposób okazał się równie skuteczny na to, żeby dzieci w szkole nie wyśmiewały się z niego. No i był przydatny dla tych, którzy chcieli poznać prognozę pogody dla żeglugi - nie do wiary, jak często interesowała uczniów szkoły w Mile Oak - zawsze miał ją na podorędziu.

Informacja.

Informacja jest monetą obiegową. Po co komu pieniądze, jeśli dysponuje informacją? Rzecz w tym, że większość ludzi to dupy. Prawie pod każdym względem. Dlatego właśnie nie zostali wybrani.

Jego nauczycielami byli rodzice. Niewiele im w zasadzie zawdzięczał, ale uświadomili mu pewne rzeczy. Przez lata wbijali do głowy. Wyjątkowy. Wybrany przez Boga. Ten, który ma być zbawiony.

No, nie do końca mieli rację. Ale już dawno dał sobie spokój z próbami wytłumaczenia im tego, że to właściwie nie był Bóg. Szkoda zachodu.

Minął salon gier automatycznych, potem przy Wieży Zegarowej skręcił w lewo w West Street i schodząc nią w stronę morza, minął księgarnię Waterstone'a, chińską restaurację, i biuro FlightCentre. Po paru minutach przeszedł przez drzwi obrotowe we wspaniałej, utrzymanej w stylu regencji fasadzie Grand Hotelu i znalazłszy się w holu, podszedł do recepcji.

Młoda kobieta w ciemnym kostiumie, z przypiętą do klapy złotą plakietką, na której wygrawerowane było jej imię: Arlene, przyglądała mu się przez chwilę niepewnie, po czym obdarzyła go uprzejmym uśmiechem.

- Czym mogę służyć? - zapytała.

Ze spojrzeniem wbitym w drewniany blat, unikając kontaktu wzrokowego, skoncentrował się na plastikowym pojemniku z formularzami zgłoszeniowymi American Express.

- Hmm... No. Aha. - Nic odrywał oczu od formularzy. Teraz, kiedy już tu był, czuł jeszcze głębsze oburzenie niż do tej pory. - Można wiedzieć, w którym pokoju mieszka pan Smith?

Kobieta sprawdzała coś na ekranie komputera.

- Pan Jonas Smith? - upewniła się.

- Hmm... Tak.

- Jest pan umówiony?

O tak, umówiony jak skurwysyn.

- Hmm, tak.

- Zechce pan podać swoje nazwisko? Zatelefonuję do jego pokoju.

- ... John Frost.

- Momencik, panie Frost. - Podniosła słuchawkę i wybrała numer. Po paru chwilach przekazała informację: - Na recepcji czeka pan John Frost. Czy mam go skierować na górę? - Nastąpiła krótka pauza, po której kobieta powiedziała: - Dziękuję - i odłożyła słuchawkę. Spojrzała na Synoptyka. - Pokój siedemset czternaście, na siódmym piętrze.

Wpatrzony w formularze American Express, przygryzł dolną wargę, kiwnął głową i mruknął: - Aha, tak.

Pojechał windą na siódme piętro, przeszedł korytarzem i zastukał do drzwi.

Po chwili otworzył je Albańczyk, który naprawdę nazywał się Mic Luvic, lecz Synoptyk musiał go nazywać Mickiem Brownem - wszystko to w ramach idiotycznej, jego zdaniem, gry, w której wszyscy oni, włącznie z nim, musieli się posługiwać przybranymi nazwiskami.

Albańczyk był muskularnym mężczyzną po trzydziestce, z wyrazem buty zastygłym na twarzy pod nażelowanymi kolcami krótkich, jasnych włosów. Nosił czarną podkoszulkę ze złotymi zdobieniami, czarne spodnie, białe mokasyny i na szyi ciężki złoty łańcuch. Potężne, nagie ramiona i przedramiona miał pokryte tatuażami, a w ustach miesił gumę drobnymi, ostrymi siekaczami, które przywodziły Synoptykowi na myśl piranię, widzianą przez niego kiedyś w miejscowym oceanarium.



Synoptyk, nie odrywając wzroku od bladozielonkawej wykładziny dywanowej, powiedział:

- No cześć. Ja do pana Smitha.

Albańczyk, który zanim znalazł tę ciepłą posadkę, zarabiał na życie nielegalnym boksem na gołe pięści i walkami w klatce, przyglądał mu się w milczeniu przez parę sekund, nieustannie żując, po czym gestem dał znak, by wszedł do przestronnego, cuchnącego dymem z cygar apartamentu, luksusowo umeblowanego podróbkami antyków w stylu regencji, i od razu zamknął za nim drzwi. Ruchem głowy wskazał Synoptykowi otwarte drzwi do kolejnego pomieszczenia, a potem się odwrócił, majestatycznym krokiem przeszedł przez pokój, zasiadł w fotelu i powrócił do oglądania meczu piłkarskiego w telewizji.

Synoptyk już kilkakrotnie miał styczność z Albańczykiem, ale jeszcze nie słyszał, żeby ten coś powiedział. Czasami przychodziło mu do głowy, że może Albańczyk jest głuchoniemy, lecz uznał to za mało prawdopodobne. Gdy, jak mu kazano, przeszedł przez drzwi, znalazł się w o wiele większym pokoju, gdzie na środku stała kanapa, a na niej siedział opasyły pan Smith, odwrócony plecami do drzwi balkonowych z widokiem na morze. Wpatrzony w ekrany ustawionych na stoliku czterech monitorów komputerowych, obgryzał paznokcie, jakby to była kość z kureczaka.

Hawajska koszula rozpięta do pępka odsłaniała fałdy bezwłosego, bladego ciała, co dawało wrażenie, że pan Smith ma biust. Granatowe spodnie miał rozciągnięte przy kostkach krótkich nóg, nieróżniących się grubością od pnia średniej wielkości dorodnego drzewa. Natomiast malutkie stopki, w opatrzonych monogramem aksamitnych kapciach od Gucciego, były filigranowe jak nóżki lalki, a głowa, w koafiurze nieskazitelnie srebrnych, falistych włosów zebranych z tyłu w krótką kitkę, była jeszcze bardziej nieproporcjonalna, jakby należała do kogoś mniejszego o dwadzieścia rozmiarów. Miał tyle podródków, że dopóki nie otworzył maleńkich usteczek, uruchamiając przy tym mięśnie wokół

nich, Synoptyk nie wiedział, gdzie się kończyła twarz grubasa, a zaczynała szyja.

- Zjesz lunch, John? - zapytał Jonas Smith, z silnym luizjańskim akcentem, głosem, w którym nie było krzty ciepła. Wskazał świńskim palcem, ze skórą wokół paznokcia obgryzioną miejscami do żywego mięsa, na wózek hotelowy, zastawiony talerzami kanapek i potrawami w aluminiowych pojemnikach.

- Właściwie to mam własnego sandwicza - odparł Synoptyk, wciąż ze wzrokiem utkwionym w bładozielonkawej wykładzinie.

- Aha. Chcesz drinka? Zamów sobie drinka i siadaj.

- Dziękuję. Drinka mi, hm... nie trzeba. Ja, hmm...

- No to, kurwa, siadaj.

Synoptyk zawahał się, ale powściągnął gniew i podszedł do najbliższego krzesła.

Grubas powrócił do obgryzania paznokci, nie odrywając małych świńskich oczek od Synoptyka, który odpiął plecak i przysiadł na brzegu krzesła, uważnie lustrując włosie wykładziny, jakby doszukiwał się tam nieistniejącego wzoru.

- Coli? Napijesz się coli?

- Właściwie... - Spojrzał na zegarek. - Muszę wrócić do pracy przed drugą.

- Wrócisz, kurwa, wtedy, kiedy ja ci powiem.

Synoptyk był głodny. Myślał o sandwiczu z tofu i kielkami. Włożył kanapkę do plastikowego pudełka, które miał w plecaku. Problem polegał na tym, że nie lubił jeść przy ludziach. Wziął głęboki wdech i przymknął oczy, co pomogło mu opanować złość.

- Akweny Fisher, Zatoka Niemiecka, południowo-zachodni cztery do pięciu, skręcający na północno-zachodni sześć, w porywach do ośmiu. Opady przelotne. Umiarkowana lub dobra.

Kiedy ponownie otworzył oczy, zauważył na stole przy kanapie szklaną popielniczkę, w której spoczywało wygasłe, do połowy wypalone cygaro.

- Co to jest? - spytał pan Smith. - Co ty mi tu mówisz?

- Prognoza pogody dla żeglugi. Może się przydać.

Amerykanin, który naprawdę nazywał się Carl Venner, popatrzył na tego szajbusa, wiedząc doskonale, że jest on na wpół geniuszem, na wpół kimś, kto ma nierówno zdefragmentowany twardy dysk. Nabzdyczony idiotuńcio z poważnymi trudnościami w kontaktach z ludźmi. Wiedział, jak sobie z tym poradzić, miał już w życiu do czynienia z gorszym syfem. W tej chwili szajbus był użyteczny, a kiedy już przestanie być użyteczny, nikt nie będzie za nim tęsknić.

- Jestem ci wdzięczny, że się zjawileś tak szybko - zaczął Venner, a jego usta ułożyły się na chwilę w uśmiech, choć w głosie nie wyczuwało się żadnego ocieplenia.

- Hmm... no tak.

- Mamy problem, John.

Synoptyk kiwnął głową.

- Aha, no?

Nastała długa cisza. Poczul za plecami czyjąś obecność, a kiedy się odwrócił, zobaczył Albańczyka, który wszedł do pokoju, stanął w drzwiach i skrzyżowawszy ramiona, przyglądał mu się w milczeniu. Towarzyszyli mu dwaj mężczyźni stojący po bokach. Synoptyk wiedział, że obaj są Rosjanami, choć nigdy ich nie poznał.

Przy każdym jego spotkaniu z Vennerem materializowali się, jakby wychodzili wprost ze ścian, jednak nie umiał ich sobie wpasować w swój obraz sprawy. Poważni, szczupli, o ostrych rysach i wymyślnych fryzurach, ubrani w eleganckie garnitury; jacyś współpracownicy w interesach. Kiedy się pojawiali, zawsze czuł się nieswojo.

- Mówiłeś, że na naszą stronę nie można się włamać - odezwał się w końcu pan Smith. - Może więc wyjaśnisz panu Brownowi i mnie, jak to się stało, że wczoraj wieczorem ktoś się na nią włamał?

- Mamy pięć ścian zaporowych. Nikt się do nas nie włamie. W ciągu dwóch minut przyszło do mnie automatyczne ostrzeżenie, że dostał się tam ktoś bez prawa dostępu i rozłączyłem go.

- A w jaki sposób się tam dostał?

- Nie wiem, pracuję nad tym. A przynajmniej - dodał nadąsanym tonem - pracowałem, dopóki mi pan nie przerwał, wzywając tu. Mógł to być incydentalny błąd programu.

- Przez jedenaście lat byłem szefem sieciowego nadzoru na Europę w amerykańskim wywiadzie wojskowym, John. Umiem odróżnić incydentalny błąd programu od śladów włamania. Tu widzę ślady włamania. No chodź, popatrz. - Wskazał na jeden z monitorów.

Synoptyk obszedł je dookoła, zanim stanął przed ekranami. Z góry na dół i od lewej do prawej przebiegały przez nie niezliczone ciągi kodów cyfrowych. Wśród nich pewna grupa znaków mrugała. Przez chwilę studiował ten ekran, po czym uważnie obejrzał pozostałe i powrócił do niego.

- To może mieć wiele różnych przyczyn.

- Może - zgodził się Amerykanin ze zniecierpliwieniem. - Ale już je wyeliminowałem. Co sprawia, że pozostaje tylko jedna możliwość: ktoś bezprawnie wszedł w posiadanie abonenckiej płyty CD. A ty musisz nam podać nazwisko i adres abonenta, który ją zgubił, i osoby, która ją znalazła.

- Mogę panu podać ID abonenta, znajdzie się w szczegółach logowania. Osoba, która znalazła płytę... To już nie będzie takie proste.

- Jeśli on potrafił znaleźć nas, ty potrafisz znaleźć jego. - Pan Smith złożył dłonie, a jego usta rozchyliły się w mięsistym uśmiechu. - Masz takie możliwości. Skorzystaj z nich.

## ROZDZIAŁ 8

Roy Grace, w białym papierowym kombinezonie ochronnym i ochronnych kaloszach, stał na błotnistym polu, gdzie rzepak sięgał mu po pas. Przez chwilę przyglądał się mrówce, która niezmordowanie wspinała się po grzbiecie kobiecej dłoni leżącej pomiędzy łodygami jaskrawożółtych roślin.

Pochylił się, odgonił muchę plujkę i powąchał rękę. Nie miała żadnego zapachu, co oznaczało, że musi być świeża - przy wysokich temperaturach, które panowały tego lata, nie utrzymałaby się w takim stanie więcej niż dobę.

Przed laty, kiedy jako początkujący detektyw po raz pierwszy był na miejscu zbrodni - na cmentarzu przykościelnym w centrum Brighton, gdzie znaleziono zwłoki zgwałconej i uduszonej dziewczyny - podeszła do niego młoda, atrakcyjna, rudowłosa dziennikarka z „Argusa”, która nie odstępowała policyjnego kordonu. Zapytała, czy odczuwa jakieś emocje, mając do czynienia z morderstwem, czy też jest to dla niego po prostu praca, taka jak każda inna.

Mimo że był wówczas w szczęśliwym związku z Sandy, podszyta flirtem rozmowa z dziennikarką sprawiała mu przyjemność i nie chciał się przed nią przyznać, że po raz pierwszy w swojej pracy miał do czynienia z morderstwem. Więc, zgrywając się na macho, powiedział jej, że owszem, to jest praca, tylko praca, że podchodzi do spraw na chłodno i tak właśnie sobie radzi z makabrą na miejscach zbrodni.

Teraz wracał myślami do tamtej chwili.

Do tamtej kłamiwej fanfaronady.

Prawda była taka, że dzień, w którym zjawiając się na miejscu zbrodni, pomyślałby tylko, że ma pewną robotę do wykonania, dzień, w którym nie przejąłby się losem ofiary, byłby ostatnim dniem jego pracy w policji. Na razie ten dzień wciąż zdawał się bardzo odległy. Może kiedyś w końcu stanie się z nim to, co stało się z jego tatą, czy z wieloma starymi wyjadaczami policyjnymi, ale teraz przepełniały go te same uczucia, których doznawał za każdym razem, będąc na miejscu zbrodni.

Zawsze towarzyszy mu obawa przed tym, co zobaczy, i wielki ciężar odpowiedzialności, która spadała na jego barki jako prowadzącego dochodzenie - świadomość, że ofiara, kimkolwiek była, miała rodziców, może rodzeństwo, może męża czy kochanka, może dzieci. Ktoś z jej najbliższych będzie musiał zidentyfikować zwłoki, a wszystkie te osoby wstrząśnięte i pogrążone w żalu, należy przesłuchać, żeby wykluczyć z kręgu podejrzanych.

Dłoń była ładna, o długich palcach z wypielęgnowanymi paznokciami; jaskraworóżowy lakier ostro kontrastował ze skórą, która przybrała barwę alabastru, z wyjątkiem długiego pasma skrzepłej krwi w rozcięciu od nasady kciuka do nadgarstka. Wyglądało to na ranę odniesioną przy próbie obrony. Zastanawiał się, kim była ta kobieta, jaka była, jak do tego doszło.

W śledztwach dotyczących morderstw kluczową rolę odgrywały pierwsze dwadzieścia cztery godziny. Po tym czasie dochodzenie stawało się coraz bardziej powolne i żmudne. Teraz musi dla tego śledztwa odłożyć prawie wszystkie inne sprawy. Musi poznać tyle szczegółów z życia i śmierci ofiary, ile tylko się da wydobyć z jej ciała, jej mieszkania, jej rzeczy osobistych, od jej rodziny i znajomych. Niewykluczone, że w końcu będzie wiedział o niej więcej niż ci, którzy ją znali za życia.

Śledztwo będzie inwazyjne i chwilami brutalne. Już sama śmierć dość dokładnie odarła tę kobietę z godności ludzkiej, ale to było nic

w porównaniu z badaniami kryminalistycznymi. A na dodatek ta stale dręcząca myśl, że a nuż - a nuż! - dusza zamordowanej obserwuje jego poczynania.

- Przypuszczalnie ręka leżała o, tam, Roy. - Stał przy nim zwalisty Bill Barley, aspirant z komendy rejonowej East Downs, który wydawał się jeszcze bardziej zwalisty w wydymającym się na wietrze białym kombinezonie. Palcem w lateksowej rękawiczce wskazywał w głąb pola, na starannie ogrodzone miejsce, w którym kilku członków ekipy kryminalistycznej w pośpiechu wznosiło kwadratowy biały namiot.

Na skraju pola, gdzie zaparkował, Grace dostrzegł jeszcze jeden pojazd, który dołączał właśnie do skupiska stojących tam oznaczonych i nieoznaczonych wozów policyjnych, furgonetki przewodnika psa, furgonetki fotografa - wysoką, kwadratową sylwetkę zbliżonego rozmiarami do ciężarówki wozu do zadań specjalnych, przy którym wszystko inne wydawało się małe.

Nie pojawiła się jeszcze czarna furgonetka koronera. Nie powiadomiono też prasy, ale przybycia pierwszego reportera można było się spodziewać lada chwila. Jak muchy plujki.

Barley, stary wyjadacz, po pięćdziesiątce, miał szorstki akcent z Sussex i rumianą twarz naznaczoną popękanyimi żyłkami. Z godną podziwu szybkością zabezpieczył teren. Najgorszym koszmarem byłoby przybycie na miejsce zbrodni, gdzie niedoświadczeni policjanci wdeptali już w ziemię wszystkie dowody. Tu aspirant zapomniał nad sytuacją.

Barley opakował rękę w mocną folię, Grace poszedł za nim, ostrożnie stąpając po jego śladach, żeby jak najmniej naruszyć grunt, co parę chwil zerkał na policyjnego wilczura, który w pewnej odległości od nich sadił przez rzepak pełnymi gracji susami, aż doszli do miejsca, gdzie leżał, tworząc niewielkie wgniecenie w rzepaku, duży, pognieciony, czarny worek na śmieci, furkocząc na wietrze strzępami podartego plastiku, a nad nim krążyło kilka much plujek.

Grace przywitał się skinieniem głowy z Joe Tindallem, członkiem ekipy kryminalistycznej, którego dobrze znał. Przed czterdziestką

Tindall wyglądał jak szalony naukowiec, ze strzechą szorstkich włosów i okularami jak denka od szampana, ale przeszedł przemianę, odkąd się zakochał w dużo młodszej dziewczynie. Teraz pod białym skafandrem z kapturem obnosił całkowicie ogoloną głowę; miał półcentymetrowej szerokości pionowy pasek bródki biegnący od środka dolnej wargi do środka podbródka i modne, prostokątne okulary z niebieskimi szklami. Wyglądał bardziej na dilerę narkotyków niż na kryminalistycznego specę.

- Cześć, Roy. - Tindall przywitał się z nim swym zwykłym sarkastycznym tonem. - Witamy w programie „Tysiąc i jeden sposobów wykorzystania worka na śmieci w środowy poranek w Peacehaven”.

- Wracasz z zakupów, co? - Grace wskazała głową czarny plastik.

- Nie uwierzysz, co dziś można kupić za punkty Nectar. - Tindall przyklęknął i bardzo ostrożnie otworzył worek.

Roy Grace służył w policji od dziewiętnastu lat, z czego przez piętnaście ostatnich prowadził śledztwa w sprawach poważnych przestępstw, najczęściej morderstw. Choć każda śmierć poruszała go, już niewiele było takich rzeczy, które by mogły go zszokować. Jednak gdy zobaczył zawartość czarnego worka na śmieci, przeżył wstrząs.

W worku znajdował się tułów najwyraźniej młodej, zgrabnej kobiety, pokryty skrzepniętą krwią, która tak zlepiała włosy łonowe, że nie dało się rozpoznać ich koloru; skóra nosiła ślady przebijania jakimś ostrym narzędziem, pewnie nożem. Głowy nie było. Jedną ręką i obie nogi leżały w worku obok tułowia.

- Jezu. - Grace westchnął ciężko. Nawet Tindalla opuścił dobry humor.

- Co za sukinsyn.

- Wciąż nie ma głowy?

- Szukają.

- Wezwano lekarza sądowego?



Tindall odpędził machnięciem ręki kilka plujek. Zaraz przyleciały następne i Grace odgonił je gniewnym ruchem. Muchy plujki wyczuwały zapach rozkładającego się ludzkiego ciała na odległość kilku kilometrów. Bez hermetycznie zamykanego pojemnika nie sposób było uchronić przed nimi zwłok. Czasem jednak okazywały się przydatne. Plujki składały jaja, z których wykluwały się larwy, przybierające później postać czerwi, a następnie much. Proces ten trwał tylko parę dni. W przypadkach, gdy ciało znajdowano dopiero po kilku tygodniach, można było ustalić z grubsza datę śmierci na podstawie liczby pokoleń larw owadów żerujących na zwłokach.

- Rozumiem, że ktoś wezwał lekarza sądowego, Joe?

Tindall kiwnął głową.

- Bill dzwonił.

- Nadiushkę? - spytał Grace z nadzieją.

Było dwoje oficjalnych lekarzy sądowych, których zwykle delegowano na miejsca zbrodni w tym rejonie, ponieważ w miarę blisko mieszkali. Ulubienicą policjantów stała się Nadiushka De Sancha, posągowa Hiszpanka wywodząca się z rosyjskiej arystokracji, żona wielkiej sławy brytyjskiego chirurga plastycznego. Cieszyła się popularnością nie tylko ze względu na to, że była dobra w tym, co robiła i wyjątkowo uczynna, ale także dlatego, że przepięknie wyglądała. Choć dawno przekroczyła czterdziestkę, spokojnie można by jej dać dziesięć lat mniej; mówiono nawet, że jest dobrym przykładem nadzwyczajnych umiejętności męża - a dodatkową pożywką dla spekulacji było to, że zawsze, zimą i latem, nosiła sweterki z golfem.

- Nie, na jej szczęście: Nadiushka nie lubi wielokrotnie poprzebijanych ciał. Doktora Theobalda. W drodze jest też patolog policyjny.

- Aha. - Grace starał się nie dać po sobie poznać rozczarowania. Żaden lekarz sądowy nie lubił wielokrotnie poprzebijanych ciał, gdyż każdą ranę należało dokładnie zmierzyć. Nadiushka De Sancha była prześliczna i miło się z nią pracowało - niepozobawiona kokieteryi, miała ogromne poczucie humoru, a robota paliła jej się w rękach.

Natomiast Frazer Theobald w powszechnym odczuciu był mniej więcej tak miły w obejściu jak trupy, które badał. I powolny. Przeróżnie powolny. Ale robił swoje bardzo skrupulatnie, pracował bez zarzutu.

Właśnie Grace dojrzał kątem oka jego drobną postać, całą w biele. Szedł w ich stronę zamaszystym krokiem z rękami zaciśniętymi na wielkiej torbie; nieznacznie tylko wynurzała się z ładu rzepaku okryta kapturem głowa.

- Dzień dobry wszystkim. - Patolog wymienił z nimi uścisk dłoni, nie zdejmując lateksowych rękawiczek.

Doktor Frazer Theobald miał pięćdziesiąt parę lat. Mocno zbudowany mężczyzna wzrostu ciut poniżej metra pięćdziesięciu siedmiu, o świdrujących, orzechowych oczach, nosił wąsik à la Adolf Hitler pod nochem o kształcie concorde'a i niechlujną strzechę przetartych, szorstkich włosów. Wystarczyłoby mu wielkie cygaro i niewiele więcej, by mógł się wybrać na bal kostiumowy jako całkiem do przyjęcia Groucho Marx. Grace wątpił jednak, czy Theobald należał do ludzi, którym by kiedykolwiek przyszło do głowy, żeby wziąć udział w czymś tak niepoważnym jak bal kostiumowy. O prywatnym życiu patologa wiedział tylko tyle, że ma żonę, która wykłada mikrobiologię, a jego główną formą relaksu jest samotne żeglowanie na jolce.

- A zatem, panie komisarzu - odezwał się doktor Theobald, kierując wzrok najpierw na targany wiatrem worek na śmieci, w którym spoczywały zwłoki, potem na ziemię wokół niego - może mnie pan wprowadzić w temat?

- Tak, panie doktorze. - Zawsze przez pierwsze pół godziny rozmowa z lekarzem sądowym miała charakter oficjalny. - Jak na razie mamy ten oto okaleczony tułów, zdaje się młodej kobiety, z wieloma ranami klutymi. - Grace, jakby oczekując potwierdzenia swych słów, spojrzął na Barleya, oddając mu głos.

- Policja z East Downs została powiadomiona dziś rano telefonicznie przez pewną kobietę, która spacerowała tu z psem - relacjonował aspirant. - Pies znalazł ludzką rękę, którą kobieta pozostawiła na miejscu. - Barley wskazał palcem. - Otoczyłem taśmą cały teren,

a przeszukanie z psem policyjnym doprowadziło do odnalezienia zwłok; nic nie ruszałem, tylko bardziej otworzyłem worek.

- Głowy nie ma?

- Na razie nie.

Patolog przyklęknął, postawił torbę i ostrożnie odwijając worek, przez dłuższy czas przyglądał się zwłokom w milczeniu.

- Potrzebne są nam natychmiast odciski palców i testy DNA, żebyśmy mogli spróbować ustalić tożsamość - odezwał się Grace. Spojrzał przez pole na widoczne w dole domki, stojące rzędem wzdłuż ulic. A za nimi, w odległości paru kilometrów, widać było szare wody kanału La Manche, zlewające się z szarością nieba.

- Musimy również przepytać tutejszych mieszkańców - mówił zwracając się do aspiranta - dom po domu, czy nie widzieli w tych dniach czegoś podejrzanego. I czy w tej okolicy ktoś nie zaginął. Jeśli nie, rozszerzymy to na całe Brighton, a potem całe hrabstwo Sussex. Są tu gdzieś jakieś kamery przemysłowe, Bill?

- Tylko w paru sklepach i kilku firmach.

- Dopilnuj, żeby wiedzieli: mają zachować wszystkie zapisy z ostatnich siedmiu dni.

- Już się robi.

Wskazując ruchem głowy na ziemię, Grace zapytał:

- Masz jakiś pomysł, skąd się tu wzięły zwłoki? Może ślady opon?

- Mamy ślady stóp. Jakies wzmocnione buty na grubej podszwie, sądząc po wzorze bieżnika. Ślady są głębokie; wygląda na to, że ją niósł.

Wskazał na wąski pas gleby i rzepaku pomiędzy dwiema wstęgami policyjnej taśmy rozciągniętymi w głąb pola.

Torba Theobalda była już otwarta, a on uważnie oglądał odciętą zakrwawioną rękę.

Kim ona jest? - rozmyślał Grace. Dlaczego ją zamordowano? Skąd się tu wzięła? Ogarniała go wściekłość.

Był w nim gniew, ale nie tylko.

Ta straszna świadomość, której nigdy nie chciał stawić czoła: taki sam los, jak tę dziewczynę, spotkał być może jego żonę. Przed dziewięciu laty Sandy zniknęła z powierzchni ziemi, ślad po niej zaginął. Być może zamordowano ją i porzucono gdzieś zwłoki. Zabito i bestialsko pokawałkowano. Jeśli ktoś chciałby pozbyć się ciała, tak żeby nikt nigdy go nie znalazł, nie prostszego - są tysiące sposobów.

I to właśnie go dręczyło. Ktoś zadał sobie tyle trudu, pokroił dziewczynę na kawałki i usunął głowę. Ale gdyby zwyrodnialec chciał utrudnić identyfikację, obciąłby również dłonie. Dlaczego tego nie zrobił?

Dlaczego porzucono zwłoki tu, na środku pola, gdzie wiadomo było, że zostaną szybko znalezione? Zamiast zakopać choćby w płytkim grobie?

Czyżby dlatego - zastanawiał się - że morderca chciał, żeby je znaleziono?

## ROZDZIAŁ 9

Kellie ubrana w fioletowy kostium do joggingu, kuciała na podłodze w salonie, trzymając klawiaturę na kolanach i chrupała w zapamiętaniu chipsy Pringles o smaku soli z octem. Może nie najzdrowszy to lunch, ale chipsy były dietetyczne - nie zaszkodzą figurze.

Zalogowana na stronie, popatrzyła na fioletową kryształową bransoletę od Swarovskiego, po czym kliknęła dwa razy, by powiększyć obraz. Z nieczystym sumieniem wyobraziła sobie, jak by pasowała do stroju, który miała na sobie. Biżuteria od Swarovskiego zdecydowanie miała klasę; uwielbiała takie rzeczy. Sugerowana cena sto pięćdziesiąt dwa funty, natomiast najwyższa dotychczasowa oferta to tylko dziesięć funtów siedemdziesiąt pięć pensów. A pozostały zaledwie trzy godziny i czterdzieści dwie minuty aukcji!

To tak jakby nic! Wprowadziła ofertę na dwanaście funtów. Z pewnością nie spowoduje znaczącego uszczerbku w domowym budżecie - a gdyby udało jej się kupić bransoletę za zbliżoną cenę, przecież za parę tygodni będzie mogła wystawić ją znów na aukcję, za wyższą cenę, i nieźle na tym zarobić!

Obserwowała ekran jeszcze parę minut i nie pojawiła się żadna nowa oferta. Dobra nasza. Sięgnęła ręką po butelkę smirnoffa - tę z tajnego zapasu, który ukrywała przed Tomem w sypialni, w głębi szuflady z bielizną - odkręciła nakrętkę i pociągnęła ociupinkę. To dopiero trzeci łyk tego ranka, usprawiedliwiała się, nie bacząc na

fakt, że była to nowa butelka, teraz już w jednej trzeciej opróżniona.

Na zewnątrz lało jak z cebra. Do pokoju wbiegła Lady, trzymając w pysku smycz, zadarła głowę i zaskomlała.

- Chcesz na spacer, kochanie, prawda? Musisz poczekać, aż deszcz osłabnie, dobrze?

Pies znów zaskomlał, głośniej.

Odstawiła butelkę i uniosła rękę. Lady otarła się o nią nosem, a potem przewróciła się na grzbiet.

- Typowa z ciebie kobieta, co? - wymamrotała Kellie, czując jak miły rausz przegania jej południową chandré. - Tylko byś chciała, żeby ci pieścić cycki.

Chwilę głąskała sukę po brzuchu, po czym objęła ją ramieniem za kark i pocałowała w głowę, wdychając mocny, ciepły, futrzany zapach zwierzęcia.

- Kocham cię, Lady.

Słyszac jakiś hałas na zewnątrz, Lady nagle zerwała się, warknęła, i pomknęła do holu. Szczeknęła, a za moment Kellie usłyszała łomot drzwiczek dla psa w kuchni, gdy suka wypadła do ogrodu, niewątpliwie po to, by pogonić jakiegoś ptaka, który śmiał wylądować na trawniku.

Wciąż nikt nie przebił jej oferty na eBayu.

Kiedyś dobrze opanuje licytowanie w sieci. Parę tygodni temu w „Daily Mail” był artykuł - wycięła go i zachowała - o ludziach, którzy zbili majątek, sprzedając różne rzeczy na eBayu. Próbowała wytłumaczyć Tomowi - tylko że on, zdaje się, nie zrozumiał - iż stara się na swój sposób zarobić dla nich jakieś pieniądze. Co prawda na razie szło jej kiepsko. Ale będzie lepiej: wyrobi się.

Spojrzała znów na butelkę. Jeszcze tylko jeden, ostatni mały łyk?

Zamknęła oczy i zamyśliła się. Co ze mną jest nie tak, do cholery? Z moim życiem? Może to jakieś do dupy geny?

Pomyślała o rodzicach. Ojciec, ten uwielbiany przez nią marzyciel, nie opuszczał teraz domu, mając zaawansowanego parkinsona

w wieku zaledwie pięćdziesięciu ośmiu lat. Pamiętała z dzieciństwa, ilu różnych przedsięwzięć biznesowych próbował bez powodzenia. Był taksówkarzem w Brighton i założył własne biuro wynajmu limuzyn. Firma upadła. Zakupił franczyzę na sprzedaż napoju zdrowotnego, która miała im przynieść fortunę. Stracili przez nią dom.

Matka uzupełniała domowy budżet, pracując przez długie godziny na lotnisku Gatwick przy promocji perfum w sklepie wolnocłowym, dopóki nie musiała się zwolnić, żeby zaopiekować się ojcem. Mieszkali teraz, w nieustannym strachu przed wandalami, włamywaczami i bandytami, w mieszkaniu komunalnym w Whitehawk, najbardziej zakazanym osiedlu w Brighton. Dwa dni temu, kiedy pojechała ich odwiedzić, zostawiła swojego starego espace'a na ulicy tylko na godzinę. Skradziono jej kołpaki.

Wróciła myślami do dnia, kiedy poznała Toma - na dwudziestych pierwszych urodzinach koleżanki ze studium nauczycielskiego w Brighton. Był podobny do jej ojca - takiego, jakim chciała go pamiętać, tego młodego mężczyzny o chłopięcej urodzie, obdarzonego ogromnym wdziękiem, pełnego pasji i entuzjazmu. Tom miał takie wspaniałe wizje, niesamowite plany, przy czym, w odróżnieniu od jej ojca, dokładnie je przemyślał. Zamierzał zdobyć doświadczenie, pracując dla jednej z odnoszących największe sukcesy firm marketingowych, a następnie założyć własną.

I uwierzyła w niego. Wydawało się niemożliwe, żeby Tomowi się nie powiodło. Wszyscy znajomi Kellie z miejsca go polubili. Jej rodzice uwielbiali go. Ona zakochała się w nim jeszcze tego wieczoru. Po dwóch dniach poszli do łóżka w jego maleńkim mieszkaniu na parterze, nieopodal bulwaru nadmorskiego w Hove, przy odtwarzanej godzinami, w kółko, płycie Scotta Joplina. Od tego czasu prawie żadnej nocy nie spędzili osobno.

Pierwsze lata małżeństwa były cudowne. Tom otworzył własną firmę, która szybko chwyciła wiatr w żagle. Przeprowadzili się do

większego mieszkania, a potem do tego domu. Zaczęło się psuć, kiedy rzuciła pracę nauczycielki w szkole podstawowej, na krótko przed narodzinami Makska. Ogarnęła ją nuda, a potem dopadła na długo depresja poporodowa. Trudno znosiła siedzenie całymi dniami w domu z dzieckiem, podczas gdy Tom wyjeżdżał wcześniej rano do Londynu i wracał późno, zwykle nie mając już sił na rozmowę. Obiecywał, że to nie będzie trwało wiecznie. Musiał tylko zainwestować trochę czasu w ich wspólną przyszłość.

Potem urodziła się Jessica. I znów historia się powtórzyła: samotna codzienność stała się udręką. Z tą różnicą, że interesy Toma szły teraz gorzej. Wracał z pracy jeszcze później i rozmawiał z nią mniej. Odprowadzała synka do szkoły, poznała parę nowych koleżanek. Wszystkie zdawały się mieć mężów, którym się dobrze powodziło, świetne ciuchy, fajne auta, eleganckie domy, cudowne wakacje.

Ta cała sprawa z eBayem, dla Toma zupełnie nie do pojęcia, zaczęła się dlatego, że próbowała mu pomóc. No tak, niektóre rzeczy kupowała co prawda dla siebie, ale w większości zakupy były okazyjne, czynione z myślą o odsprzedaży z zyskiem.

Tylko że nigdy nie dostała na nie oferty choćby zbliżonej do ceny, którą zapłaciła.

Miała jeszcze jeden powód - czego nie mogła Tomowi powiedzieć - by wydawać tyle pieniędzy na eBayu oraz w teleskopie na kanale QVC: w ten sposób łatwiej mogła ukryć czterdzieści funtów tygodniowo, które szły na wódkę.

Była to tylko taka faza, sposób na uporanie się ze stresem. Mówiła sobie, że nie jest alkoholiczką. Po prostu przechodzi niewielki kryzys i zwalcza go po swojemu. Na poparcie tej tezy sięgnęła po „Argusa” i otworzyła na kolumnie ogłoszeniowej. To będzie najlepsze wyjście: znaleźć jakąś pracę na pół etatu. Wnieść jakiś wkład w utrzymanie domu. I mieć dla siebie trochę gotówki na drinka od czasu do czasu - choć nie było jej to koniecznie potrzebne.



Zadzwoiła komórka. Dźwięk dochodził z kuchni, gdzie zostawiła telefon. Zakłęła, zerwała się na nogi i nieco chwiejnym krokiem wyszła z salonu, zerknęła na wyświetlacz, na którym pojawiło się nazwisko najlepszej przyjaciółki Lynn Cottesloe. Odebrała połączenie.

- No cześć, co tam? - odezwała się świadoma, że jej głos brzmi trochę belkotliwie.

- Siedzę w Orsino's. Gdzie ty jesteś?

- O, cholera - wyrwało się Kellie. - Prz-sz-szepraszam cię bardzo.

- Nic ci się nie stało?

Niech to szlag, pomyślała. Szlag, szlag, szlag! Kompletnie zapomniała, że miały dziś razem wybrać się na lunch. Spojrzała na zegarek. Było piętnaście po pierwszej.

- Kellie, nic ci nie jest?

- Mnie? Nic. Absolutnie - odparła pewnie.

## ROZDZIAŁ 10

Tom Bryce siedział ponury za biurkiem w wąskim pomieszczeniu, które służyło jednocześnie jako londyńskie biuro i salon wystawowy BryceRight Promotional Merchandise Limited. Miał podwinięte rękawy koszuli i krawat opuszczony do pół masztu. Dygocząc z zimna, sięgnął po marynarkę. Cholerna angielska pogoda. Wczoraj upał trudny do zniesienia, dziś przejmujący ziąb.

Biuro prezentowało się jak należy; mieściło się pod dobrym adresem, a samo pomieszczenie, choć niewielkie, ale z dość dużymi oknami i oryginalną sztukaterią na suficie, wyglądało elegancko. Wystarczało miejsca na biurka całej ich piątki, fotele dla oczekujących interesantów otoczone eksponatami wystawowymi oraz małą kuchenką za ścianką działową na samym końcu biura.

Nazwę firmy wymyśliła Kellie. Wydawała się wówczas trochę kiczowata, ale jej zdaniem była to nazwa, którą ludzie łatwo zapamiętają. Spółka BryceRight zaopatrywała firmy i kluby w gadzety promocyjne i odzież reklamową. Oferta obejmowała długopisy z nadrukiem, także kalkulatory, podkładki do myszy, dyrektorskie zabawki na biurko, aż po podkoszulki, bejsbolówki, odzież sportową i rozmaite trofea.

Po ukończeniu szkoły biznesu w Brighton Tom podjął pracę dla jednej z największych firm w tej branży, Motivation Business, a następnie, dziesięć lat temu, przy poparciu Kellie, zadłużył się po

uszy, zaciągając kredyt hipoteczny, i poszedł na swoje. Siedzibą firmy była jego kanciapa i dwie zapasowe sypialnie w ich domu, dopóki, wkrótce po tym jak urodził się Max, nie zgromadził wystarczających środków na wynajem tego prestiżowego choć ciasnego lokalu tuż obok Bond Street, oraz magazynu w okolicach Brick Lane we wschodnim Londynie.

Przez pierwszych sześć lat interes kwitnął. Tom był urodzonym handlowcem, klienci lubili go, wszystko szło jak najlepiej. Aż przyszedł jedenasty września i przez dwa dni telefon nie dzwonił. Od tego czasu już nigdy nie dzwonił regularnie.

Zatrudniał czterech sprzedawców, z których dwaj działali w Londynie, jeden w północnej Anglii i jeden w Szkocji. Ponadto w biurze pracowała jego sekretarka Sarah, jak również kierowniczka administracyjna Maggie, odpowiedzialna za kontakty z klientami i zaopatrzenie. Zatrudniał jeszcze cztery osoby w magazynie, akwizytora, kontrolera jakości oraz dwóch dysponentów. I właśnie stąd pewnie brało się tyle problemów - zbyt liczny, w stosunku do obrotów, personel.

BryceRight miało bezpieczną bazę klientów, wśród których były firmy z najwyższej półki. Zaopatrywali Weetabix, Land Rovera, Legal and General Insurance, Nestle, Grants of St. James oraz wielu mniejszych klientów.

Przez pierwszych kilka lat naprawdę z przyjemnością przychodził do pracy, a nawet z przyjemnością przyjął wyzwanie związane z sytuacją, jaka się wytworzyła po jedenastym września, ale ostatnie tendencje spadkowe w gospodarce i stale rosnąca konkurencja sprawiły, że jego obroty spadły do poziomu, w którym przychody nie wystarczały na pokrycie kosztów ogólnych. Tracił klientów na rzecz konkurencji, pozostali nabywcy składali niskie zamówienia, a całkiem niedawno popieprzyło się tyle spraw, że miał straty jeszcze większe niż zwykle.

Na tacce z korespondencją przychodzącą na jego biurku piętrzyły się rachunki do zapłacenia, niektóre miały już ponad trzy miesiące. A jeszcze pod koniec miesiąca czekała go trudna operacja zbilansowania

wierzytelności i długów, żeby bank nie odrzucił jego czeków z wypłatami. I jak zwykle, trzeba będzie uwzględnić w tym równaniu także czynnik wydatków Kellie.

Uśmiechała się do niego ze stojącego na biurku zdjęcia w srebrnej ramce, wraz z Maksem i Jessica. Było to świetne zdjęcie, z korzystnym dla urody zmięczonym obrazem - wszyscy wyglądali na nim trochę jak ze snu. Przypatrywał się żonie z czułością, ufając Bogu, że przynajmniej przez jakiś czas nie spotka go z jej strony żadna niemila niespodzianka.

Jak on to powie Kellie, jeśli będą musieli sprzedać dom i przeprowadzić się do czegoś mniejszego? I do czego? Do mieszkania? Jak powie dzieciom, że może nie będą już mieć ogrodu? Spojrzał przez zalane deszczem okno swego biura na drugim piętrze w okna domów po drugiej stronie ulicy. Conduit Street była wąska, a jej wysoka zabudowa sprawiała, że człowiek czuł się na niej jak w wąwozie. Nawet w pogodny dzień do jego biura nie zaglądało słońce.

Strumień ludzi płynął ulicą w porze lunchu, widział z góry morze parasoli i sznur aut, taksówek i furgonetek stojących na światłach w oczekiwaniu na przejazd przez skrzyżowanie z Bond Street. Zapatrzył się zwłaszcza na nowego, kasztanowego bentleya continentalą. Odkąd się pokazały, nie przestawał o nim marzyć, lecz w tej chwili miał wrażenie, że od czegoś tak drogiego oddziela go otchłań równie przepastna jak ta, która oddziela ślimaka na płocie jego ogrodu od Marsa.

Melancholijnie przeżuwał sandwicza z tuńczykiem i słodką kukurydzą na żytnim chlebie. Nie przepadał za takim połączeniem i nie znosił ostrych ziaren kminku w chlebie, lecz tego ranka po raz pierwszy od dłuższego czasu obudził się z mocnym postanowieniem, żeby odżywiać się zdrowiej - a to coś było podobno niskokaloryczne i w ogóle nisko-wszystko. Wolałby, jak zwykle, sandwicza z jajkiem i bekonem albo z cheddarem i kwaśną pastą warzywną. To Kelly, która tej nocy żartem szturchnęła go w brzuch, mówiąc do niego „grubciu”, przelała czarę goryczy.

Rzucił okiem na pierwszą stronę branżowego pisma „Incentive Marketing” i przeczytał, że jeden z jego konkurentów, którego interesy rozwijały się wspaniale, przygotowuje się do wejścia na giełdę. Na czym polega ich sekret? - zastanawiał się. Co takiego, do cholery, zrobili tak bardzo dobrze, co on zrobił tak bardzo źle?

Ugryzł jeszcze kęs sandwicza i przyglądał się, jak Chris Webb, wysoki, ostrzyżony najeża, małomówny czterdziestolatek z kolczykiem w uchu, spec, którego wzywał, ilekroć miał problemy z komputerem, a który traktował go jak upośledzone dziecko, dłubie śrubokrętem we wnętrznościach jego makintoshowskiego laptopa. Co parę chwil Tom spoglądał na martwy ekran, z nadzieją, że mimo wszystko nagle przebudzi się do życia.

I myślał o tym, co zobaczył wczoraj wieczorem.

Nie mógł się uwolnić od koszmarnego obrazu dziewczyny przebijanej nożem; ów widok tak go prześladował, że obudził się z krzykiem o trzeciej nad ranem. To był na pewno jakiś film albo zwiastun filmu.

Tylko że sprawiał wrażenie czegoś cholernie prawdziwego.

- Obawiam się, stary, że twoje dane zniknęły - stwierdził Chris Webb irytująco pogodnie.

- No wiem, to ci właśnie mówiłem - odparł Tom. - Chciałbym, żebyś mi je odszukał.

Podczas gdy spec znów zajął się maszyną, Tom, który czuł się bez swego komputera zagubiony, a nie był w stanie skoncentrować się na lekturze magazynu, zapatrzył się na produkty firmy wystawione w biurze i pomyślał, że wszystkie są już nieco sfatygowane i wypadaloby je odświeżyć.

Przyjrzał się szklanej gablocie teamu Jaguara, w której wystawione były skafander, bejsbolówka, koszulka polo, długopis, breloczek do kluczy, rękawiczki samochodowe, krawat i chusta, wszystko w barwach firmowych Jaguara. Wyprodukowali ostatnio parę nowych wzorów, które tu powinny się znaleźć, pomyślał. Następnie zwrócił uwagę na inną gablotę - z podkładkami do myszy, długopisami,

kalkulatorami i parasolami zaopatrzonymi w logo Weetabix. Tę też należało zaktualizować.

Sarah, atrakcyjna dwudziestoparolatka, która stale wpadała z jednego kryzysu w następny, a w tle zawsze był facet, weszła do biura, niosąc torbę z baru Pret A Manger, rozmawiała, przyciskając do ucha telefon komórkowy. Za jej pustym biurkiem zasiadł najlepszy sprzedawca Toma, Peter Chard, ubrany w szykowny firmowy garnitur, z przylizanymi włosami - sobowtór aktora Leonarda DiCaprio - i, pogrążony w lekturze magazynu motoryzacyjnego, przekopywał się widelcem przez makaron błyskawiczny Pot Noodle. Przy sąsiednim biurku pracował urodzony w Hongkongu Simon Wong, cichy, ambitny trzydziestolatek, zajęty wypełnianiem formularza zleceniowego. Chodziło o nowego klienta i spore zamówienie; przynajmniej jakaś pociecha, pomyślał Tom.

Zadzzwonił telefon, co zdawało się nie docierać do świadomości sekretarki, wciąż zajętej rozmową przez komórkę. Także Peter i Simon zachowywali się, jakby nic nie słyszeli. Maggie nie było w biurze - poszła na lunch.

- Może ktoś odbierze ten pieprzony telefon! - krzyknął Tom.

Sarah uniosła rękę w przeproszającym geście i energicznie podeszła do biurka.

- No to powiedz mi jeszcze raz dokładnie, co się stało - odezwał się Chris Webb z udręką w głosie, jakby się zwracał do debilnego ucznia.

Obaj sprzedawcy spojrzeli na Toma.

- Mówiłem ci, włączyłem komputer dziś rano w pociągu i nie chciał się załadować. Po prostu padł.

- Ładuje się w porządku - stwierdził spec. - Tylko nie ma w nim żadnych danych, no nie? Dlatego nic ci się nie pojawia na ekranie.

Tom ściszył głos, w nadziei, że zniechęci do przysłuchiwania się publiczność.

- Nie rozumiem.

- Tu nie ma nic do rozumienia, stary. Masz kompletnie wyczyszczoną bazę danych.

- Niemożliwe. Przecież nic nie zrobiłem.

- Albo złapałeś wirusa, albo ci się włamali.

- Myślałem, że maki nie łapią wirusów.

- Zrobiłeś tak, jak ci mówiłem, co? Powiedz, proszę, że tak. Nie podłączałeś go do firmowego serwera?

- Nie.

- Twoje szczęście. Wywaliłoby ci całą bazę danych.

- Czyli jest tam wirus.

- Masz tam w nim jakieś coś. Twój sprzęt jest w porządku. W głowie mi się nie mieści, że mogłeś być tak głupi: włożyć płytę CD znalezionej w pociągu! Jezu, stary!

Tom zerknął przez ramię Webba na resztę zespołu. Wyglądało na to, że stracili zainteresowanie dla sprawy.

- Dlaczego głupi? To jest komputer, prawda? Do tego właśnie służy. Ma oprogramowanie antywirusowe, sam je instalowałeś. Czyta płyty CD. Powinien być w stanie czytać każdą płytę CD.

Webb uniósł płytę do góry.

- Zrobiłem z niej odczyt, z dala od wszelkich urządzeń, którym mogłaby wyrządzić jakąś szkodę. To Spyware - zmienia ci konfigurację oprogramowania i umieszcza ci w systemie Bóg wie jakie bzdurki. Znalazłeś to w pociągu?

- Wczoraj wieczorem.

- No i masz za swoje, że nie oddałeś tego od razu do biura rzeczy znalezionych.

Czasami Tom nie mógł uwierzyć, że płaci temu facetowi za to, żeby mu pomagał.

- Wielkie dzięki. Chciałem być uczynny. Myślałem, że może znajdę na płycie jakiś adres, żeby ją odesłać.

- Aha, więc następnym razem prześlij ją do mnie, i ja poszukam dla ciebie adresu. No dobra, a czy oprócz tego otwierałeś jakieś nieznanne ci załączniki?

- Nie.

- Na pewno?
- Nigdy tego nie robię. Uprzedziłeś mnie, żeby tego nie robić, już ładnych parę lat temu. Tylko takie, które przysyłają znajomi.
- Pornole?
- Żarty, pornole, zwykłe rzeczy.
- Proponowałbym, żebyś odtąd zakładał przerwatywę, kiedy serfujesz po internecie.
- Niezbyt śmieszne.
- To nie był żart. Złapałeś bardzo wrednego wirusa; jest wyjątkowo agresywny. Gdybyś się dzisiaj rano zalogował do firmowego serwera, wykasowałbyś go do czysta, i wszystkie komputery kolegów też. Razem z kopiami zapasowymi.
- Ale syf.
- Zgadza się. - Webb pokiwał głową. - Sam bym tego lepiej nie ujął.
- Jak mam się czegoś takiego pozbyć?
- Tak, że dasz mi sporo kasy.
- Super.
- Ewentualnie możesz kupić nowy komputer.
- Umiesz poprawić człowiekowi nastrój, co?
- Chciesz znać prawdę, więc ci ją przedstawiam.
- Nie rozumiem. Myślałem, że maki nie łapią wirusów.
- Nieczęsto. Ale parę takich krąży. Może po prostu miałeś pecha. Najprawdopodobniej złapałeś go z tej płyty. Oczywiście, jest jeszcze inna możliwość. - Rozejrzył się, znalazł kubek herbaty, który jakiś czas temu odstawił, i pociągnął łyk.
- Jaka? - spytał Tom.
- Ktoś, kto jest na ciebie wkurzony. - Po chwili milczenia Webb dodał. - Szpanerski masz ten krawat.
- Tom zerknął w dół. Krawat był lawendowy w srebrne konie. Hermes. Kellie niedawno kupiła go na jakiejś wyprzedaży internetowej - tak pojmowała oszczędzanie.
- Jest na sprzedaż - powiedział.



## ROZDZIAŁ 11

Około piątej po południu, po blisko trzygodzinnym drobiazgowym badaniu, poćwiartowane włóki młodej kobiety pod brezentowym zadaszaniem ustawionym na polu smaganego deszczem rzepaku powiedziały właściwie wszystko, co mogły powiedzieć tu, na miejscu. Tak uznał lekarz sądowy z ministerstwa spraw wewnętrznych.

Zakończył pracę prymitywną, acz skuteczną metodą polegającą na przyciskaniu do każdego centymetra kwadratowego ciała denatki taśmy klejącej sellotape w nadziei, że pozwoli to przechwycić więcej włókien. Wybrał pincetą kilka włókien wplątanych we włosy łonowe, ostrożnie wkładając każde z nich do osobnego foliowego woreczka, następnie jeszcze raz w zaciętym skupieniu zlustrował wszystkie części jej ciała i ziemię wokół nich, sprawdzając po raz ostatni, czy czegoś nie przeoczył.

Grace wolałby, żeby patolog pojechał prosto do sekcjonarium i dokonał wieczorem sekcji zwłok, co było normalną praktyką, lecz Theobald przepaszającym tonem poinformował go, że jest już umówiony na sekcję w Hampshire w związku z pewną podejrzaną śmiercią na żaglówce.

W świecie idealnym sekcje zwłok ofiar morderstw byłyby przeprowadzane na miejscu, jako że przy przenoszeniu ich istniało wielkie ryzyko utraty niewidocznego nieraz gołym okiem materiału dowodowego o podstawowym znaczeniu. Jednakże to błotniste,

smagane wiatrem i zalane deszczem pole nie było światem idealnym. Rzadko kiedy znajdowano ciało w miejscach sprzyjających sekcji zwłok. Niektórzy patolodzy woleli przebywać tam jak najkrócej i szybko wracać do prosektorium, gdzie mieli lepsze warunki do pracy. Lecz doktor Frazer Theobald do nich nie należał. Niekiedy pozostawał na miejscu zdarzenia do późnego wieczoru, a jak było trzeba, to i całą noc, zanim uznał, że ciało można już przewieźć do prosektorium.

Grace spojrzął na zegarek. Jutro wieczorem jest umówiony z dziewczyną. Byłoby dobrze, gdyby dziś skończył pracę przed zamknięciem sklepów. Wiedział, że nie należy myśleć w ten sposób, lecz od wielu lat wszyscy, z jego siostrą na czele, mówili mu, że powinien zmierzyć się z życiem. Po raz pierwszy od zniknięcia Sandy spotkał kobietę, którą był naprawdę zainteresowany. Zależało mu, żeby dobrze wypaść. Martwił się jednak, że jego garderoba jest do niczego. Musi sobie kupić trochę nowych ubrań na lato. Na razie spróbował zapomnieć o randce i skupić się na pracy.

Głowy dziewczyny wciąż nie odnaleziono. Roy Grace zadzwonił do wydziału poszukiwań policyjnych i na miejsce przybyło już kilka wozów z funkcjonariuszami - wielu było przeszkolonych do zadań specjalnych - którzy przystąpili do przeczesywania terenu. Zacinający deszcz utrudniał widoczność, a nad głową warkotał policyjny helikopter, penetrujący nieco większy obszar. Tylko policyjne wilczury zdawały się zupełnie nie zwracać uwagi na szalejące żywioły. Ku zmartwieniu właściciela pola, sześćdziesięciosobowa tyraliera policjantów, ubranych w kurtki odblaskowe mające jeszcze bardziej jaskrawy odcień żółci niż rzepak, pedantycznie zadeptywała mu każdy centymetr kwadratowy uprawy.

Roy spędził dużo czasu przy telefonie, organizując poszukiwania, załatwiając miejsce do pracy dla zespołu, który zamierzał zgromadzić w głównym centrum koordynacji, uzyskując dla sprawy kryptonim z centralnego komputera policji hrabstwa Sussex i wysłuchując podawanych mu rysopisów młodych kobiet, których zaginięcie

zgłoszono w ostatnich dniach. Tylko jedna z nich zaginęła w promieniu ośmiu kilometrów, co było poważnym powodem do niepokoju; trzy inne zgłoszenia pochodziły z terenu całego hrabstwa, a sześć następnych z całej południowej Anglii.

Doktor Theobald na razie nie był w stanie podać mu szczegółowego opisu ofiary, oprócz tego, że była ciemną blondynką, sądząc po kolorze włosów łonowych, i przypuszczalnie mogła mieć dwadzieścia parę lat, niewiele po trzydziestce.

Do tego opisu pasowały cztery kobiety.

Grace dobrze znał ponure dane statystyczne: dwieście trzydzieści tysięcy osób rocznie ginęło bez śladu w całej Anglii. I wiedział też, że jeśli któraś z nich się odnajdywała, to zazwyczaj przed upływem miesiąca. Trzydzieści procent spośród tych dwustu trzydziestu tysięcy przepadało. Poszukiwania wszczynano natychmiast, tylko kiedy chodziło o dziecko lub osobę starszą. W wypadku innych zaginionych policja czekała zwykle co najmniej dwadzieścia cztery godziny, a często jeszcze dłużej, zależnie od okoliczności.

Każde śledztwo w sprawie zaginięcia poruszało jakąś strunę w głębi duszy Roya Grace'a. Za każdym razem, gdy słyszał to słowo, przesywał go dreszcz.

Sandy zaginęła. W jego trzydzieste urodziny, niecałe dziewięć lat temu, zniknęła.

Nie było dowodów na to, że większość spośród tych siedemdziesięciu tysięcy zaginionych rocznie nie żyje. Ludzie znikali z najróżniejszych przyczyn. Do najczęstszych należał kryzys w stosunkach rodzinnych - odchodził mąż, odchodziła żona, dzieci uciekały z domu. Zaburzenia psychiczne. Lecz niektórzy - a Roy Grace zawsze z największą niechęcią przyznawał to przed samym sobą - trafiali na tę listę z o wiele bardziej ponurych powodów. Albo padali ofiarą morderstwa, albo, rzadziej, byli gdzieś przetrzymywani wbrew swojej woli. Od czasu do czasu na świecie, nie tylko w Wielkiej Brytanii, odkrywano makabryczne przypadki przetrzymywania ludzi, nieraz

nawet dziesiątki lat. Czasami, gdy nachodziły go najgorsze chwile czarnej rozpacz, wyobrażał sobie Sandy przykutą łańcuchami gdzieś w piwnicy jakiego szaleńca.

Wciąż wierzył, że ona żyje, bez względu na powód jej zniknięcia. Wielokrotnie radził się jasnowidzów. Gdy tylko ktoś o zdolnościach ponadnaturalnych, cieszący się nadzwyczajną renomą, przybywał do Brighton na publiczne występy, on pojawiał się na widowni i umawiał na spotkanie.

Żadna z tych osób nie twierdziła, że jest w kontakcie z jego zmarłą żoną ani że otrzymała od niej wiadomość.

Grace nie pokładał niezachwianej ufności w jasnowidzach, nie bardziej niż w lekarzach czy naukowcach. Miał otwarty umysł. Uznawał trafność powiedzenia jednego ze swoich ulubionych bohaterów literackich, Sherlocka Holmesa: „Kiedy już wyeliminujemy to, co niemożliwe, wówczas to, co pozostanie, choćby było nie wiem jak nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

Z rozmyślań wyrwało go ćwierkanie telefonu komórkowego. Spojrzał na wyświetlacz, ale numer był utajony - najprawdopodobniej to ktoś z kolegów, normalna praktyka wśród policjantów. Odebrał połączenie, przedstawiając się.

- Roy Grace.

- Siema, przemądry starcze!

- Spieprzaj, jestem zajęty. - Uśmiechnął się. Po trzech godzinach bezowocnych prób nawiązania konwersacji z przeraźliwie milkliwym doktorem Frazerem Theobaldem, dobrze usłyszeć życzliwy głos. Z sierżantem Glennem Bransonem łączyła go przyjacielska zażyłość. Pracowali razem, choć z przerwami, od ładnych paru lat i jego pierwszego Grace powołał do zespołu, który miał prowadzić śledztwo w sprawie tego morderstwa.

- Sam spieprzaj, antyku. Podczas gdy ty oddajesz się nieróbstwu nad drugim kieliszkiem brandy po sutym obiedzie, ja tu tyram jak wół, odwalając za ciebie robotę.

Niemily smak sandwicza z sardynkami i pomidorem zjedzonego na lunch, od którego minął chyba cały wiek, wciąż utrzymywał mu się na języku.

- O mało nie uwierzyłem - odparł.
- Widziałem wczoraj naprawdę wspaniały film. „Serpico”. Al Pacino jako detektyw, który rozgramia skorumpowanych gliniarzy z nowojorskiej policji. Widziałeś to kiedyś? - Branson był totalnym maniakiem kina.
- Widziałem, jakieś trzydzieści lat temu, dzieckiem w kolebce.
- To film z 1973 roku.
- Długo trwa, zanim film trafi do miejscowego kina, co?
- Świetny dowcip. Musisz to zobaczyć jeszcze raz, doskonała rzecz. Ten Al Pacino to jest gość.
- Dzięki za cenną informację, Glenn - powiedział, wychodząc spod zadaszania i z zasięgu słuchu patologa, policyjnego fotografa Jima Thurrupa oraz Dennisa Ponds, rzecznika prasowego policji w Sussex, któremu miał podać informacje dla mediów. Grace wiedział z doświadczenia, że na tym etapie śledztwa w tak poważnej sprawie nie należało wiele ujawniać. Im mniej przeciekało do prasy informacji o tym, co naprawdę znaleziono, w jakim stanie znajdowało się ciało oraz o miejscu zdarzenia, tym łatwiej było odsiać telefony od maniaków czy dowcipnisiów i wyłowić te z wartościowymi informacjami.

Zarazem jednak policja musiała zdawać sobie sprawę, że mądrze jest podtrzymywać dobre kontakty z mediami, choć w wypadku Grace'a od kilku tygodni te stosunki szybko się psuły. Dzisiejsze dzienniki stawiały go pod pręgierzem za śmierć dwóch podejrzanych, a w zeszłym tygodniu atakowały go zaciekle, kiedy przyznał w sądzie, podczas procesu o morderstwo, że konsultował się z jasnowidzem.

- Stoję na wzgórzu i deszcz na mnie sika. W jaki sposób ta „doskonała rzecz” mogłaby pomóc w naszym dochodzeniu?
- W żaden: to dla twojej edukacji. Stale oglądasz tylko jakiś szajs.
- „Gotowe na wszystko” nie są znowu takie najgorsze.
- Co ty powiesz. Mam taką w domu. Ale mam też dla ciebie pewną informację.

- Tak?
- Aplikantka z kancelarii prawnej. Właśnie się dowiedziałem.
- Oj, to by była strata - stwierdził sarkastycznie Grace.
- No wiesz, facet, jesteś obrzydliwy.
- Po prostu szczerzy.

Tak samo jak większość jego kolegów z policji, Roy Grace nie znosił prawników, zwłaszcza adwokatów broniących w sprawach kryminalnych, dla których prawo było po prostu grą. Każdego dnia policjanci ryzykowali życie, starając się schwycić przestępców, a adwokaci dobrze sobie żyli z tego, że przechytrzając prawo, doprowadzali do zwolnienia tychże przestępców. Oczywiście, Grace wiedział, że aresztowanym niewinnym ludziom należała się ochrona. Ale był to jeszcze za wczesny etap kariery Glenna - jeszcze za krótko pracował w policji. Jeszcze nie doświadczył na własnej skórze, ilu lajdaków umyka sprawiedliwości dzięki sprytnym mecenasom.

- No dobra, wszystko jedno. Nie pojawiła się dziś w pracy. Jedna z koleżanek sprawdziła u niej w domu. Nie ma jej tam; bardzo się niepokoją.

- I co? Kiedy widziano ją po raz ostatni?

- W pracy, wczoraj po południu. Dziś rano miała ważne spotkanie z klientem, na które nie przyszła. Ani nie zadzwoniła. Jej szef mówi, że to do niej niepodobne. Nazywa się Janie Stretton.

- Mam listę czterech innych nazwisk, Glenn. Dlaczego miałyby to być akurat ta?

- Moja intuicja jest niezawodna.

- Janie Stretton?

- Tak.

- Dopiszę ją do listy.

- Dopisz ją na pierwszym miejscu.

Deszcz lał nieprzerwanie i Grace przemoczony do suchej nitki schronił się znów pod brezentowe zadaszenie.

- Wciąż nie mamy głowy - powiedział. - I czuję, że jej nie znajdziemy. Już sprawdziliśmy odciski palców i wynik był negatywny.

Wysyłamy materiał do pilnych badań DNA do laboratorium w Huntingdon, ale to zajmie parę dni.

- Znalazłem ją - stwierdził Glenn Branson. - Idę o zakład.

- Janie Stretton? - upewnił się Grace.

- Janie Stretton.

- Pewnie leży w łóżku i bzyka się z jakimś papugą, który bierze trzy tysie za godzinę.

- Nie, Roy. - Sierżant Branson obstawał przy swoim. - Myślę, że właśnie na nią patrzysz.

## ROZDZIAŁ 12

Tom spędził popołudnie w siedzibie przedstawicielstwa nowego, ważnego klienta, wódki Polstar, obniżając swoje ceny - i marżę zysku - do absolutnego minimum, żeby zlecenia nie przechwyciła konkurencja. Pozbawiony na razie swojego laptopa, miał dodatkowo utrudnione zadanie, toteż wyszedł zły z zamówieniem na pięćdziesiąt tysięcy grawerowanych kieliszków do martini, ze srebrnymi podkładkami z nadrukiem, które w jego wcześniejszych kalkulacjach miało przynieść spory zysk. A teraz będzie dobrze, jeśli tylko pokryje koszty. Przynajmniej pozwoli mu to wykazać na koncie obroty. Jednak aż nazbyt dobrze znał starą maksymę: obroty gwoli próżności, gwoli rozsądku zysk.

Przy odrobinie szczęścia z czasem doprowadzi to do bardziej opłacalnych transakcji, miał nadzieję.

Kiedy tuż przed piątą wrócił do biura, odetchnął z ulgą, stwierdziwszy, że laptop jest już na chodzie. Tyle że za cenę siedmiu godzin pracy specja, co oznaczało wydatek, na który nie bardzo mógł sobie pozwolić. Biurko Petera Charda było puste, a Simon Wong rozmawiał przez telefon; Maggie też gdzieś dzwoniła. Sarah przyniosła mu stos pism do podpisania.

Najpierw jednak wysłuchał Chrisa Webba. Spec przedstawił mu ulepszenia wprowadzone do systemu i oprogramowanie antywirusowe, które mu zainstalował - oczywiście za dodatkową opłatą. Nadal jednak nie umiał wyjaśnić, skąd się wziął wirus, który



wyczyścił bazę danych, o ile nie pochodził ze znalezionej przez Toma płyty CD; tę zabierał do dalszej analizy.

Po wyjściu Chrisa Tom przez pół godziny nadrabiał zaległości w korespondencji mailowej. Potem z ciekawości otworzył wyszukiwar-  
kę Explorer Web i przeszedł do historii odwiedzanych adresów, gdzie pokazały się wszystkie strony internetowe, na które wchodził w ciągu minionej doby. Było tam parę wizyt w Google'u, kilka na [jeeves.co.uk](http://jeeves.co.uk) i jedna na Railtrack, sprawdzał wczoraj rozkład jazdy pociągów. Były też odnotowane odwiedziny na stronie wódki Polstar, na którą wchodził wczoraj, żeby przygotować się do dzisiejszego spotkania. I jednej strony nie rozpoznawał.

Był to długi, skomplikowany łańcuszek liter, cyfr i ukośników. Chris Webb powiedział mu na pożegnanie, żeby się nie logował na żadnych stronach, których nie zna, ale Tom posługiwał się internetem już od wielu lat i miał o nim pojęcie. Oczywiście można złapać wirusa, otwierając załącznik, ale żeby także ze strony internetowej - w to po prostu nie wierzył. Pliki cookie - owszem. Wiedział, że wielu detalistów posługiwało się bez skrupułów taką sztuczką, że każdemu, kto wchodził na ich stronę, przesyłali cookie. Plik taki siedział później w systemie i donosił im o wszystkich adresach w sieci, które użytkownik potem odwiedzał. W ten sposób mogli sobie opracować w bazie danych zindywidualizowaną sylwetkę klienta, wiedząc jakimi produktami dany użytkownik się interesuje. Ale wirusy? Nie ma takiej możliwości.

Kliknął na adres.

Prawie natychmiast na ekranie pojawił się komunikat:

Odmowa dostępu.

Próba zalogowania z nieupoważnionej stacji.

- Czy to już wszystko na dziś, Tom?

Podniósł wzrok. Przy jego biurku stała Sarah z torebką w ręce.

- Tak, wszystko, dziękuję.

Rozpromieniła się.

- Mam romantyczną randkę, muszę iść do fryzjera.
- Powodzenia!
- On jest dyrektorem marketingu Magazine Group. Może uda się z nimi robić interesy.
- Do ataku!
- Rozkaz!

Spojrzał znów na ekran i jeszcze raz kliknął na adres. Pokazał się ten sam komunikat:

Odmowa dostępu.

Próba zalogowania z nieupoważnionej stacji.

Wieczorem, po większym kieliszku martini niż zazwyczaj, kolacji i prawie całej butelce - a nie, jak zwykle, paru kieliszkach - wyjątkowo pysznego australijskiego chardonnay Margaret River, Tom zasiadł w swojej kanciapie, włączył laptopa, przeszedł do skrzynki odbiorczej w poczcie i przystąpił do pracy. Co parę minut nadchodziły nowe e-maile.

Dwa z nich, następujące jeden po drugim, zawierały przyzwoite powtórne zamówienia, co mu sprawiło radość. Jeden był od dyrektora marketingu, jednego z najważniejszych klientów. Dziękował za wkład w sukces niedawnych obchodów półwiecza jego firmy.

Podniesiony na duchu, przejrzał resztę e-maili, jedne zachowując, inne kasując, na niektóre odpowiadając. Wtedy pojawił się jeszcze jeden nowy.

Drogi Panie Bryce,

Wczoraj wieczorem dostał się Pan na stronę, do której odwiedzania nie był Pan uprawniony. Teraz próbował się Pan na nią dostać jeszcze raz. Nie cenimy sobie nieproszonych gości. Jeśli o tym, co Pan widział, powiadomi pan policję, lub spróbuje kiedykolwiek jeszcze dostać się na tę stronę, wówczas to, co zaraz stanie się z Pańskim komputerem,

stanie się z Pańską żoną Kellie, Pańskim synkiem Maksem,  
i Pańską córeczką Jessica. Niech się Pan dobrze przyjrzy, a  
następnie dobrze zastanowi.  
Życzliwi ze Scarab Productions

Zaledwie zdążył przeczytać te słowa, zniknęły z ekranu. Potem  
zaczęły zniknąć także wszystkie pozostałe jego e-maile, jakby roz-  
puszczały się w kwasie.

Nie upłynęła chyba nawet minuta - podczas gdy on bezzadnie się  
przyglądał, niezdolny pomyśleć o wyłączeniu urządzenia - jak z  
komputera zniknęło wszystko.

Uderzał w klawisze. Ale nic się nie pojawiało, był tylko pusty,  
czarny ekran.

## ROZDZIAŁ 13

Dennis Ponds, rzecznik prasowy policji w Sussex, przezywany był przez wielu kolegów, którzy nieufnie odnosili się do jego intencji, Pond Life\*. Zbyt wiele spraw przeciekło do prasy, a podejrzenia padły na biuro rzecznika.

\* „Pond Life” („Życie pani Pond”) - brytyjski serial animowany (1998-2000) o bezrobotnej trzydziestolatce, bezskutecznie poszukującej partnera. Tytuł „Pond Life” można również rozumieć „Życie w bajorze”.

Ten były dziennikarz, wyglądał bardziej jak makler z londyńskiego City niż funkcjonariusz państwowy. Przekroczył czterdziestkę, czarne włosy nosił gładko zaczesane do tyłu, miał niewiarygodnie krzaczaste brwi, upodobanie do dopasowanych garniturów oraz niewdzięczne zadanie mediacji w coraz bardziej delikatnej materii stosunków pomiędzy policją a społeczeństwem.

Roy Grace, pociągając z butelki wodę mineralną, ze zrozumieniem spoglądał na niego zza biurka. Ponds nie cieszył się zaufaniem wielu policjantów, a dziennikarze zawsze podejrzliwie odnosili się do jego motywów. Funkcja, którą pełnił, stawiała go na z góry przegranej pozycji. Jeden rzecznik policji skończył w sanatorium dla nerwowo chorych; inny, Grace dobrze to pamiętał, od rana do wieczora pociągał z piersiówki.

Ponds złożył właśnie na biurku Grace'a całą kolekcję porannych gazet i teraz siedział przed nim, załamując ręce.

- Udało nam się przynajmniej, że nie dali tego na pierwszą stronę, Roy - odezwał się przeproszającym tonem, a jego brwi uniosły się jak dwie wrony gotujące się do odlotu.

Mieli szczęście; pierwsze strony gazet zajmowały prawie w całości jakieś sensacyjne materiały o księciu Karolu i Camilli. Znakiem czasu było to, że na informację o znalezionym bezgłowym tułowiu parę gazet poświęciło kilka linijek na dalszych stronach albo nie zamieściły jej wcale. Natomiast każdy dziennik ogólnokrajowy na poczesnym miejscu donosił o innym zdarzeniu. Leżący przed nim „Daily Mail” krzyczał tytułem na rozkładówce: „Dwie osoby zginęły w policyjnym pościgu”.

- Zrobiłeś, co mogłeś. - Grace, w przeciwieństwie do wielu kolegów, rozumiał, jak ważną sprawą jest mieć tego człowieka po swojej stronie.

- Dobrze poprowadziłeś konferencję - powiedział Pond Life. - Najlepsze, co możemy zrobić, to nagłośnić tę historię z tułowiem. Wyzaczyłem konferencję na drugą. Jesteś gotowy?

- Rzucę ich na kolana - odparł Grace.

- Możesz dać mi coś dla nich na zachętę?

Grace bawił się nakrętką od butelki, to ją zakręcając, to znów odkręcając.

- Odcisków palców nie ma w bazie danych. Czekamy na wyniki analizy DNA. Tymczasem sprawdzamy na liście osób zaginionych.

- Powiem im, że nie ma głowy?

- Na razie nie chcę, żeby ktoś się o tym dowiedział. Powiem tylko, że ofiara została ciężko okaleczona, co utrudnia identyfikację.

- Myślałem, że ja tu jestem od manipulowania prawdą.

Grace uśmiechnął się.

- Najwidoczniej byłeś dobrym nauczycielem.

Falując brwiami jak skrzydłami w locie, Ponds zapytał:

- Może coś mocnego na nagłówki?

- Daj spokój, Dennis. Gadasz jak dziennikarz.

- Chciałbym im rzucić jakiś ochłap.

- Jest kilka zaginionych kobiet, które mogą pasować.
- Tak, ale słyszałem, że najbardziej prawdopodobna jest jakaś aplikantka adwokacka z Brighton. Zgadza się?
- Gdzie to słyszałeś? - Grace patrzył na niego, osłupiały. Rzecznik wzruszył ramionami.
- Tak mówią na mieście.
- Gdzie na mieście? Kto ci to powiedział, do cholery?
- Już trzech różnych dziennikarzy dzwoniło do mnie do biura - odpowiedział po chwili.

Grace przypomniał sobie wczorajszą rozmowę telefoniczną z Glennem Bransonem, w czasie której Glenn sugerował, kim mogła być zamordowana dziewczyna. Czyżby ktoś ich podsłuchiwał? To prawie niemożliwe - nowoczesne telefony przesyłały zakodowane sygnały cyfrowe. Ogarnięty wściekłością, Grace gwałtownym ruchem uniósł butelkę i wybuchnął:

- Kto, do kurwy nędzy, z nimi rozmawiał? Dennis, ta dziewczyna, kimkolwiek była, miała jakąś rodzinę. Może męża, może matkę, może ojca, może dzieci, wszystkich, którzy ją kochali. Nie mamy prawa puszczać się na spekulacje.

- Wiem, Roy. Ale nie możemy też okłamywać prasy.

Myśląc, jak zawsze, o Sandy, Grace ciągnął:

- Słuchaj, zrozum, każdy, komu zaginęła jakaś bliska osoba pasująca do jej opisu, będzie się chwytać każdego wydrukowanego słowa, wszystkiego, co powiedzą w telewizji i w radiu! Ja nie jestem od wzbudzania nadziei, ja jestem od łapania przestępców.

Dennis Ponds pośpiesznie zapisał coś w notesie.

- Dobrze - mruknął z podnieceniem. - Ostatnie zdanie. Mogę to wykorzystać w komunikacie dla prasy?

Grace zmierzył go wzrokiem. Typowe dla ludzi z biura prasowego. Mieć coś do zacytowania. Tak naprawdę tylko o to Pondsowi zawsze chodziło. Kiwnął głową i spojrzął na zegarek, chcąc zejść do centrum koordynacji, gdzie miał poprowadzić odprawę zespołu. Potem musiał iść do prosektorium. Sekcję zwłok wyznaczono na dziesiątą rano.

Był jeszcze jeden powód, dla którego zależało mu, żeby być przy sekcji, i nie miał on nic wspólnego z tą biedną dziewczyną, której zmasakrowane zwłoki będzie teraz masakrować lekarz sądowy. Miał natomiast bardzo dużo wspólnego z pewną inną dziewczyną w pro-sektorium, z którą był umówiony na wieczór.

Pod górą gazet na biurku leżał magazyn dla modnych mężczyzn „FHM”. Grace żywił nadzieję, że uda mu się tego ranka złapać parę chwil, by go przejrzeć i zorientować się w najnowszych trendach męskiej mody. Glenn Branson stale nabijał się z jego garderoby, fryzury, a nawet z cholernego zegarka. Jego stary, dobry seiko - podarowany mu przez Sandy - był najwidoczniej passé i przekazywał na temat właściciela nieodpowiedni komunikat. Prawdopodobnie nawet czas pokazywał nieodpowiedni.

Jak tu człowiek ma być w porzo, u licha? Czy warto w ogóle się starać, mając prawie trzydzieści dziewięć lat? Pomyślał o Cleo Morey i żołądek wywinął mu salto w tył, skacząc w przypiływie podniecenia do kadzi z mokrym cementem. Oj, warto, uświadomił sobie. Warto jak diabli.

Dennis Ponds, który się rozgadał, pozostał u niego jeszcze przez, zdawałoby się, wieczność, lecz Grace tolerował to, ponieważ chwilowo chciał mieć go po swojej stronie i wiele wskazywało, że tak jest. Ponds przekazał mu parę interesujących plotek o nadinspektorze, o podinspektor Alison Vosper, po czym zaczął narzekać na nadkomisarza Gary'ego Westona, bezpośredniego zwierzchnika Grace'a, który według rzecznika sprawiał wrażenie, jakby bardziej interesował się wyścigami konnymi i wyścigami psów niż pracą w policji, co ludzie już zauważyli i komentowali.

Czy była to prawda, czy nie, jego ambitny szef nie wykazał rozsądku, dopuszczając do nadszarpnięcia swojej reputacji. Jako dobry kolega powinien był może coś powiedzieć - ale co? A poza tym Grace - choć sam się przed sobą do tego nie przyznawał - czasami trochę zazdrościł Westonowi stylu życia, kochającej rodziny,

talentów towarzyskich, umiejętności wspinania się bez wysiłku po szczeblach hierarchii służbowej. Nie mógł sobie przypomnieć, kto to powiedział: „Za każdym razem kiedy któryś z moich przyjaciół odnosi sukces, jakaś część mnie umiera”. Niestety, była to prawda.

W końcu Dennis Ponds wyszedł. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Grace wyciągnął magazyn i zaczął go przeglądać. Znowo ogarnęło go przygnębienie. Było tam dwadzieścia różnych modnych stylów na dwudziestu różnych stronach. Który z nich zapewni mu korzystną zmianę wizerunku? A który sprawi, że będzie wyglądać jak ostatni frajer?

Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć, pomyślał, godząc się z koniecznością utraty twarzy.



## ROZDZIAŁ 14

Grace przeszedł z biura do działu wspomagania zarządzania, w którym obok trzech innych asystentek miała swoje stanowisko Eleanor. Te cztery asystentki prowadziły sekretariat dla wszystkich wyższych oficerów śledczych oprócz nadkomisarza Gary'ego Westona, zatrudniającego na pełnym etacie osobistą sekretarkę.

Jedną z rzeczy w tym budynku, które budziły w Gracie awersję, było wrażenie odczłowieczającego ujednolicenia wszystkiego. Czy to dlatego, że w budynku pachniało świeżością, czy dlatego, że stał za miastem, wiało tu atmosferą sterylności. Ścian nie znaczyły odpryski powstałe podczas szamotaniny z opryszkami czy spowodowane pośpiesznym przenoszeniem metalowych sprzętów, na wykładzinie dywanowej nie było wytartych miejsc, a na sufitach ciemnych smug od nikotyny, jak w większości komisariatów. Nie było pękniętych szyb, rozjeżdżających się krzesel, chwiejących się biurek- całej tej patyny, która nadaje każdemu miejscu charakter - choć, trzeba przyznać, charakter nie zawsze mile widziany.

Eleanor miała na biurku bukietek fiołków w porcelanowym wazoniku, fotografię swoich czworga dzieci - ciekawe, że nie było zdjęcia męża - do połowy rozwiązane sudoku wyrwane z jakiejś gazety i plastikowy pojemnik z lunchem. Na oparciu krzesła wisiał starannie złożony rozpinany sweterek.

Z charakterystycznym dla niej nerwowym uśmiechem podniosła na szefa wzrok. Po kilku latach wspólnej pracy pewne rzeczy robiła automatycznie. Jedną z nich było wykreślanie zbędnych pozycji z jego terminarza, gdy tylko stawał na czele grupy dochodzeniowej w jakiejś poważniejszej sprawie.

Poinformowała go zwięźle o trzech zebraniach, w których odwołała jego udział; jedno dotyczyło procedur wewnętrznych, drugie połączonej komisji wszystkich brytyjskich służb policyjnych do spraw nierozwiązanych, trzecie w sprawie kalendarza meczów rugby drużyny policji hrabstwa Sussex.

Odebrał telefon od Emily Gaylor z sekretariatu wydziału karnego sądu w Brighton, prowadzącej sprawę Suresha Hossaina, która powiedziała mu, że na pewno nie będzie dziś potrzebny w sądzie. Hossain był lokalnym rekinem z branży nieruchomości, oskarżonym o zamordowanie konkurenta w interesach.

Ściskając w rękach teczkę, w której miał bezpiecznie ukryty magazyn „FHM”, przeszedł przez pokrytą zieloną wykładziną halę biurową pełną biurek, za którymi zasiadał personel pomocniczy oficerów wydziału dochodzeniowego. Po lewej stronie, za wielką szybą widać było imponujące biuro nadkomisarza Gary'ego Westona. Gary akurat tam urzędował, zajęty dyktowaniem czegoś asystentce.

Dochodząc do drzwi na końcu hali, Grace zbliżył identyfikator do szarego oka czytnika interflex, po czym pchnął drzwi i wkroczył na długi, cichy, pachnący świeżą farbą korytarz, z szarą wykładziną na podłodze. Przeszedł koło dużej, wyłożonej czerwonym filcem tablicy ogłoszeń z nagłówkiem operacja „Lizbona”, pod którym wisiała fotografia mężczyzny z rzadką bródką, wyglądającego na Chińczyka. Otaczało ją kilka zdjęć kamienistej plaży u podnóża wysokich skał klifowych miejscowego malowniczego zakątka zwanego Beachy Head, a na każdej z odbitek wyrysowane było czerwone kółko. Zwłoki niezidentyfikowanego mężczyzny znaleziono przed czterema tygodniami u stóp urwiska. Początkowo sądzono, że to kolejny

samobójca, jednak autopsja wykazała, że kiedy spadał ze skały, był już martwy.

Grace minął po lewej pokój dochodzeń zewnętrznych, duże pomieszczenie, służące w trakcie śledztw za bazę oficerom dochodzeniowym oddelegowanym z innych hrabstw do niektórych poważniejszych spraw; następnie, również po lewej stronie, drzwi z tabliczką oficer prowadzący, za którymi było biuro - tu miał się wprowadzić na czas toczącego się śledztwa. Naprzeciwko nich znajdowały się drzwi z napisem GCK Jeden. Wszedł do środka.

GCK Jeden i GCK Dwa pełniły funkcję węzłów nerwowych przy poważniejszych dochodzeniach. Pomimo mleczyńskich szyb, umieszczonych zbyt wysoko, by można było przez nie wyjrzeć, Jedyńka, z niedawno pomalowanymi ścianami, sprawiała wrażenie przestronnego, widnego pomieszczenia z dobrymi wibracjami. Tę salę lubił najbardziej w całym budynku komendy. Podczas gdy wszędzie indziej w Sussex House brakowało mu rozgardiaszu pokojów operacyjnych, do których przywykł, tu, w GCK Jeden, odczuwał przyływ energii.

Jedyńka, mająca w sobie coś futurystycznego, mogłaby równie dobrze służyć jako siedziba ośrodka kontroli lotów NASA w Houston. Pomieszczenie w kształcie litery L zostało podzielone na trzy podstawowe stanowiska robocze, z których każde zawierało długi, zakrzywiony stół na co najmniej osiem osób. Stały tu duże, białe tablice do pisania mazakami, jedna oznaczona napisem operacja „Kormoran”, druga operacja „Lizbona”, trzecia operacja „Zaspa”, a na każdej wisały fotografie z miejsca zbrodni i tabele postępów w śledztwie. Przybyła jeszcze jedna, nowa, stojąca tu od wczorajszego popołudnia, z nagłówkiem operacja „Słowik”, taki bowiem kryptonim dla śledztwa w sprawie okaleczonego tułowia zamordowanej kobiety przydzielił losowo komputer policyjny.

W odróżnieniu od całej reszty stanowisk roboczych w budynku, na biurkach i ścianach w tym pokoju nie było widać żadnych osobistych elementów. Żadnych zdjęć rodziny, czy ulubionych piłkarzy,

żadnych terminarzy rozgrywek, żadnych rysunków satyrycznych. Każdy, najmniejszy przedmiot znajdujący się w pomieszczeniu, oprócz mebli i narzędzi pracy, miał związek z treścią prowadzonych śledstw. Nie słyszało się tu żartobliwych pogwarek. Tylko nabrzmiała zawziętym skupieniem cisza, stłumiony świergot telefonów, wizg papieru wyrzucanego z drukarek laserowych.

Przy każdym ze stanowisk roboczych pracował zespół; w skład najmniejszego wchodził kierownik - zazwyczaj w stopniu sierżanta lub aspirant, informatyk nadzorujący system, analityk, indeksier odpowiedzialny za katalogowanie danych i maszynistka. Większość tych ludzi Grace znał, przynajmniej z widzenia, wszyscy tu byli jednak zbyt pochłonięci pracą, by się rozpraszać na uprzejmości.

Gdy podszedł do swojego zespołu, nikt nie podniósł wzroku, oprócz sierżanta Glenna Bransona - metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, czarny i łysy jak meteoryt - który pozdrowił go uniesieniem ręki. Jak zwykle był ubrany w jeden ze swoich szykownych garniturów, dziś brązowy w białe prążki, w którym wyglądał bardziej na wziętego dilerę narkotyków niż na policjanta, białą koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem oraz krawat, sprawiający wrażenie, jakby zaprojektował go jakiś szympans-daltonista na haju.

- Siema, stara gwardia! - przywitał go Glenn na tyle głośno, że wszyscy na chwilę podnieśli wzrok.

Grace zerknął z przelotnym uśmiechem na resztę swego ośmioosobowego doborowego zespołu. Większość z nich przeszła tutaj z poprzedniej prowadzonej przez niego sprawy, co znaczyło, że łagodnie rzecz ujmując, nie bardzo mieli kiedy odsapnąć, ale tworzyli zgraną paczkę i dobrze im się razem pracowało. Przez te lata przekonał się, że mając dobry zespół, warto go w miarę możliwości zachować w nienaruszonym składzie.

Najwyższą rangą była sierżant Bella Moy, szatynka o wesołej twarzy wynurzającej się z gęstwiny podbarwionych henną włosów, która jak zwykle miała tuż obok klawiatury otwarte pudełko kulek

czekoladowych Maltesers. Patrzył jak w głębokim skupieniu wklepuje coś w komputer, a co parę chwil jej prawa ręka, niczym niezależny twór, obdarzony własnym życiem, odrywa się od klawiatury, wyciąga jedną czekoladkę i dostarcza ją do ust. Bella była szczupłą kobietą, choć jadła za dziesięć.

Tuż przy niej siedział detektyw Nick Nicholl, przed trzydziestką, krótko ostrzyżony i wysoki jak tyka chmielowa, zapalony detektyw i szybki środkowy napastnik piłkarski. Grace namawiał go do zajęcia się rugby, uważając, że świetnie by się nadał do policyjnej drużyny, w której, jak go proszono, miał objąć od jesieni stanowisko prezesa.

Naprzeciwko niego przedzierała się przez gruby plik wydruków z komputera początkująca detektyw Emma-Jane Boutwood, ładna, młoda, długowłosa blondynka o nienagannej figurze. Kiedy przy okazji poprzedniej sprawy znalazła się w zespole, Grace nie wróżył jej kariery. W mig jednak dowiodła, że jest policjantką z charakterem, a on nabrał przekonania, że Emma-Jane może osiągnąć sukces w policji, o ile w niej pozostanie.

- Aha - odezwał się Glenn Branson - zmieniło mi się przecucie. Jak mam cię przekonać, że tym razem przecucie mnie nie myli? Teresa Wallington.

- Kto to taki? - spytał Grace.

- Taka dziewczyna z Peacehaven. Zaręczona. Nie pojawiła się wczoraj na własnym przyjęciu zaręczynowym.

Na dźwięk tych słów Grace poczuł gdzieś w środku zimny ucisk.

- Opowiedz.

- Rozmawiałem z jej narzeczoną. Brzmi prawdziwie.

- Nie wiem - powiedział Grace. Instynkt mówił mu, że to za wcześnie, ale nie chciał studzić entuzjazmu Glenna. Przyjrzał się uważnie wiszącym na ścianie fotografiom z miejsca zbrodni, z których na jego żądanie błyskawicznie wykonano odbitki. Spojrzał na detale odciętej ręki, potem makabryczne zdjęcia porąbanego tułowia w czarnym worku.

- Zaufaj mi, Roy.
- Zaufać? - Roy nie odrywał wzroku od zdjęć.
- No proszę, znowu! - prychnął Branson.
- Co „znowu”?
- Znowu robisz to, co zawsze, facet. Odpowiadasz pytaniem na pytanie.
- To dlatego, że nigdy nie mogę zrozumieć, o co ci, u licha, chodzi!
- Gówno prawda!
- Ile mamy zaginionych kobiet, których jeszcze nie wyeliminowaliśmy?
- Od wczoraj bez zmian. Nadal pięć. Zakładając jakiś rozsądny promień wokół nas. W całym kraju więcej.
- Laboratorium nie odzywało się w sprawie DNA? - spytał Grace.
- Spodziewają się ustalić dziś do szóstej, czy ofiara była w ich bazie danych - wtrąciła Emma.

Grace zerknął na zegarek. Musi jechać prosto do prosektorium. Wykonał w myśli kilka szybkich działań arytmetycznych. Zgodnie z tym, co wczoraj na polu mówił doktor Frazer Theobald, dziewczyna nie żyła od niecałej doby. Nieraz się zdarza, że ktoś gdzieś przepadnie na jeden dzień. Ale już dwa dni powinny wywołać zaniepokojenie znajomych i bliskich. Dziś była realna szansa przynajmniej na ustalenie ścisłej listy kobiet, co do których istniało największe prawdopodobieństwo, że to właśnie jedna z nich mogła być ofiarą.

Zwrócił się do detektywa Nicholla:

- Mamy odlewy śladów stóp?
- Lada chwila mają być gotowe.
- Lada chwila to za późno - stwierdził Grace cierpko. - Mówiłem na porannej odprawie, że dwóch ludzi ma z tymi odlewami obejść sklepy odzieżowe w okolicy, i sprawdzić, czy coś będzie pasowało. Możliwe, że ktoś kupił sobie buty specjalnie na tę okazję. Jeśli tak było, mogła go zarejestrować sklepowa kamera przemysłowa. Chyba nie ma w pobliżu aż tylu sklepów, gdzie można kupić wzmocnione

obuwie - chcę mieć gotowy raport na ten temat na naszej odprawie o wpół do siódmej. Nicholl kiwnął głową i natychmiast sięgnął po telefon.

- Już drugi dzień nie kontaktuje się z nim - powiedział Branson.

- Kto? - spytał z roztargnieniem Grace.

- Teresa Wallington. Ona mieszka z tym narzeczonym. Raczej nie miała żadnego powodu, żeby się nie zjawić na przyjęciu.

- A pozostałe cztery z naszej listy?

- Żadnej z nich też dziś nie widziano - przyznał niechętnie.

Branson miał trzydzieści jeden lat, został gliną sześć lat temu, po cokolwiek nieudanym życiowym starcie w charakterze wykidajki w klubie nocnym.

Grace bardzo go lubił; był inteligentny i troskliwy, a do tego miał świetną intuicję. Intuicja przydawała się niewątpliwie w pracy policjanta, ale miała pewien minus - bywało, że prowadziła do przedwczesnych wniosków, bez należytego przeanalizowania innych możliwości, a następnie podświadomej selekcji materiału dowodowego pod kątem swoich przeczuc. Grace musiał czasem powściągać zapał Bransona dla jego własnego dobra.

Teraz Glenn był mu potrzebny nie tylko ze względu na to, co mu mówiła intuicja w sprawie, którą się zajmowali. Chodziło o coś pozazawodowego.

- Przejedziesz się ze mną do prosektorium?

Branson popatrzył na niego, unosząc brwi.

- Kurczę, facet, ty zawsze się tam umawiasz na randki?

Grace uśmiechnął się.

Glenn był bliższy prawdy, niż sobie wyobrażał.

## ROZDZIAŁ 15

Tom Bryce siedział w długiej, wąskiej sali konferencyjnej na parterze niewielkiego biurowca w przemysłowej dzielnicy nieopodal lotniska Heathrow. Było do niego tak blisko, że Tomowi wydawało się, iż nadlatujący jumbo-jet, którego widział przez okno, wylądował zaraz na środku tej sali. Z wyciem silnika, z opuszczonymi statecznikami i podwoziem, przeleciał nisko nad głową niczym ogromna ryba, mijając się z dachem o zaledwie, zdawałoby się, kilka centymetrów.

Sala była świeżo po remoncie. Na wykładanych brązowym zamazem ścianach wisiały oprawione plakaty filmów grozy i science fiction, a wokół odlanego z brązu stołu konferencyjnego na dwadzieścia miejsc, który wydawał się przeniesiony żywcem z jakiejś tybetańskiej świątyni, rozstawiono wyjątkowo niewygodne krzesła z wysokim oparciem, zaprojektowane bez wątpienia z myślą o tym, żeby posiedzenia nie przeciągały się niepotrzebnie.

Klient Toma, Ron Spacks, dobiegał sześćdziesiątki, miał chrapliwy oddech i kiedyś był impresariem rockowym. Siedział naprzeciwko Toma, dumnie prezentując garnitur zębów, za pięknych jak na jego wiek. Osobliwie kontrastowały też z twarzą, noszącą znamiona nadużywania różnych środków. Rzedniejące włosy wspomagała półperuczka, którą niezbyt dobrze włożył. Nosił bardzo spłowiały i wytarty podkoszulek z nadrukiem Grateful Dead, dżinsy i sandały.



Przeglądał wnikliwie katalog BryceRight, mruczając do siebie „taaak” za każdym razem, gdy natrafiał na coś, co go zainteresowało.

Tom popijał kawę z kubka i cierpliwie czekał. Firma Gravytrain Distributors była jednym z największych dystrybutorów DVD w kraju. Złoty medalion na szyi Spacksa, pierścionek ze strasów na palcach, czarne ferrari na dziedzińcu, wszystko to było świadectwem jego sukcesu.

Spacks, jak z dumą oznajmił kiedyś Tomowi, zaczynał od straganu w okolicach Portobello Road, gdzie handlował używanymi płytami DVD, kiedy jeszcze nikt nie wiedział, co to takiego DVD. Tom był prawie pewien, że imperium tego człowieka zbudowane zostało w znacznym stopniu na towarach pirackich, ale nie mógł sobie pozwolić, by wybierać klientów pod kątem ich moralności. W przeszłości Spacks dokonywał dużych zamówień i zawsze płacił od ręki.

- Taaak - zaczął Spacks. - Widzisz, Tom, moim klientom nie trzeba nic wymyślnego. Jakie masz nowości w tym roku?

- Podkładki pod piwo w kształcie płyt CD, zdaje się że są na stronie 42. Z dowolnym nadrukiem na życzenie.

Spacks przewrócił stronę.

- Tak - powiedział tonem, który mówił coś wręcz odwrotnego. - Tak - powtórzył. - To ile by kosztowało sto tysięcy? Spuścisz do fun-ciaka?

Tom czuł się zagubiony. Komputer był u niego w biurze, znowu poddawany reanimacji przez Chrisa Webba. Miał w nim kosztorysy wszystkich produktów, a bez wyceny nie odważyłby się udzielać rabatów - zwłaszcza dotyczących potencjalnie tak wielkich zamówień.

- Dam ci znać. Jeszcze dziś przyślę maila w tej sprawie.

- Musi być maksimum funcior. Tak naprawdę, to chciałbym coś koło siedemdziesięciu pensów.

Zadzwo niła komórka Toma. Zerknąwszy na wyświetlacz, wiedział, że to Kellie, i odrzucił połączenie.

Siedemdziesiąt pensów było nie do przyjęcia, to na pewno same płyty CD więcej go kosztowały - ale postanowił na razie nie mówić tego Spacksowi.

- Chyba będzie z tym ciężko - stwierdził dyplomatycznie.

- Taaak. Powiem ci o czymś innym, co by mnie interesowało. Jakies dwadzieścia pięć złotych roleksów, taaak.

- Złotych roleksów? Prawdziwych?

- Nie chcę żadnych badziewiastych podróbek. Oryginały. I trzeba na nich wygrawerować takie logo. Możesz mi podać cenę? Potrzebne mi pilnie. W połowie przyszłego tygodnia.

Tom postarał się nie okazać zaskoczenia, zwłaszcza po tym, co Spacks mówił, że nie chce nic wymyślnego. Teraz wchodziły w grę zegarki, które kosztują po kilka tysięcy funtów za sztukę. Jeszcze raz zadzwonił telefon.

To znowu była Kellie, co zaniepokoiło Toma; zazwyczaj zostawiały po prostu wiadomość. Może któreś z dzieci zachorowało?

- Jeśli pozwolisz, odbiorę - powiedział do Spacksa. - To moja żona.

- Której winienes posłuszeństwo, winienes też być na zawołanie. Rolex Oyster, to dopiero klasyka, nie?

Tom, który miał na temat złotych roleksów mniej więcej takie pojęcie, jak na temat ferm kurzych w Andach, odparł:

- O, tak, zdecydowanie.

Skinąwszy Spacksowi głowę, odebrał telefon.

- Cześć, kochanie.

Kellie brzmiała jakoś dziwnie bezradnie.

- Tom, przepraszam, że ci zawracam głowę, ale miałam telefon, który mnie wystraszył.

Wstał i odszedł parę kroków dalej od Spacksa.

- Kochanie, co się stało?

- Poszłam do manikiurzystki. Jakies pięć minut po moim powrocie do domu zadzwonił telefon. Jakiś człowiek zapytał, czy to pani Bryce, i ja... ja powiedziałam: tak. Potem zapytał, czy to pani Kellie Bryce, a ja powiedziałam: tak. Wtedy odłożył słuchawkę.

Był zimny, dżdżysty dzień, a klimatyzacja sprawiała, że w sali panował większy chłód niż powinien. Lecz nagle coś o wiele zimniejszego wśliznęło się do wnętrza Toma, zaciskając twarde, lodowate palce na jego sercu.

Wczorajsza pogróżka? Groźba, przekazana w ciągu tych paru sekund przed wykasowaniem pamięci jego komputera? Czyżby ten telefon miał związek z otrzymanym wtedy e-mailem?

*Jeśli o tym, co Pan widział, powiadomi pan policję, lub spróbuje Pan kiedykolwiek jeszcze dostać się na tę stronę, wówczas to, co zaraz stanie się z Pańskim komputerem, stanie się z Pańską żoną Kellie, Pańskim synkiem Maksem, i Pańską córeczką Jessicą.*

Tylko że, oczywiście, nie powiadomił policji ani nie próbował się dostać na tamtą stronę. Rozważył pośpiesznie istniejące możliwości.

- Oddzwoniłaś? 1471?
- Tak. Powiedzieli, że numer zastrzeżony.
- Gdzie teraz jesteś, kochanie?
- W domu.

Spojrzał na zegarek, ręka mu drżała. Właśnie minęło południe, - Słuchaj, to pewnie nic takiego, po prostu pomyłka. Nie wiem. Może ktoś sprawdzał coś w związku z jakimś zakupem na eBayu. Mogą być dziesiątki powodów - mówił, starając się, żeby zabrzmiało to krzepiąco, jednak siebie samego nie zdołał przekonać. Przed oczami stał mu wciąż obraz tej pięknej, długowłosej dziewczyny, zarzynanej tam, w tamtym pokoju przez tamtego mężczyznę.

- Akurat mam spotkanie. Oddzwonię jak tylko będę mógł.
- Kocham cię - powiedziała.

Zerkając na Spacksa, który kartkował kolejne strony katalogu, odparł półgłosem:

- Ja ciebie też. Zadzwońię za pięć, góra dziesięć minut.
  - Ach, te baby! - odezwał się współczująco Spacks.
- Tom kiwnął głową.
- Z kobitami nie wygrasz.

- Oj, nie - zgodził się Tom.
- Czyli tak. Zegarki Rolex. Potrzebna mi cena na dwadzieścia pięć złotych zegarków Rolex. Z niewielkim grawerunkiem. Na koniec przyszłego tygodnia.

Tom był wytrącony z równowagi, niepokoił się o Kellie, potencjalna wartość zamówienia ledwie do niego docierała.

- Jaki ma być grawerunek?
- Malutki. Mikroskopijny.
- W porządku. Odezwę się. Zrobię ci to za najlepszą cenę.
- Taaak.

## ROZDZIAŁ 16

Sposób, w jaki Glenn Branson prowadził samochód, zawsze budził niepokój Grace'a, lecz odkąd Branson, starając się o przeniesienie do krajowej brygady zwalczania przestępczości, przeszedł policyjny kurs zaawansowanej jazdy, niepokój przeszedł w stan panicznego przerażenia. Co gorsza, Glenn zawsze ustawiał radio samochodowe na jakąś rapową stację, i to tak głośno, że Grace miał uczucie, jakby mu głowa trafiła do bębna betoniarki.

Kierowcy, którzy ukończyli pkzj, mogli brać udział w pościgach samochodowych. Branson chcąc zaprezentować swoje umiejętności, wybrał jedyną trasę, gdzie na pewnym odcinku można bez specjalnych starań spowodować naprawdę poważną kraksę przy dużej prędkości. Był to dwuipółkilometrowy odcinek dwukierunkowej jezdni, który przebiegał niczym kręgosłup przez wiejskie obszary Downlandu, rozciągające się pomiędzy strefą przemysłową - miejscem lokalizacji siedziby wydziału dochodzeniowego - a centrum Brighton.

Grace czuł się jak na torze wyścigowym. Widział drogę na półtora kilometra przed sobą: dwa łagodne zakręty, prosta, na końcu ostry zakręt w prawo, a niecały kilometr dalej równie ostry zakręt w lewo, gdzie tydzień temu doszło do śmiertelnego wypadku. Dojrzał nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę i zerknął na Bransona, w nadziei, iż ten zauważył, że prawdopodobnie dojadą do zakrętu w prawo w tym samym czasie.

Strzałka szybkościomierza pokazywała niedozwoloną prędkość sto pięćdziesiąt i pięła się w górę. Krople mżawki rozmywały się na przedniej szybie.

- Patrz, facet! - zawołał Branson, przekrzykując dudniący głos Jay-Z. - Zjeżdżasz na prawo, stamtąd masz najlepszy widok na cały zakręt, i wtedy ścinasz wierzchołek. Tak to się robi w Formule 1.

Roy gwizdnął przez zęby, gdy ścinali wierzchołek wraz z kawałem błota, trawy i pokrzyw z pobocza. Wóz szarpnął niepokojąco. Koszula przykleiła mu się do ciała.

Ciężarówka była coraz bliżej.

Grace sprawdził napięcie swojego pasa bezpieczeństwa i rzucił okiem na szybkościomierz. Nieoznakowana policyjna vectra jechała w tej chwili sto osiemdziesiąt na godzinę. Pomyślał, że może należałoby zapytać kolegę, czy ma w ogóle zamiar zahamować, zanim dojadą do zakrętu w prawo pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, od którego dzieliło ich zaledwie kilkadziesiąt metrów, ale nie chciał rozpraszać uwagi Glenna rozmową. Na zboczach smaganym wiatrem pagórka po lewej stronie Grace dojrzał dwóch ludzi ciągnących wózki z kijami golfowymi.

Zastanawiał się, czy pisane jest mu spędzić ostatnie chwile na tej ziemi w zgruchotanym wraku policyjnego vauxhalla, wśród zapachu stęchłych hamburgerów, papierosów i cudzego potu, podczas gdy dwóch dziadków w strojach do golfa będzie się na niego gapić bezradnie przez rozbitą przednią szybę, a nieznany mu zupełnie rapper wykrzykiwał obelgi pod jego adresem.

- No więc przecucie mam takie - odezwał się Branson na samym wierzchołku zakrętu, gdy przód ogromnej ciężarówki był już o zaledwie kilkaset metrów od nich.

Grace uchwycił się oburącz fotela.

Wbrew wszelkim prawom fizyki samochód wyszedł jakoś z zakrętu, wciąż przodem do kierunku jazdy. Teraz czekał ich jeszcze tylko jeden niebezpieczny zakręt, a potem znajdą się we względnie bezpiecznej strefie sześćdziesiąt na godzinę.

- Zamieniam się w słuch.

- A ja słyszę tylko bicie twojego serca - powiedział Branson z uśmiechem.

- Całe szczęście, że jeszcze mi bije. - Grace ściszył radio. Jakby w odpowiedzi na to, Branson zwolnił.

- Teresa Wallington, mieszka z narzeczonym, nie? No i planują przyjęcie zaręczynowe w restauracji Al Duomo na wtorek wieczór: musi być w środku tygodnia, bo on ma jakiś dziwny grafik dyżurów. Mają zjechać do nich krewni i znajomi z całego kraju, nie?

Grace milczał. Choć byli już na spokojniejszych wodach, gdzie obowiązywało ograniczenia prędkości do sześćdziesięciu, niebezpieczeństwo jeszcze nie całkiem minęło. Podczas gdy Branson rozmawiał, bawiąc się jednocześnie radiem, samochód nieustannie znosiło na przeciwny pas ruchu, po którym nadjeżdżał autobus. Kiedy już Grace miał w panice chwycić za kierownicę, Branson, jakby dopiero wtedy zauważył autobus, niespiesznie zjechał z powrotem na lewą stronę drogi.

- A wtedy ona nie zjawia się - ciągnął Branson. - Ani telefonu, ani esemesa.

- Czyli to narzeczony ją zamordował?

- Kazałem mu przyjść dziś po południu. Pomyślałem, że damy go do salonu, trochę mu się przyjrzymy.

W Sussex House znajdował się salon przesłuchań świadków, który można było monitorować przez kamerę z przyległego pokoju. Służył głównie do rozmów ze świadkami. Policjanci mogli studiować ich język ciała i w ogóle poddawać ocenie ich wiarygodność. Czasem jednak Grace uznawał, że dobrze właśnie tam przeprowadzić pierwsze przesłuchanie osób z kręgu podejrzanych - najczęściej męża lub kochanka ofiary morderstwa.

W wygodnych czerwonych fotelach salonu przesłuchań świadków ludziom łatwiej przychodziło wyjawianie sekretów; twarde krzesła, ponure pokoje przesłuchań na komendzie miejskiej w Brighton raczej temu nie sprzyjały. Jeśli zachodziła potrzeba, nagrania

wideo można było przekazać specjalście, który sporządził portret psychologiczny. Dokładnie z tego samego powodu czasami starano się jak najprędzej ściągnąć współmałżonków, partnerów lub kochanków ofiar morderstw do studia telewizyjnego - żeby przekonać się, co powie język ich ciała.

- Jak widzę, straciłeś już zainteresowanie tą aplikantką adwokacką? A taką miałaś do niej słabość - droczył się Grace.

- Rozmawiałem z jej najlepszą przyjaciółką. Powiedziała mi, że tamta nieraz robiła podobne numery: znikala z radarów na parę dni bez żadnego wyjaśnienia. Jedyna różnica, że nigdy jeszcze nie pozwoliła sobie na nieobecność w pracy.

- Taka postrzelona, mówisz?

- Na to mi wygląda. - Glenn znów manipulował przy radiu.

Grace się zastanawiał się, czy Branson zauważył sznur pojazdów przed sobą, które przystały na czerwonym świetle -bo jechali o wiele za szybko, tylko patrzeć, jak walną w tył śmieciarki. Tym razem nie pozostał bierny.

- Glenn!

Branson zareagował, ostro przydeptując pedał hamulca, co wywołało pisk opon samochodów za nimi. Grace się odwrócił i zobaczył małe, czerwone auto, które hamując zygakiem, zatrzymało się w końcu o parę centymetrów od tyłu ich samochodu.

- Na jaki kurs jazdy ty chodziłeś? - spytał Grace. - Przypomnij mi. Rozdawali tam skrypty pisane alfabetem Braille'a?

- Odpieprz się. Menda jesteś, nie pasażer, wiesz? Klasyczny kierowca z tylnego siedzenia.

Grace pomyślał, że na tylnym siedzeniu czułby się o wiele bezpieczniej.

Silnik zgasł i Branson odpalił go na nowo.

- Pamiętasz początek „Włoskiej roboty”, kiedy on wjeżdża tym lamborghini do tunelu i pierdut!

- W remake'u?

- Coś ty, gamoniu, tamto to był szajs. W tym oryginalnym. Tym z Michaeliem Caine'em.



- Pamiętam ten autobus na końcu. Jak się zwiesza z urwiska. Twój styl jazdy właśnie z tym mi się kojarzy.

- Aha, więc powiem ci, że prowadzisz jak stara baba.

Grace wyciągnął z teczki egzemplarz „FHM”.

- Możesz zatrzymać na moment? Potrzebna mi twoja rada.

Kiedy zapaliło się zielone światło, Branson ruszył i po chwili zjechał na przystanek autobusowy. Grace otworzył pismo, pokazując mu rozkładówkę ze zdjęciami modeli prezentujących aktualne trendy w modzie męskiej. Glenn spojrział na niego podejrzliwie.

- Zmieniasz orientację, czy co?

- Mam randkę.

- Z jednym z nich?

- Świetny dowcip. Umówiłem się z kimś, na kim mi zależy. Zdaje się, że jesteś arbitrem elegancji policji Sussex, doradź mi coś.

Branson patrzył przez chwilę na fotografie.

- Już ci mówiłem, nie? Powinieneś coś zrobić z włosami.

- Dla ciebie to proste, bo nie masz własnych.

- Gołę głowę, facet, bo tak jest w porzo.

- Ja nie ogolę.

- Znam świetnego fryzjera, Ian Habbin z „The Point”. Zrób sobie parę pasemek, z boku zostaw krótkie, ale zapuść trochę u góry i całość postaw na żel.

- Nie zdążę zapuścić do ósmej wieczór. Ale zdążę kupić jakieś ciuchy.

Glenn obdarzył nagle przyjaciela serdecznym uśmiechem.

- Ty mówisz serio, facet; naprawdę masz dziś czułą randkę! Cieszę się! - Uścisnął ramię Roya. - Czas najwyższy, żebyś pomyślał o sobie. Kto to jest? Znam ją?

- Może. - Grace był wzruszony reakcją przyjaciela.

- Odpuść sobie te zasrane tajemnice. Emma-Jane? Całkiem niezła sztuka!

- Nie, nie ona; zresztą jest dla mnie za młoda.

- No to kto? Bella?

- Powiedz mi tylko, w co mam się ubrać.  
- Byle nie w ten zgreadowski garnitur, który masz na sobie.  
- No gadaj, jak myślisz?  
- Gdzie pójdziecie?  
- Może do Latin In the Lanes. Na coś włoskiego.  
- To ulubiona restauracja mojej starej! Ari uwielbia tamtejszy zestaw owoców morza z rusztu. - Roześmiał się. - Facet, ty wydasz na nią kupę kasy!

Roy wzruszył ramionami.

- A co, według ciebie mam zrobić? Zabrać ją do McDonalda?

Glenn puścił to mimo uszu.

- Przyjrzyj się jej, kiedy będzie jadła.

- A niby czemu?

- Po sposobie jedzenia można poznać, jaka będzie w łóżku.

- Zapamiętam.

Branson w milczeniu studiował rozkładówkę z modą.

- Na twoim miejscu nie starałbym się wyglądać zbyt młodo.

- Gadasz jak potłuczony.

Branson wskazał na modela ubranego w luźną, sportową beżową marynarkę narzuconą na biały podkoszulek, džinsy i brązowe mokasy.

- To ty. Widzę cię w tym, Panie Fajny. Idź do Luigi's na Bond Street; tam będą coś takiego mieli.

- Wybierzesz się ze mną po prosektorium? Pomożesz mi coś wybrać.

- Pod warunkiem, że umówisz się potem ze mną na randkę.

Rozległ się głośny ryk klaksonu. Branson i Grace obejrżeli się i zobaczyli maskę autobusu wypełniającą całą tylną szybę ich samochodu.

Branson wrzucił bieg i ruszył. Parę minut później zjeżdżali z góry, włączając się w ożywiony ruch okrężny, minęli po prawej hipermarket Sainsbury's a następnie strategicznie położony zakład pogrzebowy. Potem skręcili ostro w lewo przez bramę z kutego żelaza umocowaną na ceglanych filarach z niewielkim, mało zachęcającym

napisem PROSEKTORIUM MIEJSKIE W BRIGHTON I HOVE.

Grace nie wątpił, że istnieją na świecie gorsze miejsca, w porównaniu z którymi on żyje sobie jak u Pana Boga za piecem. Lecz w jego odczuciu to miejsce było tak okropne, że trudno wyobrazić sobie coś gorszego. Zapamiętał takie gdzieś zasłyszane wyrażenie: „banalność zła”. A to było miejsce banalne. Nijaki obiekt, wytwarzający wokół ponurą aurę, podłużny parterowy budynek o murach pokrytych szarym tynkiem kamyczkowym, z krytym wjazdem z jednej strony, na tyle wysokim, by mogła przejechać karetka.

Prosektorium było przystankiem w drodze do grobu lub pieca krematoryjnego dla tych, którzy zmarli nagłą, gwałtowną bądź niewyjaśnioną śmiercią- lub też na jakąś chorobę o szybkim przebiegu, jak wirusowe zapalenie opon mózgowych, gdzie sekcja zwłok mogła dostarczyć lekarzom informacji, które z czasem przyczynią się do ratowania żywych. Grace zazwyczaj mimo woli wzdrygał się, przejeżdżając przez tę bramę, lecz dziś było inaczej.

Rozpierała go radosna euforia. Nie z powodu zwłok, w których badaniu miał uczestniczyć, lecz z powodu kobiety, która tu pracowała. Z którą był umówiony na wieczór na randkę.

Ale nie miał zamiaru mówić tego Glennowi Bransonowi.

## ROZDZIAŁ 17

Tom ostrożnie wycofał samochód z zatoczki na parkingu Gravytrain Distributing, uważając, żeby nie uderzyć w ferrari Rona Spacksa, po czym zamocował telefon w uchwycie i wybrał numer Kellie.

Obraz zarzynanej kobiety mroził mu krew w żyłach i wciąż powracał. To był film, to na pewno był film - istniały setki filmów, których jeszcze nie widział - po prostu scena z jakiegoś dreszczowca. Albo może zwiastun filmu. W dzisiejszych czasach można zrobić dowolne efekty. To był film, horror.

To musiał być film.

Wiedział jednak, że próbuje tylko sam siebie przekonać. A rozwalenie mu komputera, a e-maile z pogrózkami? Przeszedł go dreszcz, jakby jakaś ciemna chmura przeszła mu przez duszę. Co to właściwie było, do cholery, co zobaczył we wtorek wieczorem?

Po chwili usłyszał głos Kellie, już odrobinę weselszy.

- Hej, hej.

- Kochanie. Przepraszam, że tak wyszło. Rozmawiałem z bardzo trudnym klientem.

- Nie, nie szkodzi, raczej ze mną coś się dzieje, spanikowałam. To było po prostu, no wiesz, jakieś takie niesamowite.

Tom jechał właśnie wzdłuż szeregu hal fabrycznych i magazynów, gdy nadleciał następny samolot podchodzący do lądowania, więc podniósł głos, przekrzykując hałas.

- Powiedz mi dokładnie, co się stało.
  - Był telefon. Facet zapytał, czy to mieszkanie państwa Bryce, potem czy pani Kellie Bryce to ja, a kiedy potwierdziłam, rozłączył się.
  - Wiesz, co to było? - mówił Tom. - Prawdopodobnie jeden z tych oszustów. Niedawno czytałem o nich w gazecie. Działa cała szajka. Dzwonią do ludzi, podając się za pracowników ich banku, że to niby sprawdzają bezpieczeństwo systemu; każą potwierdzić kupę rzeczy, o domu, różne hasła, numery konta i kart kredytowych. To mógł być jeden z nich, tylko że mu coś przerwało w trakcie.
  - Możliwe. - Nie wyglądało na to, żeby była bardziej przekonana do tej wersji niż on sam. - Miał dziwny akcent.
  - Akcent? Jaki?
  - Jakiś europejski, cudzoziemski.
  - I nic więcej nie powiedział?
  - Nie.
  - Spodziewasz się dostawy jakichś towarów?
- Zapadła niezręczna cisza.
- Niezupełnie.
- Kurczę. Jednak coś kupiła.
- Co znaczy „niezupełnie”, kochanie?
  - Aukcja jeszcze się nie zakończyła.
- Tom nie chciał nawet wiedzieć, co też tam dzisiaj mają w promocji.
- Słuchaj, postaram się wrócić wcześniej. Muszę jeszcze pojechać do miasta i odebrać laptopa: znowu jest w naprawie.
  - Wciąż nawala?
  - Są jakieś zakłócenia trudne do usunięcia. Jak pogoda?
  - Przejąśnia się.
  - Może, jeśli dotrę na czas, zrobilibyśmy sobie z dziećmi grilla w ogrodzie?
  - Tak. No, może.

Odpowiedziała jakoś dziwnie, prawie wymijająco, pomyślał; wyjeżdżając na główną drogę, wypatrywał na rondzie, do którego się zbliżał, drogowskazów na Londyn.

Przez całą drogę, pełną w korku na M4 dzięki przekłętemu pa-sowi dla autobusów, wynalazkowi Kena Livingstone'a - za ten po-mysł gotów był usmażyć jądra burmistrza w głębokim oleju - Tom obmyślał wszelkie możliwe powody, dla których ktoś miałby wyko-nać taki telefon, po czym się rozłączyć. Najbardziej prawdopodobne było to, że dzwonił kierowca z dostawą towaru i coś przerwało połą-czenie. Po prostu. Nie ma się czym niepokoić.

Tylko że nadal się niepokoił, ponieważ, cholera, tak strasznie ko-chał Kellie, Maksa i Jessicę.

Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym we mgle na M1, kiedy miał dwadzieścia lat, a jedyny brat, Zack, młodszy o pięć lat, który nigdy nie zdołał się po tym podźwignąć, był zaćpanym wyko-lejńcem mieszkającym na plaży Bondi Beach w Sydney, miał się do-rywczyczych zajęć i trochę surfował na desce. Oprócz Zacka i zamiesz-kałego w Melbourne wuja - którego ostatni raz widział, mając dzie-sięć lat, i który nie pofatygował się nawet na pogrzeb jego rodziców - Kellie, Max i Jessica byli jedyną jego rodziną i przez to jeszcze bar-dziej drodzy.

Akurat kiedy autostrada przeszła w Cromwell Road, zadzwonił jego telefon. Na wyświetlaczu nie pojawił się żaden numer.

Tom przyjął połączenie.

- Halo?

Męski głos z jakimś silnym wschodnioeuropejskim akcentem za-pytał:

- Czy rozmawiam z Tomem Bryce'em? Odpowiedział z rezerwą:

- Tak, słucham.

Wtedy tamten odłożył słuchawkę.

## ROZDZIAŁ 18

Zwłoki dziewczyny leżały na stalowym wózku w sterylnej sali sekcyjnej, opakowane w przezroczystą folię jak mrożonka w supermarkecie.

Tułów był owinięty w pojedynczy arkusz folii; nogi i ręka wydobyte z pola rzepaku leżały osobno opakowane. Ręka znajdowała się w małym worku, a każdą stopę zabezpieczał oddzielny woreczek - żeby ochronić wszelkie włókna czy strzępki skóry lub drobiny ziemi, które mogły zalegać pod paznokciami. Wszystko to razem zawinięto dużym arkuszem folii.

Właśnie ten zewnętrzny arkusz doktor Frazer Theobald bardzo ostrożnie w tej chwili zdejmował, skrupulatnie sprawdzając czy nie trafi na cokolwiek, choćby najbardziej mikroskopijnego, co odpadło od skóry czy włosów denatki, a mogło pochodzić od zabójcy.

Grace był już w tym miejscu więcej razy, niż chciał pamiętać. Po raz pierwszy jakieś dwadzieścia lat temu, jako początkujący glina i po raz pierwszy obecny przy sekcji zwłok. Miał wciąż przed oczami, jakby to było dziś, widok sześćdziesięcioletniego mężczyzny, który spadł z drabiny; leżał na stole zupełnie nagi, wyzuty z wszelkiej ludzkiej godności, z dwiema przywieszkami z nazwiskiem przywiązanymi do wielkiego palca u nogi - jedną zieloną i jedną płowóżółtą.

Kiedy laborant naciął skórę z tyłu skalpu, tuż pod linią włosów, po czym ściągnął ją do przodu, na twarz, odsłaniając czaszkę, a

patolog, z obrotową piłą taśmową w rękach, zaczął z chrzęstem rozcinać czubek głowy, Grace zrobił to samo, co wielu innych początkujących policjantów, mianowicie przybrał straszliwy odcień zieleni, slaniając się na nogach dotarł do toalety i zwymiotował.

Nie zwymiotował już nigdy więcej w tym miejscu, ale przebywanie tu zawsze było dla Grace'a ciężkim przeżyciem. Czuł się okropnie, i fizycznie i psychicznie. Smród środka odkażającego Trigene utrzymywał się w każdym porze skóry jeszcze cztery godziny po wyjściu z budynku; rozproszone światło wpadające przez mleczone szyby nadawało pomieszczeniu efemeryczny charakter. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to prosekorium jest składem, przechowalnią, brutalną fazą pośrednią pomiędzy umieraniem a wiecznym odpoczywaniem.

Ciała trzymano tu do czasu ustalenia przyczyny śmierci, a w niektórych przypadkach aż do oficjalnej identyfikacji, po czym przekazywano je do odpowiedniego zakładu pogrzebowego, stosownie do wskazówek rodziny. Czasami zwłoki pozostawały niezidentyfikowane. Jedne z nich, należące do pewnego starszego mężczyzny, leżące w chłodni na zapleczu, przebywały tu już od blisko roku. Znalezione go martwego na ławce w parku, lecz nikt się po niego nie zgłosił.

Czasami Grace, kiedy ogarniały go czarne myśli, zastanawiał się, czy może i z nim tak kiedyś będzie. Nie miał żony, dzieci, rodziców - tylko siostrę, ale co będzie, jeśli ją przeżyje? Jednak rozważał te kwestie niezbyt często - miał dostatecznie dużo problemów z życiem - choć rzeczywiście sporo rozmyślał o śmierci. Zwłaszcza tu. Czasami, kiedy spoglądał na zwłoki na wózku albo na drzwiczki szafek chłodniczych, przechodził go zimny dreszcz na myśl, ile duchów błąka się w tym budynku.

Cleo Morey, naczelną laborantkę, pomogła doktorowi Theobaldowi zdjąć duży, zewnętrzny arkusz folii, po czym starannie złożyła go do przechowania; zostanie przekazany do zbadania w laboratorium kryminalistycznym, jeśli zwłoki nie naprowadzą na żaden trop. Grace pozwolił sobie na parę chwil zatrzymać na niej wzrok. Nawet



w stroju roboczym poraża urodą, pomyślał, a pogląd ten podzielał każdy, kto ją poznał.

Patolog rozpakował tułów i przystąpił do pracochłonnego mierzenia i zapisywania wymiarów każdej z trzydziestu czterech ran klutych.

Ciało było bledsze niż wczoraj i choć na znacznej powierzchni, w tym na piersiach, było tak poranione, że zamieniło się w pasma szkarłatnej miazgi, widział już, że pojawiły się pierwsze oznaki stężenia zwłok.

Centralne miejsce w sali zajmowały dwa stalowe stoły sekcyjne, jeden nieruchomy, a drugi, na którym leżały zwłoki dziewczyny, na kółkach. Były tam niebieski podnośnik hydrauliczny i rzędy szaf chłodniczych, z drzwiczkami, od podłogi do sufitu. W podłodze wzdłuż ścian wyłożonych szarą glazurą, biegła naokoło rynna odpływowa. Przy zlewach zamocowanych na ścianie leżał zwinięty żółty szlauch. Do przeciwległej ściany przylegał szeroki blat, z metalowym stołem, na którym robiono sekcję, a obok stała szklana szafka wypełniona narzędziami, paroma paczkami baterii Duraceli i ponurymi pamiątkami, których nikt nie chciał odebrać - najczęściej rozrusznikami serca - wyjętymi z ciał ofiar.

Była też tabela ścienna, z wyszczególnieniem nazwiska zmarłej, z osobnymi rubrykami na wagę mózgu, płuc, serca, wątroby, nerek i śledziony. Na razie wpisano tam tylko NIEZID. KOBIETA.

Sala, mimo że spora, tego ranka sprawiała wrażenie zatłoczonej. Oprócz anatomopatologa i naczelnej laborantki byli tam młodszy laborant Darren, bystry, przystojny i sympatyczny dwudziestoletni chłopak z modnie nastroszonymi czarnymi włosami, szef ekipy zabezpieczenia śladów Joe Tindall, który fotografował linijkę przyłożoną kolejno do każdej z ran, Glenn Branson i Grace.

Goście mieli na sobie zielone fartuchy ochronne z białymi mankietami i foliowe ochraniacze na buty albo białe gumki. Patolog i naczelna laborantka niebieskie piżamy i mocne, zielone fartuchy,

przy czym patolog miał jeszcze maskę zwisającą luźno pod podbródkiem. Grace rzucił okiem na Cleo Morey, przechwycił jej spojrzenie, a potem krótki, ale bardzo wyraźny uśmiech, przeznaczony dla niego, i nerwy zadrgały mu niczym struny.

Był podniecony jak nastolatek. Niezbyt dobrze to o nim świadczyło - w tej chwili powinien się skoncentrować wyłącznie na śledztwie. Lecz nic nie mógł na to poradzić. Cleo Morey rozpraszała jego uwagę.

Spotkali się już raz na randce kilka dni temu. No, powiedzmy, było to coś na kształt randki - szybki drink w pubie, jeszcze bardziej skrócony przez telefon, który wzywał go do natychmiastowego powrotu do pracy.

Boże, ależ ona jest zachwycająca, pomyślał. I choćby nie wiem ile razy ją widywał, ta zgrabna, długonoga kobieta przed trzydziestką, z sięgającymi ramion blond włosami, klasyczną angielską urodą i byстрыm umysłem, jakoś mu nie pasowała do pracy w tym miejscu, gdzie zajmowała się jedną z najbardziej ponurych czynności, jakie istnieją na tym świecie. Z taką urodą mogłaby być modelką albo aktorką, a z tą inteligencją mogłaby pewnie zrobić karierę w każdej dziedzinie, jaką by sobie wybrała - a ona wybrała to. Wielogodzinne dyżury pod telefonem, dzień i noc. W każdej chwili mogli ją wezwać gdzieś nad brzeg rzeki, do spalonej hurtowni, do płytkiego grobu w lesie, żeby wydobyła zwłoki. Żeby przygotowała je dla patologa do sekcji, a potem złożyła w miarę możliwości do kupy, żeby rodzina mogła zidentyfikować ciało, bez względu na to, do jakiego stopnia było zwęglone czy jak daleko posunięty był rozkład, oferując przy tym najbliższym ofiary jakieś wsparcie, jakąś iskierkę nadziei, że śmierć tej drogiej im osoby nie była aż tak straszna, jak na to wskazuje stan ciała.

Przyglądając się, jak doktor Theobald przyciska linijkę do piątej rany od noża, tuż nad pępkiem zamordowanej dziewczyny, nie zadróścił Cleo zadania, które miała w tym wypadku. Miejmy nadzieję, że uda się ją zidentyfikować poprzez testy DNA, pomyślał; żaden

rodzic nie powinien nigdy czegoś takiego oglądać. A jednak wiedział aż za dobrze, jak ważne jest dla niektórych osób, żeby zobaczyć samemu. Często mimo wszelkich starań, by ich od tego odwieść, bliscy nalegali, żeby pokazać im ciało ofiary, chcieli spojrzeć jeszcze raz, pożegnać się.

Zamknijcie rozdziału.

Coś, co jemu nie było nigdy dane. I to pomagało mu zrozumieć tę potrzebę. Bez zamknięcia dotychczasowego rozdziału nie było nadziei na to, że życie potoczy się dalej. Właśnie dlatego pozostawał w stanie zawieszenia od czasu zniknięcia Sandy. Nazajutrz miał przybyć do Brighton dość znany młody jasnowidz, aby wystąpić przed bardzo małą widownią w ośrodku medycyny alternatywnej, i Grace wykupił już bilet. Prawdopodobnie znów okaże się, że to pudło, zdawał sobie sprawę, lecz policja, tak brytyjska, jak i zagraniczna, wyczerpała wszelkie konwencjonalne możliwości.

Cleo rzuciła mu spojrzenie, krótkie, ale ciepłe i wyraźnie kokieteryjne. Upewniwszy się uprzednio, że Glenn Branson nie patrzy, puścił do niej oko.

Jezu, ależ ty jesteś zachwycająca!, pomyślał z ciężkim sercem i cholernym poczuciem winy wobec Sandy. Tak jakby po tylu latach wciąż oznaczało to zdradę, jeśli umawiał się z inną.

Rozległ się pojedynczy sygnał jego telefonu komórkowego, oznaczający nadejście esemesa. Wyciągnął aparat z wewnętrznej kieszeni i rzucił okiem na wyświetlacz. Wiadomość była od detektywa Nicholla, który był już z powrotem w centrum koordynacji.

TERESA WALLINGTON WYELIMINOWANA.

Podszedł chyłkiem do Bransona i dał mu gestem znać, by przeszli do tylnej części sali.

- Wydaje mi się, że musisz jeszcze popracować nad swoją intuicją. - Potrzymał mu telefon przed oczami, żeby mógł przeczytać wiadomość.

- Kurczę, Miałem przecucie, naprawdę miałem w tej sprawie przecucie - usprawiedliwiał się bezradnie. Wyglądał na tak przybitego, że Grace'owi zrobiło się go żal.

Poklepał go po ramieniu.

- Wiesz, w filmie „Siedem” Morgan Freeman też miał przecucie, które niezupełnie się sprawdziło.

Zerkając na niego spod oka, Branson zapytał:

- Chcesz powiedzieć, że to wspólna cecha czarnych gliniarzy?

- E tam, on jest aktorem. - Grace znów spojrzał na Cleo, na jej blond włosy z pasemkami kołyszące się z niestosownym wdziękiem na tle zielonego paska od fartucha na jej karku. - Może to wspólna cecha wielkich, łysych goryli. - Jeszcze raz klepnął go przyjacielsko w ramię.

Następnie wybrał numer Nicka z telefonu stacjonarnego, który stał obok, na blacie przy ścianie. Nowe, cyfrowe aparaty wydawane teraz policjantom kodowały wszystkie rozmowy, lecz używane dotychczas konwencjonalne komórki zbyt łatwo było podsłuchać, uniikał więc korzystania z nich w poufnych sprawach.

- Oblediał ją strach przed ślubem - tłumaczył Nick Nicholl. - I dała drapaka. A teraz wróciła, bardzo skruszona.

- Urocze - stwierdził sarkastycznie Grace. - Opowiem Glennowi. Przepada za dobrymi wyciskaczami łez z happy endem.

Z tamtej strony zapadło milczenie. Detektyw Nicholl posiadał bystry umysł, tyle że z blokadą poczucia humoru.

Przebiegli wspólnie listę czterech pozostałych zaginionych kobiet, które pasowały rysopisem, i Grace kazał Nichollowi dopilnować, żeby dla każdej z nich policja dysponowała jakimś przedmiotem, z którego można będzie pobrać próbkę DNA. Nicholl zdał mu sprawę z rezultatów trwających drobiazgowych przeszukiwań każdej piędzi ziemi wokół miejsca znalezienia zwłok, mających na celu znalezienie głowy i lewej ręki dziewczyny. W głębi duszy Grace nie liczył na to, że się znajdą. Ręka - może, bo mógł ją porwać pies albo lis. Ale wątpił, czy kiedykolwiek znajdą głowę.

Wykonał jeszcze jeden szybki telefon, żeby się dowiedzieć o postępy procesu Suresha Hossaina - sprawy, która stała się ważna dla niego osobiście. Była ona niełatwa, prokuratura popełniła w niej parę błędów, a on sam nie najlepiej ją poprowadził. Głupio zrobił, że jeden z dowodów, but należący do zamordowanego, zaniósł do jasnowidza. Obrońca oskarżonego dowiedział się o tym i upokorzył go przed sądem.

Doktor Frazer Theobald, jak zwykle powoli, ale dokładnie, posuwał się z robotą do przodu. Dokonane przez niego badanie żołądka denatki wykazało, że nic nie jadła w godzinach bezpośrednio poprzedzających zabójstwo, co mogło się przydać przy ustalaniu, kiedy mogło do niego dojść - raczej wczesnym wieczorem niż późnym, jeśli nie jadła jeszcze kolacji. Nie piła alkoholu - byłby wyczuwalny już po paru drinkach - co oznaczało, że jest mało prawdopodobne, choć nie całkiem wykluczone, że odwiedziła jakiś bar.

Tuż po pół do pierwszej, gdy Grace znów oddalił się na chwilę, tym razem po to, by zadzwonić do Dennisa Ponds w sprawie wyznaczonej na drugą konferencji prasowej, podszedł do niego Glenn Branson, z nietypowym dla niego wyrazem szoku na poźółkłej twarzy.

- Może lepiej chodź i zobacz, Roy.

Grace przerwał wybieranie numeru, odłożył słuchawkę i przeszedł na drugi koniec sali. Wszyscy stali wokół stołu w milczeniu, jakby odjęło im mowę. Podchodząc, poczuł ohydny odór kału i gazów jelitowych.

Tułów denatki był już rozcięty, klatka piersiowa otwarta i widział, że serce, płuca i pozostałe najważniejsze narządy zostały wyjęte i czekały, aż po zakończeniu sekcji zostaną opakowane w folię i umieszczone na powrót w pustej teraz klatce piersiowej.

Na tacce sekcyjnej z metalowym rantem, umieszczonej na wysięgniku kilkanaście centymetrów nad zwłokami, leżał kawał jasnobrązowej rury, wyglądający jak długa kiełbasa. Narząd ten miał jakieś dwa i pół centymetra średnicy i był cały upaprany krwią, kałem i

śluzem. Doktor Theobald zrobił na nim nacięcie, które rozwarł kleszczami, żeby wszyscy mogli popatrzeć. Patolog zwrócił się do Grace'a z wyrazem jeszcze większej niż zazwyczaj powagi na wąsatej twarzy. Wskazał na tackę.

- Myślę, że powinieneś rzucić na to okiem, Roy.

Anatomia nigdy nie była mocną stroną Grace'a, toteż nieraz kiedy się przypatrywał narządom nieboszczyka, potrzebował trochę czasu, żeby się połapać, co jest czym. Spojrzał z góry na narząd na tacce, próbując się domyślić, co to może być. Jakaś część jelit, pomyślał. Kiedy tak się przyglądał, doktor Theobald za pomocą kleszczy szerzej rozchylił nacięcie, które zrobił, i teraz Grace zobaczył, że w środku coś jest.

Coś, co wszyscy inni obecni już widzieli.

Coś, w co wpatrywał się przez parę chwil wstrząśnięty, nie wierząc własnym oczom.

Potem bezwiednie cofnął się o krok, jakby chciał przed tym uciec.

- O, Jezu - powiedział i na moment przymknął oczy, czując jak krew odpływa mu z mózgu. W żołądku zakotłowało mu się ze wzburzenia i odrazy. - O, mój Boże.

## ROZDZIAŁ 19

Był to błyszczący, tłusty, czarny żuk długości czterech centymetrów, o zakończonych kolcami odnóżach i prążkowanym grzbiecie; z głowy sterczał mu pojedynczy, zakrzywiony róg.

Frazer Theobald podniósł go delikatnie pincetą i unióś w górę, żeby wszyscy mogli zobaczyć. Stwór nie ruszał się.

Grace, który nie przepadał za chrząszczami, cofnął się jeszcze o krok. Prawdę mówiąc, w ogóle nie był za mocny, jeśli chodzi o róbale; przez całe życie bał się pajaków, a do żuków odnosił się z dużą rezerwą. A to był jakiś - o, Jezu! - wyjątkowo okropny z wyglądu stwór.

Przechwycił spojrzenie Cleo, w którym też dostrzegł odrazę.

- Co to właściwie jest? - spytał Branson drżącym głosem, wskazując na stół sekcyjny, nieświadomie ratując Grace'a przed zadaniem jakiegoś głupiego pytania.

- Odbytnica, oczywiście - wyjaśnił patolog lekceważąco.

Branson odwrócił twarz z widocznym wstrętem. Przypatrywał się następnie, jak Theobald unióś żuka do nozdrzy, a długie wiechcie wąsów doktora zadrżały, o mało nie oplatając się wokół cienkich jak włos kolców na odnóżach owada.

Patolog głęboko wciągnął powietrze nosem.

- Formalina - oznajmił. Podał chrząszcza Grace'owi, aby ten potwierdził jego rozpoznanie. Komisarz, walcząc z odrazą, powąchał żuka. Poczul woń, którą pamiętał jeszcze z niektórych lekcji biologii w szkole.

- Tak. - Znów spojrzał na stół sekcyjny.  
- Dlatego nie wykryłem go przy wzrokowym badaniu odbytu: był za głęboko.

Grace spojrzał na wylot leżącej na tacce rury, zwieracz tej martwej dziewczyny.

- Według ciebie, Frazer, umieszczono go tam po jej śmierci, czy przed?

- Nie umiem powiedzieć.

Wtedy zadał pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta.

- Ale po co?

- Będziesz się miał nad czym głowić - odrzekł Theobald. Branson stał na końcu sali, pochylony nad blatem przy zlewie.

- Pamiętajcie „Milczenie owiec”?

Grace pamiętał. Czytał powieść, jedną z nielicznych książek, przy których lekturze autentycznie się bał; widział też film.

- Tam każda z ofiar miała wsadzoną do gardła ćmę - przypomniał Branson. - To była trupia główka.

- Tak - potwierdził Grace. - Morderca zostawiał taki podpis.

- Może więc to też jest podpis mordercy.

Grace popatrzył na żuka, którego patolog wciąż trzymał w górze. Przez chwilę mógłby przysiąc, że odnóża stwora drgnęły, że był jeszcze żywy.

- Czy ktoś wie, jaki to gatunek żuka? - zapytał.

- Może jelonek? - rzuciła Cleo Morey.

- Taki wielki? - wtrącił się młodszy laborant Darren. - Miałem zajęcia z entomologii na studiach. Nie przypominam sobie tak dużego okazu. Nie sądzę, żeby to był tutejszy owad.

- Ktoś go sprowadził z zagranicy? - spytał Grace. - Zadał sobie tyle trudu, żeby go w końcu wcisnąć do jej kiszki stolcowej? Po co?

Zapadło długie milczenie. W końcu patolog włożył owada do plastikowego woreczka i opatrzył nalepką.

- Musimy dowiedzieć się o tym żuku jak najwięcej - stwierdził.



Grace zamyślił się. Przez lata z konieczności bardzo dużo się naczytał o mentalności morderców. Większość morderstw miała charakter środowiskowy, sprawcami okazywali się ludzie, którzy znali swoje ofiary. Były to jednorazowe wysoki, zbrodnie popełniane często pod wpływem namiętności czy chwilowych emocji. Lecz pewien niewielki procent morderców stanowili autentyczni psychopaci, którzy mordowali dla samozaspokojenia i byli przekonani, że są w stanie przechytrzyć policję - czasami do tego stopnia, że podejmowali z nią grę.

To własni tacy mordercy często pozostawiali na miejscu zbrodni coś w rodzaju podpisu. Szyderstwo. Zostawiam ci wskazówkę; złap mnie, jeśli potrafisz, ty dumny, chwost ci w dekiel, gliniarzu.

Grace spojrział na zegarek. Znał takiego człowieka, który mógł mu powiedzieć, prawdopodobnie od razu, jaki to gatunek żuka. Nie miał pojęcia, czy ta wiadomość do czegoś mu się przyda - ale może naprowadzi na jakiś trop?

- Musimy zachować to w tajemnicy przed prasą. Całkowita cisza w eterze na ten temat, wszyscy słyszeli?

Kiwnęli głowami. Rozumieli, o co mu chodzi. Jeśli ktoś zadzwoni, podając się za mordercę i będzie umiał opisać tego owada, oni, dysponując tak niespotykaną wskazówką, będą od razu wiedzieć, że to ten. Zaoszczędzi im to wielu godzin, jeśli nie dni, czasu straconego na odsiewanie fałszywych tropów.

Grace kazał Bransonowi wyznaczyć kogoś z zespołu w centrum koordynacji, by sprawdził, czy w całej Wielkiej Brytanii nie było jakichś morderstw, w których na miejscu zbrodni odnaleziono żuka. Następnie zadał patologowi głupie pytanie. Wiedział, że jest głupie, ale musiał je zadać.

- Czy żuk na pewno już nie żył, kiedy go wkładano?

- Nie sądzę, by ktokolwiek trzymał zapas formaliny w odbytnicy - odparł patolog z lekkim tylko sarkazmem. Wskazał niewielką szklaną fiolkę z jakimś mętnym płynem. - Tu nie ma go ani śladu: to śluz jelitowy.

Grace kiwnął głową i szybko obliczył w myśli czas. Jeśli wyjdzie zaraz po konferencji prasowej, zdąży pokazać żuka jednemu człowiekowi, który na pewno będzie go umiał zidentyfikować.

## ROZDZIAŁ 20

- Akwen Viking wiatr północno-zachodni, skręcający na południowo-wschodni, później przechodzący w zmienny, trzy lub cztery. Przelotne opady. Widzialność dobra. Północna Utsira, południowa Utsira, wiatr północno-zachodni, w rejonie południowej Utsiry początkowo cztery lub pięć, na pozostałym obszarze zmienne trzy lub cztery - mówił Synoptyk.

Jechał swoim samochodem, rzęchovatym fiacikiem panda, do cna przeżartym przez rdzę. W radiu jakiś palant, doprawdy nie wiedząc, o czym mówi, rozprawiał o tym, jak łatwo jest dziś dokonać kradzieży tożsamości. Za to prognoza pogody dla żeglugi była podczas jazdy wzdłuż Shoreham Harbour, portu handlowego sąsiadującego z miastem Brighton i Hove, zdecydowanie przydatna.

Po lewej minął Sussex Motor Yacht Club, potem jakąś hurtownię, po prawej rząd segmentów. Jechał na kolejne spotkanie z Jonasem Smithem - czyli Carlem Vennerem, jak się naprawdę nazywał. Ten grubas zaczynał działać mu na nerwy. W swoim czasie zadał się z Vennerem tylko po to, żeby się zemścić na ludziach, dla których pracował, bo ci wkurzali go naprawdę szczytowo. I oto teraz musiał rzucać wszystko za każdym razem, kiedy Venner go wzywał, ponieważ ten nie chciał się komunikować jak każdy normalny człowiek telefonicznie czy drogą mailową. Zawsze trzeba było odgrywać jakąś idiotyczną komedię, czy to spotykając się z nim, jak ostatnio, w

pokoju hotelowym, na wypadek gdyby ktoś go śledził, czy to - z rzadka - tak jak dziś, w jego biurze.

Minąwszy rząd segmentów, przejechał koło składnicy żeglarskiej, włączył prawy kierunkowskaz, poczekał na lukę w sznurze samochodów i dodając gazu, aż silnik zarzęził przy zwiększonych obrotach, skręcił na przemysłowe osiedle Portslade Units. Budynek, do którego zmierzał, można było łatwo rozpoznać z daleka po zaparkowanym na dachu śmigłowcu, który wyglądał jak jakiś zmutowany czarny owad. Prywatny śmigłowiec Vennera.

Minął skład antyków i zajechał na zadaszony parking dużej, nowoczesnej hurtowni obok czarnego mercedesa, o którym wiedział, że to jeden z samochodów należących do Vennera. Szyld na ścianie głosił: „Oceania & Occidental Import / Export”.

Zgasił silnik, nie wyłączył jednak Radio 5 Live, zastanawiając się, czyby nie zadzwonić z komórki i nie poprawić palanta trującego w eterze. Ale miał mało czasu, musiał wracać do biura. Mamrocząc pod nosem: - Akweny Forties, Cromarty, Tyne, Dogger, wiatr północno-zachodni siedem w porywach do wichury o sile dziewięć - wysiadł z samochodu, zamknął go, sprawdzając metodycznie wszystkie drzwi, podszedł do bocznego wejścia i pokazując twarz przed obiektywem kamery nadzoru, nacisnął guzik.

Rozległ się najpierw szcęk, a po nim zgrzytliwy brzęczyk odblokowania zamka. Pchnął ciężkie drzwi i wszedł do wielkiego jak boisko piłkarskie pomieszczenia na parterze, wypełnionego dużymi szarymi kontenerami. Dwaj gburowaci przybysze z Europy Wschodniej, jeden łysy z wytatuowaną głową, drugi z długą grzywą czarnych włosów, popatrzyli na niego, krótko kiwnęli głową, na znak, że go poznają, i ponownie skupili uwagę na jakimś kontenerze, dźwiganym w górę na wielkim podnośniku.

Synoptyk włamał się niedawno do systemu komputerowego firmy i poczytał sobie listy przewozowe. Wiedział, co jest w tych kontenerach. Połowa z nich zawierała legalne towary, przeważnie części do maszyn i agrochemikalia, resztę stanowiły kradzione luksusowe

samochody dla odbiorców w Rosji i na Bliskim Wschodzie, sprzęt wojskowy na wysyłkę do Syrii i Korei Północnej, oraz przeterminowane leki na rynek nigeryjski.

Nie miał jednak zamiaru opowiadać o tym Vennerowi. Chciał tylko spotkać się z nim, powiedzieć mu, czego się dowiedział, i wrócić do pracy. A wieczorem był umówiony na randkę z Moną - no, randkę na czacie internetowym. To już była ich trzecia. Mona pracowała dla pewnej firmy informatycznej w Boise w stanie Idaho, w Ameryce; rozmawiali głównie o środowisku naturalnym.

Ale najwspanialsze w niej było to, że też czytała Roberta Antona Wilsona\* i tak wiele ich łączyło. Zgadzała się z Synoptykiem, że już niedługo ludzie będą mogli ładować całą zawartość swych mózgów do komputerów i żyć życiem wirtualnym, uwolnieni od zasranych ograniczeń narzuconych przez biologię człowieka.

\* Robert Anton Wilson - amer, pisarz, futurolog. Współautor „Trylogii Illuminatus!”

Pojechał otwartą windą towarową na piętro.

- Słabnący we wschodnich częściach akwenów Forties i Dogger - poinformował Micka Browna, który już czekał na niego, ubrany w szary dres od Prady i białe mokasyny.

Albańczyk nigdy nie słyszał brytyjskiej prognozy pogody dla żeglugi. Nie miał pojęcia, o czym Synoptyk mówi, i nic go to nie obchodziło. Przez kilka chwil żuł gumę z otwartymi ustami, ukazując Synoptykowi drobne, białe siekacze, i spoglądał na niego, przypatrując się jego nieświeżej minie, nieświeżym włosom, nieświeżej białej koszuli, beżowym spodniom, niezgrabnym szarym butom. Przypatrywał się odruchowo szukając ukrytej broni, nie żeby uważał tego dziwnego pana Frusta za zdolnego do jej noszenia, ale za to mu płacono, więc tak czy owak sprawdzał.

Frost nie miał mięśni; wyglądał na cherlaka. Łatwo będzie go zabić, kiedy przyjdzie pora. Ale też żadna przyjemność. Albańczyk

wolał mieć do czynienia z godnymi siebie przeciwnikami; fajnie było takiemu dołożyć, jeżeli próbował człowiekowi oddać, zwłaszcza jeśli to była kobieta.

- Komórka? - rzucił z gardłowym akcentem.

- Nie przyniosłem.

- Zostawił? W auto czy w pracu?

- Praca - skłamał. - Zgodnie z instrukcją.

Na wprost windy znajdowały się solidnie wyglądające drzwi z zamkiem szyfrowym i kamerą przemysłową. Albanczyk wyjął z kieszeni kartę, przyłożył ją do panelu zamka, po czym pchnął drzwi, dając Synoptykowi gestem ręki znak, by poszedł za nim.

Gdy tylko znaleźli się w środku, Frost poczuł znajomy smród zastalego dymu z cygar. Weszli do niewielkiego, surowego pokoju bez okien, wyłożonego tanią wykładziną dywanową. Na umeblowanie składały się: stare, metalowe biurko, które wyglądało, jakby pochodziło z wyprzedaży likwidacyjnej, fotel obrotowy, zamontowany na ścianie plazmowy telewizor - akurat transmitowali jakiś mecz piłkarski - oraz pięć monitorów: jeden pokazujący co się dzieje za drzwiami biura, cztery pozostałe dawały łącznie pełen panoramiczny widok otoczenia budynku.

- Ty czeka. - Albanczyk odszedł w głąb biura i zniknął za kolejnymi drzwiami. Po chwili Synoptyk usłyszał podniesione głosy. Venner coś wykrzykiwał, ale dźwięk był zanadto przytłumiony, żeby można było zrozumieć, o czym mowa.

Popatrzył na ekran telewizora. Była pora obiadowa, jeszcze jeden powód do irytacji - już po raz drugi w tym tygodniu Venner wzywał go w czasie przerwy obiadowej. Wpatrzony w podłogę, koncentrując się na małym kawałku folii aluminiowej uwiecznionym wśród włókien wykładziny podłogowej, zastanawiał się, jak by się tu zdobyć na odwagę i powiedzieć Vennerowi, że nie chce już dla niego pracować. Rzucił okiem na telewizor, żalując że to piłka nożna, a nie „Star Trek”. Czerpał ze „Star Treku” siłę i odwagę, czerpał inspirację. Od czasu do czasu wyobrażał sobie, że jest postacią z tego serialu. Nieustraszenie podążając szlakiem...

- Hmm... - Człowiek, Który Nie Znał Co Znaczy Lęk, odchrząknął, by oczyścić gardło, oczyścić umysł, zastanawiając się usilnie, jak by tu się zdobyć na odwagę. Carl Venner nie będzie zachwycony...

Z tych rozmyślań wyrwał go nagle odgłos otwieranych drzwi i głos grubasa, który wywrzaskiwał piskliwie z luizjańskim akcentem:

- Weźcie mi tę jebaną sukę sprzed oczu! Kurwa, ugryzła mnie, suka jebana!

Po chwili, slaniając się na nogach, z pokoju wyszła przestraszona dziewczynka z wyrazem oszołomienia na twarzy. Była szczuplutka, miała wschodnioeuropejskie rysy twarzy, długie, ciemne włosy i jaskrawą, okropnie rozmazaną szminkę na ustach. Wyglądała dość osobliwie w seksownych butach, bluzce z głębokim dekoltem i minispódniczce tak krótkiej, że mogłaby zainteresować wydział do spraw nieletnich. Pod prawym okiem już zaczynał czernieć świeży obrzęk, a na lewym policzku widać było równie świeży ślad po uderzeniu, które przecięło skórę i sącząca się krew. Sińce pokrywały ramiona na całej długości.

Synoptyk ocenił, że mogła mieć dwanaście lat i ani dnia więcej.

Przez chwilę spotkała się z nim wzrokiem, jakby błagając o pomoc, on jednak spoglądał gdzieś w bok, szukając na wykładzinie tego kawałeczka folii; było mu przykro z jej powodu, ale czuł się bezradny, za to tym bardziej zdecydowany, by posłać Vennera na drzewo, tylko oczywiście, najpierw musiał zainkasować zapłatę.

Albańczyk powiedział coś do dziewczynki ostrym tonem, w niezrozumiałym dla Synoptyka języku. Odpowiedziała mu podniesionym głosem, śmiało jak na swój wiek, i zwróciła znów pełne rozpaczy spojrzenie na Synoptyka, lecz on tylko wpatrywał się w wykładzinę i mamrotał coś do siebie pod nosem.

Poczuł czyjeś ramię na plecach i smród cygara zmieszany z odorem potu, nieznacznie tylko stłumionym przez męską wodę kolońską Comme des Garçons - ostatnio, dla zabicia czasu przed odlotem,

nauczył się na pamięć zapachów wszystkich wód kolońskich w sklepie wolnocłowym na lotnisku Gatwick.

- Ona nie lubi w dupę, John. I co ty na to powiesz? - spytał Carl Venner, którego cała stusześcdziesięciopięćcentymetrowa i stusześcdziesięciopięćkilogramowa postać była w pewnym nieładzie i wyrażała wielkie wzburzenie. Policzek przecinała rysa po świeżym zadrapaniu. Zazwyczaj starannie zaczesane faliste srebrne włosy były zmierzwiłone, a kucyk rozczapierzony wymknął się z frotki. Grubas miał na sobie rozpiętą szmaragdową koszulę, w której brakowało połowy guzików, a spod niej wylaniały się ogromne, luźne schaby i bezwłosy biały brzuch, zwieszający się na błyszczący pasek od spodni.

Na twarzy wyskoczyły mu ze złości czerwone plamy, a na czole pokazały się białe wypryski egzemy, którą Synoptyk zauważył u niego już wcześniej; słysząc jak dyszy chrapliwie, zastanawiał się, czy tłuszcioch nie dostanie zaraz zawału.

- Ona nie lubi się ruchać w dupę - ujął to nieco inaczej Venner. - Uwierzysz?

Synoptyk właściwie nie miał zdania w tej sprawie. Czując jak niska, zbita masa Carla Vennera popycha go przed sobą, powiedział tylko:

- Hmm.

Zatrzymali się na chwilę, a Venner odwrócił znów głowę do pana Browna.

- Zrób z tą małą kurewką, co chcesz i pozbądź się jej.

Umowa, którą mieli ze sobą, nie przewidywała, że Synoptyk będzie musiał znosić takie rzeczy i uczestniczyć w nich, jednak prawdziwą naturę swego kontrahenta poznał dopiero wtedy, kiedy zaczął się przyglądać środowisku Vennera, włamując się do jego prywatnych plików.

Po raz pierwszy natknął się na niego na internetowym forum pasjonatów informatyki, którzy wymieniali się wiadomościami i zadawali sobie nawzajem zagadki techniczne. Venner zadał Synoptykowi pytanie, które ten uważał wówczas za czysto teoretyczne. Mianowicie czy możliwe jest umieszczenie w internecie strony, która byłaby



absolutnie i trwale nie do namierzenia. Synoptyk miał już wówczas opracowany taki system. Myślał o tym, żeby zaferować go brytyjskim służbom wywiadowczym, ale potem wkurzyła go wojna w Iraku. A zresztą w ogóle odnosił się nieufnie do wszelkich instytucji rządowych. Prawdę mówiąc, odnosił się nieufnie właściwie do wszystkiego.

Venner popchnął go do swego przepastnego biura, które zajmowało prawie całą powierzchnię piętra w budynku magazynu. Było to rozległe pomieszczenie, pozbawione okien i duszy, wyłożone tą samą wykładziną co pierwsze biuro i niemal równie skąpo umeblowane, oprócz jednego miejsca na końcu sali, gdzie stało kilka stelaży ze sprzętem komputerowym - który Synoptyk znał na wylot, jako że osobiście go w całości zainstalował.

Biurko Vennera, na którym stały trzy otwarte laptopy, a oprócz tego jeszcze tylko szklana popielniczka z dwoma rozgniecionymi niedopałkami cygar i szklana miska pełna tabliczek czekolady, było klonem biurka z pierwszego pokoju. Za nim stał dyrektorski fotel z czarnej skóry, a nieopodal wysłużona, długa, brązowa skórzana kanapa. Tuż przed nią, na wykładzinie, Synoptyk zauważył zmiętą parę skąpych koronkowych majtek. Nad jego głową krople deszczu bębniły o blaszany dach hurtowni.

Jak zawsze, dwaj milczący rosyjscy koledzy Vennera zmaterializowali się, wyrosli jak spod ziemi w swych czarnych garniturach i w milczeniu stanęli bez uśmiechu po bokach grubasa, obdarzając Synoptyka tylko nieznacznym skinieniem głowy.

- Wiesz, ona naprawdę mnie, kurwa, ugryzła. Patrz! - Venner zionął na niego cuchnącym oddechem zaprawionym cygarem i uniósł krótki, gruby palec wskazujący, z paznokciem obgryzionym do żywego mięsa. Synoptyk zobaczył na nim ślady po głębokich przebiciach skóry tuż nad pierwszym stawem. Wpatrując się w nie, powiedział:

- Będzie pan musiał wziąć zastrzyk przeciwțęcowy.
- Tęzec?

Synoptyk utkwił wzrok w majtkach na podłodze, kołysząc się w milczeniu w tył i w przód, pogrążony w myślach.

- Tężec? - powtórzył Amerykanin z niepokojem.

Nie odrywając oczu od majtek, Frost wyjaśnił:

- Rany od ludzkich zębów mają gorszy bakteryjny czynnik zakaźny niż rany kłusane spowodowane przez każde inne zwierzę. Ma pan pojęcie, ile organizmów żyje sobie w najlepsze we florze jamy ustnej człowieka?

- Nie.

Synoptyk, nie przestając się kołysać, oznajmił:

- Do miliona na milimetr, w tym ponad sto dziewięćdziesiąt różnych gatunków bakterii.

- Fantastycznie. - Venner przyjrzał się podejrzliwie ranie. - A więc... - Zamaszystym krokiem przeszedł się po pokoju, po czym złożył dłonie w geście wskazującym na całkowitą zmianę nastroju i tematu. - Masz te informacje?

- Hmm. - Synoptyk nadal wpatrywał się w majtki, wciąż się kołysząc. - Co się... co... z tą dziewczynką się... hmm... stanie?

- Mick zawiezie ją do domu. Coś ci się nie podoba?

- Hmm, nie, nic. W porządku.

- Przyniosłeś to, o co prosiłem? Za co ci, kurwa, płacę?

Synoptyk odpiął guzik tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej złożoną w czworo kartkę papieru w linie, wyrwaną z notesu. Podał ją Vennerowi, który biorąc ją do ręki, burknął:

- Jesteś na sto procent pewny?

- Tak.

To zdaje się zadowoliło Vennera, który poczłapał do biurka, żeby przeczytać, co było napisane na kartce.

A był na niej napisany adres Toma i Kellie Bryce'ów.

## ROZDZIAŁ 21

Profesor Lars Johansson wyglądał, zdaniem Grace'a, bardziej na przedstawiciela międzynarodowej finansjery niż uczonego, który spędził większą część życia, pełnąc przez jaskinie pełne nietoperzy, mokradła i nieprzebyte dżungle całego świata w poszukiwaniu rzadkich owadów. Mierzący ponad metr osiemdziesiąt pół Anglik, pół Szwed o gładkich, jasnych włosach i gładkiej urodzie, ubrany w trzyczęściowy garnitur w prążki, emanował wielkowiejskim czarem i pewnością siebie. Siedział za wielkim biurkiem w zagraconym gabinecie na najwyższym piętrze londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej, w półkolistych okularach w szylkretowej oprawie zsuniętych na koniec nosa, otoczony gablotami i kloszami pełnymi rzadkich okazów, mikroskopami i całą furą różnych przyrządów pomiarowych, linijek i wag. Grace pomyślał, że całe pomieszczenie wyglądało, jakby przeniesiono je żywcem z któregoś filmu o Indiana Jonesie.

Poznali się i zaprzyjaźnili kilka lat temu na jednej z konwencji Międzynarodowego Stowarzyszenia Dochodzeniowego w Sprawach o Zabójstwo, organizowanych za każdym razem w innym mieście Stanów Zjednoczonych, w których Grace co roku uczestniczył. Normalnie posłałby do Johanssona kogoś z zespołu, wiedział jednak, że jeśli przyjdzie osobiście, szybciej dostanie odpowiedzi na swoje pytania.

Entomolog wyjął foliowy woreczek z żukiem z żółtawej papierowej policyjnej torby ochronnej do przechowywania materiałów dowodowych.

- Czy pobrano już z niego wymaz, Roy? - Mówił ze swym kulturalnym angielskim akcentem.

- Tak.

- Nic więc nie stoi na przeszkodzie, aby go wyjąć?

- Absolutnie.

Johansson ostrożnie wydobyl pincetą czterocentymetrowego chrząszcza i położył go na podkładce z bibuły. Przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu przez duże szkło powiększające, podczas gdy Grace z wdzięcznością popijał czarną kawę z kubka, myśląc z żalem o dzisiejszej randce z Cleo, którą musiał odwołać, żeby móc najpierw przyjechać tutaj, a potem wrócić do Sussex House na wieczorną odprawę z zespołem. Już nie pamiętał, od jak dawna nie zdarzyło mu się tak palić do czegoś jak do tej randki, i flaki mu się wywracały na myśl, że dziś do niej nie dojdzie. Ale przynajmniej umówili się na inny termin, na sobotę, już za dwa dni. Pociuszające było to, iż będzie miał czas, żeby kupić sobie jakieś nowe ciuchy.

- Dobry okaz, Roy - powiedział profesor. - Bardzo piękny.

- Co możesz mi o nim powiedzieć?

- Gdzie właściwie go znalazłeś?

Grace wyjaśnił, a entomolog, trzeba mu to przyznać, tylko uniósł jedną brew.

- To by się zgadzało. Bardzo niesmaczne, ale bardzo trafne.

- Co by się zgadzało?

- Jest to odpowiednie miejsce. Z powodów, które ci objaśnię. - Uśmiechnął się cierpko.

- Zamieniam się w słuch.

- Czy chcesz usłyszeć pełny wykład dla drugiego roku biologii na temat tego tu koleżki? Czy też krótkie streszczenie?

- W pigułce dla matolów. Muszę to przekazać paru ludziom jeszcze tępszym ode mnie.

Entomolog uśmiechnął się.

- Nazywa się *Scarabeus sacer*, a jego wymiary nie odbiegają od normy: owady te osiągają zazwyczaj do czterdziestu pięciu milimetrów długości. Występują w południowej Europie i północnej Afryce.

- A czy tutaj się je w ogóle spotyka?

- Tylko w zoo.

Grace zmarszczył brwi, zastanawiając się nad konsekwencjami tego faktu dla prowadzonego śledztwa. Profesor mówił dalej:

- Był uważany przez starożytnych Egipcjan za stworzenie święte, należy do rodziny gnojarzy poświętnikowatych, a znany jest jako poświętnik czczony albo skarabeusz.

Teraz Grace zrozumiał, o co chodzi.

- Gnojarzy?

- Właśnie. Najlepiej znany u nas gatunek z tej rodziny to gnojak. Żuki te zeszkrobują głową i przednimi odnóżami gnój, formując z niego kulę, którą potem toczą przed sobą, aż znajdą odpowiednie miejsce, gdzie ją zakopują, żeby dojrzała i rozłożyła się.

- Palce lizać - stwierdził Grace.

- Chyba jednak wolę szwedzkie klopsiki.

Grace pomyślał chwilę.

- Czyli ten żuk umieszczony w odbytnicy tej dziewczyny niesie jakiś przekaz.

- Zdaje się, że dość osobliwy, ale owszem.

- Chyba można śmiało przyjąć, że mamy do czynienia z kimś, kto wyznaje inny system wartości niż ty czy ja - stwierdził Grace. Niejedno w toku swej kariery już widział i co jakiś czas dochodził do punktu, w którym wydawało mu się, że już nic więcej nie będzie w stanie nim wstrząsnąć. Po czym przydarzało się coś takiego jak to.

- Jaki to ma właściwie związek ze starożytnymi Egipcjanami, Lars?

- Zrobię ci z tego wydruk; rzecz jest naprawdę dość fascynująca.

- Czy to mi pomoże w odnalezieniu mordercy?

- Jest nim niewątpliwie ktoś, kto wie coś niecoś na temat znaczeń symbolicznych. Wydaje mi się ważne, abys i ty jak najlepiej zrozumiał te sprawy. Nie byłeś nigdy w Egipcie, Roy?

- Nie.

Profesor wyraźnie zaczynał się ożywiać.

- Jeśli pojedziesz do Luksoru, do Doliny Królów czy którejkolwiek ze świątyń, wszędzie zobaczysz wyryte skarabeusze; były fundamentalnym elementem kultury Górnego i Dolnego Egiptu. I oczywiście odgrywały znaczącą rolę w rytuałach pogrzebowych.

Grace popił jeszcze trochę kawy, przebiegając w myśli wszystko, co miał tego wieczoru do zrobienia, podczas gdy profesor wystukiwał coś na klawiaturze.

Dwadzieścia minut temu zadzwoniła detektyw Emma-Jane Botwood z wiadomością, że nadeszły wyniki DNA i że nie było ich odpowiednika w bazie danych. Nie znaleziono jeszcze żadnych innych części ciała. W ciągu minionej godziny wyeliminowana została jeszcze jedna spośród zaginionych kobiet. DNA pozostałych zostało wysłane przesyłką kurierską do laboratorium i jak dobrze pójdzie - dobrze dla policji, w każdym razie - któreś będzie pasować. Jeśli nie, muszą rozszerzyć poszukiwania.

Nagle, o kilkanaście centymetrów od miejsca gdzie siedział, drukarka wyrzuciła z siebie arkusz papieru, aż się wzdrygnął.

- Rytuały pogrzebowe?

- Tak.

- Jaką rolę odgrywały w rytuałach pogrzebowych te żuki, Lars?

- Wkładano je do grobów, aby zapewnić zmarłym wieczyste zmartwychwstanie.

Grace zastanowił się nad tym przez chwilę. Czyżby mieli do czynienia z fanatykiem religijnym? Czy z kimś, kto zabawia się w jakąś grę? Niewątpliwie był to ktoś inteligentny - na tyle kulturalny, że czytał o starożytnym Egipcie - to, że umieścił tego akurat żuka w

odbytnicy dziewczyny, nie było przypadkiem.

- Gdzie można w Anglii dostać skarabeusza? - zapytał. - Tylko w zoo?

- Nie, jest paru importerów owadów tropikalnych, którzy zapewne nimi handlują. Nie wątpię też, że są dostępne w internecie.

Grace zanotował w pamięci, żeby kazać sporządzić listę wszystkich dostawców owadów tropikalnych w Wielkiej Brytanii i przeszukać pod tym kątem internet.

Entomolog włożył żuka z powrotem do papierowej torby.

- Czy coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić w tej sprawie, Roy?

- Na pewno jeszcze coś wyniknie. W tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy. I bardzo dziękuję, że zostałeś po pracy, żeby się ze mną zobaczyć.

- To żadna sprawa. - Lars Johansson skinął głową w stronę okna, za którym widać było Exhibition Road. - Wyszło na to, że był to bardzo miły wieczór. Wracasz teraz do Sussex?

Grace kiwnął głową.

- Daj się zaprosić na drinka. Rozchodniaczek?

Grace rzucił okiem na zegarek. Najbliższy pośpieszny do Brighton odjeżdżał za jakieś czterdzieści minut. Nie miał czasu na drinka, ale niewątpliwie czuł potrzebę, żeby się napić. A że profesor tyle już razy w przeszłości służył mu pomocą, uznał, że nie wypada odmówić.

- Ale tak na szybko - odparł. - Potem będę musiał uciekać.

Oto dlaczego pół godziny później, siedząc przy stoliku wystawionym na chodnik przed zatłoczonym pubem, zastanawiał się, co właściwie jest nie tak z tym jego życiem. Dzisiejszy wieczór miał spędzić na randce z jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widział. Tymczasem pił już drugą szklankę ciepłego piwa, wysłuchawszy wpierw piętnastominutowego wykładu o układzie trawiennym skarabeusza, w tej chwili zaś słuchając obszernej analizy wszystkiego, co było złe w małżeństwie coraz bardziej rozklejającego się Larsa Johanssona.

## ROZDZIAŁ 22

Wieczorne spiętrzenie ruchu na trasie wyjazdowej z Londynu dawało się w ten czwartek jeszcze bardziej we znaki niż zazwyczaj. A że był piękny, ciepły wieczór, zdawało się, że cały Londyn wyjeżdża na wieś. Tom zwykle podróżował pociągiem, żeby uniknąć tego koszmaru, ale dziś musiał wziąć samochód, żeby dojechać do biura Rona Spacksa, a potem jeszcze pojechać do centrum Londynu, żeby odebrać laptopa.

Plany, żeby wrócić wcześniej do domu i zjeść z rodziną kolację w ogrodzie, zrobić grilla, zostały obrócone wniwecz przez Chrisa Webba, który za późno przyszedł naprawić komputer i jeszcze zajęło mu to o wiele więcej czasu, niż myślał. Było już prawie pół do piątej po południu, kiedy Chris skończył, więc Tom mógł wyruszyć w drogę dopiero o najgorszej możliwej porze.

Zwykle, jadąc samochodem, załatwiał zaległe telefony albo słuchał radia - w Londynie szczególnie lubił Davida Prevera w LBC, poza tym słuchał wiadomości w Radio 4 albo Jazz FM - jednak tego wieczoru, poza jednym telefonem do Rona Spacksa, któremu powiedział, że zapędził swój zespół do pracy nad cenami zegarków Rolex Oyster - było to zamówienie jak z marzeń i po prostu musiał je zdobyć - prowadził w ciszy, pogrążony tylko we własnych ponurych myślach.

*Czy rozmawiam z Tomem Bryce'em?*

Silny akcent wschodnioeuropejski.

Jego wcześniejsza rozmowa z Kellie.



*Akcent? Jaki?*

*Jakiś europejski, cudzoziemski.*

Ten sam człowiek?

*Wczoraj wieczorem dostał się Pan na stronę, do której odwiedzania nie był Pan uprawniony. Teraz próbował się Pan na nią dostać jeszcze raz. Nie cenimy sobie nieproszonych gości. Jeśli o tym, co Pan widział, powiadomi pan policję, lub spróbuje Pan kiedykolwiek jeszcze dostać się na tę stronę, wówczas to, co zaraz stanie się z Pańskim komputerem, stanie się z Pańską żoną Kellie, Pańskim synkiem Maksem, i Pańską córeczką Jessica. Niech się Pan dobrze przyjrzy, a następnie dobrze zastanowi.*

Tom nie miał zamiaru powiadamiać policji o tym, co widział we wtorek wieczorem. Internet to ściek, można w nim znaleźć wszystko co się chce, choćby było nie wiem jak erotyczne czy wulgarne. Natknął się albo na zwiastun jakiegoś filmu, albo na jakąś pełną bezsensownej przemocy stronę dla czubków, i byłby to tak zostawił. Pilnowanie porządku w tym ścieku to nie jego rzecz.

Lecz ten e-mail z pogrózkami sugerował, że ta strona jest może czymś więcej.

Zbliżał się do South Downs; ruch na drodze, choć wciąż bardzo duży, był już jednak płynny. Po lewej, za łąkami, w odległości niespełna kilometra dostrzegł błysk światła odbitego w szybie. Pociąg. Zapominając na chwilę o tłoku i zaduchu, pozazdrościł pasażerom względnej wygody, jaką mieli w podróży. Tak czy owak on za piętnaście minut będzie w domu i już nie może się doczekać dużego, mocnego drinka.

Spojrzał przez przednią szybę na świetlistą, żółtą kulę słońca, chylącego się ku zachodowi na kobaltowym niebie. Tam za wzgórzami miał swój dom, swoje sanktuarium. Nie czuł się jednak bezpieczny; coś wstrząsało jego wnętrzościami, zatruwało mu myśli, wypełniało go koktajlem bezładnie pomieszanych obaw.

Nie chciał mówić Kellie, że odebrał taki sam telefon jak ona, a przecież zawsze byli wobec siebie szczerzy i otwarci; zastanawiał się,

czy byłoby źle, gdyby jej powiedział. Jeszcze bardziej by się zdenerwowała. I musiałby jej wtedy opowiedzieć o tej płycie CD.

I co wtedy?

Groźba zawarta w e-mailu była jasna. Jeśli powiadomi policję. Jeśli spróbuje znów dostać się na tę stronę.

Cóż, nie miał zamiaru robić ani jednego, ani drugiego. Więc tamci powinni się uspokoić.

Skąd więc te telefony? Głupio zrobił, że wtedy po raz drugi wszedł na tę stronę.

\*

Kiedy skręcił w swoją ulicę i jechał pod górę, nagle w głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Zobaczył przed sobą stare kasztanowe espace Kellie, zaparkowane na ulicy. Zwykle stawiała je pod zadaszeniem. Dlaczego stoi na ulicy?

Po chwili, kiedy zajeżdżał przed dom, zobaczył dlaczego. Prawie całą powierzchnię pod zadaszeniem dla samochodów zajmowała jakaś skrzynia. Była to jedna z największych skrzyń, jakie w życiu widział. Z łatwością mogłaby pomieścić w pełni wyrosniętego słonia, tak żeby jeszcze mógł swobodnie wywijać trąbę.

Chryste Panie, toż to było wyższe niż drzwi do garażu.

Myślał, że teraz, jak zwykle, drzwi frontowe otworzą się na oścież i wszyscy naraz - Kellie, Max, Jessica i Lady - wypadną przez nie jak burza, żeby się z nim przywitać, tymczasem drzwi się uchyliły tylko nieznacznie i zobaczył twarz Kellie, rozejrzała się ostrożnie wokół. Po chwili wyłoniła się ona cała, ubrana w wyciągnięty podkoszulek, postrzępione dżinsowe szorty i klapki. Gdzieś z głębi domu słyszał szczekającą z przejściem Lady. Ani śladu dzieci.

- Jest trochę większy, niż się spodziewałam - odezwała się ci-chutko Kellie zamiast przywitania. - Jutro przyjadą, żeby go zmontować.

Tom przez chwilę tylko na nią patrzył. Wydawała się nagle taka bezbronna. Wystraszyła się tych telefonów, czy jego?

- C-co to jest? - spytał. Od razu pojawiła się myśl, że to coś musiało niezłe kosztować.

- Po prostu musiałam go kupić - wyznała. - Trafiła się naprawdę niesamowita okazja.

Jezu. Starał się ze wszystkich sił zachować resztki cierpliwości.

- Co to jest?

Lekko wzruszyła ramionami i odpowiedziała tonem, który miał brzmieć nonszalancko, ale nie brzmiał:

- Och, to po prostu grill.

Teraz zrozumiał, skąd się wzięła ta powściągliwość w jej głosie, kiedy wcześniej zaproponował, żeby sobie dziś pogrillowali.

- Grill? Do grillowania czego? Wielorybów? Dinozaurów? Całego, kurwa, stada krów rasy *aberdeen angus*?

- Według cennika nowy kosztuje ponad osiem tysięcy funtów. Dostałam go za trzy tysiące! - wykrzyknęła.

Tom odwrócił się, czując, że tylko sekunda dzieli go od zupełnie niekontrolowanego wybuchu.

- Zdumiewasz mnie, kochanie. Przecież mamy już absolutnie przyzwoity przenośny grill.

- Który rdzewieje.

- W takim razie mogłaś kupić fabrycznie nowy w Homebase za jakieś siedemdziesiąt funtów. Wydałaś trzy tysiące? I gdzie go, do cholery, postawimy? Przecież to zajmie pół ogrodu?

- Nie, nie... on nie jest... Po zmontowaniu nie jest aż tak duży. Za to wygląda super!

- Będziesz musiała go odesłać. - Zamilkł i rozejrzał się. - Gdzie są dzieci?

- Powiedziałam im, że muszę najpierw z tobą porozmawiać. Upowiedziałam, że może tata nie będzie zachwycony. - Otoczyła go ramionami. - Posłuchaj, jest coś, o czym ci nie powiedziałam. To miała być taka trochę niespodzianka. - Dała mu całusa.

Chryste, zachodził w głowę, co to będzie? Czyżby chciała powiedzieć, że jest w ciąży?

- Dostałam pracę!

Na te słowa nawet się uśmiechnął.

\*

Pół godziny później, kiedy już przeczytał Jessice kilkustronicową książeczkę „Poppy Cat Loves Rainbows”, a Maksowi rozdział z „Harry'ego Pottera i czary ognia”, podlał pomidory w szklarni oraz krzaki malin, truskawki i kabaczki na przylegającej do niej grządce, siedział z Kellie przy drewnianym stole na tarasie z dużą wódką z martini w ręku, chwytając ostatnie promienie wieczornego słońca w ogrodzie. Stuknęli się kieliszkami. U jego stóp Lady z lubością chrupała kość.

Ponad glicyniami, które Kellie upięła na płocie, żeby dodatkowo chroniły ich prywatność, widać było głowę Lena Wainwrighta, który szedł w stronę swojej szopy. Poświęcał dużo czasu, którego Tomowi stale brakowało, na opowiadanie mu ze szczegółami o poszczególnych etapach budowy szopy. Nigdy jednak nie wyjaśnił, do czego ma ona służyć. Kellie zasugerowała nawet, że pewnie Len zamierza zamordować swoją żonę i zakopać ją pod szopą. Wtedy to się wydawało zabawne, ale teraz Tomowi było nie do śmiechu.

Powietrze cudownie pachniało i wokół panowała cisza, nie licząc ożywionego wieczornego świergotu ptaków. Była to pora roku, którą zwykle uwielbiał, pora dnia, kiedy zwykle się odprężał i zaczynał cieszyć życiem. Lecz nie tego wieczoru. Wyglądało na to, że nic nie zdoła rozproszyć tej nieokreślonej obawy, którą wciąż czuł.

- Wiesz, ja... nie wiedziałem... Bo... bo myślałem, że nie palisz się do tego, żeby, no wiesz, siedzieć w pracy, z dala od dzieci... - odezwał się.

- Jessica zaczęła chodzić do przedszkola, więc teraz mam czas - odparła, popijając wino. - To jakiś nowy hotel, który otworzyli w

Lewes. Zaproponowano mi pracę w recepcji, godziny pracy do uzgodnienia, od przyszedłego tygodnia.

- Ale dlaczego w hotelu? Nigdy nie pracowałaś w hotelu. Może lepiej wrócisz do pracy w szkole, skoro znów chcesz pracować?

- Mam ochotę zająć się czymś innym. Przeszkolą mnie. To nic takiego. Głównie trzeba się będzie zajmować różnymi rzeczami w komputerze.

Dzięki czemu będziesz mogła siedzieć cały dzień na eBayu, pomyślał Tom, ale nic nie powiedział. Pociągnął łyk z kieliszka i zaczął robić w myśli wyliczenia. Gdyby Kellie mogła sama zarobić na swoje zakupy, bardzo by mu to pomogło. Ale trzy tysiące funtów z jej karty kredytowej na tego cholernego, monstualnego grilla... Żeby na to zarobić, musiałaby pracować wiele miesięcy. Tymczasem on będzie musiał to sfinansować. Wtem zadzwoniła jego komórka, którą pozostawił w swojej kanciapie.

Spojrzeni sobie w oczy. Dostrzegł przebłysk strachu w jej spojrzeniu i zastanawiał się, czy i ona dostrzegła to samo w jego oczach.

Pędem pobiegł na górę, rzucił okiem na wyświetlacz i stwierdził z ulgą, że to Chris Webb.

- Cześć, Chris. I co, znalazłeś coś na tej płycie?

Głos spec'a od komputerów brzmiał kwaśno.

- Nie, i nie zanoszę się na to.

- Bo co?

- Przyszedłem do domu, a tu całe mieszkanie splądrowane. Ktoś przetrząsnął tu wszystko, dosłownie wszystko. Tydzień mi zleci, zanim to doprowadzę do ładu.

- Jezu. Dużo ci ukradli?

- Nie - odparł Chris. - Niedużo. - Zapadło długie milczenie, w czasie którego Tom usłyszał coś jakby szcęknięcie zapalniczki i głęboki wdech. - Właściwie to chyba, kurczę, brakuje tylko jednej rzeczy.

- Czego?

- Tej twojej płyty CD.

## ROZDZIAŁ 23

Podinspektor Alison Vosper była szefową Roya Grace'a, ostateczną instancją, przed którą odpowiadał. Charakteryzowała się zmiennym usposobieniem - potrafiła być przemiła, słodziutka, a za chwilę skwaszona. Parę lat temu jakiś dowcipniś w policji nadał jej przezwisko „Nr 27”, które było aluzją do pewnego dania słodko-kwaśnego w menu miejscowego chińskiego baru na wynos. Ksywka przyjęła się, aczkolwiek Grace miał wrażenie, że najwyższy czas ją zmienić, jako że nie pamiętał już, kiedy pani podinspektor ostatnio była słodziutka.

W każdym razie na pewno nie dzisiaj.

O godzinie dziewiątej tego piątkowego poranka stał na puszystym dywanie przed biurkiem Vosper w jej gabinecie, z tym samym uczuciem mdlącego ściskania w dołku, jakie odczuwał w szkole, kiedy kazano mu się zgłosić do gabinetu dyrektora. To idiotyczne, żeby mężczyzna w jego wieku czuł się zalękniony w obecności szefa, lecz Alison Vosper tak właśnie na niego działała, podobnie zresztą, jak na innych, czy chcieli się do tego przyznać, czy nie.

Został do niej wezwany rzekomo po to, by osobiście wprowadzić ją w temat przed codzienną konferencją prasową, ale przecież nie bardzo było o czym mówić. Po upływie blisko czterdziestu ośmiu godzin nadal nie wiedzieli, kim jest ofiara i nie mieli podejrzanego.

Przez lata pracy w policji Grace nauczył się jednej rzeczy: jak wielkie znaczenie wyżsi oficerowie przykładają do tego, żeby móc dać odczuć społeczeństwu, iż mają jakieś wyniki. Biorąc pod uwagę ich starania, aby lud miał wyłącznie ciepłe odczucia na temat policji, Grace odnosił wrażenie, że zwierzchnicy czasem rozważali, czy nie lepiej zapuszkować kogokolwiek, choćby kogoś zupełnie niewinnego, i w ten sposób pokazać, że coś jednak robią, niż się mętnie tłumaczyć przed salą pełną dziennikarzy - którym chodziło głównie o to, żeby opchnąć jak najwięcej przestrzeni reklamowej - że nie mają żadnego tropu.

W odróżnieniu od nowoczesnego, bezdusznego budynku wydziału dochodzeniowego w Sussex House, gdzie obecnie pracował, wszystkie grube ryby miały swoją siedzibę w tej urodziwej wiktoriańskiej rezydencji w stylu królowej Anny, w której mieściła się kwatera główna policji hrabstwa Sussex, położonej w samym środku bezładnego skupiska budynków na obrzeżu historycznej stolicy hrabstwa - Lewes.

W prawie wszystkich większych gabinetach została zachowana bez zmian piękna oryginalna forma architektoniczna budynku, a zwłaszcza delikatna sztukateria i bogato zdobione plafony. Również w gabinecie Alison Vosper. Ten położony na parterze pokój był utrzymany w nieskazitelnej czystości, z jego okien rozpościerał się piękny widok na wypielęgnowany trawnik, a meblowanie stanowiły eleganckie antyki, które dawały poczucie zarówno władzy, jak i trwałości.

Wchodząc do gabinetu, miało się przed sobą rozległą połąc pole-rowanego biurka z różanego drzewa, na którym znajdowała się obramowana na czarno podkładka, wąski, kryształowy wazon z trzema szkarłatnymi tulipanami, oprawione fotografie męża Vosper - oficera policji o kilka lat starszego od niej wiekiem, lecz o trzy stopnie młodszej rangą - i jej dwojga dzieci, chłopca i dziewczynki, w schludnych mundurkach szkolnych, piórnik z amonitu i jak zawsze, stos porannych gazet rozłożonych w wachlarz. Szczęśliwie Grace nie

figurował nigdzie na pierwszej stronie.

Podinspektor Alison Vosper była tego ranka nie tylko skwaszona, była lodowato zimna, a wrażenie to podkreślała jeszcze wykrochmalona, zapięta pod szyję bluzka koloru lodu, ozdobiona z przodu równie lodowato wyglądającą brylantową broszką. Nawet jej perfumy miały kwaskowaty zapach.

Vosper, jak zwykle, nie zaprosiła go, żeby usiadł - od dawna stosowała taką technikę, gdy przyjmowała podwładnych, aby rozmowa była krótka i rzeczowa. Jediną zauważalną reakcją uzyskał dopiero, kiedy doszedł do żuka - wyraźny odruch obrzydzenia, który pokazał, że pod twardym pancerzem Alison Vosper jest mimo wszystko człowiekiem.

- A więc wśród kobiet zgłoszonych w ostatnich dniach jako zaginione trzy pasują? - upewniła się. Mówiła z monotonnym birminghamskim akcentem, który nadawał jej słowom jeszcze ostrzejsze brzmienie.

- Tak, a pobrane u nich w domach próbki DNA posłaliśmy kurierem do Huntingdon, do analizy; dzwoniłem tam i poprosiłem, żeby potraktowali to priorytetowo. Jeszcze dziś dowiemy się, czy któraś jest zgodna.

- A jeśli żadna nie będzie?

- Rozszerzymy poszukiwania.

Zadzwoił telefon na jej biurku. Wcisnęła guzik i nie podnosząc słuchawki, rzuciła ostro:

- Jestem zajęta. - Spojrzała na komisarza. - Wiesz, że od tej sprawy zależy twoja kariera, Roy?

Wzruszył ramionami.

- Bardziej niż od każdej innej?

W milczeniu obdarzyła go długim, surowym spojrzeniem.

- Chyba oboje dobrze o tym wiemy.

Grace zachmurzył się, nie wiedząc, co teraz nastąpi i skrepowany jej słowami.

Przez chwilę kręciła złotą obrączką na palcu, i dzięki temu chyba trochę złagodniała.



- Miałaś szczęście, że do tej pory pełniłaś służbę na jednym terenie, Roy. Wielu policjantów musi się ciągle przenosić z miejsca na miejsce, jeśli chcą awansować. Tak jak ja. Jestem z Birmingham, ale spędziłam tam zaledwie trzy lata w całej mojej karierze policyjnej. Byłam po trosze wszędzie - w Nortumbrii, w Ipswich, w Bristolu, w Southampton. To już nie to, co w czasach twojego taty. Przez całą karierę służył w Brighton, prawda?

- No, i jeszcze w Worthing.

Uśmiechnęła się blade. Worthing leżało w odległości zaledwie kilkunastu kilometrów wzdłuż wybrzeża na zachód. Potem znów przybrała surową minę.

- Twój ojciec był bardzo lubianym i szanowanym człowiekiem, tak mi mówiono. Ale w odczuciu wielu ludzi, ty nie bardzo się w niego wdałaś.

Zamilkła, a te słowa zawisły w powietrzu. Roy poczuł, jak utkwiły w jego sercu niczym zatruty grot. Miał wrażenie, że otrzymał cięcie, przez które teraz uchodzi z niego cała energia. Spojrzał na nią zmieszany, czując się nagle rzeczywiście całkiem bezbronny.

- Ja... ja wiem, że są tacy, którzy mnie krytykują - odezwał się, uświadamiając sobie poniewczasie, jak niezręcznie to zabrzmiało.

Pokręciła głową, po czym zdjęła obrączkę i trzymała ją przed sobą, jakby chciała symbolicznie wyrazić, że nie ma nic wiecznego, że może go wyrzucić poza nawias swojego życia równie łatwo, jak może wrzucić złotą obrączkę do kosza na śmieci.

- Nie ci, którzy cię krytykują, mnie niepokoją, Roy. Nasz główny niepokoi się szkodami, jakie wyrządził policji Sussex. Kilka tygodni temu mało brakowało, a zostałby przez ciebie unieważniony proces, bo konsultowałeś dowód w sprawie z jasnowidzem. W rezultacie trafiłeś na pierwsze strony gazet ogólnokrajowych i wystawiłeś nas na pośmiewisko. Przez to, że zbyt się interesujesz parapsychologią, bardzo ucierpiał twój autorytet wśród kolegów. No i dopuściłeś do tego, że dwóch podejrzanych zginęło w pościgu.

Grace próbował coś wtrącić, przekonany, że w tym, co ona mówi, nie ma za grosz sensu, lecz podinspektor uniosła dłoń, nie dopuszczając go do głosu

- A teraz - kontynuowała - po czterdziestu ośmiu godzinach śledztwa w sprawie o morderstwo, nie znasz nazwiska ofiary, nie masz podejrzanego; wszystko, co masz, to historia życia jakiegoś cholernego żuka znalezionej na miejscu zbrodni.

Ogarnął go gniew.

- O, przepraszam, to po prostu niesprawiedliwe, i dobrze o tym wiesz!

- Tu nie chodzi o sprawiedliwość, Roy; tu chodzi o to, żeby policja była postrzegana jako kompetentna siła, która chroni społeczeństwo.

- Ci dwaj, którzy zginęli w samochodzie, byli winni jak cholera i bardzo niebezpieczni. Staranowali dwie blokady drogowe, uprowadzili dwa pojazdy, potrącili policjanta, zwalając go z motocykla. Byłoby lepiej, gdybyśmy pozwolili im uciec? - Pokręcił głową z irytacją.

- Chcę ci przez to powiedzieć, Roy, że może lepiej byłoby cię przenieść na jakiś teren, gdzie cię jeszcze nie znają. Może gdzieś na północ. Gdzieś, gdzie jest dużo roboty i gdzie się przydadzą twoje umiejętności. Choćby do Newcastle. Jeden z tamtejszych kolegów zwrócił się do mnie o oddelegowanie jakiegoś doświadczonego oficera dochodzeniowego do pewnego śledztwa, które może zająć parę miesięcy, może nawet rok. A ja sądzę, że ty byłbyś do tego właściwym człowiekiem.

- Chyba żartujesz. Ja tu jestem u siebie. Nie chcę się nigdzie przenosić. Nie mam nawet pewności, czy chciałbym pozostać w policji, gdyby do tego doszło.

- W takim razie weź się w garść i postaraj się, żeby do tego nie doszło. Właśnie ściągam do nas jeszcze jednego detektywa, żeby cię odciążył w pracy nad sprawami nierozwiązanymi, ponieważ według mnie idą ci one za wolno. To były aspirant z policji metropolitalnej, ale myśmy go awansowali i będziecie równi stopniem.

- Czy ja go znam?
- Nazywa się Cassian Pewe.

Grace zastanowił się przez chwilę, po czym jęknął w duchu. Aspirant Cassian Pewe, teraz już komisarz Cassian Pewe. Grace miał z nim drobne starcie parę lat temu, kiedy metropolitalni przystali do Brighton posiłki mające pomóc w utrzymaniu porządku w czasie konwencji Partii Pracy. Pamiętał, że tamten był wyjątkowo bezczelny.

- On przychodzi do nas?
- Zaczyna od poniedziałku. Będzie miał biuro w tym budynku. Coś ci się nie podoba?

Owszem, miał ochotę powiedzieć, czując że kręci mu się w głowie. Oczywiście, pupilek pani nauczycielki. Gdzieżby indziej miała go ulokować? Tu było idealnie, będzie tu sobie mogła regularnie odbywać z nim przyjacielskie pogawędki o tym, jak i gdzie kopać dołki pod tym upierdliwym Royem Grace'em.

Nie miał jednak wyboru, musiał powiedzieć: „Nie, skądże”.

- Dostajesz żółtą kartkę, Roy. Rozumiesz?

Miał tak ściśnięte gardło, że zdołał tylko kiwnąć głową w odpowiedzi. W tym momencie zadzwonił jego telefon. Dała mu znak, żeby odebrał.

Odstąpił o krok od jej biurka i spojrział na wyświetlacz. Dzwoniono z centrum koordynacji.

- Roy Grace, słucham.

Był to bardzo podekscytowany detektyw Nicholl z wiadomością, że dzwonili z laboratorium Huntingdon. Stwierdzono zgodność jednej z próbek DNA ze zwłokami.

## ROZDZIAŁ 24

- W pale się nie mieści, czego ty słuchasz, facet - mówił Branson.  
- Przecież to szajs, normalnie kompletny szajs. Nie da się tego inaczej określić.

Zjeżdżali z góry na zachód długim prostoliniowym odcinkiem trasy szybkiego ruchu, mijając po lewej porośniętą trawą teren bazy myśliwców z czasów drugiej wojny światowej, przekształconej obecnie w lotnisko Shoreham, ruchliwą bazę dla samolotów prywatnych i komercyjnego ruchu lotniczego w kierunku Wysp Normandzkich i Southampton.

Shoreham było najbardziej wysuniętym na zachód przedmieściem Brighton, i Grace, ilekroć zostawiał je za sobą, odczuwał zawsze dziwną mieszanekę ulgi i poczucia straty. Straty, ponieważ tylko w Brighton czuł się u siebie, a wszędzie indziej miał wrażenie, że żegluje po niezbadanych wodach, które stawiają wyzwania wykraczające poza jego możliwości, słowem czuł się nieco niepewnie. A ulgi, ponieważ dopóki przebywał na terenie aglomeracji Brighton i Hove, nie opuszczało go poczucie odpowiedzialności, a poza jej granicami mógł się odprężyć.

Po tylu latach pracy w policji wszedł mu już w krew podświadomy odruch krytycznego przyglądania się wszystkim mijanym na ulicy ludziom, idącym pieszo i siedzącym w samochodach. Znał większość miejscowych złoczyńców, na pewno wszystkich ulicznych dilerów narkotyków i sporo bandziorów oraz włamywaczy; widząc każdego z nich, wiedział, czy jest on we właściwym dla siebie miejscu,

czy też nie. Między innymi z tego powodu te groźby Alison Vosper o przeniesieniu go były takie idiotyczne. Gromadzona przez całe życie wiedza i kontakty - na marne.

Roy Grace zdecydował się sam poprowadzić, gdyż stwierdził, że nie wytrzyma nerwowo kolejnego popisu umiejętności Bransona wjeździe pościgowej. Teraz z kolei nie był pewny, jak długo jeszcze zdoła wytrzymać nerwowo majstrowanie Bransona przy odtwarzaniu CD. Tymczasem Glenn ani myślał się od niego odczepić.

- Beatlesi? Kurczę, kto dzisiaj słucha w samochodzie Beatlesów?

- Mnie tam się podobają - oświadczył bojowo Grace. - Twój problem polega na tym, że nie odróżniasz głośnego hałasu od dobrej muzyki.

Zatrzymał alfę romeo na czerwonym świetle przy skrzyżowaniu z drogą do Lancing College. Zdecydował się pojechać własnym samochodem, żeby przy okazji podładować w nim akumulator, gdyż auto od dłuższego czasu stało nieużywane. A jeszcze bardziej dlatego, że gdyby wziął samochód służbowy, Branson pewnie by się upierał, że on poprowadzi, a gdyby mu nie pozwolił, poczułby się urażony.

- Bardzo śmieszne: i kto to mówi? - odparł Branson. - Ty po prostu nie kumasz muzyki! - Nagle zmieniając temat, wskazał na pub po drugiej stronie ulicy. - Sussex Pad. Dobre ryby dają, byłem tam z Ari. Oj, dobre było. - Po czym znów skierował uwagę na odtwarzacz. - Dido!

- Dido, i co w tym złego?

- No, jeśli lubisz takie rzeczy, to cóż. Nie zdawałem sobie sprawy, jaki z ciebie pożałowania godny przypadek.

- Owszem, lubię takie rzeczy.

- A to... Jezu... co to takiego? Darmowy dodatek do jakiegoś kolorowego magazynu?

- Bob Berg - odpowiedział Grace, teraz już poirytowany. - Przypadkiem gra naprawdę niezemiński nowoczesny jazz.

- No tak, ale on nie jest czarny.
- Aha, to trzeba być czarnym, żeby grać jazz?
- Tego nie mówię.

- Mówisz! Tak czy owak on nie żyje - zginął w wypadku samochodowym kilka lat temu, a ja uwielbiam jego kawałki. Po prostu fantastyczny saksofonista tenorowy. W porządku? Chcesz jeszcze coś zmieszać z błotem? Czy może porozmawiamy o twoim przeczuciu?

Glenn Branson, lekko naburmuszony, włączył radio i złapał stację rapową.

- Jutro idziemy ci kupić ciuchy, nie? No to jeszcze pójdziemy ci kupić trochę płyt. Jeśli będziesz miał czułą randkę w tym aucie, i ona pozna twoje muzyczne upodobania, to przeszuka ci schowek na rękawiczki, żeby sprawdzić, czy nie trzymasz tam legitymacji emeryta.

Grace zignorował go i powrócił myślami do najbliższego zadania, które ich za chwilę czekało, i wszystkich innych piłeczek, które musiał jednocześnie utrzymać w powietrzu.

Miał tego ranka zszarpane nerwy, zarówno z powodu rozmowy z Alison Vosper, która bardzo popsuła mu nastrój, jak i zadania, z którym musiał się zmierzyć za jakąś godzinę. Zazwyczaj Grace mógł całkowicie uczciwie powiedzieć, że lubi pracę w policji prawie pod każdym względem - z wyjątkiem jednej rzeczy, a mianowicie przekazywania wiadomości o śmierci zamordowanej osoby jej najbliższym. Ostatnio nie musiał robić tego zbyt często, gdyż należało to do obowiązków funkcjonariuszy sekcji kontaktu z rodzinami, detektywów specjalnie szkolonych pod tym kątem. Bywały jednak sytuacje, takie jak tą kiedy Grace chciał być przy tym obecny, po to, by móc ocenić reakcję, by zebrać jak najwięcej informacji w tych kluczowych chwilach tuż po przekazaniu wiadomości. A zabrał ze sobą Glenna Bransona, ponieważ uważał, że będzie on miał okazję wiele się przy tym nauczyć.

Ludzie, którzy utracili kogoś bliskiego, reagowali z reguły według prawie identycznego schematu. Przez pierwszych kilka godzin

pozostawali w szoku, całkowicie bezbronni, gotowi powiedzieć niemal wszystko. Szybko jednak zaczęli się wycofywać, a reszta rodziny zwierzała wokół nich szeregi. Jeśli chciało się uzyskać jakieś znaczące informacje, należało je wydobyć w ciągu pierwszych kilku godzin. Okrutne, lecz prawie zawsze skuteczne, a bez tego można było utknąć na wiele tygodni, może nawet miesięcy. Reporterzy z gazet również o tym wiedzieli.

\*

Rozpoznał dwie funkcjonariuszki sekcji kontaktów z rodzinami, detektyw Maggie Campbell i detektyw Vanesse Ritchie, które siedziały w samochodzie, niewielkim nieoznaczonym volvo, zaparkowanym na trawiastym poboczu drogi przed wejściem do budynku, i zatrzymał alfę tuż przed nimi. Ich twarze, zmrożone dezaprobatą, spoglądały na niego przez przednią szybę volvo.

- Kurczę, facet! Skąd ludzie biorą pieniądze na taką chałupę? - wyrwało się Glennowi, gdy spojrzął na stalową bramę pomiędzy dwiema kolumnami zwieńczonymi kamiennymi kulami.

- Stąd, że nie są glinami - odparł Grace.

Pieniądze nigdy nie odgrywały decydującej roli w jego życiu. Pewnie, że lubił ładne rzeczy, ale nie miał wygórowanych aspiracji i nie żył ponad stan. Sandy była rewelacyjna w robieniu małych oszczędności na różnych rzeczach. Zawsze bawiło go, że kupowała na styczniowych wyprzedażach kartki świąteczne na przyszły rok.

Ale za te oszczędności zawsze sprawiała im jakieś małe frajdy, jak to lubiła określać. W pierwszych latach małżeństwa, kiedy pracowała jako agent w biurze podróży i przysługiwały jej wycieczki w cenach promocyjnych, dwa razy udało jej się zaoszczędzić na dwutygodniowy pobyt za granicą.

Ale choćby nie wiem ile i kosztem jakich poświęceń zaoszczędził ze swojej pensji, choćby jako niższy rangą funkcjonariusz dostawał

jeszcze więcej premii za nadgodziny niż dostawał, to i tak nie mógłby nawet marzyć o czymś choćby zbliżonym do wspaniałej posiadłości, którą miał teraz przed oczami.

- Pamiętasz ten film, „Wielki Gatsby”? - spytał Branson. - Ten w wersji Jacka Claytona, z Robertem Redfordem i Mią Farrow, co?

Grace kiwnął głową. Przypominał sobie ten film jak przez mgłę, a przynajmniej tytuł.

- No, to jest właśnie coś takiego, nie? To ci dopiero wypasiony dom.

Rzeczywiście: prosta jak strzała, wysadzana drzewami aleja dojazdowa, długa na kilkaset metrów, prowadziła do kolistego parku, w środku którego znajdowała się ozdobna sadzawka, na wprost dworku w stylu palladiańskim, w każdym razie nawiązującego do tego stylu.

Grace kiwnął głową. Kątem oka dostrzegł otwierające się drzwi volvo.

- Oto nadchodzą kłopoty - powiedział cicho.

Policjantki wysiadły z samochodu.

Maggie Campbell, szatynka po trzydziestce, i starsza od niej o dwa lata, wysoka, chuda, rudowłosa Vanessa Ritchie, o twardszych rysach - i twardszym sposobie bycia - obie w ciemnych, stonowanych kostiumach podeszły do nich zamaszystym krokiem.

- Nie ma mowy, żebyśmy poszli tam we czworo, Roy - powiedziała detektyw Ritchie. - Będzie nas za dużo.

- Najpierw wejdę ja z Glennem i przekażę tę wiadomość. Potem zadzwonię do was, kiedy uznam, że czas, żebyście weszły i przejęły pałeczkę.

Zobaczył, że Maggie Campbell nachmurzyła się. Ritchie pokręciła głową.

- To niewłaściwa kolejność. Wiesz dobrze.

- Wiem, ale tak właśnie chcę to rozegrać.

- Rozegrać? - powtórzyła gniewnie. - Przecież nie chodzi o jakiś cholerny eksperyment. To nie w porządku.



- Nie w porządku, Vanesse jest to, iż ojciec musi się dowiedzieć, że znaleziono część jego córki, bez paru istotnych kawałków, takich jak głowa, na cholernym polu i z żukiem w odbycie. To właśnie jest cholernie nie w porządku.

Funkcjonariuszka sekcji kontaktu z rodzinami klepnęła się w pierś.

- Właśnie do takich spraw się szkoliliśmy. Jesteśmy specjalistkami od wszystkich aspektów utraty bliskiej osoby.

Grace popatrzył na nie.

- Wiem, jakie przechodziłyście szkolenie i znam was obie. Pracowałem już z wami i cenię was. To nie chodzi o wasze umiejętności. One są niewątpliwe, nie zapominajmy jednak o policyjnym aspekcie sprawy. Mam swoje powody, żeby chcieć osobiście przekazać tę wiadomość, a jako prowadzący dochodzenie w sprawie, ja tu wyznaczam zasady, tak? Nie chcę już więcej widzieć z waszej strony skwaszonych min, chcę współpracy. Zrozumiano?

Kiwnęły głowami bez przekonania.

- Zdecydowałeś już, ile powiesz jej ojcu? - odezwała Vanessa Ritchie cierpkim tonem.

- Nie, rozegram to na wyczucie. Zanim was wezwę do środka, wszystko wam powiem, będziecie na bieżąco. W porządku?

Maggie Campbell uśmiechnęła się wymuszonym, pojednawczym uśmiechem. Detektyw Ritchie wzruszyła ramionami, jakby mówiła: ty tu dowodzisz.

Na znak szefa Branson nacisnął dzwonek i po chwili wrota, zacinając się, rozwarły się szeroko. Podjechali do budynku. Grace zaparkował pomiędzy dwoma stojącymi przed nim samochodami, starym, dość brudnym bmw z serii 7 i bardzo wiekowym subaru kombi.

Kiedy zbliżali się do drzwi wejściowych, otworzył je dystygowany, pięćdziesięcioparoletni mężczyzna o ciemnych włosach ze srebrnymi pasmami na skroniach w rozpiętej pod szyją białej, garniturowej koszuli ze złotymi spinkami, w spodniach od garnituru i

błyszczących, czarnych mokasynach. Trzymał w ręku telefon komórkowy.

- Pan komisarz Grace? - zapytał z akcentem z wyższych sfer, głosem lekko stłumionym, gdyż, zdaje się, mówił przez zęby, niepewnie przyglądając się policjantom. Miał miły uśmiech, lecz jego smutne szaroniebieskie oczy przywodziły na myśl dwie zbłąkane duszyczki.

- Pan Derek Stretton? - spytał Grace.

Następnie obaj z Bransonem pokazali swoje legitymacje policyjne.

Wprowadzając ich do środka, Derek Stretton spytał:

- Jak się panom jechało?

- Całkiem niezłe - odparł Grace. - Chyba wybraliśmy dobrą porę dnia.

- Ta droga jest okropna; nie pojmuję, dlaczego nie mogą tu po prostu zbudować autostrady. Janie zawsze stoi godzinami w korkach, kiedy tu przyjeżdża.

Pierwszą rzeczą, na którą Grace zwrócił uwagę, wchodząc do holu, było jego umeblowanie. Stał tam długi, piękny, intarsjowany stół, wysoka komoda i krzesła antyki, ale nie było dywanów ani wykładziny podłogowej, a na ścianach zauważył puste miejsca najwidoczniej po zdjętych niedawno obrazach.

Prowadząc ich przez salon, gdzie na gołej podłodze stały dwie duże sofy, a pomiędzy nimi plastikowy stolik turystyczny pełniący funkcję stolika do kawy, Derek Stretton chciał, zdaje się, jak najszybciej to wyjaśnić, wskazując na duże, prostokątne cienie na pustych ścianach, z których tu i ówdzie sterczały nagie druty, a nad niektórymi z nich umieszczone były małe lampki.

- Niestety, musiałem sprzedać część rodzinnych antyków. Poczynilem trochę chybionych inwestycji...

To wyjaśnia te puste miejsca na ścianach, pomyślał Grace. Prawdopodobnie rzeczy poszły na aukcję. Stretton wyglądał na tak przygnębionego, że było mu go naprawdę żal, i to nie biorąc pod uwagę bomby, którą będzie musiał spuścić na jego głowę.

- Mojej gosposi nie ma... - Zamachał bezradnie rękami. - Hmm, ale mogę zrobić panom herbaty. Czy kawy?

Grace'owi zaschło w gardle.

- Herbatę poproszę, z mlekiem, bez cukru.

- Ja poproszę to samo - odezwał się Branson.

Kiedy Stretton wyszedł, Grace podszedł do jednego z nielicznych w tym pokoju mebli, eleganckiego stolika zastawionego fotografiami w ramkach. Było tam kilka zdjęć ludzi znacznie starszych - jak się domyślał, dziadków. Następnie jedno nieco młodszego Dereka Strettona z atrakcyjną kobietą mniej więcej w tym samym wieku. Tuż obok fotografia młodej dziewczyny, w której odgadł Janie. Na zdjęciu wyglądała na jakieś siedemnaście, osiemnaście lat, ładna, bardzo rasowa, w czarnej aksamitnej sukni balowej, z długimi jasnymi włosami zagarniętymi do tyłu i spiętymi dwiema brylantowymi spinkami, w bogato zdobionej srebrnej kolii na szyi. Była uderzająco podobna do młodej Gwyneth Paltrow. Uśmiechała się do aparatu uśmiechem, w którym nie było cienia zakłopotania. Dla Grace'a uśmiech ten znaczył: tak, jestem prześliczna, i dobrze o tym wiem.

Obok stała inna fotografia, także przedstawiająca Janie, parę lat młodszą, na stoku narciarskim, w liliowym skafandrze, fantastycznych okularach słonecznych i z nieco filuterną miną.

Grace zerknął na zegarek. Było pół do dwunastej. Urwał się z konferencji prasowej, pozostawiając rzecznikowi Dennisowi Pondsowi przyjemność oznajmienia hordzie dziennikarzy, że mają już nazwisko ofiary i ujawnią je, gdy tylko zostanie poinformowana najbliższa rodzina - co nastąpi za jakieś pół godziny. Chciał, aby następnie Ponds przede wszystkim pokazał zdjęcie dziewczyny gdzie się tylko da, by zebrać jak najwięcej informacji od osób, które zetknęły się z nią w ostatnich godzinach jej życia, a jeśli do środy nie będzie postępów w sprawie, aby przedstawił ją w najbliższym wydaniu telewizyjnego programu „Crimewatch”.

Branson podszedł do kominka. Na gzymsie stało trochę kart pocztowych z życzeniami urodzinowymi. Grace podszedł tam również. Zapatrzył się na kartkę z rysunkiem przedstawiającym dumnie spoglądającego pana w smokingu i w muszce, nad którym widniał napis: „Nadzwyczajnemu tacie!”

Otworzył kartkę i przeczytał: „Kochanemu Tatusiowi. Z ogromniastą górą miłości. J XXX”.

Grace odstawił kartę i podszedł do okna w wysokim wykuszu. Był stamtąd piękny widok na rzekę Hamble; Branson stanął obok niego i obaj zapatrzyli się na las masztów i takielunku na przystani, która wyglądała, jakby znajdowała się tuż za granicą posiadłości.

- Nigdy nie byłem na żaglach - wyznał Branson. - Nigdy do końca nie byłem z wodą za pan brat.

- Pomimo że mieszkasz nad morzem?

- No, nie nad samym. - Zadzwoił jego telefon. Wyciągnął go z kieszeni. - Sierżant Branson, słucham. A, cześć, aha, jestem z Royem pod Southampton. Powrót do Brighton przewidziany około drugiej. Roy chce zrobić odprawę o pół do siódmej, to żeby wszyscy byli, dobra? No. A dostaliśmy tych dwóch dodatkowych ludzi, cośmy prosili? Na razie tylko jednego? Kogo? O, kurczę, żartujesz! Nie! No nie do wiary, że nam go wcisnęli. Roy będzie nieźle wkurzony. Jedziemy stąd prosto do jej mieszkania; Roy chce, żeby ktoś poszedł do niej do pracy, porozmawiał z jej szefem i kolegami. Dobra. Tak. Pół do siódmej. Zgadza się.

Branson wsunął telefon do kieszeni.

- To była Bella. Mam dla ciebie zagadkę; prosiłeś o dwóch dodatkowych ludzi do zespołu: wiesz kogo nam przydzielili?

- No mów.

- Normana Pottinga.

Grace jęknął.

- Czas mu już na emeryturę; jest starszy od węgla.

- Paniom nie przypadł raczej do gustu. Bella nie jest zachwycona.

Sierżant Norman Potting miał pięćdziesiąt parę lat, w porównaniu do niektórych innych wstąpił na służbę w stosunkowo późnym wieku. Jako policjant ze starej szkoły był politycznie niepoprawny, miał niewyparzoną głowę i nie interesowały go awanse - unikał ciężaru odpowiedzialności - nie chciał też jednak odejść na emeryturę po ukończeniu pięćdziesięciu pięciu lat, standardowego wieku emerytalnego dla sierżanta policji, i dlatego przedłużył sobie służbę. Lubił robić to, w czym był najlepszy, mianowicie, jak mówił, odrabiać pańszczyznę i dłubaninę. Pańszczyznę, czyli żmudną robotę policyjną, i dłubaninę, czyli wytrwale drążenie pod powierzchnią każdego przestępstwa, tak długo i tak głęboko, aż dogrzebywał się do jakiejś warstwy, która mogła go gdzieś doprowadzić.

Trzeba powiedzieć na korzyść Normana Pottinga, że można było na nim polegać, a jego praca przynosiła wyniki. Ten cholerny nudziarz miał dość osobliwy sposób bycia i talent do wyprowadzania prawie każdego z równowagi.

- Myślałem, że jest na stałe oddelegowany do antyterrorystów na Gatwick - powiedział Grace.

- Widocznie mieli go tam dość. Może nie mogli już znieść jego dowcipów - odparł Branson. - A Bella mówiła, że jest cały przesiąknięty śmierdzącym dymem z fajki. Ani ona, ani Emma-Jane nie chce przy nim siedzieć.

- Biedactwa!

Do pokoju wszedł znów Derek Stretton, niosąc na tacy trzy porcelanowe filiżanki i dzbanek z mlekiem. Postawił tacę na plastikowym stoliku, po czym posadził ich na jednej sofie, a sam zasiadł na drugiej, naprzeciw nich.

- Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, mówił pan, że ma jakieś wiadomości o Janie, panie komisarzu, czy tak? - zapytał wyczekująco.

Grace nagle pożałował z całego serca, że nie zlecił tego zadania funkcjonariuszkom sekcji kontaktu z rodzinami.

## ROZDZIAŁ 25

Tom praktycznie przez cały ranek nic nie robił. Siedział przy biurku w swoim biurze, patrząc na rosnącą na ekranie stertę e-maili, na które dotąd nie odpowiedział, ale przynajmniej jego komputer znowu był na chodzie. Odebrał kilka telefonów, jak również skrupulatnie przejrzał kalkulację kosztów zegarków Rolex Oyster dla Rona Spacksa.

Rozmyślał.

Jego mózg pracował na wysokich obrotach, lecz na jałowym biegu.

Ten wczorajszy telefon od Chrisa z wiadomością o włamaniu.

*Właściwie to chyba, kurczę, brakuje tylko jednej rzeczy... Tej twojej płyty CD...*

Co prawda był kiedyś u Chrisa Webba w jego domowym pokoju do pracy, nieprawdopodobnie zabałaganionym. Nietrudno byłoby zgubić tam płytę CD - miał ich mnóstwo i wszędzie się walały.

A jednak, pomyślał Tom, ktoś jest niezadowolony z tego, że on ma tę płytę, i dwa razy rozwalili mu komputer, żeby dać to do zrozumienia. Czyli teraz ją sobie odebrali? Czyżby Chris Webb próbował odtworzyć płytę, i to ich zaalarmowało?

Skoro właściciel, ktokolwiek nim był - ten kretyn z pociągu - ma ją teraz z powrotem, czy to już zakończy sprawę?

Może złamas dziś też będzie jechał pociągiem? Tom jednak wątpił w to; od tylu lat dojeżdżał do pracy i nigdy przedtem go nie

widział. Swoją drogą nie był pewny, jak by zareagował - czy by podszedł do tamtego i nawymyślał mu, czy też byłby zbyt zdenerwowany, żeby cokolwiek powiedzieć.

Nie rozmawiał o tym z Kellie. Najlepiej siedzieć cicho, stulić uszy po sobie. Więcej nie dzwonili, co, miejmy nadzieję, znaczy, że otrzymał już ostrzeżenie, które miał otrzymać.

Ostrzeżenie, które niewątpliwie do niego dotarło, dotarło jak cholera.

## ROZDZIAŁ 26

- Administracja budynku, w którym pańska córka, panie Stretton, wynajmuje mieszkanie, wpuściła nas wczoraj do środka i pozwoliła nam wziąć stamtąd parę należących do niej przedmiotów w celu wykonania testów DNA. Zdjęliśmy ze szczotki kilka próbek włosów i wzięliśmy przeżutą gumę, którą znaleźliśmy w łazienkowym pojemniku na śmieci - mówił Grace.

Derek Stretton trzymał w ręku filiżankę, ale nie pił, tylko przyglądał mu się nieufnie.

- Przesłaliśmy je do laboratorium policyjnego w Huntingdon i dziś rano otrzymaliśmy wyniki. DNA pobrane z gumy do żucia i włosów pochodzi od tej samej osoby i jest całkowicie zgodne z DNA znalezionej przez nas w środku ciała. Niestety, jedyny wniosek, jaki się tu nasuwa, jest taki, że ową zamordowaną młodą osobą była pańska córka, Janie.

Zapadła długa cisza i przez chwilę Grace miał wrażenie, że Derek Stretton zaraz odrzuci głowę do tyłu i wybuchnie śmiechem. Tak się nie stało, natomiast filiżanka zaczęła podzwaniać o spodek, coraz głośniejsze, aż w końcu Stretton pochylił się i odstawił ją.

- Ro... rozumiem - wykrztusił.

Spojrzał znów na Grace'a, potem na Bransona. Następnie powoli, niczym jakieś skomplikowane składane krzesło, zaczął się zapadać w sobie, jakby ktoś wyłączył go z kontaktu.



- Ona jest wszystkim, co mam na tym świecie - wyznał bezradnie. - Proszę mi powiedzieć, że to nieprawda. Ona dziś przyjeżdża... są moje urodziny... mamy iść na kolację... O Boże. Ja... Ja...

Grace sztywno patrzył przed siebie, unikając wzroku Bransona, rozpaczliwie pragnąc móc powiedzieć, że to nieprawda, że to pomyłka. Nie miał jednak nic do dodania, nic co mogłoby ulżyć temu człowiekowi w jego bólu.

- Straciłem żonę, matkę Janie, trzy lata temu. Rak. Teraz straciłem Janie. Ja...

Grace odczekał parę chwil, po czym zapytał:

- Jaką była córka? To znaczy: czy byli państwo sobie bliscy?

Po długim milczeniu Derek Stretton powiedział:

- Mówi się, że ojca i córkę zawsze łączą szczególne więzy. W naszym przypadku tak było na pewno.

- Była kochającą córką?

- Ogromnie. Nigdy nie zapominała o moich urodzinach, czy Bożym Narodzeniu, czy Dniu Ojca. Ona... ona jest... po prostu... idealną...

Głos odmówił mu posłuszeństwa. Grace wstał.

- Czy ma pan jakieś jej niedawno zrobione zdjęcie? Chciałbym jak najszybciej wprowadzić je do obiegu.

Derek Stretton posępnie skinął głową.

- A mógłbym rzucić okiem na jej pokój?

- Zaprowadzić pana, czy...

- Możemy pójść sami - powiedział łagodnie Grace.

- Pierwsze piętro: po schodach i w prawo. Drugie drzwi po prawej.

Był to pokój dziewczynki, schludnej, uporządkowanej, systematycznej dziewczynki. Na poduszkach leżały ułożone rzędem przytulanki. Na ścianie wisiał plakat U2. Na toalecie leżał zbiór muszelek. Półki wypełnione były głównie książkami dla dzieci, opowieściami przygodowymi dla dziewcząt oraz paroma thrillerami

prawniczymi Scotta Turrowa, Johna Grishama i kilku innych amerykańskich autorów. Na podłodze leżała para kapci, a na drzwiach wisiał staroświecki szlafrok.

Grace i Branson otworzyli każdą szufladę, pogrzebali w ubraniach dziewczyny, jej bieliznie, podkoszulkach, bluzkach, swetrach, lecz nie znaleźli nic, co by mogło ich choćby pośrednio naprowadzić na trop odpowiedzi na pytanie: cóż ona takiego zrobiła, że padła ofiarą bestialskiego mordu.

Grace wziął aksamitne pudzderko na biżuterię i uniósł wieko. W środku znajdowały się delikatne ametystowe kolczyki, srebrna bransoletka z breloczkami, złoty naszyjnik i sygnet z wygrawerowanym herbem. Grace przymknął wieko, zatrzymał jednak pudzderko.

Po piętnastu minutach zeszli na dół. Wyglądało na to, że Derek Stretton nie ruszył się z krzesła i nie tknął herbaty.

Grace uniósł wieko pudzderka i pokazał ojcu Janie jego zawartość.

- Panie Stretton, czy to wszystko biżuteria pańskiej Córki?

Stretton popatrzył i skinął głową.

- Czy mógłbym pożyczyć jeden z tych przedmiotów? Coś, co mogła niedawno nosić? - Zignorował dziwne spojrzenie, które posłał mu Glenn.

- Najlepszy będzie chyba sygnet - stwierdził Stretton. - To nasz herb. Do niedawna nosiła go stale.

Grace wyjął z kieszeni foliową torebkę do zabezpieczania dowodów, którą przyniósł ze sobą specjalnie w tym celu, ujął pierścień przez chusteczkę, wyciągnął go z pudzderka i ostrożnie umieścił w torebce.

- Panie Stretton, czy przychodzi panu może do głowy ktoś, kto mógłby mieć jakiś powód, żeby zrobić coś złego pańskiej córce?

- Nikt - szepnął Stretton.

Grace usiadł znów naprzeciw niego, po czym pochylił się i ujmując brodę w dłonie, zapytał:

- Czy ona miała chłopaka?

Patrząc w dywan, Derek Stretton odpowiedział:

- Nie, nikogo w szczególności.

- Ale miała chyba jakiegoś kolegę, z którym aktualnie chodziła?

Podniósł wzrok na Grace'a, widocznie odzyskując do pewnego stopnia panowanie nad sobą.

- Była wyjątkowo urodziwą dziewczyną o wspaniałej osobowości. Nigdy nie brakowało jej wielbicieli. Tylko że bardzo poważnie podchodziła do swojej kariery prawniczej: myślę, że nie chciała się zanadto rozpraszać.

- Była prawniczką?

- Studentką prawa. Przez trzy lata studiowała tu, na uniwersytecie w Southampton, a dalej kontynuowała naukę w Guildford Law School. W tej chwili odbywa sześciomiesięczną praktykę w kancelarii adwokackiej w Brighton. Potem czekają... czekał... czekałby... jeszcze rok studiów w Guildford.

- A w czasie studiów pozostawała na pańskim utrzymaniu?

- W miarę moich możliwości. W ostatnich miesiącach było trochę ciężko. Ja...

Grace współczująco skinął głową.

- Może powróćmy do jej sympatii. Czy zna pan nazwisko jej ostatniego chłopaka?

Derek Stretton wyglądał tak, jakby w ciągu ostatnich dwudziestu minut postarzał się o dwadzieścia lat. Zamyślił się.

- Justin Remington; chodziła z nim jakiś rok temu. Czarujący młody człowiek. Jest deweloperem w Londynie. Nawet go lubiłem, ale chyba zanadto odstawał od niej intelektualnie. - Uśmiechnął się, patrząc gdzieś w dal. - Ona jest... była wybitnie inteligentna. W scrabble nie dorastałem jej do pięt, odkąd skończyła dziewięć lat.

- Wie pan może, gdzie mógłbym złapać tego Justina Remingtona?

Stretton przez jakiś czas zastanawiał się w milczeniu, marszcząc brwi.

- Grał wyczynowo w tenisa. Chyba tych zawodników nie jest aż tak wielu. Wiem, że grał w Londynie... O ile się nie mylę, w klubie Queens.

Dla Grace'a stawało się coraz bardziej oczywiste, że nie dowie się od tego człowieka wiele więcej.

- Ma pan kogoś, do kogo może pan zatelefonować? Kogoś z rodziny czy przyjaciół, kto mógłby do pana przyjść?

Po paru chwilach Derek Stretton powiedział potulnie:

- Moja siostra Lucy. Mieszka niedaleko. Zadzwoń do niej. Będzie zdruzgotana.

- Może by pan zadzwonił, dopóki tu jesteśmy - ponaglił Branson najłagodniej jak umiał.

Podczas gdy telefonował, obaj czekali, wycofując się na tyle dyskretnie, na ile to było możliwe, w głąb pokoju. Grace usłyszał, że Stretton szlocha; potem wyszedł na chwilę z pokoju. Wrócił z brązową kopertą w ręku.

- Zebrałem tu dla panów kilka zdjęć Janie. Będę wdzięczny za ich zwrot.

- Oczywiście - zapewnił Grace, dobrze wiedząc, że biedak będzie pewnie musiał w najbliższych miesiącach wykonać z pół tuzina telefonów, żeby je odzyskać: na pewno gdzieś zostaną błędnie skatalogowane i utkną w systemie, to nieuniknione.

- Lucy, moja siostra, już jedzie. Będzie tu za jakieś pół godziny.

- Chciałby pan, żebyśmy na nią zaczekali? - spytał Grace.

- Nie, nic mi nie będzie. Potrzebuję trochę czasu, żeby pomyśleć. Ja... Czy... czy mógłbym zobaczyć Janie?

Grace rzucił szybkie spojrzenie Bransonowi.

- Chyba bym to panu odradzał.

- Naprawdę, chciałbym ją jeszcze raz zobaczyć. Wie pan... Pożegnać się... - Wyciągnął rękę i mocno uchwycił dłoń Grace'a.

Grace uświadomił sobie, że Strettonowi umknęła informacja z prasy, że nie odnaleziono głowy Janie. To nie był moment, żeby mu o tym mówić. Postanowił pozostawić to sekcji kontaktu z rodzinami.

Vanessa Ritchie i Maggie Campbell zaraz będą mogły zapracować na siebie i spłacić w ten sposób część ogromnych kosztów poniesionych na ich wyszkolenie.

- Niebawem zjawią się tu u pana dwie panie detektyw z naszej sekcji kontaktu z rodzinami. One będą mogły udzielić panu informacji w tej sprawie.

- Dziękuję. Będę bardzo wdzięczny. - Zaśmiał się smutno. - Wiecie panowie, my... my z Janie nigdy nie rozmawialiśmy o śmierci. Nie mam pojęcia, czy chciała, żeby ją pochować w ziemi, czy poddać kremacji. - Z dzikim błyskiem w oku dodał nagle: - No i, oczywiście, jej kot. - Podrapał się w tył głowy. - Śmiał! Przed każdym wyjazdem przywoziła go tu. Ja... nie wiem... to takie...

- One będą w stanie pomóc panu we wszystkim; po to właśnie są.

- Nigdy mi nie przyszło do głowy, że ona może umrzeć, wie pan.

Grace i Branson wracali do samochodu pogrążeni w bardzo przykrym milczeniu.

## ROZDZIAŁ 27

Funkcjonariusz Służby Wsparcia Policji, którego z trudem można było odróżnić od policjanta w cywilu, stał z notesem przed drzwiami wejściowymi domu w Kemp Town, w którym Janie Stretton wynajmowała mieszkanie, i zapisywał wszystkich, którzy wchodzili do budynku lub z niego wychodzili. W odróżnieniu od wprowadzie nieco przygasłej, ale jednak świetności domu jej ojca, tę ulicę, wzdłuż której stały podniszczone segmenty, z jej kalejdoskopem reklam agencji nieruchomości, przepelnionych kubłów na śmieci, skromnych aut osobowych i furgonetek, można było nazwać istną krainą kawalerek studenckich.

W dziewiętnastym wieku Kemp Town było oddaloną od Brighton ekskluzywną enklawą okazałych domów w stylu regencji, zbudowaną na wzgórzu zwieńczonym torem wyścigowym z pięknymi widokami na Kanał. Stopniowo jednak w drugiej połowie połowie kolejnego stulecia, gdy wybudowano tam osiedla komunalne i wielopiętrowe bloki, a granica miasta coraz bardziej zacierała się, Kemp Town zaraziło się tą samą aurą zaniedbania i zapuszczenia, która od dawna otaczała Brighton.

Na samym końcu ulicy Grace zobaczył wysoką, kanciastą masę zaparkowanego tam wozu grupy dochodzeniowej, który wystawał na jezdnię o wiele bardziej niż powinien. Wcisnął swą alfę romeo

pomiędzy dwa samochody tuż obok niego, po czym obaj z Bransomem, każdy z torbą podręczną na ramieniu, poszli z powrotem wzdłuż ulicy.

Było tuż przed trzecią i Grace'a bolał żołądek od pochłoniętych pośpiesznie w samochodzie, w drodze powrotnej od ojca Janie, dwóch sandwiczów z krewetkami, batonika Mars i coli. Dziwił się, że w ogóle miał apetyt po tym, jak przekazał Strettonowi tę ponurą wiadomość, i co więcej, był to wilczy apetyt - jakby jedzenie było w jakiś sposób ponowną afirmacją życia. A teraz ono odgryzało się na nim. Wiał słony, porywisty wiatr, a niebo zasnuwało się chmurami. Nad głową, z krzykiem i skrzeczeniem, krążyły mewy; reklama agencji nieruchomości Mishon Mackay kołysała się na wietrze, gdy koło niej przechodził. Była to część Brighton, którą zawsze lubił, blisko morza, z połączonymi szeregowo pięknymi, starymi willami. Gdyby zamknąć oczy, wyobrazić sobie, że reklamy agencji tudzież plastikowe panele domofonów zniknęły, a budynki przeciągnięto świeżą białą farbą, można by zobaczyć, jak z ich drzwi wejściowych wynurzają się bogaci londyńczycy sprzed stu lat, wyelegantowani, dumnie kroczący ku, powiedzmy, kabinom plażowym, albo zmierzający do wytwornej kawiarni, czy też udający się na niespieszną przechadzkę po deptaku, aby móc rozkoszować się urokami miasta i modnego bulwaru nadmorskiego.

Miasto bardzo się zmieniło, nawet za jego niedługiego życia. Pamiętał z dzieciństwa, że ulice takie jak ta były w Brighton królestwem właścicielek nadmorskich domów. Teraz, po paru dekadach w rękach spekulantów grasujących na rynku nieruchomości, zostały wszystkie pokrojone na kawalerki i mieszkania do wynajęcia na studencką kieszeń - płatne gotówką do rąk osiłków, którzy chodzili od drzwi do drzwi i pobierali komorne. A w razie gdyby coś nie działo, powinni to w końcu naprawić, jeśli się miało szczęście.

Grace lubił czasem wybrać się w deszczową niedzielę do miejscowego muzeum, gdzie oglądał ryciny i akwarele przedstawiające

Brighton z minionej epoki, w czasach gdy molo ozdabiała łańcuchy, po mieście jeździły dorożki, a panowie chodzili w cylindrach. Przez chwilę pogrążał się w zadumie, jakież to życie musiało być w tamtych czasach, a potem przypominał sobie, co mu ojciec opowiadał: dentysta miał wiertło napędzane siłą jego nóg, za pomocą pedału. I od razu czuł radość, że żyje w dwudziestym pierwszym wieku, pomimo wszystkich bolączek trapiących współczesne społeczeństwo.

- Grosik za twoje myśli - odezwał się Glenn Branson.

- Lubię tę część Brighton.

Branson podniósł na niego zdziwiony wzrok.

- Naprawdę? Dla mnie to syf.

- Nie potrafisz docenić piękna.

- Ta część miasta przypomina mi taki film „Skala w Brighton”. Z Dickiem Attenboroughem jako Pinkiem.

- Aha, pamiętam. Czytałem też powieść - odparł Grace, choć raz mogąc go przelicytować.

- To była książka? - Branson spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Jezu, spod jakiego kamienia ty wypelzłeś? - jęknął Grace. - „W Brighton” Grahama Greene'a, jedna z jego najślawniejszych powieści. Wydana w latach czterdziestych.

- No tak, to wyjaśnia sprawę, stary wiarusie. Twoje pokolenie!

- Aha, aha! Tak się zawsze nadymasz, jaki to z ciebie znawca kina, że się o mało nie zesrasz, a jak poskrobać, wychodzi z ciebie ignorant.

Branson zamilkł na chwilę i wskazał na zabite dyktą okno, potem na przeżartą solą farbę na framudze i na osypującą się sztukaterię.

- Co ci się w tym podoba?

- Architektura. Dusza tego miejsca.

- No, ja kiedyś pracowałem w klubie nocnym o dwa kroki stąd, i nigdy tu nie widziałem żadnej duszy. Tylko niekończącą się kolejkę kretynów nawalonych ekstazy.



Doszli do stojącego przed drzwiami wejściowymi okularnika ze Służby Wsparcia Policji i okazali legitymacje. Powolutku, odręcznie zapisał ich nazwiska w notesie. Grace widział coś takiego pierwszy raz w życiu. Służbę Wsparcia Policji utworzono po to, by odciążać policję. Jej funkcjonariusze, przezywani plastikowymi policjantami, idealnie nadawali się do zadań takich jak to.

- Wejdźcie na drugie piętro - objaśnił uczynnie. - Klatka schodowa i drzwi wejściowe zostały sprawdzone, od strony kryminalistycznej nic odpowiedniego tam nie znaleziono.

Mówi jak prezynter programu telewizyjnego, pomyślał Grace z rozbawieniem.

Weszli na klatkę schodową, która wyglądała tak samo, jak wszystkie inne znane Grace'owi klatki schodowe w domach z mieszkaniem do wynajęcia za niewielkie komorne: łysiejący dywan na podłodze, reklamy wysypujące się z przegródek na pocztę, łuszcząca się farba olejna i odpadające tapety, zapach gotowanej kapusty, zabezpieczone kłódkami rowery, strome i wąskie schody.

W poprzek drzwi mieszkania przeciągnięte było pasmo niebiesko-żółto-białej taśmy, używanej do zabezpieczenia miejsca zbrodni przez policję w Sussex. Grace i Branson wyciągnęli z toreb podręcznych białe kombinezony ochronne i włożyli je, a następnie rękawice, ochraniacze na buty i kaptury. Potem Branson załomotał do drzwi.

Po chwili otworzył je Joe Tindall, odziany w taki sam jak oni strój ochronny. Zawsze kiedy Grace patrzył na ekipę kryminalistyczną przy pracy, ich widok w zakapturzonych białych kostiumach przywodził mu na myśl tajne służby usuwające ślady inwazji kosmitów. A ostatnio za każdym razem gdy spotykał Tindalla, wciąż od nowa nie mógł się nadziwić całkowitej przemianie, jaką ten niedawno przeszedł.

- Boże, my to się zawsze spotykamy w najlepszych miejscach, co, Roy? - przywitał go Tindall.

- Lubię sprawiać frajdę swoim ludziom.

- Da się zauważyć.

Weszli do niewielkiego przedpokoju i Joe zamknął za nimi drzwi. Była tam jeszcze jedna postać w bieli, która na czworakach badała listwę przypodłogową. Grace zauważył, że kaloryfer został zdjęty ze ściany. Zanim skończą tu pracę, zdjęte będą wszystkie kaloryfery, oderwane wszystkie listwy przypodłogowe, a nawet część tapet.

Przez środek podłogi w przedpokoju położony był pasek policyjnej taśmy klejącej, wyznaczający ścieżkę, po której można się poruszać. Tindall był bardzo skrupulatny w zabezpieczaniu miejsc zbrodni.

- Jest coś interesującego? - spytał Grace, zerkając na rudobiałego kota, który nadszedł z głębi mieszkania, by mu się przyjrzeć.

Tindall spojrzął na Grace'a z trochę dziwnym wyrazem twarzy.

- Zależy co kogo interesuje. Plamy krwi na wykładzinie w sypialni, które ktoś próbował wyczyścić. Rozbryzgi krwi na ścianie i suficie. Kluczyki do stojącego przed domem mini coopera. Wywieźliśmy go na lawecie: nie chcę, żeby ktoś go prowadził i zanieczyścił.

- Słuszne myślenie.

Grace natychmiast zanotował w pamięci, że najwyraźniej Janie Stretton nie pojechała samochodem na spotkanie ze swym zabójcą. To przynajmniej eliminowało jedną z nitek śledztwa. Przykucnął i głaskał przez chwilę kota.

- Każemy komuś zawieźć cię do dziadka - powiedział. Tindall znów spojrzął na niego z tą dziwną miną.

- Pozwól za mną.

- To ty jesteś Śmiet, prawda? - zapytał kota Grace, przypominając sobie, co mówił o nim Derek Stretton.

Kot zamiauczał w odpowiedzi.

- Czy ktoś go nakarmił?

- W kuchni jest jeden z tych automatycznych podajników karmy - odparł Tindall.

Roy poszedł za nim. W odróżnieniu od syjącej się fasady budynku i zaniedbanej klatki schodowej, mieszkanie Janie Stretton było przestronne, zadbane i urządzone może tanio, ale ze smakiem. W przedpokoju i przylegającym do niego salonie na porządknie utrzymanym parkiecie leżało parę białych dywaników, białe były również wszystkie zasłony i cała tapicerka, podczas gdy twarde meble błyszcząły czarnym lakierem, z wyjątkiem rozstawionych wokół stołu sześciu krzeseł z pleksi. Na ścianach wisiały czarno-białe fotografie, wśród nich kilka dość śmiałych aktów, zauważył Grace.

Po jednej stronie salonu, we wnęcie okiennej, stało dość marne biurko, a na nim laptop sony i telefon z sekretarką automatyczną. Migające światelko sygnalizowało, że są wiadomości do odebrania.

W mieszkaniu była jeszcze maleńka kuchnia, równie maleńki pokój gościnny i duża sypialnia, typowo kobieca; Grace jak przez mgłę rozpoznawał utrzymujący się w niej zapach jakichś wytworzonych perfum, które lubił. Dziwnie przejmująca była świadomość, że osoba nie żyje, a jednak zapach, który po niej pozostał, był jeszcze żywy. Podłogę sypialni pokrywała biała wykładzina, rzucał się w oczy zaciek na środku, średnicy dobrze ponad pół metra, a wokół kilka mniejszych. Ktoś próbował wywabić plamy krwi, bez powodzenia.

Przez otwarte drzwi widać było przylegającą do sypialni łazienkę. Podszedł tam, starannie omijając plamy na wykładzinie i zajrzał do środka. Na podłodze przy wannie stało puste plastikowe wiadro, obok leżała szczotka do szorowania.

Grace błędził wzrokiem po całej sypialni, chłonąc wszystko, podczas gdy kolejny ubrany na biało technik kryminalistyczny szybko pokrywał powierzchnie proszkiem, żeby zdjąć odciski palców. Spojrzał na cedrową komodę przy niewielkim podwójnym łóżku, rozrzucone na nim poduszki, długie lustro na stojaku, w stylowej drewnianej oprawie, zasunięte żaluzje, dwie włączone lampy stojące, lustrzane drzwi szafy naprzeciwko łóżka. Widział plamki na ścianie, których morderca przez niedbalstwo nie starł. Albo może poddał się

po walce z plamami na wykładzinie - czy też coś go spłoszyło w trakcie sprzątania po sobie.

Ale na wiadrze nie było widać żadnych plamek, na szczotce też.

Jeszcze jedna zagadka.

Śmiet wszedł do sypialni i otarł się o nogę Grace'a. W rozrządzeniu pogłaskał znów kota. Potem, idąc za wzrokiem Tindalla, który spojrzał w górę, nagle dostrzegł lustrzany sufit nad łóżkiem.

- Trochę nietypowe, nie uważacie? - spytał Tindall.

- Niezła perwersja - ocenił Branson. - No, no.

- Może miała bóle w plecach - zażartował Grace - i tylko w ten sposób mogła się umalować.

- To nie wszystko - dodał Tindall, otwierając komodę.

Grace i Branson zajrzeli do środka. Ku zdumieniu Grace'a komoda była wypełniona przedmiotami, których mógłby się spodziewać w jakiejś jaskini sado-maso.

Nie musiał przetrząsać zawartości, żeby zobaczyć pejcz, kajdanki, gumową maskę na całą twarz, kilka innych przyborów do krępowania, między innymi nabijaną ćwiekami obrozę, zaprojektowaną na pewno nie dla psa, rolkę mocnej taśmy samoprzylepnej i zestawibratorów.

Grace gwizdnął.

- Chyba znalazłeś jej pudełko z zabawkami.

- Co kogo kręci, nie? - rzucił Joe Tindall. Grace przyklęknął i przyjrzał się bliżej.

- Jest coś jeszcze?

- Tak, w szufladzie nocnego stolika chyba ze dwadzieścia najnowszych pornosów. Takich naprawdę hardkorowych.

Grace i Branson przejrzeni pobieżnie kolekcję magazynów. Panowie na paniach, panie na paniach, panowie na panach i rozmaite permutacje. Pomimo okoliczności Grace poczuł ukłucie żądz na widok niektórych pań na stronach z paniami; nic na to mógł poradzić i prawdę mówiąc, był dość zadowolony, że w końcu, po tylu

latach, wracają mu prawidłowe odruchy.

- Takie gówno to normalne? - spytał Glenn Branson.

- Znajdowałem już pornosy w szafach dziesiątków mężczyzn - powiedział Tindall. - Nieczęsto znajduję je u kobiet.

Grace odłączył się od tamtych dwóch i przeszedł się sam po całym mieszkaniu. Chciał uchwycić jego atmosferę. I im dłużej po nim chodził, tym bardziej wydawało mu się nieprzytulne.

Przypomniawszy sobie, co mówił architekt Le Corbusier, że dom jest maszyną do mieszkania. Takie właśnie wrażenie robiło to mieszkanie. Nieskazitelnie czyste. W przyległej do sypialni łazience założona była świeża kostka toaletowa w sedesie; umywalka lśniła czystością, wszystkie przybory toaletowe, oprócz elektrycznej szczoteczki i wybielającej pasty do zębów, znajdowały się w szafkach łazienkowych. Nieprawdopodobnie czysto i porządknie - jak na studentkę.

Zestawił w myśli tę sypialnię z jej sypialnią u ojca w domu, gdzie był plakat na ścianie, pluszaki, kolekcja muszelek, książki; tamta sypialnia dawała pewne wyobrażenie o swej lokatorce, ta nie.

Grace przeszedł do salonu i przez chusteczkę wcisnął w telefonie ponowne wybieranie ostatniego numeru. Po kilku sygnałach odezwała się poczta głosowa kancelarii adwokackiej, w której pracowała Janie. Następnie wybrał 1471, żeby sprawdzić ostatnie połączenie przychodzące, jednak okazało się, że numer jest zastrzeżony. Potem wcisnął odtwarzanie wiadomości na sekretarce automatycznej. Kot stał tuż przy nim, jednak Grace nie zwrócił na to uwagi. Wpatrywał się w oprawione zdjęcie Janie stojące na biurku obok telefonu. Ubrana w długą wieczorową suknię stała na tle czegoś, co wyglądało na budynek opery w Glyndebourne. Ciekawe, pomyślał, że wszystkie jej zdjęcia wyglądają na bardzo upozowane. Sekretarka przez chwilę pofurkotała, po czym usłyszał dość bezbarwny głos kobiety.

- Mmm, eee, halo, Janie, mówi Susan. Sekretarka pana Brooma. Jest kwadrans po jedenastej, środa. Pan Broom spodziewał się, że przyjdiesz dziś o ósmej rano, żeby mu pomóc w ostatecznej redakcji tych materiałów potrzebnych na sprawie. Oddzwon, proszę.

Grace zapisał uzyskane dane w notesie.

Była jeszcze jedna, podobna, wiadomość od tej samej kobiety, dwie godziny później, natomiast w pół do czwartej nagrała się inna kobieta, sądząc po głosie młodsza i dość bystra.

- Cześć, Janie, tu Maggie. Trochę się niepokoję, że cię dziś nie ma. Wszystko w porządku? Może wpadłabym w drodze do domu. Zadzwoń albo zaesemesuj, albo coś.

Następnie, godzinę później nagrała się inna wiadomość, od jakiejś kobiety o nazbyt wesołym głosie.

- No cześć, Janie, mówi Claire. Mam coś dla ciebie. Zadzwoń, proszę.

Następna wiadomość była od Dereka Strettona.

- Cześć, Janie, córeczko. Dostałem twoją kartkę na urodziny. Jesteś taka kochana. Nie mogę się doczekać piątku, tak się cieszę na twój przyjazd. Zamówiłem stolik, tam gdzie najbardziej lubisz; urządzimy sobie wielkie żarcie owoców morza! Zadzwoń do mnie przedtem, jak będziesz miała chwilkę. Całuję cię bardzo, bardzo mocno. Tata.

Następnie odezwał się dość szorstki męski głos.

- Dzień dobry pani. Moje nazwisko Darren. Dzwonię z Beneficial z pytaniem, czy nie interesowałaby pani wycena ubezpieczenia mieszkania w naszej firmie. Zadzwoń później.

Potem znów wesołutki głos Claire, tym razem z nutką niepokoju.

- No cześć, Janie, to znowu ja, Claire. Martwię się, że może nie odebrałaś mojej ostatniej wiadomości. Spróbuję znów na twoją komórkę; to miało być na dziś wieczór.

Grace zmarszczył brwi. Na dziś wieczór? Środę wieczór? Kiedy już nie żyła od jakiejś doby?

Było jeszcze kilka dalszych wiadomości od niej z następnego dnia, z czwartku. I kolejna od kobiety imieniem Claire, wyraźnie rozdrażnionej. Prosił również o kontakt ojciec, tym razem pełen niepokoju.

- Janie, kochanie, dzwoniли do mnie od ciebie z biura, mówią, że nie było cię od wtorku i nie wiedzą, co o tym myśleć. Czy nic się nie stało? Oddzwoni, proszę. Kocham cię bardzo. Tata.

Grace przewinął taśmę do pierwszej wiadomości od dziarskiej Claire.

- No cześć, Janie, mówi Claire. Mam coś dla ciebie. Zadzwoń, proszę.

Coś mu w tej wiadomości nie pasowało, ale nie bardzo wiedział co. Sprawdził, czy urządzenie rejestruje numery połączeń przychodzących, ale wyglądało na to, że nie.

- Glenn - odezwał się. - Z braku kogoś lepszego ty jesteś moim podręcznym specem od techniki. Możesz się dostać do książki adresowej w jej laptopie?

Sierżant podszedł do komputera i otworzył pokrywę.

- To zależy, czy była grzeczną dziewczynką, czy nie... Czy będziemy mieli jakieś hasło do... Ach, nie, super! Bez hasła!

Odsunął krzesło i zasiadł przy komputerze.

- Kogo mam znaleźć?

- Claire.

- Claire jak?

- Claire i tyle. - Grace nie miał głowy do poprawiania jego gramatyki.

Glenn stukał w klawiaturę zaledwie przez parę chwil, po czym podniósł głowę.

- Jest tylko jedna. Sprawdziłem różne warianty pisowni.

- Jest tam jakiś adres?

- Tylko telefon.

- Dobra, dzwoń.

Branson wybrał numer, po czym podał Grace'owi słuchawkę. Po kilku długich sygnałach rozległ się szorstki męski głos.

- Tak, słucham?
- Czy mogę prosić Claire?
- Jest na drugiej linii; kto mówi?

Grace zrobił w myśli szybkie wyliczenie. Po drodze tutaj zostawili zdjęcie Janie w centrum koordynacji, kiedy zabierali torbę podręczną Glenna. Dopiero za dobrych parę godzin fotografia ukaże się w mediach, a więc nikt poza policją i najbliższą rodziną Janie jeszcze nie wie, że ona nie żyje.

- Dzwonię w imieniu Janie Stretton - powiedział.
- Aha, pan sekundeczkę zaczeka, za chwilę odbierze.

Grace usłyszał najpierw parę taktów „Wiosny” Vivaldiego, a następnie głos, w którym rozpoznał Claire.

- Halo? - odezwała się nieco podejrziwym tonem.
- Halo, dzień dobry, dzwonię w odpowiedzi na wiadomość, którą pani pozostawiła dla Janie Stretton w środę po południu.
- Przepraszam, kim pan właściwie jest? - Teraz już ton był bardzo nieufny. Za bardzo.

- Komisarz Grace z wydziału kryminalnego policji hrabstwa Sussex.

Połączenie zostało przerwane.

Grace natychmiast wcisnął ponowne wybieranie. Rozległo się kilka sygnałów, aż w końcu włączyła się poczta głosowa.

- Przepraszamy, w tej chwili nie możemy odebrać twojego telefonu...

- Gówno prawda! - warknął Grace i odłożył słuchawkę. Wyciągnął radiotelefon, połączył się z Bella, podał jej numer telefonu i poprosił, by wyszukała adres. Następnie zatelefonował do Eleanor i poprosił, by wyznaczyła konferencję prasową na piętnaście po trzeciej. Bardzo mu zależało, żeby jak najbardziej nagłośnić sprawę, zanim cały świat zwinie się na weekend.

Czekając, sprawdził e-maile w swoim smartfonie, zwłaszcza pod kątem wieści z procesu Suresha Hosseina - ten jednak zdaje się chwilowo ugrzązł pod ciężarem składanych dzień w dzień wniosków procesowych.



Po pięciu minutach Bella, sprawna jak zwykle, odezwała się przez radiotelefon, podając adres w okolicach dworca Hove, jakieś dziesięć minut normalnej jazdy stamtąd, albo półtorej minuty na sygnale. Telefon był zarejestrowany na firmę BCE-247 Ltd. Nic mu to nie mówiło.

Zwrócił się do Bransona.

- Opakuj ten komputer i zanieś do samochodu; wyjmemy z niego dysk. Nie lubię, kiedy mi ktoś rzuca słuchawką.

## ROZDZIAŁ 28

Grace ciasno zapiał pas, kazał Bransonowi zrobić to samo, po czym depnął na gaz i ruszył najszybciej jak mógł, klucząc wśród jadących pojazdów, trąbiąc klaksonem, błyskając światłami i nie mogąc odżałować, że nie jedzie oznakowanym wozem, a jedynie swoją alfą romeo.

Po raz trzeci z rzędu dociskając gaz do dechy na czerwonym świetle, Grace był w stanie pomyśleć tylko: Jeśli w coś walnę, w cokolwiek, mogę od razu zacząć szukać sobie mieszkania w Newcastle.

Budynek, którego adres podała mu Bella, był jednym z całego rzędu sklepów na ulicy biegnącej na południe od dworca Hove. Grace z piskiem opon wziął ostry zakręt w lewo, mijając po prawej myjnię samochodową, gdzie panował ożywiony ruch, i jeszcze jeden ostry zakręt w lewo, niebezpiecznie zajeżdżając drogę wyjeżdżającej z dworca taksówce.

Zobaczył jakąś kobietę w kostiumie, która pośpiesznie wychodziła z drzwi pomiędzy sklepem z kafelkami łazienkowymi a kioskiem z gazetami. Ocenił ją na trzydziestkę, odnotował w myślach dobrą figurę, nastroszone rude włosy i dosyć pospolitą twarz. Pod pachą niosła dużą skórzaną aktówkę.

Grace wyskoczył z alfy, jeszcze zanim koła przestały się obracać i przebiegł przez ulicę, wołając do nieznałej:

- Claire?

Obróciła się, zbyt zaskoczona, by zaprzeczyć.

Mignął jej przed nosem legitymacją policyjną.

- Trochę za wcześnie, żeby kończyć pracę, prawda?

Strzeliła oczami ukradkiem w prawo i w lewo, jakby się zastanawiała, którądy by tu czmychnąć.

- Ja... ja tylko... chciałam wyskoczyć po sandwicza.

Mówiła z prostackim akcentem ze wschodniego Londynu.

- Przed paroma minutami rozmawialiśmy przez telefon. Chyba coś nam przerwało.
- Ach tak? - odparła wymijająco. - Czyżby?
- Tak, no, pomyślałam sobie, że może po prostu wpadnę. Wie pani jak to jest z tymi telefonami...

Patrzyła mu w twarz nieufnie, bez śladu uśmiechu.

- Może skoczmy do pani biura i pogadamy? Co pani na to?

Teraz wyglądała na przestraszoną.

- No cóż... Ja chyba... chyba muszę porozmawiać z moim wspólnikiem.
- Dam pani do wyboru - powiedział Grace. - Możemy to załatwić tak, żeby było miło, albo tak, żeby było niemiło. Jeśli ma być miło, pójdziemy teraz do pani biura, napijemy się herbatki i miło sobie porozmawiamy. A jeśli ma być niemiło, ja tu z panią poczekam, a mój kolega pojedzie po nakaz przeszukania i wróci w towarzystwie sześciu policjantów, którzy przewrócą wam całe biuro do góry nogami, od ściany, kurwa, do ściany.

Grace zobaczył, że strach w jej oczach przechodzi w panikę.

- O co dokładnie w tym wszystkim chodzi, panie władzo?
- Poza tym, że nie lubię, kiedy mi ktoś rzuca słuchawką?

Spasowała, nie wiedząc co powiedzieć. Obok przetoczył się z rykiem silnika autobus. Grace odczekał chwilę. Potem powiedział:

- Powiem pani dokładnie, o co tu chodzi. Janie Stretton nie żyje.

Kobieta, zszokowana, odruchowo uniosła dłoń do ust.

- Janie?

Grace poczuł, że czas zastosować presję.

- We wtorek wieczorem została pokrojona przez jakiegoś mania-ka, zakłuta nożem i pocięta na kawałki. Widziała pani w telewizji ten materiał o bezgłowym tułowiu znalezionym w śróde w Peacehaven?

Cała krew odpłynęła z twarzy kobiety, przez co jej makijaż wydał się jeszcze jaskrawszy. Kiwnęła głową, bezwiednie trącając wargi końcami palców.

- Otóż dzisiaj dowiedzieliśmy się, że to Janie Stretton. To co, pogadamy?

\*

Biuro BCE-247 Ltd, z malutkim aneksem kuchennym i widokiem na ulicę mieściło się w pokoju na drugim piętrze. Oprócz wydatku na parę litrów fioletowej farby o jadowym odcieniu, która pokrywała wszystkie ściany, gryząc się z groszkową wykładziną dywanową, Grace nie dostrzegła tu żadnej dbałości o wygląd.

W pomieszczeniu stały trzy zwykłe, stare drewniane biurka, trzy zdezelowane fotele obrotowe, cztery wysokie, szare, metalowe szafy segregatorowe. Wszystko to wyglądało na kupione hurtem w składzie używanego wyposażenia biurowego. Ponadto był tam tandetny na pierwszy rzut oka odtwarzacz CD i równie tandetny telewizor, oba wyłączone. Na każdym z biurek stał natomiast najnowszy model komputera i równie nowoczesny telefon. Jeden z nich właśnie dzwonił, lecz Claire zignorowała go. Wyglądało na to, że jest w szoku.

- A więc pani nazywa się...?

Spojrzała w lewo. Grace wiedział, że nie kłamie. Lewa półkula mózgu odpowiada za pamięć.

- Claire Porter.

Grace zapisał nazwisko.

- I to jest pani firma?
- Moja i mojego wspólnika,
- A on się nazywa...?

Znów spojrzała w lewo. Mało prawdopodobne, żeby kłamała podając nazwisko, swoje czy wspólnika, toteż ten ruch gałek ocznych w kierunku odpowiedzialnej za pamięć strony mózgu wskazywał na to, że właśnie tam zwracają się jej oczy za każdym razem, kiedy mówi prawdę. Co oznaczało, że gdy zwracają się w przeciwną stronę, kłamie.

- Barry Mason.

Grace pomyślał chwilę.

- BCE-247 Ltd... Barry and Claire Enterprises? - rozszyfrował.

Pokręciła głową.

- Nie, ale prawie.

Podtrzymując notes na kolanach, rozłożył szeroko ramiona.

- No to może pani nam powie?

Przewróciła oczami w prawo. Kłamie. Próbowwała wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo. Nagle ukryła twarz w dłoniach.

- Ja pierdołę, nie mogę w to uwierzyć. Janie. Taka miła dziewczyna; naprawdę ją lubiłam.

- Zostawiła pani wiadomość na sekretarce jej domowego telefonu w środę o trzeciej po południu. Powiedziała pani... - przerwał, żeby zajrzeć do notesu - „Mam coś dla ciebie. Zadzwoń, proszę”. O co chodziło?

Podniosła wzrok i znów jej oczy zwróciły się w prawo; wyglądała na wzburzoną.

Branson wtrącił się, wcielając się stylowo w rolę dobrego policjanta, skoro Grace był tym złym.

- Claire, niech pani powie, co pani szkodzi. Jeśli ma pani coś do ukrycia, będzie to o wiele lepiej wyglądało, jeśli powie nam pani prawdę.

To chyba do niej trafiło. Przesunęła wzrokiem we wszystkie strony, jakby szukając wyjścia z matni.

- Boże, Barry mnie zabije. To skrót od Barry and Claire Escorts\*, dwadzieścia cztery przez siedem. W porządku?

\* Escorts (ang.) - tu: agencja towarzyska, (przyp. tłum.)

Grace osłupiał.

- Janie Stretton pracowała w agencji towarzyskiej? Była prostytutką?

Claire przybrała nagle pozycję obronną.

- Oferujemy towarzystwo dla samotnych panów. I pań. Dla ludzi, którzy chcieliby się z kimś gdzieś wybrać na wieczór. Tego rodzaju rzeczy. Nie żadne prostytutki.

Grace zauważył, że jej wzrok wciąż uciekał w prawo.

- Nic zdrożnego?

Wzruszyła ramionami.

- Dla nas nic.

- Tak, tak, Claire. Już to wszystko słyszałem, umówmy się. Jeśli klient chce się dogadać prywatnie z taką młodą damą, nam nic do tego, co?

Milczała przez chwilę. Po czym oznajmiła:

- Chyba muszę zadzwonić do mojego radcy prawnego.

- Nie interesuje mnie zamknięcie tego małego, zaplutego biznesiku - wycedził Grace. - Niech pani tylko spróbuje zadzwonić do tego radcy prawnego, to ja zamknę panią, ot tak, dla draki. Cholera, rozprawię się z panią. Chcę znaleźć mordercę Janie; tylko to mnie interesuje. Jeśli mi pani w tym pomoże, nie tknę pani palcem. Rozumiemy się?

Skrzywiła się. W końcu kiwnęła głową.

- Ile klient u was płaci?

- Sześćdziesiąt funiów za godzinę.

- A ile z tego jest dla was?

- Czterdzieści procent.

- Dla dziewczyn zostaje reszta i ewentualne nadpłaty?

- Napiwki zostają dla nich - potwierdziła, unosząc rękę w obronnym geście.

- Aha. Z kim ona była we wtorek wieczorem?

Obróciła się do swojego komputera i wystukała coś na klawiaturze. Po chwili powiedziała:

- Z Antonem.
- Z Antonem? Anton, i jak dalej?
- Nie wiem.
- Nie zna pani nazwisk klientów?
- Tylko wtedy, kiedy chcą mi je podać.
- A jak wielu z nich podaje?
- Sporo. Ale nie wiem, czy to są ich prawdziwe nazwiska.

Grace poczuł, że ogarnia go narastający gniew.

- Angażujecie te dziewczyny i posyłacie je na randki z samotnymi mężczyznami, za co pobieracie sutą prowizję! I co? I nawet nie zadacie sobie trudu, żeby poznać ich nazwiska, do cholery?

Znów zapadła cisza.

- Zawsze sprawdzamy, czy wszystko w porządku, przy pierwszej randce. Dzwonimy do dziewczyn po dziesięć minutach. Mamy swoje szyfry; jeśli coś im się nie podoba, możemy posłać na pomoc ochronę. To była jej czwarta randka z Antonem. Byłam o nią spokojna. To znaczy: nie widziałam żadnych powodów do niepokoju.

- Nie przeszkadzało pani, że to młoda, niewinna studentka prawni?

- Mamy w naszym rejestrze pełno studentek. Dla nich to dobry sposób na uzupełnienie stypendium. Dzięki Tony'emu Blairowi większość studentów kończy uniwersytet z takimi długami, że ich spłacanie zajmie im długie lata. Dorabiając w usługach towarzyskich, mają alternatywę. Myślę sobie nieraz, że jakoś tam im pomagamy.

- Ależ oczywiście - stwierdził Grace ze zjadliwym sarkazmem w głosie. - No bo, prawda, ta kasa, która napływa... Ten pani altruizm... A to, jak ona się prywatnie dogada z rzeźnikiem Antonem, nie pani sprawa.

Milczał przez chwilę, zamyślony, po czym zapytał:

- Ile dziewczyn macie w rejestrze?
- Około trzydziestu. I dziesięciu facetów.

- Ma pani ich zdjęcia?
- Tak.
- Proszę mi pokazać zdjęcia Janie.

Podeszła do szafy segregatorowej, wyciągnęła jakąś teczkę, otworzyła ją, wydobyła fotografię w celofanowej koszulce i podała ją Grace'owi.

Zdjęcie nie przypominało żadnego z tych, które widział u jej ojca w domu czy w jej mieszkaniu. Była to całkowicie inna Janie Stretton, jakaś Janie królowa nocy.

Leżała w uwodzicielskiej pozie na dywaniku z lamparciej skóry ubrana w króciutkie skórzane szorty i czarną, koronkową bluzkę rozpiętą aż do pępka, która niemal całkowicie odsłaniała piersi.

Grace podał fotografię Bransonowi.

- Tylko do towarzystwa - rzucił sarkastycznie, zwracając się do kobiety. - Panie do towarzystwa na towarzyskie okazje, tego rodzaju rzeczy?

- No tak, tego rodzaju rzeczy.

- Claire, ja przecież nie urodziłem się wczoraj. Ona się sprzedawała, tak?

- Jeśli tak, to bez naszej wiedzy.

- Gdzie się ogłaszacie?

- W czasopismach, w kioskach, w internecie.

Kiwnął głową.

- A jaką drogą zdobywacie najwięcej klientów?

- To różnie bywa. Często dowiadują się o nas pocztą pantoflową.

- A w jakich czasopismach?

Claire zawahała się.

- Czasopisma ogłoszeniowe, turystyczne, miejscowa gazeta, jedno czy dwa pisma wyspecjalizowane.

- Wyspecjalizowane?

Po chwili wahania wyjaśniła:

- W fetyszach głównie. Dla ludzi, których kręci guma. Kajdanki. Takie tam różne.



- Takie tam różne? - spytał Grace.

Wzruszyła ramionami.

- No to czy jest jakiś sposób, żebyśmy się dowiedzieli, skąd Anton wziął wasz numer?

Zajrzała do teczki i wyciągnęła z niej kartę katalogową.

- Szósty maja. Anton. Zapisałam: „silny akcent kontynentalny”. Powiedział, że widział reklamę w... - zmrużyła oczy, jakby miała trudności z odczytaniem własnego pisma - w „List”.

Grace znał to pismo. Miejscowy informator kulturalny.

Znow zadzwonił telefon. Zignorowała to i dalej wpatrywała się zmruczonymi oczami w kartę, jakby starając się odcyfrować dalsze notatki.

- Chciał zobaczyć jakieś zdjęcia dziewczyn, więc skierowałam go na stronę internetową. Zadzwonił znowu za jakieś pół godziny później i powiedział, że chciałby się umówić z Janie. Mam jego numer!

Grace poderwał się na krześle. Branson także był poruszony.

- Zawsze biorę od klientów numer do oddzwonienia. Żeby uważali.

- Poproszę ten numer.

Zapisał numer pod jej dyktando, po czym natychmiast wybrał go na swym telefonie komórkowym. Od razu usłyszał sygnał: „połączenie nie może być zrealizowane”.

- Dupa. Co jeszcze może nam pani powiedzieć o tym Antonie?

- Niestety, nic więcej. A pan... pan myśli... że... że to może właśnie on...?

- Jeśli nie on ją zamordował, to w każdym razie musiał być jednym z ostatnich ludzi, którzy ją widzieli. Czy wasze dziewczyny dzwonią do was po skończonej randce?

- Czasami, zależy o jakiej porze.

- Ona nie zadzwoniła we wtorek wieczorem po randce z Antonem?

- Nie.

- A pani do niej dzwoniła w środę w sprawie innej randki?
- Tak. - Zajrzała do notatek. - Inny pan. Potrzebne panu jego nazwisko i telefon?
- Grace skinął głową.
- Sprawdźmy to.
- Załatwi to pan delikatnie?
- Przydzielę to najbardziej delikatnemu z moich ludzi. - Grace uśmiechnął się sam do siebie. Wydeleguje do tego zadania swojego nowego współpracownika, Normana Pottinga. Sierżant Potting był mniej więcej tak delikatny jak słoń na rolkach w składzie porcelany.

## ROZDZIAŁ 29

Przed czwartą biuro Toma zaczęło pustoszeć. Jak to w piątek, pomyślał. W Londynie było piękne słoneczne popołudnie, a według prognoz ładna pogoda miała się utrzymać. Jego pracownicy jeden po drugim porządkowali swoje biurka, zegnali się wesoło i szybko kierowali do wyjścia.

Zazdrościł im beztroskiego weekendu i próbował sobie przypomnieć, kiedy to on sam ostatnio spędził weekend, podczas którego naprawdę się odprężył i nie myślał o pracy, nie ślęczał przy komputerze nad arkuszem kalkulacyjnym przychodów i rozchodów i nie zerkał z obawą Kellie przez ramię, kiedy siedziała nad swoją klawiaturą na podłodze w salonie.

Okno miał uchylone pomimo ryku ruchu ulicznego i czuł na twarzy łagodny powiew ciepłego powietrza. Może podczas tego weekendu powinien się trochę wyłączyć, na tyle, na ile pozwoli na to mroczny cień tej cholernej płyty CD. To dobra wiadomość, że Kellie dostała pracę. Nie wchodziły w grę jakieś nadzwyczajne pieniądze, ale przynajmniej powinny pokryć część jej ekstrawaganckich zakupów, przynajmniej dopóki nie ośmielią jej do jeszcze większych wydatków.

Piętnaście po czwartej postanowił: do diabła z tym. Jeśli teraz wyjdzie, zdąży akurat na najbliższy pośpieszny, ten o czwartej trzydzieści, który wygodnie dowiezie go do domu w samą porę, żeby zdążyć na planowaną z Kellie kolację z grilla, z wykorzystaniem tego nowego, monstrialnego sprzętu.

Pokręcił głową na samą myśl o tym grillu. Obłąd. A jednak był ciekaw, jak on wygląda. Niewiarygodne, by jakikolwiek grill mógł kosztować powyżej pięciuset funtów.

W przyływie rozrzutności, skromnej w porównaniu z rozrzutnością Kellie, zamiast autobusem pojechał na Victoria Station taksówką i dotarł tam w ostatniej chwili przed odjazdem pociągu. Porwał ze straganu „Evening Standard”, nie czekając nawet na wydanie reszty, popędził na peron i wsiadł do pociągu.

Z czystej determinacji przecisnął się po kolei przez każdy z zatłoczonych wagonów, wypatrując złamasa. Nie było jednak po nim ani śladu. Zanim skończył, ociekał potem z upału i wysiłku. Znalazł jedno z nielicznych wolnych miejsc, wyjął z torby laptopa, odłożył torbę i marynarkę na półkę, po czym usiadł z laptopem na kolanach i rzucił okiem na pierwszą stronę gazety.

#### TRZYDZIESTU ZABITYCH W KRWAWYM ZAMACHU BOMBOWYM W IRAKU

Przejrzał artykuł o kolejnym samobójczym zamachu samochodem pułapką na policyjnych rekrutów, z wywołującą poczucie winy świadomością, że tego rodzaju doniesienia niemal zupełnie przestały na nim robić wrażenie. Było ich tak wiele, co dzień nowe. A przy tym nie doszedł jeszcze do tego, co właściwie myśli w sprawie Iraku. Nie przepadał za Bushem ani Blairem, a każdy kolejny akt przemocy zasiewał w nim coraz większe wątpliwości co do tego, czy od czasu inwazji świat stał się bezpieczniejszy. Czasami, kiedy wsuwał głowę przez drzwi do pokoiików, w których spały dzieci, spoglądał na nie z zaprawioną poczuciem winy świadomością tego, że jest odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo, lecz jeśli chodzi o politykę międzynarodową na tym świecie, na który je sprowadził, czuł się rozpaczliwie bezradny.

Następnie odwrócił stronę i poczuł, jakby nagle niewidzialna dłoń wynurzyła się z jakiegoś całkiem innego wymiaru i ścisnęła mu bebeczy imadłem.

Patrzył na fotografię dziewczyny pod makabrycznym nagłówkiem na trzeciej stronie gazety:

## USTALONO TOŻSAMOŚĆ BEZGŁOWYCH ZWŁOK.

Jej twarz.

Przypominająca mu znów, odrobinę, twarz Gwyneth Paltrow, tak jak wtedy, kiedy widział ją po raz pierwszy, u siebie w kanciapie, we wtorek wieczorem.

To była ona. Na pewno, bez cienia wątpliwości.

Przeskoczył wzrokiem na wydrukowany pod zdjęciem tekst.

Policja Sussex potwierdziła dzisiaj, że okrutnie okaleczone zwłoki młodej kobiety znalezione w środę na polu w Peacehaven we wschodnim Sussex, należą do zaginionej studentki prawa, Janie Stretton, lat 23.

Kierujący śledztwem z ramienia wydziału kryminalno-dochodzeniowego komisarz Roy Grace oświadczył: „Jest to jedno z najbardziej brutalnych morderstw, spośród tych, z którymi miałem do czynienia w ciągu dwudziestu lat służby w policji. Janie Stretton była porządną, pracowitą i powszechnie lubianą studentką prawa. Robimy co w naszej mocy, żeby zatrzymać jej zabójcę”.

Derek Stretton, zrozpaczony ojciec Janie, wydał następujący komunikat ze swej wartej 3 min funtów posiadłości nad brzegiem Hamble w pobliżu Southampton: „Janie była najcudowniejszą córką, jakiej ojciec mógłby sobie życzyć, i była mi wielkim oparciem w bólu po przedwczesnej śmierci mej żony - jej matki. Mam nadzieję, że policja szybko znajdzie jej zabójcę, zanim targnie się on na kolejne niewinne życie”.

Oczy Toma przeskoczyły teraz z powrotem na twarz Janie. A wówczas słowa e-maila z pogrózkami zapłonęły znowu w jego mózgu.

*.. Jeśli o tym, co Pan widział, powiadomi pan policję, lub spróbuje Pan kiedykolwiek jeszcze dostać się na tę stronę, wówczas to, co się zaraz stanie z Pańskim komputerem, stanie się z Pańską żoną Kellie, Pańskim synkiem Maksem, i Pańską córeczką Jessicą...*

Przez chwilę rozglądał się niespokojnie po twarzach współpasażerów, nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Wyrostek siedzący naprzeciwko niego był podłączony do iPod'a; Tom słyszał podkład rytmiczny, jakieś irytujące, zgrzytliwe dźwięki, zbyt ciche, by można rozpoznać muzykę, ale głośnie na tyle, że przebijały się przez stukot pociągu. Paru innych również było pogrążonych w lekturze gazet, jakaś kobieta czytała mocno sfatygowany egzemplarz „Kodu Leonarda Da Vinci”, a mężczyzna w garniturze w drobne prążki pracował na laptopie.

Tom spojrział znów na fotografię. Czy istniała możliwość, że się pomylił? Jakakolwiek?

Nie istniała. To była ona.

W takim razie, zastanawiał się, co teraz zrobić, do cholery?

## ROZDZIAŁ 30

O pół do szóstej Roy Grace, Glenn Branson i wszyscy inni członkowie grupy dochodzeniowej, w tym świeżo upieczony podwładny Grace'a, sierżant Norman Potting, siedzieli przy dużym, prostokątnym stole w sali odpraw, położonej dokładnie naprzeciw GCK Jeden, centrum koordynacji, gdzie przydzielono stanowisko pracy dla operacji „Słowik”.

Grace czuł odór tytoniu fajkowego, którym cuchnęło ubranie Normana Pottinga. Wsłużony policjant miał na sobie brązowy garnitur, co najmniej dwudziestoletni, białą koszulę, która wyglądała, jakby wyprasował ją osobiście po pijanemu, poplamiony jedzeniem zielony krawat klubu golfowego i grube, czarne buty. Był zadufanym w sobie weteranem trzech małżeństw, o wąskiej, gumiastej twarzy poprzecinanej siateczką popękanych naczyń krwionośnych, wydatnych wargach, poczerniałych od tytoniu zębach i przerzedzonej peruce.

Grace oficjalnie powitał Normana Pottinga, unikając spojrzeń pozostałych.

- Cieszę się, że trafiłem do tego zespołu - odwzajemnił się Potting swym dudniącym basem, w którym mocno pobrzmiwał warkotliwy akcent z jego rodzinnego hrabstwa Devon. - Miło zwłaszcza, że będzie okazja popracować z młodymi, ładnymi paniami. - Z szerokim uśmiechem puścił oko do Belli, a następnie do Emmy-Jane.

Grace skrzywił się, po czym pośpiesznie przeszedł do rzeczy. Potrzebował wyjść przed siódmą, tylko na dwie godziny, o ile w ogóle było to możliwe. Spojrzał na leżące przed nim notatki do odprawy, przygotowane przez Bellę i Eleanor.

- Jest godzina szósta trzydzieści, piątek, trzeci czerwca - przeczytał. - Jest to nasza druga odprawa w ramach operacji „Słowik”, śledztwa w sprawie morderstwa na osobie uprzednio nieznaney, obecnie już zidentyfikowanej jako Jane Susan Amanda Stretton, znanej jako Janie Stretton, odprawa mająca miejsce na drugi dzień po odnalezieniu jej zwłok. Streszczę teraz całe zdarzenie.

Przez parę minut Grace omawiał wydarzenia prowadzące do odkrycia bezgłowych zwłok Janie, następnie odkrycia żuka podczas sekcji. Przy którym to punkcie Norman Potting przerwał mu.

- Czekaj, Roy, czy nie było czegoś w gazetach, parę lat wstecz, o gwiazdach Hollywood, które wkładają sobie w tyłek myszoscoczki?

- Dzięki, Norman; nie sądzę, żeby u nas to chwyciło.

- Ale tak samo wielu z tych aktorów to pedały, a człowiek nie wie.

- Dzięki, Norman - powiedział Grace stanowczo, starając się wskazać mu miejsce w szeregu. Właśnie miał zamiar opowiedzieć zespołowi o sekretnym życiu Janie Stretton, kiedy Glenn Branson podniósł rękę i przerwał mu.

- W samochodzie opowiadałeś mi o symbolice skarabeusza, Roy. Myślę, że przydałoby się, gdybyś podzielił się tymi informacjami z zespołem.

- Tak, miałem taki zamiar. Mówiąc krótko, w mitologii starożytnego Egiptu skarabeusz był czczony pod imieniem Chepri, co można przetłumaczyć dosłownie jako „Ten, Który Stał Się” lub „Ten, Który Wyszedł Z Ziemi”. Egipcjanie byli czcicielami słońca. Wyobrażali sobie, że tak samo jak skarabeusz turla przed sobą kulę gnoju, Chepri toczy po niebie słońce - wyobraźcie je sobie jako słoneczną kulę - ze wschodu na zachód, uważali więc Chepriego za jedno z



wcielen boga słońca, Ra. W wyniku tego skarabeusz stał się w mitologii religijnej starożytnego Egiptu ważnym symbolem stworzenia, zmartwychwstania i wiecznego życia.

- Cwane skubańce były z tych Egipcjan - zauważył Norman Potting. - No bo jak oni, cholewka, zbudowali te piramidy? Tak czy siak, ja tam żadnemu nie wierzę, na tych brudasów to trzeba uważać.

Grace, krzywiąc się, zerknął kątem oka na Bransona, potem popatrzył gniewnie na Pottinga, zachodząc w głowę, jak to się stało, że ten człowiek wciąż jeszcze służy w policji zamiast stanąć przed trybunałem do spraw molestowania seksualnego lub stosunków rasowych.

- Norman, taki język jest absolutnie nie do przyjęcia i nie dopuszczę, żeby był stosowany na moich odprawach.

Potting spojrzał, jakby chciał coś odpowiedzieć, po czym, najwyraźniej przemyślawszy sprawę, potulnie spuścił wzrok na leżące przed nim papiery.

- Czy doszedłeś już do tego, co ta symbolika ma tu do rzeczy, Roy? - spytał Nick Nicholl.

- Nie, jak dotąd nie. Liczę na wasz geniusz - uśmiechnął się do niego, po czym podjął przerwany wątek i opowiedział o dokonanym tego popołudnia odkryciu sekretnej sprawy Janie Stretton. A co najważniejsze, o tym, że dowiedzieli się, jak może mieć na imię podejrzany: Anton.

- Ustalono już, że numer telefonu Antona jest numerem niedającego się namierzyć telefonu na kartę.

Grace przerwał, aby popić wody.

- Aha. Podejmowane środki. Wydział East Downs oddał nam do dyspozycji swoich ludzi. Wszczęliśmy poszukiwania w okolicach miejsca, w którym znalezione zostały w środę rano tułów i kończyny, a w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin rozszerzaliśmy ich zakres z wykorzystaniem coraz bardziej zaawansowanych technik. Sprowadziłem jednostkę policyjną hrabstwa do spraw poszukiwań podwodnych, która w tej chwili przeszukuje dla nas wszystkie

okoliczne rzeki, jeziora i zbiorniki wodne. Zwróciłem się również o przeszukanie całego obszaru z helikoptera.

Kolejno omawiał poszczególne punkty. Częstotliwość odpraw: Grace oznajmił, że codziennie będą się spotykać rano o wpół do dziewiątej i wieczorem o wpół do siódmej. Powiadomił, że zespół informatyków pracuje pełną parą od środy. Odczytał listę elementów strategii śledczej, w tej liczbie wykorzystanie środków masowego przekazu, podkreślając potrzebę utrzymania w tajemnicy przed prasą faktu znalezienia w zwłokach żuka, oraz zabiegi o pojawienie się sprawy tego morderstwa w najbliższym wydaniu programu „Crimewatch”.

Emma-Jane podniosła rękę.

- Czy ujawnimy informację, że Janie Stretton po cichu uprawiała prostytutkę?

Grace właśnie się nad tym zastanawiał. Myślał o Dereku Strettonie, i bez tego oszalałym z rozpaczy, którego życie legło w gruzach. Jak ta informacja podziała na tego biednego człowieka? Czy w ogóle warto ją ujawniać? Czy może to skłonić kogoś, kto korzystał z jej usług, by się zgłosił z jakąś niezwykle istotną informacją? Mało prawdopodobne, ale możliwe. Był to trudny do rozstrzygnięcia dyalemat. Ujawnienie wiadomości ogromnie zwiększyłoby zainteresowanie społeczne. Jeśli sprawa będzie obszerniej relacjonowana w mediach, niewykluczone, że ktoś się zgłosi. Może jakiś kelner albo barman widział Janie z tym Antonem?

- Dwie funkcjonariuszki sekcji kontaktu z rodzinami są w tej chwili przy ojcu Janie, detektyw Campbell i detektyw Ritchie. Najpierw się z nimi naradzę, ale skłaniam się do tego, żeby wyrazić zgodę - odpowiedział Emmie-Jane. - O ile nie sprzeciwią się zdecydowanie, dowodząc, że na tym etapie byłoby to dla pana Strettona zbyt bolesne, jestem gotów to ujawnić.

Następnym punktem były wyniki autopsji. Grace zakomunikował, że nie licząc żuka, sekcja zwłok nie przyniosła dotąd żadnych niespodzianek, oprócz jednej, mianowicie nie stwierdzono na ciele

ofiary śladów napastowania seksualnego. Miał przed sobą raport doktora Frazera Theobalda, nie było jednak potrzeby, by odczytywać na głos ten kilkustronicowy dokument wypełniony technicznymi szczegółami. Janie zmarła od wielu ran zadanych długim, cienkim ostrzem noża. To, że odcięto jej głowę, też nie zwiększyło jej szans na przeżycie, pomyślał.

- W tej chwili najbardziej nie daje mi spokoju ten skarabeusz - mówił. - Czy komuś z was udało się natrafić na jakieś inne morderstwo, w którym znaleziono żuka na miejscu zbrodni?

- Były takie zwłoki kobiece, znalezione w kwietniu w Wimbledon Common - odezwał się Nick. - Ofierze, dwudziestosześcioletniej kobiecie, też obcięto głowę. Miała na sobie srebrną bransoletkę z wisiorkiem, której nikt z jej rodziny nie poznawał. Dostałem e-mailem jpega. Oto wydruk. - Podał go Grace'owi. - Tam również nie było śladów napastowania seksualnego. I sprawa jest wciąż nierozwiązana.

Grace popatrzył na małego srebrnego żuczka zwieszającego się z bransoletki. Z miejsca rozpoznał charakterystyczne wyłobienia. Skarabeusz.

- Brawo - powiedział. - Więcej nie było?

- Na razie odpowiedziała tylko metropolitalna - wyjaśnił Nick.

Grace popatrzył na zdjęcie.

- Mam przecucie, że będą następne. Możemy dostać akta tej sprawy?

Nick zajrzał do swoich notatek.

- Sprawę prowadzi aspirant Dickinson; jest gotów spotkać się ze mną, ewentualnie z kimś innym od nas.

- Jak na metropolitalniaka dziwnie skłonny do współpracy - stwierdził cynicznie Grace. Policjanci z metropolitalnej zwykle zachowywali się, jakby byli na specjalnych prawach - byli bezczelni, zadzierali nosa i na ogół wcale nie palili się do współpracy. - Możesz się z nim umówić na jutro przed południem?

- Miałem grać w drużynie kryminalnych w policyjnym meczu towarzyskim, ale owszem, tak.

- Czerwiec to sezon na krykieta, nie na piłkę nożną - zbeształ go Grace. - Mamy tego ojca, u którego dopiero co byłem, żeby mu powiedzieć, iż jego córka została poćwiartowana; nie jestem przekonany, czy będzie pod wielkim wrażeniem, jeśli się dowie, iż śledztwo się opóźnia z powodu jakiegoś pieprzonego meczu.

Detektyw poczerwieniał.

- Tak jest, Roy... Panie komisarzu.

Doszedłszy do końca sprawozdania, Grace podsumował:

- Wiemy już, gdzie dokonane zostało morderstwo na Janie Stretton. Bella i Nick przesłuchują po kolei wszystkich jej sąsiadów; te przesłuchania nadal trwają. Według mnie powinniśmy rozważyć następujące scenariusze tej zbrodni. Pierwszy taki, że było to jednorazowe zabójstwo popełnione w stanie silnego zaburzenia psychiki. Drugi, że być może mamy do czynienia z seryjnym zabójcą, który zostawia podpis. Czekamy na dalsze informacje z metropolitalnej o morderstwie, gdzie też znaleziono żuka, żeby się przekonać, czy jest między nimi jakiś związek. Jeśli tak, znaczyłoby to, iż sprawca ma na koncie co najmniej dwa morderstwa, oba na młodych kobietach, i możemy założyć, że będzie mordować nadal.

Następnie zapytał, czy ktoś z zespołu ma coś do zameldowania.

Potting powiedział, że spędził tego popołudnia dłuższy czas w kancelarii prawnej, w której Janie Stretton odbywała praktykę zawodową. Przepytał jej szefa, niejakiego Martina Brooma - Grace spotkał się z nim kiedyś w sądzie w związku z napaścią, do której doszło w toku jakiejś szczególnie paskudnej sprawy rozwodowej - i kilku jej kolegów. Janie pozostała w ich pamięci jako lubiana, pracowita i sumienna dziewczyna.

Czyżby każdy z nas miał jakąś ciemną stronę? - pomyślał Grace w cichości ducha.

- Wystąpiłem o przydzielenie jeszcze jednej osoby do zespołu - powiedział głośno. - Chcę także, żeby ktoś z działu przestępczości wykorzystujący zaawansowane technologie przeczesał gęstym

grzebieniem jej laptopa. - Następnie zwrócił się do detektywa Boutwood. - Emma-Jane, przykro mi, że ci to zwałam na głowę, ale chciałbym, żebyś zorganizowała dokładny przegląd zapisów z wszystkich kamer przemysłowych w Brighton i okolicach z wtorku wieczór. Możesz sobie do tego ściągnąć trochę ludzi do pomocy. Masz wypatrywać tej oto młodej damy. - Zabębnił palcami w fotografię Janie Stretton, tę samą, którą przekazano prasie. - Tamtego wieczoru wyszła z domu na czwartą randkę z niejakim Antonem, czy jak tam on się naprawdę nazywa. Ktoś ich musiał widzieć. - Zwrócił się z kolei do detektywa Nicholla.

- Nick, chcę, żebyś zorganizował grupę funkcjonariuszy Służby Wsparcia Policji, którzy przejdą się z tym zdjęciem po wszystkich restauracjach, barach i pubach w Brighton i Hove i wypytają, czy ktoś jej nie widział. Dobra?

Dryblas kiwnął głową.

- Bella - zwrócił się do niej Grace - ojciec Janie Stretton mówił mi, że jej ostatni chłopak nazywał się Justin Remington i był londyńskim deweloperem. Pojedź tam, znajdź go i pogadaj z nim...

Skinęła głową.

- Emma-Jane, jak ci poszło z hodowcami owadów tropikalnych?

- Znalazłam szesnastu w całej Wielkiej Brytanii. Niektórzy są tylko w internecie, ale zlokalizowałam siedmiu. Jeden z nich, w Bromley, w południowym Londynie, brzmiał bardzo interesująco. Dostał zamówienie na skarabeusza nie dalej jak dziesięć dni temu. Od jakiegoś człowieka mówiącego ze wschodnioeuropejskim akcentem.

- Fantastycznie! - wykrzyknął Grace. - I co?

- Umówiłam się z nim na spotkanie jutro.

- Pojadę z tobą.

Grace zajrzał do notatek.

- Norman, zabraliśmy sekretarkę automatyczną z mieszkania ofiary. Bada ją dla mnie Jednostka Wsparcia Technicznego. Jeśli

uda im się wydobyć z niej jakiegokolwiek informacji, chciałbym, żebyś sprawdził, co się za nimi kryje.

- Może jakieś ładne panienki?

- Przyślę ci kogoś do pomocy, jeśli trafisz na takowe.

- Całkiem zachęcająco wygląda ta agencja, skoro mają tam w rejeście takie laski, jak Janie Stretton.

Grace zignorował go. Na głupie uwagi nie warto było nawet odpowiadać.

- Spotkamy się tu wszyscy o pół do dziewiątej rano - powiedział.

- Przepraszam, że rozwalam wam weekend.

Unikał w tym momencie zwłaszcza wzroku Glenna Bransona. Jego żonie coraz bardziej przeszkadzało, że praca w policji pochłaniała tyle czasu. Ale to jego wybór, pomyślał Grace. Wstępując w szeregi policji Jej Królewskiej Mości, człowiek zaciągał się na służbę. A kto pozostawał w służbie królowej, musiał być gotów służyć całym życiem.

No dobra, może rzeczywiście nie było tego w umowie o pracę. Ale tak wyglądała rzeczywistość. Jeśli chciałeś żyć jak ludzie, wybrałeś sobie nieodpowiedni zawód.

## ROZDZIAŁ 31

W Brighton było wietrzniej niż w Londynie, ale i tak bardzo przyjemnie siedziało się na dworze w powiewach aż nadto ciepłego powietrza.

Girls Aloud łomotały z wbudowanego w grill odtwarzacza kompaktowego, a do rytmu muzyki rozbłyskiwały programowane cyfrowo dyskotekowe efekty świetlne. Jessica, ubrana w workowate dżinasy, czarną bluzeczkę i brokatowe buciki, powiewając długimi, jasnymi włosami, i Kellie, na bosaka, w białych spodniach do pół łydki i męskiej koszuli w prążki, tańczyły na trawniku; wirowały jak szalone, śmiały się i po prostu świetnie bawiły.

Max w upačkanych szarych szortach i jeszcze bardziej upačkanej bluzie dresowej z profesorem Dumbledore'em, z blond włosami zwieszającymi się na czoło jak zmierzwiony mop, nie zakończył jeszcze inspekcji grilla. Podchodził do niego z wielkim respektem, jakby to był statek kosmiczny, który wylądował u nich w ogrodzie. Prawdę mówiąc tak właśnie wyglądał.

Był ogromny, zajmował kawał ogrodu, szeroki na dwa i pół metra, o opływowych liniach wymodelowanych z nierdzewnej stali, matowanego aluminium i jakiegoś czarnego, żyłkowanego tworzywa, z zestawem niezwykle wygodnych składanych stołków do kompletu. Wyglądał bardziej na bar w jednym z tych hipermodnych londyńskich hoteli, w których Tom czasami spotykał się z klientami

na drinka, niż na urządzenie do opiekania kielbasek.

Żyrafa tego wieczoru przeszedł za płotem chyba z dwadzieścia razy. Tom widział, jak głowa Lena Wainwrighta wychyla się przez zbity z desek płot, nieustannie podskakując w górę i w dół, starając się rozpaczliwie spotkać z nim wzrokiem i nawiązać pogawędkę na temat tej maszyny. Ale Tom nie miał dziś nastroju na pogaduszki.

- Do czego służy to, tatusiu? - zawołał Max, przekrzykując muzykę, i wskazał na cyfrowy wyświetlacz.

Tom odstawił kieliszek różowego wina i wodząc palcem po stornicach, poszukał w angielskojęzycznej części instrukcji obsługi, rozmiarów londyńskiej książki telefonicznej, informacji.

- To chyba podaje temperaturę wewnątrz mięsa, czy czegoś innego, co grillujesz.

Max otworzył i zamknął usta, jak zawsze, kiedy coś zrobiło na nim wrażenie. Następnie zmarszczył brwi.

- A skąd ono to wie?

Tom otworzył komorę grilla i wskazał jedną ze szpadek.

- W szpadce jest czujnik, który mierzy temperaturę wewnątrz potrawy. Coś jak termometr.

- Uau! - Oczy Maxa rozbłysły na chwilę, po czym znów na jego twarzy pojawił się namysł. Odszedł kilka kroków do tyłu.

- To jest trochę za duże, prawda?

- Odrobinę.

- Mama mówiła, że może się przeprowadzimy, to będziemy mieli większy ogród i wtedy to już nie będzie takie duże.

- Tak mówiła?

- Kładnie tak. Przyjdziesz zagrać ze mną w wyścigi ciężarówek?

- Muszę się zabrać do szykowania jedzenia - zaraz będzie kolacja.

Nie jesteś głodny?

Max ściągnął usteczka. Zawsze starannie rozważał odpowiedź na każde pytanie, nawet tak proste jak to. Tom lubił w nim tę cechę; traktował ją jako przejaw inteligencji syna. Jak na razie nic nie



wskazywało na to, by chłopiec odziedziczył lekkomyślność po matce.

- Hmm, cóż, chyba niedługo mogę być głodny.

- Chyba? - Tom się uśmiechnął i czule pogłaskał go po czubku głowy.

Max uchylił się gwałtownie.

- Popsujesz mi fryzurę!

- Tak uważasz?

Mały z poważną miną skinął głową.

- A mnie się wydaje, że masz na głowie miotłę.

Max popatrzył na niego jeszcze bardziej poważnie.

- Ty chyba jesteś pijakiem!

Tom spojrział na niego zszokowany.

- Pijakiem? Ja?

- To już twój trzeci kieliszek wina.

- Ty co, wyliczasz mi?

- W szkole mówili o tym, jak ktoś pije za dużo wina.

To jeszcze bardziej zszokowało Toma. Czyżby państwo opiekuńcze kazało teraz dzieciom, by po powrocie ze szkoły szpiegowały, ile piją rodzice?

- Kto mówił takie rzeczy?

- Jedna pani.

- Jedna z waszych nauczycielek?

Kiwnął głową.

- Pani idiotyczka.

Tom poczuł rozkoszny zapach grilla dobiegający z ogrodu jednego z sąsiadów. On sam wciąż jeszcze studiował instrukcję obsługi, próbując ustalić, jak się rozpala gazowy opiekacz.

- Idiotyczka?

Po dłuższej chwili Max wyjaśnił:

- Mówiła nam, co jest dobre do jedzenia.

Teraz Tom zrozumiał, albo przynajmniej tak mu się wydawało.

- Aha, dietetyczka?

Max po dłuższym namyśle skinął głową.

- Nie moglibyśmy jeden raz zagrać w wyścigi ciężarówek, zanim zrobisz jeść? Tylko jeden malutki razik?

Tom wreszcie zlokalizował włącznik. Instrukcja nakazywała włączyć opiekacz, a następnie odczekać dwadzieścia minut. Wyglądało na to, że Kellie i Jessica, które tańczyły już do następnego nagrania, są myślami gdzieś bardzo daleko.

- Tylko raz.

- Obiecujesz, że mnie nie ograsz?

- To by nie była uczciwa gra, prawda? - odparł Tom, wchodząc za nim do domu. - I tak nigdy cię nie ogrywam; zawsze ty wygrywasz.

Max zachichotał i wyprzedzając ojca, pobiegł po schodach do swojej sypialni. Tom zatrzymał się na chwilę w kuchni, żeby zerknąć na telewizor, czy nie zaczął się serwis informacyjny, i dolać wina do kieliszka, opróżniając przy tym do końca butelkę. Jeśli Kellie się nie poczęstowała, to Max się pomylił, uświadomił sobie. To nie był jego trzeci kieliszek, tylko czwarty. A w poniedziałek miał zamiar zadzwonić do dyrektora szkoły i zapytać, co on sobie wyobraża, indoktrynując dzieciaki, żeby kontrolowały, co piją rodzice.

Ale kiedy wchodził po schodach, uważając, żeby nie rozlać wina, uświadomił sobie, że ma nieporównywalnie ważniejszy problem. Kiedy doszedł na piętro, zatrzymał się w zamyśleniu.

Max zawołał:

- Możesz sobie wybrać każdy kolor oprócz zielonego, tato. Zielony jest mój. Dobra?

- Dobra! - odkrzyknął. - Zielony jest twój!

Max bez trudu wygrał pierwszy wyścig. Przykucnięty z pilotem w rękę na podłodze w sypialni synka, Tom nie był w stanie skoncentrować się na torze. W drugiej grze rozbił się na pierwszym zakręcie, po czym przy najbliższej okazji znów wypadł z toru, rozrzucając opony i bele słomy. Potem wpadł na trybunę z publicznością i dachował.

Od dwóch godzin, odkąd zobaczył fotografię Janie Stretton w „Evening Standard”, a potem ujrzał ją raz jeszcze, w programie

informacyjnym Six O'Clock News, kotłowało mu się w głowie.

Nie mógł już ignorować tego, co się stało. A przecież jeszcze te e-maile, które rozwały mu komputer, pokazały, że ten ktoś, czy ci ludzie - kimkolwiek są - nie żartują.

Co oznaczało, że grozili też serio.

Mógł, owszem, po prostu zignorować to, co widział. Czy miał właściwie jakieś użyteczne informacje, którymi mógł się podzielić z policją? Widział przecież tylko przez parę minut, jak tę dziewczynę dźgała nożem jakaś zakapturzona postać. Czy tak naprawdę było w tym coś, co mogłoby pomóc policji?

Coś, dla czego warto zaryzykować bezpieczeństwo własnej rodziny?

Rozwazał tę kwestię wciąż od nowa. I za każdym razem dochodził do nieuniknionego wniosku, że owszem, mogło w tym być coś, co by pomogło policji. Inaczej po co by mu grozono?

Musi to przedyskutować z Kellie. Czy uwierzy, że nie miał żadnych złych intencji, wsuwając tę płytę CD do komputera?

A jeśli będzie przeciwna temu, by udał się na policję, to co wtedy? Co mu wówczas powie sumienie?

Ludzie, których zawsze w życiu podziwiał, prawdziwi bohaterowie płci obojga, z przeszłości i współcześni, zawsze byli gotowi przeciwstawić się złu. Występować z otwartą przyłbicą bez względu na cenę.

Tom przyglądał się przez dłuższą chwilę Maksowi, jego czujnym oczom, palcom poruszającym się z wprawą po przyrządach sterowania, gdy jego ciężarówka gnała po torze. Na dworze muzyka umilkła na chwilę i usłyszał radosny śmiech Jessiki.

Może także oni mieli w tej sprawie coś do powiedzenia?

Czy miał prawo narażać ich życie z powodu swoich przekonań? Co by zrobił w takiej sytuacji jego ojciec?

Boże, właśnie w takich chwilach tak bardzo mu brakowało rodziców. O ileż by było łatwiej, gdyby mógł się do nich zwrócić po radę.

Pomyślał o ojcu, przyzwoitym człowieku, który nadzorował sprzedaż w niemieckiej firmie produkującej przemysłowe szczotki czyszczące. Wysoki, łagodny człowiek, pełniący funkcję kościelnego w miejscowym kościele anglikańskim, przez całe życie święcił każdą niedzielę, a Bóg wynagrodził mu to w ten sposób, że gdy miał czterdzieści cztery lata, ucięła mu głowę tylna kłapa ciężarówki centrali mlecznej na autostradzie M1.

Ojciec przedstawiłby mu wszystko z chrześcijańskiego punktu widzenia, niewątpliwie byłby to pogląd odpowiedzialnego obywatela: Tom powinien zameldować na policji o tym, co widział, i o groźbach. Nigdy jednak nie był w stanie podzielać wiary swego ojca w Boga.

Zapyta Kellie, zdecydował. Ona, mimo wszystko, ma wiele zdrowego rozsądku. Cokolwiek powie, on się do tego zastosuje.

## ROZDZIAŁ 32

Niezdarnie wypisany odręcznie afisz, przyklepiony taśmą klejącą do szyby w drzwiach, głosił:

*BRENT MACKNEZIE.  
ŚWIATOWEJ SŁAWY JASNOWIDZ.  
TUTAJ, TYLKO DZIŚ!*

W poprzek rozciągał się duży napis wypisany żółtą farbą fluorescencyjną:

*PRZEPRASZAMY, WSZYSTKIE MIEJSCA WYPRZEDANE!*

Z zewnątrz budynek nie wyglądał zbyt obiecująco. Grace spodziewał się przestronnej sali, jednak wyglądało na to, że Centrum Holistyczne w Brighton mieści się w czymś nie większym niż mały sklepik narożny, pomalowany z zewnątrz na krzykliwy róż.

Kobieta po czterdziestce, o nieco szalonej fryzurze, w czarnej lejbie narzuconej na szary trykot, stała za drzwiami i odbierała bilety. Grace wyciągnął portfel, poszperał w nim i wydobyl bilet, który kupił przed kilkoma tygodniami.

Był podenerwowany. Ukryty gdzieś w głębi duszy niepokój odzierał go ze zwykłej pewności siebie. Zawsze czuł to samo przed każdym

spotkaniem z jasnowidzem czy inną osobą obdarzoną zdolnościami nadnaturalnymi. To wyczekiwanie. Tę żywną w głębi serca nadzieję, że tym razem może będzie inaczej, że ten ktoś wreszcie, po prawie dziewięciu długich latach, będzie miał dla niego odpowiedź.

Albo poda mu miejsce, czy przekaże jakąś wiadomość albo znak.

Coś, co mu powie, czy Sandy żyje, czy nie. To było najważniejsze, czego się musiał dowiedzieć. Oczywiście, potem z odpowiedzi na to pytanie wynikłoby mnóstwo dalszych pytań. Ale najpierw, jeśli laska, musiał wiedzieć to jedno.

Może dziś?

Podał bilet i wspiął się po wąskich schodach za trzema pogrążonymi w nerwowej rozmowie dziewczynami. Wyglądały na siostry, najmłodsza przed dwudziestką, najstarsza mogła mieć dwadzieścia pięć lat. Przez niemalowane drzwi z napisem: CISZA, SEANS TERAPEUTYCZNY W TOKU wszedł do pokoju, w którym stało co najmniej dwadzieścia różnych krzeseł upchanych ciasno w kształcie litery L, z wolnym miejscem pośrodku, przeznaczonym, jak się domyślał, dla jasnowidza. Były tam niebieskie żaluzje w oknach, rośliny doniczkowe na półkach i rycina przedstawiająca krajobraz prowansalski na jednej ze ścian.

Większość krzeseł już została zajęta. Były tam dwie dziewczynki z mamą, panią o nalanej twarzy w rozciągniętym sweterku, która sprawiała wrażenie, jakby z trudem wstrzymywała łzy. Obok nich siedziała długowłosa matka-Ziemia koło siedemdziesiątki, w bluzce w kwiaty, dżinsowej spódnicy i okularach wielkości maski płetwonurka.

Grace znalazł sobie wolne krzesło obok dwóch mężczyzn przed trzydziestką, ubranych w dżinsy i bluzy od dresu. Jeden, bardzo otyły, miał potargane włosy, w czym przypominał Grace'owi komika Kena Dodda, twarz bez wyrazu, patrzył przed siebie i żuł gumę. Drugi, o wiele szczuplejszy, pocił się obficie i wymachiwał trzymaną w rękę puszką pepsa coli, jakby chciał sobie w ten sposób dodać

powagi. Grace podsłuchał urywki ich rozmowy; dotyczyła elektrycznych śrubokrętów.

Do pokoju weszła jeszcze jedna matka z córką. Usiadły na dwóch wolnych krzesłach obok niego. Córka, chuda jak patyk, wystrojona w czarne spodnie i czerwoną bluzkę, cuchnęła zapachem, który kojarzył się Grace'owi z odświeżaczem do toalet. Matka, równie wylegantowana, wyglądała jak postarzona komputerowo o dwadzieścia lat fotografia córki. Grace dobrze znał tę technikę, była często stosowana przy poszukiwaniach osób zaginionych. Rok temu dał do takiej obróbki fotografię Sandy i osłupiał, ujrawszy jak bardzo człowiek może się zmienić w ciągu zaledwie ośmiu lat.

W pomieszczeniu panowała napięta atmosfera wyczekiwania. Grace rozejrzał się wokół po twarzach zgromadzonych, zastanawiając się, co ich tu wszystkich sprowadziło; pewnie niektórzy przyszli dlatego, bo niedawno kogoś stracili, zgadywał, ale najprawdopodobniej w większości przywędrowały tu po prostu zagubione dusze poszukujące drogowskazów. I wszyscy oni wysupłali po dziesięć funciaków, żeby spotkać się z kimś kompletnie sobie nieznanym, bez jakiegoś specjalistycznego wykształcenia, kto miał zaraz każdemu z nich powiedzieć rzeczy, które odmienia ich życie.

Rzeczy, które za pośrednictwem Brenta Mackenziego przekazywały duchy, a przynajmniej on tak twierdził. Grace dobrze o tym wszystkim wiedział.

A jednak mimo trzeźwej oceny tego zjawiska stale wracał.

To było jak narkotyk; jeszcze tylko jedna działka i przestanie. Ale oczywiście nie przestanie nigdy, aż do dnia, w którym pozna prawdę o zniknięciu Sandy. Może duchy powiedzą to dziś Brentowi Mackenzieму; może temu jasnowidzowi uda się to, co nie udało się tamtym poprzednim, i wyłowi to wreszcie z eteru.

Roy Grace zdawał sobie sprawę, że naraża na szwank swoją reputację, interesując się mediami i jasnowidzami, ale z całą pewnością nie był jedynym policjantem w Wielkiej Brytanii, który regularnie

się ich radził. I bez względu na to, co mówili cynicy, Grace wierzył w siły nadprzyrodzone. Nie miał wyboru. W dzieciństwie wiele razy widywał na własne oczy ducha - a właściwie dwa duchy.

Każdego lata jeździł na tydzień ze swym wujostwem do ich domu letniego w Bembridge na wyspie Wight. Naprzeciwko stał tam duży dom, z którego dwie bardzo sympatyczne starsze panie machały do niego przez okno wykuszowe na najwyższym piętrze. Dopiero po latach, gdy po długiej nieobecności odwiedził znów Bembridge, dowiedział się, że dom stał pusty od ponad czterdziestu lat - te dwie starsze panie, które do niego machały, popełniły samobójstwo w 1947 roku. I nie było to wytworem jego wyobraźni - widywali je również inni.

Publiczność uciszyła się, dwaj mężczyźni obok niego zakończyli dyskusję o elektrycznych śrubokrętach. Była dokładnie za piętnaście ósma. Usłyszał za sobą syk otwieranej puszkii z napojem. Gdzieś rozległ się sygnał przychodzącego esemesa i Grace zobaczył, że matka-Ziemia sięga do swej makramowej torebki, wyciąga z niej telefon i wyłącza go, czerwieniąc się na twarzy.

Po chwili niespiesznym krokiem wszedł do pokoju jasnovidz, sprawiając wrażenie człowieka, który szuka wejścia do publicznej toalety. Około czterdziestki, wysoki, dobrze ponad metr dziewięćdziesiąt, ubrany w wyciągniętą pomarańczową podkoszulkę ze sznurkiem koralii wokół szyi, płowe drelichowe spodnie i błyszczące białe adidas. Krótko ostrzyżone włosy, kilkudniowy zarost na twarzy, złamany, bokierski nos, potężny brzuch piwosza i, jak zauważył Grace, nosił zegarek, który wyglądał na bardzo drogi. Przez dłuższą chwilę zdawał się nie zauważać, że wszedł do pokoju pełnego ludzi. Grace nawet zaczął się już zastanawiać, czy to rzeczywiście mężczyzna, na którego wszyscy czekają.

Następnie, zwrócony twarzą do żaluzji, Brent Mackenzie przemówił. Głos miał cienki i piskliwy, o wiele za słaby na takiego dużego mężczyznę, ale bardzo uroczyście.



- Nie posługuję się dziś moją pamięcią - oznajmił. - Chcę zrobić dla was wszystkich co tylko w mojej mocy. Dla każdego z was będę miał dziś wiadomość, obiecuję.

Grace rozejrzał się wokół: morze milczących, zastygłych w oczekiwaniu twarzy.

- Pierwszą wiadomość mam dla obecnej tu pani imieniem Brenda. - Jasnowidz odwrócił się teraz i zlustrował salę. Matka o nalanej twarzy uniosła dłoń.

- Ach, Brenda, tu jesteś, moja droga! Gdybym powiedział, że w twoim życiu nadchodzi czas na pewien krok, byłoby to prawdą?

Kobieta namyślała się przez chwilę, po czym entuzjastycznie skinęła głową.

- Otóż to, tak właśnie mówią mi duchy. To wielki krok, prawda?

Spojrzała po kolei na każdą ze swych córek, jakby szukała potwierdzenia. Obie zmarszczyły brwi. Wówczas spojrzała na medium.

- Nie - powiedziała.

Zapadła niezręczna cisza. Po dłuższej chwili odezwał się jasnowidz.

- Słyszę właśnie, że to większy krok, niż zdajesz sobie sprawę. Ale nie masz się czym martwić; postępujesz słusznie. - Pokiwał do niej głową w pokrzepiającym geście, po czym przymknął oczy i zrobił krok do tyłu.

Grace przyglądał mu się z pewnym zażenowaniem. Był to typowy wybieg jasnowidza: wykręcanie kota ogonem, jeśli to, co powiedział wcześniej, nie znajdowało oddźwięku.

- Mam wiadomość dla Margaret. - Brent Mackenzie otworzył oczy i zlustrował wzrokiem salę. Drobną, myszowatą kobietą przed czterdziestką, której Grace wcześniej nie zauważył, podniosła rękę.

- Mówi ci coś imię Ivy, kochana?

Kobieta pokręciła głową.

- No dobra. A Irlandia? Irlandia ci coś mówi?

Kobieta znów zaprzeczyła.

- Duchy bardzo wyraźnie mówią o Irlandii. Myślę, że wkrótce tam pojedziesz, chociaż w tej chwili nie zdajesz sobie z tego sprawy. Mówią, że pojedziesz do Cork. Jest ktoś, kto odmieni twoje życie, i ten ktoś jest w Cork.

Była wyraźnie skonsternowana.

- Wrócę jeszcze do ciebie, Margaret - obiecał jasnowidz. - Teraz ktoś mi przerywa. Oni tam, w świecie duchów, bywają czasem bardzo nieokrzesani; bardzo się niecierpliwią, kiedy mają dla kogoś wiadomość. Właśnie dostają wiadomość dla Roya.

Grace'a podrzuciło, jakby włożył palec do kontaktu. Brent Mackenzie kroczył w jego stronę, patrząc mu prosto w oczy. Poczul, że twarz mu płonie i traci swoje zwykle opanowanie; z uczuciem zagubienia i bezradności podniósł wzrok na jasnowidza, który teraz wznosił się nad nim jak góra.

- Jest tu ze mną jakiś pan, myślę, że to może twój ojciec. Pokazuje mi odznakę, którą nosił. Mówi ci to coś?

Może, pomyślał Grace, ale nie będę ci dawał żadnych wskazówek. Po to ci płacę, żeby się od ciebie czegoś dowiedzieć. Spojrzał na niego bez wyrazu.

- Pokazuje mi swój hełm. Chyba był policjantem, zanim odszedł z tego świata. Odszedł czy nie?

Grace niechętnie skinął głową.

- Mówi mi, że jest z ciebie bardzo dumny, ale ty chwilowo masz jakieś trudności. Ktoś blokuje twoją karierę. Pokazuje mi jakąś kobietę... Krótko ostrzyżoną blondynkę? Nazywa się Vespa, jak ten skuter?

Tu już Grace był zafascynowany. Alison Vosper? Za wszelką cenę chciał porozmawiać z tym człowiekiem, podać mu imię Sandy. Ale opuściła go odwaga. I nie chciał tamtego naprowadzać. Czy Brent Mackenzie powie mu coś o Sandy? Przekaze jakąś wiadomość od jego ojca na jej temat?

- Twój tata coś mi pokazuje, Roy. To jakiś mały owad. Wygląda mi na żuka. On mówi o tym żuku z wielkim wzburzeniem. Mówi

trochę niejasno... - Jasnowidz ujął głowę w dłonie, obrócił się dookoła raz, potem drugi. - Niestety, gdzieś mi znika. Powiedział, że to by mogło coś uratować.

Grace, spoglądając na niego z dołu, zdobył się nagle na odwagę, by mówić.

- Nie powiedział konkretnie, co by to mogło uratować?

- Przykro mi Roy, gdzieś mi zniknął. - Jasnowidz spojrział na kogoś innego. - Mam wiadomość dla Berniego.

Grace prawie nie zwrócił na to uwagi. Myślał. Facet miał dwa trafienia. Jego ojca i żuka. „Powiedział, że to by mogło coś uratować”.

Dorwie tego jasnowidza, kiedy seans się zakończy, choćby był nie wiem jak zmęczony i wyciśnie z niego coś jeszcze.

Co on miał na myśli? Co, u licha, mogłoby to uratować? Jego karierę? Kolejne ludzkie życie?

\*

Nie musiał jednak się kłopotać, jak dorwać Brenta Mackenziego po spotkaniu. Jasnowidz, w długim skafandrze narzuconym na podkoszulek, czekał na niego na dole.

- Roy, prawda? - zapytał.

Grace skinął głową.

- Zwykle tego nie robię, ale czy moglibyśmy pogadać na osobności?

- Tak, jasne.

Jasnowidz zaprowadził Grace'a do małego gabinetu lekarskiego, w którym mieściło się biurko, para krzeseł i kilkadziesiąt białych świec, po czym zamknął drzwi. W tym pomieszczeniu wydawał się jeszcze większy, zdecydowanie górując nad Grace'em.

Wciąż stojąc, Mackenzie powiedział:

- Wie pan, ja przepraszam; seans nie był zbyt satysfakcjonujący. Nie chciałem tam mówić za dużo przy wszystkich, wie pan. Pewne sprawy nie są na użytek publiczny. Nieczęsto mi się to zdarza, ale

odebrałem jakieś naprawdę niedobre przeczucie na pański temat. Chodzi mi o tego żuka, którego widziałem; ciągle mi ten żuk chodzi po głowie. Taki jak te, które się spotyka w staroegipskich manuskryptach.

Przechylając głowę, by spojrzeć mu w oczy, Grace zapytał:

- Skarabeusz?

- Tak, właśnie. Skarabeusz.

Grace kiwnął głową.

- Tak, to się zgadza.

Medium spojrzało na niego jakoś dziwnie.

- Zgadza się?

- To ma związek z pracą. Nie bardzo mogę o tym mówić.

- Pan jest gliną, co?

- To widać? Jasnovidz uśmiechnął się.

- Sam byłem gliną, dziesięć lat. W wydziale kryminalnym w Manchesterze.

- Naprawdę?

- No cóż. Długo by opowiadać. Może kiedy indziej. Rzecz w tym, kolego, że mówią mi, że jesteś w poważnym niebezpieczeństwie. Ma to coś wspólnego z tym skarabeuszem. Musisz mieć oczy z tyłu głowy.

## ROZDZIAŁ 33

Kiedy Tom rozgryzł, jak się włącza grilla, minęła już godzina, o której dzieci chodziły zwykle spać. Kiedy wreszcie kielbaski i hamburgery były gotowe, Jessica spała już jak kamień, a Max marudził.

A teraz, kiedy wypił za dużo różowego wina, musiał jeszcze wykończyć kosztorys na dwadzieścia pięć zegarków Rolex Oyster z wygrawerowanym miniaturowym logo i przesłać go e-mailem Ronowi Spacksowi. Gigant dystrybucji DVD potwierdził, że mówił o tym zamówieniu naprawdę poważnie, a Tom obiecał mu przedstawić kosztorys najdalej dziś wieczorem. Znalazł dla Spacksa legalne źródło zaopatrzenia po okazyjnej cenie, co jemu z kolei dawało dochód netto z kontraktu w wysokości prawie trzydziestu pięciu tysięcy funtów. Nie dość, że świetny interes, to jeszcze potężny zastrzyk pieniędzy, tak mu w tej chwili potrzebnych do prowadzenia firmy - i do życia też.

Popatrzył z rozczeniem na Kellie, która leżała przed telewizorem i oglądała wywiad Jonathana Rossa z jakimś gwiazdorem rocka, o którym Tom nigdy nie słyszał. Lady jak zwykle siedziała przy drzwiach wejściowych ze smyczą w pysku.

Z wysiłkiem wszedł na górę po schodach, trzymając się kurczowo poręczy, jakby wspinał się najtrudniejszym szlakiem na Everest.

Otworzył drzwi do sypialni Jessiki. Światło z korytarza wpadło do środka, rzucając wokół cienie. Spała mocno, z twarzą zwróconą w

jego stronę, obejmując ramieniem dużego pluszowego misia, i odychała, wciągając powietrze z długim, jednostajnym, powolnym, rytmicznym sykiem i wypuszczając je z ostrym „pffut”.

Coś ścisnęło go za serce. Stał bez ruchu, jakby w całym wszechświecie nagle czas się zatrzymał. To była jego córeczka. Jego dziecko. Stworzenie, które sprowadził na ten świat. Jego mała osóбка.

Jessica.

Boże, kochał ją całym sobą. Mówi się, że rodzice zwykle wyróżniają niektóre dzieci, ale on nie, mógł to zaręczyć z czystym sumieniem.

Poślał całusa Maksowi, zamknął drzwi i z ciężkim sercem wszedł do kanciapy, by dokończyć wyliczeń dla Rona Spacksa.

Kiedy już sprawdził napisanego e-maila, potem sprawdził go jeszcze raz i wreszcie wysłał, zszedł znów na dół. Jonathan Ross w telewizji mówił o rozmiarach penisów. Kellie spała głęboko, na podłodze przy niej stał niedopity kieliszek wina, a na sofie leżało pudełko z resztką czekoladek Milk Tray.

Kiedy położył dzieci spać, opowiedział jej o tej stronie internetowej oraz wynikłym z odwiedzin na niej e-mailu, i wreszcie o fotografii Janie Stretton w dzisiejszej gazecie.

Obejrzelili razem serwis informacyjny Ten O'Clock News; zobaczyli tę biedną dziewczynę oraz materiał o przeszukiwaniach terenu prowadzonych przez policję w Peacehaven; komisarz Roy Grace z wydziału kryminalnego w Brighton apelował do wszystkich, którzy mają jakiegokolwiek informacje w tej sprawie, aby się zgłosili.

Kellie naprawdę go zaskoczyła. Okazało się, że nie znała jej tak dobrze, jak mu się wydawało. Myślał, że najważniejsze będzie dla niej bezpieczeństwo rodziny. Zwłaszcza po tym, kiedy opowiedział jej o pogrózkach.

Zastanawiała się najwyżej parę minut.

- Wyobraź sobie, jak by to było: Jessica ginie w wieku dwudziestu lat - powiedziała. - Wyobraź sobie, że to my bylibyśmy tymi

zrozpaczonymi rodzicami, którzy pragną, żeby sprawiedliwości stało się zadość. I teraz, mając świadomość tego wszystkiego, wyobraź sobie, że jesteś świadkiem, kto wie, czy nie jedynym świadkiem. Twoja informacja może zdecydować o tym, że morderca zostanie schwytany i już nigdy nikogo nie zabije i nie zniszczy życia bliskim swych kolejnych ofiar. Wyobraź sobie, jak to by było, gdyby to Jessicę zamordował ktoś, kogo można było powstrzymać, gdyby tylko ktoś się odważył powiadomić policję.

Tom przeszedł do kuchni, wyciągnął butelkę swojej ulubionej whisky Bowmore i nalał sobie trochę. Przed paroma godzinami postanowił, że zastosuje się do tego, co powie Kellie.

Ale wtedy spodziewał się, że usłyszy, iż musi postawić na pierwszym miejscu bezpieczeństwo rodziny. A to oznaczałoby, że lepiej będzie nie zrobić nic, niż zrobić cokolwiek, co naraziłoby ich na niebezpieczeństwo. Tymczasem ona twierdziła z głębokim przekonaniem, że powinien, nie oglądając się na konsekwencje, pójść na policję.

Siedząc na stołku barowym, wpatrywał się w swoje odbicie w szybie. Zobaczył zgarbionego mężczyznę, który unosi do ust szklanekę whisky i pije; zobaczył, jak ten człowiek odstawia szklanekę.

Zobaczył na jego twarzy głębokie strapienie.

Wysączył whisky do końca, po czym wrócił do salonu, żeby obudzić Kellie. Musieli jeszcze porozmawiać.

\*

Rozmawiali do późna. W końcu Tom, wykończony, próbował zasnąć. Ale o trzeciej wciąż jeszcze nie spał. I o czwartej. Rzucił się. Przewracał. Spięty, z uczuciem suchości w ustach i piekącym bólem głowy.

Tej nocy byli jeszcze bezpieczni. Tej nocy nie musiał jeszcze martwić się groźbami. Kellie uważała, że policja ich ochroni. Tom nie dzielił jej ufności.

Świtało. O piątej usłyszał szuranie opon, skrzyp, brzęk butelek. Za jakąś godzinę dzieci wstaną, przybiegną do sypialni, wskoczą im do łóżka. Sobota. Zwykle uwielbiał soboty, był to jego ulubiony dzień tygodnia.

Kellie powiedziała mu, że może udzielić policji informacji na zasadach poufności i że policja będzie to respektować. Skąd ktoś miałby się dowiedzieć, że w ogóle z nimi rozmawiał?

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytała nagle Kellie.
- Jeszcze nie śpię. Nie zmrużyłem oka.
- Ani ja.

Wyciągnął rękę, odnalazł jej dłoń i uścisnął. Odwzajemniła uścisk.

- Kocham cię - powiedział.
- Ja też cię kocham. Potem spytała:
- Podjąłeś decyzję?

Przez dłuższą chwilę milczał, zanim odpowiedział:

- Tak.



## ROZDZIAŁ 34

Roy Grace również miał bezsenność. Jego głowę wypełniała niekończąca się lista spraw, które musiał sprawdzić w ramach operacji „Słowik”. Jak również słowa Brenta Mackenziego.

*Rzecz w tym, kolego, że mi mówią, że jesteś w poważnym niebezpieczeństwie. Ma to coś wspólnego z tym skarabeuszem. Musisz mieć oczy z tyłu głowy.*

Jak to rozumieć? Może po prostu telepatycznie odebrał obraz skarabeusza, o którym nieustannie myślał Grace?

Janie Stretton. Odsunął na bok wszelkie emocje jej zrozpaczonego ojca - przez te wszystkie lata znieczulił się na takie rzeczy. Może nawet bardziej się znieczulił, niż chciał, ale tylko tak można było sobie z tym poradzić. Myślał o tym, co z nią zrobiono. Jaki sens miało usunięcie jej głowy, przy jednoczesnym pozostawieniu ręki? Czyżby chciano w ten sposób coś zakomunikować? Komu? Policji? A może zatrzymano głowę jako jakieś osobliwe trofeum?

A po co był ten skarabeusz?

Czyżby morderca chciał - a może to była morderczyni - popisać się intelektem?

Wrócił myślami do złowieszczonego ostrzeżenia, które padło z ust Alison Vosper. Miał świadomość, że ta sprawa jest jego Ostatnią Szansą Szeryfa. Żeby móc dalej pracować i żyć tu, w Brighton, musiał znaleźć zabójcę Janie i nie dać dupy, nie sprowokować nagłówek

w gazetach o glinach zabawiających się okultyzmem, i nie dopuścić, żeby ktoś zginął w samochodowym pościgu.

Musiał, cholera, stąpać po cienkim lodzie.

Kto wie, czy nie łatwiej stąpać po wodzie, pomyślał.

\*

O szóstej rano Grace miał już dosyć słuchania porannego ćwierkania ptaków, brzęku butelek od mleka, szczekania psa w oddali i męczącej gonitwy myśli.

Odsunął kóldrę, spuścił nogi na podłogę i przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, z piekącymi z niewyspania oczami, z głową pękającą z bólu. Przez całą noc przespał co najwyżej pół godziny. A wieczorem był umówiony na randkę. Taką naprawdę, naprawdę poważną randkę.

I to też w znacznej mierze przyczyniło się do tego, że nie mógł spać. Z przejęcia. Jak zadurzony małolat! Nic na to nie mógł poradzić. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio czuł coś takiego.

Podszedł do okna, rozchylił zasłony i wyjrzał na zewnątrz. Zapowiadała się piękna pogoda; niebo było niczym gładkie, ciemnoniebieskie płótno. Wokół bezwietrzny bezruch. Ogromny drozd skakał niezgrabnie po mokrym od rosy trawniku, dziobiąc ziemię w poszukiwaniu robaków. Grace popatrzył na oczko wodne urządzone przez Sandy w myśl reguł Zen, jego ukośnie owalny kształt i duże płaskie kamienie, z których było zbudowane, a następnie na wszystkie rośliny, którymi obsadziła brzegi trawnika. Wiele z nich uschło, a te które pozostały, rozpleniły się bujnie na wszystkie strony.

Nie miał pojęcia o ogrodnictwie; to była zawsze domena Sandy. Ale z przyjemnością pomagał jej w stworzeniu jej własnego, szczególnego ogrodu z banalnej jednej ósmej akra prostokątnego trawnika z rabatkami, od którego zaczynali. Kopał tam, gdzie mu kazała kopać, nawoził, podlewał, taszczył tam i z powrotem worki torfu, pielął, sadił - gorliwy robotnik brygadzystki Sandy.

To były dobre czasy, kiedy budowali swoją przyszłość, swój dom, swoje gniazdo, cementowali swoje wspólne życie.

Ogród, który Sandy stworzyła i tak kochała, był teraz zaniedbany. Nawet trawnik wyglądał na zmierzwiony i zachwaszczony i to budziło w nim poczucie winy, aż myślał sobie czasami, co ona na to powie, jeśli wróci.

Sobotnie poranki. Pamiętał, jak wychodził na poranny jogging i wracał, przynosząc Sandy croissanta z migdałami z piekarni przy Church Road i „Daily Mail”.

Rozsunął zasłony i pokój zalało światło. I nagle, po raz pierwszy od prawie dziewięciu lat, spojrzął na pokój inaczej.

Zobaczył damską sypialnię, urządzonej głównie w różnych odcieniach różu. Zobaczył wiktoriańską mahoniową toaletkę - którą kupili za grosze na pierwszym targu przy Gardner Street - zastawioną zdecydowanie damskimi rzeczami: szczotkami do włosów, grzebieniami, buteleczkami z kosmetykami i perfumami. Była tam oprawiona fotografia przedstawiająca Sandy w wieczorowej sukni oraz jego w ciemnym garniturze i pod krawatem, stojących u boku kapitana „SS Black Watch” podczas jedyne go rejsu wycieczkowego, na który się wybrali.

Zobaczył jej kapcie wciąż stojące na podłodze, koszulę nocną wiszącą na ściennym wieszaku przy łóżku. Co by z tym poczęła jakakolwiek kobieta, gdyby ją tu sprowadził?

Co by sobie pomyślała Cleo?

Uświadomił sobie, że nigdy dotąd nic takiego nie przychodziło mu do głowy.

W tym domu czas stanął jak w pułapce czasoprzestrzeni. Wszystko tu pozostało dokładnie tak jak tamtego dnia, we wtorek dwudziestego szóstego lipca, kiedy Sandy rozplynęła się w powietrzu.

A on wciąż to, kurczę, pamiętał jak dziś.

Rankiem w jego trzydzieste urodziny Sandy obudziła go, trzymając tacę, na której były malutki tort zjedną świeczką, kieliszek szampana i bardzo sprośna pocztówka urodzinowa. Oczywiście dostał też prezenty. Rozpakował je, a potem poszli do łóżka.

Wyszedł z domu później niż zwykle, piętnaście po dziewiątej, i tuż po w pół do dziewiątej dotarł do swojego biura w komendzie w Brighton na odprawę w sprawie morderstwa na motocykliście z subkultury Hell's Angels, wrzuconym do basenu portowego w Shoreham z rękami związanymi za plecami i betonowym blokiem przykutym do kostek. Grace obiecał wcześniej wrócić do domu, żeby mogli się wybrać na uroczystą kolację wspólnie z jeszcze jedną parą, jego serdecznym druhem Dickiem Pope'em, także detektywem, i jego żoną Leslie, z którą Sandy dobrze się dogadywała. Zaszły jednak nowe okoliczności w sprawie i dotarł do domu prawie dwie godziny później, niż zamierzał. Nie było śladu Sandy.

Początkowo pomyślał, że jest wściekła na niego za spóźnienie i urządza protest. W domu było posprzątane; tylko jej samochód i torebka zniknęły.

A potem, po upływie doby, znaleziono jej starego, czarnego volkswagena golfa na krótkoterminowym parkingu przy lotnisku Gatwick. W dniu zniknięcia Sandy dokonane zostały dwie transakcje na jej kartę kredytową, jedna w Boots i jedna w Tesco. Nie zabrała ze sobą żadnych ubrań ani żadnego innego dobytku.

Sąsiedzi z tej spokojnej ulicy domów mieszkalnych tuż przy nadmorskim bulwarze nic nie widzieli. Z jednej strony mieszkała wylewna i sympatyczna grecka rodzina, do której należało kilka kawiarni w mieście, ale ci właśnie wtedy wyjechali na wakacje. Po drugiej stronie starsza, przygłucha wdowa, która spała przy włączonym telewizorze z dźwiękiem rozkręconym na cały regulator. W tej chwili, o szóstej osiemnaście rano, słyszał przez mur oddzielający go od jej części bliźniaka jakiś stłumiony amerykański głos; brzmiał jak John Wayne, który zwraca się do zgarniętej przed chwilą bandy nicponiów.

Zszedł po schodach do kuchni, zastanawiając się, czy zrobić sobie herbaty, czy wybrać się najpierw na przebieżkę. Jego złota rybka pływała spokojnie w kolistym akwarium.

- Dzień dobry, Marlon! - odezwał się pogodnie. - Wybrałaś się popływać od rana? Jesteś głodny?

Pyszczek Marlona otworzył się i zamknął parę razy. Marlon nie był specjalnie rozmowny.

Grace napełnił czajnik, podsunął sobie krzesło, usiadł przy stole w kuchni i rozglądając się wokół, zastanawiał się, jakie ślady obecności Sandy pozostały w tym pomieszczeniu. Prawie wszystko, oprócz srebrzystej lodówki, było tu czerwone, albo miało jakiś czerwony motyw. Kuchenka i zmywarka, uchwyty w białych szafkach, płyta grzejna, klamki. Nawet stół kuchenny był czerwono-biały. Wszystko wybrała Sandy. Był to w owym czasie modny kolor, ale teraz kuchnia wyglądała żałośnie: powierzchnie ceramiczne paskudnie poobijane, niektóre zawiasy w szafkach puściły, a farba w wielu miejscach podpryskiwała

Prawda była taka, że lepiej by mu było w jakimś innym mieszkaniu. W tym domu wciąż objali się o wszystko - on, Marlon i duch Sandy.

Otworzył drzwi szafki pod zlewem, zajrzał do środka, znalazł rolkę czarnych worków na śmieci i oderwał jeden. Potem zdjął z półki zdjęcie, na którym był z Sandy, i przypatrzył mu się przez chwilę. Zrobił je ktoś nieznamy, aparatem Grace'a, w czasie ich podróży poślubnej. Stali z Sandy na samym szczycie Wezuwiusza, wyraźnie spoceni z wysiłku po ciężkiej wspinaczce, oboje w podkoszulkach, na tle krateru częściowo przysłoniętego przez nisko wiszącą szarą chmurę.

Włożył zdjęcie do worka na śmieci i zamarł, jakby w oczekiwaniu, że porazi go piorun.

Nic jednak się nie wydarzyło.

Oprócz ogromnego poczucia winy, które po cichu narastało gdzieś w jego wnętrzu. A co jeśli dziś wieczór wszystko pójdzie naprawdę dobrze i skończy się na tym, że po wspólnej kolacji przeprowadzi Cleo Morey tutaj?

Uświadomił sobie, że musi usunąć wszystko, co w oczywisty sposób należało do Sandy. A to było dla niego ogromne wyzwanie. Przekroczyć Rubikon.

Ale może już przyszedł na to czas?

Z wahaniem wyjął zdjęcie z worka i postawił je z powrotem na półce. To by dziwnie wyglądało, jakby nie miał fotografii. To jej rzeczy osobiste musiał zredukować do minimum w całym domu.

Na górze, w sypialni, spojrzął na szczotkę do włosów. W jej włosiu wciąż tkwiły pasma długich, jasnych włosów Sandy. Wyciągnął jedno, uniósł do góry, czując nagle w sercu ciężar ołowiu. Wypuścił pasmo z palców i ze ściśniętym gardłem patrzył, jak powoli opada na dywan. Powąchał szczotkę, ale zapachu Sandy już w niej nie było, tylko jakaś zwietrzała, nieciekawa woń.

Włożył do worka szczotkę oraz wszystkie inne jej rzeczy z toaletki i z łazienki. Zaniósł worek do pokoju gościnnego służącego za rupieciarnię i położył go obok pustej walizki, pudła, w które był zapakowany fabrycznie jego laptop i kilku starych rolek papieru do pakowania prezentów na Boże Narodzenie.

Potem przebrał się w szorty, koszulkę i adidas, wsunął do kieszeni banknot pięćofuntowy i wyruszył na przebieżkę.

Jego trasa prowadziła prosto w dół do Kingsway, szerokiej drogi dwupasmowej biegnącej wzdłuż bulwaru nadmorskiego w Hove. Po jednej stronie stały domy, które jakiś kilometr dalej ustępowały miejsca kamienicom i hotelom - jednym nowoczesnym, innym wiktoriańskim, jeszcze innym w stylu regencji - ciągnącym się dalej aż do końca bulwaru. Po drugiej stronie były małe przystanie wodniackie, plac zabaw, trawniki, dalej promenada, wzdłuż której miejscami stały szeregi kabin plażowych, za nimi były kamieniste plaże, a jeszcze niespełna dwa kilometry na wschód - ruiny starego Zachodniego Mola.

Bulwar był prawie całkowicie wyludniony i Grace miał wrażenie, że ma całe miasto wyłącznie dla siebie. Bardzo lubił podczas weekendu wychodzić na dwór o tak wczesnej porze, jakby wyprzedzając cały świat o krok. Był odpływ i widział kulę wschodzącego słońca już dość wysoko na niebie. W oddali chodził po przybrzeżnych błotach jakiś człowiek, machając wykrywaczem metalu. Na horyzoncie

płynął pozornie nieruchomy kontenerowiec, niewiele bardziej czytelny niż kleks.

Powoli, z rykiem silnika, zbliżała się do Grace'a zamiatarka, jej szczotki wirowały, zgarniając zwykle pozostałości piątkowej nocy: kartonowe opakowania po fast-foodzie, puszki po coli i niedopałki papierosów.

Grace zatrzymał się w połowie promenady, w niewielkiej odległości od śpiącego kloszarda skulonego na ławce, i wykonał kilka ćwiczeń rozciągających, odetchnął głęboko, wciągając w płuca znajomy zapach wybrzeża, który tak uwielbiał - posmak soli w świeżym, ciepłym powietrzu, hojnie zaprawiony wonią rdzy i smoły, starych lin i zepsutych ryb - co starsze pokolenie właścielek nadmorskich domów zwykle określać w swych folderach reklamowych jako zapach ozonu.

Grace rozpoczął następnie swój dziesięciokilometrowy bieg do przystani i z powrotem. Na ostatnim kilometrze zawsze skręcał w głąb ładu i dobiegał do ruchliwej handlowej arterii Church Road w Hove, do całodobowego sklepu spożywczego, żeby kupić mleko, gazetę i jakieś czasopismo, jeśli mu przyjdzie ochota. Dziś może kupi kolejny magazyn o modzie. Coś w stylu „Areny”. Żeby zaczerpnąć stamtąd jakieś pomysły na to, w co mógłby się ubrać na dzisiejszy wieczór.

Przystanął przed drzwiami sklepu, do pewnego stopnia orzeźwiony przez bieg, a do pewnego wyczerpany z niewyspania, mocno spocony. Zrobił kilka skłonów i wyprostów, po czym wszedł do sklepu, kierując się prosto do stoiska z prasą. Od razu zobaczył nagłówek porannego wydania „Argusa”.

## SKARABEUSZ KLUCZEM DO ZAGADKI MORDERSTWA NA STUDENTCE PRAWA Z BRIGHTON

Pieniąc się ze złości, porwał egzemplarz gazety ze stojaka. Zobaczył zdjęcie Janie Stretton, to samo, które przekazał wczoraj do publikacji. Poniżej, w ramce, widniała niewielka fotografia przedstawiająca skarabeusza.

Wydział kryminalny policji w Sussex odmawia potwierdzenia informacji, że kluczowym dowodem w sprawie, mogącym naprowadzić na trop zabójcy Janie Stretton, może być rzadki, niespotykany na Wyspach Brytyjskich, żuk skarabeusz. Zapytany, czy potwierdza fakt znalezienia żuka w trakcie sekcji zwłok przeprowadzonej przez patologa z ministerstwa spraw wewnętrznych dra Frazera Theobalda, komisarz Roy Grace z wydziału kryminalno-dochodzeniowego komendy policji w Brighton i Hove uchylił się od odpowiedzi...

Grace wpatrywał się w te słowa z narastającą z każdą chwilą furją. Uchylił się od odpowiedzi? Nikt go, cholera, nie pytał! I przecież wyraźnie nakazał, żeby nic nie mówić prasie o znalezieniu tego żuka.

Więc kto, do cholery, to ujawnił?!



## ROZDZIAŁ 35

Grace wziął prysznic, pochłonął na szybko talerz płatków śniadaniowych i, chociaż była sobota, włożył ciemny garnitur, białą koszulę oraz gładki krawat - jako że nigdy nie wiadomo, co dzień przyniesie, z kim mógłby się spotkać - i tuż przed pół do dziewiątej zjawił się w GCK Jeden w paskudnym nastroju, gotów obedrzeć kogoś żywcem ze skóry.

Cały zespół już czekał na niego - a sądząc po wyrazie ich twarzy, wszyscy już widzieli nagłówek w „Argusie”.

Na wypadek gdyby jednak nie widzieli, z trzaskiem rzucił gazetę na stół. Zamiast powitania, rzucił:

- No dobra, czyja to, kurwa, sprawka?

Glenn Branson, Nick Nicholl, Bella Moy, Emma-Jane Boutwood, Norman Potting i reszta zespołu - wszyscy spojrzeli na niego z konsternacją.

Grace zatrzymał oskarżycielskie spojrzenie w pierwszej kolejności na Normanie Pottingu.

- Nic ci nie przychodzi do głowy, Norman? - spytał.

- To tego młodego dziennikarza kawalek, Kevina Spinelli - za bulgotał Potting swym grubym, prostackim głosem. - Gnojek zawsze coś namiesza, nie?

Grace zdał sobie nagle sprawę, że zaślepiiony gniewem, nie spojrział nawet na nazwisko autora. To dlatego, że był zmęczony; jego mózg nie pracował na pełnych obrotach po nieprzespanej nocy. Długi bieg zazwyczaj ładował mu akumulatory, ale w tej chwili czuł

się wycieńczony i strasznie potrzebował napić się mocnej kawy. A jej zapach kusząco unosił się z kilku rozstawionych na biurku filiżanek.

Kevin Spinella był najnowszym nabytkiem gazety, młodym, pyśkatym początkującym reporterem od spraw kryminalnych, szybko zdobywającym sobie reputację kosztem policji hrabstwa Sussex. Grace miał już wcześniej na pieńku z tym dziennikarzem, podobnie jak większość jego kolegów,

- Dobra, Norman, twoje pierwsze zadanie na dzisiaj to dorwać tę kanalią i dowiedzieć się, skąd wziął ten materiał.

Sierzant skrzywił się, po czym upił łyk kawy ze styropianowego kubka.

- Pewnie powie, że chroni swoje źródła - odezwał się z widocznym samozadowoleniem, czym jeszcze bardziej rozdrażnił komisarza.

Grace musiał się powstrzymać, żeby na niego nie nawrzeszczeć, gdyż w tym wypadku Potting raczej się nie mylił.

- Problem w tym, Roy - odezwał się Branson - że zaangażowaliśmy stu ludzi ze służby wsparcia, żeby szukali głowy ofiary. To mógł być któryś z nich. Mógł być ktoś z ekipy kryminalistycznej. Mogło to wyjść z biura koronera. Albo z prosektorium.

Grace wiedział, że Branson ma rację. Zakrojone na szeroką skalę dochodzenia zwiększały możliwość przecieku. Każdy był ciekaw, taka jest ludzka natura. Wystarczyła chwila niefrasobliwości jednego człowieka, żeby coś się wydostało i w ciągu kilku minut informacja obiegła całe miasto.

Ale jaką cholerną szkodę to mogło wyrządzić. Albo już wyrządziło.

Odłożywszy na razie tę kwestię, przystąpił do omówienia poszczególnych punktów z listy sporządzonej na początku śledztwa przez Bellę Moy wraz z Eleanor i regularnie, dwa razy dziennie przez nie aktualizowanej. Wtem przerwał mu Norman Potting.

- Kto wie, Roy; może by się znalazło coś, czym byśmy mogli przycisnąć tego Kevina Spinelle.

- Na przykład?
- No, doszły mnie plotki, że on lubi sobie czasem umoczyć w kawkę. No wiesz, wejść od tyłu.

Grace, bliski załamania, uznał, że znów przyszła pora na Pottin-ga.

- Chcesz powiedzieć, że jest gejem?
- Właśnie, przyjacielu.

Grace popatrzył na niego surowo. Norman Potting był po prostu tak bardzo oderwany od rzeczywistości.

- A w jaki sposób właściwie mogłoby to nam pomóc?

Potting wyciągnął z kieszeni marynarki wrzoscową fajkę z mocno obgryzionym cybuchem i ściągając usta w ciup, wpatrzył się w nią.

- Zastanawiam się, co by powiedział redaktor naczelny „Argusa”, głosu miasta Brighton i Hove, gdyby wiedział, że pracuje u niego ciota.

Grace miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Norman, zważywszy że miasto Brighton i Hove ma największą społeczność gejowską w całej Wielkiej Brytanii, to myślę, że byłby całkiem zadowolony, gdyby cały zespół redakcyjny składał się z gejów.

Potting obrócił się do Emmy-Jane i z szerokim uśmiechem puścił do niej oko, przy czym w kąciuku jego ust pojawiła się kropelka śliny. Stukając się kciukiem w pierś, oznajmił:

- Nie martw się, kochana, jeszcze zostało w okolicy paru prawdziwych mężczyzn. Póki co, korzystaj.

- Jak któregoś znajdę, nie omieszkam - odparła.

- Norman - wtrącił Grace - język, którego używasz, jest absolutnie nie do przyjęcia. Porozmawiamy w moim gabinecie zaraz po tym zebraniu.

Po czym zwrócił się do całego zespołu:

- No dobra, do rzeczy. Z E.-J, jesteście umówieni na jedenastą w pewnej hodowli owadów w Bromley. Norman, ty masz zajęcie na cały dzień ze Spinella i pilotowaniem sprawy sekretarki automatycznej Janie Stretton.

Ciągnął dalej, po kolei przydzielając zadania na ten dzień każdemu z członków zespołu. Jeśli dobrze pójdzie, po południu powinno się znaleźć godzinne okienko, żeby mógł się wyrwać z Glennem na chwilę poważnych zakupów odzieżowych.

Spróbował się pozbyć poczucia winy, które go ogarnęło w związku z tym; myśli o takich sprawach, zamiast się skoncentrować wyłącznie na Janie Stretton. Ale po piekle, które przeszedł przez te wszystkie lata, wolno mu było chyba pozwolić sobie ten jeden raz, wyjątkowo, na odrobinę przyjemności?

Wtem, jakby ciemna chmura przysłoniła nagle słońce, znów pomyślał o Sandy. Stale była obecna, gdzieś cichutko w tle. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że musi uzyskać jej aprobatę dla wszystkich swoich poczynań. Ogarnęły go wyrzuty sumienia w związku z jej rzeczami, które zaledwie jakieś dwie godziny temu wrzucił do worka na śmieci. Czyżby na wypadek, gdyby przyprowadził dziś wieczorem do domu Cleo Morey?

Czy też tylko po to, by spróbować wymazać przeszłość i zrobić miejsce dla przyszłości?

Kiedy tylko będzie miał wolną chwilę, wybierze się do agenta nieruchomości i wystawi ten cholerny dom na sprzedaż.

Już na samą myśl o tym poczuł się, jakby ktoś zdjął mu z ramion ogromny ciężar.

Zadzwoił telefon Glenna Bransona. Grace skinął głową, że może odebrać.

- Centrum koordynacji, Glenn Branson. Czym mogę służyć?

- Czy wiecie dlaczego większość mężczyzn umiera wcześniej niż ich żony? - odezwał się nagle Norman.

Grace, który próbował usłyszeć, o czym rozmawia Branson, przygotował się na najgorsze.

Wszyscy jak jeden mąż pokręcili głową, a wówczas Potting oznajmił:

- Bo chcą!

Panie wydały unisono głośny jęk. Glenn Branson przycisnął słuchawkę do ucha, zakrywając drugie dłonią, żeby wyeliminować hałas.

Potting - tylko jego ten dowcip śmieszył - rechotał sam do siebie.

- Dziękuję, Norman. - Grace zmierzył go wzrokiem.

- Mam takich jeszcze mnóstwo z tego samego źródła - pochwalili się sierżant.

- Nie wątpię. Ale jest sobota, za piętnaście dziewiąta rano. Może byś nam opowiedział trochę później, kiedy już aresztujemy mordercę?

- Świetny plan! - stwierdził Potting po namyśle. - Bez zarzutu, Roy.

Grace popatrzył na niego. Czasami trudno było powiedzieć, czy on jest bystry, czy też głupi jak but. Z dotychczasowych doświadczeń z nim wyglądało na to, że sierżant na ogół potrafi być jednocześnie i taki, i taki.

Branson, ubrany dziś w wyglądającą na drogą skórzaną kurtkę ze stójką, narzuconą na czarny podkoszulek, gryzmołił jakiś numer w swoim bloczku.

- Dziesięć minut - powiedział. - Oddzwonię do pana. Nie, bez obawy. Absolutnie. Dziękuję.

Wszyscy nagle zamilkli, wpatrzeni w niego. Branson odłożył słuchawkę i oznajmił.

- Kolejny możliwy trop.

- Jakiś sensowny? - rzucił Grace.

- Facet dzwonił do mnie z automatu. Bał się rozmawiać z domowego telefonu. Potem nagle zaniepokoił go jakiś stojący w pobliżu samochód. Postanowił przejść obok i sprawdzić. Mam do niego oddzwonić dokładnie za dziesięć minut.

Branson spojrzał na zegarek, ogromny prostokąt ze stali nierdzewnej, który chętnie wszystkim pokazywał, do znudzenia. To zegarek rosyjskich pletwonurków, chwalił się, a kupił go w pewnym bardzo modnym sklepie w Brighton. Miał to być największy zegarek na rękę na świecie. Grace widział niejednego zegar ścienny z mniejszą tarczą.

Od środy po południu, kiedy to sprawa morderstwa została nagłośniona, zanotowali ponad dwieście pięćdziesiąt telefonów od

obywateli. Wszystkie trzeba było sprawdzić, i oprócz kilku, zupełnie nic nie wniosły do sprawy. Teraz, po ukazaniu się informacji o skarabeuszu w dzisiejszym „Argusie” - którą bez wątpienia jutro podchwycą wszystkie gazety ogólnokrajowe - liczba telefonów prawdopodobnie wzrośnie i dużo trudniej będzie im oddzielić w nich ziarno od plew, eliminując bredzenie maniaków.

- Zawracanie głowy, czy konkrety? - spytał Grace.
- Mówi, że chyba był świadkiem zamordowania Janie Stretton.

## ROZDZIAŁ 36

Grace prowadził, a Emma-Jane Boutwood, ubrana w elegancki granatowy kostium i bładoniebieską bluzkę, siedziała obok w jego nieoznakowanym mondeo, trzymając na kolanach dużą, brązową kopertę, a na niej mapkę, którą wydrukowała z internetu.

Normalnie Grace wykorzystałby godziną podróż jako okazję do nawiązania koleżeńskich kontaktów z młodszą stopniem członkinią jego zespołu, ale tego ranka miał za wiele na głowie, z czego wściekłość na Normana Pottinga była zaledwie drobną cząstką, toteż rozmawiali mało. E.-J, mówiła trochę o sobie - ojciec ma agencję reklamową w Eastbourne, a jej mały braciszek parę lat temu ciężko chorował, ale wyszedł z tego. Słuchając jej, Grace pomyślał, że za fasadą młodej, ambitnej policjantki, którą znał z pracy, kryje się naprawdę wrażliwa kobieta. Ona jednak uzyskała od niego w zamian bardzo niewiele i po kilku próbach wciągnięcia go w rozmowę zrozumiała, że Grace chce pomilczeć.

Ze stałą prędkością sto dwadzieścia na godzinę podążał w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara londyńską obwodnicą M25. Była to jedna z najmniej przez niego lubianych tras, którą z racji często tworzących się tu korków ludzie przewali „największym parkingiem świata”, ale tego sobotniego ranka ruch był tu umiarkowany i przebiegał bez zakłóceń. Pogoda, początkowo tak

piękna, teraz zaczynała się psuć i niebo stopniowo przybierało złowieszczy odcień grafitu. O przednią szybę rozbijały się pojedyncze krople deszczu, było ich jednak za mało, by włączać wycieraczki. Ledwie je zauważał; prowadził na autopilocie, podczas gdy świadoma część jego mózgu koncentrowała się na sprawie.

Janie Stretton została zamordowana we wtorek wieczorem, a teraz jest sobota rano, myślał. Wciąż nie mają głowy, ani żadnego motywu, ani podejrzanego.

I, kurczę, nic, co by mogło naprowadzić na trop.

A Vosper powiedziała mu, że w poniedziałek ten szczytowo bezczelny aspirant Cassian Pewe z metropolitalki przechodzi do docho-dzeniówki w Brighton i będąc w tym samym stopniu. Nie miał wątpliwości, że pani podinspektor tylko czeka, aż powinie mu się noga, żeby w mgnieniu oka odebrać mu sprawę i dać na jego miejsce Cassiana Pewe'a, z jego lśniącymi blond włosami, anielsko błękitnymi oczami i głosem świdrującym jak wiertło dentystyczne.

Alison Vosper będzie zależało, żeby jej nowy protegowany - za którego Grace uważał Pewe'a - jak najszybciej wyrobił sobie markę, a nic nie dawało lepszego pola do popisu niż sprawa głośnego morderstwa takiego jak to, z którą dotychczasowy zespół sobie nie radził.

Najbardziej zagadkowe dla Grace'a było bestialstwo tego zabójstwa - napastnik musiał być w totalnym amoku - przy jednoczesnym braku wszelkich śladów napastowania seksualnego. Czyżby mieli do czynienia z kimś zupełnie obłąkanym, może jakimś kolejnym schizofrenikiem, takim jak Peter Sutcliffe, rozpruwacz z Yorkshire? Człowiekiem słyszającym głosy pochodzące od Boga, które mu każą zabijać dziwki?

A może Janie zrobiła sobie jakiegoś wroga?

Oczywiście potencjalnym podejrzanym był jej ostatni chłopak, ale sądząc po tym, co mówił jej ojciec, Justina Remingtona raczej należało wykluczyć. Bella Moy знаła się na ludziach - po tym, jak ona z nim porozmawia, co przy odrobinie szczęścia powinno nastąpić dziś, jeśli uda jej się go złapać, Grace będzie miał większe pojęcie,



jaki to człowiek. Jeśli się pojawi choć cień podejrzenia, że coś z tym facetem jest nie tak, Grace pojedzie porozmawiać z nim osobiście. Lecz jeśli, jak uważał, mordercą nie jest Justin Remington, to kto? Dlaczego to zrobił? Gdzie jest teraz? Czy krąży gdzieś, szykując się do następnego ataku?

Wczoraj wieczorem po spotkaniu z Brentem Mackenzieem kupił porcję ryby z frytkami i z marynowaną cebulą, po czym udał się do prawie całkiem o tej porze opustoszałego GCK Jeden. Spłukał rybę kubkiem mocno nasyconej garbnikami herbaty z automatu, ślęcząc nad materiałami z dotychczasowego przebiegu śledztwa, które przygotowała dla niego Hannah Loxley, maszynistka zespołu.

Przesiedział tam dłuższy czas, wpatrując się w twarz Janie Stretton na fotografii, potem w dwie duże białe tablice do pisania mazakami. Na jednej była przypięta mapa topograficzna Peacehaven, na której zaznaczono dwoma czerwonymi kółkami miejsce, w którym znaleziono jej rękę i drugie, gdzie leżała reszta jej bezgłowego tułowi. Były tam również fotografie zwłok wykonane na miejscu ich znalezienia oraz kilka innych, zrobionych w trakcie sekcji zwłok, w tym jedno przedstawiające żuka w jej odbycie. Widząc teraz te zdjęcia z plastycznie oddanymi wszystkimi szczegółami, wstrząsnął się z odrazy.

Co ci się przydarzyło, Janie, we wtorek wieczór? I kim był ten Anton? Czy on ci to zrobił?

Powrócił myślami do Dereka Strettona. Ponad siedemdziesiąt procent ofiar morderstw w Wielkiej Brytanii ginie z rąk albo kogoś z najbliższej rodziny albo też kogoś ze znajomych. Czyżby, kiedy wczoraj byli z Glennem Bransonem u ojca Janie, coś umknęło ich uwadze? Czy coś z tego, co mówił, mogło nasunąć im myśl, że to on poćwiartował własną córkę? Wszystko jest możliwe; tyle się Grace nauczył przez wszystkie lata swojej służby w policji. Ale Stretton wydawał się szczery - pogrążony w smutku ojciec, przybity i zagubiony. Po prostu nie miał aury człowieka, który dopiero co kogoś zabił.

Radio samochodowe zatrzeszczało, budząc się do życia. Byli poza zasięgiem fal radiowych policji Sussex i odebrali wezwanie dyspozytora z terenu Bromley, który wysyłał jakiś radiowóz do wypadku. Emma-Jane wyciszyła dźwięk.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - powiedziała. - Na najbliższym rondzie prosto, a potem w drugą ulicę w lewo.

Nagle, jakby niebo zaoszczędziło całą wodę na tę chwilę, przednią szybę zalały strugi deszczu, które zaczęły tańczyć na masce forda i tłuc o dach niczym kamienie. Grace po omacku odnalazł włącznik wycieraczek i uruchomił je, najpierw na wolnym biegu, potem na szybszym; rozmasowały wodę deszczową na szybie, tworząc nieprzejrzystą warstwę, toteż przez dłuższą chwilę musiał się naprawdę skoncentrować na jeździe, dopóki znów nie zaczęło coś być widać przez szybę.

- Jak sobie radzisz z owadami? - spytał Grace.

E.-J, skrzywiła się.

- Prawdę mówiąc, nie za bardzo. A ty?

- Nie przepadam za nimi - przyznał.

Skręcił, tak jak mówiła, w lewo, w ulicę zabudowaną bliźniakami z lat trzydziestych dwudziestego wieku - podobnie jak ta, na której sam mieszkał. Na samym końcu zobaczył niewielką posesję przemysłową, za którą droga przechodziła pod wiaduktem kolejowym. Po drugiej stronie ulicy, na lewo, było jeszcze trochę bliźniaków i rząd sklepów.

- To tu - stwierdziła detektyw Boutwood.

Grace zwolnił, szukając miejsca do parkowania przed którymś ze sklepów. Zobaczył piekarnię, aptekę, sklep ze starociami - wystawione były na chodnik stare fotele, zabawkowy samochód, sosnowy stół i parę innych przedmiotów; obok był ośrodek zdrowia, za nim sklep z trofeami sportowymi, a dalej zobaczył coś, co wyglądało na sklep zoologiczny, z witrynami zastawionymi małymi, pustymi klatkami. Nad wystawą widniał szyld:

**ERRIDGE & ROBINSON - IMPORT I ZAOPATRZENIE.**

Zaparkowali w zatoczce kilkanaście metrów dalej, po czym w strugach deszczu pobiegli do sklepu - Emma-Jane chroniła głowę

dużą, brązową kopertą, a ich wejściu do środka towarzyszyło głośne „ping” uruchamianego drzwiami dzwonka.

Z miejsca uderzył Grace'a w nozdrza zapach: ostry, intensywny odór, nieco tylko stonowany przez trociny. Znajdowali się w słabo oświetlonym pomieszczeniu, otoczeni ze wszystkich stron, od podłogi aż po sufit, przez podświetlone ultrafioletem klatki; w niektórych z nich laziły owady. Zajrzał do jednej, stojącej o kilkanaście centymetrów od niego, i zobaczył brunatne, podrygujące poroże. Jakiś bardzo duży żuk, za duży i za blisko niego, żeby mógł się z tym dobrze czuć. Cofnął się o parę kroków, otarł z czoła krople deszczu i ściągawszy brwi, spojrzał na detektyw Boutwood z miną, jakby chciał powiedzieć: „Gdzieś ty mnie, do cholery, sprowadziła?”

Wtedy zobaczył pająka, czy raczej najpierw jedną z jego żółto czarnych, włochatych nóg, potem drugą, potem trzecią; trzema szybkimi ruchami stworzyciel przemierzył całą szerokość klatki. Był ogromny; z rozciągniętymi na całą długość, teraz w pełni widocznymi odnóżami nie zmieściłby się na talerzu obiadowym.

Emma-Jane również na niego patrzyła; wyglądało na to, że czuje się bardzo nieswojo. Co zresztą było faktem. Im bardziej Grace rozglądał się wokół, tym więcej widział maleńkich oczek i podrygujących czułków. A od smrodu zbierało mu się na wymioty.

Wtem otworzyły się drzwi od zaplecza i wyłonił się zza nich chudy człowieczek przed pięćdziesiątką, ubrany w brązowe ogrodniczki i białą koszulę zapiętą pod szyję. Miał małe, nieufne oczka pod wielkimi, krzaczastymi brwiami, które wyglądały jak dwie gąsienice szykujące się do walki.

- Czym mogę służyć? - zapytał piskliwie, tonem, w którym wyczuwalna była nuta agresji.

- Pan George Erridge?

Z wahaniem i bardzo przeciągle wycedził:

- Ta-ak.

- Detektyw Boutwood - przedstawiła się E.-J. - Rozmawiałam z panem wczoraj. A to komisarz Grace z wydziału kryminalno-dochodzeniowego w Brighton.

Grace pokazał legitymację. Tamten wpatrzył się w nią, zdając się czytać każde wypisane na niej słowo; twarzą wstrząsnął mu tik, a jego brwi jeszcze bardziej się zmarszczyły.

- Tak - powiedział. - Rzeczywiście.

Patrzył na policjantów z milczącym wyczekiwaniem.

E.-J, wyjęła z koperty kolorową fotografię i podała mu ją.

- Szukamy kogoś, kto mógł dostarczyć to stworzenie jakiemuś klientowi w Anglii.

George Erridge rzucił tylko okiem na fotografię i prawie natychmiast stwierdził:

- *Scarabeus sacer*.

- Pan sprowadza tropikalne owady? - spytał Grace.

Mężczyzna spojrział prawie z urazą.

- Nie tylko tropikalne; z Europy, z całej Azji. Z Australii; właściwie z całego świata.

- Może tego też pan sprowadził?

- Mam zazwyczaj kilka na składzie. Chce pan zobaczyć?

Grace miał ochotę odpowiedzieć: „Nie, naprawdę, dziękuję”, jednak poczucie obowiązku przeważało.

- Owszem, tak.

Człowieczek poprowadził ich przez te same drzwi, którymi wszedł, do szopy długiej na dobre trzydzieści metrów, tak samo jak sklep, zastawionej od podłogi do sufitu kłatkami; smród był tu jeszcze bardziej nieznośny - znacznie kwaśniejszy i ostrzejszy - a oświetlenie równie słabe.

- To karaluszarnia - mówił Erridge z odcieniem dumy. - Dostarczamy dużo karaluchów zakładom farmaceutycznym, do testów.

Grace, który zawsze brzydził się karaluchów, przystanął i zajrzał do jednej z klatek, w której mieściło się około dwudziestu brunatnych stworów. Wzdrygnął się.

- Jedno z najbardziej odpornych zwierząt na tym globie - mówił Erridge. - Jeśli pan utnie karaluchowi głowę, on może jeszcze przeżyć do piętnastu dni, wiedział pan o tym? Wciąż będzie powracać do swojego pierwotnego źródła pożywienia. Oczywiście nie będzie w stanie jeść.

- Blee - Emma-Jane otrząsnęła się.

- Nie wiedziałem - przyznał Grace. O mało nie dodał: „Dziękuję, że mnie pan oświecił”.

- Przeżyłyby zagładę nuklearną. Ich ewolucja zakończyła się setki tysięcy lat temu. I jak to się ma do ludzkości?

Grace popatrzył na niego, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Następnie przeszli przez kolejne drzwi wewnętrzne do jeszcze dłuższej szopy. W połowie jej długości George Erridge przystanął i wskazał jakąś niewielką klatkę.

- Proszę - oznajmił. - *Scarabeus sacer*.

Roy Grace dopiero po dłuższej chwili dostrzegł jednego z nieruchomych żuków w klatce, z charakterystycznymi prążkami na pancerzu.

- A więc, jeśli wolno zapytać, co konkretnie interesuje pana w tych żukach? - odezwał się Erridge.

Grace'a kusilo, żeby mu powiedzieć i zobaczyć jego minę, ale musiał nad sobą zapanować.

- Nie mogę panu powiedzieć w jakich okolicznościach, ale jeden z tych owadów został znaleziony na miejscu zbrodni. Chcielibyśmy otrzymać od pana listę klientów, którzy ostatnio kupili u pana takiego żuka.

George Erridge zamilkł, lecz jego brwi rzuciły się na siebie z wściekłością.

- W ostatnich miesiącach miałem tylko jednego klienta. Prawdę mówiąc nie ma na nie zbyt wielkiego popytu; jakiś kolekcjoner od czasu do czasu i nowe muzea. Nie biorą ich wiele.

- Co to był za klient? - dociekał Grace.

Erridge wcisnął ręce do kieszeni ogrodniczek i wepchnął język pod dolną wargę.

- Hmm... Zabawny gość, z takim jakby wschodnioeuropejskim akcentem. Zadzwoił do mnie jakieś dwa tygodnie temu z bardzo konkretnym pytaniem, czy mam na składzie jakiegoś skarabeusza. Powiedział, że chce takich sześć.

- Sześć? - powtórzył Grace ze zgrozą. Od razu przyszło mu do głowy: sześć morderstw takich jak to?

- Tak.

- Żywych czy martwych?

Erridge spojrział na niego dziwnie.

- Żywych, oczywiście.

- Kogo normalnie pan zaopatruje?

- Jak już mówiłem, przemysł farmaceutyczny, muzea przyrodnicze, prywatnych kolekcjonerów, czasami produkcje filmowe; ostatnio dostarczyłem tarantulę do jakiegoś filmu dla BBC. Zdradzę panu pewną tajemnicę zawodową: owady jest o wiele łatwiej kontrolować niż inne zwierzęta. Chce pan łagodnego karalucha, niech go pan potrzyma cztery godziny w lodówce. Chce pan agresywnego karalucha, niech go pan potrzyma przez parę minut na patelni na małym ogniu.

- Będę o tym pamiętał - obiecał Grace.

- Tak - ciągnął Erridge z głęboką powagą. - To najlepszy sposób. One nie cierpią, wie pan. Nie czują bólu tak jak my.

- Szczęściarze.

- Fakt.

- Ma pan jakieś dane tego człowieka, który kupił tych sześć żuków? - spytała Emma-Jane.

Erridge odpowiedział z lekko nastroszoną miną:

- Nie mam żadnych danych. Przechowuję dane tylko stałych klientów.

- A więc wcześniej nie miał pan do czynienia z tym człowiekiem? - upewniła się.

- Nie.

- Ale spotkał się pan z nim? - zapytał Grace.

- Nie. Zadzwoił, spytał, czy je mam i powiedział, że kogoś po nie przysła. Przesłał taksówkę i kierowca zapłacił gotówką.

- Jakaś miejscowa korporacja?
- Nie poznałbym. Nie jeżdżę taksówkami; nie stać mnie. Telefon komórkowy Grace'a nagle zabuczał i zawibrował. Przeprósiwszy, odwrócił się od specjalisty od owadów i odebrał.
- Komisarz Grace. Dzwonił Branson.
- Heja, stary człowieku - zagaił. - Jak leci?
- Jestem na zakupach - powiedział Grace. - Kupuję ci prezent na urodziny. Co się dzieje?
- Pamiętasz tego gościa, który zadzwonił do mnie podczas odprawy, wiesz, tego paranoika, który musiał ze mną rozmawiać z budki telefonicznej i mówił, że chyba był świadkiem zamordowania Janie Stretton?
- Mhm.
- Mówi, że widział ją na swoim komputerze po włożeniu płyty CD, którą znalazł w pociągu.
- Pozwoli nam rzucić okiem?
- Jestem teraz w drodze do niego do domu.

## ROZDZIAŁ 37

Zaglądać do czyjegoś komputera to jak zaglądać temu komuś w głąb duszy, uważał sierżant Jon Rye, a miał aż nadto okazji do poczynienia tej obserwacji. Już stracił rachubę, ile komputerów przebadał w ciągu minionych siedmiu lat - pewnie ponad kilkaset, zgadywał ostatnio. A dziś dostał kolejny, makintoshowskiego laptopa z piętnastocalowym ekranem, mniej więcej rocznego.

Nigdy jeszcze nie trafił na komputer, którego sekrety mogłyby się ukryć przed nim i jego zespołem. Wszelkiego rodzaju złoczyńcom - włamywaczom, oszustom, złodziejom samochodów, phisherom\*, pedofilom - wszystkim im się wydawało, że wystarczy, jeśli wyczyszcza sobie twardy dysk i już będą bezpieczni. Nie ma jednak czegoś takiego jak wyczyszczenie dysku. Oprogramowanie, którym dysponował Jon Rye, pozwalało odzyskać prawie co do bitu całą usuniętą z dysku informację i zdjąć każdy cyfrowy odcisk palca z każdego zakamarka systemu, choćby był on nie wiem jak dobrze ukryty.

\* phisher - osoba zajmująca się wykradaniem numerów kart kredytowych. Czasem phishing tłumaczy się: password harvesting fishing (łowienie hasel).

W tym momencie, siedząc przy swym biurku w dziale przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie, którym kierował, zabierał się do zaglądania w głąb duszy człowieka nazwiskiem



Tom Bryce. I nie miał wyboru, tylko musiał spędzić weekend przy pracy, ponieważ człowiekowi temu, który był potencjalnym świadkiem, a nie podejrzanym, komputer był potrzebny do pracy na poniedziałek rano.

Jon Rye przechwalał się, i to nie bez podstaw, że zaglądając do komputera dowolnego mężczyzny, już po godzinie wie o nim więcej niż jego własna żona. I niezmiennie komputery, które przywożono do jego folwarku, należały zwykle do mężczyzn, nie do kobiet.

Dział przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie zajmował sporo miejsca na parterze Sussex House i na pozór niczym się nie różnił od innych działów w tym budynku. Była to sala bez ścianek działowych gęsto zastawiona stanowiskami roboczymi; na blatach stały duże wieże serwerów, a na niektórych także rozczłonkowane komputery. Na zagraconej półce, pomiędzy rzędami przechylonych teczek stała torebka cukru Tate and Lyle.

Na ścianie nad jednym z biurków wisiał zegar z Bartem Simpsonem. Przy biurku siedział skupiony nad klawiaturą Joe Moody, duży mężczyzna z kucykiem, w podkoszulku i dżinsach, zapisując zdjęcia bandy wyjątkowo głupich młodych wandalów, którzy sfotografowali się w trakcie palenia skradzionego przez siebie samochodu.

Jedna część sali była odgradzona od reszty kratami - tam mieściła się operacja „Glasgow”, prowadzone od dwóch lat duże śledztwo dotyczące pornografii dziecięcej, które było o krok od rozbicia jednej z największych siatek w Europie. Kraty miały zapobiec przemieszaniu materiałów dowodowych z materiałami reszty działu. W klatce pracowało dziś czterech ludzi i Rye nie zazdrościł im. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech miesięcy musieli dzień w dzień w godzinach pracy patrzeć na odrażające zdjęcia przedstawiające akty płciowe z udziałem dzieci. Znaczna część pracy Jona Rye'a dotyczyła podejrzanych o pedofilię i nic nie zmniejszało gniewu, który odczuwał za każdym razem, kiedy widział któreś z tych zdjęć. Boże, jest

trochę psychopatów na tym świecie. Za wielu, cholera.

Żaluzje były opuszczone, zasłaniając ponury widok na areszt, jeszcze bardziej przygnębiający z powodu ulewnego deszczu. Ale przynajmniej tego dnia w biurze panowała znośna temperatura; latem było o wiele za gorąco i duszno, a te przekłete okna się nie otwierały.

Silny, żylasty trzydziestoosmiolatek o zadziornej, chłopięcej twarzy i przeredzonych włosach ostrzyżonych na jeża, Jon Rye, miał na sobie białą koszulę z krótkim rękawem, granatowe spodnie od garnituru i czarne buty - prosty, neutralny strój, prawie mundur, który zakładał do pracy na co dzień i nie robiło mu różnicy, że była akurat sobota. Ostatnio tylko wyjątkowo zdarzało mu się nie pracować w sobotę.

Jon zawsze interesował się techniką i różnymi gadżetami, a kiedy przed dekadą nastąpiła eksplozja zastosowania komputerów, dostrzegł nowe, ogromne możliwości, jakie to otwierało przed przestępcami, i zarazem zdawał sobie sprawę, że ówczesne wyposażenie policji było za słabe, aby móc się uporać z przestępczością komputerową. Uznał, że najbezpieczniejsza praca w policji to praca w dziale przestępczości komputerowej, a po odejściu na emeryturę, z jego dorobkiem w tej dziedzinie łatwo mu będzie o dobrze płatną pracę w cywilu.

Zrezygnował już z prób przekonania swojej żony Nadine, że nie ma zamiaru wykonywać tej zwariowanej pracy do końca życia; czy też może to ona już zrezygnowała z wysłuchiwania jego zapewnień. Popatrzył na członków zespołu, którzy również dziś pracowali, zastanawiając się, ilu z nich miało w domu awantury z tego powodu.

Nie nadążali z robotą. W tej chwili mieli dziewięćmiesięczne zaległości w skonfiskowanych komputerach, które czekały na przebadanie; jak zwykle wszystko rozbijało się o finanse. Podejrzewał, że kierownictwo wołało wydawać pieniądze na to, żeby policja była bardziej widoczna - wysyłając ich na ulicę, żeby łapali włamywaczy,

bandziorów, dilerów narkotyków, i żeby to ładnie wyglądało w statystykach - a dział przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie traktowało jako rzecz wprawdzie niezbędną, która jednak nie przysporzy policji hrabstwa Sussex wielu punktów.

W jego zespole było sporo prawdziwych komputerowych maniaków ściągniętych spoza policji - paru prosto ze studiów, inni z działów informatyki przy zakładach przemysłowych czy władzach samorządowych. Przy stanowisku roboczym tuż za sobą widział największego maniaka z nich wszystkich, Andy'ego Gidneya.

Dwudziestoosmioletni Gidney był cudakiem. Chudy, aż żał patrzeć, o cerze, która sprawiała wrażenie jakby nigdy nie widziała świeżego powietrza, z włosami, które z pewnością strzygł sobie sam, w ubraniu i okularach wyglądających jakby pochodziły z wyprzedzaży składu używanej odzieży z darów dla ubogich, z gruntu nietowarzystki, niemniej w pracy człowiek ten był niesamowitym bystrzakiem - najzdolniejszym członkiem jego zespołu. Mówił płynnie siedmioma językami, w tym po rosyjsku, i żadne hasło nie zmusiło go dotąd do kapitulacji.

Nie potrzebowali właściwie haseł, żeby wejść do komputera, ponieważ oprogramowanie, którego używali, wprowadzało ich tylnymi drzwiami, lecz sporo kłopotów sprawiały im niektóre spakowane pliki chronione hasłami. Andy trudził się przez większą część minionego tygodnia nad jakimś wyjątkowo opornym plikiem znalezionym w skonfiskowanym komputerze podejrzanego w wielkiej aferze phishingowej, w której sprawcy klonowali strony banków internetowych. Nie chciał się poddać i zgodzić na przesłanie urządzenia do specjalistycznego zakładu kryptoanalizy.

Jon nie przepadał za Gidneyem, ale cenił jego nieustępliwość i podziwiał umiejętności. Już dawno pogodził się z tym, że ludzie w tej jednostce różnili się od zbzikowanych na punkcie motoryzacji gliniarzy, z którymi pracował w drogówce, gdzie spędził prawie

dziesięć lat z dwudziestu przesłużonych do tej pory w policji. W drogówce człowiek widywał głównie ponure widoki, a czasami rozdzierające serce tragedie. Ale tu, w dziale przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie, widać było prawdziwą ciemną stronę ludzkiej natury.

Zaczął jak zawsze, od tego, że przeniósł komputer do zamkniętego na klucz magazynu dowodów, zastawionego drewnianymi regałami, na których stały zarekwirowane komputery - wszystkie były traktowane jako dowody z miejsca zbrodni, opakowane w worki z półprzezroczystej folii i ometkowane. To, co nie zmieściło się na półkach, tłoczyło się w kilku dużych plastikowych koszach, wypełnionych po brzegi opakowanym w folię sprzętem komputerowym.

Rye postawił laptopa Toma Bryce'a na blacie, odkręcił obudowę, wyjął twardy dysk i ostrożnie podłączył go do wysokiego, stalowego prostopadłościanu ze szklaną ścianą przednią. Zawierał on Fastblock, urządzenie blokujące zapis, które bajt po bajcie skopiowało cały dysk do celów kryminalistycznych.

Po zakończeniu kopiowania, ponownie zmontował komputer, zaniósł go z powrotem na swoje biurko, włączył i zabrał się do pracy. Z nawyku jako pierwsze polecenie wyszukiwania wprowadził hasło „Buffy”. Nic się nie pojawiło. Drugim był „Star Trek”. Znow nic się nie pojawiło. To nie żaden dowód, ale przydatna oznaka, wskazująca na to, że Tom Bryce nie jest pedofilem. W ostatnich latach zaobserwowali w dziale ciekawy fakt: ponad dziewięćdziesiąt procent pedofilów okazało się fanami serialu „Buffy, postrach wampirów” i startrekowcami. Jeśli człowiek znalazł w ich komputerze jedno i drugie, był to pierwszy sygnał alarmowy.

Jon pracował szybko i metodycznie. Przejrzał album fotograficzny, w którym znalazł wiele zdjęć atrakcyjnej kobiety o falistych blond włosach i dwojga dzieci, chłopca i dziewczynki, przedstawiające rozwój każdego z nich od chwili, gdy miało najwyżej parę dni, aż do chwili obecnej, kiedy dziewczynka miała jakieś cztery, a chłopiec

siedem lat. Normalne zdjęcia rodzinne. Nic alarmującego.

Potem przejrzał listę ulubionych stron komputerowych Bryce'a, ale nie dostrzegł tam nic godnego uwagi. Poszedł śladami tamtego wstecz, zaglądając na każdą stronę internetową, którą Bryce odwiedzał w ciągu ostatniego roku. Były tam dziesiątki stron pornograficznych, podobnie jak w każdym innym należącym do mężczyzny komputerze, ale poza paroma stronami lesbijskimi, nic nie sugerowało, żeby facet miał jakieś perwersyjne skłonności.

Wtem trafił na coś, co go zaintrygowało. Początkowo wziął to za ślady wirusa, ale potem zdał sobie sprawę, że jest to kod źródłowy jakiejś samoinstalującej się aplikacji szpiegującej. Jej układ poruszył w nim dzwonek alarmowy, choć w pierwszej chwili nie pojmował dlaczego. Prześledził ją uważnie, idąc za linkami. Zobaczył, że program wygenerował ostatnio pewną nazwę użytkownika i hasło; wprowadził je, ale okazało się, że zostały unieważnione, i stwierdził, że znalazł się w ślepych zaułku.

Odwrócił się. Siedzący za nim Andy Gidney, ze słuchawkami od iPod'a w uszach, pracował w głębokim skupieniu, a jego palce poruszały się po klawiaturze z szybkością i gracją pianisty wirtuoza. Sierżant wstał, podszedł do kolegi i poklepał go po ramieniu.

- Potrzebuję pomocy, Andy. Możesz zostawić na parę minut swoją robotę i spróbować znaleźć dla mnie hasło i nazwę użytkownika, żebym mógł się przedostać przez firewall?

Cudak, wyraźnie urażony, wstał bez słowa i usiadł przy biurku Rye'a. Jon poszedł po kawę, a kiedy pięć minut później wrócił, Andy siedział już z powrotem przy swoim biurku.

- Udało ci się? - spytał Rye.

- To hasło ośmiocyfrowe, na miłość boską - powiedział Gidney do Rye'a, jakby tamten był idiotą. - Mogłoby mi zająć wiele dni.

Kierownik działu przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie zasiadł znów za swoim biurkiem, zdjął plastikowe

wieczko z kubka z kawą i postawił go w bezpiecznej odległości od komputera. Prześledził wstecz ślady aplikacji szpiegującej i wtedy, nagle, dotarło do niego, dlaczego jej układ wydał mu się skądś znajomy.

Ależ doskonale go pamiętał!

Po chwili był już z powrotem w magazynie dowodów i ostrożnie zdejmował półprzezroczystą folię z napisem POLICYJNY WOREK ZABEZPIECZAJĄCY, która okrywała komputer stacjonarny wraz z wieżą serwera, przyniesione tu przed zaledwie paru tygodniami.

## ROZDZIAŁ 38

- Prędszej! Jezu, ależ jesteście spóźnieni! Jessica, wracaj do łóżka, w tej chwili! - wrzasnął Tom na córeczkę, która już po raz trzeci czy czwarty zbiegła w swym różowym szlafrocisku na dół.

Był u kresu wytrzymałości nerwowej.

Z góry darł się Max:

- Tatusiuuu!
- Max, cicho bądź! Idź spać!
- Niecee!

Tom, ubrany do wyjścia, w czarnej marynarce od Armaniego, białej koszuli, niebieskich sportowych spodniach i zamszowych mokasynach od Gucciego, chodził w kółko po salonie, popijając duże martini z wódką.

- Kellie, co ty jeszcze robisz? I gdzie, kurczę, jest ta opiekunka?
- Lada chwila będzie! - krzyknęła w odpowiedzi. Po czym krzyknęła jeszcze głośniej: - Jessica, wróć tu natychmiast!
- Tatusiu, ja nie lubię Mandy. Dlaczego nie będzie Holly?
- Jessica! W tej chwili wróć!
- Holly była już zajęta - tłumaczył Tom córeczce. - Mandy jest miła; co ci się w niej nie podoba?

Jessica, z dumą obnosząc wzorem brata dwie gumowe bransoletki, różową i żółtą, opadła na sofę, sięgnęła po pilota i zaczęła przesuwać kanały w telewizorze. Tom zabrał jej pilota i wyłączył telewizor.

- Na górę, panienko!  
- Mandy przez cały czas rozmawia przez telefon ze swoim chłopakiem.

- Ma własną komórkę; może robić, co chce - odparł Tom.

Jessica, świeżo wykąpana i zaróżowiona, odgarnęła włosy do tyłu gestem dorosłej kobiety i pochyliła głowę.

- Oni rozmawiają o seksie.

- Jessica, po pierwsze, niegrzecznie jest podsłuchiwać, gdy ktoś rozmawia przez telefon, a po drugie, kiedy ona się wami opiekuje, ty powinnaś leżeć w łóżku i spać, więc co to ma za znaczenie?

- A to! - odparła Jessica z urazą.

Kellie, potykając się, zeszła po schodach; wyglądała olśniewająco i rozsiewała wokół silną woń nowych perfum Gucciego, które jej niedawno kupił - uważał, że pachną na niej bardzo seksownie. Miała na sobie krótką, obcisłą, czarną sukienkę z niezwykle śmiałym dekoltem, która pięknie podkreślała jej wdzięki i srebrny naszyjnik w stylu rzymskim. Całość robiła wrażenie.

Idealnie na dzisiejszy wieczór, pomyślał.

Byli zaproszeni na kolację do nowego klienta, na którym Tomowi szczególnie zależało.

Kellie spojrzała na Toma.

- Już pijesz?

- Dla kurażu. - Uśmiechnął się.

Uniosła brwi z dezaprobatą.

- Myślałam, że poprowadzisz, żebyśmy zaoszczędzili na taksówkach.

Zwróciła się do Jessiki ostrym tonem:

- W tej chwili na górę i do łóżka. Albo nie będzie jutro telewizji, nie żartuję.

Jessica spojrzała z naburmuszoną miną na matkę, potem na ojca. Wyglądało na to, że jeszcze chce coś powiedzieć, po czym zmieniła zdanie i zaczęła irytująco powoli wychodzić z pokoju.

- Tam wypiję tylko jeden kieliszek wina i przejdę na wodę.



- No już dobrze - mruknęła. - Znowu, kurczę, ja będę musiała prowadzić.

- Chyba oboje musimy się dziś napić - stwierdził Tom. Podszedł do niej, ogarnął ją ramionami, przytulił i pocałował w czoło.

- Pięknie wyglądasz.

- Ty też ładnie wyglądasz. Zawsze mi się podobaś w białej koszuli.

Jessica wchodziła już po schodach. Tom musnął nosem ucho Kellie.

- Najchętniej zaciągnąłbym cię prosto do łóżka.

- Niestety, musisz poczekać - odparła. - Nie będę teraz tego wszystkiego zdejmować i potem wkładać na nowo.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Huknęła kłapa wejścia dla psa i Lady wpadła w podskokach do przedpokoju, głośno szczekając.

Tom pozostał w salonie i sączył swój koktajl; alkohol już poprawił mu nastrój i dodał pewności siebie.

Wtem do salonu weszła Mandy, a jemu prawie opadła szczęka. Córka koleżanki Kellie z zajęć fitnessu już parę razy w ciągu minionych trzech lat przychodziła opiekować się ich dziećmi. Skromna do niedawna panienka dzisiaj była - nie da się tego ująć inaczej - chodzącym seksem.

Mogła teraz mieć siedemnaście lat, może nawet osiemnaście, była niewysokim, blond klonem Britney Spears, o wspaniałej figurze. Nosila prawie przezroczystą brokatową bluzkę, zdecydowanie najkrótszą minispódniczkę, jaką Tom widział w życiu i błyszczące, skórzane kozaczki, sięgające do połowy uda. Miała staranny makijaż, brokatowy lakier na paznokciach, a w dłoni ścisnęła bardzo bajerancki telefon komórkowy. Słowem, była klasyczną laską wybierającą się raczej na podryw niż do opieki nad dziećmi.

Rodzice pozwalają jej wychodzić w takim stroju do opieki nad cudzymi dziećmi? A jeśli, pomyślał z przerażeniem, za kilka lat Jessica też będzie się robić na taką lalunię?

- Dobry wieczór, panie Bryce - przywitała się swobodnie.
  - Dobry wieczór, Mandy, co słychać?
  - A w porządku. Mam w tym miesiącu egzaminy, to zakuwam. Uśmiechnęła się.
  - To twój strój do zakuwania?
- Nie zrozumiała żartu i bardzo poważnie potwierdziła:
- No. Zgadza się. I dodała:
  - Zdałam prawko.
  - Pięknie! Brawo.
  - Za trzecim podejściem. Mama powiedziała, że mi czasem pożyczę samochód; ma nową toyotę.
  - To bardzo szlachetnie z jej strony - stwierdził, zaznaczając sobie w duchu jeszcze jeden powód, żeby nie czekać z utęsknieniem na dorastanie Maksa i Jessiki.
- Do pokoju weszła znów Kellie.
- Wrócimy koło pół do dwunastej, tak będzie dobrze, Mandy?
  - Jasne. Miłego wieczoru.

Tom podniósł pusty kieliszek, jeszcze raz spojrzawszy pożądliwie na dziewczynę i nagle zdał sobie sprawę, że jest trochę pijany. Musi być ostrożny. Philip Angelides miał wysoką pozycję na najnowszej liście bogaczy „Sunday Timesa”, z osobistym majątkiem szacowanym na ponad dwieście pięćdziesiąt milionów funtów netto. Był właścicielem imperium biznesowego, do którego należała firma produkująca leki generyczne, sieć przedstawicielstw samochodowych, kilka biur podróży, spółka deweloperska budująca domy w Hiszpanii i odnosząca wielkie sukcesy agencja zarządzająca karierami sportowymi - wszystko to były dziedziny, w których mogły znaleźć zastosowanie produkty BryceRight.

Tom poznał go, jak wielu innych potencjalnych klientów, w klubie golfowym. Z tego co słyszał, tamten miał okazały dom na wsi, jakieś pół godziny jazdy od Brighton. Zaproszenie na dzisiejszy

bankiet to była wielka szansa. Tylko że Tom w ogóle nie miał dziś nastroju do bankietowania.

Przez cały dzień był niespokojny, odkąd poszedł do budynku wydziału kryminalno-dochodzeniowego w dzielnicy Hollingsbury i opowiedział swoją historię temu wysokiemu, czarnoskóremu sierżantowi. Sierżant Branson przyjął, zdaje się, wszystko co od niego usłyszał bardzo poważnie, i zapewnił go, że będzie to potraktowane jako informacja absolutnie poufna. Niemniej Tom popadł w skrajne zdenerwowanie, kiedy Branson zapytał, czy mógłby wypożyczyć policji na weekend swojego laptopa, a oni spróbują w nim coś znaleźć. Jeszcze przed południem Tom powrócił do budynku z laptopem, pełen złych przeczuc, choć Kellie nadal twierdziła niewzruszenie, że robi słusznie.

Tego popołudnia grał w golfa jak kompletna dupa - była to jedna z najgorszych partii, jakie w życiu rozegrał. Po prostu myślał o czym innym. Bał się: kłębiła się w nim jakaś podstępna, nieprzenikniona ciemność. Nie był w stanie przestać myśleć o tym, co zrobił - wystawił na niebezpieczeństwo swoją żonę i dzieci.

A nuż, kto wie, popełnił najgorszy błąd w swoim życiu.

## ROZDZIAŁ 39

- Wódkę z tonikiem proszę - powiedziała Cleo Morey.

Kelner zwrócił się z kolei do Grace'a.

- Ja poproszę peroni. - I nagle zmienił zdanie, dochodząc do wniosku, że potrzebuje sobie wałnąć coś mocniejszego niż piwo, pomimo że jest samochodem. Później będzie się o to martwić. - Właściwie to nie, niech będzie duży glenfiddich z lodem.

Siedzieli przy jednym z dalszych stolików w Latin in the Lanes, włoskiej restauracji tuż przy bulwarze nadbrzeżnym w Brighton. Mógł wybrać jakąś nowszą, modniejszą restaurację, jak Hôtel Du Vin, jakąś bardziej szykowną, bardziej nowatorską, jak Blanche House; jedną z całego mnóstwa restauracji, w których nigdy nie był z Sandy.

Dlaczego więc wybrał właśnie tę, niegdyś ulubioną restauracją jego i Sandy?

Nie był pewien odpowiedzi na to pytanie. Może dlatego, że znał to miejsce, sądził, że będzie się tu swobodniej czuł, wiedział co i jak. A może był to dalszy ciąg układania jej ducha na spoczynek?

Rozpoznał wśród personelu kilka twarzy, które pamiętał sprzed lat, i wyglądało na to, że parę z nich pamięta i jego, choć pewnie nie z nazwiska, gdy witali się z nim nad wyraz przyjaźnie. Jak zwykle w sobotni wieczór odwiedziło lokal sporo ludzi, a o dziewiątej, kiedy Grace mógł tu wreszcie przyjść - później niż planował - wszystkie stoliki były już zajęte.

Odprawa o szóstej trzydzieści przeciągnęła się, a jeszcze potem musiał zostać, żeby dopilnować różnych spraw, choć tak naprawdę przez cały dzień zaszła tylko jedna nowa okoliczność.

Bella sprawdziła byłego chłopaka Janie Stretton, Justina Remingtona i okazało się, że właśnie tego ranka powrócił z podróży poślubnej do Tajlandii. Stemple wizowe w jego paszporcie oznaczały, że można go wykreślić z listy podejrzanych.

Poszukiwania detektywa Nicholla w barach, pubach i klubach Brighton i Hove z fotografią Janie Stretton w ręku dotąd nic nie dały. Tylko Jon Rye z działu przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie trafił, zdaje się, na pierwszy prawdziwy trop w tym śledztwie.

Badając komputer należący do świadka, który dziś rano złożył zeznanie przed Bransonem, sierżant Rye stwierdził, że świadek ten - jak się zdaje, przypadkiem - trafił na pewien skomplikowany routing internetowy, prowadzący do pewnego serwera w Albanii. Był to ten sam routing, z tym samym adresem IP i tymi samymi protokołami, które sierżant Rye znalazł niedawno w komputerze zarekwirowanym u jednego z podejrzanych w śledztwie w sprawie rozbudowanej siatki rozpowszechniającej pornografię dziecięcą. Właściciel owego komputera, Reginald D'Eath, znajdował się już na liście sprawców przestępstw seksualnych, z wyrokami za napastowanie seksualne z użyciem przemocy i za rozpowszechnianie pornografii dziecięcej.

D'Eath, który był obecnie świadkiem koronnym w przygotowanym procesie przeciw rosyjskiemu syndykatoowi pornografii dziecięcej działającemu z terenu Wielkiej Brytanii, ukrywał się w bezpiecznym mieszkaniu, zapewnionym mu przez Program Ochrony Świadców. Grace przez całą godzinę po odprawie z narastającą irytacją próbował przekonać przez telefon jakąś dyżurną służbistkę - najpierw grzecznie, a potem coraz bardziej wychodząc z siebie - żeby go połączyła, cholerna baba, z kimś, kto mógłby wydać zgodę na podanie mu adresu D'Eatha. Koniec końców musiał się zadowolić

niechętnie złożoną przez służbistkę obietnicą, że ktoś do niego zadzwoni przed dziesiątą rano.

Cleo, którą miał naprzeciw siebie po drugiej stronie stołu, wyglądała olśniewająco. Jej włosy połyskiwały w migotliwym blasku świec, a oczy miały kolor rozświetlonego słońcem lodu. Pachniała perfumami, które działały na jego zmysły. Ich woń dolatywała do niego, przebijając się przez dochodzące z kuchni smakowite zapachy gorącej oliwy, podsmażanego czosnku i przyrumienionych na patelni ryb.

Prawdę mówiąc, wszystko w niej go podniecało. Jej uroczy, zadarty nosek, różane usteczka, podbródek z dołeczkiem; stylowy, kremowy żakiet, luźny, jedwabisty podkoszulek z głębokim wycięciem, boa z ocelota zarzucone na jej szczupłą szyję, wielkie, ekstrawaganckie lecz gustowne, kolczyki. Zauważył, że na palcach ma pierścionki: złoty sygnet z herbem, bogato zdobiony staroświecki pierścionek z dużym rubinem, umieszczonym w oprawie z brylantów, i nowoczesny, srebrny z kwadratowym, bladoniebieskim kamieniem.

Była pod każdym względem klasyczną angielską pięknoscią. I miał z nią randkę! Czuł tremę. Wszyscy kelnerzy się na nią gapili. Ludzie przy innych stolikach też. Najpiękniejsza kobieta w tej restauracji i w promieniu tysiąca mil. Absolutnie, kurczę, olśniewająco piękna!

Był tylko jeden problem. Zupełnie nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Nic nie mógł wymyślić.

Ani słóweczka.

W głowie miał pustkę, jakby dostał się do niej jakiś haker i wykasał z niej wszystkie myśli. Uśmiechając się, próbował wymyślić coś, co by nie zabrzmiało kompletnie bez sensu, pochylił się i sięgając po paczkę paluszków pszennych, potracił pusty kieliszek do wina, który uderzył o talerzyk Cleo i roztrzaskał się.

Poczuł, jak twarz mu się czerwieni. Cleo z miejsca wyciągnęła rękę, by pomóc pozbierać większe odłamki, zanim jeszcze wkroczył kelner.

- Przepraszam - powiedział Grace.  
- To podobno przynosi szczęście, jeśli się stłucze kieliszek -  
Uśmiechnęła się.

- Myślałem, że to tylko na greckich weselach.  
- Na greckich talerze. Kieliszki na żydowskich.

Uwielbiał jej głos, lekko zmanierowany, bardzo wytworny i pewny siebie. Głos, który należał do świata innego niż ten, z którego on pochodził. Świata prywatnych szkół, pieniędzy, przywilejów. Wyższych sfer. Była z o wiele za dobrej dzielnicy, żeby pracować w prosektorium. A przecież Janie Stretton też pochodziła z dobrej rodziny. I pracowała dla jakiejś zaplutej agencji towarzyskiej.

Być może wytworne wychowanie dawało człowiekowi polor pozornej odrębności. Tak przez niego lubiany Scott Fitzgerald napisał, że bogaci są inni. Ale może wcale nie są aż tak inni.

- Bardzo mi się... ehm... podobają twoje pierścionki - wyjąkał nieprzekonująco. Tylko to wymyślił.

Spojrzała na niego szczerze ucieszona i po kolei podnosiła długie, eleganckie, zadbane palce, prezentując mu ekskluzywne świecidełka.

- Ty nic nie nosisz? - spytała. Po czym prawie natychmiast spłoneęła rumieńcem, uświadomiwszy sobie, że popełniła gafę. - Przepraszam, to było niezbyt delikatne.

Grace pokręcił głową.

- Nigdy nie nosiłem obrączki - powiedział. O mało nie dodał: „kiedy byłem żonaty”. Ale oczywiście wciąż był żonaty.

Teoretycznie.

Przyniesiono im drinki. Uniósł swoją szklankę i stuknął się z Cleo.

- Na zdrowie! - powiedział i nagle, w jakiś niewytłumaczalny sposób coś w jej uśmiechu dodało mu skrzydeł. - Nieźle wyglądasz, jak na coś, co wyszło z prosektorium.

- Wielkie dzięki! - Pociągnęła łyk i po dłuższej chwili stwierdziła:  
- Wiesz, ty też wyglądasz całkiem w porzo. Jak na gliniarza.

Grace się uśmiechnął, ale już po raz drugi tego dnia nabral nagle poważnych wątpliwości co do swojego ubioru. Po raz pierwszy wątpliwości go opadły w modnym sklepie odzieżowym Luigi's, do którego Glenn koniecznie musiał go zaciągnąć tego popołudnia. Zupełnie oszalał, ściągając ciuchy z półek jak zdesperowany łowca okazji w pierwszym dniu styczniowej wyprzedaży, to wpychając Grace'a do przebieralni, to znów go z niej wyciągając.

Teraz był ubrany w strój dobrany przez Bransona specjalnie na tę randkę: brązową zamszową kurtkę bez podszewki od Jaspera Conrana, najdroższy czarny podkoszulek, jaki w życiu kupił, beżowe spodnie od Dolce & Gabbany, obłąkańczo drogi pasek, brązowe mokasyny i nawet żółte skarpetki prosto ze sklepu - które, jak twierdził Branson, dodawały modnego sznytu.

Miał teraz całkowicie nową garderobę na prawie każdą okazję. Rachunek przekroczył dwa i pół tysiąca funtów. Nigdy przedtem nie wydał w sklepie odzieżowym więcej niż stówę.

A niech tam, pomyślał; w ciągu ostatnich paru lat w ogóle prawie nic nie kupował sobie do ubrania. Miejmy to wszystko z głowy za jednym zamachem. Jeśli coś mu nie będzie odpowiadać, zawsze może pójść wymienić.

- Jak na gliniarza? Mam to przyjąć za komplement? - spytał z niepewnym uśmiechem.

Roześmiała się, wpatrując w jego twarz.

- Jeśli chcesz...

Wzruszył ramionami z, miał nadzieję, beztroską nonszalancją.

- Ot, wrzuciłem na siebie to i owo. Ja...

- To teraz taka moda, że chodzi się z metką?

Chwycił się kurczowo lewą ręką za ramię; natychmiast poczuł pod palcami kartonik zamocowany na sznureczku. Podczas gdy Cleo przyglądała mu się z rozbawieniem, namacał, że sznurek uczepony jest pod kołnierzem kurtki. Przeklął się w duchu za to niedopatrznie.

- Absolutnie, taka moda; taki nowy trend, żeby kurtka... eee... wyglądała... eee... jak prosto ze sklepu.



Roześmiała się, a on, zanim zdołał pomyśleć, też zaczął się śmiać. Trema opuściła go i nagle poczuł, że ma tej dziewczynie strasznie dużo do powiedzenia. Lecz ona przejęła inicjatywę, zerwała metkę, zmiała ją w kulkę i wrzuciła do popielniczki.

Zakręciła swoją szklanką, wprowadzając zawartość w ruch wirowy.

- Chciałabym cię o coś zapytać, Roy - powiedziała - O twoją żonę. Czy można w ogóle z tobą o tym rozmawiać? Jeśli wściubiam nos w nie swoje sprawy, to mi powiedz.

Sięgnął z wahaniem do kieszeni po papierosy. Teoretycznie rzucił, ale były takie chwile, kiedy jednak musiał zapalić. Tak jak teraz.

Pojawił się kelner, niosąc menu, dwie duże karty złożone na pół. Grace odłożył swoją, nie rzuciwszy nawet okiem, i Cleo poszła jego śladem.

- Nie, nie wściubiasz nosa w nie swoje sprawy. - Uniósł na chwilę rękę, trochę bezradnie, nie wiedząc od czego zacząć. - Zawsze otwarcie rozmawiałem o tym, może nawet zbyt otwarcie. Chcę po prostu, żeby ludzie wiedzieli, no wiesz. Zawsze myślałem, że jeśli powiem o tym wystarczająco wielu osobom, może pewnego dnia ktoś coś sobie przypomni.

- Jak miała na imię?

- Sandy. - Podsunął Cleo paczkę, ale pokręciła głową. Wyjął papierosa.

- Czy to prawda co... co mówią? Po prostu zniknęła?

- W dniu moich trzydziestych urodzin. - Zamilkł na chwilę, czując jak ból ogarnia go na nowo.

Cleo poczekała cierpliwie, potem podpowiedziała:

- W dniu twoich trzydziestych urodzin...?

- Poszedłem do pracy. Wieczorem umówiliśmy się z przyjaciółmi na kolację, mieliśmy świętować. Kiedy wychodziłem z domu, Sandy była w świetnym humorze; planowaliśmy wakacje, chciała pojechać nad włoskie jeziora. Wróciłem wieczorem i jej już nie było.

- Wzięła swoje rzeczy-
- Nie było jej torebki i jej samochodu.

Zapalił papierosa zapalniczką Zippo, którą dostał od Sandy, i pociągnął łyk ze swojej szklanki. Chyba nie należało rozmawiać o Sandy na randce. Zarazem jednak czuł, że naprawdę chce być z Cleo szczerzy - powiedzieć jej wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami. Nie tylko o Sandy, ale o całym swoim życiu. Było w niej coś, co sprawiało, iż czuł, że może się przed nią otworzyć. Bardziej niż przed kimkolwiek innym, kogo w życiu spotkał, jak sięgał pamięcią.

Zaciągnął się głęboko papierosem i wypuścił dym. Tak mu to cholernie smakowało.

- Najdziwniejsze było to, że Sandy nakryła stół na kolację - ciągnął. - W kuchni wyjęła na wierzch składniki do przygotowania deseru. To nie wyglądało tak, jakby...

Cleo zmarszczyła brwi i spytała:

- A jej torebka i samochód? Czy się kiedykolwiek znalazły?

- Samochód znaleziono nazajutrz wieczorem na krótkoterminowym parkingu przy lotnisku Gatwick. Ale nigdy nie użyła żadnej ze swoich kart kredytowych. Ostatnie transakcje zanotowano rano w dniu jej zniknięcia, jedną w Boots na 7.50 i jedną na 16.42 na miejscowej stacji benzynowej Tesco.

- Nie wzięła nic innego? Żadnych ubrań, żadnych innych rzeczy osobistych?

- Nic.

- A co z zapisem z kamer przemysłowych?

- Wtedy jeszcze nie było ich tak wiele; jedyny materiał, który znaleźliśmy, pochodził z podjazdu stacji benzynowej Tesco. Była sama i wyglądała, jakby wszystko było w porządku. Kasjerem był taki staruszek; mówił, że ją pamięta, bo zawsze zauważa ładne kobiety, i trochę sobie pożartowali. Nie wyglądało na to, by działała pod jakimś przymusem.

- Nie sędzę, żeby kobieta tak po prostu odeszła, zostawiając za sobą całe swoje życie, rzucając wszystko. - Cleo westchnęła. - Chyba że... - Zawahała się.

- Chyba że...?
- Nie odrywając od niego wzroku, odparła:
- Chyba że ucieka od damskiego boksera.
- Potem uśmiechnęła się i dodała łagodnie:
- Nie wyglądasz na damskiego boksera.
- Jej rodzicom pewnie wciąż chodzi po głowie, że może zakopałem ją pod podłogą w piwnicy.
- Poważnie?
- Opróżnił swoją szklanekę.
- Przypuszczam, iż sobie wyobrażają, że wszystkie inne możliwości zostały wyczerpane.
- Oskarżyli cię?
- Nie, to przemili ludzie; tego by nie zrobili. Ale czytam to w ich twarzach. Zapraszają mnie od czasu do czasu na drinka albo niedzielny obiad, żeby utrzymać kontakt, ale tak naprawdę chcą usłyszeć coś nowego. A ja nigdy nie mam im wiele do powiedzenia i widzę, jak dziwnie na mnie patrzą, jakby sobie myśleli: „Jak długo on będzie jeszcze powtarzał te kłamstwa o Sandy?”
- To straszne - powiedziała Cleo.
- Grace popatrzył na pęk bransoletek połyskujących wokół nadgarstka Cleo i pomyślał: jakież ona ma świetny gust we wszystkim.
- Była ich jedynym dzieckiem; jej zniknięcie zrujnowało im życie. Ja to znam z innych sytuacji, z pracy. Ludzie potrzebują mieć coś, czego mogliby się uchwycić, na czym mogliby skoncentrować swoje emocje. - Znów zaciągnął się papierosem i strzepnął popiół do popielniczki, obok metki ze swojej marynarki. - No, dosyć już o mnie. Chcę się dowiedzieć czegoś o tobie. Opowiedz mi o tej drugiej Cleo Morey.
- Tej drugiej Cleo Morey?
- Tej, w którą się zmieniasz, kiedy odbijasz kartę zegarową, wychodząc z prosektorium.
- Jeszcze nie - odparła, drocząc się. - Jeszcze nie skończyłam z tobą, jeszcze do tego daleko.

Zobaczył, że też skończyła swojego drinka, więc przywołał kelnera i zamówił po jeszcze jednym dla każdego z nich. Potem zwrócił się do Cleo.

- Przepraszam, ale teraz kolej na moje pytanie do ciebie.

Zrobiła minę, którą pobudziła go do szerokiego uśmiechu.

- Chcę wiedzieć - mówił - dlaczego najpiękniejsza kobieta na świecie pracuje w prosektorium, wykonując najokropniejszą na świecie pracę.

- Zostałam pielęgniarką; zrobiłam dyplom na uniwersytecie w Southampton. Nie byłam zbyt dobrą pielęgniarką. Nie wiem, może nie miałam cierpliwości. Potem spędziłam parę tygodni, pracując w prosektorium tamtejszego szpitala i po prostu stwierdziłam... Nie wiem, jak to ująć... Po prostu poczułam, że... tam po raz pierwszy w życiu coś ode mnie zależy. Czytałeś może kiedyś pisma Czuang Tse-go?

- Jestem tylko tępym gliniarzem ze slumsów Brighton. Nigdy nie doszedłem do żadnych wyszukanych lektur. Kto zacz?

- Chiński filozof, taoista.

- Oczywiście. A ja, głupi, nie wiedziałem.

Pogrzebała palcami w lodzie na dnie swojej szklanki, po czym strzepnęła na niego kropelkę wody.

- Nie bądź wstrętny.

Wzdrygnął się, kiedy zimna kropelka trafiła go w czoło.

- Wcale nie jestem wstrętny.

- Jesteś!

- Więc co powiedział ten gość, Czuang Tse!

- Powiedział: „To, co dla gąsienicy jest końcem świata, dla mistrza jest motylem”.

- Więc ty zmieniasz trupy w motyle?

- Chciałabym.

Opuścili restaurację ostatni. Grace był tak pochłonięty Cleo - i tak pijany - iż nie zauważył, że ostatni klienci wyszli już dobre pół godziny temu, a personel cierpliwie czeka, żeby zamknąć lokal.

Cleo sięgnęła po rachunek, ale on porwał go z talerzyka z wyrazem niezłomnej determinacji.

- Dobra - powiedziała. - Następnym razem ja.

- Umowa stoi - przytaknął i rzucił na stół swoją kartę, mając nadzieję, że coś jeszcze na niej jest. Kilka minut później wyszli chwiejnym krokiem na porywisty wiatr. Przytrzymał przed nią drzwi taksówki, która na nich czekała, potem sam wsiadł, czując jak kołuje mu się w głowie.

Stracił rachubę, ile wypili. Dwie butelki wina, potem po sam-buce, potem jeszcze kilka razy po sambuce. A jeszcze wcześniej wypili po kilka drinków na dobry początek. Wysunął ramię nad fotelem i Cleo umościła się wygodnie w jego objęciach.

- Sufer wyło - wymamrotał. - Serio, wyło nafrawdę...

Wtem jej usta przycisnęły się do jego ust. Miała wargi tak miękkie, tak nieprawdopodobnie miękkie. Poczul, jak jej język pożądliwie ociera się o jego język. Wydawało się, że minęło zaledwie parę sekund, gdy taksówka podjechała pod dom Cleo, w modnej dzielnicy North Laines w centrum miasta. Przez opary alkoholu rozpoznał ten blok, adaptowany niedawno do celów mieszkalnych budynek starej fabryki. W swoim czasie dużo się o tym mówiło w mediach.

Wysiadł i poprosił, żeby taksówka zaczekała, aż odprowadzi ją do bramy; teraz, kiedy już tu byli, nie wiedział, jakiego ma się trzymać protokołu. Potem ich usta znowu się odnalazły. Objął Cleo, chwiejąc się lekko na nogach, i przesuwiał dłońmi po długich, miękkich włosach, wdychając jej perfumy, totalnie odurzony tym wieczorem, jej zapachem, miękkością i ciepłem jej ciała.

Zdawało się, że minęło zaledwie parę chwil, gdy nagle wyrwał go z samotnej drzemki na tylnym siedzeniu taksówki sygnał nadchodzącej wiadomości. Cholera, pomyślał. Praca.

Po krótkiej walce z klawiaturą udało mu się wyświetlić tekst. Wiadomość była od Cleo. Brzmiała po prostu: „X”.

## ROZDZIAŁ 40

Kellie milczała, a pomarańczowe światła latarni migwały na jej twarzy, gdy Tom prowadził audi szosą londyńską w stronę Brighton. Radio było przyciszone; słyszał tylko, że Louis Armstrong śpiewa „We Have All the Time in the World”, piosenkę, która zawsze działała na niego pobudzająco. A że był wykończony, nieco podgłośnił, walcząc z sobą, żeby nie zasnąć i nie poddać się działaniu alkoholu. Na samochodowym zegarze była pierwsza piętnaście.

Wieczór w domu Philipa Angelidesa poszedł dobrze, ale atmosfera była drętwa. Parę lat temu zapisali się z Kellie do National Trust\* i chętnie jeździli w niedzielne popołudnia zwiedzać różne pałace. Niektóre z tych rezydencji były mniejsze niż elżbietańskie gmaszysko, w którym byli tego wieczoru.

\* National Trust - Narodowy Fundusz Renowacji Zabytków.

Siedzieli w szesnaście osób wokół zabytkowego stołu, obsługiwani przez świtę usztywnionej czeladzi. Angelides zmuszał każdego z gości po kolei, by zgadywali proveniencję najpierw białego, potem czerwonego wina, poczynając od kraju pochodzenia, poprzez szereg winogron, typ wina, producenta aż po rocznik.

Caro Angelides, żona potentata, była chyba najbardziej nadętą osobą, koło której Tom miał nieszczęście w życiu siedzieć, a pani na prawo od niego, której nazwiska zapomniał, była niewiele lepsza.

Rozmawiały wyłącznie o koniach - przechodząc od wszechstronnego konkursu konia wierzchowego do konnych polowań i z powrotem. Nie przypominał sobie, żeby któraś z nich zadała mu przez cały wieczór choć jedno pytanie dotyczące jego osoby.

Tymczasem Kellie trafiła na pana po prawej, który przechwalał się przed nią swoim sprytem, i pana po lewej, śliskiego z wyglądu bankiera, który był coraz bardziej pijany i raz po raz kładł jej rękę na nodze, próbując przesunąć ją wzwyż.

Wszyscy inni goście byli najwyraźniej bardzo bogaci, z zupełnie innej społecznej stratosfery niż Tom i Kellie, z których żadne nie miało nigdy do czynienia z naprawdę dobrymi winami, a Toma szczególnie złościło, kiedy gospodarz lekceważąco odnosił się do typowań Kellie. No i w ogóle nie miał szansy porozmawiać z nim o interesach. Prawdę mówiąc, w drodze powrotnej zastanawiał się, po co ten Philip Angelides w ogóle ich zaprosił. Może po to, żeby się przed nimi popisać?

Jednak w jakimś sensie było to nawiązaniem bliższych kontaktów. Nie popełnił żadnej gafy; udało mu się podtrzymać rozmowę z tymi dwiema paniami po jego dwóch stronach, pomimo że nie miał zielonego pojęcia o koniach - poza tym, że obstawiał w dorocznej gonitwie Grand National. No i przynajmniej zgadł, że to czerwone wino było francuskie - aczkolwiek był to tylko szczęśliwy traf.

- Co za koszmarni ludzie - powiedziała nagle Kellie. - Już wolę naszych znajomych. Przynajmniej są autentyczni!

- Myślę, że uda mi się zrobić z nim jakiś dobry interes.

Milczała przez chwilę, po czym stwierdziła z niechęcią:

- Ale dom świetny. Marzenie.

- Chciałabyś mieszkać w czymś takim wielkim?

- No, czemu nie, gdybym miała tyle służby. - I po namyśle dodała: - Kiedyś na pewno będziemy mieli. Ja tam w ciebie wierzę.

Tom odszukał jej dłoń i uścisnął, a ona odwzajemniła ten uścisk. Nie puszczał jej ręki i trzymał drugą na kierownicy, prowadząc dalej

w milczeniu. Pograżył się w myślach. Zmierzał do domu, z powrotem do rzeczywistości.

Czuł, jak gdzieś w głębi duszy kładzie się mrocznym cieniem jego decyzja o udaniu się na policję. Oczywiście, postąpił słusznie; czy mógł zrobić inaczej? Czy mógł to wziąć na swoje sumienie? Podjęli tę decyzję wspólnie; tak się postępuje w małżeństwie. Działa się zespołowo.

Zbliżali się do skrzyżowania. Przejechał na lewy pas prawie pustej drogi, uwolnił rękę, jako że teraz potrzebne mu były obie, pokonał długi, ostry zakręt i skierował się pod górę do ronda na szczycie wzniesienia.

Niecałą minutę później, zjeżdżając w dolinę, skręcił w lewo w Goldstone Crescent, skąd wziął ostry zakręt w lewo, w ich ulicę. Podjechał nią stromo pod górę, zatrzymał pod zadaszeniem, wyłączył silnik i wysiadł. Kellie wciąż siedziała w fotelu i nie odpinała pasa. Tom, z kluczykami w ręku, z palcem na przycisku pilota zamku centralnego, czekał, aż ona wysiądzie. Ale ona siedziała bez ruchu. Rzucił okiem na samochody zaparkowane po obu stronach ulicy, wszystkie dobrze widoczne w świetle latarni. Przystudiował wzrokiem każdy cień. Wypatrywał. Czego? Jakiegoś raptownego ruchu? Jakiejś postaci w zaparkowanym samochodzie?

Popadasz w paranoję, strofował siebie. Otworzył drzwi od strony Kellie.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - powiedział.

Ona wciąż siedziała bez ruchu.

Spojrzał na jej twarz, z myślą że może zasnęła, ale oczy miała otwarte; patrzyła prosto przed siebie.

- Halo? Kochanie!

Spojrzała na niego jakoś dziwnie.

- Tak, wiem, jesteśmy w domu. - Pokiwała głową.

Spochnurniał. Zdaje się, że znów wpadła w ten swój „stan Kellie”. Przydarzało jej się to coraz częściej. Nie bardzo rozumiał, na czym właściwie ten stan polega, ale co jakiś czas na parę sekund, czasem dłużej, Kellie zdawała się znikać w jakimś własnym świecie.



Ostatnim razem kiedy próbował o tym z nią porozmawiać, odburknęła, że czasami potrzebuje dla siebie trochę przestrzeni, trochę czasu, żeby trochę pomyśleć. Tyle że czasami, bez dwóch zdań, wybierała sobie w tym celu cholernie dziwne pory i miejsca w przestrzeni.

W końcu odpięła pas i wysiadła z samochodu. Zamknął audi i podszedł do drzwi frontowych, włożył klucz do zamka, otworzył je i grzecznie przepuścił Kellie przodem.

Telewizor ryczał. Chryste, pomyślał, dzieci śpią; czy ta Mandy nie ma za grosz rozumu? Rozejrzał się, zaskoczony, że Lady nie zaszczekała ani nie przybiegła w podskokach na ich przywitanie.

Kellie wsunęła głowę przez drzwi do salonu.

- Cześć, Mandy, jesteście! Jak ci minął wieczór? Przycisz troszeczkę, dobrze, kochanie?

Odpowiedź opiekunki utonąła w hałasie z telewizora.

Tom wszedł do salonu. Ponieważ miał prowadzić, wypił bardzo mało, i teraz miał chęć na kieliszek czegoś mocniejszego przed snem. Tylko że rozsądek nakazywał poczekać, aż odwiezie Mandy do domu. Mieszkała o ładnych parę kilometrów stąd; głupio by było ryzykować.

Na ekranie jakaś nastolatka stała w strugach deszczu pośrodku alejki i wrzeszczała, a prosto na nią kroczyła jakaś ciemna postać. Mandy nawet nie drgnęła, rozwalona na kanapie, na dywanie przed nią leżał otwarty kolorowy magazyn dla nastolatek, a obok wałało się kilka papierków po batonikach, pusty karton po pizzy i puszka coli. Pochłonięta akcją filmu, nie odrywając oczu od telewizora, sięgnęła lewą ręką do podłogi po pilota, ale rozminęła się z celem o kilkanaście centymetrów.

Dziewczyna w telewizorze wrzasnęła właśnie jeszcze głośniejsze, kiedy Tom przyklęknął, złapał pilota z podłogi i wyłączył dźwięk.

- Wszystko w porządku, Mandy?

Nastolatka spojrzała na niego nieco zaskoczona nagłą ciszą, ziewnęła i uśmiechnęła się.

- Tak, panie Bryce, wszystko gra. Z dziećmi nie było żadnego kłopotu, nie? Kochane dzieciaczki, jedno i drugie. Tylko się trochę martwię o Lady.

- A co z nią? - spytała Kellie.

Mandy usiadła do pionu i zaczęła zakładać buty.

- Jakaś nieswoja jest. Normalnie przychodzi i siada przy mnie, ale dzisiaj cały wieczór leży w swoim koszu.

Tom i Kellie, zaniepokojeni, weszli do kuchni. Lady, zwinięta w kłębek w koszu, nawet nie uniosła powieki. Kellie przykucnęła i pogłaskała ją po głowie.

- Lady, kochanie, nic ci nie jest? Mandy weszła za nimi do kuchni.

- Jakiś czas temu wypila sporo wody.

- Pewnie zlapała jakąś infekcję - stwierdził Tom, zerkając na połowę skrzepniętej pizzy leżącą na blacie kuchennym obok noża i widelca oraz kubka roztopionych lodów Tesco, karmelowych z chrupkami. Przyklęknął i także pogłaskał sunie. Pochylając nad nią głowę, zapytał, czując się nagle bardzo śpiący: - Jesteś chora, Lady? Rzygu-rzygu?

Kellie wstała.

- Zobaczymy, czy do rana poczuje się lepiej. Jeśli nie, trzeba będzie wezwać weterynarza.

Przed oczami Toma stanęła ponura wizja wielkiego rachunku, ale na to nie było rady. Kochał tego psa; Lady była członkiem rodziny, była częścią jego życia.

- Dobry pomysł - uznał.

Kellie rozliczyła się z opiekunką, po czym zadeklarowała, że sama odwiezie Mandy do domu.

- Nie trzeba, ja się tym zajmę - zaproponował. - Skoro już zrezygnowałem z tych wszystkich wspaniałych win, to czemu nie miałbym jej odwieźć?

- Ja też dużo nie wypila - stwierdziła Kellie. - Czuję się świetnie. Ty już dosyć się dziś nasiedziałeś za kółkiem. Zrób sobie drinka i zrelaksuj się.

Nie trzeba go było długo namawiać.

Nalał sobie na dwa palce armagnaca, opadł na kanapę i pstryknął pilotem, przełączył z horroru, który oglądała Mandy, na stary, dobry serial komediowy „Owsianka”. Popatrzył sobie przez chwilę na Ronniego Barkera w więzieniu, po czym znów przełączył, tym razem na mecz futbolu amerykańskiego. Usłyszał zamykanie drzwi frontowych i odgłos zapalnego silnika audi, jednocześnie czując przyjemne ciepło, gdy pierwszy łyk alkoholu spływał mu w głąb przetyku.

Popatrzył na trzymany w ręku kieliszek z ciemnym płynem, kołyszając nim w zamyśleniu. Zastanawiał się, czym się różni Philip Angelides od niego. Jakie cechy doprowadziły Angelidesa do takiego sukcesu finansowego, a jego do takiej porażki? Szczęście? Geny? Bezwzględność?

Przed domem Kellie wyjechała tyłem na ulicę, po czym ruszyła drogą w dół, gawędząc z Mandy. Nawet gdyby uważniej spoglądała w lusterko, nie zauważyłaby samochodu, który ruszył jej śladem.

Trzymał się w odległości ponad stu metrów za nią i miał wyłączone światła.

## ROZDZIAŁ 41

Roy Grace, chwiejąc się na siedzeniu rozkołysanej taksówki, wpatrywał się w wyświetlacz telefonu komórkowego. W tę jedną jedyną literę: X.

Miał poważne problemy z koncentracją i pomimo że był pijany, a może właśnie dlatego, targaly nim silne emocje. Migaly światła mijanych latarni i reflektorów samochodowych. W trzeszczącym radiu taksówki jakiś słuchacz, który dodzwonił się do studia nocnego programu, psioczył na Tony'ego Blaira i publiczną służbę zdrowia. Grace spojrzal na zegarek. Dziesięć po pierwszej.

Jak minął wieczór?

Wciąż jeszcze czuł smak Cleo na wargach. Czuł zapach jej perfum w taksówce, na swoim ubraniu. Boże, jaka ona jest śliczna. Wciąż jeszcze czuł wzwód. A gdyby go zaprosiła do środka, to czy...?

Znał odpowiedź.

Ale nie zaprosiła.

Zrobił głęboki wdech, lecz tym razem poczuł tylko plastikowy zaduch wnętrza taksówki.

- Cztery godziny oczekiwania, cholera, mama chora na raka, a oni cztery godziny kazali jej czekać z rozbitą głową, zanim ktokolwiek przyszedł ją zobaczyć! - opowiadał rozgoryczony słuchacz.

- Świństwo, nie? - odezwał się taksówkarz.

- Zdecydowanie - odpowiedział Grace z roztargnieniem, skupiając się na klawiaturze telefonu.

- Ładna ta pani, z którą pan był. Coś mi się widziała znajoma. Takie miałem wrażenie, że już gdzieś na nią trafiłem.

- Większość ludzi trafia na nią dopiero po śmierci.

- Naprawdę? - Kierowca był wyraźnie speszony. - Anioł, znaczy się?

- Właśnie - potwierdził z roztargnieniem Grace, wciąż koncentrując się na telefonie.

Wystukał XX. I wysłał to.

Kiedy parę minut później dotarł do domu, był zawiedziony, że nie dostał odpowiedzi.

Tom zerwał się ze snu otępiały i zdezorientowany. W uszach rozbrzmiewał mu jakiś ryk i w pierwszej chwili nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Na ekranie stojącego przed nim telewizora ścigały się motocykle, uświadomił sobie, kiedy zaczęło mu się trochę rozjaśniać w głowie - stąd ten dźwięk.

Rozglądając się wokół w poszukiwaniu pilota, zobaczył na dywanie u swych stóp pustą koniakówkę i nagle dotarło to do niego z całą mocą. Zasnął! O cholera, która godzina?

Zegar na odtwarzaczu DVD pokazywał 4.10. To niemożliwe. Spojrzał na zegarek. 4.02.

Kilka motocykli zbitych w zwartą grupę pędziło z wyciem po odcinku prostoliniowym toru, w którym rozpoznał Silverstone. Był tam parę lat temu na dniu otwartym, a także kilka razy na Grand Prix Wielkiej Brytanii. Teraz hamowali, przechylając się w stronę zakrętu Copse. Znalazł pilota, wyłączył telewizor i powoli wstał, potwornie zeszywniały.

Dlaczego, zastanawiał się, Kellie nie obudziła go, kiedy przyszła? Z pustym kieliszkiem w ręku wszedł chwiejnym krokiem do przedpokoju, wciąż otępiały, z uczuciem, że ma całe ciało z ołowiu. Postawił kieliszek w kuchni i jakoś znalazł w sobie siłę, żeby się dźwignąć po schodach. Przeszedł na palcach korytarzem na piętrze, nie chcąc nikogo obudzić - choć motocykle pewnie i tak już to zrobiły - i otworzył drzwi do sypialni. Z miejsca poczuł, że coś jest nie tak.

Zasłony były szeroko rozsunięte i do pokoju wpadało wystarczająco dużo szarego światła świtu, by Tom mógł zobaczyć, że ich łóżko jest puste.

Nie było Kellie.

I nagle całkowicie oprzytomniał.

Czasami, bardzo rzadko, zdarzało się, że jeśli któremuś z dzieci przyśniło się coś złego, zostawała z nim na parę godzin w jego łóżku. Myśląc, że może teraz też tak zrobiła, zajrzał po kolei do ich pokoi. Ale nie było jej tam.

Przeklinając własną głupotę, zbiegł na dół, otworzył drzwi frontowe i wyrzwał na zewnątrz. Wiata była pusta.

Żeby się absolutnie upewnić, wyszedł na chodnik przed dom i popatrzył w jedną i drugą stronę, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu zaparkowała audi na ulicy i zasnęła w nim. Ale nie było ani śladu jego samochodu.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek, próbując obliczyć, jak długo spał. O której pojechała odwiedzić opiekunkę? Było chyba koło pół do drugiej. Dwie i pół godziny temu. Dwie i pół godziny na sześć kilometrów jazdy i z powrotem?

Strach przeszedł po nim lodowatym, spiralnym dreszczem. Czyżby miała wypadek? Gdyby tak było, czyby już do tej pory nie skontaktował się z nim ktoś z policji?

A może gdzieś tam w ciemności wpadła w dłuższy „stan Kellie”? Chybaby wiedziała, że on się niepokoi?

W tym sęk, że zdarzało jej się zrobić coś zupełnie irracjonalnego, nie oglądając się na konsekwencje. Nigdy właściwie nie stało się tak, żeby naraziła dzieci na jakieś niebezpieczeństwo, ale często po prostu wyłączało jej się myślenie. Jak wtedy, kiedy w ramach swych wiecznych „okazyjnych” zakupów na eBayu, wykupiła tydzień w ośrodku odnowy biologicznej Champneys w tym samym terminie, kiedy on miał jechać na targi do Niemiec. Zapomniała wziąć pod uwagę, co w tym czasie stanie się z dziećmi.

Zdarzyło się również, że po prostu zniknęła, raz na cały dzień, kiedy indziej - na dobę. Był w rozpacz, wydzwaniał po wszystkich

szpitalach południowej Anglii, sprawdzając, czy nie miała jakiegoś wypadku, i zastanawiał się, czy wchodzi w grę romans. Potem nagle się zjawiała, najwyraźniej nie przejmując się, że musiał wziąć sobie dzień wolnego, żeby zająć się dziećmi, i mówiła mu, że po prostu nagle poczuła, że potrzebuje trochę przestrzeni.

Cofnął się myślą do chwili, gdy w samochodzie wpadła w ten swój tryb niemy. Czyżby to właśnie teraz robiła, korzystając z przestrzeni? Byłoby miło, gdyby zechciała go powiadomić.

Podniósł słuchawkę telefonu bezprzewodowego w sypialni i wybrał numer jej komórki. Po paru sekundach usłyszał, jak z dołu dochodzi irytujący dźwięk jej dzwonka z fragmentem nagrania Crazy Frog i rozłączył się. Zostawiła telefon.

Fantastycznie.

Usiadł na łóżku, rozmyślając. Boże, tak bardzo ją kochał, pomimo jej dziwactw. Różnili się w tym i owym, a przecież pod tyłoma względami było im tak dobrze razem. Z zachwytem przyglądał się jej tego wieczoru przy kolacji. Owszem, była w tym gnieździe żmij kimś z innej ligi towarzyskiej - podobnie jak on - ale stanęła na wysokości zadania; trzymała głowę wysoko; wyglądała pięknie; mówiła o nim miłe rzeczy, podnosząc i jego, i jego firmę w oczach ludzi, na których opinii mu zależało.

Potem pomyślał o zazdrości, jaką wyczuł w jej głosie, kiedy w drodze powrotnej zapytał, czy chciałyby mieszkać w takim wielkim domu jak Angelides.

*No, czemu nie, gdybym miała tyle służby. Kiedyś na pewno będziemy taki mieli. Ja tam w ciebie wierzę.*

Nie miał do tej pory odwagi powiadomić jej, że być może wkrótce będą musieli sprzedać ten dom i przeprowadzić się do czegoś mniejszego. Nie wiedział, jak jej to powiedzieć, nie chciał zobaczyć, jak ją to zaboli. A nade wszystko nie chciał wyjść przed nią na nieudacznika.

Jezu, kochanie, gdzie ty jesteś?

Wstał i zaczął krążyć po pokoju, czując śliski strach we wnętrznościach. Czy miała wypadek? Czy tylko popadła w jeden z tych



swoich stanów? Było dwadzieścia po czwartej. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do rodziców Mandy Morrison z pytaniem, czy Kellie odwiozła ją bezpiecznie do domu. Ale gdyby dziewczyna do tej pory nie wróciła, jej rodzice już zaniepokojeni dzwoniłoby do niego.

Wciąż całkowicie ubrany oparł się o poduszkę, a w głowie mu się kotłowało, podczas gdy nasłuchiwał odgłosu jadącego ulicą samochodu. Słyszał było jednak tylko pierwsze ćwierkania porannych ptaków. Po paru minutach, nie zważając na porę, zadzwonił na domowy numer Mandy Morrison; telefon odebrał jej bardzo zaspany ojciec, który zapewnił go, że Mandy została bezpiecznie dowieziona jakieś piętnaście po pierwszej.

Podziękował, po czym zadzwonił do biura numerów i poprosił o numer do szpitala hrabstwa Sussex. Parę minut później połączono go z jakąś kobietą o zmęczonym głosie z ostrego dyżuru. Zapewniła go, że w ciągu ostatnich kilku godzin nie przyjmowali pacjentki o nazwisku Kellie Bryce.

Następnie uzyskał numer na centralę do policji hrabstwa, znów z biura numerów, i zadzwonił tam. Ale po przełączeniu do drogówki, gdzie musiał odczekać kilka minut, powiedziano mu, że nie było zgłoszeń o wypadku drogowym z udziałem jego żony.

Nie wiedział, co robić dalej.

## ROZDZIAŁ 43

Dla stażystki Wendy Salter to był dopiero drugi nocny dyżur na ulicach miasta. Trzy tygodnie temu skończyła szkołę policyjną w Ashford w hrabstwie Kent i miała jeszcze do odslużenia prawie dwa lata, zanim stanie się pełnoprawną policjantką jak jej kolega. Posterunkowy Phil Taylor, któremu brakowało kilku tygodni do trzydziestu siedmiu lat, siedział za kierownicą oznakowanej policyjnej vec-try, prowadząc ostro, z włączoną sygnalizacją świetlną, tylko bez syreny, bo na tej pustej drodze nie zachodziła taka potrzeba.

Byli o jakiś kilometr od siedziby wydziału kryminalno-dochodzeniowego, Sussex House, i w półtorej minuty przejechali już prawie całą szerokość aglomeracji Brighton i Hove od chwili, gdy przyjęli z dyspozytury kolejne wezwanie do interwencji. Dopiero co zażegnali pijacką awanturę o rachunek w klubie nocnym Escape przy bulwarze nadmorskim w Brighton, która przerodziła się w bójkę.

Taka szybka jazda po mieście sprawiała Wendy ogromną frajdę - nie nie mogła na to poradzić - czuła się jak w najwspanialszej kolejce górskiej świata. Wielu innych policjantów czuło to samo. Wyraz twarzy Taylora wskazywał, że i on do nich należał.

Było piętnaście po czwartej i spojrzawszy w górę przez przednią szybę, Wendy zauważyła kilka smużek szarego światła świtu, które pojawiły się na sklepieniu jeszcze nocnego nieba. Przerażony królik

przebiegł po jezdni w blasku reflektorów samochodu i zniknął pod maską. Czekala na odgłos uderzenia i odczuła ulgę, nie usłyszawszy go.

- To ci dopiero króliczek kamikadze. - Taylor zachichotał.

- Zdaje się, że go nie trafiłeś.

- Czytałem gdzieś, że jakiś gość wydał książkę kucharską z przepisami na przejechane zwierzęta. W Ameryce.

- To mogło być tylko w Ameryce - stwierdziła z niesmakiem Wendy. Tak naprawdę to nigdy tam nie była, ale na obraz tego kraju w jej oczach silnie rzutowały wszystkie kalifornijskie świry, których widziała w telewizji albo czytała o nich w gazetach, z domieszką informacji zawartych w filmach dokumentalnych Michaela Moore'a.

Jechali, mając po prawej las, a po lewej rozległą połąc ziemi opadającą w kierunku światła Brighton i Hove. Wtem, kiedy brali ostry zakręt w lewo, zobaczyli przed sobą lunę.

Przez chwilę Wendy pomyślała, że to właśnie zaczyna wschodzić słońce, jednak odrzuciła tę myśl, gdy tylko uświadomiła sobie, że jadą prawie prosto na zachód. W miarę jak się zbliżali, luna świeciła coraz jaśniej, a potem nagle poczuli jej zapach.

Ohydny, gryzący odór płonącego lakieru, gumy i winylu.

Taylor zahamował i podjechał w pobliże płonącego samochodu, który stał na asfaltowym parkingu przy punkcie widokowym, skąd za dnia można było podziwiać przepiękną panoramę okolicy. Lecz kiedy stażystka Wendy Salter odpięła pas i wysiadła z samochodu, służbiście naciągając czapkę na głowę, zobaczyła tylko gęsty, duszący dym, gdyż silny wiatr zwiewał wszystko na nich, aż jej oczy zaszczyły łzami. Odwróciła się na chwilę i zakaszła, po czym podbiegła wraz z kolegą jak najbliżej do pojazdu, aż zatrzymał ich żar.

Z oddali słyszała wycie syreny. To pewnie straż pożarna, pomyślała, czując teraz sto razy mocniej niż przedtem smród płonącego lakieru i gumy przy ogłuszającym trzeszczeniu i wyciu szalejącej pożogi.

Jako że większość szyb w oknach była już wypalona, widać było wewnątrz samochodu, i Wendy stwierdziła z ulgą, że w środku nikogo nie ma. Był to sedan, a gdy obeszła go dookoła, rozpoznała kształt atrapy.

- Audi - zawołała do posterunkowego Taylora.
- Najnowszy model, widać po atrapie - uzupełnił.
- Wiem. Nowy A4. Podniósł na nią wzrok.
- To ty trochę samochodziara jesteś, co? - rzucił z powściągliwym uznaniem.
- Nie taka, jak ci, którzy to zrobili - odparła.
- Smarkateria - wycedził, jakby to było przekleństwo. - Małe sukinsyny. Puszczają komuś z dymem nowy wóz.
- Oblatywacz-amator?
- Na pewno - potwierdził. - No bo kto?

## ROZDZIAŁ 44

Roy Grace obudził się w niedzielę o pół do siódmej rano na dźwięk pikania budzika, czując suchość w ustach i przeszywający ból w głowie. Dwie kapsułki paracetamolu, które połknął popijając dwoma dużymi kubkami wody około piątej rano, odniosły mniej więcej taki sam skutek, jak dwie inne, które zażył kilka godzin wcześniej. Czyli niewielki.

Gdy wcisnął przycisk drzemki, przekładając budzenie o parę minut, rozległ się zamiast tego świergot jakiegoś ptaka, bezustanny, jak zacięta płyta. Snop światła wpadał przez szeroką szczelinę w zasłonach, które, jak się okazało, niedokładnie zaciągnął.

Jak bardzo się wczoraj upiłem?

Starając się zebrać myśli w spowolnionym mózgu, z uczuciem, jakby ktoś przez całą noc na chybił trafił pociągał za połączone z nim nitki, sięgnął po telefon. Nie było jednak żadnego nowego esemesa od Cleo.

Nie bardzo mógł liczyć na to, że będzie, jako że było dopiero pół do siódmej rano, a ona pewnie mocno spała, jednak logika nie dominowała w jego myśleniu w tej akurat chwili, z tym łomotem w głowie i cholernym świergoczącym ptakiem. Nie ma dziś szans na niedzielne polegiwanie, chłopie.

Zamknął oczy i powrócił myślami do wczorajszego wieczoru. Boże, Cleo jest cudowna pod każdym względem, naprawdę ciepła, zachwycająca osoba. Po prostu niezwykła, i do tego tak się świetnie

dogadywali! Potem wrócił myślami do ich pocałunku w taksówce, tego długiego, długiego, niesamowitego pocałunku. I spróbował sobie przypomnieć, kto kogo zaczął całować. Chyba Cleo zaczęła. Przypominał sobie jak przez mgłę. To ona zrobiła pierwszy ruch.

Ścisnęła go za serce tęsknota za rozmową z nią, za jej widokiem. Nagle pomyślał, że może zdoła poczuć zapach jej perfum. Choćby najlżejszy ślad na własnej ręce; podniósł ją do nosa i: tak! Najmocniej wyczuwało się go w nadgarstku; pewnie został tam, kiedy obejmował ją w taksówce. Długo wdychał tę ciężką, piżmową woń, czując w sercu przyływ czegoś, co jeszcze kilka dni temu wydawało mu się martwe od dawna.

Nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia. Sandy. Ale zignorował je, nie dopuścił do świadomości, zdecydowany nie poddawać się im, nie pozwolić, by zepsuły mu tę chwilę.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek, żeby upewnić się, która jest godzina, niechętnie powracając myślami do pracy. Do odprawy o ósmej trzydzieści. Potem przypomniał sobie, że musi odebrać samochód.

Gdyby teraz wstał, wyliczył szybko, starczyłoby akurat mu czasu, żeby się przebiec na parking, na którym zostawił wczoraj alfę - świeże powietrze mogłoby mu pomóc na ból głowy. Tyle, że jego ciało mówiło mu, że nie potrzebuje biegania, tylko jeszcze ośmiu godzin snu. Zacisnął powieki, próbując zdławić ból, który jak nóż do krojenia sera przerzynał mu czaszkę na pół, i nie słyszeć tego pieprzonego ptaszka, którego z przyjemnością by ustrzelił, gdyby miał broń - po czym na kilka rozkosznych chwil dał się ponieść myślom o Cleo Morey.

Minęło chyba zaledwie parę sekund, gdy znów odezwał się budzik. Roy wygramolił się z łóżka, rozsunał do końca zasłony i cichym krokiem przeszedł nagi do łazienki, żeby umyć zęby. Twarz, która popatrzyła na niego z lustra nad umywalką, nie wyglądała zachęcająco.

Roy Grace nigdy nie był człowiekiem próżnym, ale do niedawna uważał, że jest jeszcze młody, czy młodawy; przystojny może nie jest,

ale wygląda w porządku, jego największym atutem są niebieskie oczy - oczy Paula Newmana, jak o nich mówiła Sandy - a największym felerem - nos: mały, ale złamany. Tego jednak ranka twarz, w którą się wpatrywał, coraz bardziej zdawała się należeć do jakiegoś o wiele starszego faceta - kogoś zupełnie obcego, o pomarszczonym czole, sflaczałych mięśniach żuchwy i wielkich jak muszle ostryg workach pod oczami.

To nie piwo ani pety, ani odżywianie się w fast-foodach, ani zwariowane godziny pracy w końcu cię dopadają, tylko grawitacja, stwierdził stanowczo. To przez grawitację jesteś każdego dnia odrobinę niższy. Przez nią obluzuje ci się skóra, dlatego że ona ją nieustannie ciągnie w dół. Przez pół swego świadomego życia walczysz z grawitacją, ale ona cię zawsze dopada. To grawitacja zatrasnie nad tobą wieko trumny. A jeśli rozsypią twoje prochy na wietrze, grawitacja w końcu ściągnie je z powrotem na ziemię, co do najmniejszej drobin.

Czasami niepokoili go własne myśli, które ostatnio stawały się coraz bardziej dziwne. Może jego siostra miała rację; może za wiele czasu spędza sam? Ale po tylu latach przyzwyczał się do samotności. To właśnie ona była dla niego stanem normalnym.

Nie takie życie planował, nawet mu przez myśl nie przeszło, że takie właśnie stanie się jego udziałem, kiedy siedemnaście lat temu, pewnego ciepłego wrześniowego dnia, oświadczył się Sandy na końcu mola Palace Pier, dodając, że przyprowadził ją tam, gdyż w razie jej odmowy ma zamiar rzucić się do morza. Uśmiechnęła się tym swoim przepięknym, ciepłym uśmiechem, odrzuciła z oczu jasne włosy i powiedziała - z typowym dla siebie czarnym humorem - że według niej byłoby znacznie pewniejszą próbą ich miłości, gdyby zaprowadził ją na skraj klifowego urwiska Beachy Head.

Wychylił szklankę wody z kranu, krzywiąc się od zapachu fluoru, który tego ranka wydawał się silniejszy niż zwykle. Pij więcej zwyklej

wody, powtarzał mu stale Ian, trener z policyjnej siłowni. Starał się, ale nie smakowała mu tak jak kawa latte z baru Starbucks. Czy prawie wszystko inne. Aż do tej pory nie przejmował się swoim wyglądem.

Aż do Cleo.

Lata, które upłynęły od zniknięcia Sandy, odcisnęły na nim silne piętno. Praca w policji była ciężka, ale większość gliniarzy miała przynajmniej w domu kogoś, z kim mogli pogadać po dyżurze. A Marlon, choć w jakimś sensie dotrzymywał mu towarzystwa, tego mu po prostu nie zapewniał.

Grace włożył strój do joggingu, dał Marlonowi śniadanie, na wypadek gdyby później zapomniał, i ostrożnie wyszedł przez drzwi frontowe na opustoszałą ulicę. Był przepyszenie chłodny letni poranek, a bezchmurne niebo zwiastowało kapitalny dzień. I nagle, mimo kaca i niewyspania, poczuł przypływ energii. Z bijącym sercem ruszył dziarsko ulicą.

Roy Grace mieszkał w Hove, dzielnicy mieszkaniowej, która jeszcze kilka lat temu była osobnym miastem, aczkolwiek ściśle powiązanym z Brighton. Teraz połączono je w jedno miasto: Brighton i Hove. Nazwa Hove, czy „Hove, actually”\*, jak je żartobliwie przewalali miejscowi, wywodzi się z greckiego słowa, które dosłownie oznacza „cementarzysko”.

\* „Hove, actually” (ang.: „tak naprawdę to Hove”) - trawestacja tytułu filmu Richarda Curtisa „Love, Actually”, znanego w Polsce pod tytułem „To właśnie miłość” (przyp. tłum.).

Nie całkiem niestosownie, jako że Hove było spokojniejszą, bardziej mieszkalną częścią niegdyś krzykliwego i kolorowego Brighton. Granica zaczynała się tuż nad morzem, w miejscu oznaczonym przez obelisk upamiętniający ofiary wojny i przez kolorową linię przecinającą promenadę, jednak z czasem coraz bardziej się zacierała, przebiegając zakosami ku północy, jak się coraz częściej okazywało, przez domy wielu ludzi, którzy w rezultacie musieli opłacać podatek lokalny częściowo w Brighton i częściowo w Hove.



Należąca do Grace'a skromna połówka bliźniaka z trzema sypialniami stała przy ulicy prowadzącej bezpośrednio do Kingsway, szerokiej drogi dwupasowej, która na drugim końcu łączyła się z bulwarem nadmorskim. Przebiegł na jej drugą stronę, po czym pobiegł na przełaj przez pokryte rosą trawniki, obok placu zabaw i dwóch stawów wodniackich tworzących łącznie tak zwaną Lagunę, gdzie jego tata, który lubił budować modele motorówek, zabierał go w dzieciństwie i dawał mu się pobawić pilotami do zdalnego sterowania.

Wtedy Laguna wydawała mu się ogromna, teraz była mała i zapuszczona. Stała tu podniszczona karuzela, zardzewiała huśtawka, obłożona z farby zjeżdżalnia i ta sama od zawsze budka z lodami. Łódki były jeszcze zamknięte na noc, po mniejszym z dwóch stawów pływało parę kaczek, a na obrzeżu większego przysiadło stadko labędzi.

Okrążył stawy i pobiegł promenadą, tak samo pustą jak poprzedniego dnia o tej samej porze, mijając długi szereg niebieskich kabin plażowych. W miarę jak biegł, zmieniał się krajobraz po lewej. Najpierw minął rząd burch powojennych bloków i szereg równie nieciekawych domków. Następnie, za Centrum Rekreacji Alfreda Wielkiego, chwilowo wielkim placem budowy, ujrzał po lewej swój ulubiony widok: długą esplanadę wytwornych domów w stylu regencji stojących w zabudowie szeregowej, przeważnie pomalowanych na biało, często z oknami wykuszowymi, balustradami i wielkimi tarasami. Wiele z nich było kiedyś w całości weekendowymi rezydencjami bogatych londyńczyków z czasów regencji i epoki wiktoriańskiej, lecz obecnie, jak większość budynków w tym mieście, z jego niebotycznymi cenami nieruchomości, zostały podzielone na mniejsze mieszkania lub przekształcone w hotele.

Po paru minutach, gdy zbliżał się do granicy pomiędzy Brighton i Hove, zobaczył przed sobą po prawej stronie wystające z morza smętne, przerdzewiałe belki, wszystko, co pozostało po Zachodnim Molo. Kiedyś było ono równie tętniące życiem i krzykliwe, jak to

drugie molo, Palace Pier, stojące o niespełna kilometr dalej na wschód, na którym odwiedziny były jedną ze stałych atrakcji jego dzieciństwa.

Tata, zapalony wędkarz, często zabierał go na sam koniec Palace Pier, gdzie schodzili na otwarty pomost rybacki, skąd w sobotnie popołudnia - poza sezonem piłkarskim, albo kiedy Albion grał na wyjeździe - wracali nieraz do domu z bogatym łupem witlinków, gładzie, leszczy morskich, a jak mieli szczęście, od czasu do czasu trafiała się sola albo nawet strzępiel, zależnie od pływów i pogody.

Jednak to nie łowienie ryb stanowiło dla małego Roya o uroku mola, lecz inne atrakcje, zwłaszcza wesołe miasteczko z autodromem i zamkiem duchów, a szczególnie stare, automaty do gier w drewnianych skrzyniach z wstawionymi z przodu szybami, przez które patrzyło się na ruchome scenki. Najbardziej lubił jedną z nich i wiecznie przymiłał się do ojca, żeby dołożył mu jeszcze parę pensów na automaty. Był to nawiedzony dom, w którym przez całą minutę, przy terkocie kółek zębatych i jęku bloczków, otwierały się drzwi, zapalały się i gasły światła i ukazywały się najróżniejsze szkielety oraz duchy, a także Śmierć we własnej osobie - zakapturzona postać w czerni, z kosą w dłoni.

Po jego lewej stronie zbliżało się teraz - nieco przygaszając wzbierającą w nim energię - paskudne szkaradzieństwo multipleksu Kingswest, ponure gmaszysko z lat sześćdziesiątych, kompletnie niepasujące do zabudowy reszty bulwaru. Jeszcze kilkaset metrów do przodu i wyłoniła się ładna, szara fasada hotelu Old Ship. Wbiegł pędem po schodach na górną promenadę, przebiegł przez prawie pustą jezdnię, nie zwalniając kroku popędził wzdłuż hotelu, wpadł na parking i spojrział na zegarek.

O, kurczę. Fatalnie się przeliczył. Jeśli miał zdążyć punktualnie na odprawę - a było to dla niego najważniejsze z uwagi na morale zespołu - pozostało mu niespełna pół godziny na to, żeby dotrzeć do domu, przebrać się i wyjść.

Okropnie chciało mu się pić, ale nie mógł nawet myśleć o tym, żeby wpaść do jakiegoś sklepu po butelkę wody. Wsunął do szczeliny automatu bilet parkingowy, następnie kartę kredytową, po czym popędził betonową klatką schodową na poziom, gdzie pozostawił swój samochód, marszcząc nos od zapachu moczu i zastanawiając się dlaczego tak jest, że na każdym parkingu, na jaki zdarzyło mu się w życiu trafić, ktoś zawsze musiał nasikać na klatce schodowej.

## ROZDZIAŁ 45

Minutę przed czasem Grace dochodził do GCK Jeden, przelykając w biegu śniadanie, czyli batonik z automatu, i ściskając w rękę parzący kubek kawy.

Pośpiesznie dojadł marsa, wycisnął do ust drażetkę miętowej gumy do żucia dla zamaskowania pozostałego może jeszcze po wczorajszym wieczorze zapachu alkoholu, schował resztę paczki do kieszeni i już miał wejść do pokoju, kiedy usłyszał za sobą ciężkie kroki.

- Heja, weteranie, jak poszła randka?

Odwrócił się i zobaczył Glenna Bransona w błyszczącej jak lustro skórzanej kurtce, z cappuccino w rękę. Wokół ust miał białe wąsy z pianki od kawy.

- W porządku - odparł.

- W porządku? I tyle? Tylko w porządku? - Glenn z filuternym uśmiechem zaglądał przyjacielowi w oczy.

Grace, żując gumę, uśmiechnął się nieśmiało.

- No cóż, zdaje się, że trochę więcej niż w porządku.

- Ty nie wiesz?

- Próbuję sobie przypomnieć; za dużo wypilem.

- Poszliście do łóżka?

- To nie była randka tego typu.

Branson popatrzył na niego dziwnie.

- Czasem trudno za tobą trafić, facet. Chyba po to są randki!

Potem uśmiechnął się szeroko.

- Musisz mi potem zdać szczegółową relację. Jak jej się podobały twoje ciuchy?

Grace spojrział na zegarek, mając świadomość, że już minęło pół do dziewiątej.

- Powiedziała tylko, że mój krawiec musi mieć fantastyczne poczucie humoru.

Pchnął drzwi i wszedł do pokoju, a Branson za nim.

- Nie wygłupiaj się! Poważnie, tak powiedziała? Hej, wiarus! No co ty!

Cały zespół siedział wokół stołu, wszyscy byli ubrani na sportowo, z wyjątkiem Normana Pottinga, który najwyraźniej wystroił się na niedzielę - w świeżo odprasowany beżowy garnitur z kolorowym krawatem i jeszcze bardziej kolorową chusteczką, która sterczała mu wesoło z kieszonki marynarki.

Grace również był dziś ubrany na sportowo - dlatego, że była niedziela, dlatego, że był tak cholernie zmęczony, iż nie miał ochoty zakładać garnituru, ale przede wszystkim dlatego, że miał dziś randkę. Była to randka z bardzo wyjątkową młodą damą - jego chrześniaczką Jaye Somers - i nie chciał wyglądać jak nudny, stary pierdziel w garniturze.

Włożył więc nowy zestaw, który kupił wczoraj - biały podkoszulek, džinsy, zbyt obcisłe w kroku, ale, jak zapewnił go Glenn Branson, wyglądały czadersko, wiązane buty - zdaniem Roya jak piłkarskie kolce bez kolców - i lekką, bawełnianą marynarkę.

Rodzice Jaye Somers, Michael i Victoria, oboje służyli w policji i należeli do najbliższych przyjaciół jego i Sandy - a także byli mu wielkim oparciem w tych trudnych miesiącach bezpośrednio po zniknięciu Sandy. Również w następnych latach okazali mu bardzo wiele serca. Wraz ze swymi dziećmi, w wieku od dwóch do jedenastu lat, stali się dla niego prawie drugą rodziną.

Poprzedniej niedzieli wybrał się z Jaye na wycieczkę do zoo w Chessington, ponieważ wbiła sobie do głowy, że chce zobaczyć żyrafę. Ale wycieczka skończyła się po półgodzinie, ponieważ dostał

pilne wezwanie do przybycia na miejsce zbrodni. Wobec tego obiecał chrześniaczce, że zabierze ją w tę niedzielę.

Bardzo lubił Jaye; chciałby mieć taką córkę. Była wyjątkowo inteligentna, ładna i mądra jak na swój wiek, interesowała się wszystkim. Miał nadzieję, że po raz drugi nie sprawi jej zawodu. No i niezbyt dobrze by to wpłynęło na wiarygodność dorosłych w jej oczach.

Pierwszym punktem porządku odprawy był Reginald D'Eath, przestępca seksualny, którego komputer został zarekwirowany. Grace powiadomił zespół, że sierżant Rye z działu przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie wykrył w tym komputerze routingi identyczne z tymi, które znaleziono w komputerze należącym do Toma Bryce'a. To właśnie te routingi mogły doprowadzić Bryce'a do strony internetowej, na której, jak sądzi Branson po wyczerpującym przesłuchaniu tego człowieka, wydaje się prawdopodobne, że rzeczywiście był on świadkiem tego morderstwa.

Grace powiedział zespołowi, że spodziewa się przed dziesiątą telefonu od kogoś z Programu Ochrony Świadców z adresem D'Eatha. Wyzначzył Normana i Nicka, aby wraz z nim pojechali go przesłuchać; nie wiedział dlaczego, ale miał złe przeczucia co do tego przesłuchania i sądził, że może się tam przydać demonstracja siły.

Nick Nicholl zameldował, że nadal do późnej nocy chodzi po wszystkich barach, pubach i klubach w Brighton z fotografią Janie Stretton, wciąż jednak bez rezultatu.

Norman złożył sprawozdanie ze swoich poszukiwań wśród klientów agencji towarzyskiej BCE-247. Dotąd nie znalazł się ani jeden klient, który przyznałby, że znał Janie, ani też żaden, który pasowałby do opisu tego, którego nazywano Antonem.

- Natomiast - dodał - odkryłem coś w innej agencji towarzyskiej. Wygląda na to, że panna Stretton współpracowała z jedną i drugą.

Pokazał wszystkim kolejne zdjęcie Janie Stretton, jeszcze bardziej śmiało niż to, które Grace widział w biurze agencji BCE-247. Była na nim całkiem naga, nie licząc frędzelków na sutkach, wysokich do pól uda kozaczków z błyszczącej, czarnej skóry i nabijanych ćwiekami gumowych kajdanek; jedną rękę trzymała na biodrze, a drugą wymachiwała dziewięciorzemiennym pejcem.

Ta nagła skuteczność zaskoczyła Grace'a. Może źle osądzał Pottinga.

- Skąd to wytrzasnąłeś?

- Z internetu - wyjaśnił Potting. - Poszukałem wszystkich dziewczyn oferowanych w miejscowych agencjach i rozpoznałem jej twarz.

Grace przypuszczał, że wykorzystanie internetu jako narzędzia zdobywania informacji przerasta możliwości detektywa ze starej szkoły, takiego jak Potting.

- Zaimponowałeś mi, Norman - powiedział, zastanawiając się w głębi ducha, czy rzeczywiście Potting dokonał przeglądu pańienek z agencji towarzyskich wyłącznie z myślą o pozyskaniu informacji w tej sprawie.

Sierżant zarumienił się lekko.

- Dziękuję, Roy. Stary, ale jary. Ech! - Mrugnął lubieżnie do Emmy-Jane, a ta w odpowiedzi opuściła wzrok na leżące przed nią papiery.

- Nieźle zderzaki - powiedział Potting, podając zdjęcie siedzącemu obok sierżantowi Nichollowi, który z wystudiowaną ostentacją zignorował tę uwagę.

Kiedy Grace tu wchodził, poza ich stanowiskiem pracy GCK Jeden świeciło pustkami, ale z każdą minutą przychodziło coraz więcej osób, które zasiadały przy dwóch pozostałych stanowiskach. Przystępność nie zważa na weekendy. Dla zespołów pracujących w Głównym Centrum Koordynacji był to dzień jak co dzień.

Emma-Jane zdała sprawę z zadania, jakim obarczył ją wczoraj Grace. Skontaktowała się ze wszystkimi korporacjami taksówkowymi

w rejonie Bromley w poszukiwaniu kierowcy, który odebrał pudło skarabeuszy z firmy Erridge i Robinson. Na razie jednak nie miała szczęścia.

Przerwała im nagle głośna muzyka rapowa. Był to nowy dzwonek komórki Bransona. Spojrzał na nich przepraszająco i powiedział:

- Przepraszam, to robota mojego dzieciaka. - Po czym rzucił szorstko do telefonu: - Sierżant Branson, słucham.

Po chwili, przyciskając telefon do ucha, odszedł od stołu.

- Witam, panie Bryce. Czym mogę służyć? - usłyszał Grace.

Branson milczał przez dłuższą chwilę i słuchał, potem odezwał się:

- Przepraszam, niezbyt dobrze słyhać... Powiedział pan: pańska żona? Nie wróciła na noc? Wciąż jej nie ma? Może mi pan opisać samochód, którym jechała?

Branson powrócił do stołu, usiadł i zaczął notować na bloczku.

- Dobrze, proszę pana. Sprawdzę w drogówce. Audi A4, sedan, sportowy. Oddzwonię do pana. Czy na ten numer?

Kiedy się rozłączył, Nick Nicholl zapytał:

- Mówiłeś audi sedan?

- No. A co?

Nicholl wystukał coś na swojej klawiaturze i pochylił się, przewijając w programie Vantage dziennik odnotowanych zdarzeń.

- Tak - rzucił. - Tak myślałem.

Grace spojrział na niego pytająco.

- Dziś o pół do piątej rano - wyjaśnił Nicholl, wciąż wpatrując się w ekran - znaleziono płonące audi sedan na wzgórzu Ditchling Beacon. Tablice rejestracyjne spaliły się.

Branson utkwił w nim wzrok, a na jego twarzy malował się głęboki niepokój.



## ROZDZIAŁ 46

Jessica przykucnęła w swym różowym szlafrocжку na podłodze w kuchni i głaskała wyjątkowo senną Lady. Max, który stał nad siostrą - w koszulce z Harrym Potterem założonej tyłem na przód - powiedział bardzo poważnym głosem, jakby był czołowym autorytetem w takich sprawach:

- Jest niedziela. Chyba musi sobie, jak to w niedzielę, trochę dłużej poleżeć.

Po czym na dłuższą chwilę jego uwagę pochłonęła kreskówka nadawana w telewizji.

- Ona nie umrze, prawda, tatusiu? - spytała Jessica.

Tom, który nie zmrużył oka - nieogolony, ze zmierzwionymi włosami, bosy, tylko w podkoszulku i dżinsach - przyklęknął i otoczył córeczkę ramieniem.

- Nie, kochanie. Jest tylko trochę chora. Ma jakąś infekcję czy coś. Zobaczmy, jak się będzie czuła za jakąś godzinę, dwie. Jeżeli nie będzie poprawy, wezwiemy weterynarza.

Dzwonił do rodziców Kellie, obdzwonił wszystkich jej i wszystkich swoich przyjaciół, myśląc, że a nuż pojechała do kóregoś z nich na noc. Zadzwoił nawet do jej siostry Marthy, która mieszkała w Szkocji. Nikt jej nie widział ani nie miał od niej żadnych wiadomości.

Jessica przyłożyła buzię do pyska Lady i pocałowała ją.

- Kocham cię, Lady. Wyleczymy cię.

Nie było żadnej reakcji ze strony psa. Max również przykleknął i przyłożył twarz do brzucha owczarki.

- Wszyscy cię kochamy, Lady. Będziesz musiała niedługo wstać, inaczej przepadnie ci śniadanie!

Żadne z nich nie jadło jeszcze śniadania, uświadomił sobie nagle Tom. Było pół do dziesiątej.

- Jak mama wróci, będzie wiedziała, jak jej pomóc - stwierdziła Jessica.

- Oczywiście - potwierdził stanowczo Tom. - Dzieciaki, pewnie jesteście głodne. Co byście chcieli? Tosty?

Kellie zawsze w niedzielę robiła dzieciom grzanki.

- Ty ich nie robisz za dobrze - zauważył Max. - Zawsze je przypalasz.

Wstał, wziął pilota i zaczął skakać po kanałach.

- Spróbuję nie przypalić.

- Dlaczego nie może ich zrobić mama?

- Zrobi - odpowiedział z trudem. - A tymczasem ja wam zrobię trochę. Żebyście mieli co jeść, zanim wróci.

- Nie jestem głodny - burknął Max.

- Chcecie jakieś płatki?

- Ty zawsze przypalasz, tatusiu! - powtórzyła Jessica za bratem jak echo.

- Tatusiu, możemy dziś iść na plażę? - spytał Max. - Mama mówiła, że pójdziemy, jak będzie pogoda, a chyba jest pogoda, co, tato?

Tom posępnie wyjrzał przez okno. Było przepięknie: błękitne niebo, wszelkie oznaki zwiastujące piękny dzień wczesnego lata.

- Zobaczymy.

Maxowi wydłużyła się mina.

- Auuu! Mama obiecała!

- Naprawdę?

- Tak.

- No to jak przyjdzie, spytamy, co by chciała dziś robić, dobrze?

- Pewnie będzie chciała tylko pić wódkę - wypaliła Jessica, nie podnosząc wzroku.

Tom nie był pewny, czy się nie przesłyszał.

- Co mówisz, kochanie?

Jessica nadal głaskała psa.

- Jessica, co ty powiedziałaś?

- Widziałam.

- Widziałas, jak mama co robiła?

- Obiecałam, że nie powiem.

Tom zmarszczył brwi.

- Że czego nie powiesz?

- Niczego - oznajmiła rozkosznie.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Max wypadł do przedpokoju, wołając z przejęciem:

- Mama! Mama! Mama wróciła!

Jessica podeszła za bratem. Tom podązał tuż za nimi.

Max otworzył drzwi wejściowe, po czym z wyrazem ponurego zawodu na twarzy podniósł wzrok na stojącego w progu wysokiego czarnoskórego mężczyznę w błyszczącej skórzanym kurtce i niebieskich sportowych spodniach. Jessica zatrzymała się w miejscu.

Tomowi ani trochę nie spodobał się wyraz twarzy detektywa.

Glenn Branson przykucnął, żeby jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Jessiki.

- Dzień dobry! - powiedział.

Uciekła do kuchni. Max pozostał na miejscu i wpatrywał się w gościa.

- Witam, sierżancie Branson - odezwał się Tom, nieco zaskoczony jego widokiem.

- Możemy porozmawiać?

- Tak, oczywiście - Zaprosił go gestem do środka. Branson popatrzył na Maksa.

- Co słyhać?

- Lady nie chce się obudzić - powiedział chłopczyk.

- Lady?

- Nasz pies - wyjaśnił Tom. - Chyba ma jakąś infekcję.

- Rozumiem.

Max nie odchodził.

- Może byś przyniósł płatków dla siebie i Jessiki? - zaproponował Tom.

Max niechętnie odwrócił się i potruchtał z powrotem do kuchni.

Tom zamknął drzwi za detektywem.

- Ma pan jakieś wiadomości? - Wciąż nie dawało mu spokoju to, co powiedziała Jessica, o tej wódce. Co jego córeczka mogła mieć na myśli?

Glenn Branson powiedział cicho:

- Znaleźliśmy sedana audi, którym, jak pan mówi, jechała pańska żona. Był doszczętnie spalony, podpalony prawdopodobnie przez wandalów, na wzgórzu Ditchling Beacon dziś nad ranem. Sprawdziliśmy numer podwozia. Jest zarejestrowane na pańskie nazwisko.

Tom wpatrywał się w niego z otwartymi ustami. Był w szoku.

- Doszczętnie spalony?

- Obawiam się, że niestety tak.

- Moja żona? - Tom zaczął mimowolnie drżeć.

- W środku nie było nikogo. W weekendy zdarza się to bardzo często. Włamują się do samochodu, żeby się przejechać, potem go podpalają, dla zabawy, albo żeby usunąć odciski palców. Zwykle jedno i drugie.

Minęło parę chwil, zanim to wszystko do Toma dotarło.

- Ona odwoziła opiekunkę do domu. - Patrzył na Bransona pytająco. - W jaki sposób, do cholery, mogli jej się włamać do samochodu?

Sierżant nie miał na to odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ 47

Ileż różnych twarzy ma miasto Brighton i Hove, myślał Grace, i ile różnych grup ludzi. Zdaje się, że niektóre miasta dzielą się na różne społeczności pod względem etnicznym, lecz tu, w Brighton i Hove, były to raczej społeczności zróżnicowane pod względem socjologicznym.

Byli więc bogaci starsi ludzie w swych reprezentacyjnych kamienicach lub mieszkaniach z opieką, których latem można było zobaczyć jak kibicują meczom krykieta na boisku County Ground, toczą kule po trawnikach w Hove albo siedzą na krzeselkach na promenadzie czy na plaży, a jeśli mieli na to środki, zimowali w Hiszpanii albo na Wyspach Kanaryjskich. I biedniejsi starsi ludzie, trzęsący się z chłodu przez całą zimę - i pół lata - uwięzieni w swych zawilgoczonych mieszkaniach komunalnych.

Były obnoszące się ze swoim bogactwem warstwy średnie z ich eleganckimi willami w Hove 4, i te bardziej dyskretne, w ładnych kamienicach przy bulwarze nadmorskim. I ludzie mniej zamożni, tacy jak Grace, w domach rozrzuconych na zachód od przedmieścia Southwick, tuż za basenem portowym Shoreham oraz w różnych strefach w całym mieście, aż po wapienne wzgórza Downs.

Koloryt i energię w dużym stopniu nadawała Brighton i Hove bardzo widoczna, często krzykliwa, społeczność gejowska a także wszechobecni studenci uniwersytetów, od Sussex po Brighton, i aż

nadto licznych innych uczelni, którzy skolonizowali całe obszary miasta. Byli też widoczni przestępcy - handlarze narkotyków, wystający na rogach co bardziej zaniedbanych ulic, którzy rozpływali się w powietrzu na sam zapach radiowozu - i mniej widoczni, ci bogaci, którzy pociągali za sznurki, mieszkający za wysokimi murami wypasionych domów na Dyke Road Avenue.

Na obrzeżach miasta leżały osiedla domów komunalnych: dwa największe z nich, Moulscombe i Whitehawk, od dawna słynęły z przestępczości i przemocy, lecz zdaniem Grace'a, reputacja ta nie była szczególnie zasłużona. Przestępczość i przemoc występowały w całym mieście, a ludzie czuli się pokrzepieni, kiedy mogli pokazać palcem na owe osiedla, jakby żył tam jakiś zupełnie inny gatunek homo sapiens, a nie na ogół przyzwoici ludzie, którzy nie mieli pie-niędzy, żeby kupić sobie samozadowolenie.

I był też, niestety, margines społeczny. Pomimo podejmowanych regularnie prób usunięcia ich z ulic, zaledwie się trochę ocieplało, kłoszardzi i bezdomni znów ściągali przed sklepy, na werandy, chodniki i do wiat autobusowych. Było to niekorzystne dla turystyki, a jeszcze gorzej odbijało się na sumieniu miasta. Z nadejściem wiosny, od początku majowego festiwalu sztuk, przed każdą kawiarnią, barem czy restauracją pojawiały się stoliki, a ulice miasta ożywały. W tym czasie, myślał Grace, można by sobie wyobrazić, że się jest gdzieś nad Morzem Śródziemnym. Potem napływał front atmosferyczny znad Kanału, wyjący południowo-zachodni wiatr w towarzystwie morderczego deszczu, który bębnił w blaty opustoszałych stolików i smagał szyby wystaw wypełnionych manekinami ubranymi w stroje plażowe, jakby chciał zadrwić z każdego, kto śmiałby twierdzić, że w Anglii w ogóle bywa lato.

Bijące serce miasta, śródmieście, przez które właśnie przejeżdżali, koncentrowało się na obszarze dwóch czy trzech kilometrów kwadratowych wokół mola Pałace Pier. Były tam zabudowane

szeregowo w stylu regencji zatłoczone uliczki Kemp Town, przy jednej z nich mieszkała Janie Stretton, Lanes, gdzie skupiły się sklepy z antykami i dzielnica North Laines, pełna modnych butików i maleńkich domków, pomiędzy którymi stał adaptowany budynek dawnej fabryki, w którym mieszkała Cleo Morey.

Nick Nicholl prowadził nieoznakowanego forda mondeo. Grace siedział obok kierowcy, zawzięcie coś notując w swoim smartfonie. Z tyłu siedział Norman Potting. Jechali London Road przez centrum Brighton. Prawie o każdej porze dnia i nocy musieliby tu się wlec w korku, lecz tej niedzieli, o tak wczesnej godzinie, byli, nie licząc paru autobusów, praktycznie sami na jezdni.

Grace spojrzął na zegarek. Miał nadzieję, że przesłuchanie Reggiego D'Eatha nie potrwa długo i uda mu się wykroić z dnia ze dwie godziny dla chrześniaczki. Wystarczy, żeby zabrać ją na lunch, jeśli nie wyjdzie dzisiaj z żyrafami.

Po prawej mijali Royal Pavilion, najbardziej charakterystyczny obiekt miasta. Żaden z nich trzech nie spojrzął w tę stronę - było to jedno z tych miejsc, które znali tak dobrze, że stały się dla nich prawie niewidzialne.

Zdobny w wieżyczki i minarety gmach w stylu pałaców indyjskich kazał pod koniec osiemnastego wieku zbudować Jerzy IV, gdy był jeszcze księciem Walii, jako nadmorską świątynię dumania dla swej metresy, Marii Fitzherbert. I w kategorii nadmorskich świątyń dumania chyba na całym świecie nic zbudowano od tej pory nic równie okazałego.

Zatrzymali się przed rondem na skrzyżowaniu z bulwarem nadmorskim, na wprost mola Palace Pier, hałaśliwego nawet teraz, o dziesiątej rano w niedzielę. Długonoga blondynka, w spódniczce, która ledwie zakrywała pośladki, wesoło kołysząc torebką, przeszła niespiesznie przez ulicę, rzucając im kokietyjne spojrzenie.

Potting, który od kilku minut siedział cicho, mruknął:

- No, dalej, laleczko. Pochyl się; pokaż psiapsiółkę!

Nick Nicholl wypatrzył lukę na rondzie i skręcił w lewo.

- Niezła, oj, niezła! - Potting odwrócił się, żeby popatrzeć na nią jeszcze przez tylną szybę.

- Raczej niezły - poprawił go Nick Nicholl.

- No bez jaj! - wykrzyknął Potting.

- Z jajami, jak najbardziej! - odparował sierżant.

Jechali Marine Parade, mijając odłamki szkła i kartony po przekąskach rozrzucone przed jakimś klubem nocnym, über-trendy apartamentowiec Van Allena, następnie budynki w stylu regencji z fasadami z czarno-białego krzemienia, stojące naprzeciw wspaniałego półkola Royal Crescent, gdzie, o czym Glenn Branson mówił Grace'owi tysiąc razy, mieszkał kiedyś Laurence Olivier.

- Pierdolisz jak potłuczony - zaprotestował Potting. - Prześliczna dziewczyna!

- Wystająca grdyka - stwierdził sierżant. - Po tym się poznaje.

- Ja pieprzę! - jęknął Potting.

- Na pewno byłby zainteresowany, o ile byś to ładniej ujął.

- Jakim prawem, cwele jedne, chodzą w takim stroju po ulicy, pytam się!

- Jesteś strasznie ordynarny, Norman - wtrącił się Grace, odwracając do tyłu. - Wyrażasz się obrzydliwie.

- No przykro mi, Roy, ale dla mnie pedalstwo jest obrzydliwe - odparł Potting. - Nigdy tego nie rozumiałem i nie zrozumie.

- Aha, no cóż, tak się składa, że Brighton jest gejowską stolicą Wielkiej Brytanii - powiedział Grace, nie na żarty zirytowany. - Jeśli ci to przeszkadza, to albo źle wybrałeś sobie zawód, albo miasto. - „I jesteś, kurwa, ostatnim palantem, a ja nie mogę odżalować, że znalazłeś się w moim samochodzie i w moim życiu”, miał ochotę dodać, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu paracetamolu.

Po lewej mijali kolejne grupy połączonych w zabudowę szeregową olśniewających białych domów w stylu regencji. Po prawej widać



było żagle dziesiątków jachtów, które dopiero co wypłynęły z przystani na niedzielne regaty.

- A czy ten gość, z którym mamy pogadać - spytał Potting - ten Reginald D'Eath, on też jest z tych?

- Nie - odpowiedział Nick Nicholl. - On nie; on lubi dziewczyny; byle tylko miały nie więcej niż cztery lata.

- Tego to już naprawdę nie rozumiem - stwierdził Potting.

Grace, wyciskając tabletkę z kartonika, pomyślał ponuro: Świetnie, przynajmniej to jedno nas łączy.

\*

Podjechali stromo pod górę na obrzeżu miasteczka Rottingdean, wzdłuż boiska prywatnej szkoły podstawowej, z oznaczonym na środku polem krykietowym i dwoma dużymi, białymi ekranami przeciwsłonecznymi na rolkach. Po drugiej stronie drogi stały ładne domy jednorodzinne. Skręcili teraz w ulicę zabudowaną po obu stronach bungalowami. Była to spokojna okolica, gdzie wszystko co odbiega od codzienności jest z miejsca zauważalne - o czym ostrzegały jaskrawożółte nalepki straży sąsiedzkiej, umieszczone w widocznym miejscu w każdym oknie frontowym.

Dobre miejsce na bezpieczne schronienie, pomyślał Grace, poza tym, że przeoczono chyba jeden drobny szczegół. Kto przy zdrowych zmysłach, do cholery, umieszcza pedofila w domu położonym o kilkaset metrów od szkolnego boiska? Pokręcił głową. Czy ci ludzie w ogóle nie myślą?

- Rozumiem, że pan D'Eath czeka na nas? - odezwał się Nicholl.

- Z poranną kawą i pudełkiem przedszkoladek, spodziewam się - wtrącił Norman Potting i zachichotał chrapliwie.

Grace zignorował ten niesmaczny dowcip i odpowiedział:

- Osoba z Agencji Ochrony Świadków, z którą rozmawiałem, mówiła, że zostawili mu wiadomość.

Podjechali pod numer 29. Bungalow z lat pięćdziesiątych wyglądał na odrobinę bardziej sfatygowany niż pozostałe, gdyż brązowy

tynek kamyczkowy domagał się renowacji oraz pilnego malowania. Również mały ogródek od frontu był w kiepskim stanie, co przypomniało Grace'owi, że powinien w ten weekend przyszczyć swój trawnik - a dziś była idealna pogoda do takich rzeczy. Tylko kiedy?

Kazał Normanowi Pottingowi poczekać na ulicy, na wypadek gdyby Reginald D'Eath nie otrzymał wiadomości, że mają przyjść, i próbował zwiać. Sam zaś, w towarzystwie Nicka Nicholla, podszedł do drzwi wejściowych. Niepokoiło go, że kwadrans po dziesiątej rano w niedzielę zasłony w oknach od frontu były jeszcze zaciągnięte. Ale może pan D'Eath nie lubił wcześniej wstawać? Nacisnął plastikowy przycisk dzwonka. Z wnętrza domu dobiegły łagodne dźwięki sygnaturki. Potem cisza.

Odczekał dłuższą chwilę i zadzwonił jeszcze raz.

W dalszym ciągu nie było żadnej reakcji.

Uchylił klapkę skrzynki na listy, przykucnął i zawołał przez nią:

- Panie D'Eath, to ja, komisarz Grace z wydziału kryminalno-dochodzeniowego w Brighton!

Żadnej reakcji.

Obszedł dom z jednej strony, przeciskając się pomiędzy pojemnikami na śmieci, i pchnął wysoką, drewnianą furkę. Ogród za domem wyglądał żałośnie, gorzej niż od frontu, trawnik porastały wybijające chwasty, a klomby były smętną płataniną powojów i pokrzyw. Nadepnął na przewróconą plastikową konewkę, potem doszedł do kasetonowych drzwi kuchennych z szybkami z mrożonego szkła, z których jedna była rozbita. Na ułożonej z cegieł ścieżce leżały odłamki szkła.

Spojrzał na Nicka Nicholla, którego zasepiona mina odbijała jak echem jego własne zaniepokojenie. Nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły.

Weszli do kuchni, która wyglądała, jakby czas się w niej zatrzymał, z zabytkową lodówką Lec, burymi szafkami z imitacji drewna i blatami z laminatu, na bufecie stały rozklekotany toster i plastikowy

czajnik, a na brzydkim stoliku talerz niedojedzonej, mocno skrzepniętej fasolki z jajkami i niedopity kubek herbaty. O salaterkę było oparte kolorowe pismo, otwarte na rozkładówce z nagimi dziećmi.

- Jezu - wyrwało się zniesmaczonemu pisemkiem Grace'owi. Umoczył palec w herbacie - zupełnie zimna. Wylał palec w wiszącą na ścianie ścierekę i zawołał:

- Halo! Panie D'Eath! Policja hrabstwa Sussex! Może pan wyjść bez obawy! Przyszliśmy tylko porozmawiać! Potrzebna nam pańska pomoc!

Cisza.

Była to taka cisza, której Grace nie lubił, cisza, która rozpełzała mu się po całej skórze. Był tam też zapach, który mu się nie podobał. Nie zaduch starej kuchni, lecz jakiś inny, bardziej cierpki zapach, który znał, lecz nie umiał go nigdzie przyporządkować - choć coś w głębinach pamięci mówiło mu, że zapach ten był nie na miejscu w jakimkolwiek domu.

Tak bardzo był mu potrzebny ten D'Eath. Za wszelką cenę chciał z nim porozmawiać o tym, co tamten oglądał na swoim komputerze. Wiedział od Jona Rye'a, że Reggie D'Eath korzystał z tych samych linków co Tom Bryce, i nie wątpił, że pedofil będzie coś wiedział o tym, co zobaczył Tom.

Był to na razie najbardziej obiecujący trop w śledztwie w sprawie zamordowania Janie Stretton. W dodatku, o czym nie mógł przestać myśleć, nie chodziło tylko o postęp w śledztwie, chodziło o to, żeby ratować karierę.

To śledztwo musi mu się udać, do jasnej cholery.

Skinął głową na Nicka Nicholla na znak, że czas przystąpić do przeszukania reszty domu. Detektyw wyszedł z kuchni, a Grace ruszył w ślad za nim do małego salonu, gdzie ten zapach jakby się jeszcze nasilił. Był tam bardzo tandetny komplet mebli - kanapa i dwa fotele - poza tym stary telewizor, parę bardzo źle oprawionych grafik Turnera na ścianach, i jedna samotna oprawiona fotografia, stojąca na gzymsie nad kominkiem z imitacją rozżarzonych węgli.

Grace popatrzył na sztywno upozowaną parę na fotografii: wyglądający na mięczaka trzydziestoletni mężczyzna o twarzy dziecka, z przerzedzonymi włosami, ubrany w szary garnitur, z jarmarcznym krawatem i zbyt wysoko podciągniętym kołnierzykiem koszuli, otaczał ramieniem antypatyczną blondynkę, stali przed wejściem do budynku, który wyglądał na urząd stanu cywilnego.

Nagle usłyszał krzyk.

- Roy! Jezu!

Grace wypadł z pokoju i zobaczył detektywa, który stał w otwartych drzwiach na końcu krótkiego korytarza, i zasłaniając twarz ręką, kasłał.

Kiedy się z nim zrównał, poczuł kwaśny, gryzący zapach. Wstrzymał oddech i minawszy posterunkowego, wszedł do pomalowanego na ciemnozielono łazienki. I stanął twarzą w twarz z wyłaniającym się zza chmury duszących oparów Reggiem D'Eathem.

Albo przynajmniej z tym, co z niego pozostało.

## ROZDZIAŁ 48

Teraz już Grace dokładnie wiedział, co to za zapach. Przypomniwał mu się nagle obrzydliwy wierszyk, którego uczył ich w szkole pan od przyrody:

Tu leży biedny, mały Joe,  
Nie wstanie już ze swej kwatery,  
Bo to, co wziął za H<sub>2</sub>O,  
To było H<sub>2</sub>SO<sub>4</sub>.

Piekły go oczy i paliła twarz. Niebezpiecznie było pozostawać w pomieszczeniu dłużej niż kilka sekund, ale tyle mu wystarczyło, żeby zobaczyć wszystko, co powinien.

Reggie D'Eath leżał w wannie, zanurzony po szyję w płynie, który wyglądał jak czysta woda. Był to jednak kwas siarkowy. Strawił już prawie w całości jego skórę, mięśnie i organy wewnętrzne poniżej szyi, pozostawiając czysty, częściowo rozpuszczony szkielet, wokół którego gdzieniegdzie pływały, kurcząc się w oczach, wciąż jeszcze przyrośnięte pęki żyłastych tkanek.

Na szyi miał metalową obrozę, przymocowaną nad jego głową do zawieszki na ręczniki. Żrące opary wypalały w jego twarzy sine krosty.

Grace szybko wycofał się z łazienki, zderzając się z Nichollem. Zszokowani, popatrzyli na siebie bez słowa.

- Powietrza - wykrztusił Grace, skierował się chwiejnym krokiem do drzwi wejściowych i wyszedł na dwór. Nicholl wyszedł za nim.

- Wszystko w porządku? - spytał Norman Potting, który, oparty o samochód, pykał sobie fajeczkę.

- Niezupełnie - odpowiedział Grace, czując silne mdłości, wytrącony z równowagi do tego stopnia, że przez dłuższą chwilę nie był w stanie zebrać myśli. Wciągnął w głąb płuc kilka dużych haustów świeżego powietrza. Niedaleko od nich jakiś człowiek mył przy ulicy samochód. Gdzieś z bliska dobiegał jazgotliwy warkot ręcznie prowadzonej kosiarki.

Nicholl dostał ataku głębokiego, suchego kaszlu.

Grace wyciągnął z kieszeni swój najnowszy model telefonu komórkowego, który niedawno otrzymał; parę razy sprawdzał jego możliwości, ale nigdy jeszcze nie korzystał z wbudowanego wewnątrz aparatu fotograficznego. Z nosem zakrytym chusteczką wszedł z powrotem do domu, skierował się wprost do łazienki, przed drzwiami wziął głęboki wdech, wszedł do środka, szybko zrobił jedno po drugim kilka zdjęć i wyszedł z łazienki.

Za drzwiami stał Nick Nicholl.

- Dobrze się czujesz, szefie?

- Jak nigdy - wycharczał Grace, łapczywie chwytając powietrze. Schował aparat do kieszeni, myśląc bez entuzjazmu o tym, co musi zrobić w następnej kolejności.

Wziął kolejny głęboki wdech, zanurkował do łazienki, ściągnął z wieszaka jakiś duży ręcznik, owinał go wokół głowy Reg-gie'ego D'Eatha i z całej siły pociągnął za nią.

Po kilku brutalnych szarpnięciach udało mu się uwolnić z obroży głowę wraz z kawałkiem rdzenia kręgowego. Zaskoczony jej ciężarem, nadal wstrzymując oddech, Grace wyniósł ją z łazienki i położył na podłodze w przedpokoju.

Młody detektyw rzucił na nią okiem, zachwiał się na nogach, opadł bezwładnie na ścianę i zymiotował.

Grace, który pamiętał jeszcze co nieco ze szkolenia z pierwszej pomocy, pobiegł do kuchni, znalazł w kredensie miskę, napełnił ją

zimną wodą, zaniósł pędem do przedpokoju i opróżnił na twarz D'Eatha, starając się zmyć z niej kwas. Jeśli były na niej jakieś ślady kryminalistyczne, istniała szansa, że się zachowają, a w każdym razie to pomoże w identyfikacji. Od zapachu wymiocin młodego detektywa żołądek podchodził mu do gardła, aż sam o mało nie zwymiotował, kiedy biegł z powrotem do kuchni, by jeszcze raz nappełnić miskę.

Potem znów wrócił do kuchni i przez radiotelefon zamówił wsparcie. Poprosił o ekipę kryminalistyczną, paru funkcjonariuszy do objęcia straży i paru innych do podjęcia natychmiastowych przesłuchań wszystkich sąsiadów. W trakcie rozmowy dostrzegł telefon bezprzewodowy leżący pod ohydny pisemkiem, które D'Eath widocznie czytał podczas posiłku.

Gdy tylko skończył rozmowę, ostrożnie ujął telefon przez chusteczkę, podniósł go do ucha i wcisnął przycisk ponownego wybierania ostatniego numeru.

- Dzień dobry, Dobsons, czym mogę służyć?

- Mówi komisarz Grace z wydziału kryminalno-dochodzeniowego w Brighton. Zdaje się, że dzwonił niedawno do pana pana Reginald D'Eath - starannie wymówił: „deee-ath”. - Może mi pan powiedzieć, co pana z nim łączy?

- Strasznie mi przykro - odrzekł Pan Ugrzeczniony - ale to nazwisko nic mi nie mówi. Chyba że któryś z moich kolegów rozmawiał z tym panem.

- A kim pan właściwie jest? - spytał Grace.

- Tu jest zakład pogrzebowy.

Grace podziękował, rozłączył się i wybrał numer 1471. Po chwili usłyszał głos automatu:

- Przepraszamy, połączenie miało miejsce z numeru zastrzeżonego.

Rozłączył się. D'Eath ostatni raz dzwonił ze swojego telefonu do przedsiębiorstwa pogrzebowego - gdzie takiego telefonu nie odnotowano. Czyżby to jego zabójcy zrobili sobie taki chory żarcik z jego telefonem?

Pogrążony w myślach wyszedł przed dom i zaprosił Normana Pottinga do środka. Nieładnie byłoby go tak zostawić samego na dworze, rozkoszującego się fajeczką na tym cudownym słońcu.

\*

Minęła prawie godzina zanim przybyła ekipa kryminalistyczna, z bardzo zdegustowanym Joe Tindallem na czele. Stawał się on coraz bardziej zawiedzionym fanem Roya Grace'a.

- To już będzie twój normalny nawyk w każdą niedzielę, Roy?

- Ja też kiedyś miałem jakieś życie - odburknął Grace, któremu poczucie humoru chwilowo nie dopisywało.

Tindall pokręcił głową.

- Zostało mi tylko dwanaście lat, osiem miesięcy i siedem dni do emerytury, i odliczam... - powiedział - odhaczam każdą, cholera, sekundę.

Grace zaprowadził go do domu i dalej przez korytarz do łazienki, a widok, który tam na niego czekał, doprawdy ani trochę nie poprawił Tindallowi nastroju.

Pozostawiwszy eksperta kryminalistycznego w środku, Grace znów wyszedł na dwór, zanurkował pod taśmą policyjną, która teraz zabezpieczała dom z zewnątrz, i grzecznie przepaszając, przecisnął się przez szybko gęstniejące stadko zaciekawionych sąsiadów. Uświadomił sobie, że od ponad godziny nie pomyślał o Cleo Morey. Było pół do dwunastej. Na ulicy stało teraz pół tuzina wozów policyjnych, a wóz do zadań specjalnych wjeżdżał właśnie tyłem na wolne miejsce.

Dwóch nieumundurowanych funkcjonariuszy Służby Wsparcia Policji pukało do drzwi wejściowych najbliższych sąsiadów, przystępując do przeprowadzania wywiadu środowiskowego.

Przeszedł kawalek ulicą, żeby się znaleźć poza zasięgiem ludzkich uszu, wybrał najpierw numer do Somersów i przeprosił Jaye, że znów musi odwołać ich wycieczkę. Rozczarowanie, które usłyszał w jej głosie, sprawiło, że poczuł się strasznie. Pojadą za to w przyszłym



tygodniu, obiecał Ale sądząc z brzmienia jej głosu, nie bardzo mu uwierzyła.

Potem wybrał numer Cleo.

Połączył się tylko z pocztą głosową.

- Cześć! - powiedział. - Dzwonię tylko, żeby powiedzieć, że strasznie fajnie było się wczoraj z tobą zobaczyć. Zadzwoni, jeśli będziesz miała chwilę. Aha, i myślę z nadzieją, że nie masz dziś dyżuru, dla twojego dobra. Mam w tej chwili w rękach bardzo nieprzyjemnego trupa.

Ból głowy - kac - jak go zwali, tak go zwali - powrócił ze zdwojoną siłą, a gardło bolało go, jakby je ktoś przetarł papierem ściernym. Kiedy w kiepskim nastroju zbliżył się z powrotem do domku, podszedł do Nicholla i Pottinga, którzy stali przed nim na ulicy, gawędząc z policjantem stojącym na straży.

- Któryś z was ma może ochotę na drinka? Bo ja, kurwa, muszę się napić.

- Byle nie wody z wanny pana D'Eatha - zastrzegł Potting.

Grace prawie się uśmiechnął.

## ROZDZIAŁ 49

Kellie próbowała się poruszyć, ale za każdym razem, kiedy zaczynała się szamotać, ból w ramionach stawał się jeszcze dotkliwszy, gdyż ten sznur, czy drut, czy czym tam były one obwiązane, wrzynał się wtedy jeszcze głębiej w ciało. A kiedy próbowała krzyżeć, cała jej twarz wibrowała od niskiego pomruku, który nie mógł się wydostać z jej ust.

- Mmmmnn...

Nic nie widziała, nie mogła otworzyć oczu. Otaczała ją kompletna, smolista czerń, poza obrazami, które się ukazywały w jej głowie. Nie słyszała nic oprócz odgłosów krwi huczącej w uszach. Odgłosów własnego strachu.

Trzęsła się z przerażenia i z zimna. I z braku alkoholu.

W gardle jej zaschło. Potrzebowała się napić. Za wszelką, za wszelką cenę musiała się napić wódki. I wody.

Czuła zimno i swędzenie w kroczu. Jakiś czas temu, kiedy wreszcie oddała mocz, nie mogąc go dłużej utrzymać, zrobiło jej się tam dziwnie, przyjemnie ciepło. Trwało to kilka minut, dopóki mocz nie zaczął stygnąć. Od czasu do czasu dochodził do niej jego zapach; potem znów czuła tylko zimny zapach piwnicznej stęchlizny.

Nie miała pojęcia, która może być godzina. Ani gdzie się znajduje. Głowa pękała jej z bólu. Zimny, mdlący strach kłębił się w głębokiej, czarnej studni jej wnętrzości, kłębił się w krwi płynącej w żyłach. Bała się tak, że nie była w stanie jasno myśleć.

Chwilami miała wrażenie, że słyszy bardzo słaby odgłos ruchu ulicznego. Od czasu do czasu jakąś syrenę. Śpieszą jej na odsiecz?

Ale nie miała pojęcia, gdzie jest.

Zaklezione oczy wezbrały łzami. Chciała do Toma, chciała do Jessiki i Maksa, chciała usłyszeć ich głosy, przytulić się do nich. Spróbowała uporządkować w głowie wspomnienia tych chwil, tych bezładnie pomieszanych chwil, w których wszystko toczyło się w jakimś przyśpieszonym tempie.

Odwiozła Mandy Morrison do domu. Zajechała przed utrzymanym w stylu hiszpańskim dom jej rodziców przy eleganckiej Tongdean Lane, idącej stromo pod górę uliczce w okolicach stadionu Withdean. Siedziała w samochodzie i słuchała muzyki z radia, chcąc, zanim odjedzie, zobaczyć, że Mandy bezpiecznie dostała się do domu.

Mandy otworzyła drzwi, weszła do środka, odwróciła się, pomachała jej ręką i zamknęła drzwi.

Wtedy w jej samochodzie otworzyły się przednie drzwi od strony pasażera.

I tylne drzwi za jej plecami.

Jakaś ręka, silna jak stal, schwyciła ją za szyję i odciągnęła do tyłu. Potem przyłożono jej do nosa coś mokrego, o ostrym zapachu.

Jęknęła na to wspomnienie.

Potem znalazła się tu. Trzęsła się.

Leżała na plecach na twardej jak kamień podłodze.

Spróbowała znów poruszyć rękami, ale ból był nie do zniesienia. Spróbowała poruszyć nogami, ale miała wrażenie, że są zabetonowane. Oddychała coraz szybciej, wyprężając klatkę piersiową.

Poczuła na sobie strumień światła. Ciemność za jej powiekami zmieniła się w czerwoną mgłę.

Nagle wydała z siebie stłumiony ryk bólu, gdy zerwano jej z oczu taśmę, jak jej się zdawało, wraz z połową skóry. Zamrugnęła, przez chwilę oślepiąca światłem. Stał nad nią jakiś przysadzisty mężczyzna

z pełnym zadowolenia uśmiechem na twarzy i falistymi srebrnymi włosami zebranymi z tyłu w kitkę, mocno otyły, w za szerokiej koszuli rozpiętej do pępka.

W pierwszej chwili poczuła ulgę; pomyślała, że przyszedł jej pomóc. Próbowała coś do niego powiedzieć, ale mogła z siebie wydobyć tylko jakiś bulgoczący odgłos.

Popatrzył na nią, nic nie mówiąc, mierzył ją wzrokiem z góry na dół, z wyrazem głębokiego zamyślenia. Potem wreszcie uśmiechnął się do niej, a jej serce podskoczyło w piersi. Przyszedł jej pomóc - zabierze ją stąd, do domu, do Toma, Jessiki i Maksa!

Nagle z jego ust wysunął się język i, błyskawicznym ruchem, jak język węża, oblizał wargi dokoła. Potem mężczyzna odezwał się z amerykańskim akcentem:

- Wyglądasz na taką, co bierze w dupę.

Sięgnął ręką do kieszeni i Kellie usłyszała brzęk metalu. Strach ścisnął każdą komórkę jej ciała; zobaczyła delikatny srebrny łańcuszek, który zwieszał się z jego palców.

- Kupiłem ci prezent, Kellie. - Z tonu głosu mogła wywnioskować, że jest jej nowym serdecznym przyjacielem. Uniósł łańcuszek na wysokość jej twarzy; miał mały wisiołek, lecz w słabym świetle nie bardzo była w stanie rozpoznać wygrawerowanego na nim motywu. Wyglądało to na jakiegoś żuka.

- Spokojnie - powiedział. - Zrobimy ci teraz tylko parę zdjęć do albumu rodzinnego.

- Grnnnnngłg - odpowiedziała.

- Jeżeli będziesz grzeczna i zrobisz wszystko, co ci każę, to może nawet dam ci się napić. Stolicznej ! - zaznaczył. - To twoja ulubiona, prawda?

Pokazał trzymaną w drugiej ręce butelkę.

- Nie chciałbym, żebyś umarła z pragnienia - dodał. - To byłoby doprawdy marnotrawstwo.

## ROZDZIAŁ 50

- No, nazwisko ma odpowiednie - stwierdził Norman Potting. - D'Eath.

Wymówił to jak „death” - „śmierć”.

Grace, Potting i Nicholl siedzieli w salonie pubu Black Lion w Rottingdean, z dębowym belkowaniem na suficie, a przed każdym z nich stała półlitrowa szklanka. Grace wypił łyk, wdychając zapach chmielu znad trzymanej tuż pod nosem szerokiej szklanki, próbując przepędzić z nozdrzy smród kwasu siarkowego.

Uświadomił sobie, że ręka mu drży. Czy to reakcja na to, co widział rano?

Pamiętał z początków swojej kariery w policji, kiedy jeszcze jako mundurowy policjant jeździł nocą radiowozem na patrolu po mieście, został wezwany do samobójstwa na linii kolejowej Londyn-Brighton. Jakiś mężczyzna położył się na torach przy wjeździe do tunelu i koła przejechały mu po szyi. Grace musiał pójść wzdłuż toru po głowę.

Nigdy nie zapomni tego surrealistycznego widoku, jak leżała tam w świetle jego latarki. Prawie wcale nie krwawiła, odcięta z niemal chirurgiczną precyzją. Nieboszczyk miał koło pięćdziesiątki i czerwona, ogorzała na świeżym powietrzu twarz. Grace podniósł głowę, chwytając za zmierzwioną strzechę rudych włosów i zaskoczył go jej ciężar. Tak samo ciężka była głowa D'Eatha.

Patrzył na kalejdoskop zmieniających się światełek na stojącym beczynnie automacie do gry. Słyszał towarzyszące mu słabe dzwonki. Rano w lokalu było tylko parę osób. Jakiś modnie wystylizowany mężczyzna, typ człowieka mediów, siedział przy kominku, popijając coś, co wyglądało na krwawą mary i czytał „Observera”. Jacyś bezkształtni starsi państwo siedzieli przygarbieni nad swymi drinkami o parę stolików od nich, w milczeniu, jak dwa worki kartofli.

Rozmyślając nad programem dnia - który już fatalnie się zaczął z powodu zamordowania D'Eatha - martwił się o spotkanie Nicka Nicholla z prowadzącym dochodzenie w sprawie morderstwa w Wimbledonie, gdzie pół roku temu odnaleziono bezgłowe ciało młodej kobiety z bransoletką z motywem skarabeusza na ręku. Może lepiej, żeby pojechał sam, spotkał się jak prowadzący z prowadzącym, zamiast posyłać młodszego rangą członka zespołu.

Zwracając się do Nicholla, Grace zapytał:

- O której spotykasz się z tym prowadzącym sprawę morderstwa w Wimbledonie?

- Ma do mnie zadzwonić dziś po południu. On ma brata w Brighton; przyjedzie spotkać się z nim na lunchu.

- Daj mi znać, pójdę z tobą.

- Tak jest, panie komisarzu.

Pomimo że dobiegał trzydziestki, Nickowi wciąż jeszcze brakowało towarzyskiego obycia i chociaż wiedział, że Grace lubi, jak członkowie jego zespołu zwracają się do niego po imieniu, nadal nie umiał się przemóc, żeby mówić do niego Roy.

Grace przejrzał rosnącą listę notatek w telefonie. Zapach piezowego mięsa dobiegający z kuchni wywracał mu i bez tego podrażniony żołądek. Potrwa jakiś czas, pomyślał, zanim będzie w stanie przelknąć choćby kęs jedzenia. Miał wątpliwości, czy picie po tej dawce paracetamolu, którą zażył, jest rzeczą rozsądną. Ale był to jeden z tych momentów, kiedy potrzebował coś wypić.

Wyjął z kieszeni telefon i sprawdził, czy działa - a nuż przypadkiem go wyłączył, a tymczasem Cleo oddzwoniła.

Pomyślał przez chwilę, jak tam idzie Glennowi Bransonowi, nieco niespokojny o przyjaciela. W tym zwalistym ciecie, dzięki któremu na pewno był wspaniałym wykidajką w klubie nocnym, krył się bardzo wrażliwy facet. Czasami, cholera, zbyt wrażliwy i zbyt dobry.

- Kwas siarkowy - powiedział w zamyśleniu Potting. Uniósł szklanekę i pociągnął długi łyk.

Grace popatrzył na niego. Biedaczysko nie grzeszył urodą - prawdę mówiąc, był dość szpetny. Pomimo jego wad zrobiło mu się trochę żal starszającego się detektywa, gdyż nagle uświadomił sobie, że za fanfaronadą kryje się smutny, samotny człowiek.

Potting odstawił szklanekę na podkładkę, sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął fajkę. Wsadził ją do ust, po czym z drugiej kieszeni wyjął pudełko zapalek. Nick Nicholl przyglądał się temu zafascynowany.

- Palileś kiedy, chłopie? - zagadnął Potting.

Młody detektyw pokręcił głową.

- Tak myślałem; nie ten typ. Dbasz o formę, co?

- Staram się. - Nicholl pociągnął mały łyk piwa. - Mój tata palił. Zmarł w wieku czterdziestu ośmiu lat na raka płuc.

Potting uciszył się na chwilę. Potem zapytał:

- Papierosy?

- Dwadzieścia dziennie.

Potting dumnie uniósł w górę fajkę.

- Widzisz, to jest różnica.

- Nick jest dobrym runnerem - wtrącił się Grace. - Chcę go jesienią skaperować do mojej drużyny rugby.

- Sussex potrzebuje w tej chwili dobrych runnerów - odparł Potting. - Muszą dziś zdobyć cholernie dużo „runów”. Ależ dali wczoraj ciała! Trzech na dziesięciu wyeliminowanych! Pieprzony Surrey! - Potarł zapalnik i zapalił fajkę, wypuszczając wprost na Grace'a kłęb obrzydliwie słodkiego dymu.

Pociągał raz po raz, dopóki komin jego fajki nie rozjarzył się jednolitym, jasnym żarem.

Normalnie Grace lubił zapach tytoniu fajkowego, ale nie tego ranka. Ruchem ręki odpędził od siebie dym, patrząc jak jego kłęby ciężko i leniwie unoszą się pod zabarwioną nikotyną sufit. Zamordowanie Reggiego D'Eatha mogło być zbiegiem okoliczności, pomyślną. Ten człowiek był świadkiem koronnym w procesie przeciw członkom dużej międzynarodowej siatki pedofilów. Na pewno paru ludzi miało powody, by go uciszyć.

Jednak to, co znaleziono w tamtych dwóch komputerach, zdawało się wskazywać na inną ewentualność. Bryce'a ostrzegano, żeby nie kontaktował się z policją. Zignorował - słusznie - to ostrzeżenie, a policyjne badanie jego komputera wykazało związek z pecetem Reggiego D'Eatha. Niespełna dwadzieścia cztery godziny później D'Eath już nie żył.

Rozległa się irytująca sygnaturka z automatu do gry, po niej cała seria następnych, brzęących jak na ksylofonie. Potting i Nicholl byli teraz całkowicie pochłonięci rozmową o krykiecie, a Grace jeszcze głębiej pogrążył się we własnych myślach. Pogrążył się w nich tak głęboko, że nawet kiedy już siedzieli w samochodzie, z trudem dotarła do niego pewna informacja, którą nagle ujawnił Norman Potting, powracając od tematu krykieta do Reggiego D'Eatha.



## ROZDZIAŁ 51

Lekarka z pogotowia weterynaryjnego, która przedstawiła się jako Dawn, trzydziestoparoletnia Australijka o wyglądzie babochłopa, przykucnęła przy nadal bardzo sennej Lady. Odciągnęła jej lewą powiekę i zbadła oko, świecąc latarką punktową. Max i Jessica przyglądali się temu z przejęciem. Tom stał przy dzieciach, otaczając je ramionami.

Detektyw, Glenn Branson, wyszedł na dwór zatelefonować.

Tom wpatrywał się w psa, nie mogąc zebrać myśli. Wczoraj rano poszedł na policję, ignorując otrzymane e-mailem ostrzeżenie. I oto Kellie zaginęła, a samochód znaleziono doszczętnie spalony.

Jezu, kochanie, gdzie ty jesteś?

\*

Branson stał na ulicy w olśniewającym porannym słońcu, z telefonem przy uchu, rozmawiał z funkcjonariuszką służby kontaktu z rodzinami, Lindą Buckley, i umawiał się z nią, że ma przyjechać prosto do domu Bryce'ów.

Gdy tylko skończył rozmowę, telefon zadzwonił. Był to Dudley Bunting z Brytyjskiej Policji Kolejowej, który oddzwaniał po wcześniejszym telefonie Bransona. Glenn powiedział mu, czego szuka i że sprawa jest bardzo pilna. Bunting obiecał, że odezwie się ponownie jak najszybciej.

- Ale żeby to było dzisiaj - powiedział Branson. - Nie za trzy tygodnie. Da się zrobić?

W głosie Buntinga słychać było wahanie.

- Dziś jest niedziela.

- Tak, wiem, powinienem być w kościele. A jestem tu z facetem, który by chciał spędzić ten dzień ze swoją żoną, i z dwójką dzieciaków, które by go chciały spędzić ze swoją mamą. Tylko że wygląda na to, że ktoś ją w nocy porwał. Więc może, kurwa, zechciałby pan poświęcić niedzielną pieczeń u teściów i kiwnąć dla mnie palcem w bucie?

Bunting zapewnił go, że zamierza zastosować maksymalną dynamikę palcowania.

Podczas tej rozmowy pojawiło się kolejne połączenie - dzwoniła Ari. Branson zignorował to. Kiedy zakończył rozmowę, na wyświetlaczu pojawił się sygnał esemesa, któremu towarzyszyły dwa ostre piknięcia.

Sierżant spojrział na napis w oknach siłowni po drugiej stronie ulicy. „Gym and Tonic”. Dobra nazwa, pomyślał. Tak, podobała mu się. Zaciśniętą pięścią wypróbował swoje mięśnie brzucha. Wciąż jeszcze miał kaloryfer, ale powinien niebawem powrócić do siłowni; w swoim czasie chodził do niej codziennie; teraz, pomyślał ze skrucją, w najlepszym razie dwa razy w tygodniu.

Było jednak coś innego, co budziło w nim o wiele większe poczucie winy, kiedy spoglądał na bezchmurne niebo, czując na twarzy cudowne ciepło słońca.

Jego żona Ari - i jego dzieci.

Sammy miał zaledwie osiem lat, a Remi trzy; tęsknił za nimi w każdej minucie dnia, kiedy był z dala od nich. Tylko że ostatnio był z dala od nich prawie zawsze. Praca coraz bardziej wypełniała jego życie.

Odsłuchiwał nagranie dopiero co pozostawione przez Ari na poczcie głosowej - krótkie i sarkastyczne w tonie; z każdym dniem były krótsze i bardziej sarkastyczne.

- Glenn, idę z Sammym i Remi na plażę; byłoby miło, gdybyś się do nas przyłączył, zwłaszcza że to był twój pomysł. Dzieci całkiem

chętnie by się spotkały z ojcem w czasie weekendu, przynajmniej na godzinę. Może byś zechciał oddzwonić. Tu mówiła Ari, twoja żona, o ile pamiętasz.

Westchnął ciężko. Coraz częściej sprzeczała się o jego godzinę pracy. Wyglądało na to, iż Ari już zapomniała, że tydzień temu wziął sobie wolne na cały weekend, zrzucając swoją robotę na szerokie barki Grace'a, po to żeby mogli pojechać do Sollihull na trzydzieste urodziny jej siostry.

Problem Glenna polegał na tym, że był ambitny; chciał się wspinać po szczeblach służbowej drabiny, tak jak kiedyś Roy Grace. Ale to oznaczało, że praca po godzinach nie była zjawiskiem przejściowym. Tak miało być przez najbliższe dwadzieścia lat.

Wielu jego kolegom praca wystawiała na ciężką próbę ich życie małżeńskie; czasem wyglądało na to, że tylko wtedy gdy policjant poślubił policjantkę, oboje rozumieli zwariowane godziny pracy partnera i pozostawali w szczęśliwym związku. Przyjdzie taki moment, że będzie musiał zdecydować, co jest dla niego ważniejsze - praca czy rodzina.

Była w tym doprawdy ironia losu. Wkrótce po narodzinach Sammy'ego, Glenn Branson, który pracował wtedy jako bramkarz w klubie nocnym, zdecydował, że chce, aby jego syn w przyszłości mógł być dumny z tego, co on robi - i wstąpił do policji hrabstwa.

Już miał wybrać numer Ari, gdy ktoś nagle odezwał się za jego plecami. Był to Tom Bryce. Wyglądało na to, że jest w złym stanie; błady, ze strachem w oczach.

- Moglibyśmy spokojnie porozmawiać, panie sierżancie? - zapytał.

- Oczywiście.

Wsiadli do służbowego mondeo Bransona i zamknęli drzwi.

- Chciałbym zapytać, czy sądzi pan, że coś nam grozi? Czy mam zabrać gdzieś dzieci? Ukryć się gdzieś z nimi?

Detektyw nie był pewny, co ma odpowiedzieć. Milczał przez dłuższą chwilę, myśląc o strasznej śmierci Janie Stretton i ostrzeżeniu

otrzymanym e-mailem przez Bryce'a. I o jego zaginionej żonie. Nie wiedział co ma odpowiedzieć, ponieważ po prostu brakowało mu danych. Ale co by było, gdyby to się zdarzyło jemu, i to Ari by zniknęła? Czy mógł uczciwie, patrząc Tomowi Bryce'owi w oczy, powiedzieć, że ma siedzieć i czekać? Lecz jakie były inne możliwości? Całodobowa ochrona policyjna? Wątpił, czy da się ją załatwić, o ile nie pojawi się o wiele silniejszy materiał dowodowy, który przekona Alison Vosper, by poszła na takie koszty. Przenieść ich do bezpiecznego lokalu? Pół godziny temu zadzwonił do niego Roy Grace i powiedział o Reggie D'Eathu. To tyle, jeśli chodzi o bezpieczne lokale.

- Sądzę, że musimy wziąć pod uwagę możliwość, iż pańska żona została porwana, panie Bryce.

Tego właśnie Tom się obawiał, aczkolwiek chodziła mu jeszcze po głowie pewna mała, dręcząca myśl. Raz po raz powracały do niego słowa Jessiki.

*Pewnie będzie chciała tylko pic wódkę. Widziałam. Obiecałam, że nie powiem.*

- Zamówiłem funkcjonariuszkę służby kontaktu z rodzinami - mówił detektyw. - Jest bardzo kompetentna; wprowadzi się tu, jeśli pan się zgodzi. Wspólnie z kolegą podzielą się dyżurami, aby zapewnić panu i dzieciom całodobową ochronę.

- Tak właśnie by pan zrobił na moim miejscu?

- Tak - odpowiedział z wahaniem. - Tak. Przynajmniej na razie. Zobaczymy, co się dziś okaże.

Glenn Branson spuścił wzrok, gdyż nie był w stanie patrzeć mu w oczy dłużej niż sekundę. A wymawiając te słowa, myślał: Gdyby to chodziło o mnie, czy chciałbym, żeby Sammy i Remi zostali w domu?

I nie umiał na to pytanie odpowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 52

- Ziemniaki - powiedział nagle Norman Potting.

Trzej policjanci wracali samochodem z pubu w Rottingdean do Sussex House. Prowadził Nick Nicholl. Kwaterka piwa, którą zapił tabletki paracetamolu, oraz zarwana noc, wszystko to sprawiło, że Grace'a ogarniała senność.

- Ziemniaki? - powtórzył jak echo Nicholl.

- Wychowałem się na wsi - rozwijał temat Potting. - Mój tata spryskiwał uprawy ziemniaków kwasem siarkowym. Wiadomo, rozcieńczonym. Nigdy mi się nic nie stało.

- Kwas siarkowy i ziemniaki? Żartujesz!

Słowa „kwas siarkowy” przykuły uwagę Grace'a.

- Ja nigdy nie żartuję, przyjacielu - odparł Potting. - Kwas zabija kielki, co bardzo ułatwia zbiory.

- A zabija kogoś, kto zje te ziemniaki? - zapytał Grace.

- To wszystko kit - stwierdził Potting. - Wszystkie te makrobiotyczne pierdoły. Odrobina najzwyczajniejszych pestycydów nikomu nie zaszkodzi. Spójrz tylko na mnie!

- No, patrzę - mruknął Nicholl, spoglądając w lusterko.

- W życiu nie byłem na chorobowym! Bo jesteś chory z natury, pomyślał Grace.

- W odpowiednich rękach to rzecz nieszkodliwa.

- Nie sądzę, aby Reggie D'Eath się z tobą zgodził - zauważył Grace.

- Dałbyś dzieciakom do jedzenia ziemniaki spryskiwane kwasem siarkowym? - spytał Nicholl Pottinga.

- Oczywiście.

- A ja nie.

Po chwili milczenia Potting zapytał:

- Ile masz dzieci?

- Pierwsze w drodze, lada dzień - odpowiedział detektyw. - A ty?

- Dwoje z pierwszego małżeństwa. Jedno z drugiego. Jeszcze dwoje z trzeciego. Z tego młodsza, Suzie, ma zespół Downa. Inna rzecz, że nieczęsto je, łobuziaki, widuję - dodał tęsknie.

Nicholl był wyraźnie wstrząśnięty.

- Downa?

Potting pokiwał głową.

- Współczuję - powiedział Nicholl.

Stary detektyw wzruszył ramionami.

- Tak to bywa - stwierdził ze smutkiem. - Dobre z niej dziecko, zawsze taka wesolutka. - Znów wzruszył ramionami. - W każdej rodzinie coś bywa, nie?

- Nadal jesteś żonaty? Z tą trzecią żoną?

Potting zmarmotniał.

- Dałem sobie spokój. - Przygryzł wargi. - Jestem teraz wolnym jak ptak kawalerem, podobnie jak tu obecny komisarz Grace. Bierz ze mnie przykład, chłopie, tak jest najlepiej.

- Właściwie to jestem bardzo szczęśliwy w małżeństwie - stwierdził Nicholl.

- Szczęściarzem z ciebie - podsumował Potting.

- A więc, żeby znaleźć kogoś, kto ma dość kwasu siarkowego, by wypełnić nim wannę, powinniśmy szukać wśród rolników uprawiających ziemniaki? - spytał Grace, odwracając głowę do tyłu.

- Albo kogoś, kto zaopatruje rolników - odparł Potting. - Albo wytwórcie leków. Albo producentów kwasu cytrynowego, kwasu

mlekowego i olejów jadalnych. Klejów, materiałów wybuchowych, gumy syntetycznej. Oczyszczalnie ścieków i stacje uzdatniania wody. Papiernie. Garbarnie. Akumulatory samochodowe.

- Zgłoś się do teleturnieju „Mastermind” - zaproponował Nicholl - podając jako specjalność kwas siarkowy.

- Parę lat temu pracowałem przy takiej sprawie. Jakiś koleś w Croydon chlusnął tym w twarz swojej dziewczynie, kiedy go rzuciła. Widocznie w jednym z krajów afrykańskich jest to powszechna praktyka.

- Przyjemniaczek.

- Normalnie sam urok i wdzięk. Takie już te czarnuchy są.

Grace aż posiniał.

- Norman, gdybyś przypadkiem nie zauważył, jeden z członków naszego zespołu jest czarnoskóry. Jeśli usłyszę od ciebie jeszcze choćby jedną rasistowską czy homofobiczną odzywkę, każę cię zawieść. Czy wyrażam się jasno?

Potting odezwał się po paru sekundach milczenia:

- Przepraszam, Roy. To nie było taktowne z mojej strony. Sierżant Branson to porządny gość.

Pomimo że czarny? - miał ochotę wypalić Grace w odpowiedzi. Zamiast tego powiedział:

- Żeby napełnić wannę, trzeba by mieć tego co najmniej kilkadziesiąt litrów. Sąsiedzi musieli coś widzieć. Te wszystkie cholerne nalepki straży sąsiedzkiej. Mam dla ciebie dwa zadania, Norman. Po pierwsze, dowiedz się od grupy, która robiła wywiad środowiskowy, czy na ulicy nie pojawiały się w ostatnich dniach jakieś obce pojazdy. Po drugie, dowiedz się, czy w okolicy są jacyś dostawcy, względnie użytkownicy, dużych ilości kwasu siarkowego.

- Czy mam najpierw skończyć przedzieranie się przez księgowość agencji Barry and Claire Usługi Towarzyskie Dwadzieścia Cztery na Siedem, szefie?

- Będziesz musiał robić parę rzeczy naraz, jak my wszyscy, Norman.

Dwa ostre sygnały powiadomiły Grace'a o nadejściu esemesa. Spojrzał na wyświetlacz. Od Cleo. To od razu podniosło go na duchu. Lecz kiedy go przeczytał, nastrój mu się popsuł. A raczej sięgnął dna.



## ROZDZIAŁ 53

Kabina projekcji wideo w centrum koordynacji była maleńkim pozbawionym okna pomieszczeniem o parę metrów korytarzem od GCK Jeden. Choć znajdowali się w niej tylko Glenn Branson i Tom Bryce, obaj mieli wrażenie tłoku i klaustrofobicznej ciasnoty. Zdaniem Bransona to kolejny przykład tego, jak kiepsko przemysłana została adaptacja budynku.

Tom Bryce siedział przy biurku, mając przed sobą monitor, a po lewej odtwarzacz DVD i CD. W maszynie znajdowały się zapisy z dwóch kamer przemysłowych zainstalowanych na dworcu kolejowym Preston Park, pierwszej stacji na północ od Brighton, z której regularnie korzystali dojeżdżający do pracy, zarówno ze względu na jej korzystną lokalizację w stosunku do peryferii Brighton, jak i z uwagi na darmowe parkowanie na pobliskich ulicach. Była to stacja, gdzie wysiadł ten złamas, który siedział koło niego we wtorek wieczorem i zostawił w pociągu płytę CD.

Posterunkowy Bunting spisał się na medal. W ciągu dwóch godzin od telefonu Glenna do Brytyjskiej Policji Kolejowej dostarczył mu zapis z południowego peronu dworca Preston Park w chwili przyjazdu pociągu, którym jechał Tom.

Tom starał się skupić, ale szło mu to z trudnością, ponieważ odchodził od zmysłów z powodu Kellie. Miał dreszcze, gdyż cały dzień nie jadł i wypił o wiele za dużo mocnej kawy. Miał wrażenie, jakby żołądek był wypełniony drutem kolczastym. Nagle zadzwoniła jego komórka.

Spojrzał na wyświetlacz, ale nie rozpoznał numeru.

- Może lepiej odbiorę - powiedział. Branson skinął głową.

To była Lynn Cottesloe, serdeczna przyjaciółka Kellie, która również mieszkała w Brighton. Dzwoniła, żeby zapytać, czy coś wiadomo i czy ona i jej mąż mogliby jakoś pomóc. Może trzeba przynieść coś do jedzenia? Pomóc przy dzieciach? Tom podziękował, odpowiadając, że dyżurują tam funkcjonariusze służby kontaktu z rodzinami. Poprosiła, żeby zadzwonił do niej, gdy tylko coś będzie wiedział, a on obiecał, że tak zrobi. Następnie powrócił do swego zadania.

Pierwsza kamera pokazywała całą długość peronu z jakiegoś wysoko położonego punktu obserwacji. Pociąg właśnie zajeżdżał na stację. Na zegarze w prawym górnym rogu wyświetlały się cyfry 19.09.

- To pociąg linii Thameslink ze stacji London Bridge - objaśnił Glenn Branson. - Pański będzie za parę minut.

Tom przewinął nagranie do przodu w przyśpieszonym tempie i zwolnił, kiedy na torze pojawił się kolejny pociąg. Jego nerwy napięły się. Pociąg zwolnił i zatrzymał się. Drzwi otworzyły się i około trzydziestu osób wysiadło na peron. Wcisnął stop-klatkę i uważnie przyjrzał się każdej z postaci.

Ani śladu złamasa.

- To jest ten właściwy pociąg? - zapytał.

- Zdecydowanie. Pośpieszny 18.10 z Victoria Station. Ten, którym, jak pan powiedział, jechał - odpowiedział Branson. - Niech pan puści trochę dalej; może jeszcze ktoś wysiądzie.

Tom wcisnął przycisk „play” i wszyscy ci ludzie znów ożyli. Przyglądał się drzwiom wagonów, z których wiele już ponownie zamknięto, starając się odtworzyć w myśli, w którym wagonie jechał. To musiał być gdzieś czwarty od przodu, oszacował w przybliżeniu, kiedy teraz na to patrzył.

I nagle go zobaczył.

Mężczyzna o dużym ciele i twarzy dziecka, ubrany w koszulę w stylu safari i bezkształtne spodnie, ściskający w ręku niewielką torbę podróżną, schodził właśnie na peron, rozglądając się ostrożnie wokół,

jakby zanim wysiądzie, chciał się upewnić, że teren jest czysty.

Czysty, ale w jakim sensie? - zastanawiał się Tom, wciskając stop-klatkę.

Grubas zamarł w pół kroku, z lewą nogą w adidasie uniesioną, z twarzą skierowaną lekko w stronę kamery, raczej nie zdaje sobie sprawy z jej obecności. Choć wyraz głębokiej konsternacji na twarzy był całkowicie czytelny.

Tom znów wcisnął przycisk i po chwili tamten, który widocznie postanowił się nie przejmować, ruszył niemal rażnym krokiem w stronę wyjścia z peronu. Tom zastopował obraz i powiedział:

- To on.

Branson wpatrywał się z napięciem w postać mężczyzny.

- Może pan dojedzie do jego twarzy.

Tom poszukał odpowiedniego przycisku, po czym, trochę nierówno, dojechał do zbliżenia twarzy złamasa.

- Jest pan pewien?

Tom kiwnął głową.

- Tak. To on. Absolutnie.

- Nie ma mowy o pomyłce?

- Nie.

- To bardzo interesujące - stwierdził sierżant.

- Pan wie, kto to jest?

- Owszem - odparł Branson ponurym głosem. - Wiemy.

## ROZDZIAŁ 54

Dochodziła siedemnasta. Sierżant Jon Rye siedział przy swoim biurku w dziale przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie, wciąż pracując nad komputerem Toma Bryce'a, kiedy na jego biurku zadzwonił telefon miejski. Podniósł słuchawkę.

- Jon Rye, słucham - odezwał się.

- Dzień dobry. Mówi Tom Bryce... Właściwie to akurat jestem w tym samym budynku, w kabinie telewizji przemysłowej ... Tak sobie pomyślałem, że gdyby mój komputer był gotowy... to... mógłbym wpaść po niego. Chciałbym dziś wieczorem popracować. Jutro mam... bardzo ważne spotkanie, do którego muszę się przygotować. Jak panu idzie?

Okropnie to brzmi. Chce sobie popracować, a ja muszę iść do domu i ratować moje małżeństwo, pomyślał Jon Rye. O tak późnej godzinie w sobotę po południu w dziale oprócz niego był jeszcze tylko Andy Gidney, siedzący nieopodal w głębi sali. Czyżby obaj byli żalonymi smutasami?

Gidney, jak zwykle ze słuchawkami od iPod'a w uszach, siedział zgarbiony nad klawiaturą przy biurku zarzuconym pustymi puszkami po coli oraz plastikowymi kubkami po kawie z automatu i nie-strudzenie klikał, próbując złamać kod, nad którym pracował cały tydzień.

Rye martwił się o tego szajbusa - wyglądał mu na straconą duszę. On przynajmniej po wyjściu z budynku miał dom, do którego mógł

pójść. Może Nadine czasami bywała skwaszona, ale był dla niego posiłek na stole, były dzieci, z którymi mógł sobie porozmawiać. Coś w rodzaju normalności. Jaką normalność miał Gidney?

Prawda, pomyślał, jakąż normalność mają wszyscy tutaj? Nie wyłączając jego samego. Zwykle całymi tygodniami muszą oglądać porno na zarekwirowanych komputerach. A z tego ogromna większość to nie były rozpalające wyobraźnię ani przyjemne widoki z rozkładówek „Playboya”, tylko mężczyźni w średnim wieku z dwuletnimi dziećmi, Coś, czego on nigdy, choćby żył trylion lat, nie pojmie. Co ludzi w takich rzeczach podnieca? Jak mogą to robić z niewinnymi dziećmi? Jak może czterdziestodwulatek odbywać stosunek analny z małym dzieckiem? I potem żyć ze świadomością tego, co zrobił?

A niestety, odpowiedź brzmiała: aż za łatwo i aż za często.

Dokładnie wiedział, co by zrobił, gdyby złapał kogoś na dobieraniu się do jego dzieci, kiedy były małe. Nie obyłyby się bez brzytwy i lampy lutowniczej.

Nagle rozległo się brzęczenie dziwacznych elektronicznych szumów, ku irytacji Rye'a brzmiących coraz bardziej znajomo. Komórka Gidneya. Szajbus wyjął z jednego ucha słuchawkę iPoda i odebrał telefon, odzywając się bezbarwnym, wyzutym z wszelkich emocji tonem:

- No cześć.

Rye wiedział z grubsza, gdzie mieszka Gidney - na północ od parku The Level, w stronę wyścigów konnych, w kawalerce. Był to obszar pełen wiktoriańskich i edwardiańskich domów w zabudowie szeregowej, zbudowanych pierwotnie jako mieszkania dla rzemieślników, obecnie w znacznym stopniu zmonopolizowanych przez studentów i młodych singli. Co będzie czekało tego szajbusa w domu - zakładając, że kiedyś tam wróci? Puszka fasoli na kuchence jedнопalnikowej? Ekran kolejnego komputera? „Guardian” - przychodząc do pracy, zawsze miał go pod pachą, choć nie wydaje się, żeby kiedykolwiek czytał - i stos czasopism technicznych?

- Potrzebuję jeszcze pół godziny - powiedział Rye do Toma Bryce'a. - Może pan zaczekać, czy woli pan, żebym go panu podrzucił w drodze do domu?

- Tak. Ja... ja mam dzieci... Muszę wracać do domu. Dziękuję panu - odpowiedział Tom Bryce. - Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mógł go pan podrzucić.

- Dobra. Mam pański adres. Będę u pana najszybciej jak mi się uda.

Spojrzał na zegarek, żeby się upewnić, czy zdąży jeszcze dotrzeć do domu na jedyny w tygodniu program telewizyjny, od którego był uzależniony, magazyn motoryzacyjny Top Gear. Choć już od paru lat nie pracował w drogówce, wciąż miał nieuleczalną szajbę na punkcie motoryzacji.

Kiedy odłożył słuchawkę, zobaczył, że Gidney w skafandrze i z plecakiem kieruje się do wyjścia. Bez pożegnania. Boże, on zawsze był taki - zero manier!

\*

Badanie komputera zajęło Rye'owi więcej czasu niż planował, i kiedy skończył, uświadomił sobie, z lekkim tylko poczuciem winy, że minęło już ponad półtorej godziny, odkąd rozmawiał z Tomem Bryce'em. W końcu zamknął jego laptopa i już miał wstać, kiedy zadzwonił telefon.

Dzwonił dyżurny z centrali w budynku komendy policji, Mailing House, która obsługiwała mniej pilne telefony od obywateli.

- Czy to dział przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie? - zapytał.

Rye wziął głęboki oddech, walcząc z pokusą, by powiedzieć natomiastu, że to pomyłka.

- Sierżant Rye przy telefonie.

- Dzwoni do mnie pan, który się skarży, że ktoś bez jego pozwolenia korzysta z jego bezprzewodowego łącza internetowego.

- No nieeee! - Rye omal nie wybuchnął. Naprawdę nie miał czasu na coś takiego. - Jeśli ma bezprzewodowe łącze i chce je zabezpieczyć, wystarczy, że uruchomi kod dostępu!

- Może mógłby pan z nim porozmawiać, panie sierżancie? - podsunął dyżurny. - To już trzeci telefon od tego pana zanotowany przez nas w tym miesiącu. Zdaje się, że jest trochę wzburzony.

Witam w klubie, pomyślał Rye.

- Proszę łączyć - powiedział niechętnie.

Po chwili usłyszał starczy męski głos mówiący z gardłowym, niemieckim akcentem.

- No tak. Dzień dobry, moje nazwisko Andreas Seiler. Jestem inżynierem w tej chwili już na emeryturze, ale w swoim czasie budo-wałem mosty.

Nastąpiło milczenie wypełnione tylko szumem zakłóceń. Rye od-czekał chwilę.

Potem, by przerwać milczenie - i sprawdzić, czy tamten się nie rozłączył - odezwał się:

- Mówi sierżant Rye z działu przestępczości wykorzystującej za-awansowane technologie. Czym mogę służyć?

Mostu mi pilnie nie potrzeba, miał ochotę dodać.

- Tak, dziękuję. Ktoś kradnie mój internet.

Rye spojrział na zegar na ekranie swojego komputera. Za pięć pół do siódmej. Chciał tylko zakończyć tę rozmowę i iść do domu. A dyżurny mógł wspomnieć, że ten cholerny człowiek brzmi, jakby ledwie co mówił po angielsku.

- Kradnie pański internet. Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli. Halo?

- Pobieram w załączniku od kolegi z mojej dawnej firmy plan mostu, który oni do portu w Kuala Lumpur projektują. A mój inter-net zwalnia tak bardzo, że plan się nie ładuje. To się już zdarza wcześniej.

- Myślę, że ma pan jakiś problem albo z dostawcą internetu albo z komputerem. Na początek powinien się pan zwrócić do serwisu technicznego dostawcy.

- No, tak zrobiłem, oczywiście. I sprawdziłem komputer. Nie ma żadnych problemów. To jest na zewnątrz. Ja myślę, że to taki człowiek w białej furgonetce.

To troszeczkę zaintrygowało Rye'a. Aczkolwiek coraz bardziej irytował go ten stary bałwan, który marnował mu czas.

- Jakiś człowiek w białej furgonetce spowalnia pańskie łącze internetowe?

- Ja, zgadza się.

- Przepraszam, panie... - Rye zerknął na swoje notatki - panie Seiler. Nie bardzo wiem, co mam o tym myśleć. Gdzie pan właściwie jest?

- Jestem ze Szwajcarii, ale tu pracuję, w Brighton.

- W jakiej części Brighton?

- Freshfield Road.

- Aha.

Rye dobrze znał to miejsce. Była to wyjątkowo szeroko ulica, na wzniesieniu, z jedno- i dwupiętrowymi domami z cegły, przy czym wiele z tych większych podzielono na mniejsze mieszkania.

- Pańskie łącze jest szerokopasmowe?

- Szerokopasmowe, tak.

- Ma pan podłączenie bezprzewodowe?

- Pan ma na myśli AirPort? Wi-Fi?

- Tak, proszę pana.

- Ja, mam to.

Rye uśmiechnął się do siebie, wiedząc już, na czym polega prawdopodobnie problem.

- Czy pańskie łącze jest zabezpieczone kodem?

Starszy pan odpowiedział z wahaniem:

- Kodem? Nie sądzę. Mieszkam w mieszkaniu syna, wie pan; to jego komputera używam.

- Nie musi pan wprowadzać hasła, żeby korzystać z szerokopasmowego łącza?

- Żadne hasło, nie.

Kiedy nie ma hasła, każdy przechodzień z bezprzewodową kartą sieciową w laptopie może się zalogować do internetu, wykorzystując



cudze szerokopasmowe łącze bezprzewodowe. Rye sam tak parę razy zrobił, przypadkowo, siedząc z otwartym laptopem w radiowozie. No i, pomyślał z lekkim poczuciem winy, nigdy nie zadał sobie trudu, żeby zabezpieczyć hasłem bezprzewodowe łącze u siebie w domu.

- Czy ta furgonetka wciąż jeszcze tam stoi?

- Tak, zgadza się.

- Może pan odczytać rejestrację?

Stary szwajcarski inżynier odczytał mu ją. Rye zapisał numery w swoim bloczku, właściwie bez powodu.

- Najlepsze, co mogę panu doradzić, to żeby pan uruchomił kod dostępu, i w ten sposób zamknął mu drogę do swojego łącza.

- Porozmawiam z synem.

- Dobry pomysł, proszę pana.

Rye zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Następnie, ponieważ miał tego wszystkiego dość, postanowił: niech cała policja hrabstwa się dowie, że za dwadzieścia siódma, kurczę, w niedzielę wieczorem, on jest jeszcze w biurze. Dlatego postanowił wpisać ten telefon do dziennika w programie Vantage jako oficjalne zdarzenie.

Wystukał własne nazwisko i dział, wprowadził numery rejestracyjne i opis furgonetki, tak nieprecyzyjny, jaki podał mu starszy pan, a samo zdarzenie opisał następująco: „War driving\*. Sierżant Rye załatwił telefonicznie”.

To była dziecinada, miał tę świadomość, ale cholernie poprawił mu się humor.

Miało to też przynieść pewien skutek, którego nie mógł przewidzieć.

\* War driving (od ang. *WAR*, czyli *Wire Access Revolution* - rewolucja bezprzewodowego dostępu - i *driving* - jazda samochodem) - zabawa w wyszukiwanie miejsc, w których dostępne są sieci bezprzewodowe (przyp. tłum.).

## ROZDZIAŁ 55

- Znalazłam w zamrażalniku lazanie - oznajmiła funkcjonariuszka sekcji kontaktu z rodzinami, gdy Tom wszedł do kuchni z Jessica uwieszoną na jednej nogawce i Maksem na drugiej, tak jakby się oboje bali, że jeśli go puszcza, zniknie tak samo jak ich matka. - Chciałby pan, żebym zrobiła ją wam na kolację?

Tom popatrzył na posterunkową Buckley w osłupieniu; myśl o kolacji nawet mu dotąd nie przyszła do głowy. Wciąż miał przed oczami wyraz twarzy sierżanta Bransona, kiedy wskazał na materiały złamasa z pociągu.

Rozmyślał o tej jego dziwnie lakonicznej odpowiedzi na pytanie, czy wie, kto to jest: „Owszem. Wiemy”.

I późniejszej odmowie ze strony detektywa udzielenia jakichkolwiek dalszych wyjaśnień na ten temat.

Zwracając się do policjantki, Tom odpowiedział z roztargnieniem:

- Tak, dziękuję, doskonale.

- W lodówce jest trochę różności: pomidory, sałata, rzodkiewka. Mogłabym z tego zrobić jakąś surówkę.

- Świetnie - powiedział.

Lady wpadła w podskokach do domu przez psią kłapę, popatrzyła na Toma, raz szczeknęła i zamerdała ogonem, znowu zdrowa jak ryba.

- Jesteś głodna, Lady? - spytał Tom.

Znów szczeniła i popatrzyła na niego wyczekująco.

- Nie lubię surówki! - zaprotestował Max.

- Ja lubię tylko mamy surówkę! - dołączyła solidarnie Jessica.

- To jest mamy surówka - wtrącił Tom. - Mama ją kupiła.

- Ale jej nie robi, prawda? - odparł Max.

- Zrobi ją za to ta bardzo miła pani. - Tom podniósł psią miskę i zaczął ją napełniać psimi chrupkami. Następnie otworzył puszkę psiego żarcia. Lekarka nie była w stanie powiedzieć, co psu jest - pewnie po prostu jakaś infekcja. Detektyw spytał, czy to może być skutek jakiegoś środka usypiającego, na co odpowiedziała, że niewykluczone. Musiałaby przesłać próbkę krwi do laboratorium, a wynik analizy byłby za kilka dni. Branson poprosił, żeby to zrobiła.

- Znalazłam w zamrażalniku bardzo pyszne lody cytrynowe - powiedziała pogodnie funkcjonariuszka. - Po jedzeniu możecie dostać lody!

- Ja chcę lody mamy - powiedział Max.

- Ja chcę czekoladowe i truskawkowe - zażądała Jessica.

Tom i policjantka wymienili spojrzenia. Miała, jak się domyślał, trzydzieści parę lat, krótkie blond włosy, sympatyczną, szczerą twarz i wyglądała na osobę ciepłą, ale i kompetentną. Na kogoś, kto poradzi sobie prawie w każdej sytuacji. Wzruszył ramionami na znak, że mniejsza o to, postawił miskę na podłodze, po czym zwrócił się do Maksa.

- To są lody mamy. Tak?

Max podniósł na niego wielkie, okrągłe oczy, które jednak wydawały się zupełnie pozbawione wyrazu. Tom nie był w stanie nic w nich wyczytać, nie mógł się rozeznać w tym, co właściwie czuje jego syn. I córka.

Także on sam.

Koniecznienie chciał trochę bardziej szczegółowo wpytać Jessikę o tę wódkę, którą, jak twierdziła, pije Kellie. O co tu chodziło, do diabła?

- Ja nie lubię lodów cytrynowych - oświadczyła Jessica.

Tom przykucnął przy niej i otoczył ją ramionami.

- Dzisiaj nie mamy żadnych innych smaków. Jutro ci kupię czekoladowe i truskawkowe - co ty na to?

Nie doczekał się ze strony córeczki żadnej reakcji.

- Przytul tatusia, kochanie. Tatuś chce się przytulić.

- Kiedy mama wróci?

Zawahał się przez chwilę, zastanawiając się, co ma jej powiedzieć. Prawdę - że nie wie? Czy też pobożne kłamstwo? Łatwiej będzie skłamać.

- Niedługo. - Zamknął córeczkę w objęciach. - Czas na kąpiel?

- Ja chcę, żeby mnie mama wykąpała.

- Mama może wrócić dość późno, więc tatuś cię dzisiaj wykąpie.

Dobrze?

Naburmuszona, odwróciła wzrok. Z salonu głośniejszemu dobiegł dźwięk z telewizora: plumkanie muzyki, pisk opon, wysoki, amerykański głos podniesiony w proteście przeciw czemuś. Max oglądał „Simpsonów”. Dobrze. Przynajmniej będzie miał zajęcie aż do kolacji - a może powinien jego też wykąpać?

Nagle uświadomił sobie, jak mało wie o rozkładzie zajęć dzieci, o wszystkich sprawach domowych. Od wewnątrz ogarnęła go ciemna, zimna chmura i okropny strach. Jutro rano miał umówioną wielką prezentację dla Land Rovera. Ich dyrektor do spraw marketingu mówił o wielkim kontrakcie. Po prostu nie wiedział, jak sobie z tym poradzi, jeśli Kellie dziś nie wróci.

O Boże, moja słodka, śliczna Kellie, niech ci się nic nie stanie, proszę, wróć. Tak cię kocham.

Wniósł Jessikę po schodach na górę, następnie do jej sypialni, zamknął za sobą drzwi i posadził ją na łóżeczku. Usiadł przy niej.

- Jessica, czy tatuś może cię zapytać o coś, co powiedziałaś rano o mamusi? Ja powiedziałem, że jeśli mama wróci w porę, spytamy ją, co by chciała dziś robić, a ty odpowiedziałaś: „Pewnie będzie chciała tylko pić wódkę”. Pamiętasz?

Jessica spoglądała w milczeniu przed siebie.

- Pamiętasz, że tak powiedziałaś, kochanie?

Odparła gderliwie, z nadąsaną minką:

- Ty też pijesz wódkę.

- No, piję. Ale dlaczego tak powiedziałaś?

Z dołu nagle dobiegło szczekanie Lady. Potem rozległ się dzwonek u drzwi. Usłyszał, jak Max krzyczy na cały głos:

- Mama! Mama! Wróciła!

Tom, z sercem bijącym jak oszalałe w nagłym przypiływie euforii, zbiegł po schodach. Max już otwierał drzwi wejściowe.

Za nimi stał sierżant Jon Rye, ze skórzaną walizeczką Tomowego laptopa w ręku.

## ROZDZIAŁ 56

W niedzielę wieczorem Roy Grace, siedząc przy stanowisku roboczym swojego zespołu w GCK Jeden w towarzystwie większości załogi, przebiegał wzrokiem dziennik ostatnich zdarzeń w programie Vantage. Dochodziła ósma i choć nie czuł głodu, był rozdygotany - może z powodu obniżenia poziomu cukru, a może z nadmiaru kofeiny - albo z jednego i drugiego powodu; coraz trudniej było mu się skoncentrować.

Cleo Morey również nie była tu pomocna. Co parę minut powracała myślami do jej esemesa sprzed południa.

Sprawdzał najświeższe ustalenia dotyczące Reggiego D'Eatha, kiedy poczuł walnięcie w plecy.

- Heja, stary wiarusie!

Podniósł wzrok. Branson, który parę minut temu wypadł z sali, powrócił z wielkim pudłem pączków z pobliskiego supermarketu. Rozdzielił po jednym pomiędzy wszystkich członków zespołu.

Grace wziął swojego pączka i wstał zza biurka, żeby trochę rozprostować nogi. Branson przyłączył się do niego, gdy przechodził przez salę, i razem wyszli na korytarz.

- Dobrze się czujesz, staruszkule? Wyglądasz do dupy.

Grace ugryzł kęs pączka, oblizując lukier z warg.

- Dzięki.

Branson zniżył głos:

- I co, ptaszki ćwierkają, żeście sobie wczoraj pili z dzióbków z Cleo Morey w Latin in the Lanes.

Grace popatrzył na niego zaskoczony.

- Ach tak?

- To ona cię usidlili?

- Boże, ależ to miasto jest małe!

- Ta planeta jest mała, facet.

- Jak się dowiedziałeś, z kim byłem?

Sierżant przybrał poważną minę.

- Czegoś mnie nauczyłeś; jednej z podstawowych reguł, których powinien się trzymać dobry detektyw: trzeba zbudować własną siatkę informatorów.

Grace pokręcił głową, na wpół rozbawiony, na wpół poirytowany.

- Widziałeś film „Policja”? Gerard Depardieu był tam gliną, który opierał się na informatorach, żeby przechwycić transport narkotyków. Świetny film!

- Nie widziałem.

- Naprawdę dobry. On mi przypominał ciebie. Tylko że z większym nosem.

- Ja jestem podobny do Gerarda Depardieu?

Branson klepnął go po ramieniu.

- No nie, bardziej do Bruce'a Willisa.

- To już lepiej.

- Wyglądasz coś jak taki brat Bruce'a Willisa, któremu się mniej poszczyściło. Albo może ojciec.

- Ty to naprawdę umiesz człowieka podbudować na duchu. Wyglądasz jak...

- Jak kto? Will Smith?

- Chciałbyś, kurwa.

- No to opowiedz mi coś więcej o tobie i panie Morey.

- Nie ma o czym. Zjedliśmy razem kolację.

- Oczywiście w sprawach służbowych?

- Całkowicie.

- Nawet na tylnym siedzeniu taksówki? - naciskał Branson.

- Jezu! Czy każdy, kurwa, taksówkarz w Brighton i Hove jest twoim informatorem?

- No nie, tylko paru. Miałem szczęście.

Grace nie wiedział, czy ma być dumny z tego, że jego protegowany stał się takim sprawnym detektywem, czy też złościć się na niego.

Przerywając mu te rozmyślania, Branson zapytał:

- I co, podobały się jej twoje nowe ciuchy?

- Powiedziała, że potrzebny mi nowy stylistą, a ty jesteś totalnym kaszaniarzem.

Branson wyglądał na tak zranionego, że Grace'owi zrobiło się go żal.

- Nie martw się, właściwie to nic nie powiedziała.

- Cholera, to jeszcze gorzej!

- Mamy dwa zabójstwa i zaginioną kobietę; możemy zmienić temat?

- Nie zmieniaj tematu! Cleo Morey! Naprawdę jest ładna. Gdybym nie był szczęśliwie żonaty, czaisz? Tylko że jakby... jak ty to robisz, żeby nie myśleć, czym ona się zajmuje, facet?

- Nie przyniosła do restauracji żadnego ze swoich trupów, więc było łatwo.

Branson potrząsnął głową, tłumiąc uśmiech.

- No to dawaj. Rozdział i wiersz. Już nie bądź taki wstydlivy, mów!

- Nie mam się czego wstydzić. Ma chłopaka, rozumiesz? A właściwie narzeczonego. Jakoś zapomniała o nim wspomnieć.

- Jaja sobie robisz!

Grace wyciągnął telefon komórkowy i pokazał Bransonowi otrzymanego rano esemesa.

NIE MOGE TERAZ ROZMAWIAC. AKURAT SIĘ POJAWIL MOJ  
NARZECZONY. ZADZWONIE POZNIEJ. CXXX

Po dłuższej chwili Branson oznajmił:

- To przeszłość.



- To przyszło w południe. Wciąż nie zadzwoniła.

- Trzy buziaki. Zaufaj mi, on jest skończony.

Grace wepchnął do ust resztę pączka. Był tak dobry, że mógłby zjeść drugiego.

- To twoje kolejne przeczucie?

Sierżant spojrział na niego z ukosa.

- Nie zawsze mnie zawodzi.

Cleo nie miała dziś dyżuru. Gdyby miała, Grace wybrałby się na sekcję zwłok Reggiego D'Eatha, chociaż nie było to konieczne, jako że prowadzenie śledztwa w tej sprawie powierzono komu innemu.

- Zobaczymy - powiedział.

Przypomniał sobie powiedzonko swojej matki: „Czas pokaże”. Przeznaczenie. Matka głęboko wierzyła w przeznaczenie, lecz on nigdy w pełni nie podzielał tej wiary. To jej pomogło w dniach, kiedy umierała na raka. Kto wierzy w działanie jakiejś siły wyższej, która wszystko dla niego zaplanowała, ten w jakimś sensie ma szczęście. Ludzie obdarzeni głęboką wiarą religijną mogą rzec się wszystkich swych powinności, zdając się na Boga. Pomimo fascynacji zjawiskami nadprzyrodzonymi, Grace nigdy nie był w stanie uwierzyć w Boga, który miałby dla niego jakiś plan.

Powrócił na salę i podszedł do stanowiska roboczego. Na dużej białej tablicy przymocowane były zdjęcie Reggiego D'Eatha w wannie, które zrobił dziś rano, oraz fotografia Kellie Bryce -Branson przekazał je prasie i do wszystkich posterunków policji w Wielkiej Brytanii.

Jutro rano Cassian Pewe, ten bezczelny gnojek aspirant z metropolitana, miał z nim rozpocząć współpracę, zając się sprawami nierozwiązanymi. I można dać sobie głowę uciąć, że jeśli Grace nie będzie miał dla pani podinspektor prędko jakichś wyników w sprawie Janie Stretton, ona podeśle mu tego Pewe, żeby mu deptał po piętach.

Grace zwrócił się do Bransona:

- Glenn, na ile jesteś przekonany, że Tom Bryce nie zamordował swojej żony?

Za każdym razem, gdy kobieta znikła w podejrzanych okolicznościach, zawsze pierwszym podejrzany był jej mąż lub jej chłopak, dopóki śledztwo nie wykluczyło go z kręgu podejrzania.

- Tak jak mówiłem na odprawie przed godziną, jestem o tym głęboko przekonany. Przesłuchałem go tutaj przed kamerą, jeszcze zanim obejrzeliliśmy wspólnie ten materiał z kamery przemysłowej, i mogę przekazać to nagranie do sporządzenia portretu psychologicznego, ale nie sądzę, żeby to było potrzebne. Musiałyby zostawić dzieci same w domu w środku nocy, zamordować żonę, ukryć gdzieś jej ciało, potem pojechać na Ditchling Beacon, spalić samochód i przejść piechotą osiem kilometrów do domu. Mało prawdopodobne.

- Więc gdzie ona jest? Myślisz, że mogła dać dyla z kochankiem?

- Nie sądzę, żeby podpaliła swój samochód, i chyba by wzięła torebkę, coś do ubrania, no wiesz.

- Mogła podpalić samochód dla zmyłki. Branson obstawał przy swoim.

- Nie. Nie ma mowy.

- Chciałbym zobaczyć tego pana Bryce'a. Przejedźmy się tam.

- Teraz? Jeszcze dziś wieczór? Możemy podjechać, ale on jest dość przygnębiony i próbuje sobie poradzić z dziećmi. Załatwiłem mu dyżury SKzR. Wolałbym pojechać tam rano. Jeśli do tego czasu jego pani się nie pojawi.

- Rozmawiałaś z rodzicami tej opiekunki?

- Tak. Byli już w łóżku, dochodziła druga w nocy, kiedy córka wróciła. Zawołała do nich, że już jest w domu. Usłyszeli, jak samochód odjeżdża, to wszystko.

- A sąsiedzi?

- Nie ma ich wielu na tej ulicy, tam na „Nob Hill” \*. Obszedłem wszystkich. Nikt nic nie widział ani nie słyszał.

\* „Nob Hill” - tu: żartobliwe nawiązanie do wzgórza Nob Hill w San Francisco, które należy do najbardziej snobistycznych adresów w owym mieście (przyp. tłum.).

- Sprawdziłeś wszystkie kamery nadzorujące ruch uliczny?  
- Czekam. Przeglądają zapisy od pierwszej w nocy aż po godzinę zgłoszenia. Na razie nic.

- Czy dowiedziałeś się czegoś o małżeństwie Bryce'ów?

- Rozmawiałem z ich sąsiadami z jednej strony, parą starszych ludzi. On ma około trzech metrów wzrostu, a ona pali tak zawzięcie, że ledwie widziałem w pokoju jej twarz. Zdaje się, że jest trochę zaprzyjaźniona z panią Bryce. W nagłych sytuacjach pomaga im, opiekując się dziećmi i tak dalej. Co mi powiedziała - że mają kłopoty finansowe.

Grace, zaciekawiony, uniósł brew.

- Ach tak?

- W życiu byś się tego nie domyślił, patrząc na ich dom. A ten zajefajny grill, który wygląda jak centrum kontroli lotów w Houston, na pewno kosztował tysiące. Mają elegancką kuchnię, telewizorek plazmowy, fuli wypas.

- Stąd chyba te problemy finansowe - stwierdził Grace. - Może podpaliła samochód ze względu na ubezpieczenie?

Branson zmarszczył brwi.

- Nie pomyślałem o tym. Czy ktoś w ogóle zarabia na wypłacie ubezpieczenia samochodu?

- Warto sprawdzić, czy mieli go na własność, czy na kredyt. Czy go ostatnio nie próbowali sprzedać. Dział przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie ma już kopię twardego dysku jego laptopa. Niech sprawdzą, czy zamieszczał jakieś ogłoszenia w sprawie tego auta gdzieś na stronach takich jak Autotrader. Mogli wspólnie zaplanować to jej zaginięcie.

Im więcej Grace o tym myślał, tym bardziej się zapalał. Kłopoty finansowe, pomyślał. Być może jest to fałszywy trop, ale trzeba go zbadać. Ludzie, żeby się pozbyć długów, uciekają się czasem do bardzo pomysłowych wybiegów. Przyglądał się, jak Bella Moy sięgnęła po cukierka; ścieżka lukru prowadziła od jej pączka do krawędzi klawiatury. Nick Nicholl rozmawiał w głębokim skupieniu przez telefon.

Norman Potting także rozmawiał przez telefon, przegryzając się przez listę klientów agencji BCE-247, czym bez wątpienia powodował trochę zamieszania. Grace bynajmniej nie płonął z oburzenia na myśl o prostytutce - parę razy w ciągu minionych dziewięciu lat zdarzyło mu się sięgnąć po telefon i wybrać jeden z numerów z ogłoszeń towarzyskich w „Argusie”. Lecz za każdym razem czuł cień Sandy za plecami.

To samo przydarzyło mu się podczas krótkiego wakacyjnego romansu, kiedy raz jeden wykupił wycieczkę dla samotnych na grecką wyspę Paksos, co okazało się totalną katastrofą.

Uchyliły się drzwi i ukazała się wesola twarz dowódcy służby wsparcia na Sussex House, Tony'ego Case'a.

- Tak sobie pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, czy czegoś ci nie trzeba, Roy - powiedział.

- Dzięki, Tony, chyba nie. Ale bardzo dziękuję.

Case uniósł palec w geście pozdrowienia.

- To wszystko wliczone w usługę.

- Miłej reszty weekendu - życzył mu Grace.

Tony Case spojrzął na zegarek.

- Całych czterech godzin? Koń by się uśmieł, Roy.

Gdy funkcjonariusz służby wsparcia odszedł w głąb korytarza, Grace wpatrzył się w napisane jaskrawopomarańczową czcionką teksty w oknie programu Vantage, przeglądając kolejne meldunki w poszukiwaniu informacji o najnowszych działaniach dotyczących sprawy zamordowania D'Eatha. Nie musiał długo szukać. Przy okazji wywiadu środowiskowego objawił się pewien czujny sąsiad, który namierzył białą furgonetkę zaparkowaną przed domem Reggiego D'Eatha około siódmej wieczorem poprzedniego dnia. Sąsiad skrupulatnie zapisał numery furgonetki.

Kliknął dwukrotnie na tę wiadomość, chcąc poznać szczegóły. Policjant, który przesłuchiwał sąsiada, zwrócił się o sprawdzenie kartoteki pojazdu i otrzymał odpowiedź, że jest ona czysta. Wyznaczony do prowadzenia sprawy zamordowania Reggiego D'Eatha komisarz Dave Gaylor był bardziej doświadczony niż Grace.

Niewątpliwie zespół Gaylora rzuci się na tę furgonetkę, gdy tylko ją znajdą.

Podszedł Nicholl i pochylił się nad nim.

- Roy, przed chwilą zadzwonił do mnie menedżer pewnego lokalu, baru o nazwie Karma, w okolicach przystani, z którym wczoraj rozmawiałem. Właśnie przeglądali zapisy z kamer nadzoru z ostatnich paru tygodni: próbują zrobić porządek z działającymi w lokalu dilerami narkotyków. Otóż on uważa, że na jednej z taśm jest Janie Stretton.

Grace a zelektryzowała ta informacja.

- Jak szybko możemy to dostać?

- Wolałby, żebym podjechał do niego; te taśmy są mu potrzebne. Powiedział, że mogę je zobaczyć choćby zaraz.

- Teraz?

- Tak.

Grace zastanowił się przez chwilę. Nick Nicholl pracował w wydziale kryminalno-dochodzeniowym od niedawna i musiał się jeszcze wiele nauczyć. Młody detektyw był inteligentny, ale mógłby coś przegapić - a to wyglądało na ich pierwszy trop w tej sprawie. A może najważniejsze, żeby nie przeoczyć najmniejszej informacji, którą można by uzyskać przy jego sprawdzaniu.

- Przynies jej zdjęcia - powiedział Grace. - Pojadę z tobą. Zwrócił się z kolei do Bransona:

- Kiedy tylko wrócę, spotkamy się z panem Bryce'em.

- To będzie dla niego bardzo późno.

Glenn Branson myślał - nieprofesjonalnie, zdawał sobie z tego sprawę, ale nic nie mógł na to poradzić - o końcu swojego własnego niedzielnego wieczoru. Tęsknił za dziećmi, chciał się z nimi zobaczyć, choćby na pięć minut przed ich pójściem spać.

- Glenn, jeśli Bryce nie zamordował swojej żony ani nie zrobił wspólnie z nią jakiegoś przekrętu, to przez całą noc nie zmrzyj oka, wierz mi.

Branson niechętnie kiwnął głową, zdając sobie sprawę, że Roy ma rację, i zerknął na zegarek. Grace wróci w najlepszym wypadku

za godzinę, a prawdopodobnie o wiele później. Zanim dojadą do Bryce'a, będzie najwcześniej jedenasta. Nie bał się spotkać z tuzinem opryszków z nożami w rękach w ciemnej uliczce, ale czasami cholernie bał się swojej żony, a w tej chwili bał się nawet zadzwonić do Ari i powiedzieć jej, że raczej nie będzie w domu przed północą.

Grace był tak podniecony wiadomością, iż w barze Karma widziano ofiarę, że przebiegając wzrokiem po spisie pozostałych zdarzeń, nawet nie zauważył meldunku sierżanta Jona Rye'a sprzed godziny, z nagłówkiem „War driving”.

## ROZDZIAŁ 57

Tom przeczytał Jessice kilka stron „Gruffalo”. Nie był w stanie się wczuć, a ona nie bardzo słuchała. Nie lepiej poszło mu z Maksem.

Myślał tylko o tym, jaki z niego beznadziejny ojciec. Dzieci chciały do mamy, co było zupełnie zrozumiałe, lecz on czuł się co najmniej niekompetentny jako zastępstwo. Dzieci zdawały się nawet woleć towarzystwo Lindy Buckley niż jego. Funkcjonariuszka SKZR siedziała na dole, czekając na przybycie zmiennika.

Odłożył książkę, ucałował na dobranoc ani trochę nieuśpionego synka i zamknął drzwi, po czym wszedł do swojej kanciapy i i wykonał kolejną rundę telefonów: do rodziców Kellie, którzy dzwonili mniej więcej co godzinę, do wszystkich jej znajomych i jeszcze raz do zaniepokojonej siostry w Szkocji. Nie odezwała się do nikogo z nich.

Następnie wszedł do sypialni i otworzył górną szufladę wiktoriańskiej komody, w której Kellie trzymała swoje ubrania. Pogrzebał w rzeczach, czując unoszący się ze swetrów zapach jej perfum. Nic nie znalazł. Następnie otworzył drugą od góry szufladę, wypełnioną po brzegi bielizną. Natrafił ręką na coś twardego i zaokrąglonego. Wyciągnął to.

Była to butelka wódki Tesco - z nienaruszoną zakrętką.

Znalazł drugą butelkę, również nieotwieraną. Potem trzecią.

Ta była do połowy opróżniona.

Usiadł na łóżku i zapatrzył się na nie. Trzy butelki wódki w jej szufladzie z bielizną?

*Pewnie będzie chciała tylko pić wódkę. Widziałam. Obiecałam, że nie powiem.*

O Jezu.

Popatrzył znów na butelkę. Czy ma zadzwonić do sierżanta Bransona i powiedzieć mu o tym?

Jeśli mu powie, to co? Detektyw może stracić zainteresowanie dla sprawy, pomyśleć, że jest jakaś postrzelona i poszła w tango.

Ale on znają lepiej. Albo znał, jeszcze przed minutą.

Przegrzebał pozostałe szuflady, ale nic więcej nie znalazł. Włożył butelki na miejsce, zamknął szufladę i zszedł na dół.

Linda Buckley siedziała w salonie i oglądała w telewizji serial policyjny rozgrywający się w latach sześćdziesiątych. W komisariacie sierżant miał na biurku paczkę papierosów, którymi poczęstował wyraźnie udręczoną kobietę z kokiem.

- Lubi pani seriale z glinami? - zagadnął niezręcznie, próbując nawiązać konwersację.

- Tylko te, które się dzieją w przeszłości - odpowiedziała. - Tych współczesnych nie lubię. Tyle rzeczy się w nich nie zgadza, że szalu można dostać. Bez przerwy zgrzytam zębami i warczę pod nosem: to nie tak się to robi, na miłość boską!

Usiadł, zastanawiając się, czy może się jej zwierzyć.

- Musi pan coś zjeść, panie Bryce. Może wstawić panu lazanię do mikrofalówki?

Podziękował; przyznał jej rację. Aczkolwiek miał tylko ochotę na coś mocniejszego. Wstała i wyszła do kuchni. Patrzył obojętnie w telewizor i rozmyślał o tych butelkach wódki, zastanawiając się, po co był Kellie ten tajny zapas. Od jak dawna piła? A przede wszystkim, dlaczego?

Czy to wyjaśniało jej zniknięcie?

Nie sądził. A przynajmniej nie chciał tak sądzić.

Serial policyjny dobiegł końca i zaczął się wieczorny dziennik Nine O'Clock News. Rozniósł się zapach duszonego mięsa, od którego



żołądek podszedł mu do gardła. Zupełnie nie miał apetytu. Tony Blair ścisnął rękę George'a Busha. Tom nie miał zaufania do żadnego z nich, lecz teraz byli mu całkiem obojętni. Obejrzał materiał filmowy z Iraku, pełen nerwowych ruchów kamery, potem zdjęcie ładnej nastolatki, którą znaleziono zgwałconą i uduszoną pod Newcastle; po programie wystąpił z apelem toporny, nieumiejący się wysłować, ostrzyżony na jeża podkomisarz, najwyraźniej nigdy nie szkolony do występowania w mediach.

- Kolacja na stole! - zawołała apodyktycznym tonem funkcjonariuszka.

Pokornie jak baranek poszedł do kuchni i usiadł przy stole.

Tam też był włączony telewizor, nastawiony na ten sam kanał.

Zjadł parę kęsów lazanii, ale jedzenie stawało mu w gardle.

- Chyba powinniśmy powiesić kartkę na drzwiach - odezwał się - żeby pani kolega nie użył dzwonka, kiedy przyjdzie. Nie chcę, żeby dzieci się obudziły i pomyślały, że to mama wraca do domu.

- Dobry pomysł - powiedziała, wyjmując z aktówki skrawek papieru i ruszyła do drzwi. - Ale zanim wrócę, ten talerz ma być czysty!

- Tak jest, szefowo! - odparł z wymuszonym uśmiechem, po czym zmusił się do przełknięcia jeszcze jednego kęsa, póki nad nim stała.

Zaledwie wyszła z pokoju, prezenter dziennika odczytał kolejną wiadomość.

- Policja w Sussex podjęła dochodzenie w sprawie zamordowania skazanego za pedofilię Reginalda D'Eatha, którego zwłoki znaleziono dziś rano w jego domu we wsi Rottingdean we wschodnim Sussex.

Na ekranie ukazała się fotografia D'Eatha. Tom aż upuścił widelec z wrażenia.

To był złamas z pociągu.

## ROZDZIAŁ 58

Przystań w Brighton budowano, odkąd Roy Grace pamiętał. Także teraz, a kto wie, czy nie będą jej budować zawsze, zastanawiał się. Duża część była ogrodzona, a wewnątrz ogrodzenia, na zasypanym pyłem terenie stały dwa dźwigi, koparka JCB i spychacz na gąsienicach, wśród niebotycznych stosów materiałów budowlanych osłoniętych łopocącym na wietrze brezentem.

Nigdy właściwie nie rozstrzygnął, czy w ogóle podoba mu się ten obiekt. Był dziwnie położony u stóp wysokich, białych, urwistych skał klifowych we wschodniej części miasta. Składał się z wewnętrznego i zewnętrznego basenu dla jachtów, wokół których wyrosło - i wciąż się rozrastało - osiedle Marina Village, jak je nazwano. Były tam skupiska domków oraz kamienic stylizowanych na regencję, dziesiątki restauracji, kawiarni, pubów i barów, kilka sklepów żeglarskich, liczne butiki odzieżowe, hipermarket, kręgielnia, kino multipleks, hotel i kasyno.

Ale zawsze miał wrażenie, że jest to takie zabawkowe miasteczko. Jakby wersja dla dorosłych czegoś, co dziecko złożyło z klocków lego. Nawet po trzydziestu latach wszystko tu wyglądało na nowe i sprawiało wrażenie trochę pozbawionej duszy. Jedyne, co mu się w tym naprawdę podobało, to zbudowany przed zaledwie kilku laty, ciągnący się wzdłuż całego nabrzeża drewniany deptak, po którym właśnie szedł z Nickiem Nichollem.

W takie jak ten ciepłe wieczory panował tu wielki gwar, ludzie w każdym wieku przesiadywali w przechodzących jedna w drugą kafejkach i restauracjach, przyglądali się nielicznym spóźnionym jachtom, które powracały na miejsca postojowe pomiędzy pontonami, rozmawiali, migdalili się, słuchając łomotu muzyki i krzyku mew.

Grace trochę już odżył po dawce uderzeniowej cukru z pączka, i serce mu się ścisnęło, gdy mijali dwoje młodych ludzi siedzących przy stoliku przed jedną z restauracji, którzy czule patrzyli sobie w oczy. Dlaczego Cleo nie wspomniała, że jest zaręczona?

Dlaczego nie pomyślał, żeby ją zapytać, czy kogoś ma?

Ten długi pocałunek w taksówce - przez całą drogę do jej mieszkania - to chyba nie było zachowanie kobiety zakochanej w swoim narzeczonym? Nawet biorąc poprawkę na alkohol?

Słońce opadało coraz niżej, ale wciąż utrzymywało się nad horyzontem, a Grace patrzył na swój wydłużony cień, który podrygiwał przed nim na deskach deptaka, i podskakujący obok niego znacznie dłuższy cień Nicholla.

Detektyw szedł sprężystym krokiem, z rękami w kieszeniach, trzymając pod pachą kopertę ze zdjęciami Janie Stretton, nieco przygarbiony, jakby się wstydził swego wzrostu metr dziewięćdziesiąt osiem. Po drodze był jak zwykle milczący, co Grace przyjmował z wdzięcznością, gdyż tego wieczoru nie miał nastroju na pogaduszki.

Minęli arcyszpanerski hotel Seattle i doszli do baru Karma, w którego ogrodzonym liną ogródku, wychodzącym na deptak, zajęte były wszystkie stoliki i prawie wszystkie krzesła.

Grace wszedł za Nichollem do środka. Raz czy dwa przed laty przyjaciele próbowali go tu zaciągnąć, przekonując w najlepszej wierze, że jest to właśnie najlepsze miejsce w Brighton, gdzie mężczyzna w jego wieku może poznać kobietę. Lokal różnił się od wszystkich innych w mieście egzotycznym wnętrzem: przestronnym, wypełnionym ciepłym blaskiem orientalnych lampionów, zapraszającymi rozrzuconymi wokół wbudowanych kanap poduszkami,

długim barem i dekoracjami inspirowanymi - przynajmniej na jego oko - sztuką Indii, Maroka i Bliskiego Wschodu.

Nick Nicholl podszedł do ładnej dziewczyny za barem.

- Dzień dobry - powiedział. - Szukam Ricky'ego.

Rozejrzawszy się, odpowiedziała z miłym uśmiechem:

- Chyba jest w biurze. Panowie są umówieni?

- Tak. Może mu pani powiedzieć, że przyszli detektyw Nicholl i komisarz Grace? Rozmawialiśmy pół godziny temu przez telefon.

Wyszła.

- Ten twój facet z metropolitaliki, aspirant Dickinson, ten, który prowadzi tę sprawę w Wimbledonie, gdzie zamordowana dziewczyna miała bransoletkę ze skarabeuszem... Jesteś z nim umówiony jutro w południe, tak?

- Tak.

- Chyba całe szczęście, że nie chciał się umówić na dziś. Wątpię, czy byśmy znaleźli dla niego czas.

Obaj oparli się o bar. Z głośnika sączyła się piosenka Joss Stone.

- Lubię ją - powiedział Grace.

Nicholl wzruszył ramionami.

- Mnie tak naprawdę to kręci country and western.

- Kogo lubisz?

Znów wzruszył ramionami.

- Johnny Cash to jest to. Chodziliśmy z Rachel na zajęcia z tańców kowbojskich, tylko musieliśmy przestać, jak już mały był w drodze.

- Dzieci zmieniają człowiekowi życie, tak wszyscy mówią - stwierdził sentencjonalnie Grace, spoglądając na leżący koło popielniczki stos magazynów „Absolute Brighton”.

- Zajęcia w szkole rodzenia to już nie to - przyznał detektyw, kiwając posępnie głową.

Po paru minutach barmanka wróciła i zaprowadziła ich po schodkach do przyjemnego biura wyposażonego w nijakie,

funkcjonalne meble, jaskrawo kontrastujące z urządzeniem baru. Stało tam biurko, za którym siedział młody człowiek z nastroszonymi włosami, w podkoszulku i dżinsach, sofa, dwa fotele, wyrafinowany sprzęt grający oraz rząd czarno-białych monitorów, które przekazywały obraz z kamer przemysłowych obserwujących sytuację przed barem i w jego wnętrzu.

Młody człowiek, uśmiechając się wesoło, wstał i wyszedł z biurka.

- Cześć, miło mi pana poznać, panie Nicholl - powiedział i uściśnięli sobie ręce. Spoglądając na Grace'a, dodał: - Jestem Ricky, menedżer Karmy. Czytałem o panu w „Argusie”, czy nie wczoraj?

- Możliwe.

- Pomyślałem sobie, że jakby trochę brutalnie pana potraktowali. Napijecie się, panowie?

- Z miłą chęcią wody mineralnej; niegazowanej, jeśli można.

- Można coś dietetyczną? - poprosił Nick Nicholl.

Menedżer podniósł słuchawkę i zamówił napoje, po czym gestem zaprosił, by usiedli na sofie, a sobie podsunął fotel.

- Tak, no cóż - zaczął, zwracając się do młodego detektywa i poklepał się w skroń. - Mam dobrą pamięć do twarzy, tu mi się szczególnie przydaje, żeby pamiętać rozrabiaczy. Jak mówiłem panu przez telefon, jestem pewien, że dziewczyna, której szukacie, przyszła tu nieco ponad tydzień temu, w piątek wieczorem, z jakimś faciem. Szczęście w nieszczęściu: normalnie taśmy są kasowane po tygodniu, ale mieliśmy tu małą drakę. Chyba nie zamkniecie nam lokalu z tego powodu?

Grace uśmiechnął się.

- Nie mam zamiaru; chcę tylko znaleźć mordercę Janie Stretton.

- No to fajnie. - Ricky zmarszczył brwi. - Co to za sprawa, czytałem o tym, z jakimś żukiem, skarabeuszem?

- Nieważne - uciał Grace, trochę ostrzej niż zamierzał.
- Tak się tylko zaciekawilem, bo my tu też mamy skarabeusza, na półce, w salce dla VIP-ów, takiego małego z brązu, element dekoracji. Pcha przed sobą kulkę gówienka z brązu. Blee!
- Skąd się u was wziął? - spytał Grace.
- A bo ja wiem? Dekorator wewnątrz się zajmował tymi rzeczami. Ricky sięgnął po pilota i nacisnął jeden z guzików.
- Patrzcie na środkowy monitor - powiedział.

Najpierw zamigotało, potem na chwilę pokazał się jakiś zamazany obraz, potem seria kadrów uciekających w dół po ekranie, jakby nawaliła synchronizacja pozioma. Obraz ustabilizował się, ukazując szerokokątny widok na bardzo zatłoczony bar, z datą i godziną w prawym dolnym rogu.

- Patrzcie na drzwi, te od frontu, teraz! - wykrzyknął Ricky w podnieceniu.

Grace zobaczył muskularnego mężczyznę po trzydziestce, o szczupłej, zaciętej twarzy i antypatycznej minie króla puszczy, który wchodził do środka, holując dziewczynę z długimi, jasnymi włosami, w obcisłej minispódniczce. Była to Janie Stretton. Z całą pewnością.

Uważnie przyglądał się jej towarzyszowi, zwracając uwagę na jego chód, który mógłby przyrównać do kroku komandosa mającego za chwilę się zmierzyć z kolejnym przeciwnikiem. Mężczyzna miał na głowie uformowane na żel kolce z krótkich włosów, na szyi gruby łańcuch, a ubrany był w podkoszulek bez rękawów i sportowe spodnie. Trzymając cały czas Janie Stretton za rękę, utorował sobie drogę przez tłum i skierował się prosto do baru; w tym momencie kamera, poruszająca się stale po tym samym łuku, straciła ich z pola widzenia.

Parę minut później kamera znów ich odnalazła. On trzymał w ręku półlitrową szklankę piwa, a ona sączyła jakiś koktajl. Stuknęli się szklankami, następnie jakimś dziwnym ruchem mężczyzna przesunął wolną ręką wokół jej szyi, po czym najwidoczniej schwytywszy

ją za włosy na karku, odciągnął jej głowę do tyłu i ordynarnie pocałował w szyję.

Nick Nicholl, który trzymał na kolanach fotografie Janie Stretton, spoglądał na przemian na nie i na ekran.

- To ona - stwierdził.

- Bez dwóch zdań - potwierdził Grace. - Absolutnie. - Spojrzał na menedżera. - A ten jej absztyfikant to kto?

- Nie wiem, nigdy go przedtem nie widziałem.

- Jest pan pewny?

- No, nie na sto procent, tu przychodzi strasznie dużo ludzi. Ale nie wydaje mi się, żebym go widział wcześniej.

Zadzwoiła komórka Grace'a. Nie odrywając oczu od ekranu, wyciągnął telefon z kieszeni, po czym zerknął na wyświetlacz.

Dzwoniła Cleo Morey.

Przeprosił, wcisnął guzik, przyjmując połączenie, i wyszedł z biura.

Jej głos brzmiał bardzo przymilnie i bardzo pokornie.

- Pomyślałam sobie, że może już jesteś wolny i masz ochotę na drinka... Może zechciałbyś przyjść tutaj?

Rozbroił go jej głos.

- Bardzo - odparł. - Ale mam przed sobą jeszcze dobre dwie godziny roboty.

- No to przyjdź potem... Na kieliszek czegoś mocniejszego przed snem?

- Hmm... - Kompletnie zbiła go z tropu. To nie był czas ani miejsce na tego typu rozmowę.

- Mam wino, piwo, wódkę.

- A whisky? - spytał, drocząc się.

- Otóż dziwnym zbiegiem okoliczności mam całą butelkę „Glenfiddich”, którą kupiłam dziś po południu.

- Najwyraźniej synchronia - stwierdził Grace, starając się, na próżno, żeby to zabrzmiało beznamiętnie.

- Najwyraźniej.

## ROZDZIAŁ 59

Funkcjonariuszem, który przejął dyżur po Lindzie Buckley w domu Bryce'ów, był chudy, nadmiernie ugrzeczny, dwudziestoparoletni policjant Chris Willingham. Miał ze sobą małą walizeczkę, zawierającą, jak twierdził, wszystko co mu będzie potrzebne w czasie nocnego dyżuru, i w ciągu paru minut już szczęśliwie zainstalował się w salonie ze słuchawkami od iPod'a na głowie i otwartym egzemplarzem „Przewodnika po Chorwacji” na kolanach.

Glenn Branson zadzwonił, żeby powiedzieć, iż za godzinę znów przyjdzie, co skłoniło Toma do spekulacji, czy detektyw dowiedział się może czegoś nowego. Miał także stanowczy zamiar spytać, dlaczego dziś po południu w siedzibie wydziału kryminalno-dochodzeniowego, kiedy on najwyraźniej rozpoznał Reginalda D'Eatha jako złamasa, z którym jechał pociągiem, Branson nie ujawnił mu tego faktu.

Tom zostawił Chrisa Willinghama nad czarną kawą i talerzem pełnoziarnistych herbatników czekoladowych, a sam wycofał się do sanktuarium, czyli swojej kanciapy z „Sunday Timesem”, którego jeszcze dotąd nie otworzył. Normalnie w niedzielę wieczorem zalegali razem z Kellie na sofie w salonie, z wszystkimi dodatkami „Sunday Timesa” i „Mail on Sunday” rozłożonymi na dywanie. On zawsze zaczynał od stron biznesowych, szukając liczących się firm, które



mogłyby potencjalnie być jego klientami. Kellie zaczynała od magazynu „You”, dodatku do „Maila”.

Ale nawet przeglądanie gazety było dziś stratą czasu; widział tylko zamazany druk. Czuł się taki samotny. Był przerażony. Kompletnie nie wiedział, co robić i strasznie się bał.

Śmiertelnie bał się o Kellie.

Reginalda D'Eatha, tego złamasa z pociągu, znaleziono zamordowanego we własnym domu. Uduszonego w kąpielni.

Przez kogo?

Przez tych samych ludzi, którzy grozili, że zamordują jego rodzinę? - zastanawiał się Tom.

W pierwszych dziennikach podawali, że D'Eath - który zmienił nazwisko na Ron Dawkins - zawarł układ z prokuraturą w zbliżającym się procesie siatki pedofilów. Więc może to była robota zawodowców? Albo zemsta rodzica jakiegoś molestowanego dziecka?

A może, spekulował po omacku, czując jak kłęb strachu w jego żołądku z każdą chwilą ciemnieje, była to kara za zgubienie dysku? Ta sama kara, którą grożono jemu i jego rodzinie za to, że go znalazł?

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Dwadzieścia cztery godziny temu pili szampana w salonie w domu Philipa Angelidesa. Niezbyt udany wieczór, ale przynajmniej życie było normalne. A teraz po prostu nie wiedział co robić. Próbował skierować myśli na to, co czekało go nazajutrz, w poniedziałek, ale nie potrafił wybiec myślami w przyszłość dalej niż o kilka minut. Nie mógł odwołać prezentacji dla Land Rovera i przypuszczał, że będzie zmuszony wydelegować na nią kogoś ze swoich pracowników, co oznaczało, że przyjdzie mu także zapłacić jednemu z dwóch sprzedawców prowizję od zamówienia, jeśli do niego dojdzie, jeszcze bardziej redukując swoje marże i zdolność do oferowania usług po konkurencyjnych cenach. Ale w tej chwili było to najmniejsze z jego zmartwień.

Wtem poczuł nagły przypyływ urazy do Kellie. Urazy irracjonalnej, zdawał sobie z tego sprawę, ale nic nie mógł na to poradzić. Jak mogła mu to zrobić w takiej chwili, do cholery!

Prawie od razu ogarnęło go poczucie winy, że w ogóle mógł tak pomyśleć.

Jezu, kochanie, gdzie ty u diabła jesteś? Ukrył twarz w dłoniach, starając się ze wszystkich sił zachować jasność myślenia w tumanie tego koszmaru i przeklinał swoją cholerną bezradność.

\*

Ponad godzinę później pod dom podjechał niebieski sedan. Z okna kanciapy Tom zobaczył, że od strony kierowcy wysiada Glenn Branson, a po chwili drugi mężczyzna, z przeciwnej strony, biały, przed czterdziestką, z krótko przystrzyżonymi włosami, wyglądający na gliniarza w każdym calu.

Popędził na dół i otworzył drzwi, żeby dzwonek nie obudził dzieci. Lady przybiegła w podskokach do przedpokoju, ale udało mu się ją uspokoić i powstrzymać od szczekania. Najwyraźniej doszła już do siebie po tej infekcji - czy też próbie otrucia.

- Jeszcze raz dobry wieczór, panie Bryce. Przepraszamy za najście.

- Nie, dzięki, miło mi panów widzieć.

- To jest komisarz Grace, prowadzący dochodzenie w tej sprawie - przedstawił Branson.

Bryce popatrzył przez chwilę na komisarza, zaskoczony jego swobodnym strojem, aczkolwiek całą swoją wiedzę o policji czerpał z oglądanych od czasu do czasu odcinków seriali „Inspector Morse”, „Dalziel and Pascoe”, „Kryminalne zagadki Las Vegas”, i jak się zastanowić, detektywi tam często nosili się bardzo swobodnie. Komisarz miał sympatyczną twarz o męskich rysach, przenikliwie niczym laser niebieskie oczy i otaczała go aura silnego autorytetu, czym wzbudzał zaufanie.

- Dziękuję, że panowie przyszli - powiedział Tom Bryce, zapraszając ich gestem do środka, po czym weszli do kuchni.

- Nic nowego się nie zdarzyło, panie Bryce? - spytał Glenn Branson, przysuwając sobie krzesło zza stołu kuchennego.

- Tylko jedna rzecz, ale chyba pan to już wie. Ten człowiek z pociągu był pedofilem, którego znaleziono wczoraj zamordowanego. Reginald D'Eath, zdaje się. Rozpoznałem jego twarz w telewizji.

Grace szybko ogarnął wzrokiem pomieszczenie, rejestrując dziecięce rysunki na ścianach, szpanerską lodówkę z wbudowanym telewizorem i meble, wyglądające na drogie, po czym usiadł i wlepił wzrok w Toma Bryce'a.

- Bardzo mi przykro z powodu pańskiej żony, Kellie, panie Bryce. Chciałbym tylko zadać panu kilka pytań, które mogą nam pomóc przy ustalaniu miejsca jej pobytu.

- Oczywiście.

Nie spuszczał z niego wzroku, Grace zapytał:

- Może mi pan powiedzieć, kiedy pan kupił to audi, które znaleziono spalone?

Oczy Bryce'a od razu zwróciły się w prawo.

- Tak, w marcu.

- U jakiegoś miejscowego dealera?

I znów oczy poszły w prawo, tym samym wyznaczając prawą stronę, jako miejsce, gdzie mieści się jego pamięć. Czyli gdyby w reakcji na jakieś pytanie jego oczy zwróciły się w lewo, znaczyłoby to, że odwołuje się do twórczej strony mózgu i włącza funkcję zmyślenia. Kłamstwa. Lecz w tej chwili mówił prawdę.

- Tak, w firmie Caffyns.

Grace wyciągnął notes.

- Czy mógłby pan pokrótce przedstawić wydarzenia, które poprzedziły zniknięcie Kellie?

- Oczywiście. Może się panowie czegoś napiją? Kawy czy herbaty?

Prowadzący dochodzenie poprosił o czarną kawę, a Glenn Branson szklankę wody z kranu. Tom nastawił czajnik i opowiadał ze szczegółami przebieg wczorajszego wieczoru.

Kiedy skończył, Grace zapytał:

- Czy nie miał pan z żoną jakiejś sprzeczki, czy czegoś w tym rodzaju, przed wyjściem albo w drodze powrotnej do domu?

- Nie, nic takiego - odparł Tom, znów na chwilę strzelając oczami w prawo. Powrócił myślami do ich jazdy powrotnej z przyjęcia u Angelidesów. Kellie była wtedy w trochę dziwnym nastroju, ale miewała już takie nastroje wiele razy i wcale potem nie znikąca.

- Czy mogę zadać panu dość osobiste pytanie?

- Proszę.

- Czy wasze małżeństwo jest udane? Czy też pojawiły się w waszym związku jakieś problemy?

Tom Bryce pokręcił głową.

- Nasze małżeństwo nie jest udane. - Po chwili dokończył z emfazą: - Nasze małżeństwo jest cudowne.

Woda w czajniku zagotowała się. Tom już wstawał, kiedy następne pytanie Grace'a przygwoździło go do krzesła.

- Czy nie ma pan żadnych problemów finansowych, panie Bryce?

Z wyrazu tych laserowych oczu Tom mógł wyczytać, że Grace coś wie o jego problemach.

- Właściwie trochę mam, owszem.

- Ma pan może wykupioną jakąś polisę na życie pani Bryce?

Tom podniósł się gniewnie z krzesła.

- Do czego pan zmierza, do cholery?

- Obawiam się, że będę musiał panu zadać parę bardzo osobistych pytań, panie Bryce. Jeśli lepiej się pan będzie czuł w obecności pańskiego adwokata, albo jeśli na jakieś pytanie nie zechce pan odpowiedzieć bez jego obecności, ma pan takie prawo.

Czajnik sam się wyłączył, a Tom znów usiadł.

- Nie potrzebuję niczyjej obecności.

- Dobrze, dziękuję - odparł Roy Grace. - A więc, czy ma pan wykupioną polisę na życie pani Bryce?

Oczy tamtego pomknęły znów w prawo.

- Nie. Miałem polisę na życie nas obojga, dla dobra dzieci, ale musiałem ją anulować parę miesięcy temu, ze względu na koszty.

Wstał i poszedł zrobić kawy oraz nalać Bransonowi szklankę wody. Grace poczekał, aż z powrotem usiądzie, a on będzie mógł znowu wyraźnie widzieć jego twarz.

- Czy zauważył pan może w ostatnich, miesiącach jakąś zmianę w zachowaniu żony?

I teraz Grace dostrzegł w oczach Toma Bryce'a wahanie; strzelił oczami zdecydowanie w lewo, w stronę funkcji zmyślenia. Zaraz skłamię.

- Nie, żadnej.

Lecz natychmiast po tym, gdy to powiedział, Tom pomyślał, że może już pora wyznać prawdę i powiedzieć im o wódce. I o tych jej dziwnych „stanach Kellie”?

Ale bał się, że jeśli im powie, mogą stracić zainteresowanie sprawą. Więc po jaką cholere miałby im o tym mówić?

Grace podniósł filiżankę, po czym odstawił, nawet nie zbliżywszy jej do ust.

- Czy nie obawia się pan, że Kellie może mieć jakiś romans?

Oczy znów zdecydowanie w prawo.

- Absolutnie nie. Jesteśmy kochającym się małżeństwem.

Roy Grace zadawał pytania jeszcze przez pół godziny, a gdy skończył, Tom czuł się tak, jakby komisarz fachowo i starannie przerobił go na filety - co momentami było naprawdę nieprzyjemne.

Kiedy wreszcie tuż przed jedenastą zamknął za nimi drzwi, był wypompowany i czuł się nieswojo. Z pytań komisarza i sposobu, w jaki reagował na odpowiedzi Toma, wywnioskował, że dla policji głównym podejrzanym jest właśnie on. Było to coś, co chciał jak najszybciej zmienić, ponieważ dopóki go podejrzewali, cała ich energia szła w niewłaściwym kierunku.

Wsunął głowę przez drzwi do salonu i zobaczył tam funkcjonariusza SKzR zatopionego w lekturze swojej książki. Powiedział mu, żeby się częstował w kuchni wszystkim, na co mu tylko przyjdzie ochota, i przeprosił, że nie ma gościnnego łóżka. Posterunkowy Willingham odparł, że przespał się trochę w ciągu dnia i teraz zamierza nie spać całą noc.

Tom poszedł na górę, do swojej kanciapy, czując, że wstanie takiego napięcia nie zaśnie. Miał do napisania parę ważnych e-maili w sprawie jutrzejszej porannej prezentacji i jakoś musiał znaleźć w sobie siłę, żeby się na nich skoncentrować.

Nacinał enter laptopa, żeby go przebudzić. Po chwili na ekranie pojawiła się cała masa e-maili. Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści. Filtr antyspamowy wyłowił większość z nich, pozostawiając tylko pół tuzina. Trzy były od kolegów i niewątpliwie zawierały dowcipy. Jeden od Sary, jego nieocenionej sekretarki, z listą spotkań na ten tydzień i przypomnieniem, co mu będzie rano potrzebne do prezentacji. Jedna była z ivanhoe, internetowej strony medycznej, na którą wykupił abonament, aczkolwiek rzadko miał czas, żeby się w nią wczytać.

Ostatni był z [scarablnc.com](http://scarablnc.com). Nagłówek brzmiał po prostu: „Poufne”.

Kliknął dwukrotnie, żeby odczytać tego e-maila. Tekst był krótki i niepodpisany.

Kellie ma ci coś do przekazania. Pozostań online.

## ROZDZIAŁ 60

Emma-Jane Boutwood i Nick Nicholl mimo późnej pory, minęła jedenasta, wciąż siedzieli za biurkami przy stanowisku roboczym zespołu. Reszta składu już wyszła, powrócili jedno po drugim do swoich domów, do własnego życia, z wyjątkiem Normana Pottinga, który właśnie wstał, poprawił krawat i wkładał marynarkę.

Przy pozostałych dwóch stanowiskach pracowało jeszcze parę osób. Biurka były zarzucone pustymi kubkami po kawie, puszkami po napojach gazowanych i kartonami po jedzeniu, a kosze na śmieci przepełnione. Z samego rana w sali zawsze pachnie czystością, pomysłała Emma-Jane, a późnym wieczorem unosi się w niej mdląca mieszanka aromatów jak w stolówce zakładowej - racuszków cebulowych bhaji ze stoiska delikatesowego w supermarkecie Asda z naprzeciwka, chińskich zupek, kartoflanki, odgrzewanych na mikrofalówce hamburgerów i frytek, oraz kawy.

Potting ziewnął przeciągle i beknął.

- Ups. Przepraszam bardzo. Po tej hinduszczyźnie zawsze mi się tak robi. - Zawahał się przez moment wobec braku jakiegokolwiek reakcji. - No to chyba już sobie pójdę. - Ale wcale sobie nie poszedł. - Może któreś z was miałyby jeszcze chęć na strzemiennego? Małe piwko w drodze do domu? Znam taki jeden fajny lokalik.

Pokręcili głowami. Nick Nicholl był pogrążony rozmowie przez komórkę na jakiś trudny osobisty temat, przynajmniej tak się wydawało Emmie-Jane. Na podstawie paru słów, które wyłowila, wyglądało na to, że próbuje uspokoić żonę, która była czymś zdenerwowana. Prawdopodobnie tym, że o tej godzinie w niedzielę jej mąż jest jeszcze w pracy. W pewnym sensie, choć chciałaby mieć chłopaka - upłynął już rok, odkąd zerwała z Ollim - Emma-Jane czuła ulgę, że w tej chwili w jej życiu nie ma nikogo. Oznaczało to, że może się skoncentrować na swojej karierze zawodowej i nie musi się borykać z poczuciem winy z powodu zwariowanych godzin, które na to poświęca.

Mimo że Nicholl rozmawiał, Potting pochylił się nad nim i zapytał:

- Co, pewnie nie słyszałeś, jaki był wynik w krykiecie? Próbowałem to znaleźć w sieci.

Nicholl podniósł na niego wzrok, pokręcił głową i znów skupił się na rozmowie przez telefon.

Potting z wahaniem przegrzebał kieszenie spodni i jeszcze raz oznajmił:

- No to idę.

Emma-Jane podniosła dłoń.

- Pa, miłego wieczoru.

- Do jutra akurat zdążę dojechać do domu i z powrotem - warknął. - Do zobaczenia o pół do dziewiątej.

- Już się nie mogę doczekać! - rzuciła kpiąco. Pociągnęła z butelki łyk wody mineralnej, przyglądając mu się, jak przechodził przez całą salę, niezgrabny mężczyzna w źle wyprasowanym garniturze. Chociaż uważała go za prostaka, teraz prawdę mówiąc zrobiło jej się go trochę żal, ponieważ wydał jej się rozpaczliwie samotny. Postanowiła, że jutro postara się być dla niego miłsza.

Założyła nakrętkę na butelkę i powróciła do pracy nad zeznaniami sąsiadów Reggiego D'Eatha, zebranymi w ciągu dnia podczas wywiadu środowiskowego. Próbowała również uzyskać więcej



informacji na temat białej furgonetki ford transit, zauważonej poprzedniego wieczoru obok domu denata przez jednego z sąsiadów.

Chociaż śledztwo w sprawie zamordowania D'Eatha prowadził inny zespół, Grace uważał, iż to na tyle łączy się z operacją „Słowik”, że jego zespół musi ze szczególną uwagą śledzić postępy owego dochodzenia.

Na jej biurku leżał numer rejestracyjny GU 53 OAG. Jako właściciel tego numeru figurowała w kartotekach firma o nazwie Bournemouth International Ltd, której adres, numer skrytki pocztowej, będzie mogła sprawdzić dopiero rano. Kiedy pokazała go wcześniej Normanowi Pottingowi, powiedział jej, że najprawdopodobniej jest to tylko adres do korespondencji. I chyba rzeczywiście tak było, jako że przeszukiwanie internetu po wpisaniu nazwy firmy do wyszukiwarki nie przyniosło żadnego rezultatu.

Zadzwoił jeden z telefonów na ich stanowisku roboczym. Nick wciąż siedział przygarbiony nad biurkiem, rozmawiając przez komórkę, więc E.-J, podniosła słuchawkę.

- Centrum koordynacji, słucham - odezwała się.

Głos w słuchawce brzmiał energicznie, chociaż uprzejmie.

- Cześć, tu Jim Knight z Centrum Selekcji Południe. Mogę prosić z komisarzem Grace'em?

Centrum Selekcji Południe był to ośrodek zajmujący się obsługą telefonów od obywateli, w którym odbierano i oceniano przydatność wszystkich zgłoszeń w sprawach mniej naglących, czym zajmowali się wyszkoleni pracownicy, tacy jak Knight.

- Obawiam się, że w tej chwili go nie ma. Może w czymś pomóc?

- Muszę porozmawiać z kimś z operacji „Słowik”.

- Mówi detektyw Bourwood, członek zespołu operacji „Słowik” - odparła z dumą.

- Mam właśnie na linii pana nazwiskiem Seiler, który dzwoni w sprawie jakiejś białej furgonetki. Sprawdziłem w krajowej bazie

danych podane przez niego numery, i system podał, że komisarz Grace wprowadził tam znacznik na ten pojazd. Pomyślałam sobie, że może chciałby porozmawiać z tym panem.

- Ten pan jest właścicielem?

- Nie, zdaje się, że ten wóz jest zaparkowany pod jego mieszkaniem. On to już raz zgłaszał dziś wieczorem; jest to zarejestrowane o szóstej czterdzieści.

- Naprawdę? - Emma-Jane była zdziwiona, że nikt jeszcze się tym nie zajął. - Proszę mnie z nim połączyć.

Po chwili rozmawiała ze wzburzonym starszym panem, mówiącym z gardłowym, niemieckim akcentem.

- Tak, halo? To nie ten sam policjant, z którym przedtem rozmawiałem? - zapytał.

Przyciskając telefon do ucha ramieniem, młoda posterunkowa z pasją stuknęła w klawiaturę. Po paru sekundach znalazła meldunek z szóstej czterdzieści, wprowadzony przez sierżanta Jona Rye'a z działu przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie.

„War driving. Sierżant Rye załatwił telefonicznie”.

A cóż to znaczy?

- Niestety, jest niedziela wieczór, proszę pana; wielu kolegów już poszło do domu.

- Tak, a ten człowiek w białej furgonetce znowu stoi przed moim mieszkaniem i kradnie mój internet. Dobrze by było, żeby to on do domu poszedł.

Kradnie mój internet? - pomyślała. Cóż to znaczy? Ale w tej chwili bardziej interesowała ją furgonetka.

- Może mi pan przedyktować ten numer rejestracyjny?

Po dłuższej chwili, przeraźliwie powoli, zaczął mówić:

- G jak golf, U jak... eee... ulica. Pięć, trzy. O jak Oskar, A jak alfa, G jak golf.

Zapisała. GU 53 OAG

Nagle, czując przypływ adrenaliny, Emma-Jane zerwała się na równe nogi.

- Proszę mi podać swój numer, za chwilę do pana oddzwonię. Pański adres to Freshfield Road 138, mieszkanie D?

Potwierdził i podał jej numer telefonu. Wystukała go od razu na swojej komórce.

- Proszę nie wychodzić z domu i nie spłoszyć go. Za parę minut u pana będę. Teraz muszę się rozłączyć, ale zadzwonię znów za dwie minuty.

- Rozumiem - powiedział. - Dziękuję, bardzo panią dziękuję.

Nick był wciąż jeszcze pogrążony w swojej rozmowie i nie zwracał uwagi na jej gorączkową gestykulację. Zdesperowana, siłą ode-rwała mu telefon od ucha.

- Chodźmy! - krzyknęła. - Natychmiast!

## ROZDZIAŁ 61

Tom, trzęsąc się ze zdenerwowania, siedział w swej kanciapie ze szklanką Glenfiddich, starając się skupić na e-mailach w sprawie jutrzejszej prezentacji, które jakoś musiał rozesłać do swoich pracowników. Co parę minut klikał na przycisk wyślij/odbierz w swojej poczcie elektronicznej. I zaraz pociągał duży łyk whisky.

Dwadzieścia po jedenastej szklanka była pusta i zszedł na dół po następną. Posterunkowy Willingham robił sobie właśnie kawę w kuchni.

- Panu też zrobić, panie Bryce? - spytał.

Tom uniósł szklankę i, świadom tego, że mówi trochę bełkotliwie, odpowiedział:

- Dzięki, ale potrzeba mi czegoś trochę mocniejszego.

- Nie dziwię się.

- Nalać panu? - zaproponował Tom, odkręcając nakrętkę z butelki.

- Nie na służbie, dziękuję bardzo.

Tom wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: twoja broszka, napelił szklankę po brzegi whisky z wodą i lodem - z przewagą whisky - i wrócił na górę. Kiedy zasiadł za biurkiem, zauważył, że nadszedł kolejny e-mail od [scarablnc.com](mailto:scarablnc.com), z załącznikiem. Nagłówek brzmiał po prostu:

Wiadomość od Kellie.

Ręka drżała mu tak bardzo, że z trudem najechał kursorem na załącznik. Kliknął dwukrotnie.

Załącznik otwierał się całe wieki. Potem nagle cały ekran pociemniał. I pojawiła się na nim twarz Kellie.

Ostro oświetlona, niczym solistka na estradzie w oślepiającym blasku pojedynczego reflektora, wynurzała się z ciemności, patrząc prosto przed siebie. Wciąż w tej samej wieczorowej sukni z wczorajszego przyjęcia, miała skrępowane ręce i nogi i była przywiązana grubym sznurem do krzesła. Na szyi dostrzegł srebrny łańcuszek z wisiorkiem, którego nigdy przedtem u niej nie widział. Pod prawym okiem miała duży siniak, jakby od uderzenia pięścią i wyraźnie spuchnięte usta.

Mówiła sztucznym, zdławionym tonem, który brzmiał, jakby próbowała recytować z pamięci napisany tekst.

Tom wpatrywał się w nią kompletnie porażony; to nie mogła być prawda, to jakiś kiepski żart albo zły sen.

- Tom, proszę, popatrz na mnie uważnie i posłuchaj - mówiła Kellie drżącym głosem. - Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego zignorowałaś otrzymane instrukcje, żeby nie iść na policję? Teraz oni mnie karzą za twoją głupotę.

Zamilkła, a łzy popłynęły jej strumieniem po policzkach, wzdłuż smug rozmazanego tuszu do rzęs. Kamera stopniowo dojeżdżała transfokatorem do jej twarzy. Potem jeszcze bardziej zacieśniła kadr, panoramując w dół, na wisiorzek doczepiony do naszyjnika. Dopóki naszyjnik nie wypełnił całego ekranu. A wygrawerowany na wisiorku motyw stał się wyraźnie widoczny. Był to żuk skarabeusz.

- Nie mów policji o tym filmie, kochanie. Zrób tylko dokładnie to, co ci każą. W przeciwnym razie przyjdzie kolej na Maksa. Potem na Jessikę. Nie próbuj zgrywać bohatera. Zrób, proszę, to, co ci każą. To... - Głos jej się załamał. - To jedyna szansa, którą mamy, ja i ty, żeby się kiedykolwiek jeszcze zobaczyć. Proszę cię, proszę, nic nie mów policji. Oni się dowiedzą.

Ci ludzie wiedzą wszystko.

Głos Kellie przedzierał się przez jego duszę niczym drut kolczasty.

Ekran pociemniał całkowicie, do nieprzeniknionej czerni. Wtedy usłyszał jakiś dźwięk. Na początku był to cichy jęk, który stopniowo stawał się coraz głośniejszy, coraz wyższy, coraz bardziej przenikliwy. To głos Kellie, uświadomił sobie. Krzyczała.

Potem cisza.

To był koniec filmu. Załącznik zamknął się.

Tom zwymiotował na dywan.

## ROZDZIAŁ 62

Nick Nicholl przejechał nieoznakowanym vauxhallem przez szlaban w Sussex House i wcisnął gaz do dechy. Emma-Jane przez radiotelefon wydawała polecenia dyspozytorowi z centrum kontroli.

- Tu Golf Tango Julia Echo. Potrzebujemy umundurowanego wsparcia w okolicach Freshfield Road. Zdarzenie ma miejsce pod numerem 138, ale nie chcę, żeby ktoś tam zobaczył albo usłyszał radiowóz, zanim powiem; to bardzo ważne. Jak mnie zrozumiałeś?

Z trudem panowała nad nerwami. To była pierwsza poważna akcja, którą kierowała, i miała świadomość, że być może przekracza swoje uprawnienia. Ale czy miała wybór?

- Możesz potwierdzić?

- Golf Tango Julia Echo, wysyłam umundurowane wsparcie w okolice Freshfield Road. Prośba o kompletną ciszę i niewidzialność aż do dalszych wskazówek. Przewidywany czas przybycia cztery minuty.

Pędzili w dół po długim, stromym wzniesieniu. Emma-Jane zerknęła na szybkościomierz. Ponad sto dziesięć. Wybrała numer, który podał jej pan Seiler. Odpowiedział po chwili.

- Pan Seiler? Mówi detektyw Boutwood; jedziemy do pana. Czy ta furgonetka jeszcze stoi?

- Jeszcze stoi - potwierdził. - Chce pani, że pójdę i porozmawiam z kierowcą?

- Nie! - zaprotestowała błagalnym tonem. - Nie, proszę tego nie robić. Proszę zostać w środku i obserwować go. Ja nie będę się rozłączać. Proszę mi powiedzieć, co pan widzi.

Za nimi błysnął fletz fotoradaru. Detektyw Nicholl pędził dalej w dół nie zwalniając, a nawet przyśpieszył jeszcze bardziej, gdy zobaczył w oddali zielone światło. Wtem cholerstwo zmieniło się w czerwone.

- Przeleć! - rzuciła. Wstrzymała oddech, gdy przejechał linię i ostro skręcił w prawo, ścinając niebezpiecznie zakręt tuż przed maską jakiegoś samochodu, który na nich wściekle zatrafił.

- Wciąż widzę tę białą furgonetkę - mówił pan Seiler. - W środku jakiś człowiek.

- Tylko jeden?

Jechali dwupasmówką z ograniczeniem do sześćdziesięciu pięciu, a szybkościomierz dochodził do stu czterdziestu pięciu.

- Widzę tylko jednego.

- Co robi?

- Ma otwartego laptopa.

Znów błysnął fletz radaru.

- Obyś tylko miała rację - szepnęła Nick Nicholl. - Inaczej już po moim prawku.

Obok nich przemykały latarnie. Tylne światła samochodów wyglądały jak na szybkim przewijaniu na DVD. Z tyłu błyskali na nich długimi światłami wściekli kierowcy.

Nie zwracając uwagi na koleżę, była całkowicie skupiona na informatorze.

- Będziemy już za parę minut - powiedziała.

- To teraz mam wyjść?

- Nie! - wrzasnęła piskliwie. - Proszę zostać w domu.

Nick Nicholl zahamował, przeleciał cztery razy z rzędu na czerwonym świetle, po czym skręcił ostro w lewo na Elm Grove, szeroką ulicę wznoszącą się stromo pod górę, z domami i sklepami po obu stronach. Obok nich przemknął szyld „Dywany Harmony” nad jakimś sklepem.



- Co pan teraz widzi, panie Seiler?

- Bez zmian.

Nagle zatrzeszczał radiotelefon.

- Golf Tango Julia Echo, tu posterunkowy Godfrey. Mundur Delta Zebra Bravo. Zbliżamy się do Freshfield Road. Przewidywany czas przybycia trzydzieści sekund.

- Zatrzymajcie się tam, gdzie jesteście - powiedziała, czując się nagle strasznie ważna. I bardzo bała się, że coś sknoci.

Minęli ponure budynki Szpitala Ogólnego w Brighton, gdzie w zeszłym roku jej babka zmarła na raka, po czym z piskiem opon i zarzucaniem skręcili w pełnym pędzie w prawo, we Freshfield Road.

Emma-Jane patrzyła na numery domów: 2,4, 6, 8... Odwróciła się do Nicka, i powiedziała:

- Dobra, zwolnij, przed nami podwójny zakręt. To będzie za nim.

Gdy wychodzili z ostatniego zakrętu, zobaczyła jakieś dwieście metrów przed nimi białego forda transita, którego tylne światła jarzyły się na czerwono. I teraz jej serce zaczęło naprawdę walić jak szalone. Po paru sekundach mogła już odczytać tablicę rejestracyjną.

GU 53 OAG

Wcisnęła przycisk radiotelefonu.

- Mundur Delta Zebra Bravo. Przed domem numer 138 na Freshfield Road jest biały ford transit. Proszę go zatrzymać.

Potem odwróciła się do Nicholla.

- Bierz go! Podjedź od przodu! Zablockuj!

Odpięła pas bezpieczeństwa.

W ciągu paru sekund hamowali z piskiem ukosem przed maską furgonetki, a Emma-Jane miała już drzwi otwarte, zanim się jeszcze zatrzymali. Wysiadła i schwyciła za klamkę drzwi transita od strony kierowcy.

Były zamknięte.

Usłyszała syrenę. Zobaczyła niebieskie migające światło ślizgające się po asfalcie. Potem odgłos rozrusznika transita i ryk silnika,

zwiększającego obroty. Furgonetka szarpnęła do tyłu, niemal wyrwując jej ramię ze stawu. Rozległ się rozdzierający chrzęst metalu miażdżącego metal i szkło. Następnie furgonetka szarpnęła jej ramieniem do przodu i ruszając ostro, staranowała vauxhalla. Powietrze wypełniało wycie pracującego na najwyższych obrotach silnika, ostry śwąd palących się opon, wizg blachy, gdy vauxhall poleciał w bok. Nick krzyknął:

- Stać! Policja!

Uwiesiła się na furgonetce, trzymając kurczowo drzwi.

Nagle grunt usunął się jej spod nóg. Furgonetka na pełnym gazie wyjeżdżała z potrzasku, skręciła ostro w lewo, wlokąc ją za sobą, potem w prawo.

W kierunku zaparkowanych rzędem samochodów.

Pociemniało jej w oczach.

Wtem poczuła straszliwy ucisk, a potem usłyszała tępy chrzęst jakby roztrzaskującego się metalu i szkła. Zanim zapadła się w nicłość, dłonie zwolniły uścisk i ciało runęło na ziemię; w ciągu paru sekund uświadomiła sobie, że to nie był metal i szkło. To były jej własne kości.

Nick zobaczył, że leży na drodze, i przez moment się zawahał. W lusterku wstecznym dostrzegł oznakowany radiowóz, który był jeszcze daleko. Przed nim tylne światła transita pędzącego w dół szybko się oddalały. W ułamku sekundy podjął decyzję i ruszył na pełnym gazie za nim, krzycząc do radiotelefonu:

- Mamę rannego! Przyślijcie karetkę!

Po kilku sekundach zaczął doganiać tamten wóz. U stóp wznieślenia, na skrzyżowaniu z Eastern Road paliło się czerwone światło. Transit musiał się na nim zatrzymać, albo przynajmniej zwolnić.

Nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

Kiedy furgonetka pędziła przez skrzyżowanie, Nick zobaczył blask reflektorów, a chwilę później taksówka skoda uderzyła z impetem w drzwi od kierowcy. Usłyszał donośny, głuchy, metaliczny huk,

jakby zderzyły się dwa ogromne pojemniki na śmieci.

Transit zakręcił się w miejscu i zatrzymał, chlustając parą, ropą i wodą, jego klakson wyl, wszędzie wokół rozrzucone były odłamki szkła i blachy; jedno koło, odkształcone i przekoszone, zwisało prawie równoległe do ziemi, ze sflaczałą oponą.

Skoda z przenikliwym metalicznym zgrzytem przejechała zygziem jeszcze parę metrów, buchając parą spod maski, po czym wjechała na chodnik, uderzyła o ścianę jakiegoś domu i odbiła się półtora metra do tyłu.

Nicholl zatrzymał samochód, wezwał przez radio służby ratownicze, po czym wyskoczył i popędził do furgonetki. Ale gdy już się przy niej znalazł, okazało się, że nie musiał się śpieszyć. Przednia szyba była pęknięta i poplamiona krwią. Kierowca leżał przechylony na bok, częściowo przewieszony przez kierownicę, z wykręconą szyją, z twarzą w kilku miejscach rozciętą, odwróconą w stronę przedniej szyby; miał zamknięte oczy.

Wciąż unosiła się para i czuć było smród ropy. Nick Nicholl spróbował otworzyć odkształcone drzwi, ale były zaryglowane. Pociągnął mocno, bojąc się, że samochód może się zapalić, potem szarpnął z całej siły za klamkę. W końcu drzwi uchyliły się na kilkanaście centymetrów.

Miał świadomość, że wokół zatrzymują się inne pojazdy; kątem oka zobaczył, że dwie osoby przy taksówce otwierają drzwi od strony kierowcy, a inna mocuje się z lewymi tylnymi drzwiami. Nick mocniej szarpnął drzwi transita; ustąpiły jeszcze trochę. I wtedy zauważył jakąś poświatę, bijącą z miejsca na nogi dla pasażera.

To laptop, uświadomił sobie.

Przecisnąwszy się przez drzwi, przyjrzał się z bliska twarzy kierowcy. Oddychał. Jedną z pierwszych rzeczy, których się nauczył na szkoleniu z pierwszej pomocy, było to, żeby nigdy nie przenosić ofiary wypadku, chyba że trzeba wydobyć ją z jakiegoś niebezpieczeństwa. Sięgnął przez leżącego mężczyznę i wyłączył zapłon. Nic czuło się zapachu spalenizny. Postanowił zaczekać, po czym obszedł

furgonetkę z drugiej strony i wyjął laptopa - przytomnie chwytając urządzenie przez chusteczkę.

Potem, zdjęty rozpaczliwym niepokojem o Emmę-Jane, zapytał przez radio, kiedy przyjadą karetki. W tym momencie usłyszał syreny.

A na dodatek, oprócz tego że się martwił o młodą detektyw, miał jeszcze jedno zmartwienie. Roy Grace nie będzie szczęśliwym miściakiem, kiedy usłyszy o tej kraksie.

## ROZDZIAŁ 63

O pół do dwunastej Roy Grace zaparkował swoją alfę romeo na pojedynczej żółtej linii przed nieoświetloną witryną sklepu specjalizującego się w meblach retro z dwudziestego wieku.

Wysiadł, zamknął drzwi i stanął w pomarańczowej poświacie latarni sodowych przed wykutą z żelaza bramą adaptowanego magazynu fabrycznego, w którym mieszkała Cleo. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w panel domofonu, nie mogąc się połapać w swoich emocjach. Był wściekły, bał się też tego, co ona mu może powiedzieć, i był po prostu przygnębiony.

Po raz pierwszy odkąd zniknęła Sandy, poczuł coś do innej kobiety. W tych krótkich chwilach minionej nocy, kiedy nie spał i nie analizował śledztwa w sprawie Janie Stretton, istotnie pozwalał sobie na myśl, że może uda mu się rozpocząć nowe życie. I że, kto wie, może z Cleo Morey.

Potem przyszedł jej esemes.

Narzeczony.

O co w tym wszystkich chodzi? Kim jest ten człowiek? Jakąś zaślinioną ofertą z elitarnego środowiska, facetem z pozycją, którego wybrali mamusia i tatuś? Z porsche i wiejską posiadłością?

Dlaczego nawet nie wspomniała, że jest zaręczona? I dlaczego teraz chciała się z nim zobaczyć? Żeby przeprosić za to, co było wczoraj i powiedzieć mu, że te całowanki w taksówce były dlatego, że

alkohol znosi hamulce i że powinni podejść do tego jak ludzie dorośli, zwłaszcza, że pracują razem?

A dlaczego on przyszedł? Nie powinien był tu przychodzić. Należało albo powrócić za swoje biurko w centrum koordynacji, albo, o tak późnej porze w niedzielę, jechać do domu, położyć się i wyspać przed poranną odprawą i nabrać sił do dalszych działań.

Rozmyślał wciąż nad przesłuchaniem Toma Bryce'a, z którego właśnie wracał. W ramach szkolenia w ostatnich latach uczęszczał na kilka kursów budowania profilów psychologicznych, ale nigdy nie uważał ich za zbyt przydatne. Może mogły dostarczyć użytecznych wskazówek, gdyby trzeba było wybierać pomiędzy trzema różnymi podejrzаныmi, ale nic z tego, czego się wówczas nauczył, nie przydawało mu się w tej chwili, by móc ocenić, czy Tom Bryce naprawdę się niepokoił, czy udawał.

Na pewno kłamał w jednej sprawie.

*Czy zauważył pan może w ostatnich miesiącach jakąś zmianę w zachowaniu pani Bryce?*

*Nie, żadnej.*

O co tu mogło chodzić? Bryce coś ukrywał. Czyżby ją podejrzewał, że może jest z jakimś kochankiem? Albo odeszła od niego? I pomimo całego współczucia, które budził w nim ten człowiek, właśnie ta chwila zawahania, to kłamstwo, zasiało w umyśle Grace'a wątpliwości, które powstrzymały go dziś przed uruchomieniem szeroko zakrojonych poszukiwań Kellie Bryce. Rano zaproponuje podinspektor Alison Vosper, żeby sprawę jej zniknięcia powierzyć Cassianowi Pewe.

I jak dobrze pójdzie, ten zarozumiały gnojek przy pierwszym ządaniu wylądjuje nosem w pięknym zbuczym jajku. Miło będzie popatrzyć.

Wpatrywał się w panel domofonu, zdjęty nagłą tremą. Weź się w garść, facet! Tak stać na progu jak jakiś beznadziejny nastolatek! O pół do dwunastej, cholera, w nocy, w niedzielę.

Poczuł się nagle zmęczony. Wypompowany. Przez chwilę zapłonął w nim gniew - gniew na Cleo i na samego siebie, za to, że okazał

słabość, przychodząc tu - i ogarnęła go pokusa, żeby wrócić do samochodu i pojechać do domu. Odwrócił się, zmacał w kieszeni kluczyki, i już je wyciągał, gdy usłyszał jej głos, dziwnie zniekształcony przez głośnik domofonu.

- Cześć!

I ten głos sprawił, że coś się z nim stało. Wypełnił go całego energią.

- Pizza! - zawołał z kiepskim włoskim akcentem. - Pani dzamawiana pizza?

Roześmiała się.

- Proszę wejść na podwórko i skrócić w prawo. Mieszkania sześć, na samym końcu po lewej! Mam nadzieję, że nie zapomniał pan o dodatkowych anchois!

Zamek otworzył się z ostrym szczękiem. Pchnął ciężką bramę, grzebiąc w kieszeni, przypomniawszy sobie nagle o gumie do żucia. Wycisnął jedną pastylkę do ust, idąc po nieskazitelnie czystym bruku oświetlonym rzędem lamp w szklanych kloszach. Kiedy doszedł do jej drzwi, wypluł gumę do papierka, który zwinął w kulkę i schował do kieszeni.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążył nacisnąć dzwonek, a w nich stała Cleo, boso, w obcisłych džinsach i luźnej, błado-niebieskiej bluzie dresowej, z włosami częściowo spiętymi, częściowo rozpuszczonymi. Twarz miała bladą, prawie bez makijażu, a mimo to wyglądała piękniej niż kiedykolwiek.

Przywitała go uśmiechem zdradzającym poczucie winy, robiąc wielkie oczy, jak dziecko, które było troszeczkę niegrzeczne.

- Cześć! - powiedziała i lekko wzruszyła ramionami.

Grace odpowiedział jej tym samym gestem.

- Cześć.

Zapadła krępująca cisza, jakby każde z nich czekało, aż drugie wyjdzie z inicjatywą pocałunku. Jednak żadne tego nie zrobiło. Odstąpiła na bok, żeby go wpuścić do środka, i zamknęła za nim drzwi.

Wszedł do dużego, przestronnego salonu, zalanego łagodnym światłem kilkunastu białych świec i modnych ultranowoczesnych

lamp; w pokoju unosił się silna woń perfum, słodkawa, piżmowa, kobieca i bardzo nęcąca.

Pomieszczenie miało jakąś dobrą aurę; z miejsca poczuł się odprężony, w każdym drobiazgu wyczuwało się tu Cleo. W kremowych ścianach i dywanikach na podłodze z dębowych paneli, dwóch czerwonych sofach, meblach lakierowanych na czarno, zakręconych abstrakcyjnych obrazach, drogim na oko telewizorze, i latynoskiej piosence w wykonaniu kwartetu Il Divo, rozbrzmiewającej cicho lecz zdecydowanie z czterech nie na żarty wypasionych kolumn głośnikowych.

Było tu parę bujnych roślin zielonych, a w kwadratowym akwarium na stoliku do kawy samotna złota rybka pływała w kółko wokół zatopionych ruin miniaturowej greckiej świątyni.

- Wciąż masz ochotę na whisky?

- Chyba bym się napił.

- Lodu?

- Dużo.

- Wody?

- Kropelkę. Podeszedł do akwarium.

- To Rybka - przedstawiła. - Rybko, poznaj pana komisarza Roya Grace'a.

- Cześć, Rybko - przywitał się i, zwracając się do Cleo, dodał: - Ja też mam złotą rybkę.

- Pamiętam, mówiłeś. Marlon, tak?

- Dobra pamięć.

- Mhm. Lepsza niż u złotej rybki. Czytałam, że one zachowują rzeczy w pamięci tylko przez dwanaście sekund. Mnie się czasem zdarza pamiętać coś przez cały dzień.

Grace zaśmiał się. Ale był to śmiech wymuszony. Atmosfera była lekko napięta.

Cleo wyszła z pokoju i Grace skorzystał z okazji, żeby się dokładnie rozejrzeć. Podeszedł do fotografii w ramce, która dzieliła mały, boczny stolik z fikusem. Przedstawiała przystojnego, dystygowanego mężczyznę po pięćdziesiątce, we fraku i w cylindrze, u boku



pięknej czterdziestoparoletniej kobiety, uderzająco podobnej do Cleo, w wyjątkowo pięknym kostiumie i dużym kapeluszu; w tle widać było mnóstwo wytwornie ubranych osób. Grace pomyślał, że to może trybuna królewska w Ascot, aczkolwiek nigdy tam nie był.

Potem przeszedł do sięgających sufitu, szczelnie wypełnionych półek z książkami. Wypatrzył rząd powieści Grahama Greene'a, komplet dzienników Samuela Pepysa, sporo kryminałów, głównie Ilana Rankina; znalazły się tam również powieść Jeanette Winter-son, dwie powieści Jamesa Herberta, książka Alice Seebold, „Korekty” Jonathana Franzena, książki Toma Wolfego, biografie Maggie Thatcher i Clintona, eklektyczna mieszanka literatury kobiecej, antykwaryczny egzemplarz „Anatomii” Graya, i ku jego zaskoczeniu, „The Occult” Colina Wilsona.

Cleo powróciła do pokoju, niosąc w ręku szkło, w którym podzwaniały kostki lodu.

- Dużo czytasz? - spytał.

- Za mało, ale jestem uzależniona od kupowania książek. A ty?

Kochał książki i kupował kilka za każdym razem, gdy wchodził do księgarni, ale rzadko kiedy je w końcu czytał.

- Chciałbym mieć na to czas; na ogół porzestaję na czytaniu raportów.

Podala mu szklankę z grubego szkła wypełnioną whisky z lodem i usiedli na sofie, w pewnej odległości od siebie. Uniosła swój kieliszek z białym winem.

- Dziękuję, że przyszedłeś.

Wzruszył ramionami, zastanawiając się, jaką znowu bombę chce mu teraz z kolei opuścić na głowę. Zamiast tego powiedziała:

- Na zdrowie twojej głowie!

- Mojej głowie?

- Do góry w nosa dziury!

Zmarszczył czoło.

- Nie znasz tego?
- Nie.
- Na zdrowie twojej głowie - powtórzyła. - Do góry w nosa dziury. Niech ci pójdzie w nogi, mój drogi.
- Uniosła swój kieliszek i pociągnęła długi łyk. Pokręcił głową w zdumieniu i pociągnął łyk whisky; była niebezpiecznie dobra.
- A co to znaczy? „Na zdrowie twojej głowie”?
- Do góry w nosa dziury! Niech ci pójdzie w nogi, mój drogi!
- Grace pokręcił głową; nie chwycił.
- Takie powiedzonko; będę musiała cię nauczyć.
- Spojrzał na nią, potem opuścił wzrok na szklankę i pociągnawszy jeszcze trochę, zmienił temat.
- No więc, czy chcesz mi opowiedzieć o tym... hm... panu Właściwym? Twoim narzeczonym?
- Cleo pociągnęła jeszcze łyk wina. Przyglądał się jej, zachwycony tym, że nie pije delikatnymi łyżkami jak pretensjonalna damulka, tylko pełnymi łykami.
- O Richardzie?
- Tak ma na imię?
- Nie mówiłam ci jak ma na imię?
- Wydawała się zdumiona.
- Właściwie nie. Jakoś ci umknęło wczoraj wieczorem. I na naszej poprzedniej randce.
- Wpatrzyła się w kieliszek, jakby studiowała starożytne runy.
- Ależ wszyscy... wszyscy o nim wiedzą. Znaczą... myślałam. .. że ty musisz wiedzieć.
- Najwidoczniej ja to nie wszyscy.
- On od paru miesięcy wyprowadza z równowagi wszystkich pracowników prosektorium.
- Grace zagrzechotał kostkami lodu w swojej szklance.
- Doprawdy nie wiem, czy my jesteśmy w tym samym tramwaju.
- Czterdzieści dwa - wypaliła. - No: sens wszechrzeczy? „Autostopem przez galaktykę” - książka i film.

- No tak - odparł, gdy załapał. Zastanawiał się, czy Cleo nie jest pijana. Ale nie wyglądała na pijaną. Ani nawet wstawioną. - Przepraszam, zgubiłem się. Masz narzeczonego, który wszystkich wprowadza z równowagi?

- Myślałam, że wiesz. - Wyglądała nagle na bardzo skruszoną. - O kurczę, ty nie wiedziałeś, co?

- Nie.

Opróżniła kieliszek.

- O Boże! - Przechyliła kieliszek, jakby licząc na to, że znajdzie w nim jeszcze parę kropel bezcennego alkoholu. - Tak naprawdę, to wyjątkowo niestosowne słowo w tym kontekście. Słowo: Bóg. - Znów wzruszyła ramionami.

- Zechcesz mnie doinformować?

- Chcesz komplet danych z pliku Richard?

- To może być dobry punkt wyjścia.

- Poznaliśmy się z Richardem trzy lata temu. Jest adwokatem. Przyszedł do prosektorium, ponieważ chciał obejrzeć zwłoki w pewnej sprawie o morderstwo, w której był obrońcą. - Uniosła kieliszek z nadzieją, po czym z widocznym rozczarowaniem stwierdziła, że jest pusty. - Spodobał mi się; zaczęliśmy chodzić ze sobą; spodobał się moim rodzicom; mój brat i moja siostra uważali, że jest uroczy... W końcu jakieś półtora roku temu zaręczyliśmy się. Tylko że mniej więcej w tym samym czasie odkryłam, że mam wielkiego rywala. Boga.

- Boga?

Kiwnęła głową.

- On odnalazł Boga. Albo Bóg odnalazł jego. Mniejsza o to.

- Szczęściarz z tego Richarda - powiedział Grace.

- Szczęściarz nie lada - przytaknęła z nutką sarkazmu. - Zadzroszczę każdemu, kto odnajduje Boga; jakże miło jest móc zrzec się na rzecz Boga wszystkich obowiązków.

Nagle wstała.

- Chcesz jeszcze whisky?

Grace spojrział na swoją szklanekę, wciąż jeszcze w trzech czwartych pełną.

- Dzięki, wystarczy: jestem samochodem.

Cleo wyszła z pokoju, powróciła z pełnym kieliszkiem wina i znów usiadła, tym razem o wiele bliżej.

- Prowadzał mnie do kościoła zielonoświątkowców w Brighton - podjęła. - Ale to było po prostu nie dla mnie. Próbowałam, ponieważ wtedy go kochałam, ale to tylko nas zaczęło od siebie oddalać.

- A jego radą na to było, że trzeba się jeszcze więcej modlić?

- Właśnie. Hej, wiesz co? Jesteś całkiem bystry. Jak na gliniarza.

Grace spojrział na nią wymownie, ale nie był w stanie ukryć uśmiechu.

- Wielkie dzięki.

Stuknęła kieliszkiem o jego szklankę.

- Zaczął mnie zmuszać, żebym z nim razem klękała, modliła się przez godzinę, czasem nawet dłużej, i prosiła Boga, żeby naprawił nasz związek. Po pewnym czasie już nie mogłam tego wytrzymać.

- Dlaczego?

- Bo ja po prostu nie jestem wierząca.

- W nic?

- Całymi dniami kroję ciała; wiesz, co robię. Jeszcze w żadnym nie znalazłam duszy.

Łyknęła trochę wina.

- A ty wierzysz?

- Wierzę w jakąś formę istnienia po śmierci. Ale z religią mam problem.

- No to jesteśmy w tym samym tramwaju - stwierdziła.

- Widziałem u ciebie na półce „The Occult” Colina Wilsona.

- Te wszystkie rzeczy mnie intrygują. Wiem, że ty się tym pasjonujesz, no i dobrze. Można wierzyć w duchy, w jakiś świat pozazmysłowy, ale nie trzeba od razu koniecznie wierzyć w jakiegoś monoteistycznego Boga. Prawda?

Grace kiwnął głową.

- Zerwałam z Richardem pół roku temu, a on nie może się z tym pogodzić. Jest przekonany, że Bóg to za nas naprawi. To mu też zaszkodziło w karierze zawodowej. Coraz więcej czasu spędza, modląc się do Boga, żeby mu pomógł w jego sprawach sądowych. Zamiast czytać akta. Przepraszam bardzo; patrzę na cały ten syf, który się dzieje w świecie, i widzę, że głównie powodują to ludzie, którzy się karmią złudzeniami na temat swojej konkretnej wersji Boga. Czasami obsesja Richarda nie wydaje mi się tak bardzo odległa od obsesji muzułmańskiego zamachowca-samobójcy. To wszystko mieści się w tym samym cholernym systemie przekonań: że nie liczy się to życie, tylko to następne. Co za gówniany ideał! Może zmienimy temat?

Grace upił jeszcze trochę whisky.

- O czym byś chciała porozmawiać?

Odstawiła kieliszek na podłogę, potem wyjęła szklankę zje-go ręki i też odstawiła. Zarzuciła mu ręce na szyję i szepnęła mu do ucha:

- A może by tak przez parę minut nic nie mówić?

I zamknęła mu usta pocałunkiem. Miała cudownie delikatne wargi, wdychał jej piżmowe perfumy, zapach świeżo umytych włosów, czuł jej figlarny, słodki język w głębi swoich ust i czuł, jak coraz bardziej ogarnia go sobą, a jej bliskość rozkosznie odurzwała zmysły.

I jakoś tam, wtuleni w siebie, nie przerywając pocałunku, wchodzili po stromych schodach - jedno piętro, może dwa, nie liczył - szurał nogami po drewnianych panelach podłogowych, potem po puszystym dywaniku. Il Divo wciąż śpiewali, teraz jakąś delikatną, jazzującą piosenkę. Świece, migocząc, stały wzdłuż ścian, a ona wciąż go całowała, penetrując językiem jego zęby, potem podniebienie, potem fechtując z nim na języki, aż poczuł - O Jezu! - że z głębi jego krocza bucha płomień...

Prąd przechodził mu przez trzewia, miotając po całym ciele małeńkie, cudowne iskierki. Otworzył oczy i zobaczył, że jej jasnobieskie oczy uśmiechają się do niego. Rozpinała mu koszulę i nagle pocałowała go w oko, potem w drugie, cmoknęła w czoło, w policzek,

potem wróciła do ust. I pocałowała jeszcze raz.

Było mu tak dobrze, że aż bolało.

Zdarzało mu się, że w ciągu minionych dziewięciu lat wybierał numer z ogłoszeń towarzyskich w „Argusie” i trafiał do jakichś obskurnych suterren w Brighton. Kiedyś obsłużyła go ręcznie gruba Hiszpanka. Uprawiał seks oralny z Tajką. Pamiętał też bardzo krępującą sytuację, kiedy z trudem mu stanął do chudej, miejscowej dziewczyny o wulgarnym głosie i płaskich piersiach.

Być może dlatego, że oczami duszy widział stojącą w tamtym pokoju Sandy. Ale tu jej teraz nie było.

Smukłe palce Cleo mocowały się z jego paskiem. Znów pocałunek, w szyję, tuż pod podbródkiem. Puściła klamra. Jeszcze jeden pocałunek w szyję, teraz niżej. I nagle poczuł, że ma rozpięte spodnie, poczuł jej ręce wewnątrz bokserek, tak ciepłe i jednocześnie tak niesłychanie - cudownie - zmysłowo zimne.

- O mój Boże.

Zacisnął szczęki, podniecony prawie do szaleństwa. Ale postanowił sobie, że to musi potrwać bardzo, bardzo długo.

Uśmiechnęła się do niego, absolutnie najbardziej lubieżnym uśmiechem, jaki widział w życiu. Zajęła się guzikami jego koszuli, rozpinając je po kolei i rozchylając coraz bardziej materiał.

Potem przycisnęła usta do jego prawego sutka, a on pomyślał, że chyba zaraz umrze z rozkoszy.

Pieściła go powoli, narzucając własne, niespieszne, tak zwodniczo niespieszne, tempo. Uszczypnęła go palcami w lewy sutek, leciutko, potem mocniej, znowu patrząc mu prosto w twarz, uśmiechając się tym szelmowskim, pięknym, tak nieprawdopodobnie ...

Tak nieprawdopodobnie...

Sprośnym...

Uśmiechem.

A on miał taki mocny zwzód. że już prawie nie mógł wytrzymać ani chwili dłużej.

Wodziła językiem po pępku, ściągając jednocześnie spodnie i bokserki, przez łydki do kostek, aż oparły się o buty.

Potem wzięła mu do ust.

Powietrze niemal wyskoczyło Royowi z płuc, gdzieś z głębi, z jakiegoś miejsca czy strefy, o której istnieniu już nawet nie wiedział, o której myślał, że dawno temu umarła. I wsunął ręce pod jej bluzę, poczuł jej ciało, miękkość kształtnego brzucha, powolutku podciągał bluzę, pragnąc, żeby ta chwila trwała w nieskończoność, nie chcąc ściągnąć jej bluzy, chcąc tylko pozostać w trakcie jej ściągnięcia na zawsze, przez wszystkie dni, godziny, minuty, sekundy, nanosekundy, pikosekundy, femtosekundy swego życia. Zatrzymany w czasie.

Potem dotknął piersi. Nie miała stanika. Były pełne, dużo większe, niż sobie wyobrażał, jedne, krągłe, tak niesamowicie podniecające, a ona jęknęła, gdy je pieścił, po czym znów wzięła mu do ust, głębiej, o wiele głębiej.

Leżeli na cętkowanej narzucie na jej łóżku, on wciąż jeszcze w butach, ze spodniami spuszczoneymi do kostek. Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. Przesunął dłonią po jej ramieniu, po ładnie zarysowanych łopatkach i linii pleców, delektując się ciepłem aksamitnej skóry i myślał - choć starał się o tym nie myśleć, ale to przyszło samo - jak bardzo ona była inna od Sandy. Nie lepsza, po prostu inna.

Wspomnienie Sandy zaczęło napływać przebłyskami do jego świadomości. Porównania. Sandy była niższa, pełniejsza, nie aż tak zgrabna; piersi miała mniejsze, innego kształtu, sutki większe, bardziej różowe. Sutki Cleo były mniejsze, niczym pąsowe ćwieki. Włosy łonowe Sandy miała ciemne, dziki gąszcz. Cleo miała tam włosy tej samej barwy oziminy co na głowie, elegancko przystrzyżone. Oplatała go rękami i nogami, pięknymi i silnymi jak u wspaniałej klaczy szlachetnej krwi, wijąc się i szepcząc:

- Roy, jesteś taki cudowny. Boże, Roy, od tak dawna tego pragnęłam. Kochaj się ze mną.

A on przygarniał ją do siebie, nie mogąc się nią nasycić, jakby zatracił się w jakiejś bajce. Pragnęła go przyjąć, ale on jeszcze nie czuł się gotowy. To było tak dawno, starał się sobie przypomnieć, musiał się powstrzymać, musiał sobie przypomnieć, jak się powstrzymać.

Musiał jakoś wszystko spowolnić. Musiał najpierw zaspokoić ją. Takiej zasady trzymał się zawsze z Sandy i z tymi nielicznymi dziewczynami, z którymi spał przed nią.

Delikatnie pieścił ustami piersi, brzuch, przesunął językiem po miękkim ściernisku oziminy jej włosów, a potem skosztował jej wilgoci, wdychał ją, wchłaniał cudowny smak, zapach, jeszcze bardziej odurzająco niż zapach jej perfum.

Jęczała.

O Boże, smakowała tak cudownie, tak cudownie, tak cholernie, bosko cudownie.

Zadzwoił jego telefon.

Zachichotała. Telefon dzwonił uparcie. Potem przestał. Wsunął głębiej język.

- Roy! - wyszeptała. - Roy! Och, Roy! O mój Boże, Roy!

Dwa ostre sygnały z jego cholernego telefonu. Ktoś zostawił wiadomość.

Miał to gdzieś.



## ROZDZIAŁ 64

Chris Willingham patrzył na stojącego w drzwiach salonu i wrzeszczącego nań histerycznie mężczyznę w podkoszulku ochlapanym z przodu rzygowinami, i rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć, czego go uczono na ostatnim szkoleniu, jak sobie radzić w takiej sytuacji.

- Musicie coś zrobić! Proszę, zróbcie coś! Musicie mi pomóc znaleźć żonę!

Mów cicho, przypomniał sobie. To po pierwsze. Więc cichym, łagodnym głosem zapytał:

- Co się właściwie stało?

- Ona krzyczy! Jest, kurwa, śmiertelnie przerażona, rozumiesz!

Tom Bryce wpadł do salonu i chwycił go za ramiona.

- Musicie, kurwa, coś zrobić!

Młody funkcjonariusz sekcji kontaktu z rodzinami zakrztusił się od smrodu wymiocin. Wciąż łagodnym głosem, zapytał jeszcze raz.

- Proszę mi powiedzieć, panie Bryce, co się stało?

Tom Bryce odwrócił się i wyszedł z salonu.

- No chodź pan zobaczyć! Ona jest u mnie w komputerze!

Posterunkowy poszedł za Tomem po schodach do małej kanciapki o ścianach wyłożonych książkami, segregatorami oraz oprawionymi fotografiami żony i dzieci gospodarza. Zobaczył na biurku

laptopa z podniesionym wiekiem. Ekran był pusty. Tom Bryce wcisnął enter na klawiaturze i ukazała się jego skrzynka odbiorcza.

Smród wymiocin był tu jeszcze silniejszy i Willingham, wpatrując się w ekran, jednocześnie starał się trzymać z daleka od nieczystości na podłodze. Przyglądał się, jak Bryce usiadł, popatrzył na ekran, zmarszczył brwi i przejrzał całą listę.

- To było tu - powiedział. - To było tu, taki, kurwa, e-mail z łącznikiem. Jezu, gdzie to jest, do cholery?

Willingham milczał; przez chwilę wydawało się, że Tom się trochę uspokoił. Po czym znów wyszedł z siebie.

- To było tu!

Patrzył na ekran, nie wierząc własnym oczom. Ten cholerny e-mail zniknął. Wpisywał w okienku „Wyszukaj” kolejno wszystkie słowa z tego e-maila, które pamiętał. Jednak nic się nie pokazało. Pochylił się i z głową w dłoniach zaczął szlochać.

- Proszę, pomóżcie mi. Och, proszę, zróbcie coś, znajdźcie ją, proszę zróbcie coś. O Chryste, gdyby pan ją słyszał.

- Pan ją widział, na ekranie komputera?

Tom kiwnął głową.

- Ale teraz jej tam nie ma?

- Nie.

Willingham się zastanawiał, czy Bryce jest poczytalny. Może ma jakieś urojenia? Załamanie pod wpływem stresu?

- Mógłby mi pan opowiedzieć wszystko od początku?

Starając się zachować spokój, Tom opowiedział mu dokładnie, co widział i co mówiła Kellie.

- Jeśli otrzymał pan e-maila, to musi gdzieś być w pańskim komputerze.

Tom przeszukał folder „Usunięte”, folder ze spamem, potem pozostałe foldery w swojej poczcie elektronicznej. Tamtego e-maila nigdzie nie było.

Pojawiła się nawet myśl, czy aby sobie tego nie uroił.

Ale nie mógł sobie uroić tego krzyku. Niemożliwe.

Odwrócił się do policjanta.

- Pan prawdopodobnie uważa, że to mi się przewidziało, ale zapewniam że nie. Widziałem to. Ci ludzie, kimkolwiek są, znają się na technologii. To się zdarza nie po raz pierwszy, w tym tygodniu dostawałem e-maile, które znikają, kasując mi przy okazji całą bazę danych.

Willingham stał, nie wiedząc, w co ma wierzyć i co robić. Jego podopieczny był w kiepskim stanie, ale nie wyglądał na szalonego, raczej na człowieka w szoku. Coś tu się na pewno stało, jednak według jego skromnej wiedzy o komputerach, e-maile tak po prostu nie znikają. Mogą zostać błędnie zaszeregowane; to mu się zdarzało.

- Spróbujmy może jeszcze raz. Przejrzyjmy wszystkie pańskie pliki, po kolei.

Było już po północy, kiedy skończyli. Nie znaleźli tamtego e-maila.

Tom zwrócił błagalne spojrzenie na policjanta.

- Co możemy zrobić?

Funkcjonariusz zamyślił się.

- Może by dział przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie coś poradził, ale wątpię, czy ktoś tam jest o tej godzinie w niedzielę. A może serwis techniczny pańskiego dostawcy internetu? Tam może być całodobowo... - Wtem zmarszczył brwi. - Eee... Właściwie, muszę najpierw to przekazać komisarzowi Grace'owi.

- Najpierw spróbuję - powiedział Tom. Sprawdził numer i wybrał go. Głos automatycznej sekretarki kazał mu czekać. Po dziesięciu minutach szajsowatej muzyki odezwał się ludzki głos, mówiący z hinduskim akcentem, życzliwy i usłużny. Po dalszych dziesięciu minutach, które ciągnęły się jak godziny, głos odezwał się ponownie i zameldował, że nie znalazł ani śladu tego e-maila czy też załącznika.

Tom z wściekłością rzucił słuchawkę. Tonem, w którym Tom wychuł narastający sceptycyzm, Willingham zapytał:

- Co dokładnie powiedziała panu żona?

Starając za wszelką cenę zachować jasność myślenia, zdał relację z jej słów, na tyle dokładnie, na ile pamięta!.

- Powiedziała: „Nie mów policji. Rób dokładnie to, co ci każą, inaczej następny będzie Max, potem Jessica. Proszę cię, rób dokładnie to, co ci każą. Nie wolno ci nic mówić policji, jeśli to zrobisz, oni się dowiedzą”.

- Kto to są „oni”?

- Nie wiem - odparł bezradnie.

Willingham wyciągnął swój cyfrowy radiotelefon. Tom z miejsca zacisnął na nim rękę.

- Nie!

Zapadła długa cisza. Nadeszło kilka nowych e-maili i filtr anty-spamowy usunął je ze skrzynki. Tom przejrzał foldery. Nic nie znalazł.

W końcu Willingham powiedział:

- Chyba muszę złożyć w tej sprawie meldunek.

- Nie! - warknął Tom.

- To całkowicie bezpieczne, proszę pana; meldunek będzie dostępny tylko w policyjnym systemie komputerowym.

- Nie!

Zaskoczony jego gwałtowną reakcją policjant uniósł rękę.

- Dobra, nie ma sprawy. - Wykrzywił twarz w zabawnym grymasie. - Może ja zrobię herbaty dla nas obu, albo kawy, i wtedy zastanowimy się co dalej?

- Kawy - zdecydował Tom. - Kawa by się przydała, dziękuję. Czarna, bez cukru.

Policjant wyszedł z pokoju. Tom nadal wpatrywał się w ekran komputera; gdzieś za horyzontem tego ekranu leżało całe jego życie.

Pojawił się nowy e-mail. Był od [scarablnc.com](http://scarablnc.com). Natychmiast na niego kliknął.

Gratulacje, Tom! Szybko kumasz! Teraz wyjdź z domu, weź samochód Kellie, pojedź na północ autostradą londyńską A23 i czekaj, aż ona do ciebie zadzwoni.

Nie lubię, jak lekceważysz moje polecenia, żeby nie rozmawiać z policją. Jeśli powiesz słowo, choćby JEDNO słowo swojemu nowemu serdecznemu druhowi, temu świeżo upieczonemu glinie-gosposiowi, wówczas, przyjacielu, już nigdy nie zobaczysz swojej żony żywej. Nie próbuj odpowiedzieć na tego e-maila. I oszczędź sobie szukania ukrytej kamery - właśnie na nią patrzysz.

## ROZDZIAŁ 65

Uśmiechnęła się do niego, a w blasku świec wydawała się jeszcze piękniejsza. Z kolumn rozbrzmiewał cicho łagodny jazz. Roy Grace czuł na swojej twarzy jej ciepły, świeży oddech, policzki Cleo przesłaniała fala uroczo zmierzwionych włosów.

- To było niezłe - szepnęła.

- Jak na gliniarza?

Dała mu kuksańca. Potem objęła dłońmi jego twarz i pocałowała w usta. Tak wygodnie mu było w tym łóżku, tak swobodnie się czuł z Cleo, tak mu było z nią dobrze, jakby się znali od lat, jakby byli najlepszymi w świecie kumplami.

Rozkoszował się wypełniającym go osobiście przyjemnym ciepłem; czuł się absolutnie, cudownie szczęśliwy. Znajdował się znowu, przynajmniej w tej ulotnej chwili, w miejscu, na którego odnalezienie w swoim życiu już nie liczył. Wtem przypomniał sobie, że wcześniej dzwonił jego telefon, że zignorował sygnał wiadomości, a nie powinien był, i spojrzawszy na emitujący słabą niebieską poświatę zegar na stoliku przy łóżku.

1.15.

Kurczę!

Przekręcił się na brzuch, sięgnął po omacku ręką do podłogi, znalazł telefon i przyłożył go do ucha, włączycwszy odsłuchiwanie poczty głosowej.

To był Glenn, który mówił, żeby oddzwonił, jeśli odbierze wiadomość przed północą, a jeśli nie, to żeby poczekał do rana. Z ulgą odłożył telefon na podłogę.

- Cieszę się, że przyszedłeś - wyszeptala Cleo.

- Skusiła mnie whisky Glenfiddich, i tyle. Nie potrafię się oprzeć.

- Więc naprawdę jest pan taki płytki, panie komisarzy? - droczyła się. - Wszystko za darmową wycieczką?

- Mhm. No i może troszeczkę byłem ciekawy tego narzeczonego. Jak bardzo jestem płytki w związku z tym?

Gwałtownie wciągnął powietrze, gdy nagle chwyciła go za jądra.

- Wie pan, co mówią, panie komisarzy?

Lekko ścisnęła.

Z trudem chwytając powietrze z rozkoszy - i ociupinkę z bólu - wysapał:

- Co mówią?

- Kiedy trzymasz mężczyznę za jaja, pójdą za tym jego serce i umysł.

Wypuścił gwałtownie powietrze, gdy odrobinę zwolniła uścisk.

- No to powiedz mi o swoich planach na resztę nocy.

Znów go ścisnęła i pocałowała.

- Bez względu na to, jakie mam plany, nie jesteś w najlepszej pozycji do negocjacji!

- A kto tu negocjuje?

- Ty! Przynajmniej tak ci się wydaje! - Zeskoczyła z łóżka i bezszelestnie przeszła przez pokój. Patrzył, jak jej szczupłe, długie nogi, jej jędrna, krągła, prześliczna pupa znikają za drzwiami.

- Dużo lodu! - zawołał.

Powróciła kilka minut później z dwiema grzechoczącymi szklanekami i podała mu jedną. Weszła z powrotem do łóżka, położyła się przy nim, uniosła swoją szklankę i stuknęła o jego. Odrzucając głowę do tyłu, wydeklowała:

- Na zdrowie twojej głowie. Do góry w nosa dziury. Niech ci pójdzie w nogi, mój drogi!

Po czym wychyliła pół swojej szklanki. Uniósł swoją.

- Na zdrowie twojej głowie! - odpowiedział i pociągnął duży łyk. Jutrzejszy dzień był odległy o lata świetlne. Wpatrywała się w niego błyszczącymi oczami.

- A więc przyszedł pan tylko dlatego, że chciał pan się czegoś dowiedzieć o moim narzeczonym. Czy to był jedyny powód, panie komisarzu Royu Grace?

- Przestań tak do mnie mówić!

- No to jak mam do ciebie mówić? „Bara-bara na końcu wszechświata”?

Uśmiechnął się.

- Może być. Ewentualnie po prostu Roy, też może być.

Pociągnęła solidny łyk, po czym pochyliła się nad nim, pocałowała go namiętnie i wepchnęła mu w usta kostkę lodu o smaku whisky.

- Roy! Świetne imię. Dlaczego rodzice dali ci na imię Roy?

- Nie pytałem.

- Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

- I ty jesteś detektywem? Myślałam, że dopytujesz się o wszystko.

- Dlaczego rodzice nazwali cię Cleo?

- Dlatego, że... - Zachichotała. - Właściwie to wstyd mi o tym mówić, ponieważ ulubionym cyklem powieściowym mojej mamy był „Kwartet aleksandryjski”. Nazwano mnie na cześć jednej z jego postaci, imieniem Clea, tylko że mój tata podał to do metryki z błędą pisownią. Napisał „o” zamiast „a”. I tak zostało.

- Nigdy nie słyszałem o „Kwartecie aleksandryjskim”.

- No co ty, musiałeś to czytać!

- Chyba miałem trudne dzieciństwo.



- A może zmarnowane?  
- A ty umiałaś grać w pokera w wieku dwunastu lat?  
- To właśnie mam na myśli! Boże, trzeba cię doksztalić! „Kwartet aleksandryjski” to cztery powieści Lawrence'a Durrella - bardzo piękne, łączące się w jedną całość. „Justyna”, „Baltazar”, „Mountolive” i „Clea”.

- Na pewno są bardzo piękne, skoro...

- Skoro co?

- Skoro ich wynikiem jesteś ty.

Znów zadzwonił jego telefon. Tym razem odebrał - bardzo niechętnie.

Dwie minuty później jeszcze bardziej niechętnie, stojąc przy łóżku, pośpiesznie i niezdarnie wciągał skarpetki.

## ROZDZIAŁ 66

- Łatwo cię nastraszyć, co, Kellie?

Oślepiąca padającym prosto w oczy światłem, Kellie wiała się w więzach, próbując się odchylić do tyłu na krzesło, oddalić od przebiegającego nóżkami ohydneho, czarnego żuka, którego gruby, przysadzisty Amerykanin trzymał tuż przed jej twarzą.

- Niece! Proszę, nieeee!

- To tylko jeden z moich zwierzaków. Łypnął okiem.

- Czego pan ode mnie chce? Czego pan chce?

Nagle zabrał żuka i pokazał jej trzymaną za szyjkę butelkę wódki.

- Kielonka?

Odwróciła głowę. Trzęsa się. Ze strachu. Z głodu. Z niepicia. Łzy spływały jej po policzkach.

- Wiem, że chcesz się napić, Kellie. Napij się, dobrze ci zrobi.

Rozpaczliwie pragnęła tej butelki, chciała schwycić ją za szyjkę i opróżnić duszkiem. Ale postanowiła sobie twardo, że nie da mu tej satysfakcji. Kątem oka, w oślepiającym blasku światła, wciąż widziała przebierające nóżki.

- Łyknij sobie tylko kropelkę.

- Chcę do dzieci - powiedziała.

- A ja myślę, że bardziej chcesz wódki.

- Pierdol się!

Zobaczyła cień i poczuła mocne uderzenie w policzek. Krzyknęła z bólu.

- Nie będzie mi tu żadna mała dziwka na mnie bluzgać! Zrozumiano?

- Pierdol się!

Następny cios był tak mocny, że przewrócił Kellie razem z krzesłem na bok. Runęła ze strasznym impetem na twardą jak kamień podłogę; ból przeszył jej ramię, bark, całe ciało. Wybuchnęła płaczem.

- Dlaczego mi pan to robi? - szlochała. - Czego pan ode mnie chce? Czego pan chce?

- A może by tak trochę posłuszeństwa?

Uniósł żuka do jej twarzy, tak blisko, że czuła jego kwaśną woń. Po chwili poczuła skrobanie jego nóżek na swojej skórze.

- Nieee!

Wiła się, przetaczając z krzesłem po podłodze, objijając się o nią, aż ją bolały wszystkie kości.

- Neeee, nieee, nieee!

Coraz szybciej oddychała, gorączkowo wciągając powietrze w ataku hysterii. Ogarnął ją nagły przypływ wściekłości na Toma. Gdzie on jest? Dlaczego jej nie szuka, nie przybywa na ratunek?

Potem leżała nieruchomo - wyczerpana, spoglądając w górę na oślepiające światło.

- Proszę - powiedziała błagalnie. - Nie wiem, kim pan jest. Chcę tylko do moich dzieci. Do męża. Proszę, niech mnie pan wypuści.

To chyba ma jakiś związek z tym e-mailem, który Tom widział i poszedł z tym na policję.

- Dlaczego się tu znalazłam? - spytała, jakby chciała dostać potwierdzenie.

Milczenie.

- Jest pan na mnie zły? - wyjęczała.

- Tylko dlatego, że jesteś niegrzeczna, Kellie. Chciałbym po prostu, żebyś współpracowała.

- No to niech mnie pan, kurwa, rozwiąże!
- Obawiam się, że to chwilowo niemożliwe.

Zamknęła oczy, rozpaczliwie starając się zachować jasność myślenia, zwalczyć straszliwe pragnienie alkoholu. Choćby jednego, malutkiego łyżeczka tej stolicznej. Ale nie da temu grubemu Amerykaninowi tej satysfakcji. Nigdy, nie ma mowy, do cholery, w życiu, nigdy.

Aż pragnienie zawładnęło jej umysłem.

- Czy mogłabym się teraz napić? - poprosiła.

Po chwili trzymała butelkę w ustach i chciwie przełykała płyn. Prawie natychmiast podziała. Boże, jak jej się zrobiło dobrze. Może źle oceniała tego człowieka - może jednak mimo wszystko był dobry.

- Dobrze, Kellie! Pij, pij! Dobrze, co?

Kiwnęła głową z wdzięcznością.

- Widzisz! Ja chcę być tylko dla ciebie miły! Ty bądź miła dla mnie, a ja będę miły dla ciebie. Może czegoś tu nie zrozumiałaś?

Potrząsnęła głową. Wtem została pozbawiona zbawczej butelki, którą tamten wyrwał.

I nagle odzyskała jasność myślenia. I wszystkie straszne filmy, które w życiu widziała, zaczęły się jednocześnie wyświetlać w jej umyśle. Kim, do cholery, jest ten człowiek? Seryjnym mordercą? Co on ma zamiar zrobić? Strach wił się w jej wnętrzu jak jakieś dzikie zwierzę, które uciekło z klatki. Zgwałci ją? Podda torturom?

Umrę, tutaj, w ciemności, i nawet nie zobaczę więcej Jessiki ani Maksa, ani Toma.

Jak się postępuje z takim człowiekiem? W filmach widziała, że uprowadzeni starali się nawiązać jakiś kontakt z porywaczami, zbudować z nimi jakąś więź. Tak, zbudować więź; było im potem dużo trudniej zrobić człowiekowi krzywdę, skoro go już trochę poznali.

- Jak się pan nazywa? - spytała.

- Nie sądzę, żebyś potrzebowała sobie tym zawracać głowę, Kellie.

- Chciałabym wiedzieć.
  - Zostawię cię teraz na jakiś czas samą. Jak dobrze pójdzie, wkrótce dołączy do ciebie twój mąż.
  - Tom?
  - Zgadłaś!
  - Tom przyjdzie?
  - Tom przyjdzie. Nie chcesz chyba, żeby zobaczył, jak tak leżysz na podłodze, co?
- Pokręciła głową.
- Posadzę cię prosto. Chcę, żebyś ładnie wyglądała przed kamerą!
  - Kamerą?
  - Mhm.
- Czując się trochę pijana, zapytała nieco bełkotliwie:
- Włączysz kamerę?
  - Będziesz gwiazdą!

## ROZDZIAŁ 67

W środku nocy, o pierwszej dwadzieścia pięć, nagle huknął Jay-Z z komórki Glenna Bransona, która leżała w jego sypialni. Pośpiesznie sięgając ręką, żeby odebrać i uciszyć to cholerstwo, zanim obudzi Ari, przewrócił szklankę wody stojącą na stoliku przy łóżku i z łomotem zrzucił na podłogę telefon i budzik.

Wyskoczył po ciemku z łóżka z lekkim zamętem w głowie i po omacku zaczął przeszukiwać podłogę pod krzesłem przy stoliku, gdzie upadł telefon, podczas gdy muzyka rozbrzmiewała coraz głośniej. W końcu natrafił na aparat, schwycił go i przyjął połączenie.

- Sierżant Branson - odezwał się najciszej, jak zdołał, przykucając, jakby to w jakiś sposób mogło sprawić, że jego głos będzie jeszcze cichszy.

Dzwonił Tom Bryce. Jego głos brzmiał okropnie.

- Panie sierżancie, przepraszam, że dzwonię tak późno.

- Nie, bez obaw, przyjacielu... Tylko chwileczkę...

- Na miłość boską! - jęknęła Ari. - Wracasz do domu po północy i budzisz mnie, a teraz znowu mnie budzisz. Chyba powinniśmy pomyśleć o osobnych sypialniach.

Ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami.

Pięknie się tydzień zaczyna, pomyślał ponuro Branson, wychodząc z pokoju. Zaniósł telefon do ich jaskrawopomarańczowej łazienki i zamknął drzwi.

- Przepraszam. Już jestem - powiedział, z braku czegoś lepszego przysiadając nago na sedesie. - Słucham pana.

W pomieszczeniu unosił się zapach masy spoinowej. Spojrzał na nowiutkie drzwi od kabiny prysznicowej, wstawione zaledwie w zeszłym tygodniu, i zwariowane kafelki w tygrysie pręgi, które glazurnik skończył kłaść dopiero w piątek. Wprowadzili się do tego domu trzy miesiące temu. Był położony w fajnym punkcie, niedaleko zarówno od morza, jak i okolic wiejskich, w Saltdean, aczkolwiek w tej chwili, jak mu mówiła Ari, wszyscy mieszkańcy osiedla byli bliscy paniki, ponieważ o ledwie kilometr stąd znaleziono zwłoki Janie Stretton.

- Muszę wiedzieć, czy ta linia jest bezpieczna. - W głosie Toma Bryce'a pobrzmiwały histeryczne nutki. W tle słychać było wyjący odgłos, jakby jechał samochodem.

Chcąc go uspokoić, wyjaśnił:

- Dzwoni pan na moją policyjną komórkę; wszystkie jej sygnały są kodowane. Jest to w pełni bezpieczne. - Postanowił nie wspominać o tym, że komórkę Toma, zapewne normalną, mógł bez trudu podsłuchać każdy, kto nastroił się na tę samą częstotliwość. - Gdzie pan jest, przyjacielu?

- Nie powiem panu.

- Dobra. To nie jest pan w domu?

- Nie, w domu nie mogę rozmawiać; tam jest podsłuch.

- Chce się pan gdzieś ze mną spotkać?

- Tak. Nie. Tak... znaczy... potrzebuję pańskiej pomocy.

- Po to jestem, panie Bryce.

- Skąd mam wiedzieć, czy mogę panu zaufać? Że to będzie poufne?

Usłyszawszy to pytanie, Branson zmarszczył brwi.

- Jakich zapewnień panu potrzeba?

Długie milczenie.

- Halo? Panie Bryce, jest pan tam jeszcze?

- Tak. - Głos Bryce'a brzmiał słabo.

- Słyszał pan moje pytanie?

- Nie wiem, czy... czy powinienem. Myślę, że to za duże ryzyko.

Rozłączył się.

Glenn Branson oddzwonił do niego, ale od razu odezwała się poczta głosowa. Pozostawił wiadomość, potem odczekał parę minut, całkowicie rozbudzony, pogrążony w gorączkowych rozmyślaniach, żalując, że Ari jest tak mało wyrozumiała. No tak, nie ma lekko, ale byłoby miło, gdyby okazała choć trochę więcej współczucia. Wzruszył ramionami. A niech tam! Może powinien był przeczytać tę książkę, którą mu kupiła w prezencie na Boże Narodzenie, „Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus”. Mówiła, że to mu pomoże zrozumieć, co czują kobiety. Ale wątpił, czy kiedykolwiek naprawdę zrozumie, czego chcą kobiety. Kobiety i mężczyźni nie pochodzą z różnych planet, tylko z różnych wszechświatów.

Jeszcze raz wybrał numer komórki Bryce'a. Od razu się włączyła poczta głosowa. Następnie wybrał jego numer domowy, gdzieś w głębi serca czując nagle jakiś nieokreślony lęk.

\*

- Nie ma? - powtórzył Roy Grace, stojąc z Bransonem w przedpokoju domu Toma Bryce'a dziesięć po drugiej nad ranem, oniemiały z wściekłości wpatrując się w młodego funkcjonariusza sekcji kontaktu z rodzinami. - Co znaczy, kurwa, nie ma?

- Wszedłem na górę, żeby zobaczyć, jak się czuje, i nie było go.

- Tom Bryce, jego czteroletnia córeczka i siedmioletni synek wychodzą sobie z domu, a ty nawet, cholera, nie zauważyłeś?

- Ja, eee... - wyjąkał bezradnie Chris Willingham.

- Zasnąłeś, kurwa, na służbie, tak?

- Nie, ja...

Grace, żując gumę, żeby zneutralizować zapach alkoholu w oddechu, piorunował młodego policjanta wzrokiem.



- Miałeś się nimi zaopiekować. I mieć oko na niego, jako pierwszego, kurwa, podejrzanego. I pozwoliłeś im tak sobie wyjść?

Funkcjonariusz opowiedział detektywom o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu minionych paru godzin, z szczególnym uwzględnieniem e-maila, który Tom Bryce jakoby otrzymał, a który zniknął z jego komputera.

Grace przybył wprost ze szpitala hrabstwa Sussex, gdzie młoda detektyw, w której pokładał tyle nadziei, Emma-Jane Boutwood, leżała podłączona do respiratora i lada chwila miała być operowana. Przypadło mu w udziale smutne zadanie zadzwonienia do jej rodziców z wiadomością, że ich córka jest w stanie agonalnym.

Kiedy niechętnie wychodził od Cleo, był w euforii, lecz gdy poznał skalę obrażeń E.-J, wszystkie wspomnienia o chwilach spędzonych tej nocy z Cleo uległy zatarciu - przynajmniej na jakiś czas - i teraz miał podły nastrój, bał się strasznie o życie Emmy-Jane.

Kierowca furgonetki, którego tożsamości dotąd nie udało się ustalić, leżał nieprzytomny na oddziale intensywnej opieki medycznej w tym samym szpitalu. Grace zamówił całodobowy dozór policyjny przy jego łóżku szpitalnym i poinstruował funkcjonariusza, który się w tym celu stawił, że gdy tylko mężczyzna odzyska przytomność, ma zostać aresztowany za próbę zabójstwa policjantki. Grace mógł tylko mieć nadzieję, że nie będą musieli zmieniać zarzutu na zabójstwo.

Tymczasem detektyw Nicholl czekał na niego w centrum koordynacji z komputerem, który mu chciał pokazać, a podejrzanym pan Tom Bryce dał cichcem nogę z dwójką swoich dzieci - co to wszystko ma znaczyć?

A tydzień zaczął się zaledwie przed dwiema godzinami.

Zwracając się do Bransona, zapytał:

- Mówiłeś, że kiedy Bryce do ciebie dzwonił, to brzmiał jakoś dziwnie. Był wystraszony?

- Porządnie wystraszony - potwierdził Branson.

Grace pomyślał przez chwilę.

- Dałeś mu wczoraj do wypełnienia formularz zgłoszeniowy w sprawie zaginięcia jego żony?

Branson kiwnął głową.

- Złożyłeś to do dokumentacji?

- Tak.

- Zadzwoń do Nicka, jest teraz w centrum koordynacji. Poproś, żeby do tego zajrzał. Będą tam adresy rodziny i przyjaciół pani Bryce. Wystraszony człowiek nie pojedzie daleko z dwojgiem małych dzieci w środku nocy. Rozesłaliście opis samochodu?

Chris Willingham i Glenn Branson spojrzeli na niego w osłupieniu. Najwidoczniej żadnemu z nich nie przyszło to do głowy.

- Co się, kurwa, dzieje?

Glenn Branson, chcąc go uspokoić, zaczął tłumaczyć:

- Roy, ja nie wiedziałem, na ile mamy nie spuszczać go z oka. Chris miał mu tylko pomóc radzić sobie w tej sytuacji i dawać mu poczucie bezpieczeństwa.

- Tak, a jeśli roześlemy opis cholernego pojazdu, którym jedzie, możemy mu dać jeszcze większe poczucie bezpieczeństwa, bo zapewni mu je każdy, cholera, radiowóz krążący po mieście.

Tych radiowozów, wiedział o tym, nie krążyło o tej porze zbyt wiele.

- Mam powiedzieć Nickowi, żeby zwołał resztę zespołu?

Grace zastanowił się przez chwilę. Pokusa, żeby zerwać Normana Pottinga z łóżka, była prawie nie do odparcia, ale miał przecucie, że zanosí się na bardzo długi dzień pracy. Należało pozwolić przespać noc każdemu, kto nie był teraz niezbędny, żeby przynajmniej niektórzy zjawili się wypoczęci i w pełni formy umysłowej na odprawie o ósmej trzydzieści.

Musi zorganizować jakieś zastępstwo za Emmę-Jane, uświadomił sobie. A jak Alison Vosper zareaguje na kolejny wypadek samochodowy spowodowany przez poścíg policyjny? Taksówkarz leżał w

szpitalu z szeregiem drobnych obrażeń, jego pasażer, który miał niezapięty pas bezpieczeństwa, złamał nogę. Jakiś reporter z „Argusa” już weszły w szpitalu, i na pewno rzuca się na ten temat jak sępy. Kurwa mać.

- Jest tylko jeden problem. Nie znam rejestracji pojazdu, którym on jedzie - powiedział Glenn Branson.

- No, to chyba nie będzie trudno ustalić. Gdzieś tu w domu pewnie jest dowód rejestracyjny.

Pozostawiając na dole Bransona, który dzwonił do Nicholla, i funkcjonariusza SKzR, który miał tam szukać danych samochodu, Grace wszedł na górę i zajrzał do pokojów dzieci, a potem do sypialni właściciela, gdzie łóżko nie było posłane. Nic tam nie znalazł. Bardziej obiecująco wyglądała kanciapa Toma Bryce'a. Spojrzał na biurko, zavalone stosami dokumentów, i na kamerę internetową. Przegrzebał szuflady, ale nie znalazł nic ciekawego, po czym sięgnął do szafy segregatorowej z czarnego metalu.

Wszystkie informacje były w teczce z napisem „Samochody”.

Nie zawsze robota policyjna wymaga doktoratu z filozofii, pomyślał.

\*

Piętnaście minut później Grace i Branson jechali obskurną windą, ze wszystkimi ścianami pomazanymi sprejem obscenicznymi graffiti i z kałużą moczu w kącie, w wieżowcu na osiedlu komunalnym Whitehawk.

Wysiedli na siódmym piętrze, przeszli korytarzem do drzwi mieszkania 72 i nacisnęli dzwonek.

Po dłuższej chwili rozległ się głos kobiety.

- Kto tam?

- Policja! - odpowiedział Grace.

Otworzyła im zmęczona, pięćdziesięcioparoletnia kobieta o udreżonej twarzy, w szlafroku i pantoflach z pomponami. W młodości musiała być atrakcyjna, ale twarz miała teraz zgrubiałą i

pooraną zmarszczkami, a faliste blond włosy, z byle jaką fryzurą, były gęsto poprzątkane siwizną.

Miała bardzo poczerńiałe zęby - od nikotyny, stwierdził Grace, sądząc po odorze tytoniu. Gdzieś za jej plecami w mieszkaniu darło się jakieś dziecko. W powietrzu unosił się zjeżdżały zapach smażonego tłuszczu.

Grace pokazał legitymację.

- Komisarz Grace z wydziału kryminalno-dochodzeniowego w Brighton, a to sierżant Branson. Pani Margaret Stevenson?

Kiwnęła głową.

- Pani jest matką pani Kellie Bryce?

Zawahała się przez chwilę.

- Tak - potwierdziła. Po chwili dodała: - Jego tu nie ma. Panowie szukają Toma? Tu go nie ma.

- Pani wie, gdzie on jest? - spytał Grace.

- Panowie wiedzą, gdzie jest moja córka?

- Nie, próbujemy ją znaleźć.

- Ona by nie znikła, nie zostawiłaby dzieciaków. Nie lubiła ich spuścić z oka. Nawet z nami by ich nie zostawiła. Tom tu przywiózł dzieciaki jakąś godzinę temu wstecz. Zadzwoił, wepchnął je do środka i poszedł.

- Czy mówił, gdzie się wybiera?

- Nie. Powiedział, że potem zadzwoni.

Wrzaski za jej plecami nasiliły się. Odwróciła się niespokojnie.

Grace wyciągnął z kieszeni wizytówkę i podał jej.

- Proszę do mnie przedzwonić, jeśli będzie pani miała od niego jakąś wiadomość. Na komórkę.

Wzięła wizytówkę i spytała:

- Chcą panowie wejść? Może herbatki? Muszę uspokoić Jessicę; mąż mi musi się wyspać. On ma parkinsona. Musi odpoczywać.

- Przepraszam, że zakłóciliśmy pani spokój - powiedział Grace. - Pan Bryce zupełnie nic nie powiedział?

- Nic.
  - Nie wyjaśnił, dlaczego przywozi dzieci w środku nocy?
  - Dla ich bezpieczeństwa, tak powiedział. I tyle.
  - Bezpieczeństwa przed czym?
  - Nie powiedział. Gdzie jest Kellie? Jak panowie myślą?
  - Nie wiemy, pani Stevenson - odezwał się Glenn Branson. - Gdy tylko ją znajdziemy, zadzwonimy do pani. Pan Bryce naprawdę nie mówił, dokąd się wybiera?
  - Jadę znaleźć Kellie, mówił.
  - Nie mówił gdzie?
- Pokręciła głową. Wrzask stał się jeszcze głośniejszy. Grace i Branson wymienili spojrzenia - jedno pytające, drugie ze wzruszeniem ramion.
- Przepraszamy za zakłócenie spokoju - powiedział Grace.
- Uśmiechnął się, próbując dodać jej otuchy. - Znajdziemy pani córkę.

## ROZDZIAŁ 68

Tom, który powoli jechał espace Kellie na północ, z telefonem komórkowym w ręku, trząsł się. Droga była pusta, tylko od czasu do czasu widział światła reflektorów samochodowych nadjeżdżające z przeciwka, albo pojawiające się w lusterku i mijające go.

Po raz setny próbował się połączyć z Kellie i usłyszał jej głos. „Cześć, mówi Kellie. Przepraszam, nie mogę w tej chwili odebrać telefonu. Zostaw wiadomość; oddzwonię!”

Jakieś niewyraźne myśli przemykały mu przez głowę, jak cienie rzucane przez światła jego samochodu. Całe ciało miał kurczowo spięte. Pochylił się do przodu, wpatrując się przed siebie, rzucił krótkie, nerwowe spojrzenia na lusterko, czując jak strach ściska mu wnętrzności.

O mój Boże. Kochanie, gdzie ty jesteś?

Nie wiedział, co tu robi i czego ma się spodziewać. Miał wrażenie, że mózg mu się zablokował; nie potrafił wyjść myślami poza tę ramkę, poza te słowa na ekranie swojego komputera.

Nachodziły go wizje tej dziewczyny, Janie Stretton, zarzynanej w swym pokoju przez zamaskowanego mężczyznę ze sztyletem. Ale teraz to już nie Janie Stretton, to Kellie. Nie był sobie w stanie wyobrazić, gdzie ona jest ani jakie myśli chodzą jej po głowie. Po prostu musiał do niej dotrzeć, za wszelką cenę.

Pieniądze. Tego będą chcieli, podejrzewał mgliście. I będą mu musieli uwierzyć, kiedy im powie, że niewiele ma, ale odda im wszystko na świecie. Wszystko.

Z mroku wyłonił się drogowskaz. COWFOLD. HAYWARDS HEATH.

- To ja, kochanie - powiedział. - No próbuję się dodzwonić już któryś raz. Kocham cię.

Rozłączył się i po paru sekundach wyświetlacz zgasł. Po czym nagle znów się rozjaśnił.

#### NUMER PRYWATNY DZWONI

Gdyby to była Kellie, jej numer by się wyświetlił. Nerwowo wciśnęła przycisk odbioru połączenia.

- Halo?

- Pan Bryce?

To był sierżant Branson. Cholera. Tom przerwał połączenie.

Po chwili rozległ się podwójny sygnał wiadomości w poczcie głosowej.

Odtworzył ją. Sierżant Branson, już po raz trzeci prosił go, żeby oddzwonił.

Kellie, kochanie, na miłość boską, zadzwoń!

W lusterku wyłoniły się światła samochodu. Chociaż jechał tylko sześćdziesiątką na dwupasmówce, tym razem pozostały w tyle, bezpośrednio za nim. Zwolnił do pięćdziesiątki. Światła nadal utrzymywały się za nim. Poczł ucisk w gardle.

Znów zadzwonił jego telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer, którego nie rozpoznawał. Odebrał, odzywając się niepewnym, roztrzęsionym głosem.

- Halo?

Jakiś męski głos zapytał gardłowym, wschodnioeuropejskim akcentem:

- Panie Bryce, jak się pan miewa?

- Kto... kto mówi? - wykrztusił. Światła były tuż za nim i oślepiły go.

- Żona chciałaby się z panem zobaczyć.
- Z trudem widząc drogę przed sobą, zapytał:
- Jak ona się czuje? I gdzie jest?
- Czuje się dobrze, czuje się świetnie. Nie może się na pana doczekać.
- Kim pan jest?
- Za pół kilometra będzie zatoczka. Pan w nią zjedzie i wyłączy silnik. Pan nie wysiada z samochodu i nie rozgląda się.

Połączenie zostało przerwane.

Nie wiedział, co robić. W pewnej odległości przed nim, gdy zaczął zjeżdżać z długiego wzniesienia z drogowskazami do centrum ogrodniczego po lewej stronie, światła jego samochodu wyłowiły z mroku niebieski znak z literą P, informujący o parkingu.

Potem zobaczył zatoczkę.

Serce biło mu o żebra jak oszalały ptak w klatce, a w ustach zaszło mu ze strachu. Rozpaczliwie starał się myśleć jasno, racjonalnie. Jakiś głos gdzieś w jego głowie krzyczał, żeby nie zjeżdżał do zatoczki, jechał dalej, oddzwonił do sierżanta Bransona, pozostawił tę sprawę policji.

A inny głos, o wiele ciszej, bardziej logicznie, mówił mu, że jeśli nie zjedzie, Kellie umrze.

Jej krzyk przerażenia w komputerze rozbrzmiewał wokół niego echem.

Ten krzyk był prawdziwy.

Ta dziewczyna w jego komputerze we wtorek wieczorem, pokrojona na kawałki sztyletem, była prawdziwa.

Włączył lewy kierunkowskaz, zwolnił, zjechał.

Tamte światła zjechały jego śladem.

Zahamował, wyłączył silnik i siedział sztywno, patrząc przed siebie, zamarły ze strachu, ale z mocnym postanowieniem, że jakoś to wytrzyma.

Światła w jego lusterku zgasły. Ciemność. Cisza. Silnik stęknął metalicznie. Miał wrażenie, że widzi jakieś poruszające się cienie. Za nim pojawiły się małe punkciki światła. Były coraz większe.



Jakaś ciężarówka przejechała z rykiem obok, aż jego samochód się zatrząsał, i zobaczył jak jej czerwone tylne światła znikają w oddali.

Wtem otworzyły się jednocześnie obie pary tylnych drzwi espace.

Jakaś ręka chwyciła go za gardło jak imadłem.

Przyciśnięto mu coś do nosa i ust, jakąś wilgotną szmatkę, o ostrym, kwaśnym, obrzydliwym zapachu. Z miejsca poczuł przeszywający ból głowy, jakby ktoś krajał mu mózg na plasterki.

Jak w wyłączonym nagle telewizorze widział tylko mały, coraz mniejszy punkcik światła, który szybko wygasał, aż zniknął.

## ROZDZIAŁ 69

Następnym funkcjonariuszem policji hrabstwa Sussex, którego w środku nocy wyrwał ze snu telefon, był sierżant Jon Rye z działu przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie. Gdy rozdzwoniła się jego komórka, na budziku wyświetlała się 2.43. Zaklął, zły na siebie, że przed snem nie wyłączył tego cholerstwa.

Jego żona otworzyła jedno oko, ale nic nie powiedziała, gdy szybko wracając do rzeczywistości, włączył lampkę nocną, zerknął na wyświetlacz i zobaczył tylko:

NUMER PRYWATNY DZWONI.

Prawie na pewno z pracy, pomyślał.

Dzwonił prowadzący śledztwo w sprawie zamordowania Janie Stretton. Rye spojrział na żonę, poprosił Roya Grace'a, by chwilę poczekał, po czym narzuciwszy szlafrok, pośpiesznie zszedł na dół, do kuchni, i zamknął drzwi.

- Już jestem, panie komisarzu - odezwał się. - Przepraszam.

- To ja przepraszam, że budzę. Muszę o coś pilnie zapytać. Wczoraj wieczorem wpisał pan do systemu zdarzenie. Jakiś „War driving”.

Oż kurczę blade! - pomyślał Jon Rye, półprzytomny. Wpisał to cholerne zgłoszenie od niemieckiego inżyniera z czystej przekory. To

był w gruncie rzeczy tylko żart. Ależ takie coś potrafi odbić się czkawką!

- Wpisał pan tam numer rejestracyjny białej furgonetki ford transit. Ta furgonetka była widziana poprzedniego wieczoru w pobliżu miejsca zbrodni, a dziś w nocy, ścigana przez policję, rozbiła się w wypadku.

- Rozumiem - powiedział szef działu przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie.

- Nie znam tego określenia, „War driving”. Co pan miał na myśli?

Rye wytłumaczył.

Kiedy skończył, Grace powiedział:

- Aha, czyli jeśli dobrze rozumiem, każdy kto ma Wi-Fi, bezprzewodowe łącze internetowe, może się zalogować do każdego systemu, który nie jest chroniony hasłem?

- Zgadza się, panie komisarzu. Bezprzewodowy router, taki niewielki element, który kosztuje jakieś pięćdziesiąt funtów, wysyła sygnał, a każdy, kto ma Wi-Fi i jest w zasięgu tego sygnału, może za jego pomocą zalogować się do internetu, o ile router nie zażąda podania hasła.

- Więc w ten sposób można za darmo korzystać z szybkiego łącza?

- Tak jest.

- Ale po co by to ktoś miał robić?

- Jeśli jest pan gdzieś na mieście i chce pan sprawdzić pocztę albo posłać e-maila, może to być po prostu wygodne. Mnie samemu się to zdarzyło.

Rye, teraz już zupełnie rozbudzony, podszedł do czajnika i, sprawdzwszy czy w środku jest woda, włączył go, żeby sobie zrobić herbaty.

- Panu się zdarzyło? To znaczy?

- Jechałem jako pasażer samochodem, tu, w Brighton, zatrzymaliśmy się na światłach, a ja miałem włączonego laptopa; i nagle widzę, że jestem połączony z internetem. Moje Wi-Fi przechwyciło sygnał z jakiegoś bezprzewodowego routera. W ciągu paru sekund

można wysłać i pobrać kupę e-maili. Albo stron internetowych.

Grace przez chwilę milczał, przetrawiając to, co usłyszał.

- Czyli pan Seiler, który zgłosił tę skargę, denerwował się z powodu jakiegoś człowieka w białej furgonetce, który podłączył się do jego bezprzewodowego routera za pomocą swojego Wi-Fi?

- Tak go przynajmniej zrozumiałem, panie komisarzu.

- Ale czemu pan Seiler tak się zdenerwował? Co mu to szkodziło?

- Owszem, jeśli chciał wysłać albo odbierać e-maile, szczególnie duże pliki, to by mu spowolniło przepływ danych. - Rye starał się znaleźć jakąś analogię. - Proszę sobie wyobrazić, że u siebie w domu puści pan wodę ze wszystkich kranów naraz. Woda popłynie z nich wolniej, niż gdyby odkręcił pan tylko jeden kran. No, to nie jest najlepsze porównanie.

- Więc ten człowiek w furgonetce stwierdził, że znalazł dobre miejsce do buszowania po internecie?

- Tak, na to wygląda; jest to jakiś sposób na korzystanie z internetu bez płacenia.

Komisarz przez dłuższą chwilę milczał.

- Ale opłaty są już teraz dość niskie. Czy mógł być jakiś inny powód?

Woda w czajniku szumiała, dochodząc do punktu wrzenia. Na dworze było ciemno choć oko wykol. Drzwi lodówki ozdabiał rysunek kredkami, przedstawiający patykowatego ludzika w prostokątnym samochodziku z czterema nierównymi kołami, z podpisem: tata. Narysowała go jego córka Becky dobrych dziesięć lat temu, kiedy jeszcze był w drogówce; musiała mieć wtedy jakieś dziewięć lat. Dziwne, co robi z człowiekiem zmęczenie. Chyba nie spojrział na ten rysunek ani razu przez większą część minionej dekady.

- Inny powód? - powtórzył Jon Rye. - Tak, jeśli chce pan maksymalnie utrudnić namierzenie jakichś e-maili, które ma pan do wysłania albo odebrania.

- Dziękuję - powiedział Grace. - Bardzo mi pan pomógł.  
- Nie ma sprawy. Czy te informacje o routingach z tego laptopa, który mi daliście do zbadania, tego od pana Bryce'a, okazały się przydatne?

- Tak, ogromnie.

- Fajnie, wciąż nad tym pracujemy.

- Może jeszcze dziś pogadamy trochę później.

- Zadzwoń do pana, jeśli coś jeszcze znajdziemy.

Wyczuł w tonie komisarza, że ten chce już zakończyć rozmowę, że mu się śpieszy, żeby jak najprędzej przystąpić do czegoś innego. Czegoś jeszcze pilniejszego niż ten telefon, który obudził cały jego dom w środku pieprzonej nocy.

## ROZDZIAŁ 70

Siedząc przy stanowisku pracy swojego zespołu w GCK Jeden, Grace odłożył telefon i pociągnął łyk mocnej, słodkiej, białej kawy, którą dopiero co sobie zrobił. Wyglądało na to, że po jego wyjściu, koło jedenastej wieczorem, musiały tu być sprzątaczkі; było nieskazitelnie czysto, zapach jedzenia zastąpiła nieco metaliczna, cierpka woń środka czyszczącego, kosze zostały opróżnione. Nick Nicholl również odłożył słuchawkę.

- W szpitalu bez zmian - oznajmił.

W tej chwili, pomyślał Grace, brak wiadomości to dobra wiadomość. Bez zmian oznaczało, że E.-J. jeszcze żyje.

- No dobra - powiedział, wskazując ruchem głowy laptopa, zabranego przez Nicka Nicholla z furgonetki, który leżał teraz przed nim w foliowej torbie na materiał dowodowy. - Chcę zobaczyć w tej maszynie skrzynkę odbiorczą i pozycje wysłane.

Rzucił okiem na monitor policyjnego systemu komputerowego Vantage i przejrzał pobieżnie dziennik zdarzeń z tej nocy. Poza poruszeniem spowodowanym przez ich własną działalność, była to spokojna noc, typowa noc z niedzieli na poniedziałek. Z czwartku na piątek czy z piątku na sobotę działałoby się dziesięć razy tyle.

Nicholl nałożył lateksowe rękawiczki, wyjął z torby laptopa i uniósł wieko. Zasilanie było wciąż włączone, tyle że urządzenie

przeszło na czuwanie. Jakiś czas przebiegały procedury przebudzenia procesora, następnie otworzył się program obsługi poczty elektronicznej Entourage, który musiał pracować w chwili, gdy zbliżyli się z Emmą-Jane do pojazdu, uświadomił sobie detektyw.

Siedzący naprzeciwko nich Branson spytał:

- Ten Jon Rye wydał ci się chętny do pomocy?

- Bardziej niż ja bym się wydał większości ludzi o tej godzinie - odparł Grace, dmuchając na kawę, żeby ją ostudzić.

- Tak, no cóż, on kiedyś był w drogówce. Nie zaszkodzi mu, jak trochę dostanie za swoje. Jeden z tych sukinsynów załatwił mnie dziesięć lat temu; to mógł być on.

Grace uśmiechnął się.

- Po pijaku? Balonikiem?

- Nie, za prędkość. Kurczę, pusta droga... Przekroczyłem tylko trochę. Sukinsyn załatwił mnie złośliwie, na sto procent.

- Mnie załatwili za przekroczenie prędkości trzy lata temu - mówił Grace. Zatrzymali nieoznakowanym wozem, tuż po wjeździe na A23. To, że jestem gliną tylko pogorszyło sprawę. Sprawiali wrażenie, jakby czerpali sadystyczną rozkosz z tego, że przyskrzynili swojego.

- Znasz ten stary kawał? - spytał Branson. - Jaka jest różnica między jeżem a radiowozem drogówki?

Grace kiwnął głową. Nicholl zaprzeczył.

- Wóz drogówki ma kolce od wewnątrz!

Nicholl zmarszczył czoło, jakby jego zmęczony mózg nie mógł się w tym połapać. Potem uśmiechnął się.

- No tak! Śmieszne. - Przesunął laptopa, tak żeby Grace dobrze widział ekran.

- Zacznij od skrzynki odbiorczej - powiedział Grace. - Wszystko, co przyszło od - zajrzał do notatek, żeby sprawdzić godzinę meldunku Jona Rye'a - osiemnastej trzydzieści.

- W skrzynce odbiorczej był tylko jeden e-mail z dużym załącznikiem o nazwie:

Symbol przy e-mailu wskazywał, że e-mail wraz z załącznikiem został do kogoś przekazany. Adres nadawcy brzmiał:

postmaster@scarab.tisana.al

Na widok słowa „scarab” Grace poczuł przypływ adrenaliny.

- Trafił nam się cholerny strzał w dziesiątkę!  
- Kropka, al - zastanawiał się głośno Branson. - Jaki to może być kraj, „al”?

- Albania - rzucił Nick Nicholl.

Grace spojrział na niego.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- To z ciebie taki przyczajony cyberklepka, facet? - Branson nie krył podziwu. - Skąd ty to wiesz?

Detektyw obrócił się do niego, trochę zakłopotany, uśmiechając się.

- To była odpowiedź na jedno z pytań w quizie, zorganizowanym parę tygodni temu w naszym pubie osiedlowym.

- Nigdy nie byłem na takim quizie - przyznał Branson. - Może powinienem się wybrać z Ari, może by to dobrze wpłynęło na ogólny stan naszej wiedzy.

Co ważniejsze, może by to dobrze wpłynęło na ogólny stan naszego małżeństwa, pomyślał. Trzeba znaleźć wreszcie coś innego niż klótnie, co moglibyśmy robić razem.

Grace przyglądał się adresowi.

- „Tisana” - przeczytał. - Czy to też mają w waszym pubowym quizie?

Nicholl pokręcił głową.

- Wrzucimy to do Google'a.

Wpisał hasło do wyszukiwarki, ale pojawiła się tylko jakaś wloska strona internetowa z opcją tłumaczenia na angielski.



Nicholl kliknął na nią. Po chwili zobaczyli przed sobą długą, szczegółową listę schorzeń i roślin.

Trądzik,

przeczytał Grace.

Marchew, rozpuszczalne witaminy Tisana,  
kiełki zbożowe, olej z ogórecznika, łopian.

Potem, co było dla niego ciekawsze o tej późnej - czy może wcześniejszej - godzinie, przeczytał:

Zmęczenie. Żeń-szeń, guarana, żeń-szeń syberyjski,  
witaminy Tisana i minerały. Lecitina di soia.

- Może ma hopla na punkcie zdrowia - zażartował Branson. Nicholl zignorował to, był w tej chwili zanadto zmęczony na żarty.

- Przejdź do pozycji wysłanych - polecił Grace.

Nicholl kliknął. Był tam tylko jeden e-mail - ten sam, z tym samym załącznikiem.

- Możesz zobaczyć, do kogo był wysłany? - spytał Grace.

- Dziwne - odparł Nick Nicholl. - Nie wyświetla się żaden odbiorca.

Kliknął dwukrotnie na e-maila i po chwili przyczyna stała się oczywista. Odbiorców były setki, wszystkie wysłane jako kopie ukryte. I wszystkie miały adresy e-mailowe, które były tylko sekwencjami cyfr w połączeniu ze słowem „tisana”.

Grace odczytał pierwszy z nich:

[110897@tisana.al](mailto:110897@tisana.al)

Potem następny:

[244651@tisana.al](mailto:244651@tisana.al)

- Pierwsza część wygląda na nazwisko, oczywiście zakodowane - stwierdził Nick Nicholl. - Tisana to na pewno dostawca internetu.
- No to dlaczego tisana nie pojawiła się przy wyszukiwaniu?
- Pewnie dlatego, że ktoś nie chciał, żeby wypłynęła.
- Czy można coś ukryć przed wyszukiwarkami takimi jak Google?
- Jestem pewien, że jeśli ktoś zna się na rzeczy, może ukryć, co tylko zechce.

Grace kiwnął głową.

- Spójrzmy na ten załącznik. Zobaczmy, co on nam powie.

Nie spuszczać wzroku z ekranu, czekał, aż Nick Nicholl naprowadzi kursor na załącznik i dwa razy kliknie. A już po chwili żałował, że w ogóle przyszedł mu do głowy pomysł, by otworzyć załącznik.

Przez następne cztery minuty wszyscy trzej wpatrywali się w ekran oniemiałi.

## ROZDZIAŁ 71

Komisarz zadzwonił do rzecznika prasowego Dennisa Pondsa o wpół do siódmej i przepaszając, że go budzi, poprosił o przybycie na ósmą trzydzieści do swojego tymczasowego biura w skrzydle centrum koordynacji.

Grace zdołał sobie wygospodarować dwie godziny na odpoczynek, które przespał niespokojnie, rozciągnięty w mniej więcej poziomej pozycji na dwóch fotelach w pokoju przesłuchań, zanim po szóstej powrócił za swoje biurko przy stanowisku roboczym. Bran-sonowi udało się lepiej, gdyż skorzystał z sofy w biurze nadkomisarza. Nicholl poszedł na parę godzin do domu, bojąc się zostawić żonę w zaawansowanej ciąży zbyt długo samą.

Dwadzieścia po siódmej Grace stał przed wejściem do położonego po drugiej stronie ulicy supermarketu Asda i kiedy o siódmej trzydzieści drzwi się otworzyły, był pierwszym klientem. Kupił jednorazowy nożyk, krem do golenia, białą koszulę, dwa croissanty, sześć puszek red bulla i dwie paczki tabletek kofeinowych proplus.

O ósmej zadzwonił do Cleo, ale połączył się od razu z pocztą głosową. Zostawił jej krótką wiadomość:

- Cześć, tu Roy. Przepraszam, że musiałem się zmyć. Jesteś cudowna! Zadzwon, jeśli będziesz mogła. Ściskam bardzo, bardzo mocno.

Piętnaście po ósmej, gdy Dennis Ponds wszedł do niewielkiego, nijakiego biura naprzeciwko wejścia do GCK Jeden, Grace czuł się

już fantastycznie. Mycie, golenie i zmiana koszuli odświeżyły go, a dwie puszkę red bulla i cztery tabletki proplusa też zrobiły swoje. Jedyną niedobłą rzeczą było to, że plecy go strasznie piekły. Cleo podrapała je do cna. Nie wierzył własnym oczom, kiedy stojąc w toalecie spoglądał przez ramię w lustro na długie, czerwone krechy wydrapane do żywego mięsa. Ale uśmiechnął się. Warto było. Pieczenie pleców było niczym w porównaniu z żywym ogniem, który w nim rozpalala. Boże, była szalona w łóżku.

- Cześć, Roy - powiedział Ponds. Dziś jeszcze bardziej niż zwykle wyglądał na miastowego gogusia, z włosami zaczesanymi do tyłu na żel, w krzykliwym garniturze w prążki, różowej koszuli z ukośnym kołnierzykiem i niebieskim krawacie z imitacją węzowej skóry.

Grace uściśnęła mu dłoń i obaj usiedli.

- Przepraszam za telefon o tak wczesnej porze.

- Nie ma sprawy. Zawsze wstaję z kurami: dwoje małych dzieci, dwa psy. - Wzruszył ramionami. - A więc?

- Chciałbym, żebyś wziął udział w naszej odprawie o ósmej trzydzieści. Chcę ci pokazać taki jeden materiał wideo.

Ponds spojrział na niego trochę niepewnie.

- No cóż, dobra... Mam dziś rano dość napięty plan zajęć; muszę zorganizować konferencję prasową w sprawie Janie Stretton...

- To właśnie chodzi o Janie Stretton, Dennis - przerwał mu Grace. - Ale i coś jeszcze. Pewnie jeszcze nie słyszałeś, że pewien pojazd, który moi ludzie ścigali wczoraj wieczorem, zderzył się w Kemp Town z taksówką.

Pondsowi wydłużyła się mina.

- Nie, jeszcze nie słyszałem.

- Próbując zatrzymać pojazd, zanim ruszył z miejsca, jedna z moich najlepszych młodych policjantek doznała ciężkich obrażeń i w rezultacie trafiła pod respirator do szpitala hrabstwa Sussex. Dopiero co tam dzwoniłem. Przeszła pięciogodzinną operację, ale wciąż nie wygląda to dobrze. Zaryzykowała życie, żeby zatrzymać ten wóz,

tęgo, kurwa, forda transita. Rozumiesz? Zaryzykowała, kurwa, życie, Dennis. Dziewczyna ma dwadzieścia cztery lata; jest jednym z najinteligentniejszych i najdzielniejszych gliniarzy, jakich widziałem. Uwiesiła się na tym wozie, próbując go zatrzymać, a ten sukkinsyn, który nim kierował, rąbnął nią o jakiś zaparkowany samochód. Chciała rzetelnie wykonać swoje zadanie, stać na straży prawa. Ty mnie słuchasz?

Ponds z wahaniem kiwnął głową.

- Mam policjantkę pod respiratorem - mówił Roy. - Mam tę kanię podejznanego, który jest nieprzytomny. Mam Bogu ducha winnego taksówkarza ze złamaną nogą.

- Nie bardzo wiem, do czego zmierzasz - powiedział Ponds.

Grace uświadomił sobie, że powodu ilości kofeiny, którą wchłonął, może się wydawać agresywny.

- Zmierzam do tego, Dennis, żeby redaktor „Argusa” i redaktorzy innych gazet, radia i telewizji, których może zainteresować ten temat, dali sobie trochę na luz. Nie chcę się użerać z salą pełną rozwrzeszczanych sępów po kolejnym wrednym materiale z cyklu „dołożyć policji” o tym, jak to my lekkomyślnie wystawiamy na niebezpieczeństwo życie ludzi, podczas gdy naprawdę próbujemy ratować czyjeś życie, ryzykując przy tym własne.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Ponds. - Ale to nie będzie łatwe.

- Właśnie dlatego zaprosiłem cię na odprawę, Dennis. Pokażę ci coś, co sam zobaczyłem dziś nad ranem. Potem dam ci kopię tego materiału. Na pewno uznasz, że to ci bardzo ułatwi sprawę.

Obdarzył Ponds'a niemal demonicznym uśmiechem.

Przeszli korytarzem kilka metrów do sali odpraw, która się szybko wypełniała zarówno członkami zespołu Grace'a, jak i nowego zespołu, zmontowanego wczoraj przez komisarza Dave'a Gaylora do śledztwa w sprawie zamordowania Reggiego D'Eatha - te dwie sprawy miały pewne oczywiste wspólne obszary.

Grace zdecydował się skorzystać dziś z sali odpraw zamiast z GCK Jeden nie tylko dlatego, że była większa, lecz głównie ze względu na wiszący tam na ścianie duży ekran plazmowy, do którego Jon Rye, wezwany również na tę odprawę, właśnie podłączał laptopa wydobytego przez detektywa Nicholla z rozbitego transita.

Siadając przed wypukłą tablicą organizacji Crimestoppers, Grace miał wrażenie, że wraz ze swymi ludźmi porywa się, kurczę, z motyką na słońce, przypominając sobie smętnie, że dziś właśnie zaczyna pracę Cassian Pewe. Byłoby super zostać przeniesionym do Newcastle właśnie teraz, kiedy zesłi się z Cleo, pomyślał. Znaleźć się na drugim końcu Anglii. O pięćset kilometrów stąd. No nie, to się nie może zdarzyć, do jasnej cholery!

Nikommu z nich nie spodoba się czterominutowy seans, który im Grace przygotował. Zacząć tydzień od obejrzenia najgorszego horroru, jaki większość z nich w życiu zobaczy, to niedobry pomysł na poniedziałkowe śniadanie. Taktyka szoku, o czym wiedział, nie przysporzy mu przyjaciół. Lecz w tej chwili pozyskiwanie przyjaciół znajdowało się na jednym z ostatnich miejsc jego listy priorytetów.

Zaczął odprawę tak jak zawsze.

- Jest godzina ósma trzydzieści, poniedziałek, szósty czerwca - odczytał. - To nasza szósta odprawa w ramach operacji „Słowik”, dochodzenia w sprawie zamordowania Jane, znanej jako Janie, Susan Amandy Stretton, odprawa, która odbywa się piątego dnia od odnalezienia jej zwłok. Omówię teraz pokrótce wydarzenia, które po tym nastąpiły.

Przez parę minut, głównie na użytek nowo przybyłych z zespołu komisarza Gaylora, zrelacjonował okoliczności śmierci Janie Stretton, prace dochodzeniowe i podjęte działania oraz kluczowe wydarzenia, do których w tym czasie doszło. Wśród nich wymienił skradzioną płytę CD, dzięki której Tom Bryce mógł, jak się wydaje, być świadkiem zamordowania Janie Stretton; odkrycie, że Janie Stretton uzupełniała swoje dochody aplikantki, pracując jako prostytutka; odkrycie w komputerze Toma Bryce'a takiego samego linka jak

w komputerze Reggiego D'Eatha; zniknięcie Kellie Bryce, zniknięcie jej męża; wydobyć laptopa z rozbitej wczoraj wieczór furgonetki, wraz z tym, co zawierał, a co wszyscy za chwilę zobaczą. Spojrzał na zegarek.

- Jeśli macie jakieś plany pozazawodowe na najbliższe trzydzieści sześć godzin i czterdzieści pięć minut, możecie o nich zapomnieć. Pod koniec tej odprawy zrozumiecie dlaczego. No dobra, poproszę teraz o meldunki o indywidualnych postępach w dochodzeniu.

Spojrzał najpierw na Normana Pottinga.

- Czy mógłbym tylko zapytać, czy są jakieś nowe wiadomości na temat Emmy-Jane? - spytał Potting.

- Nie, wciąż jest pod respiratorem - odpowiedział szorstko Grace.  
- Zamówiłem w imieniu naszego zespołu kwiaty do szpitala. Co nowego udało ci się ustalić, jeśli chodzi o te dwie agencje towarzyskie, w których była zarejestrowana panna Stretton?

- Wybrałem się wczoraj o dziewiętnastej trzydzieści do pani Claire Porter, współwłaścicielki agencji BCE-247, żeby przyjąć od niej oficjalne zeznanie. Taki z niej świadek jak z pietruszki gwóźdź. Nic przydatnego od niej nie wyciągnąłem.

- A jej klienci?

- Jestem w trakcie przegryzania się przez całą listę jej klientów, jak również listę dziewczyn.

W to nie wątpię, ty stary obleśniku, pomyślał Grace, a po wyrazie wielu twarzy, włącznie z twarzami dwóch funkcjonariuszki SKzR przydzielonych do Dereka Strettona, Maggie Campbell i Vanessy Ritchie, oraz chwilowo wolnych Lindy Buckley i Chrisa Willinghama, widział, że nie jest w swoim poglądzie odosobniony.

- Na razie na nic nie natrafiłem.

- A ta druga agencja?

- Ona się tam dopiero co zarejestrowała; jeszcze jej nie przysłali żadnego klienta.

Grace zajął do notatek.

- A co z mężczyzną imieniem Anton, który miał cztery randki z Janie Stretton za pośrednictwem agencji BCE-247?

- Sprawdziłem ten numer telefonu. To jeden z tych gadżetów na kartę, które można kupić prawie w każdym sklepie czy na stacji benzynowej. Nie ma żadnych danych o nabywcy; nigdzie nas to nie doprowadzi.

Grace puścił w obieg dwanaście zdjęć przedstawiających Janie Stretton z towarzyszącym jej mężczyzną w barze Karma. Zostały one skopiowane z zapisu kamery przemysłowej, nie były więc nadzwyczajnej jakości, lecz jej twarz oraz twarz jej muskularnego partnera o kolczastej fryzurze były dość czytelne.

- Zdjęcia zrobiono w piątek dwudziestego siódmego maja, kiedy panna Stretton miała randkę z Antonem. Chyba możemy przyjąć założenie, że to on. Chcę przesłać te zdjęcia na każdy posterunek policji w całym kraju, poza tym mam nadzieję, że znajdą się w środowym „Crimewatch”. Ktoś go rozpozna.

Grace wiedział, że w przyszłości może to nastęczyć problemów z identyfikacją, ale jak będzie trzeba, poradzi sobie z nimi przy pomocy prokuratury.

Zwrócił się do Maggie Campbell i Vanessy Ritchie.

- Powiedziałyście, że ojciec panny Stretton mówił coś o wyznaczeniu nagrody?

- Wczoraj to potwierdził - przytaknęła Maggie Campbell. - Sto tysięcy funtów za informację, która doprowadzi do aresztowania i skazania zabójcy.

- Dobrze - stwierdził Grace. - To się przyda. Wystawi na próbę wierność co poniektórych.

Spojrzał na swoich dwóch nowych ludzi, ściągniętych z zespołu Dave'a Gaylora: Dona Barkera, którego lubił - krępego trzydziestoparoletniego sierżanta o byczym karku, z jasną czupryną, w jasnoniebieskiej, naciąganej przy guzikach koszuli - oraz bardzo pewnego siebie młodszego detektywa, którego widział po raz pierwszy. Nazywał się Alfonso Zafferone, miał łatynoską urodę, przyzlane



włosy, a ubrany był w szykowną sportową marynarkę w pepitkę i elegancką koszulę z krawatem. Zwracając się do nich obu, zapytał:

- Udało się ustalić, do kogo należała ta biała furgonetka?

Odpowiedział mu Alfonso Zafferone. Zachowywał się, jakby zjadł wszystkie rozumy, przez co Grace z miejsca poczuł do niego antypatię. Z jego postawy przebijało poczucie, że jest stworzony do wyższych celów, a takie podrzędne zadania jak sprawdzanie pojazdów niemal mu uwłaczają.

- Jak pan już wie, jest to firma, która zamiast adresu podała numer skrytki pocztowej w Londynie. Sprawdziłem tę firmę; nie ma jej w krajowym rejestrze sądowym.

- To znaczy? - spytał Grace.

Zafferone wzruszył ramionami.

Z powodu zmęczenia mniej tolerancyjny niż zazwyczaj, Grace naskoczył na niego, celowo przekręcając jego nazwisko - był to, jak go nauczyły lata praktyki, jeden z najlepszych sposobów, by pokazać komuś, gdzie jego miejsce.

- To jest dochodzenie w sprawie o morderstwo, detektywie Zabaglione. Tu się nie wzrusza ramionami; tu się odpowiada słownie. Czy zechciałby pan spróbować jeszcze raz?

Młody detektyw obrzucił go gniewnym spojrzeniem, jakby miał ochotę mu się odszczeknąć, po czym widocznie zreflektował się. Nieco potulniej odpowiedział:

- To znaczy, panie komisarzu, że albo firma jest zarejestrowana za granicą, albo jej nazwa jest fałszywa.

- Dziękuję. Przed naszą następną odprawą o szóstej trzydzieści chcę wiedzieć, jak jest w tym wypadku. I kto odbiera pocztę z tej skrytki. Dobra?

Zafferone posępnie kiwnął głową.

Daleko nie zajdziesz, synu, pomyślał Grace. Chyba że ktoś pociągnie za łańcuch i spuści cię z wodą w pieprzonej toalecie.

- Co z tożsamością kierowcy furgonetki?

- Jakieś dziesięć minut temu zaczynał odzyskiwać przytomność - zameldował Don Barker. - W jego ubraniu ani w furgonetce nic nie

było. Nie wygląda na Anglika, być może jest ze środkowej Europy. Pojadę do niego zaraz po odprawie.

- Dobrze - powiedział Grace. Po czym znów zwrócił się do Pottinga. - Aha, jeszcze jednym twoim zadaniem na dziś, Norman, jest zakończenie inspekcji wszystkich hurtowych dostawców kwasu siarkowego w okolicy.

- Jestem w trakcie - zapewnił Potting.

Grace zwrócił się do Nicka Nicholla.

- Przypomnij mi, Nick, o której mamy spotkanie z tym aspirantem z Wimbledonu?

- O pół do dwunastej, panie komisarzu.

- A ty przeglądasz bazy danych wszystkich policji w kraju w poszukiwaniu przypadków morderstw, gdzie okoliczności miały jakiś związek ze skarabeuszem?

- Tak jest, pracuję nad tym, panie komisarzu.

- Przestań mi, kurwa, panować, co?

Detektyw spłoszył.

Grace'owi zrobiło się głupio, że go zrugął. Nie musiał na nikogo warzeć. Musi sam sobie założyć wędzidło. Spojrzał na zespół i uśmiechnął się.

- No dobra, teraz obejrzymy krótki film. Przepraszam, że nie ma popcornu.

Udało mu się wywołać urywany śmiech.

Po tym, co zobaczycie, nie będziecie mieć ochoty na popcorn; dobrze, jeśli uda wam się nie zwrócić śniadania, pomyślał i skinął na sierżanta Rye'a, by przymknął żaluzje i włączył odtwarzanie.

Podczas gdy Rye zamykał żaluzje, Grace mówił:

- Ten klip wideo został znaleziony w tym oto laptopie, wydobytym wczoraj wieczorem z rozbitego forda transita. Twardy dysk wyjęliśmy i zabezpieczyliśmy w dziale przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie, jako materiał dowodowy z miejsca zbrodni. To, co zobaczycie, jest sklonowaną kopią.

Jon Rye stuknął w jakiś klawisz na klawiaturze, żeby rozpocząć projekcję. Grace przygasił światło.

Na ekranie pojawił się napis:

Wytwórnia SCARAB PRODUCTIONS  
przedstawia  
w prezencie dla wszystkich naszych klientów  
specjalny rarytas filmowy  
„Reggie w kąpielni”  
Ten człowiek jest prawomocnie skazanym pedofilem.  
Przyjemnego oglądania!

Po chwili nieco niestabilna kamera, najwidoczniej prowadzona z ręki, ukazała szerokim kątem niewielką, dość staroświecką łazienkę pomalowaną na ciemnozielone Centralne miejsce w kadrze zajmowała wanna. Chwilę później jakaś postać, ubrana chyba w kombinezon do ochrony przeciwchemicznej, z rękawicami, gumiakami, pochłaniaczem, butlą tlenową i maską wgramoliła się tyłem przez drzwi, niosąc coś ciężkiego.

Po chwili okazało się, że były to nogi nagiego mężczyzny, skrępowane kablem. Jeszcze jeden człowiek, w identycznym stroju ochronnym, z twarzą ukrytą za maską z przyciemnionego szkła, niósł za ramiona tego nagiego mężczyznę, Reggiego D'Eatha.

Opuścili go do pustej wanny.

Duży mężczyzna o twarzy dziecka, z przerzedzonymi włosami i sflaczałym ciałem, rzucał się w wannie jak ryba bez wody. Na jego twarzy malowało się przerażenie, nie był jednak w stanie mówić, gdyż usta miał czymś zapchane i zalepione mocną taśmą samoprzylepną, która nie pozwalała temu czemuś wydostać się na zewnątrz. Ręce miał mocno przywiązane do boków. Mógł się tylko wiercić, unosić się nieco w górę i opuszczać, wyprężając i rozluźniając uda oraz gwałtownie kręcić głową z boku na bok, wytrzeszczając błagalnie oczy, podczas gdy jego mały, cienki penis obijał się na wszystkie strony o bezwłose jaja w zmierzwionej kępcze włosów łonowych.

Mężczyźni wyszli z łazienki i wrócili z dużą plastikową beczką na chemikalia, na oko Grace'a o pojemności blisko pięćdziesięciu litrów. Nie było na niej widać żadnych oznaczeń.

Reggie D'Eath zaczął się rzucać tak obłąkańczo, iż przez chwilę wydawało się, że rzeczywiście uda mu się wyskoczyć z wanny.

Tamci postawili beczkę na podłodze. Jeden z nich przytrzymał D'Eatha, podczas gdy drugi przygotował kawałek drutu, owinął go dwukrotnie wokół jego szyi i przymocował do zawieszki na ręczniki, przyśrubowanej do ściany wysoko nad głową. I mocno zacisnął.

Oczy D'Eatha jeszcze bardziej wyszły na wierzch. Jego ruchy po paru sekundach zmieniły się - były to już raczej konwulsje niż wierzganie. Mężczyźni z pewnym wysiłkiem unieśli go nieco, do pozycji półleżącej, po czym wyregulowali pętlę tak, by go podtrzymywała, w wyraźnie niewygodnej pozycji i do tego wpijając mu się boleśnie w szyję, ale już go nie dusząc.

Niewidoczna ręka rzuciła na jego pierś przebiegającego rozpaczliwie nóżkami skarabeusza. Stworzonko niemal komicznie stoczyło się na grzbiecie w dół, aż zatrzymało się na genitaliach D'Eatha. Zaczęło się przewracać na nóżki, ale nie zdążyło.

Tamci dwaj, nie tracąc czasu, unieśli beczkę na chemikalia, uważając przy tym, żeby nie zasłonić kamery, i wylali dobrych pięć litrów płynu, o którym Grace wiedział, że to kwas siarkowy, prosto na genitalia D'Eatha.

Uniosła się para.

Grace nigdy w życiu nie widział, żeby ciało tak się trzęsło i skręcało, jak ciało nieszczęsnego D'Eatha. Rzucał głową z boku na bok, jakby chciał przepiłować sobie drutem tętnicę szyjną; gorączkowo trzepotał powiekami. Grace ukradkiem zerknął na reakcje kolegów. Ponds zasłaniał sobie ręką usta. Wszyscy bez wyjątku siedzieli oniemiałi.

Znów spojrział na ekran. Tamci nadal lali płyn z beczki, aż opróżnili jej całą zawartość do wanny. W ciągu kilku chwil ciało D'Eatha przestało się ruszać. Pomieszczenie z wolna zasnuło się mgłą chemicznych oparów.

Nastąpiło ściemnienie. Po czym ukazał się napis:

**SZANOWNY PT. KLIENCIE.**

Mamy nadzieję, że podobał Ci się nasz filmik promocyjny. Nie zapomnij się zalogować we wtorek wieczorem, o 9.15, kiedy to zaprezentujemy naszą kolejną Wielką Atrakcję - **MAŻ I ŻONA RAZEM.**  
Nasze pierwsze **PODWÓJNE ZABÓJSTWO!**

Grace zapalił światło.

## ROZDZIAŁ 72

Z pergaminowej twarzy Alfonsa Zafferone Grace wynioskował, że przez jakiś czas nie spotka go ze strony tego młodego detektywa żadna bezczelność. Nie przypominał sobie, w całej swojej karierze, takiej ciszy w sali pełnej ludzi.

Dennis Ponds nieprzytomnie patrzył przed siebie wybałuszonymi oczami, jakby mu powiedziano, że to on trafi do tej wanny jako następny.

Ciszę przerwał wreszcie Norman Potting. Odkasznął, odchrząknął, po czym zapytał:

- Czy mamy rozumieć, że to jest snuff movie\*, Roy?

\* Snuff movie - rodzaj filmu, czasami pornograficznego, epatujący widza scenami rzeczywistych tortur i morderstw (przytłum.).

- No nie jest to, kurwa, kartka z jego albumu rodzinnego - wypadł mu w odpowiedzi Glenn Branson.

Nikt się nie zaśmiał. Głucha cisza. Jedna z pań od katalogowania danych siedziała ze wzrokiem utkwionym w biurku, jakby się bała podnieść oczy, na wypadek, gdyby na ekranie miało się coś jeszcze pojawić.

- Dennis - odezwał się Grace - wprowadzimy kopię tego materiału do twojego laptopa i zanieiesz to redaktorowi „Argusa”. Wszystkiego mu nie pokazuj, ale uświadom mu, z czym my tu mamy do czynienia. Chcę, żeby zamieścił zdjęcia państwa Bryce na pierwszej stronie popołudniowego wydania swojej gazety. Mamy półtora dnia

na znalezienie tych ludzi. Czy wszyscy to rozumiecie? Że chcą ich zabić i zarejestrować to na wideo?

Branson wziął głęboki wdech, po czym głośno wypuścił powietrze.

- Człowieku, kto to ogląda takie szambo?

- Wielu bardzo zwyczajnych ludzi, którzy mają chore myśli - odpowiedział Grace. - Mógłby to być ktoś z tu obecnych, albo jakiś nasz sąsiad, lekarz, hydraulik, wikary, agent bankowy. Ci sami, którzy widząc wypadek drogowy, zwalniają, żeby się pogapić. Podglądacze. Każdy z nas ma w sobie odrobinę czegoś takiego.

- Ja nie - zaproponował Branson. - Ja bym na takie rzeczy nie mógł patrzeć.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy jesteśmy potencjalnymi zabójcami? - odezwał się Nick Nicholl.

Grace przypomniał sobie coś, co kiedyś, późną nocą przy barze, powiedział mu pewien psycholog specjalizujący się w opracowywaniu profiliów psychologicznych sprawców przestępstw, który miał wykład o snuff movies na konwencji w Stanach poświęconej zabójstwom.

- Wszyscy jesteśmy zdolni do zabójstwa, lecz tylko niewielki procent ludzi umiałby żyć ze świadomością, że są mordercami. Ale wielu z nas jest ciekawych; chętnie byśmy tego doświadczyli za czymś pośrednictwem. Snuff movies dają nam tę możliwość - poczuć jak to jest, kiedy się zabija człowieka.

- Z przyjemnością zabiłbym swoją teściową - oznajmił Potting.

- Dziękuję, Norman - powiedział Grace, chcąc go uciszyć, zanim powie coś jeszcze. Następnie zwrócił się do Glenna Bransona: - Tom Bryce odjechał z domu samochodem renault espace w środku nocy. Drogi musiały być wtedy prawie puste. Nie wiemy, dokąd pojechał. Nie wiemy, ile paliwa było w wozie. Chcę, żebyś odwołał poszukiwania głowy Janie Stretton i przerzucił każdego policjanta, każdego

ochotnika, każdego funkcjonariusza Służby Wsparcia do sprawdzenia wszystkich kamer przemysłowych - policyjnych, miejskich, na stacjach benzynowych - wszystkich, w promieniu pięćdziesięciu kilometrów wokół tego miasta.

- Już się robi.

Zwrócił się z kolei do sierżanta Barkera.

- Don, chciałbym, żeby ktoś przestudiował osobiste dane Reggiego D'Eatha. Wyciągi z konta, wyciągi z kart kredytowych...

- Ktoś już się tym zajął.

- To dobrze.

Grace spojrział na zegarek. O pół do dziesiątej miał być u Alison Vosper, potem musiał jakoś zdążyć na dziesiątą na umówione spotkanie na drugim końcu miasta.

- Spotykamy się wszyscy o szóstej trzydzieści. Każde z was wie, co ma do zrobienia? Czy ktoś ma jakieś pytania?

Zazwyczaj było ich pełno. Tego ranka ani jednego.

Zadzwoił telefon. Odebrała sekretarka, która po chwili podała słuchawkę Glennowi. Wszyscy wpatrywali się w niego, jakby czuli, że to jakaś ważna wiadomość.

Branson poprosił rozmówcę, by chwileczkę zaczekał, zakrył dłonią słuchawkę i powiedział:

- Znalaziono renault espace Toma Bryce'a na polnej drodze w Bolney, w pobliżu A23.

- Puste? - spytał Grace, znając z góry odpowiedź na to pytanie.

- Doszczętnie spalone.



## ROZDZIAŁ 73

Alison Vosper jak zwykle była ubrana w stylu bizneswoman, kiedy punktualnie o dziewiątej trzydzieści wkroczył do jej gabinetu. I jak zwykle paraliżowała go trema. Bał się pani podinspektor, nic nie mógł na to poradzić; zjadliwy sposób mówienia tej baby - i podległość służbowa - działały na niego deprymująco. I nie pomagała tu świadomość, że nie mogła się doczekać, by zaatakować go swą nową tajną bronią, komisarzem Cassianem Pewe'em.

Siedziała za utrzymanym w nieskazitelnym porządku biurkiem, roztaczając wokół ostry, acz bezpłciowy, zapach perfum, ubrana w czarny żakiet, który ją poszerzał w ramionach, oraz bluzkę w kolorze kości słoniowej z koronkowym kołnierzykiem. Grace'a, który oczekiwał, że pani podinspektor od drzwi spiorunuje go wzrokiem, zaskoczył uśmiech, którym go przywitała. Odkręciła zakrętkę z butelki wody mineralnej i z gracją pociągnęła mały łyk.

- Dzień dobry, Roy - odezwała się tonem jeszcze bardziej serdecznym niż jej uśmiech. Wskazała mu gestem jedno z ładnych rzeźbionych krzeseł w stylu georgiańskim, stojących przy jej biurku.  
- Siadaj.

Jeszcze jeden dobry znak? - zastanawiał się. Rzadko kiedy na tych spotkaniach zapraszała go, by usiadł. A może to bardzo zły znak?

Wciąż uśmiechnięta, dziś zdecydowanie uśmiechem raczej miłym niż cierpkim, powiedziała:

- A więc, wygląda na to, że na razie operacja „Słowik” to jakby porażka.

- Tego... tego bym nie...

Uniosła dłoń, nie chcąc wysłuchiwać jego obrony.

- Wciąż nie masz podejrzanego. Nie odnalazłeś głowy ofiary. Jeden z potencjalnych świadków został zamordowany, a dwoje innych zaginęło. A wczoraj wieczorem twój zespół znów dał się wciągnąć w pościg samochodowy, którego rezultatem był poważny wypadek.

Jakimś cudem wciąż się uśmiechała, lecz serdeczność zniknęła, a w jej miejsce pojawiło się widoczne rozbawienie. Grace pokiwała głową.

- Nie idzie nam tak, jak byśmy chcieli - przyznał. - Potrzebny nam szczęśliwy przełom.

Zakręciła butelkę. Na dworze pięknie świeciło słońce o poranku, ale w pomieszczeniu był mrok i panowała przytłaczająca atmosfera.

- Zaangażowałeś ogromne siły. Co innego, gdybyś mógł mi dać jakieś wyniki, ale trudno się ich spodziewać, skoro jest coraz gorzej. Do czego to nas doprowadzi?

Grace przedstawił jej aktualną sytuację. Kiedy skończył, czekał na to, o czym wiedział, że musi nastąpić: w najlepszym razie dołoży mu do tej sprawy Cassiana Pewe'a, w najgorszym zostanie odsunięty, a jego miejsce zajmie Pewe. Ku jego zaskoczeniu nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

Wyciągnęła ze stojącego na biurku piórnika z amonitu cienki, czarny długopis i postukała nim w zamyśleniu o podkładkę.

- Patrząc realnie, nie masz wcale czasu aż do dziewiątej piętnaście jutro wieczorem, prawda? Jeśli ci ludzie mają zamiar zamordować przed kamerą Bryce'ów i nadać to do tych swoich klientów, kimkolwiek by oni byli, zrobią to raczej ze sporym wyprzedzeniem. Być może już nie żyją.

- Wiem.

Na chwilę zapadło milczenie. Grace spuścił oczy, czując utkwione w siebie spojrzenie Vosper. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył w jej oczach zrozumienie. Pomimo antypatii, którą do niego czuła, była przynajmniej na tyle profesjonalna, że dostrzegła - i przyjmowała do wiadomości - fakt, że problemy, z którymi miał do czynienia w tej sprawie, niekoniecznie wynikły z jego winy. Zaskoczyło go jednak, że do tej pory nie wspomniała o swoim protegowanym. Co ją powstrzymywało?

Z wielkim wahaniem zapytał:

- Czy... eee... czy to spotkanie z Cassianem jest aktualne? Chciałaś, żebym się z nim dziś rano zobaczył.

- Właściwie to nie, nieaktualne - odparła. Zaczęła jeszcze mocniej i szybciej stukać długopisem w podkładkę, najwyraźniej zupełnie nieświadomie.

- Aha. - Poczuł pewną ulgę, jednocześnie zachodząc w głowę, dlaczego zmieniła zdanie. Po chwili się dowiedział.

- Komisarz Pewe miał wczoraj wieczorem wypadek samochodowy. Trafił do szpitala ze złamaną nogą.

Grace nie tylko nie wierzył własnym uszom - nie wierzył również własnym oczom. Ona znów się uśmiechała. Trzeba przyznać, że był to uśmiech ledwo dostrzegalny, niemniej uśmiech. Uśmiechała się, mówiąc, że Pewe jest w kiepskim stanie po wypadku samochodowym.

- Przykra wiadomość - powiedział Grace. - Jak to się stało?

- Wczoraj późnym wieczorem jechał taksówką przez centrum Brighton. To było zderzenie z furgonetką ściganą przez wóz policyjny.

W następnej chwili także i Grace się uśmiechał; nie mógł się powstrzymać. Czarny humor. W tej pracy prędzej czy później każdego to dopada.

\*

Odjeżdżając spod biura Alison Vosper, Grace zadzwonił do Królewskiego Szpitala hrabstwa Sussex, żeby się dowiedzieć, czy kierowca furgonetki z wczorajszego wypadku odzyskał już przytomność.

W tej chwili ten człowiek był ich największą szansą dotarcia do porwaczy Bryce'ów.

Ich prawie jedyną, cholera, szansą.

Oprócz jednej, i to bardzo niewielkiej.

Podjechał do domu Bryce'ów, gdzie Linda Buckley właśnie przejęła dyżur po Willinghamie. Spytała Grace'a, czy jest sens pełnić go nadal. W końcu nie było tam nic do roboty, oprócz karmienia psa. Zasugerował, żeby zaczekała jeszcze parę godzin na wypadek, gdyby się zjawił Tom Bryce - co, pomyślał posępnie, jest mało prawdopodobne.

Wszedł na górę, do sypialni Bryce'ów, po czym zbiegł na dół. W przedpokoju stała suka, która obdarzyła go jakimś dziwnym spojrzeniem, jakby wiedziała, że to jest człowiek, który może sprowadzić do domu jej państwo.

Mimo pośpiechu, Grace zatrzymał się na chwilę, przykucnął przy niej i pogłaskał po głowie, mówiąc:

- Cześć. Nie martw się, już ja ich znajdę. Jakoś tam. Co?

Popatrzył w duże, brązowe psie oczy i wydawało mu się przez chwilę, tylko przez jedną przelotną chwilę, że to piękne stworzenie naprawdę zrozumiało, co powiedział.

Czy to z powodu zmęczenia, czy stresu, czy może czegoś innego, co zaćmiewało mu umysł, kiedy wyszedł z domu i szybko odjechał w kierunku wschodnich peryferii miasta, miał ciągle przed oczami wyraz psiego pyska, który nie dawał mu spokoju. Ta suka patrzyła z takim smutkiem, z taką ufnością. I przez chwilę nie robił tego wszystkiego tylko dla państwa Bryce'ów i dla ich dzieci. Robił to także dla ich psa.

## ROZDZIAŁ 74

Tom obudził się nagle z przeszywającym bólem głowy, z myślą, że musi jak najprędzej zrobić siusiu i że chyba nastąpiła awaria światła. Normalnie nigdy nie było tak ciemno; zawsze w nocy wpadała z ulicy neonowa poświata latarni, zabarwiająca sypialnię na pomarańczowo.

A na czymże on leżał, do cholery? Jakieś twarde jak kamień...

I nagle, jak uwolniona ze śluzy fala zimnej wody spływająca do brzucha, dotarło do niego jakieś mgliste, ale bardzo niedobre wspomnienie.

Oj, niedobrze, cholera.

Bolała go prawa ręka. Spróbował ją podnieść, ale nie poruszyła się. Pewnie leżał na niej i zdrętwiała, pomyślał. Spróbował jeszcze raz. Wtem uświadomił sobie, że także lewą ręką nie może poruszyć.

Ani nogami.

Coś wpijało mu się w prawe udo. Bolała go szczęka i zaschło mu w ustach. Chciał coś powiedzieć i wstrząśnięty przekonał się, że nie jest w stanie. Słyszał tylko stłumiony pomruk, towarzyszący wibracji podniebienia. Coś zaciskało mu się na ustach, ciasno obwiązywało mu twarz, wpychało policzki w głąb twarzy. Przeszedł go dreszcz od stóp do głów, gdy przypomniał sobie te słowa. Przeczytane wczoraj wieczorem na ekranie komputera: „...wyjdz z domu, weź samochód

Kellie, pojedź na północ drogą londyńską A23 i czekaj, aż ona do ciebie zadzwoni...”. Tak właśnie zrobił. Teraz wszystko sobie przypominał. Jazdę A23. Telefon z poleceniem, żeby zjechał do zatoczki.

Teraz był tu.

O Boże, o Chryste, o Jezu kochany, gdzie jestem? Gdzie jest Kellie? Co, u diabła zrobiłem? Co u diabła...

Nagle pojawiło się światło - żółty, pionowy prostokąt w pewnej odległości od niego. Otwarte drzwi. Wszedł ktoś, z silną latarką w rękę, której światło błyskało jak lustro.

Tom wstrzymał oddech, patrząc na zbliżającą się postać. W kołyszącym się świetle latarki widział, że znajduje się w jakimś magazynie pełnym ustawionych w stosy plastikowych i metalowych beczek, w jakich zwykle przechowuje się paliwa i chemikalia.

Gdy postać podeszła bliżej, Tom rozpoznał w niej bardzo grubego mężczyznę w luźnej, rozpiętej pod szyją koszuli, z włosami zaczesanymi na żel do tyłu i ściągniętymi w kucyk. Z jego szyi zwieszał się na łańcuszku duży medalion. Za ciemno, by Tom mógł wyraźnie zobaczyć jego twarz, ale dałby mu na oko jakieś pięćdziesiąt parę, może sześćdziesiąt parę lat.

Wtem prosto w twarz zaświecił mu ostry strumień światła; miał wrażenie, jakby palił mu siatkówkę, więc zacisnął powieki.

Zaciągając z luizjańska, swobodnie i szczerze, zadał pytanie, na które oczekiwał równie szczerzej odpowiedzi:

- I co, panie Bryce, uważa się pan trochę za bohatera?

Nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć, a w każdym razie nie będąc w stanie się odezwać, Tom milczał.

Poczuł, że strumień światła odsunął się z jego twarzy. Otworzył oczy. Mężczyzna przykucał przed nim, wyciągnął ręce, aż dotknęły twarzy Toma i nagle szarpnął do siebie, z całej siły. Tom wrzasnął z bólu. Przez kilka sekund był przekonany, że ma wyrwane pół twarzy.

Przed oczami dyndał mu kawałek mocnej taśmy samoprzylepnej. Znow mógł poruszyć szczęką, otworzyć usta, mówić.

- Gdzie jest moja żona? Gdzie jest Kellie? Proszę, niech mi pan powie, gdzie ona jest.

Tamten skierował strumień światła w głąb pomieszczenia. A Tomowi serce omal nie pękło z rozpaczy, kiedy o trzy metry od siebie zobaczył to, co w pierwszej chwili wziął za zwinięty dywan. Kellie leżała związana na podłodze, skuta w kostce okową połączoną łańcuchem z pierścieniem zamocowanym w ścianie, z ustami zaklejonymi taśmą, i spoglądała na niego błagalnym wzrokiem.

W pierwszym odruchu Tom miał ochotę nawrzeszczeć na tego wstrętnego grubasa, ale jakoś opanował ogarniającą go wściekłość, starając się myśleć trzeźwo, zrozumieć, co się stało, o co, u diabła, tak naprawdę chodzi w tym koszmarze.

- Kim pan jest? - zapytał.

- Za wiele chciałbyś wiedzieć - odparł tamten lekceważącym tonem.

- Chciałbym wiedzieć, co ja tutaj robię. Co tu robi moja żona. Grubas odwrócił się i odszedł, znów ginąc w mroku.

- Kellie! - zawołał Tom. - Kellie, nic ci nie jest?

Już jej nie widział. Ani nie słyszał.

- Kellie, kochanie!

- Zamknij, kurwa, ryj - powiedział grubas.

- Nie, nie zamknę się! - krzyknął Tom prawie na cały głos.

W jednej chwili wnętrzości wywracały mu się ze strachu, w następnej porывał go nieopanowany gniew. Jak ten sukkinsyn śmie trzymać Kellie związaną! I jego też.

Rano mam najważniejszą prezentację w moim życiu zawodowym. To może uratować moją firmę. I przez ciebie na nią nie zdążę, ty tłusty...

Rano?

Czy jest rano?

Wszystko do niego powracało, nie bez trudu, jakby próbował ułożyć w kolejności rozrzucone przez wiatr po pokoju kartki papieru.

Kellie zniknęła. Jej samochód spalił się. Potem on zareagował na tego e-maila. A teraz ona leżała na drugim końcu tego pomieszczenia, związana...

Pomyślał o tamtej dziewczynie widzianej na ekranie komputera, tej w sukni wieczorowej, o tamtym zamaskowanym mężczyźnie, o sztylcie.

W pęcherzu wzbierał mu ból.

- Proszę pana - zawołał - ja muszę się wysikać.

- A kto ci broni? - odezwał się z ciemności Amerykanin.

Tom przekręcił się na bok. Tamten pochylał się nad Kellie. Zdarł taśmę z jej ust. Tom skrzywił się na ten odgłos. Ona natychmiast rozdarła się na tamtego.

- Pierdol się! Pierdol się, skurwysynu!

- Tylko zachowuj się trochę bardziej jak dama, ludzie chcą w tobie zobaczyć damę. Może jeszcze wódeczki?

- Pierdol się!

O Boże, Kellie! Usłyszał wreszcie jej głos, wiedział, że żyje, że jest w bojowym nastroju. A jednak to nie był sposób na opanowanie tej sytuacji.

Zacisnął uda i naprężył mięśnie brzucha, zwalczając przyływ bólu w pęcherzu. Chyba tamten nie chciał powiedzieć, że ma sobie ulżyć tu, gdzie leży?

- Kellie, kochanie! - krzyknął Tom.

- Niech ten skurwysyn nas stąd wypuści! Ja chcę do Jessiki i Maksy. Chcę do moich dzieci. Kurwa, wypuść mnie!

- Życzy pani sobie znów taśmę na twarz, pani Bryce?

Przekręciła się na brzuch i znieruchomiała, łkając histerycznie, głębokim, urywanym szlochem. A Tom poczuł się żaloszny, beużyteczny, kompletnie beużyteczny. Na pewno było coś takiego, co mógł zrobić. Coś. O Boże, coś.

Ból w pęcherzu nie dawał mu myśleć; miał wrażenie, że głowa rozpęka mu się na pół. Strumień światła z latarki poruszał się, ukazując stosy ciemnych beczek, ustawionych w od podłogi do sufitu; ogromne cholerstwa, na wielu z nich zauważył ostrzegawcze nalepki.



Było zimno. W chłodnym powietrzu czuło się lekki kwaśny zapach. Gdzie my, u diabła, jesteśmy?

- Och, proszę cię, Tom, zrób coś! - wrzasnęła Kellie przeraźliwie.

- Chce pan pieniędzy? - krzyknął Tom do grubasa. - O to panu chodzi? Skombinuję ile się tylko da.

- Co, chciałbyś wykupić abonament?

- Abonament? - Tom był zadowolony, że wreszcie usłyszał jakąś odpowiedź na swoje pytania. Wciągnąć tego człowieka w rozmowę, przemówić mu do rozsądku, spróbować znaleźć jakieś...

- Chciałbyś wykupić abonament, żeby popatrzeć na siebie i żonę?

- Amerykanin zaśmiał się. - Tu cię mam!

Tom uchwycił się tej szansy.

- Tak, tak! Co tylko, ile tylko pan zażąda!

Światło latarki zaświeciło mu znów prosto w oczy.

- To ty nic nie kapujesz, debilu? Jak będziecie mogli widzieć sami siebie?

- No... nie... nie wiem.

- Ty jesteś jeszcze głupszy niż myślałem. Chcesz zapłacić, żebyście razem z tą twoją próżną, wiecznie narąbaną żoneczką mogli sobie popatrzeć, jakie z was piękne zwłoki?

## ROZDZIAŁ 75

Roy Grace bez przerwy rozmawiał przez telefon za kierownicą swojej alfy, dzwoniąc to tu, to tam: dowiadywał się o stan Emmy-Jane, następnie o postępy działań każdego z członków swego zespołu po kolei, wyciskając z nich ostatecznie poty.

Jadąc na wschód drogą wzdłuż wybrzeża, pozostawił za sobą eleganckie fasady domów w stylu regencji w Kemp Town i wjechał na otwartą przestrzeń, wysoko ponad klifami, mijając wielkie neogotyckie gmazyszko szkoły dla dziewcząt w Roedean, a następnie utrzymany w stylu art deco budynek ośrodka dla niewidomych św. Dunstana.

Jutro wieczorem o dziewiątej piętnaście.

Ta godzina była wypalona jak laserem w jego świadomości; przewijała się w każdej myśli. Teraz był poniedziałek, dziesiąta piętnaście. Zaledwie trzydzieści pięć godzin do emisji - a na ile wcześniej Bryce'owie mają zostać zamordowani?

Janie Stretton przyszła spóźniona na wizytę z kotem do weterynarza, umówioną na wpół do siódmej, i wyszła stamtąd najwcześniej o siódmej czterdzieści. A więc między tą godziną i mniej więcej dziewiątą piętnaście, kiedy to Tom Bryce, jak twierdził, widział ją w swoim komputerze, została zamordowana, po czym nagranie wideo z tego morderstwa zostało wyemitowane. Jeśli teraz miałyby się powtórzyć ten sam schemat, być może mieli czas do jutra do wpół do

ósmej. Nieco ponad trzydzieści trzy godziny.

I wciąż nie ma żadnego aktualnego tropu.

Trzydzieści trzy godziny, to znaczy nie ma, kurczę, czasu w ogóle.

Pozwolił sobie na przelotny uśmiech, myśląc o tym, co spotkało Cassiana. Ironia losu. Nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Niewiarygodne, że Alison Vosper dostrzegła w tym coś zabawnego - ukazując w ten sposób swe nieczęsto widziane ludzkie oblicze. A sęk w tym, że - choć wiedział, iż cynizm jest tu nie na miejscu, lecz nie nie mógł na to poradzić - nie było mu ani trochę przykro, ani trochę żal tamtego.

Żałował niewinnego taksówkarza, ale nie Cassiana Pewe'a, który przybył do Brighton świeżo po awansie, najwyraźniej po to, żeby go wygrzyść. Ten problem nie zniknął, ale przynajmniej odsunął się w czasie.

Przejechał przez uroczą, historyczną, położoną na szczycie urwiska wieś Rottingdean, wzdłuż rozległego wzniesienia, potem w dół, potem znów w górę, minął bezładną powojenną zabudowę podmiejską Saltdean, po czym wjechał do Peacehaven, w pobliżu miejsca, gdzie mieszkał Glenn Branson i gdzie znaleziono ciało Janie Stretton.

Zjechał z drogi przybrzeżnej w labirynt stromych ulic, ciasno zabudowanych bungalowami i małymi domkami, i podjechał pod niewielki, raczej zaniedbany bungalow, przed którym stał rozklekotany wóz kempingowy.

Zakończył rozmowę z Normanem Pottingiem, który był już, zdaje się, nieźle zaawansowany w poszukiwaniach dostawców kwasu siarkowego, wypił jeszcze jednego red bulla i zażył jeszcze dwie tabletki proplus, podszedł krótką ścieżką pomiędzy ogrodowymi krasnalami, wszedł na ganek, minął nieruchome dzwonki wietrzne i nacisnął dzwonek u drzwi.

Drzwi otworzył drobny, żylasty, siedemdziesięcioparoletni mężczyzna, uderzająco podobny do krasnali, kolo których Grace dopiero

co przechodził, Miał kozią bródkę, długie, siwe włosy zebrane z tyłu w kucyk, ubrany był w kaftan i ogrodniczki, a na szyi miał medalion z krzyżem egipskim na złotym łańcuszku. Wylewnie przywitał się z Grace'em wysokim głosem, energicznie biorąc go za rękę i wpatrywał się w niego z radością, jakby miał przed sobą dawno niewidzianego przyjaciela.

- Pan komisarz Grace! Jak miło znów cię widzieć!

- Mnie też, przyjacielu. Przepraszam za spóźnienie.

Zaledwie tydzień temu Grace ostatnio skorzystał z jego usług - wówczas Frame niewątpliwie pomógł uratować życie niewinnego człowieka.

Harry Frame uściskał mu dłoń z niezwykłą siłą jak na jego lata oraz wymiary i wciąż wpatrywał się w niego przenikliwymi, zielonymi oczami.

- A więc czemu zawdzięczam tę przyjemność tym razem? Wejdz, proszę!

Grace wszedł za nim do wąskiego przedpokoju oświetlonego słabą żarówką w zawieszonej na suficie latarni, utrzymanego w klimacie żeglarskim, czego głównym elementem był duży, mosiężny iluminator na ścianie, skąd przedostali się do salonu, gdzie na półkach królowały miniatury statków w butelkach. Stały tam bura kanapa, dwa fotele, z makramowymi narzutami na oparciach, wyłączony telewizor i okrągły, dębowy stół przy oknie, z czterema drewnianymi krzesłami, przy którym usiedli. Na ścianie Grace dostrzegł, znaną mu już, kiczowatą rycinę przedstawiającą domek Anne Hathaway z mottem w ramce: „Umysł raz poszerzony nigdy już nie powróci do swych pierwotnych wymiarów”.

- Herbaty?

- Nie, dziękuję - odparł Grace, choć mógłby w mgnieniu oka pochłonąć całą filiżankę. - Spieszę się na maksa.

- Życie to nie wyścig, komisarzu Grace. Życie to taniec - powiedział Harry Frame tonem łagodnej przygany.

Grace uśmiechnął się.

- Będę o tym pamiętał. Zapisuję sobie ciebie na wolnego walca w moim karnecie na letni bal.

- A więc? - spytał Harry, obrzucając go uważnym spojrzeniem. - Czyżbyś przypadkiem przyszedł do mnie w związku z tą biedną dziewczyną, której ciało znaleziono w Peacehaven, w zeszłym tygodniu?

Harry Frame był medium i jasnowidzem, jak również różdżkarzem posługującym się wahadelkiem. Grace wielokrotnie go odwiedzał. Frame bywał czasem niesamowicie precyzyjny - a innym znów razem całkowicie nieprzydatny.

Grace sięgnął do kieszeni, wyjął trzy woreczki foliowe na materiał dowodowy i położył je przed Frame'em na stole. Wskazał najpierw palcem na sygnet, który zabrał z sypialni Janie Stretton.

- Co mi możesz powiedzieć o osobie, do której należy ten pierścień?

Frame wyjął pierścień, zacisnął go w dłoni i zamknął oczy. Siedział nieruchomo przez dobrą minutę, wykrzywił pomarszczoną twarz, próbując się skoncentrować.

W pokoju czuło się zapach stęchlizny - starych mebli, starego dywanu, starych ludzi.

W końcu Harry Frame potrząsnął głową.

- Przykro mi, Roy. Nic. Nie mam dziś dobrego dnia. Nie mam kontaktu z duchami.

- Zupełnie nic z tego sygnetu?

- Przykro mi. Możesz wrócić jutro? Spróbujemy jeszcze raz.

Grace zapakował pierścień do foliowego woreczka i schował do kieszeni. Następnie wskazał z kolei na srebrne spinki do mankietów, wzięte z szuflady w sypialni Bryce'ów oraz srebrną bransoletkę, którą wyjął ze szkatułki z biżuterią Kellie Bryce.

- Muszę znaleźć właścicieli tych rzeczy. Muszę ich znaleźć dzisiaj. Nie wiem, gdzie są, ale podejrzewam, że gdzieś w okolicach Brighton i Hove.

Jasnowidz wyszedł z pokoju i powrócił z mapą sztabową rejonu Brighton i Hove. Odsunął świecę w szklanym świeczniku, rozłożył mapę na stole i wyciągnął z kieszeni spodni kawałek szpagatu z uwiązany na końcu niewielkim ołowianym ciężarkiem.

- Zobaczmy, co nam się uda znaleźć - powiedział. - Tak jest, zobaczmy.

Wziął spinki i bransoletkę do lewej ręki, po czym, wspierając się łokciem na stole, pochylił twarz nad mapą i zaintonował pod nosem:

- Jarummm, jarummm, brnnnn, jarummm.

Potem wyprostował się jak struna i przytrzymując szpagat nad mapą między palcem wskazującym a kciukiem, kołysał ciężarkiem tam i z powrotem. Następnie, zaciskając usta w koncentracji, zakolysał wahadłem energicznie, zataczając małe kółeczko, które przesuwał jednostajnie nad mapą, centymetr po centymetrze.

- Telscombe? - odezwał się. - Piddinghoe? Ovingdean? Kemp Town? Brighton? Hove? Southwick? Shoreham? - Pokręcił głową. - Nie, nic mi się nie pokazuje na tym terenie, przykro mi.

- Może spróbujemy w większej skali? - zasugerował Grace.

Frame znów wyszedł i powrócił z mapą całego wschodniego i zachodniego Sussex. Jednak i tym razem, po paru minutach kołysania w zaciętej koncentracji wahadłem, nie uzyskał żadnego rezultatu.

Grace miał ochotę podnieść go i potrząsnąć nim. Był cholernie rozczarowany.

- Nic zupełnie, Harry?

Jasnowidz znów pokręcił głową.

- Oni umrą, jeśli ich nie odnajdziemy.

Harry Frame oddał mu spinki i bransoletkę.

- Mogę spróbować jeszcze raz później. Przepraszam. Tak mi przykro.

- Może jakoś dziś po południu?

Frame skinął głową.

- Może byś zostawił te rzeczy u mnie? Poświęcę cały dzień; będę nadal nad tym pracował.

- Dziękuję, będę ci bardzo wdzięczny - odparł Grace.

Kiedy wychodził z ciężkim sercem, wiedział, że chwyta się tylko cienia nadziei.

## ROZDZIAŁ 76

Po odprawie o ósmej trzydzieści Jon Rye spędził dwie godziny i trzy kwadranse, pracując nad laptopem wydobytym z wraku forda transita. Ale nie dawał mu rady.

Dwadzieścia po jedenastej, wyczerpany i sfrustrowany, wyszedł z działu, żeby przynieść sobie kawy z automatu. Cały czas rozmyślał. Normalnie dla każdego komputera mógł obejść zabezpieczenie hasłem, wchodząc tylnymi drzwiami przy użyciu kryminalistycznego oprogramowania, co pozwalało następnie prześledzić całą historię internetową danego komputera. Jednak z tą maszyną jakoś nic mu nie wychodziło.

Przyłożył swoją kartę identyfikacyjną do czujnika przy drzwiach działu przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie, wszedł do środka i przeszedł przez, jak to żartobliwie nazywał, „klatkę chomika”, ogrodzone pomieszczenie, gdzie miał swoją siedzibę zespół prowadzący śledztwo w sprawie pornografii dziecięcej - operacja „Glasgow” - skinął głową dwóm spośród szóstki osób ślęczących tam przy ekranach komputerów, które podniosły na niego wzrok, po czym wydostał się do głównej części swego działu.

Andy Gidney i pozostali członkowie jego zespołu siedzieli przy biurkach, zajęci pracą. Zasiadł znów za swoim biurkiem, przy komputerze, w którym zainstalowana była kopia twardego dysku z laptopa, podczas gdy sam laptop spoczywał bezpiecznie w magazynie dowodów.



Choć od trzech lat był szefem tego działu, Rye miał na tyle inteligencji i zdrowego rozsądku, by znać swoje ograniczenia. Przekwalifikowano go z drogówki. Wielu młodszych członków zespołu to byli pasjonaci techniki, absolwenci wyższych uczelni, którzy od kołyski żyli i oddychali komputerami. Ale nikt nic mógł się równać z Gidneyem. Jeśli istniał jeden człowiek, który mógłby przekonać tego laptopa, by ujawnił swoje sekrety, to był nim John Gidney.

Rye wyjął skopiowany twardy dysk ze swojego komputera, wstał i podszedł do stanowiska roboczego Gidneya. Ten nadal pracował nad złamaniem kodu dostępu w przekrocie dotyczącym bankowości internetowej.

- Andy, musisz rzucić wszystko na najbliższych parę godzin i pomóc mi w tej sprawie. W grę wchodzi życie dwóch osób.

- Hmm... Rzecz w tym, że już jestem dość blisko.

- Andy, nic mnie nie obchodzi, czy jesteś blisko.

- Ale jeśli teraz przerwę, mogę stracić całą sekwencję! W tym rzecz! - Gidney okręcił się na fotelu i spojrzał Rye'owi prosto w twarz płonącymi z przejęcia oczami. - Chyba brakuje mi już tylko jednej cyfry!

- Ile ci to zajmie?

- Hmm, tak, hmm. - Gidney się namyślał. Przymknął oczy i wściekle kiwnął głową. - Hmm. Hmmm. - Otworzył oczy i spuścił wzrok na podłogę. - Miałbym nadzieję, że do końca tego tygodnia.

- Przykro mi - oświadczył Jon Rye. - Będziesz musiał to odłożyć. Potrzebny mi jesteś od zaraz.

- Hmmm, rzecz w tym, że... Jon, w tym dziale jest nas dziewięcioro, tak?

Rye zmierzył go twardym spojrzeniem.

- No?

Mocno koncentrując się na wykładzinie dywanowej, Gidney zapytał:

- Dlaczego właśnie ja?

Rye się zastanawiał, czy coś tu pomoże pochlebstwo.

- Bo jesteś najlepszy. Okej?

Gidney z rozdrażnieniem obrócił się na fotelu tyłem do sierżanta, uniósł rękę i odezwał się z wyraźną irytacją:

- No dobra, dawaj.

- Pliki obrazowe są na serwerze pod numerem zadania 340.

- To czego właściwie mam szukać?

Rye nie lubił mówić do pleców swoich podwładnych, ale wiedział z doświadczenia, że nie było sensu próbować zmienić tego cudaka; jeśli się chciało wydobyć z niego wszystko, co potrafił, najlepiej było mu ustępować.

- Adresy pocztowe, numery telefonów, adresy mailowe. Wszystko, co może naprowadzić nas na trop miejsca pobytu małżeństwa nazwiskiem Bryce, państwa Toma i Kellie Bryce'ów. - Przeliterował ich nazwiska.

- Zrobię co mogę.

- Dzięki, Andy.

Rye powrócił do swojego biurka, i prawie natychmiast zawołał go na sam koniec sali inny kolega, detektyw John Shaw, wysoki, przystojny trzydziestolatek, którego bardzo lubił. Wybitnie inteligentny, tak samo jak Gidney wywodził się ze środowiska uniwersyteckiego, ale pod każdym innym względem był jego absolutnym przeciwieństwem.

Shaw pracował nad pewną wyjątkowo wstrząsającą galerią fotografii znalezioną na twardym dysku skonfiskowanym podczas nalotu na dom pewnego podejrzanego o pedofilię. Zauważył w jego upodobaniach pewien powtarzający się schemat - lubił najpierw stłuc małe dziecko na kwaśne jabłko, a potem fotografował się w trakcie uprawiania z nim seksu. Przypominało to pewien inny przypadek, nad którym ostatnio pracowali, wobec czego chciał zasięgnąć opinii Rye'a.

Dziesięć minut później Jon Rye powrócił do swojego biurka, pograżony w rozmyślaniach. Znieczulił się na większość plugastw, które widywał na komputerach, ale widok krzywdzonych dzieci ciągle robił na nim wrażenie. Za każdym razem. Nie zwrócił szczególnej

uwagi na to, że Gidneya nie było na stanowisku roboczym, gdy je mijal.

Kiedy wkrótce potem, chcąc na chwilę odetchnąć od swoich e-maili, Rye obejrzał się przez ramię, z zaskoczeniem - a także z irytacją, zważywszy pilność sprawy - stwierdził, że Gidney jeszcze nie wrócił.

Wstał i podszedł do stanowiska roboczego szajbusa. Na ekranie widniały słowa:

PROGNOZA POGODY DLA ŻEGLUGI OPRACOWANA  
PRZEZ INSTYTUT METEOROLOGII DLA AGENCJI STRA-  
ŻY MORSKIEJ I PRZYBRZEŻNEJ NA GODZINĘ 5.55 W  
PONIEDZIAŁEK 6 CZERWCA 2005.

SYTUACJA BARYCZNA O GODZINIE 0.00

NIŻ Z OŚRODKIEM 1014 HPA NAD ZACHODNIĄ FRAN-  
CJĄ DOTRZE DO POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ ANGLII  
PRZED 13.00; CIŚNIENIE OBNIŻY SIĘ TAM DO 1010 HPA.  
NIŻ Z OŚRODKIEM 1010 HPA NAD WYSPĄ ROCKALL  
PRZESUWA SIĘ POWOLI NA POŁUDNIOWY WSCHÓD.  
WYŻ Z OŚRODKIEM 1010 HPA NAD FASTNET SŁABNIE.

Po kiego diabła ten człowiek zaglądał do prognozy pogody dla żeglugi teraz, kiedy byli w trakcie akcji nadzwyczajnej? I gdzież on jest, do cholery? Wyszedł dobrych dwadzieścia minut temu - jeśli nie wcześniej.

Po dalszych dwudziestu minutach dla Rye'a stało się oczywiste, że Andy Gidney zniknął.

A jak miał się Rye za chwilę przekonać, Gidney skrupulatnie wykasował wszystko z serwera i zabrał ze sobą laptopa oraz kopię twardego dysku.

## ROZDZIAŁ 77

Roy Grace odjechał spod domu Harry'ego Frame'a, czując się nagle bardzo przygnębiony i bardzo zmęczony, pomimo że przed niespełną półgodziną wypił kolejną puszkę red bulla i zażył kolejne tabletki z kofeiną. Było jeszcze za wcześnie na następne. Liczył na to jak diabli, że jasnowidz dozna nagle jednego z tych swoich przebły-sków natchnienia.

Wtem zadzwonił jego telefon. Odebrał pełen nadziei. Był to Branson, jak zwykle tryskający energią.

- Jak tam, stara gwardia, trzymasz się?

- Jestem wykończony. Co nowego?

- Ktoś z ludzi komisarza Grace'a przejrzał papiery Reggiego D'Eatha. Znaleźli na rachunku jego karty kredytowej Barclaycard comiesięczne stałe zlecenie dla firmy o nazwie Scarab Entertainment. Na sumę tysiąca funtów.

- Tysiąc funciorów? Miesięcznie?

- No.

- Skąd mógłby mieć takie pieniądze?

- Można sobie dorobić, dostarczając bogatym mężczyznom małe dzieci.

- Gdzie się mieści ta firma? - spytał Grace.

- Zła wiadomość. W Panamie.

Grace pomyślał przez chwilę. Było na świecie parę takich krajów, w których prawo gwarantowało każdej firmie całkowitą ochronę

danych przed policją. Przypominał sobie z poprzednich spraw, że jednym z tych krajów była Panama.

- To nam raczej nie pomoże. Tysiąc funiów miesięcznie?

- W grę wchodzi poważny biznes - stwierdził Branson. - Może moglibyśmy uzyskać nakaz sądowy, który zmusiłby wszystkich operatorów kart kredytowych do ujawnienia nam, kto jeszcze płaci tysiące miesięcznie Scarab Entertainment.

- Tak, w tych okolicznościach, przy zagrożeniu życia dwóch osób, dostalibyśmy go, ale to nic nam nie da.

Uzyskamy listę ustanowionych przez anonimowego właściciela dyrektorów z jakiejś kancelarii prawniczej w Panamie, która, kiedy się do niej zwrócimy, pošle nas na drzewo. Ilu oni mają abonentów? Nie trzeba wielu, żeby to był bardzo dochodowy interes. Taki, dla którego ochrony tamci gotowi są posunąć się bardzo daleko.

*Szanowny p.t. kliencie. Mamy nadzieję, że podobał ci się nasz filmik promocyjny. Nie zapomnij się zalogować o 9.15 we wtorek, kiedy to zaprezentujemy naszą kolejną wielką atrakcję - mąż i żona razem. Nasze pierwsze podwójne zabójstwo!*

Za tysiąc miesięcznie co wam szkodzi od czasu do czasu wypuścić jakiś darmowy bonusik, prawda? Choćby, jak się trafi okazja, wrzucić pedofila do kwasu.

- Ty, weteran, jesteś tam jeszcze?

- Tak. Co tam jeszcze słychać?

- Mamy jedno doniesienie, że widziano pana Bryce'a w jego espace, tuż po północy, jak brał paliwo na stacji benzynowej Texaco w Pyecombe - zarejestrowała to kamera przemysłowa.

- Widać tam jeszcze jakieś inne pojazdy?

- Nie.

- A w espace nie znaleziono nic, co by się nam przydało?

- Chłopcy z kryminalnej obwąchują wóz wzdłuż i wszerz. Jak na razie nic.

- Wracam do centrum koordynacji - powiedział Grace. - Przyjadę za jakieś dwadzieścia minut.

- Będę czekał z kawą.

- Muszę wypić poczwórne espresso.

- Ja też.

Grace jechał dalej, skręcając z trasy nadmorskiej w głąb lądu na wyżej położoną drogę prowadzącą przez Kemp Town, mijając ekskluzywną szkołę dla dziewcząt, St. Mary's Hall, następnie Królewski Szpital hrabstwa Sussex i neogotycką fasadę ekskluzywnej szkoły koedukacyjnej, Brighton College. Po lewej, w niewielkiej odległości przed sobą, zobaczył muskularnego mężczyznę, który pewnym krokiem wchodził do kiosku z gazetami. Miał wrażenie, że gdzieś go już widział, tylko nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Ale to wystarczyło, żeby zawrócić. Zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, wyłączył silnik i patrzył.

Po najwyżej minucie tamten wyszedł z kiosku z papierosem w ustach, niosąc w reklamówce plik gazet, które się w niej nie mieściły, po czym ruszył w stronę czarnego volkswagena golfa, zaparkowanego dwoma kołami na chodniku z włączonymi światłami awaryjnymi.

Grace wyteżał wzrok zza przedniej szyby. Ten krok był bardzo nietypowy; osobliwy, rozkołysany krok, który przypominał mu sposób chodzenia twardzieli z sił zbrojnych. Jakby cały chodnik do nich należał.

Mężczyzna ubrany w podkoszulek bez rękawów, białe dżinsy i białe mokasyny, miał krótkie włosy uformowane w kolce na żel, a na szyi gruby złoty łańcuch. I wtedy nagle zaskoczyła prawie fotograficzna - czasami - pamięć Grace'a. Teraz już skojarzył, kiedy i gdzie widział wcześniej tego faceta. Wczoraj wieczorem. Na materiale z kamery przemysłowej z baru Karma!

To on był na randce z Janie Stretton!

Serce Grace'a waliło jak młotem. Volkswagen ruszył. Zapamiętał jego numer, po czym odczekał parę sekund, przepuścił taksówkę i żółtą furgonetkę British Telecom, a następnie włączył się do ruchu, zawrócił i pojechał śladem tamtego, wybierając jednocześnie numer na komórce. Po pierwszym sygnale odebrała Denise Woods, jedna z

indekserek zajmujących się katalogowaniem danych, bardzo poważna, bardzo sprawna dziewczyna.

- Cześć, mówi Grace. Potrzebuję pilnie sprawdzić w krajowej bazie danych. Właśnie śledzę pewien wóz. Volkswagen golf, rejestracja: palma lampa zero trzy fokstrot delta Oskar.

Denis powiedziała, że zaraz oddzwoni.

W niewielkiej odległości przed nim volksawagen, wciąż mając za sobą taksówkę i furgonetkę British Telecom, zatrzymał się na czerwonym świetle.

Kiedy zapaliło się zielone, golf skręcił w lewo, w Lower Rock Gardens, kierując się w stronę bulwaru nadmorskiego. Dwa pozostałe pojazdy pojechały prosto. Grace odczekał chwilę, po czym skręcił w lewo, trzymając się w miarę możliwości w tyle.

No, Denise!

W dole, przy skrzyżowaniu z Marine Parade, paliło się zielone światło i golf skręcił w lewo w nadmorską trasę. Grace przejechał na żółtym, zachowując jak największą odległość od golfa, byle go tylko nie zgubić, pozwolił się wyprzedzić fordowi focusowi, a potem starenmu porsche, nie tracąc jednak z oczu golfa.

Kiedy golf przejeżdżał przez rondo przed mołem Pałace Pier, zadzwonił jego telefon. Samochód był zarejestrowany na firmę Bourneholt International Ltd; jako adres figurował numer skrytki pocztowej w Brighton. Nie było zgłoszeń o utracie ani kradzieży samochodu, ani też nikt z policji dotychczas nie zaznaczył go sobie w bazie danych.

- Bourneholt International Ltd - powtórzył Grace. - Znam tę nazwę. - Po chwili przypomniał sobie skąd. - Denise, sprawdź szybko rejestrację tej furgonetki, która rozbija się wczoraj wieczorem; czekam na linii.

Golf dalej jechał na zachód bulwarem nadmorskim, mijając niedawno odmalowaną fasadę hotelu Royal Albion. Potem, gdy zbliżali się do hotelu Old Ship, golf skręcił w jedną z przecznic, sygnalizując prawym kierunkowskazem.

Grace stwierdził z ulgą, że także jadący przed nim granatowy mercedes s-klasse sygnalizuje skręt w prawo. Ukrył się za jego sporą masą. Widział, że golf jedzie prosto w górę, mija hotel i skręca w prawo, na ogromny podziemny parking przy Bartholomew Square. Tak samo zrobił s-klasse. Grace jechał tuż za nim, czekał za nim na pochylni.

Denise powróciła do telefonu.

- Ten sam właściciel, Roy. Bourneholt International Ltd.

Zacisnął pięści z podniecenia.

- Super!

Automatyczny szlaban uniósł się, a Grace podjechał do przodu, poczekał, aż z automatu wysunie się bilet, i wziął go.

- Dobra robota! - powiedział. Ale nie było zasięgu.

Szlaban znowu się uniósł i Grace przejechał pod nim. Zaraz potem z jednego z miejsc parkingowych wyjechało tyłem bmw 3, zajeżdżając mu drogę. Cofało się powolutku, nieśmiało, cał po pieprzonym calu.

No dawaj! - wrzasnął bezgłośnie Grace.

Minęła wieczność, zanim bmw ruszyło do przodu i zjechało na pochylnię wyjazdową. Grace dodał gazu. Wszystkie miejsca na tym poziomie były zajęte. Zjechał o poziom niżej. Tam też komplet. Tak samo na następnym poziomie. Ale kiedy w pełnym pędzie przejeżdżał tamtędy, przeciął mu drogę, wyjeżdżając na wstecznym, pełen dzieci minivan ford galaxy z nerwową matką za kierownicą.

Jezu, babo, z drogi!

Nie miał wyjścia, musiał czekać. I czekać. I czekać.

W końcu zjechał na poziom 4 i zobaczył tam kilka wolnych miejsc. Dodał gazu, rozglądając się za golfem, i wtedy go zobaczył. Był zaparkowany.

Kierowca zniknął.

Zahamował za golfem i zaklął.

Z tyłu rozległ się klakson. Zobaczył w lusterku range-rovera. Uniósł palec, podjechał parę metrów do przodu, skręcił na pierwsze wolne miejsce, które zobaczył, wyłączył silnik i wyskoczył z



samochoду. Pobiegł pędem do wyjścia, przeskakując po dwa stopnie naraz i wypadł na duży, przestronny plac, z japońską restauracją pośrodku, hotelem Renaissance po jednej stronie i rzędami sklepów po dwóch pozostałych stronach.

Nie było jednak ani śladu mężczyzny o charakterystycznym kroku i kolczastych włosach.

Może wyszedł którymś z trzech pozostałych wyjść. Obiegł parking dookoła, sprawdzając każde z nich. Jednak tamten zniknął.

Grace zaklął, przystanął przy pierwszym wyjściu, najbliższym golfa i swojego samochodu, i gorączkowo myślał. Wątpił, czy mężczyzna zauważył, że go śledzi. Pytanie natomiast, ile czasu upłynie, zanim powróci do samochodu. Może za pięć minut, może za pięć godzin.

Raptem wpadł na pomysł.

Zadzwoił do swojej dawnej siedziby, Komendy Miejskiej w Brighton i poprosił o połączenie ze starym kumplem, starszym aspirantem Mikiem Hopkirkiem. Na szczęście Hopkirk był na miejscu, a jego telefon wolny.

Ten stary policyjny wyga cieszył się wśród kolegów szacunkiem i był bardzo lubiany. Grace po starannym namyśle postanowił zwrócić się właśnie do niego. Jeśli się tylko Hopkirk zgodzi, nikt tak jak on nie będzie umiał poderwać wszystkich sił do działania tak szybko, jak tego Grace potrzebował.

- Roy! Jak się masz! Wciąż o tobie piszą w gazetach! Cieszę się, że przeprowadzka do Sussex House nie stępiła ci apetytu na wkurzanie ludzi.

- Świetny dowcip. Słuchaj, pogadamy sobie później. Mam wielką prośbę, musisz coś dla mnie zrobić, i to zaraz. Chodzi o życie dwóch osób. Istnieją poważne powody, by sądzić, że zostały porwane i w grę wchodzi bezpośrednie zagrożenie życia.

- Tom i Kellie Bryce? - spytał Hopkirk, ku zaskoczeniu Grace'a.

- Do diabła, skąd wiesz?

Zaczynał już zapominać, jak piekielnie inteligentny był Hopkirk.

Ryk przejeżdżającej ciężarówki zagłuszył odpowiedź Mike'a. Zaslaniając jedno ucho i mocno przyciskając telefon do drugiego, Grace krzyknął:

- Słucham? Możesz powtórzyć?

- Są na pierwszej stronie „Argusa”, do cholery! Rzecznik załatwił. Super.

- No dobra, Mike, posłuchaj. Chciałbym, żebyś na godzinę zamknął parking na Bartholomew Square, żebym przez ten czas mógł przeszukać pewien wóz, który tu stoi.

Usłyszał odgłos zasysania dużej ilości powietrza.

- Zamknąć parking?

- Potrzebna mi godzina.

- Zamknąć największy parking w Brighton, w środku dnia. Oszałałeś?

- Nie, jest mi to potrzebne, natychmiast, w tej chwili.

- Na jakiej podstawie, Roy?

- Zagrożenie zamachem bombowym. Miałeś telefon od grupy terrorystycznej.

- Kurczę. Ty mówisz serio, tak?

- No dawaj, jest spokojny poniedziałkowy poranek. Obudź swoich ludzi!

- A jak wyjdzie kicha?

- Ja zbiorę cięgi.

- Nie ty, Roy, tylko ja, przecież wiesz.

- Ale zrobisz to?

- Bartholomew Square?

- Bartholomew Square.

- No dobra - powiedział z rezygnacją, choć nie bez wątpliwości. - Zejdź mi z linii, cholera; będzie mi potrzebna!

Grace również musiał pilnie załatwić parę telefonów. Zadzwoił do Sussex House, żeby natychmiast przysłali ekipę kryminalistyczną i żeby towarzyszył jej ktoś z drogówki, kto umie poradzić sobie z zamkami i alarmem w volkswagenie golfie.

Następnie zadzwonił do pewnego aspiranta nazwiskiem Bill Ankram, odpowiedzialnego za rozporządzanie miejscową sekcją

inwigilacji. Szczęśliwym trafem Ankram miał dla niego dobrą wiadomość.

- Pojechaliśmy śledzić kogoś w centrum Brighton i akcja się szybko skończyła. Figuranta nie było. Już miałem wycofać grupę z terenu i zamiast akcji urządzić im po południu trening.

- Jak szybko możesz ich przysłać na parking na Bartholomew Square?

- W ciągu godziny. Jesteśmy niedaleko.

Grace ustalił z nim szczegóły, podał rejestrację wozu i dokładne położenie golfa. Potem zadzwonił z kolei do centrum koordynacji i kazał im przesłać Ankramowi faksem oraz e-mailem zdjęcie kierowcy volkswagena.

Następnie porozmawiał z Nichollem, któremu powiedział, że będzie musiał jednak sam spotkać się z policjantem z metropolitalki. Kiedy tak z nim rozmawiał, rozległo się nagle ogłuszające wycie.

Brzmiało to tak, jakby w całym mieście we wszystkich pojazdach uprawnionych jednocześnie włączono syreny.

## ROZDZIAŁ 78

Zachowanie Kellie przerażało Toma. Jakby był zamknięty w ciemności z kimś zupełnie obcym. I to kompletnie nieprzewidywalnym. Na przemian z długimi okresami ciszy, nagle histerycznym wrzaskiem wykrzykiwała obelgi pod jego adresem. Właśnie zaczynała, głosem zdartym i nadwyrężonym od długotrwałego wrzasku.

- Ty głupi sukinsynu! Ty idioto! To przez ciebie to wszystko! Gdybyś zostawił tę cholerną płytkę w pociągu, nigdy by do tego nie doszło! Oni nigdy nas nie wypuszczą! Czy ty to rozumiesz, ofermo jeden jebany?! !

Wybuchnęła szlochem.

Tom czuł się kompletnie zdruzgotany. Odgłos jej płaczu był straszny, wstrząsający. Lecz wyglądało na to, że nic z tego, co próbował jej powiedzieć, do niej nie docierało. Mówił do Kellie bez przerwy, odkąd grubas wyszedł z pomieszczenia. Próbował ją uspokoić, dodać sił, podtrzymać na duchu.

Próbował jakoś zapomnieć o piekielnym bólu w pęcherzu. O palącym pragnieniu. I skręcającym wnętrzości głodzie.

Zastanawiał się, czy zachowanie Kellie nie oznacza, że przemawia przez nią wódka. Albo jej brak? Może wpadła w depresję, tak jak przez parę miesięcy po urodzeniu Jessiki, i przez to straciła grunt pod nogami?

A ten jej eBay - może to było jakiś sygnał ostrzegawczy, albo rozpaczliwe wołanie o pomoc, które do niego nie dotarło?

- Ty jebany ofermo! - wrzasnęła znowu.

Tom skrzywił się. Oferma. Czy tak właśnie go widziała? Miała rację. Nie wiodło mu się w interesach, a teraz zawiódł w rzeczy najważniejszej, w zapewnieniu bezpieczeństwa swojej rodzinie.

Zacisnął powieki i pomodlił się do Boga, z którym nie rozmawiał od dwudziestu pięciu lat. Potem otworzył oczy, ale nic się nie zmieniło; wokół nadal panowała nieprzenikniona ciemność.

W nogach, związanych razem, czuł kurcze. Przetoczył się w bok, ale zaledwie wykonał jeden pełny obrót, wokół jego kostki owinał się ciasno łańcuch, a okowa, zacisk, czy co to tam było, werżnęło mu się w nogę, aż krzyknął z bólu.

Myśl, powiedział sobie. Myśl!

Ściana i podłoga bezpośrednio wokół niego były gładkie; potrzebował czegoś chropowatego, o co pocierając, mógłby przepiłować sznury.

- Słyszysz mnie, ty jebany ofermo!

Oczy wezbrały mu łzami. Kellie, kochanie moje, tak cię kocham. Nie rób mi tego.

Czego chce ta tłusta kreatura? Kim on jest, do cholery? Jak do kogoś takiego dotrzeć? Ale w głębi duszy wiedział, kim jest ten człowiek, i dlaczego się tu znaleźli.

Strach ścisnął go jeszcze mocniej za gardło, gdy myśli się skryształizowały. Jakiś czas temu, w nocy, zostawił dzieci u rodziców Kellie; jej mama była dość zadziorna, ale jej przykuty do łóżka ojciec, biedak, zupełnie bezradny. Czy ten grubas planował porwać też dzieci? A co jeśli on albo te jego zbiry przyjdą, jeśli matki Kellie nie będzie?

Tom zdesperowany przetoczył się po podłodze; poczuł szarpnięcie napiętego łańcucha. Nie zważając na ból, pociągnął. Wstrzymując oddech, pociągnął jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze.

Ale łańcuch nie ustępował.

Przez chwilę leżał nieruchomo. Potem wpadł na pewien pomysł.

W tym momencie gdzieś w głębi pomieszczenia znowu pojawił się prostokąt światła: drzwi. Weszły przez nie dwie postacie, każda z latarką w ręku. Puls mu przyspieszył; poczuł ucisk w gardle. Naprężył się, gotów do walki, takiej czy innej, jak tylko się da.

Jedna postać podchodziła do Kellie, druga do niego. Kellie milczała. W następnej chwili strumień światła jak błyskawica, skierowany prosto w oczy, oślepił Toma. Potem zszedł mu z twarzy i oświetlił papierowy kubek z wodą i bułkę leżącą na podłodze.

- Jeść dla was - powiedział łamaną angielszczyzną ostry głos, z twardym akcentem, który miał wschodnioeuropejskie brzmienie.

- Muszę siusiu - jęknął Tom.

- Nie krępuj się, lej w majtki, jak wszyscy tutaj! - wykrzyknęła Kellie.

- Ty nie siusiu! - odparł tamten.

- Muszę - błagał Tom. - Proszę mnie zaprowadzić do toalety.

Mężczyzna był wysoki, szczupły, dwudziestoparoletni, elegancko ubrany na czarno, o surowej twarzy i modnej, krótkiej fryzurze. Tom widział teraz jego rysy. Ale ważniejsze, że widział, co jest za nim.

Najbliższy rząd beczek z chemikaliami.

- Jeść - powtórzył tamten i odszedł. Drugi mężczyzna przyłączył się do niego. Prostokąt światła zniknął. Tom i Kellie znów byli zagrożeni w całkowitej ciemności.

- Kochanie? - odezwał się Tom.

Milczenie.

- Kochanie, proszę, posłuchaj mnie.

- Dlaczego nie przynieśli mi nic do picia? - usłyszał.

- Przynieśli wodę.

- Nie to, kurwa, miałam na myśli.

Od jak dawna pila? - zastanawiał się Tom. Jak długo nic nie zauważył?

- Jak mam pić z rękami przywiązanymi do boków? Może mi powiesz, inteligentny panie mężu?

Tom powoli zbliżył głowę do miejsca, gdzie stała woda i leżała bułka. Dotknął nosem ścianki kubka, przeklinając w duchu poniżającą sytuację, w jakiej się znalazł. Ostrożnie przesunął wargi wzdłuż krawędzi kubka, starając się rozpaczliwie nie uronić ani jednej bezcennej kropli, aż wreszcie uchwycił krawędź zębami, przechylił kubek i chciwie wypił do dna.

Potem, jak jakieś ślepe nocne zwierzę, macał nosem podłogę, aż trafił na bułkę. Nie miał apetytu, ale zmusił się, żeby ugryźć kęs. Z trudnością przeżuł go i połknął. Potem ugryzł jeszcze jeden kęs, przeżuł i wypluł resztę.

- Sądzę, że musimy się już zbierać do domu - oznajmiła Kellie. - Myślisz, że dadzą nam na pożegnanie paczki ze smakołykami?

I po raz pierwszy od kilku dni Tom się uśmiechnął. Może odyskiwała równowagę.

- Jak na razie nie mam zbyt wielkiego mniemania o ich gościnności - odpowiedział, próbując odbić piłeczkę. Ale jego słowa natrafiły na głuche milczenie.

Dzięki wodzie i jedzeniu zaczynał się już czuć trochę lepiej i odzyskał nieco sił. Zdecydował się teraz na swój ruch.

Na wpół się tocząc, na wpół rzucając, przesunął się powoli, z bolesnym wysiłkiem, po podłodze w lewo, w kierunku tego, co parę minut temu dostrzegł w rozproszonym świetle, towarzyszącym ostremu strumieniowi światła latarki.

W stronę rzędu beczek z chemikaliami.

Wpadł w panikę, gdy poczuł szarpnięcie zaciskającego się w kostce łańcucha. Proszę, jeszcze odrobinę, poddaj się jeszcze tylko odrobinę. Pociągnął z całej siły, ale zacisk wpił się jeszcze mocniej, aż krzyknął z bólu.

- Tom, nic ci nie jest? Kochanie?

Dzięki Bogu, już jej przeszło.

- Nic - syknął, bojąc się nagle, że ktoś może ich podsłuchiwać. -  
Wszystko w porządku.

Wtem dotknął czegoś twarzą. Proszę, niech to nie będzie ściana.

W dotyku było to plastikowe, zimne, okrągłe. Beczka!

Spróbował sięgnąć jej szczytu. Beczka zachybotowała się. Zsunął się w dół. Przewrócił się na brzuch, z nogami splecionymi za sobą, czując dojmujący ból w kostce, poderwał się do góry, potem jeszcze raz. Wreszcie, gdy wziął głęboki wdech i, wypuszczając powietrze, jednocześnie z całych sił wyprężył się w górę, udało mu się. Oparł podbródek o górną krawędź beczki.

I była ona przepięknie ostra i postrzępiona w dotyku.

Powoli, odchylając się cał po calu do tyłu, z podbródkiem zahaczonym o rant beczki, przechylał ją do tyłu; była ciężka, o wiele cięższa, niż sobie wyobrażał. Nagle przewróciła się i upadła na podłogę z głośnym, rozbrzmiewającym echem łoskotem.

- Tom?! - zawołała Kellie.

- Nic się nie stało.

- Co ty robisz?

- Nic.

Pośpiesznie podsunął się do rantu, wyczuł po ciemku miejsce, w którym opasywał go sznur krępujący mu ręce do boków, i zaczął pocierać nim o ostrą krawędź.

Po paru minutach, czując niemal tyleż zaskoczenia co ulgi, że to naprawdę zadziało, mógł już odsunąć ręce od tułowia. Wiedział, że to tylko maleńki krok naprzód, ale czuł się, jakby się właśnie wdrapał na Mount Everest. Wzbierało w nim poczucie ulgi. Udało mu się!

Teraz uniósł w ciemności ręce, wciąż mocno związane razem, aż natrafił po omacku na rant. Zaczął wściekle ocierać sznurem pomiedzy nadgarstkami o krawędź. Czuł jak powoli, włókno po włóknie puszcza i więzy ustępują. Strząsnął z nadgarstków ostatni kawałek luźnego sznura i wyprężył się do pionu, rozciągając ramiona



i gimnastykując dłonie, żeby przywrócić w nich krążenie.

- Czy my tu umrzemy, Tom? - Kellie zaszlochała.

- Nie.

- Mama i tata nie zdołaliby wychować dzieci. Nigdy o tym nie pomyśleliśmy, co?

- Nie umrzemy.

- Bardzo cię kocham, Tom.

Na dźwięk jej głosu omal się nie rozplakał. Było w nim tyle czułości, ciepła, oddania.

- Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie, Kellie - powiedział i pochylił się, by zmacać sznury krępujące mu nogi, aż natrafił na supeł.

Był bardzo ciasno zawiązany. Jednak uparcie pracował nad nim dalej, aż po chwili udało mu się go poluzować. I nagle miał wolne nogi! Oprócz kostki skutej łańcuchem. Ani przez chwilę nie opuszczała go myśl, że jeśli ten grubas teraz tu wejdzie, rozpęta się piekło. Ale nie miał wyjścia, musiał zaryzykować.

Przyklęknął, uchwycił krawędź beczki, potem wstał i, wyężając się z całych sił, postawił ją do pionu. Po omacku odszukał na górze pokrywę i, uchwyciwszy ją kurczowo dłońmi, próbował się zorientować, jak się ją otwiera, po raz pierwszy w życiu rozumiejąc trochę, jak to jest, kiedy się jest ślepy.

Była obwiązana skręconym drutem i opieczętowana paskiem papieru. Wcisnął palce pod drut i pociągnął. Drut werżnął mu się w ciało. Zagłębił rękę w kieszeni, wyciągnął chusteczkę, owinął ją sobie wokół palców i spróbował jeszcze raz.

Drut pękł z trzaskiem.

- Dlaczego tu jesteśmy, Tom? - spytała płaczliwie. - Kim jest ten ohydny spaślak?

- Nie wiem.

- O co mu chodziło z tym, jakie z nas będą „piękne zwłoki”?

- Chciał nas tylko nastraszyć - odpowiedział Tom, starając się przybrać uspokajający ton. Jednocześnie mocował się z pokrywą,

mając świadomość, że jego głos ma znacznie wyższe niż zwykle brzmienie, podczas gdy w głowie świłał niejasny plan.

Z wolna pokrywa zaczęła się obracać. Dopiero po pięciu, może sześciu pełnych obrotach została mu w rękach. Powietrze wypełnił nieznośny, gryzący odór. Zatoczył się do tyłu, upuszczając pokrywę, i usłyszał jak w ciemności potoczyła się gdzieś w dal.

- Tom?! - wykrzyknęła zatrwożona Kellie.

Wciąż kasłał, czując ogień w płucach. Próbował sobie przypomnieć szkolne lekcje chemii, przedmiotu, z którego był bardziej niż słaby. W pracowni chemicznej stały butelki z kwasami. Pierwsze, co mu przyszło do głowy: kwasy siarkowy i solny. Czy to coś, mniejsza o to, co to jest, mogłoby przeżreć łańcuch, krępujący kostki?

Ale jak miał tego zaczerpnąć z beczki w ciemności? Jeśli beczka się przewróci, zawartość się wyleje i może popłynąć po podłodze aż do Kellie. Albo uduszą się od oparów.

Nagle omal mu serce nie stanęło. Kątem oka zobaczył promyk światła. Ten prostokąt w oddali. Ktoś wchodził.

## ROZDZIAŁ 79

Na poziomie 4 parkingu przy Bartholomew Square grupa policjantów zebrała się wokół czarnego volkswagena golfa. Na zewnątrz policja blokowała wszystkie wejścia. W całym budynku nie było oprócz nich żywej duszy.

- Nie chcę, żeby właściciel się zorientował, że się dostaliśmy do wozu - powiedział Grace do młodego posterunkowego z drogówki, przykucniętego przy drzwiach od strony kierowcy z ogromnym pękiem wytrychów w jednej ręce i czymś co wyglądało jak nadajnik radiowy w drugiej.

- Nie ma obawy. Potem zamknę z powrotem. Nawet mu to do głowy nie przyjdzie.

Joe Tindall, w białym stroju ochronnym, stał obok Grace'a, żując gumę. Wydawał się jeszcze bardziej zręczliwy niż zwykle.

- Mało ci, że rozwaliłeś mi weekend, Roy? Musisz mieć pewność, że i tydzień mi schrzaniśz do gruntu od pierwszego gwizdka, co?

Rozległ się głośny szcęk i drzwi golfa otworzyły się. Natychmiast zawył klakson, ogłuszającym, rozbrzmiewającym echem „bip-bip-bip-bip-bip”.

Posterunkowy z drogówki podniósł maskę i dał pod nią nura. Po paru sekundach alarm zamilkł. Zamknął maskę.

- No dobra - powiedział, zwracając się do Tindalla i Grace'a. - W wasze ręce.

Grace, również w stroju ochronnym i rękawicach, wpuścił do środka najpierw Tindalla i stanął, przyglądając się jego pracy. Zerknął na zegarek - minęło dwadzieścia pięć minut, odkąd zamknęli parking. Na zewnątrz panował totalny chaos: radiowozy policyjne, karetki pogotowia, wozy strażackie, dziesiątki odciętych od swoich samochodów ludzi powracających z zakupów, biznesmenów, turystów. I na zasadzie efektu domina ruch w centrum Brighton był zatamowany.

Wydzie na niezłego durnia, jeśli to wszystko zakończy się klapą.

Patrzył, jak Tindall pobiera odciski najpierw z najbardziej prawdopodobnych miejsc: wewnętrznej lusterka, dzwigni skrzyni biegów, klaksonu, klamek wewnętrznych i zewnętrznych. Po uporaniu się z tym wszystkim zdjął pincetą włos z zagłówka kierowcy i wsunął go do torebki foliowej na materiał dowodowy. Potem wyjął pincetą niedopałek z popielniczki i włożył go do innej torebki.

Pięć minut później wynurzył się z samochodu z trochę mniej ponurą miną niż w chwili przybycia.

- Mam trochę dobrych odcisków, Roy. Jadę prosto do bazy i każę chłopakom przesłać je do NAFIS.

NAFIS był to ogólnokrajowy system automatycznej identyfikacji odcisków palców.

- Ja też tam jadę - powiedział Grace. - Pojawię się jakieś dziesięć minut po tobie.

- Wyniki będą już na ciebie czekać.

- Doceniam.

- Właściwie to głównie mnie obchodzi, czy doceniasz, czy nie. - Szef ekipy kryminalistycznej zmierzył komisarza wzrokiem.

Czasami trudno było powiedzieć, czy Tindall mówi serio, czy żartuje; człowiek ten miał osobliwe poczucie humoru. Także i teraz Grace nie potrafił tego wyczuć.

- No i dobrze! - rzucił swobodnie, starając się być miły. - Podziwiam twój chłodny profesjonalizm.

- Akurat! - odparł Tindall. - Robię to, bo mi za to płacą. Lata mi koło pióra, czy ktoś to docenia.

Ściągnął kombinezon ochronny, spakował go do torby i oddalił się w stronę klatki schodowej.

Grace i policjant z drogowki wymienili spojrzenia.

- Bywa wpieniający z tymi swoimi humorami!

- Ale okularki czaderskie... - zauważył posterunkowy.

Grace sprawdził wnętrze samochodu, zaglądając do schowka na rękawiczki, gdzie nie było nic oprócz instrukcji obsługi, i do kieszeni we wszystkich drzwiach, w których też nic nie znalazł. Zajrzał pod przednie siedzenia, ściągnął tapicerkę z tylnych siedzeń i sprawdził pod nią. Nic. Nigdzie nie natrafił na jakiegokolwiek rzeczy osobiste; wóz sprawiał wrażenie raczej wynajętego, niż prywatnego.

Następnie sprawdził bagażnik. Nieskazitelnie czysty; mieściły się w nim tylko skrzynka z narzędziami, koło zapasowe i trójkąt odbłaskowy, który jak przypuszczał, należał do fabrycznego wyposażenia. Na koniec Grace wczuł się pod samochód; nie było tam błota, nic, co w jakikolwiek sposób odbiegałoby od zwykłego wyglądu spodu pojazdu.

Podniósł się, powiedział posterunkowemu, że może go zamknąć i odblokować alarm, po czym poszedł do swojego samochodu, chcąc jak najszybciej dotrzeć do Sussex House. Miał rozpaczliwą nadzieję, że zręczliwy, lecz błyskotliwy Joe Tindall uzyska jakiś wynik z tymi odciskami palców.

I że grupa inwigilacyjna nie zgubi volkswagena.

Trudno było oczekiwać, że ta akcja poprawi mu opinię u Alison Vosper i zmniejszy jego szansę na zsyłkę do Newcastle.

Potem, nagle, pomyślał o Cleo. Było dwadzieścia po dwunastej. Wciąż nie oddzwoniła.

## ROZDZIAŁ 80

Tom rzucił się na podłogę i zaczął gorączkowo macać rękami po twardym, kamiennym podłożu, w poszukiwaniu sznurów. Strumień światła latarki wdarł się w ciemność; padł na Kellie, następnie na jego twarz, po czym zatańczył po ścianie, oświetlając rząd beczek z chemikaliami.

Także i tę, która miała zdjętą pokrywę.

O kurczę, kurczę, kurczę.

Leżał na boku, nieruchomo, z zapartym tchem, z rękami wyciągniętymi sztywno po bokach, z nogami zaciśniętymi razem, ociekając potem. Usłyszał stukot zbliżających się kroków. Serce waliło mu jak młotem, uszy wypełniał łoskot krwi pędzącej przez żyły. Żółć podchodziła mu do gardła ze strachu.

To będzie właśnie teraz. Kiedy tylko tamci się zorientują. Jezu, czyżby znowu okazał się głupi? Głupi, że wyszedł z domu, głupi, że wpuścił ich do swojego samochodu. A teraz głupi, niewiarygodnie głupi, że próbował ucieczki.

Kellie miała rację. Nazwała go ofertą.

Zamknął oczy, modląc się, starając się nie zwymiotować. Czyżby tak miało się to skończyć? Wszystkie marzenia? Czy miał już nigdy nie zobaczyć dzieci? Nigdy...

Rozległ się głośny stukot. Usłyszał, że coś toczy się po podłodze. To coś uderzyło go w bok głowy. Coś twardego, ale lekkiego.

Obrócił się, pamiętając, żeby zachować pozycję, jakby nadal był skrępowany. Strumień światła prosto w oczy oślepił go. Po chwili

usłyszał ten sam co wcześniej głos, mężczyzna mówił łamaną angielszczyzną.

- Do siusiu. Srać nie.

Strumień światła przesunął się z jego twarzy na przedmiot rzucony jakiś metr, półtora od niego. Było to pomarańczowe, plastikowe wiadro.

Odgłos kroków zaczął się oddalać. Tom obrócił się i spojrzął; zobaczył tańczący po podłodze strumień światła latarki, aż mężczyzna doszedł do widocznego w oddali prostokąta światła. Pomyślał przelotnie, że widocznie nie przyszło mu nawet do głowy, jak on ma się posłużyć wiadrem, mając ręce przywiązane do boków.

Usłyszał ciężki łomot zamykanych metalowych drzwi.

I znowu znalazł się w całkowitej ciemności.

## ROZDZIAŁ 81

- Pojebało cię, czy co? - wykrzyknął Carl Venner, którego twarz przybrała odcień takiej samej purpury jak koszula, ciasno opinająca jego potężne brzuszysko. Żyły pulsowały mu na skroniach. Ślad po zadrapaniu przez dziewczynkę był wciąż widoczny. - Co ty sobie wyobrażasz, że tu przychodzisz? Mówiłem ci, że masz nigdy, nigdy, przenigdy nie przychodzić bez wezwania. Co takiego, kurwa, niezrozumiałego jest w „nigdy, nigdy, przenigdy”, John?

Andy Gidney spuścił wzrok na tanią, beżową wykładzinę podłogową, wpatrując się w jeden kłaczek; próbował wyliczyć, ile pasemek włókna może się mieścić w tym kłaczku.

Venner podniósł palec wskazujący do ust i zaczął obgryzać skórki wokół paznokcia. W popielniczce, stojącej na metalowym biurku, tliło się cygaro.

- A tak czy owak, gdzieś ty był? Próbuję się do ciebie dodzwonić od godziny.

- Hmm, jechałem tu.

- No to czemu, kurwa, nie odbierałeś telefonu?

- Bo pan mi powiedział, żeby nigdy go tu ze sobą nie brać.

Ku cichej satysfakcji Synoptyka, Venner na moment zaniemówił; przez chwilę jeszcze obrabiał swój palec, po czym obejrzał go i jeszcze trochę poobrabiał.

- Mamy tu poważne nieszczęście, dlatego do ciebie dzwoniłem.



Właściwie, to macie dwa, pomyślał Synoptyk. Jedno takie, o którym nie wiecie - jeszcze. Nie żeby go to coś obchodziło. Carl Venner mógł sobie mieć tysiąc poważnych nieszczęść, a jego by to nic nie obchodziło. W dalszym ciągu liczył włókna.

Venner podniósł swoje cygaro, wcisnął je między wargi i kilkoma energicznymi pociągnięciami ponownie rozniecił w nim żar, wydychając dym kącikiem ust.

- Nieszczęście jak skurwysyn, wiesz?

- Akweny Cromarty, czwarty, wiatr południowo-zachodni skręcający na północny cztery do pięciu, osiągający momentami sześć w rejonie północnej Utsiry - poinformował Vennera, wciąż wpatrując się w podłogę. - Od czasu do czasu opady deszczu. Umiarkowana lub dobra.

- O co ci, kurwa, biega z tą posraną prognozą pogody?

- Hmm... właściwie... hmm... to jest prognoza pogody dla żeglugi.

Venner pokręcił głową.

- Jezu. Jeden z naszych wspólników jest w śpiączce, a ty mi podajesz cholerną prognozę pogody dla żeglugi?

- Hmm, tak. Hmm, zgadza się.

Venner popatrzył na niego. Nie sposób pojąć rozumowania takiego pojeba.

- John, nieszczęście polega na tym, że nasz wspólnik miał przy sobie laptopa, którym właśnie przesyłał klientom najnowszą produkcję. Policja przechwyciła tego laptopa. Musimy go odzyskać.

- Mam go - powiedział Gidney. - I kopię twardego dysku, którą zrobili w dziale przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie.

Venner był wyraźnie zaskoczony.

- Masz go?

- Hmm. Tak. Jakby dokładnie tak.

- Odzyskałeś laptopa?

Synoptyk kiwnął głową.

Zachowanie grubasa całkowicie się zmieniło. Dźwignął się z fotela i uściśnął rękę zaskoczonych Gidneya.

- Z ciebie jest kawał bystrego sukinsyna!

Opadł z powrotem na fotel, jakby wyczerpał go ten wysiłek, zaciśnął znów cygaro pomiędzy wargami i chciwie wyciągnął przed siebie rękę, jak tłusty uczeń domagający się słodyczy.

- No to dawaj! Masz go w plecaku?

- Hm, nie, to moja wałówka.

Do pomieszczenia wszedł jeden z dwóch milczących Rosjan; jak zwykle był ubrany w czarny garnitur i czarny podkoszulek. Stał o kilka kroków za Vennerem, bez słowa i bez uśmiechu.

Synoptyk znów spuścił wzrok na kłaczek z wykładziny i ignorując wyciągniętą rękę, próbował się zebrać na odwagę, żeby powiedzieć to, z czym tu przyszedł. Znów pomyślał o Q ze „Star Treka” i cicho wymamrotał sam do siebie: „Jeśli boisz się rozkwaśnić sobie nos, to może lepiej wracaj do domu i wczłogaj się pod łóżko. Tu, w kosmosie, nie jest bezpiecznie... Nie jest to miejsce dla lęklivych”.

Człowiek, Który Nie Znał Co Znaczący Lęk wziął głęboki wdech i zacinając się, czerwieniąc się na twarzy, wypalił:

- Właściwie to nie mam tych rzeczy przy sobie.

Venner nachmurzył się.

- To gdzie je właściwie masz?

Poczuł za plecami czyjś prawie bezgłośny krok. Zauważył ledwie dostrzegalny cień na wykładzinie. Venner ściągnął swoich ludzi, żeby go wystraszyć. Rosjanin stał z przodu, Albańczyk z tyłu. Lecz on był dziś Człowiekiem, Który Nie Znał Co Znaczący Lęk.

On się nie da.

Trząsł się, twarz mu płonęła, strumienie potu spływały mu pod białą koszulą.

- Mam je w bezpiecznym miejscu.

- Konkretnie jak bezpiecznym? - rzucił zimno Venner.

- Bardzo.

- To dobrze. Rozsądnie.

- Za odzyskanie ich, musi pan mi zapłacić tyle, ile mi pan obiecał. I-i-i - wypalił bełkotliwie jednym tchem - janiechcęjużtegorobić.

Po czym wpatrzył się w wykładzinę, łapczywie chwytając powietrze.

- Czy ja dobrze rozumiem, John? - spytał spokojnie Venner. - Ty nie chcesz już pracować w naszym zespole?

- Hmm, tak.

- Sprawiasz mi przykrość, naprawdę. Byłem przekonany, że tak się dobrze rozumiemy! Wiesz, John, ja myślałem, że stajemy się naprawdę dobrymi kumplami. Naprawdę sprawiłeś mi przykrość. Oczywiście: chcesz odejść, chcesz swoich pieniędzy, absolutnie nie ma sprawy.

Synoptyk milczał; nie spodziewał się takiej reakcji. Spodziewał się, że Venner wybuchnie.

- Więc gdzie konkretnie jest to bardzo bezpieczne miejsce, w którym masz laptopa i kopię dysku?

Z dumnym uśmiechem Gidney podniósł wzrok.

- Nie uwierzyłyby pan. Nikt tam nigdy nie zajrzy; nikt ich nigdy nie znajdzie i za tysiąc lat!

- Naprawdę?

Synoptyk z przejęciem kiwnął głową.

- Nawet policja?

- Nie ma mowy!

Venner uśmiechnął się do niego, rozpromieniony, po czym zdecydowanym ruchem wyrzucił lewą rękę w powietrze.

Ten ruch zaintrygował Synoptyka. Wyglądał na jakiś zaszyfrowany sygnał. Niedane mu jednak było dużo czasu na rozważanie tej kwestii.

- O, ptaszek leci! - zawołał Venner.

Coraz mniej z tego rozumiał. Rosjanin stojący przy Vennerze trzymał przy oku niewielką kamerę wideo.

Stojący za Synoptykiem Albańczyk szybko postąpił dwa kroki do przodu i, kantem dłoni, jednym uderzeniem, przełamał mu kark i stos pacierzowy.

## ROZDZIAŁ 82

Dział daktyloskopii zajmował jedną z największych powierzchni w Sussex House. Na parterze, o kilka kroków od działu przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie, bezustannie wrzała cicha, gorączkowa praca, i za każdym razem, kiedy Grace tam przychodził, wyczuwał unoszący się w powietrzu słabutki zapach tuszu.

Deny Blane, jeden z wyższych rangą policjantów z tego działu, siedział przy stanowisku roboczym mniej więcej pośrodku labiryntu biurek i aparatury. Na ekranie jego komputera widać było najlepszy spośród odcisków palców zdjętych przez Tindalla w volkswagenie, z wewnętrznego lusterka. Grace i Tindall stali za nim i patrzyli mu przez ramię na ekran.

Blane, łysiejący mężczyzna w okularach, miał dobronudny wygląd i spokojny, nacechowany oglądą sposób bycia, który wzbudzał zaufanie. Nacisnął jakiś klawisz i ukazał się cały komplet dziesięciu odcisków. Nacisnął jeszcze jeden i Grace'owi забиło mocniej serce. Na ekranie było policyjne zdjęcie tego jego człowieka. I nazwisko. Kierowcy golfa. Absztyfikanta Janie Stretton z baru Karma.

- Znaleźliśmy odpowiednik - powiedział Deny Blane. - Przesłałem materiał do NAFIS i okazało się, że pobierano mu odciski ponad rok temu po jakiejś burdzie w nocnym klubie Escape w Brighton. Udzielono mu pouczenia i wypuszczono.

Nazywa się Mik Luvic. Jest Albańczykiem, bez stałego miejsca zamieszkania.

- Masz o nim coś jeszcze? - spytał Grace.

- Otóż to. - Blane znów wystukał coś na klawiaturze. - Ma znacznik KRP, jako ktoś, kogo należy obserwować, na prośbę Interpolu.

Radosne podniecenie Grace'a wzmoгло się jeszcze bardziej. KRP to była baza danych Krajowego Rejestru Przestępców.

- Więc zrobiłem wyszukiwanie w międzynarodowej bazie danych na jego komplet, bo do tego potrzebny jest komplet odcisków, i wypłynął mi z linkiem do tego oto przyjemniaczka.

Blane nacisnął jeszcze kilka klawiszy i po chwili na ekranie ukazało się popiersie bardzo grubego mężczyzny. Miał małą głowę w porównaniu z resztą ciała, z wyżełowanymi srebrnymi włosami ściągniętymi do tyłu w maleńki kucyk.

- Nazywa się Carl Venner. Używa również nazwiska Jonas Smith. Ma interesującą przeszłość - ciągnął Blane. - Venner służył w armii amerykańskiej. Zaczynał jako pilot śmigłowca w Wietnamie. Otrzymał medal Purple Heart za rany odniesione w walce, a gdy przestał latać z jakichś powodów zdrowotnych, został radiotelegrafistą. Później awansowano go na wysokie stanowisko w wojskach łączności. Był zamieszany w pewien skandal. Może pamiętacie - postawiono w stan oskarżenia frontowego operatora filmowego i kilku fotografów za to, że sfilmowali torturowanie oraz egzekucję partyzanta Wietkongu i potem ten materiał opylili.

- Jako snuff? - spytał Grace.

- Tak jest. Ale Venner jakoś wywinął się z zarzutów. Pozostał w armii amerykańskiej i przeniesiono go na placówkę wywiadowczą do Niemiec. Potem, kiedy się zaczął konflikt w Bośni, posłano go tam. I zdarzyło się to samo co w Wietnamie. Tym razem się nie wywinął. Został postawiony przed sądem wojennym za sfilmowanie egzekucji jeńców i sprzedaż materiału na międzynarodowym rynku snuff movies.

- Serio? - Grace pokręcił głową.

- Tak, absolutnie. Ten facet to najpodlejsza kanalia, na jaką mogłeś natrafić. Taka, która żeruje na absolutnym dnie. Dzięki sprytnemu adwokatowi uniknął wyroku, ale był na tyle umoczony, że wywalili go z wojska. Potem z kolei jego nazwisko pojawia się w międzynarodowej siatce pornografii dziecięcej z siedzibą w Atlancie. Tyle że tam dorośli nie tylko uprawiali seks z dziećmi, ale były też sceny mordowania dzieci. Najczęściej azjatyckich, trochę Hindusów, trochę też białych.

- Zadajesz się z samą śmietanką, co, Roy? - rzucił Tindall, któremu poprawił się humor.

- Tak już mam. Wpadnij kiedyś do mnie na proszoną kolację, to zobaczysz.

- Czekam na zaproszenie.

- I co się z nim stało? - Grace zwrócił się ponownie do Blane'a.

- Dał dyla. FBI straciło go z oczu. Potem... trzy lata temu pojawił się w Turcji. Potem Ateny. Potem Paryż. Rozbito tam cichą, kameralną szajeczkę snuff movies. Francuska policja zrobiła nalot na pewne mieszkanie w szesnastej dzielnicy Paryża. Skonfiskowali kupę sprzętu i aresztowali grupę osób, które zeznały, że ich szefem był Venner. Od tej pory go nie widziano.

- Jak to się łączy z Luvicem?

- Wie to oficer łącznikowy Interpolu w Londynie. Mam jego numer. Nazywa się sierżant Barry Farrier.

- Dzięki, Deny, spisałeś się na medal. I to tak szybko, że aż nie do wiary!

Z powodu korków Grace dotarł do komendy o dwadzieścia minut później, niż planował. Ale Joe Tindall musiał mieć takie same problemy. Blane dostał te odciski na pewno nie wcześniej niż piętnaście minut temu.

Kiedy już był na piętrze, w swoim osobistym gabinecie naprzeciwko GCK Jeden, skontaktował się najpierw w z grupą inwigilacyjną, która obserwowała golfa. Kierowca jeszcze się nie zjawił. Już

miał dzwonić do sierżanta Farriera, kiedy zadzwoniła jego komórka. Odebrał i rozpoznał wysoki, afektowany głos Harry'ego Frame'a.

- Masz coś? - spytał Grace jasnovidza.

- No cóż, nie wiem, czy to ci coś powie: wychodzi mi zegarek.

- Zegarek? - powtórzył Grace. - Znaczy: zegarek ręczny?

- Tak jest! - potwierdził Frame z rosnącym entuzjazmem. - Zegarek ręczny! To jest coś bardzo znaczącego. Jakiś zegarek ręczny doprowadzi cię do czegoś, z czego będziesz bardzo zadowolony, w związku ze sprawą, nad którą pracujesz. Właśnie z tą sprawą, jak sądzę.

- Możesz to jakoś rozwinąć? - Grace nie wiedział, co ma o tym myśleć.

- Nie, ja... Nie, to wszystko. Jak mówiłem, nie wiem, czy to w ogóle coś znaczy.

- Jakaś konkretna marka?

- Nie. Wydaje mi się, że jakiś drogi.

- Drogi? - Tak.

- Męski czy damski?

- To zegarek męski. Zdaje się, że może ich być więcej.

Grace pokręcił głową. Mimo wysiłków, z niczym mu się to nie kojarzyło.

- No dobra - powiedział. - Dziękuję, Harry. Daj znać, jeśli ci wyjdzie coś jeszcze.

- Ależ oczywiście, bez obawy!

Grace rozłączył się i natychmiast wybrał numer Interpolu w Londynie. Musiał dwie minuty poczekać, słuchając w kółko „Greensleeves”, aż Farrier skończy rozmawiać z kimś innym, po czym usłyszał ostry cockneyowski akcent.

- Sierżant Farrier, czym mogę służyć?

Grace przedstawił się. Farrier z miejsca się podniecił.

- Mam paru detektywów w Grecji, Turcji, Szwajcarii i Paryżu, którzy chcieliby pogadać z panem Luvicem.

- Wiem, gdzie jest jego samochód - powiedział Grace. - Ma pan coś o Carlu Vennerze?

- Nul. Nie widziano go od trzech lat. A trudno go nie zauważyć; gruby jest, sukinsyn.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Norman Potting, ściskając w dłoni arkusz papieru. Grace dał gestem znać, że jest zajęty. Potting cofnął się, nie odchodząc od drzwi.

- Bardzo byłbym zainteresowany wszystkim, co by pan miał na temat Vennera - powiedział Barry Farrier. - Znaczników na niego mam na dobry metr. Z całej Europy.

- Czy to możliwe, że jest w Anglii?

- Jeśli jest tu Luvic, to całkiem prawdopodobne.

- Może mi pan powiedzieć coś więcej o Luvicu?

- Albańczyk. Trzydzieści dwa lata. Bystrzacha. Studiował na polibudzie, mistrz w kick-boxingu, występował też w walkach na gołe pięści. Typowy przedstawiciel swojego pokolenia: skończył studia, a tu nie ma pracy. Związał się z paczką studentów projektujących dla zabawy komputerowe wirusy, chyba z nudów. Potem dołączył do innej grupy, która szantażowała duże firmy.

- Szantażowała?

- Wielki biznes. Weźmy wielkie imprezy sportowe, takie jak nasze Derby. Największym firmom bukmacherskim grozi się atakiem wirusów na parę dni przed imprezą, co by unieruchomiło ich systemy komputerowe na dwadzieścia cztery godziny przed dniem wyścigu. Chyba że zapłacą. Więc płacą; mimo wszystko wychodzi taniej.

- Słyszałem o tym - powiedział Grace.

- To głośna sprawa. Tak czy owak, Luvic potem wszedł się jakoś z Vennerem. Pewnie został przez niego zwerbowany. Byli zamieszani w siatkę snuffu we Francji, to pewne. Obaj jednocześnie zniknęli. Mogę panu przesłać e-mailem wszystkie akta.

- Poproszę.

- Nie ma sprawy. Już się robi. Jedno panu powiem. Widziałem niektóre z tych zdjęć. Chciałbym dopaść kiedyś Vennera i Luvica w



jakiejś ciemnej uliczce. Tylko na pięć minut, nie więcej.

- Wiem, co pan czuje. Proszę mi powiedzieć jedną rzecz: czy à propos tych dwóch mówi panu coś skarabeusz?

- Skarabeusz? Żuk skarabeusz?

- Tak.

Po dłuższym milczeniu Barry Farrier powiedział:

- W tym ich biznesie we Francji był taki owad, skorpion, który pojawiał się na każdym zdjęciu i w każdym filmie.

- Żywy czy martwy?

- Martwy. A skąd to pytanie, można wiedzieć?

- Wygląda na to, że on nie na żarty pasjonuje się entomologią - stwierdził Grace. - Jeśli to ten sam człowiek, teraz używa skarabeuszy, żuków gnojnych.

- Bardzo trafny wybór.

Grace podziękował mu, obiecał, że będzie informował go na bieżąco o rozwoju sytuacji i rozłączył się. Norman Potting natychmiast podszedł zamaszystym krokiem do jego biurka i położył przed nim arkusz papieru, który trzymał w ręku.

- Kwas siarkowy, Roy. Zdaje się, że mam tu pełną listę wszystkich dostawców w Wielkiej Brytanii. Na południu jest ich pięćiu, w tym dwóch na naszym terenie: jeden w Newhaven i jeden w Portslade.

Grace, który jeszcze przetrwał informacje uzyskane od Barry'ego Farriera, wziął listę i szybko przebiegł oczami nazwy i adresy. Zwrócił uwagę na te dwa miejscowe.

Nagle drzwi otworzyły się szeroko i wpadł rozpromieniony Glenn Branson, z wyrazem podniecenia na twarzy. Nie zwracając uwagi na Pottinga, trzepnął dłońmi w biurko Grace'a.

- Mam coś! - powiedział, przybliżając twarz na odległość paru centymetrów do jego twarzy.

- Mów.

Branson triumfalnie pacnął o blat fotografią kierowcy volkswagena.

- Właśnie miałem telefon od pewnego taksówkarza, mojego informatora.

- Czy nie tego, który zakablował na mnie i na Cleo? - spytał żartobliwie Grace, właściwie bez powodu.

- Tego samego. - Branson uśmiechnął się szeroko. - Rozesłałem to zdjęcie do wszystkich moich kontaktów. Ten właśnie do mnie zadzwonił. Dopiero co miał pasażera, który, jak mówi, był sobowtórem tego gościa; w centrum Brighton, dwadzieścia minut temu. Jest przekonany, że to ten człowiek. Wysiadł pod jakąś hurtownią w Portslade. Tu jest adres. - Rzucił na stół przed szefem kartkę z notosu.

Grace przeczytał ją. Potem spojrzał jeszcze raz na listę otrzymaną przed chwilą od Pottinga. Figurował na niej dystrybutor kwasu siarkowego w Portslade.

Adres był ten sam.

## ROZDZIAŁ 83

Tomowi coś się przypomniało. Nie miał ze sobą komórki, ale miał coś innego. Już przedtem poczuł coś twardego - przez jakiś czas leżał na tym. Dlaczego, u diabła, nie pomyślał o tym wcześniej?

Zagłębił rękę w kieszeni spodni i wydobyl stamtąd swego palmtopa. Nacisnął jeden z czterech guziczków na dole. Ekran momentalnie się rozświetlił. Urządzenie emitowało poświatę, która w tym momencie wydała się nagle równie dobra jak światło tysiąca latarek.

Widział!

- Co to? - zawołała Kellie.

- Mój palmtop!

Widział ją, naprawdę widział jej twarz!

- Jak... ty... Ty możesz się ruszać? - szepnęła.

- Rękami.

Strumień światła, szeroki i krótki, nie sięgał daleko, lecz Tom po raz pierwszy zaczynał się orientować w otoczeniu. Byli w jakimś ogromnym magazynie, wylanym betonem, którego sufit znajdował się na wysokości może siedmiu metrów, a wokół piętrzyły się regały pełne beczek z chemikaliami; stały ich setki, jeśli nie tysiące. Okien nie było, a strumień światła nie sięgał aż do drzwi. Sądząc po temperaturze i całkowitym braku światła, domyślał się, że są pod ziemią.

Muszą ty być jakieś drzwi na tyle duże, żeby przejechał przez nie wózek widłowy do przewozu beczek. I prawie na pewno winda.

Zbadał okowę wokół kostki. Wyglądała jak policyjne kajdany dla przestępców, które widywał w filmach: szeroka, metalowa obręcz, zamykana na klucz, połączona łańcuchem z metalowym pierścieniem zamocowanym nieruchomo do ściany. Kellie przykuto w pewnej odległości od niego do innego pierścienia. Jej łańcuch był rozciągnięty na całą długość. Wstał i szedł w jej stronę, lecz gdy jego łańcuch się napiął, wciąż pozostała pomiędzy nimi odległość trzech metrów.

- Nie możesz tym telefonować, prawda? - spytała.

- Nie.

- A mailować?

- Mógłbym, gdybym miał telefon.

Oddał mocz do przyniesionego przed paroma minutami pomańcowego wiadra, z ulgą graniczącą niemal z rozkoszą.

- Nie zapomnij spuścić wody - odezwała się Kellie.

Uśmiechnął się, nagle rozczulony jej dzielnością. Byłe tylko zachować zdolność do uśmiechu, nie upaść na duchu - dzięki temu można przetrwać najcięższe chwile.

- Nie zapomnę - obiecał. - I opuszczę deskę.

Postąpił kilka kroków, na ile mu łańcuch pozwolił, w stronę otworzonej przez siebie beczki i zaświecił na jej ściankę, szukając etykiety, którą wcześniej zmacał po ciemku. Znalazł ją.

Obok białej etykiety nalepiona była żółto-czarna, ostrzegawcza: UWAGA! SUBSTANCJA NIEBEZPIECZNA! Na białej widniał napis:  $H_2SO_4$ . STEŻONY. 25 L.

Tom znów spróbował ze wszystkich sił przypomnieć sobie coś z lekcji chemii. Czy to przezera metal? Jak szybko?

Mógł się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

Położył palmtopa na podłodze i podniósł wiadro. W tym momencie wyświetlacz zgasł. Przez chwilę serce mu stanęło ze strachu, że bateria padła, po czym przypomniał sobie, że to było automatyczne wygaszenie po dwóch minutach. Szybko zmienił ustawienia

wyświetlacza na pracę ciągłą. Następnie podniósł wiadro i wylał jego zawartość jak najdalej się dało od siebie i Kellie.

Teraz skierował swoją uwagę na beczkę. Już wcześniej, kiedy się do niej zbliżył po zdjęciu pokrywy, poczuł zjadliwy, gryzący zapach. Wziął głęboki wdech i trzymając beczkę jak najmocniej zdołał, w pełni świadom, czym grozi jej wywrócenie, przechylił ją, tak żeby część płynu przelała się przez krawędź i chlusnęła na podłogę koło wiadra.

- Kurczę.

Z podłogi uniosła się para. Kwas z czymś reagował, to dobry znak.

- Co ty robisz?

- Próbuję tylko zrobić doświadczenie.

- Co? Co próbujesz? - spytała Kellie przeraźliwie zdławionym głosem.

Z tego, co jak przez mgłę pamiętał z chemii, wynikało, że niektóre kwasy nie rozpuszczają jednocześnie plastiku i metali. Beczki były plastikowe, więc kwas nie powinien też rozpuścić wiadra.

Pałący, żrący odór był coraz gorszy; czuł go już w gardle. Odstąpił o parę kroków, wziął głęboki wdech, po czym ostrożnie przesunął beczkę o kilkanaście centymetrów do tyłu i spróbował jeszcze raz. Tym razem kwas z głośnym chluśnięciem wlał się do wiadra. Tom lał, aż wiadro napełniło się prawie do połowy, po czym ostrożnie odstawił beczkę prosto i podniósłszy palmtopa, dokładnie obejrzał wiadro, by się upewnić, że nie ma kwasu na ręczce ani w żadnym miejscu, którego mógłby dotknąć.

Wylał odrobinę kwasu na dwa ogniwa łańcucha.

Z podłogi, w miejscu, gdzie leżały, i bezpośrednio wokół nich uniosły się kłęby cuchnącej pary, ale nie widać było żadnej reakcji ze stalą.

Tom spuścił wzrok z pełną udręki frustracją i zaklął. Równie dobrze mógł je polać wodą.

## ROZDZIAŁ 84

Carl Venner przemierzał człapiącym krokiem biuro tam i z powrotem, ścisnął w ustach dopiero co zapalone cygaro, wykręcając dłonie, kierując swój gniew na przemian to na Luvica, który żuł gumę, jednocześnie paląc papierosa, to znów na Rosjanina.

- Chłopaki, to nie jest za dobra sytuacja. Po prostu bardzo nie za dobra.

Uniósł rękę do ust, wyjął cygaro i zaczął znów obgryzać sobie skórkę wokół paznokcia na palcu wskazującym. Szarpać ją zębami.

Rosjanin, który rzadko coś mówił, odezwał się:

- Nam trzeba wydostać Jurija ze szpitala, póki się nie obudził.
- Wydostać go albo uciszyć - rzucił Venner.
- Ja mojego brata nie zabiju.
- Pracujesz dla mnie, Roman; zrobisz to, co ci, kurwa, każę.
- Tak ja nie pracuju dla ciebie.

Venner podszedł do niego majestatycznym krokiem.

- Posłuchaj, zasrańcu. Gdyby nie ja, byłbyś, kurwa, traktorzystą na Ukrainie, więc nigdy mi nie groź, że odejdiesz, bo ja mogę po prostu przyjąć twoje wymówienie i co ty, kurwa, wtedy zrobisz?

Rosjanin obrzucił go ponurym spojrzeniem. Milczał.

Luvic, markując kantem dłoni cios we własną szyję, powiedział:

- Ja załatwię.

Rosjanin podszedł do Albańczyka i stanął na wprost niego; przewyższał o głowę byłego zawodnika w walkach na gołe pięści.

- Zabijesz mojego brata - ja zabiję ciebie.

Albańczyk obrzucił go drwiącym spojrzeniem, wciąż żując gumę. Potem szybko, dwa razy z rzędu podniósł papierosa do ust na dwa szybkie sztachnięcia, mocno wciągając i wydmuchując dym, po czym powiedział:

- Ja robię, co mi mówi pan Smith. Ja słucham pana Smitha.

- Mamy jeszcze pilniejszy problem - odezwał się Venner. - Ta pojebana menda John Frost, Gidney, z tymi jego cholernymi prognozami pogody, i co: jednej, kurwa, rzeczy w tej prognozie nie uwzględnił!

Spojrzeli na niego zaintrygowani.

- Kwaśnego deszczu! Niesprzyjających warunków dla włosów, cery i ogólnego samopoczucia.

Rosjanin uśmiechnął się; Albańczyk, który nie miał poczucia humoru, nie zrozumiał. Wrzucił ciało Synoptyka do zbiornika z kwasem siarkowym, jak zwykle; za parę dni przeniesie kości do kwasu solnego. Wówczas nie zostanie po nim nawet ślad.

- Problem mamy taki - podjął temat Venner - że nie wiemy, co on zrobił, czy coś komuś powiedział. A co do telefonu skłamał, tak?

Albańczyk kiwnął głową.

- Był w jego samochodzie, przed budynkiem. Włączony.

- Wiemy, co to znaczy, prawda? - spytał Venner.

Obaj skinęli głowami.

- Policja może kazać operatorowi sieci komórkowej wykreślić trasę jego przejazdu przez Brighton i Hove, dokładnie gdzie był i kiedy. Panowie, obawiam się, że musimy się katapultować. Musimy stąd wyjechać i powrócić do bazy w Albanii, dopóki się tu nie uspokoi.

- Ja wolę zostać tutaj - stwierdził Rosjanin.

Venner poklepał się po piersi.

- Mam pięćdziesiąt dziewięć lat. Myślisz, że chciałbym spędzić w tym zasanym kraju chociaż część tego czasu, który mi jeszcze pozostał, gdybym nie musiał? Nawet kobiety są tam najbrzydsze w świecie. Jesteśmy tu, w tym kraju, bo tu nam się podoba. Tylko że wy, chłopaki, spierdoliście robotę.

- Jak? - Rosjanin był wyraźnie rozzłoszczony.

- Jak? - powtórzył Venner, jakby to pytanie go zdumiało. - Mika ktoś śledzi gdzieś w Kemp Town aż do parkingu w centrum Brighton...

Albańczyk przerwał mu:

- Tak, ale gubię go na parkingu.

- Tak, i swojego cholernego golfa, i w ogóle.

- Odzyskam go.

Nie zwracając na niego uwagi, Venner skierował swój gniew na Rosjanina.

- Twój idiota brat ściąga na siebie uwagę policji, po czym powoduje kraksę i wpada im w ręce razem ze swoim laptopem, na którym jest nasz film z D'Eathem, i ty uważasz, że to nie jest spierdolona robota?

Rosjanin milczał.

- Oto co zrobimy. - Venner zmienił nagle ton na bardziej pojednawczy. - Już w tej chwili nakręcimy film z państwem Bryce i pozbędziemy się ich. Potem się stąd wyniesiemy. Dziś po południu pojedziemy do Paryża. Potem stamtąd dalej. Gra?

Dwa milczące, niechętnie kiwnięcia głową. Albańczyk spytał:

- Gdzie robimy ten film?

- Tu - odparł Venner. - W tym pokoju. Mam parę bardzo oryginalnych pomysłów. Pan Bryce przysporzył nam wiele zmartwień; chcę, żeby go bolało. I chciałbym, żeby najpierw zobaczył wszystko, co zrobimy z panią Bryce.



Spojrzał na Rosjanina.

- Roman, idź i przyprowadź ich tu. Rozwiąż im tylko nogi i zaknebluj ich taśmą. Lubię ją zdzierać.

I nagle, podniesiony na duchu myślą o tym, jak pomysłowo będzie się pastwił nad Bryce'ami, Carl Venner zaczął sobie nucić pod nosem.

## ROZDZIAŁ 85

- Tom!

Słyszac przyciszone, pełne niepokoju wezwanie Kellie, Tom podniósł wzrok. Kurczę! Znow tam daleko, w głębi hali, pojawił się prostokąt światła. Ktoś wchodził - wysoki, chudy mężczyzna w czerni. Ten ze wschodniej Europy.

Tom rzucił się na podłogę, na palmtopa, żeby zakryć światło. Szybko, po omacku, natrafił na niego dłońmi, zlokalizował wyłącznik i z całej siły wcisnął. Czyżby ten człowiek przyszedł opróżnić wiadro? - pomyślał trochę nieracjonalnie. Wyciągnął ręce po bokach i ścisnął razem nogi, starając się najdokładniej przybrać pozycję, w której był związany. Leżał nieruchomo i patrzył, jak plama światła latarki jednostajnie podskakuje na podłodze, zbliżając się do niego.

Wtem skierowała się wprost na jego twarz.

- Pan Bryce, ja was teraz zabieram na górę. My zrobim z pana i pani Bryce gwiazdy kino!

Tom, trzęsąc się ze strachu, myślał o tym, iż tamten może w każdej chwili zobaczyć, że on nie jest związany. Musi to zobaczyć, chyba że jest ślepy!

- Jakie gwiazdy filmowe, co pan ma na myśli? - odezwała się Kellie, głosem łamiącym się ze strachu.

Mężczyzna przerzucił strumień światła na jej twarz.

- Starczy nam gadać! Może chce się tobie szybkie bara-bara? Pan Bryce, wam chce się popatrzeć jak ja seksuju waszu żonu dla was?

Przeżalenie Toma nagle przeszło we wściekłość.

- Spróbuj ją tylko dotknąć, a zabiję cię.

Tamten obrócił się do niego i krzyknął władczo:

- Starczy gadać, mówię! - Wbił strumień światła latarki Tomowi prosto w twarz. - Ty cicho! Ty mnie nie grozi!

Potem przykucnął. Tom usłyszał odgłos odrywania taśmy i zdał sobie sprawę, co teraz nastąpi. Wyteżając wzrok, dostrzegł, że tamten pochyła się nad nim. Czuł od niego ostry, cierpki zapach męskiej wody kolońskiej.

Tom zesztyniał.

Wiedział, że ma tylko jeden strzał, więcej nic. To nie było przemysłane, po prostu musiał to zrobić.

Mężczyzna trzymał w rękach pasek szerokiej taśmy samoprzylepnej.

- Ty zamknij usta - powiedział.

- Czy mogę się tylko wysmarkać? - spytał Tom.

- Nie smarkać!

- Zaraz kichnę!

I w tej chwili wyczuł zawahanie, króciutką chwilę niezdecydowania u tamtego. To wystarczyło.

Rzucił się w bok, przetoczył się raz, schwycił oburącz wiadro i uniósł je, po czym obrócił się i zobaczył świecący mu prosto w twarz strumień światła latarki. Kellie była w bezpiecznej odległości gdzieś na lewo od niego, dobrze poza zasięgiem. Z całej siły chlusnął zawartością wiadra prosto w światło latarki.

Poczuł na dłoniach kilka ostrych jak żądła ukłuc bólu, kropelek kwasu, lecz prawie ich nie zarejestrował, gdyż jego uszy wypełnił straszliwy, przeszywający krzyk bólu.

Latarka upadła na podłogę. Tom widział tylko, jak tamten na chwiejnych nogach cofa się, kurczowo trzymając się za twarz. Musiał

go dopaść! Musiał go złapać, zanim znajdzie się poza jego zasięgiem!

Musiał.

Rzucił się przed siebie, szarżując niczym w rugby, ze świadomością, że na podłodze jest rozlany kwas, ale nie myślał o tym. Teraz była jego jedyna szansa. Prawie wyrrywając sobie ramiona ze stawów, zdołał jakoś złapać mężczyznę za prawą kostkę, zanim zatrzymał go łańcuch, zaciskając się na jego własnej kostce. Potem z siłą, o którą się nawet nie podejrzewał, szarpnął tę kostkę do siebie.

Tamten upadł na niego, wijąc się, wrzeszcząc, wyjąc żałośnie, rozdzierając sobie twarz rękami. Także i Kellie wrzeszczała.

- Tom! Tom! Tom!

- Na pomoc! - krzyczał Rosjanin. - Na pomoc, ty pomóż mnie, pomóż, proszę, pomóż!

Potem zaczął już tylko rzeźić w męczarniach, nie przestając szarpać sobie dłońmi twarzy, a jednocześnie wił się, próbując się wyrwać Tomowi.

Ten człowiek przyszedł po to, żeby ich stąd zabrać, co znaczyło, uświadomił sobie Tom, że musi mieć klucze do ich kajdan. Chwytał latarkę i z całej siły trzasnął go w tył głowy. Rozległ się brzęk szkła i światło zgasło. Mężczyzna nie odzywał się, nie ruszał, i przez chwilę jedynym odgłosem w całej hali był upiorny syk wydobywający się z jego głowy, czemu towarzyszył nowy zapach - ohydny smród smażącego się w kwasie ciała i włosów. Tom poczuł mdłości; kwas zdawał się wypełniać powietrze niewidzialnym, gryzącym oparem. Usłyszał, że Kellie także kaszle.

Znalazł palmtopa, włączył go i pogrzebał w kieszeniach marynarki tamtego. Prawie od razu natrafił na mały łańcuszek, do którego ucepione były tylko dwa kluczyki, i wyciągnął go. Wstał, dygocąc z szoku i strachu, nie wiedząc, czy lada chwila nie zjawi się tu ktoś jeszcze, przykucnął i przyświecając sobie palmtopem, znalazł dziurkę

od klucza. Ale ręka mu się tak trzęsała, że nie był w stanie do niej trafić.

Jezu, no szybciej, proszę!

W końcu klucz wszedł do dziurki. Ale nie chciał się obrócić. To musiał być ten drugi. Jakoś udało mu się włożyć go prosto i przekręcić go. Zamek odskoczył ze szczękiem i w parę sekund później Tom, utykając, podbiegł do Kellie. Ręce naprawdę go teraz piekły, ale zignorował to.

Przykucnął przy niej i pocałował ją.

- Kocham cię.

Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami, niemal skamieniała z szoku. Uwolnił jej kostkę ze stalowej obręczy i zabrał się do rozwiązywania mocnego supła na sznurze krępującym nogi. Ręce mu się trzęsły; ten supel był taki mocny, taki cholernie mocny. Nie dawał się rozwiązać. Spróbował jeszcze raz. I jeszcze raz.

- Nic ci nie jest, kochanie?

Milczała.

- Kochanie? Cisza.

Potem, tonem, od którego przeszedł go dreszcz po całej skórze, powiedziała cicho:

- Tom, ktoś tu wchodzi.

Podniósł wzrok. Prosto na światło latarki padające od drzwi. Po-tem usłyszał gniewny głos otyłego Amerykanina.

- Głupi pan jesteś jak but, panie Bryce. Doprawdy, durny jak ma-ło kto.

Światło latarki zjechało z twarzy Toma i omiotło halę. W najbliż-szych sekundach znajdzie tego Rosjanina na podłodze.

Tom, z nerwami napiętymi jak postronki, podjął błyskawiczną decyzję; nie miał pojęcia, co z tego wyniknie, ale cóż mogło go cze-kać gorszego od czekania tu, w kucki, aż Amerykanin podejdzie?

Zerwał się na równe nogi i popędził do drzwi, kierując się prosto na stojącego w nich człowieka w śliwkowej koszuli. Po prostu szarżował na niego z opuszczoną głową, krzycząc na cały głos:

- Tyyyyyy parszywy sukinyyyyynuuu!

Jak przez mgłę dotarło do niego, że tamten wyciąga coś z kieszeni. Broń.

W pełnym pędzie rąbnął głową prosto w brzuch Amerykanina. Miał takie odczucie, jakby trafił głową w wielką poduszkę. Usłyszał gwałtowny, urywany wdech, poczuł w karku ostry, przeszywający ból i przez chwilę ogarnął go mrok. Mężczyzna przewrócił się do tyłu, a Tom upadł razem z nim, uderzając głową w betonową podłogę pomiędzy jego nogami.

Wtem jakaś ręka schwyciła go za kark, zimna i twarda w dotyku, przypominająca bardziej metalowe kleszcze niż ludzkie ciało. Puściła kark i w ułamku sekundy pochwyciła go za włosy, boleśnie zadzierając mu głowę do góry, po czym pociągnęła do tyłu, aż się przewrócił na plecy, waląc tyłem głowy o podłogę, i przytrzymała go w tej pozycji.

Tom spojrzał prosto w krótką lufę pistoletu i wyglądające zza niej lodowate oczy.

Mężczyzna masywny i muskularny, o jasnych włosach uformowanych w kolce na żel i mocno wytatuowanych ramionach, był ubrany w biały podkoszulek bez rękawów, na szyi miał złoty medalion na łańcuchu, który prawie dotykał twarzy Toma, i cuchnął potem. Beznamiętnie spoglądał z góry, żując gumę drobnymi, śnieżnobiałymi siekaczami, które przypominały Tomowi zęby piranii.

Amerykanin chwiejnie podniósł się na nogi.

- Pan chce, że ja go zabiję?

- Nie - wykrztusił Amerykanin, sapiąc i rżąc. - O, nie. Tak łatwo mu umrzeć nie damy...

Nagle Tom usłyszał dobiegający gdzieś z niedaleka tumult. Jakiś męski głos krzyknął:

- Policja! Rzuć broń!

Poczuł, że nikt go już nie trzyma za włosy. Zobaczył, że napastnik obraca się w szoku, po czym bez najmniejszego wahania unosi broń i oddaje kilka strzałów, raz po raz. Huk był ogłuszający. Tom na chwilę stracił słuch, a jego nozdrza wypełnił odór prochu. Jego napastnik i Amerykanin zniknęli.

Chwilę później usłyszał jakiś inny głos, angielski, który krzyczał:

- Dostałem! Jezu, och, Jezu Chryste, postrzelili mnie!

## ROZDZIAŁ 86

Grace wysiadł z windy towarowej, przepchnął się przez uchylone drzwi zaopatrzone w żółto-czarną tabliczkę ostrzegawczą: WSTĘP TYLKO W STROJU OCHRONNYM. Glenn Branson, który pierwszy wypadł z windy, zniknął przed nim za zakrętem i Grace usłyszał jak woła:

- Policja! Rzuć broń!

Chwilę później usłyszał pięć strzałów, jeden po drugim. Potem krzyk Glenna. Skręcił za róg i zobaczył kolegę, który leżał na ziemi, kurczowo trzymając się zakrwawionymi rękami za brzuch i zataczając półprzrytomnie oczami. Grace krzyknął do radiotelefonu:

- Mówi komisarz Grace. Mamy rannego! Potrzebna nam karetka! Przyślijcie tu do środka grupę antyterrorystyczną. I wszystkie inne grupy też.

Zatrzymał się, przez chwilę rozdarty pomiędzy chęcią pozostania przy koleźce i złapania tego, kto to zrobił. Przed budynkiem miał w gotowości dwie furgonetki nieumundurowanych policjantów, grupę szybkiego reagowania z wydziału techniki operacyjnej, oddział prewencji z tarczami i pałkami oraz grupę antyterrorystów.

Obrócił się do Normana Pottinga i Nicka Nicholla.

- Norman! - krzyknął - zostań z Glennem!

I pobiegł dalej. Zobaczył przed sobą ciężkie metalowe drzwi z napisem WYJŚCIE EWAKUACYJNE, które się właśnie zamykały.



Dał przez nie nura na kamienną klatkę schodową, pobiegł w górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, słysząc za sobą tupot butów Nicholla. Pokonał zakręt. Potem drugi.

Za trzecim dostrzegł człowieka w podkoszulce i dżinsach, o krótkich, kolczastych włosach, którego Derry Blane z działu daktyloskopii zidentyfikował jako Mika Luvica.

- Stój, policja! - krzyknął Grace.

Mężczyzna stanął, odwrócił się i wymierzył w niego czymś, co wyglądało na pistolet. Grace, który rozplaszczył się na ścianie, przytrzymując za sobą ramieniem Nicka Nicholla, zobaczył błysk ognia z wylotu lufy, usłyszał jęk kuli i sypnęło mu w twarz odłamkami cementu. Tamten zniknął.

Grace odczekał kilka sekund, po czym pobiegł po schodach w górę, zupełnie nie zważając na niebezpieczeństwo, czując tylko gniew, determinację, żeby dorwać tego sukinsyna, dorwać go i rozszarpać gołymi rękami. Pokonał kolejny zakręt i przystanął. Ani śladu Luvica. Jeszcze jedno piętro, z sercem walącym jak młotem, jeszcze jeden zakręt. Znów przystanął, po czym zaczął ostrożnie posuwać się do przodu. Ani śladu.

Musieli być już blisko ostatniego piętra.

Jeszcze raz po schodach w górę i jeszcze jeden zakręt. Jeszcze jedne schody. Jeszcze jeden zakręt. Wtedy zobaczyli przed sobą metalowe drzwi z dużym, czerwonym napisem: WYJŚCIE, które właśnie się zamykały. Grace popędził do nich, ciężko dysząc, po czym odwrócił się do Nicholla.

- Ostrożnie.

Młody detektyw kiwnął głową,

Usłyszeli wycie silnika, terkotanie śmigieł.

To ten helikopter, który stał na dachu, uświadomił sobie Grace.

Pchnął drzwi. Za sterami czarnego śmigłowca siedział niezwykle gruby mężczyzna z kucykiem, w którym Grace z miejsca poznał Carla Vennera ze zdjęcia przedstawionego mu przez Derry'ego Blane'a.

Maszyna była niewielka, czteroosobowy robinson. Luvic odwiązywał od metalowego słupka linkę cumującą przymocowaną do jednej z płóz helikoptera. Grace przedarł się przez drzwi, krzycząc:

- Stać! Policja!

Albańczyk uniósł broń. Grace rzucił się na ziemię i w tej samej chwili zobaczył błysk z wylotu lufy. Wiał silny wiatr, wzmocniony jeszcze przez podmuch obracających się coraz prędzej płatów wirnika. Grace, który schronił się przed wiatrem i bronią Albańczyka za jakąś konstrukcją, jak przypuszczał, szczytem obudowy windy, usłyszał tuż przy uchu trzask.

Siedem strzałów, policzył. Ile jest w magazynku?

Lina cumująca puściła. Luvic pobiegł na drugą stronę helikoptera. Grace odwrócił się do Nicholla i krzyknął:

- Zostań tu!

Czołgał się przed siebie, rozglądając za czymś, czego mógłby użyć jako broni. Niedaleko, po prawej stronie, zauważył kilka worków cementu i stos cegieł. Kolczasty Łeb był zajęty odwiązywaniem drugiej linki. Grace uniósł się z ziemi i rzucił się na niego.

Luvic uniósł broń. Grace odskoczył w bok w momencie, gdy zobaczył błysk z wylotu lufy, żałując jak diabli, że nie pomyślał o założeniu kamizelki kuloodpornej. Chwilę później usłyszał szczęk pistoletu. Tamten znów nacisnął cyngiel.

Tym razem nic się nie wydarzyło.

Grace runął na niego. Zobaczył tylko, jak wylatują w jego stronę stopy Albańczyka, trafiając go prosto w podbródek. Z impetem upadł tyłem na smołowaną powierzchnię dachu, ogłuszony i bez tchu.

Usłyszał, że wycie silnika wzmaga się. Przewrócił się na brzuch, mrugając oczami, wciąż jeszcze trochę zamroczony, i zobaczył dachy budynków, z pojedynczym wysokim kominem dawnej elektrowni Shoreham w oddali. Poczul narastający podmuch. Luvic był już na pokładzie. Płozy helikoptera oderwały się od dachu.

Rzucił się w desperacji na stos cegieł. Chwycił leżący przy nich kawałek rury z rusztowania i z rozmachem cisnął nim w tylny wirnik.

Przez chwilę szybowała w powietrzu jakby w zwolnionym tempie. Chyba spudłował. Nie, to był strzał w dziesiątkę, w sam środek wirnika. Rozległ się metaliczny zgrzyt i buchnął snop iskier. Śmigłowcem rzuciło w bok.

Pomyślał, że jednak mu się nie udało, gdy maszyna wzniosła się raptownie o jakieś dwa metry w górę, aż nagle zaczęła się obracać wokół własnej osi. Zobaczył, że cały tylny wirnik odpadł. Helikopter obrócił się raz, drugi i przyprawiający o zawrót głowy trzeci raz. Z rykiem silnika skręcił wprost na Grace'a, który musiał rozpląszyć się na dachu, żeby nie zostać uderzony płozami. Zdawało się, że podmuch zerwie mu marynarkę z grzbietu i włosy z głowy. Usłyszał potężny huk, a zaraz potem obsypał go grad odłamków metalu i gruzu: śmigłowiec uderzył w bok nadbudówki nad szybem windy. Niczym wielki żuk spryskany środkiem owadobójczym, przechylił się prawie całkowicie na bok, aż jeden z płatów wirnika obił się ze stukotem o dach tuż obok Grace'a, który przetoczył się w bok, żeby zejść mu z drogi. Przez chwilę mignął mu szamoczący się za sterami Venner w śliwkowej koszuli, zobaczył strach na jego twarzy, zobaczył zbiebiającą i skamieniałą w szoku twarz Luvica.

Śmigłowiec zwałił się na bok i zrobił pełny przewrót w przód, potem jeszcze jeden, zbliżając się coraz bardziej do krawędzi dachu. Grace'owi skojarzyło się to z jedną z tych tanich zabawek sprzedawanych w Brighton na straganach, które siłą bezwładności toczyły się, fikając, przed siebie.

I nagle w powietrzu rozniósł się odór paliwa lotniczego.

Uszkodzona maszyna po raz drugi uderzyła w nadbudówkę, z wciąż pracującym silnikiem zakreśliła się w kółko, aż kokpit zawisł nad krawędzią dachu i śmigłowiec nie wypadł przez nią tylko dzięki temu, że ogon zaczepił o podstawę nadbudówki.

Silnik umilkł. Grace z wysiłkiem podniósł się na nogi i podbiegł do helikoptera.

Maszyna huštała się na krawędzi. Luvic był nieprzytomny, leżał do góry nogami w szklanej bańce dachu kokpitu. Venner szamotał się, również do góry nogami, podwieszony na pasach bezpieczeństwa. W każdej chwili helikopter mógł spaść.

- Ratunku! - wykrzyknął błagalnym tonem człowiek z kitką, wystawiając rękę przez otwarte drzwi, dyndające nad przepaścią. - Na miłość boską, proszę, ratuj mnie, człowieku!

Grace, który źle znosił wysokości, przyklęknął w porывach wiatru, który omal nie zdmuchnął go z dachu, i daleko w dole zobaczył parking. Schwycił tamtego za nadgarstek, śliski i gruby jak szynka.

Śmigłowiec przechylił się gwałtownie. Paliwo straszliwie śmierdziało. Grace poczuł, że coś uwiera go w rękę. Zegarek Vennera. Zaciśnął dłoń na pulchnym ciele tuż ponad zegarkiem i spojrzał w małe, przerażone oczka. Wpatrywały się w niego błagalnie.

- Ratuj! Wyciągnij mnie! - Z głowy zwiślał mu medalion.

Helikopter znów się przechylił. Grace'a pociągnęło do przodu. Jeszcze kilkanaście centymetrów i spadnie. Uświadomił sobie, co tamten musi zrobić.

- Pasy! Odepnij pasy!

Venner spanikowany nie był w stanie myśleć.

- Ratunku! - krzyknął piskliwie.

- Odepnij, kurwa, pasy! - wrzasnął Grace.

Rozległ się zgrzyt. Śmigłowiec przechylił się jeszcze bardziej. Spadał. Zostało tylko parę sekund, ocenił Grace.

- Odepnij pasy!

Cud, że nie wyrwało mu ręki ze stawu. Natężył się z całych sił. Ale nic to nie dało. Mimo to wciąż się natężał. Z całych sił.

Z całych sił.

Jeszcze raz spojrzał w małe, rozpaczliwie wpatrzone w niego oczka.

Wtem znalazł się obok niego Nick Nicholl i sięgnął do helikoptera. Grace usłyszał słaby szcęk. Po chwili śmigłowiec spadał już do góry nogami, oddalając się od niego jak we śnie. Niczym ogromna

zabawka. Aż wylądował okrakiem na dachach czarnego mercedesa i małego białego fiata. Prawie natychmiast okryła go ogromna kula ognia.

A pod nim, przebijając bezładnie nóżkami, zwisała z krawędzi dachu skamieniała ze strachu, martwa masa Vennera, podtrzymywana w górze wyłącznie siłą uścisku Grace'a i Nicholla, którzy trzymali go za nadgarstki, przy czym metalowy pasek od jego zegarka boleśnie się wrzynał Grace'owi w dłoń.

Venner wydał z siebie długi, gulgocący skowyt. Żar palił Grace'a w twarz. Venner wyslizgiwał mu się. Nie mógł go puścić. Chciał, żeby ten parszywiec przeżył; gdyby zginął, wywinąłby się cholernie tanim kosztem. Jakoś, nie wiadomo skąd, Grace znalazł w sobie trochę siły; Nicholl widocznie też. Po chwili grubas z kitką został jak wielka tłusta ryba wciągnięty bezpiecznie na dach.

Leżał na wznak, bulgocąc z przerażenia; miał ciemną plamę w kroku, posikał się. Chwilę później Grace, nie mając czasu do stracenia, brutalnie przewrócił go na brzuch, i skuł mu ręce kajdankami. Rozniósł się wstrętny smród; parszywiec także się zesrał, ale Grace prawie nie zwrócił na to uwagi.

Krzyknął na Nicholla, żeby wyprowadził tamtego z budynku, pobiegł do wyjścia ewakuacyjnego i pognął po schodach aż do sutereny. Norman Potting i dwóch nieumundurowanych policjantów, byli przy Glennie Bransonie, który wydawał się na wpół przytomny.

- Cały ten burdel zaraz wyleci w powietrze! Zabierzmy go stąd! - krzyknął Grace.

Wsunął ręce pod barki przyjaciela. Jeden policjant podtrzymywał Glenna w pasie, a Potting i drugi policjant wzięli go za nogi. Wnieśli go po schodach, potem wybiegli przez drzwi ewakuacyjne na parking, prosto w żar bijący z płonących samochodów i helikoptera; rozedrgane kakofonią alarmów powietrze przesyczał swąd palonego lakieru i gumy.

Nieśli Bransona jak najdalej od żaru, aż Grace dostrzegł pędzącą w ich stronę karetkę.

Przystanąli. Grace spojrział na Bransona i przybliżył twarz do jego twarzy.

- Jak się miewasz?

- Pamiętasz Johna Wayne'a, jak go postrzelili w tym filmie... - odezwał się Branson świszczącym głosem.

- Przeżył? - przerwał mu Grace.

- Tak, przeżył.

- Tak właśnie się czujesz?

- No.

Grace pocałował go w czoło. Nie mógł się powstrzymać; kochał tego człowieka.

Potem, kiedy odstąpił na bok i Glennem zajął się personel paramedyczny, poczuł, że coś mu się wrzyna w rękę. Spojrział i zobaczył zegarek Breitling z niebieską tarczą, na złamanej metalowej bransoletce. Był umazany krwią. Jego własną krwią.

To zegarek, który miał na sobie ten z kitką. Jak, u licha, to się stało, że on...

Wrócił myślami do telefonu sprzed paru godzin, od jasnovidza Harry'ego Frame'a.

*Wychodzi mi zegarek.*

*Zegarek? Znaczy zegarek ręczny?*

*Tak jest! Zegarek ręczny! To jest coś bardzo znaczącego. Jakiś zegarek ręczny doprowadzi cię do czegoś, z czego będziesz bardzo zadowolony, w związku ze sprawą, nad którą pracujesz. Właśnie z tą sprawą, jak sądzę.*

*Możesz to jakoś rozwinąć?*

*Nie, ja... Nie, to wszystko. Jak mówiłem, nie wiem, czy to w ogóle coś znaczy.*

*Jakaś konkretna marka?*

*Nie. Wydaje mi się, że jakiś drogi.*

Ssąc rękę, by zatamować krwawienie, zwrócił się do Nicka Nicholla, który zamykał za Vennerem drzwi wozu policyjnego.

- Znasz się trochę na zegarkach?

Kolega był blady, trząsł się cały. Wyglądało to źle. Był w poważnym szoku.

- Nie bardzo. A bo co?
- Grace pokazał zegarek, który trzymał w ręku.
- Co powiesz o tym?
- Odezwał się słabym głosem Norman Potting:
- To Breitling.
- Co o nich wiesz?
- Tylko tyle, że nigdy nie będzie mnie na taki stać. Są drogie.
- Jakiś policjant podbiegł do nich, wyraźnie wstrząśnięty.
- Proszę się odsunąć. Obawiamy się, że cały budynek może wylecieć w powietrze. Jest pełen chemikaliów.
- Nagle ogarnięty paniką, Grace wykrzyknął:
- Jezu, gdzie są państwo Bryce?
- Wszystko w porządku, panie komisarzu - zapewnił policjant. -
- Są w karetkach, w drodze do szpitala.
- Bogu dzięki.

## ROZDZIAŁ 87

Pięć minut później, akurat gdy podjechał pod nią pierwszy wóz strażacki, hurtownia eksplodowała. Wybuch wysadził szyby w oknach budynków w promieniu czterystu metrów. Dopiero po dwóch dniach pogorzeliśko ostygło na tyle, żeby mogła tam wkroczyć ekipa kryminalistyczna i podjąć czynności.

Znaleziono szczątki dwóch osób. Jedną z nich zidentyfikował po paru tygodniach brat, przebywający wciąż pod strażą policyjną w szpitalu, na podstawie częściowo stopionego złotego medalionu, który znaleziono na szyi trupa. Drugą zidentyfikowano na podstawie kartoteki uzębienia jako Andy'ego Gidneya.

Z powodu bardzo wysokich temperatur, jakim poddane zostało jego ciało, na podstawie ocalałych resztek kości nie sposób było ustalić dokładnie przyczyny śmierci Gidneya. I nikt nie był w stanie wyjaśnić, co robił w tym budynku.

Po dwóch miesiącach sierżant Jon Rye z działu przestępczości wykorzystującej zaawansowane technologie złożył raport do sądu koronera. I wobec braku dowodów koroner nie miał innego wyjścia, jak stwierdzić zgon z niewyjaśnionych przyczyn. Orzeczenie bardziej związane od prognozy pogody dla żeglugi, lecz uboższe w treści.

\*

O pół do piątej, gdy Roy Grace odjechał wreszcie spod płonącej hurtowni, gdzie jeszcze daleko było do opanowania pożaru. Pojechał



prosto do Królewskiego Szpitala Hrabstwa Sussex i odszukał na oddziale pomocy doraźnej Glenna Bransona.

Była tam już ładna żona Glenna, Ari. Nigdy specjalnie nie okazywała Grace'owi sympatii, obwiniając go, jak podejrzewał, za to, że jej mąż tak mało bywa w domu. Dzisiaj także lody nie zostały przełamane. Glenn miał szczęście. Trafiła go tylko jedna kula i przeszła przez brzuch, mijając kręgosłup o centymetr. Zanim dojdzie do siebie, na pewno trochę pocierpi, ale Grace nie wątpił, że przez większą część rekonwalescencji będzie się rozkoszował oglądaniem filmów, w których bohaterów trafiają kule, ci jednak nie giną.

Następnie na oddziale intensywnej opieki poznał rodziców Emmy-Jane - jej matkę, atrakcyjną kobietę po czterdziestce, która obdarzyła go chłodnym uśmiechem, i ojca, bardzo cichego człowieka, który siedział, ściskając w rękę żółtą piłkę do tenisa, jakby od tego zależało życie jego córki. Stan Emmy-Jane się poprawia; tylko tyle mogli mu powiedzieć.

Wychodził ze szpitala przygnębiony, myśląc sobie, że kiepski z niego dowódca, skoro pozwolił, by dwoje jego ludzi otarło się tak blisko o śmierć. Zatrzymał się przed jakąś tanią kafeterią, wszedł do środka i zjadł dużą porcję kebabu, popijając mocną herbatą.

Kiedy skończył i poczuł się od razu znacznie lepiej, siedząc przy stoliku, wykonał serię telefonów. Wstawał już, gdy zadzwoniła jego komórka. To był Nick Nicholl, który zapytawszy go najpierw o samopoczucie, powiedział, że nie miał jeszcze okazji zdać mu relacji z rozmowy z detektywem z metropolitaliki na temat dziewczyny zamordowanej na Wimbledon Common; miała na sobie naszyjnik z motywem skarabeusza. Okazało się, że to ślepa uliczka. Zbieg okoliczności. Do zabójstwa przyznał się jej chłopak. Bella Moy kontaktowała się w tej sprawie ze wszystkimi posterunkami policji w kraju i nie natrafiła na żadne inne morderstwo, w którym na miejscu zbrodni znaleziono skarabeusza.

Może mieliśmy szczęście i wcześniej ich złapaliśmy?, pomyślał Grace. Jednak nie dość wcześniej dla biednej Janie Stretton.

Powiedział młodemu detektywowi, żeby wracał do domu, przytu-  
lił mającą lada dzień urodzić żonę i powiedział jej, że ją kocha. Wy-  
rażnie zaskoczony Nicholl podziękował. Ale tak właśnie myślał w tej  
chwili Grace. Że życie jest bezcenne. I narażone na tyle niebezpie-  
czeństw. Nigdy nie wiadomo, co czai się za rogiem. Trzeba się trosz-  
czyć o to, co się ma, póki się to ma.

Kiedy wsiadał do samochodu, zadzwoniła Cleo. Jej głos brzmiał  
dziarsko i optymistycznie.

- Cześć! - powiedziała. - Przepraszam, że dopiero teraz oddzwa-  
niam! Masz czas porozmawiać?

- Bez ograniczeń.

- To dobrze. Ale miałam dziś dzień. Cztery trupy. Wiesz, jak to  
jest po weekendzie.

- Wiem.

- Jedna ofiara wypadku motocyklowego, jeden pięćdziesięciopię-  
cioletni mężczyzna, który spadł z drabiny, i dwie starsze panie. Nie  
mówiąc już o tej wczorajszej głowie mężczyzny, z którego niewiele  
co więcej zostało... Ale o tym to pewnie wiesz.

- Troszeczkę.

- Potem musiałam w przerwie obiadowej pojechać do centrum  
Brighton, żeby kupić prezent na rocznicę dla sędziwych Rdz.

- Sędziwych czego?

- Moich rodziców!

- Aha.

- I, cholera, samochód mi zamknęli na parkingu przy Bartholo-  
mew Square. Był alarm bombowy, kurczę, uwierzysz?

- Naprawdę?

- A jak w końcu odzyskałam samochód, to całe miasto było za-  
tkane.

- Rzeczywiście, słyszałem coś o tym - powiedział.

- A tobie jak minął dzień? - spytała.
- Oj, no wiesz: dzień jak co dzień.
- Bez wielkich emocji?
- No.

Na chwilę zapadło pomiędzy nimi dziwne, lecz przyjemne milczenie. Przerwała je Cleo:

- Przez cały dzień nie mogłam się doczekać, żeby z tobą porozmawiać. Ale chciałam, żebyśmy naprawdę mieli na to czas. A nie tak, żeby tylko w pośpiechu rzucić: „Hej! Świetne było to wczorajsze bzykanko. Pa!”.

Grace roześmiał się. I nagle wydało mu się, że od strasznie dawna się nie śmiał. Od długich, długich kilku dni.

Później, o wiele później, po wielu godzinach spędzonych nad górą papierkowej roboty, która zajmie mu jeszcze czas do końca tygodnia z okładem, Grace znowu znalazł się w mieszkaniu Cleo.

Tej nocy, gdy się już pokochali, zasnął w jej ramionach jak niemowlę. Spał jak zabity. I to przynajmniej przez parę godzin bez lęków właściwych żywym.

\*

W czwartek rano Tom Bryce, z grubo zabandażowanymi rękami, które wciąż piekielnie bolały od oparzeń kwasem, pojechał na parę godzin do biura.

Z wylewnych powitań ze strony pracowników oraz stosu wycinaków prasowych na jego biurku wynikało niezbitcie, iż to, że na kilka dni stali się z Kellie bohaterami nagłówek na pierwszych stronach gazet w całym kraju, bynajmniej nie zaszkodzi interesom firmy BryceRight Promotional Merchandise. Sprzedawcy Peter Chard i Simon Wong byli w euforii - już nie pamiętali, kiedy ostatnio tylu potencjalnych klientów naraz zgłaszało się, chcąc poznać ofertę.

- Aha - dodał Chard, stojąc przy swoim biurku. - Dobra wiadomość jest taka, że dostarczyliśmy te roleksy dla Rona Spacksa.

Wszystkie dwadzieścia pięć sztuk. Mamy z tego zarabistą marżę!

- Nie widziałem ostatecznego projektu - powiedział Tom, nagle trochę zaniepokojony. Jeśli się okaże, że grawerunek na dwudziestu pięciu zegarkach Rolex jest schrzaniony, to będzie finansowa katastrofa.

- Bez obawy! Dzwoniłem do niego wczoraj, żeby zapytać, czy wszystko jest koszerne. On się z nich cieszy jak dziecko.

- Przynies mi, proszę, dokumentację.

Parę minut później Chard położył mu na biurku teczkę. Tom otworzył ją i popatrzył na zamówienie. Marża była fantastyczna: tysiąc czterysta funtów od sztuki. Razy dwadzieścia pięć. To razem trzydzieści pięć tysięcy funtów. Nigdy jeszcze nie osiągnął takiego zysku na pojedynczym zamówieniu.

Potem jego euforia przeszła w przygnębienie. Kellie zgodziła się iść do kliniki na odwyk. Potem mieli zacząć wszystko od nowa. Ale takie dobre kliniki kosztują fortunę; na którąś z tych najlepszych trzeba by wydać ładnych parę tysięcy funtów tygodniowo - razy co najmniej kilka tygodni. Dobrych trzydzieści, czterdzieści tysięcy funtów, jeśli to ma naprawdę coś dać. No i koszt opieki do dzieci na czas jej nieobecności.

Przynajmniej dzięki temu zamówieniu będzie na to kasa - a od sześciu lat, odkąd robił interesy z Ronem Spacksem, ten zawsze płacił od ręki. W ciągu siedmiu dni od dostawy. Bez nawet dnia opóźnienia.

Patrzac na dokumentację, Tom zapytał:

- Kiedy była dostawa?

- Wczoraj.

- Szybka robota - stwierdził. - Zamówienie przyjąłem dopiero w zeszły...

- Czwartek! - dokończył Peter Chard. - No tak, znalazłem dostawcę, który miał towar i kazałem naszemu grawerowi zrobić to z dnia na dzień.

- Nie widziałem projektu; miał go przesłać.

Chard przewrócił kilka kartek papieru i wreszcie klepnął w jakieś ksero w formacie A4.

- To ogromne powiększenie. W rzeczywistości wzór jest mikroskopijny, niewidoczny gołym okiem.

Tom spojrzął i zobaczył rysunek przedstawiający żuka, piękne, choć trochę groźnie wyglądające stworzenie, z dziwnymi wyłobieniami na grzbiecie i rogiem wyrastającym z głowy. Zmarszczył brwi.

- Skarabeusz - powiedział Peter Chard. - Otaczany czcią w starożytnym Egipcie.

- Naprawdę?

- Tak. Obrzydliwy stwór. Znany również jako żuk gnojarski.

- Dlaczego chciał je mieć na zegarkach?

Chard wzruszył ramionami.

- Jest dystrybutorem DVD, prawda?

- Tak, na wielką skalę.

- Może jest jakaś firma produkcyjna o tej nazwie. - Sprzedawca znów wzruszył ramionami. - To twój klient; byłem przekonany, że ty to wiesz.

Tom poczuł nagle dreszcz. Może powinien o tym wspomnieć przy najbliższej okazji komisarzowi Grace'owi - jako o zabawnym zbiegu okoliczności, jeśli nie czymś innym.

Uznał jednak, że mądrzej będzie z tym poczekać, aż Ron Spacks zapłaci.